

# ŚNIEG, OGIEŃ I KREW

PASJONUJĄCA POWIEŚĆ HISTORYCZNA OSADZONA W POLSCE 1807 ROKU



SŁAWOMIR SKOWRONEK

# HEILSBURG

SŁAWOMIR SKOWRONEK

ŚNIEG, OGIEŃ  
I KREW  
1807

OŚWIĘCIM 2017

*Moim Aniołom*

Wojna. Zima. Mróz i odwilż. Wiosna promieniami słońca topiąca śniegi, rozpalająca uczucia i emocje. Podążanie rwącymi się tropami. Poznawanie rozmaitych ludzi i miejsc. Walka, niewola, cierpienie, miłość, namiętność, korupcja, zbrodnia – z nikczemności, chciwości lub głupoty... Metamorfozy charakterów. Po prostu Warmia czasu wojny 1807 roku. Rosyjscy żołnierze: np. Timofiej, Fiedot i Borys; francuscy żołnierze: np. Antoine, Raymond, Gontarz. Brytyjski podpułkownik Wilson. Piękne, fascynujące kobiety i dziewczyny: Marfa, Elsa i jej siostry, Lieselotte, Marianna, Daria. Lekarze: francuski chirurgien en chef Percy, jego rosyjski odpowiednik Wylie, prowincjonalny lekarz heilsberski Sparchmann, wojskowy lekarz rosyjskich ułanów Torthus... Uroczę, pełne poświęcenia pielęgniarki. Siłacze z bajki. Prowincjonalni duchowni – katolicy, protestanci, prawosławni. Lokalni urzędnicy, rzemieślnicy, chłopci. Rodzina kowala z litewskich Sumiliszek. Rodzina Ajzyka, żydowskiego karczmarza z Rudziszek. Nikczemne osobniki starające się zniszczyć głównych bohaterów. Władcy, marszałkowie, generałowie, oficerowie różnych szczebli. Postacie historyczne obok fikcyjnych – wszystkie na tle prawdziwych wydarzeń i w prawdziwym anturazie. Tętent kopyt i rżenie koni, tupot nóg żołnierskich, hurgot kół armatnich, łoskot tarabanów, dźwięk trąbek, grzmot dział, huk wystrzałów karabinowych, szczęk białej broni, a zaraz obok – milczenie zimowego lasu, krakanie ścierwojadów, skrzywienie lub cichy szelest padającego śniegu, cichy szum płynącej wody i wiatru w sitowiu... Strofy poety Batuszkowa, śpiew dziewczyny w lesie, wypowiedziane szeptem lub półgłosem wyznania. Emocjonalnie wyrażane uczucia zachwyty. Kaszel umierającej na suchoty przedwcześnie postarzałej kobiety. Huczące płomienie niszczycielskich pożarów. Rechot soldateski i cyniczne wypowiedzi negatywnych bohaterów. Śnieg, ogień i krew... I równie krwawa wiosna. Wiosna, która jednak pozwala zatriumfować także uczuciom. Niestety, nie wszyscy z bohaterów osiągną szczęście. Jak to w życiu.

Staralem się. Na ile mi się udało – ocenicie sami, drodzy Czytelnicy

## WSTĘP

„1807” to powieść o wojnie Napoleona z IV koalicją, ściślej – o wydarzeniach, jakie rozegrały się w okolicach Heilsbergu/Lidzbarka Warmińskiego zimą i wiosną owego roku. Odnajdziemy w niej wojnę w makro – i mikroskali, okrucieństwo i zwykłą głupotę, ale także miłość, namiętność, odpowiedzialność za drugiego człowieka. Jest to opowieść prawdziwa w wymiarze historycznym i ludzkim. Opisane wydarzenia są prawdziwe lub bardzo prawdopodobne – na tyle, na ile pozwala autorowi jego wiedza o epoce i ziemi lidzbarskiej. Natomiast do dziedziny *licentia poetica* należą pierwszoplanowe postacie bohaterów oraz to, że właśnie im przypisałem udział w niektórych epizodach odnotowanych przez źródła historyczne.

Dlaczego narodziła się ta opowieść? Istnieje kilka (a kto wie, może i więcej) możliwych odpowiedzi. Odległe o dwieście lat wydarzenia chciałem upamiętnić, przybliżyć nie tylko swoim warmińskim krajanom, ale także Czytelnikom spoza Lidzbarka Warmińskiego i najbliższych okolic. Coś i kogoś z nostalgią powspominać, sycąc się zanikającymi blaskami definitywnie zachodzącego słońca, po raz ostatni powrócić przez chwilę na swoją „wyspę Kalipso”, tyle że w sztafażu historycznym. Uprzedzając niemądre domysły ciekawskich wyjaśniam, że na mojej „wyspie Kalipso” nigdy nie wydarzyło się ani nawet w myślach nie miało się wydarzyć nic, z powodu czego jakakolwiek Penelopa mogłaby być zazdrosna, a nawet najsurowszy moralista – zniesmaczony.

Czy postacie „niehistorycznych” bohaterów mają swoje pierwowzory? Znow trudno o jednoznaczną odpowiedź. Niektóre tak, inne nie. Czasem, dla żartu, nadawałem niektórym „aluzyjne” imiona, nazwiska lub cechy (wyglądu i charakteru) znajomych i przyjaciół, oczekując że w trakcie lektury odnajdą siebie i przez chwilę na ich twarzach zagości przyjazny autorowi uśmiech w stylu „*tonkuju aluzju poniał*”<sup>1</sup>. Rémi Pirvochin, Simon Araise... Z reguły nie nadawałem im jednak głębi, wszystko pozostało w sferze powierzchownych skojarzeń.

Nie doszukujmy się w tekście prostych odniesień do realnie istniejących, a bliskich autorowi postaci. Jeżeli nawet wybrane cechy wyglądu czy charakteru kojarzyć się mogą komuś z osobami z mojego otoczenia, jeżeli komuś się wyda, że słyszał gdzieś kwestie wypowiedziane przez bohaterów powieści – powinien cały czas pamiętać, że ma jednak do czynienia z fikcją literacką. Zwłaszcza, że owe autentyczne cechy i wypowiedzi świadomie porozdzielałem między różnych bohaterów. Nie istnieją zatem „w realu” dokładnie tacy jak w powieści: Marfa Rodionowna, Elsa Hasselberg, Lieselotte Klinger, Marianna Benska, Timofiej Dmitrijew, Wowka popowicz ani wiele innych ważnych dla fabuły postaci. Ich rysy odnajdziemy wprawdzie u niektórych bliskich autorowi osób, a może i u niego samego – nigdy jednak w takim samym zestawieniu, jak w książce. Ponadto np. Elsa czy Daria Nikitjewa, mimo iż tak żywo, choć krótkimi i grubymi pociągnięciami pióra opisane, są konstrukcjami wykreowanymi na surowym korzeniu, koniecznymi „protezami”, „opatunkami” położonymi na rany obolałych duchowo i cieleśnie wskutek życiowych perypetii młodych bohaterów. Ich postacie wprawdzie

przewidywałem, jednak ostateczny kształt przybrały pod żarliwą presją kilku osób „kibicujących” tworzeniu powieści. Przyjrząwszy się uważnie, wśród znajomych autora odnaleźlibyśmy pewne osoby przypominające spontanicznego Borysa czy bardziej poukładanego Fiedota. Nadmienimy, że oficjalna historia koporskiego pułku muszkieterskiego odnotowuje nazwiska Timofieja, Borysa i Fiedota, pojmanych pod Jegothem, jako uciekinierów z francuskiej niewoli, ale poza tym o nich milczy. Fomka Dragomirow, dragon – siłacz, to z kolei postać zupełnie fikcyjna, wypełniająca miejsce pozostawione dla bohaterów ze sfery baśni, fantastyki. Natomiast osoba żydowskiego karczmarza Ajzyka z Rudziszek stanowi skromny hołd oddany pamięci rzeczywiście żyjącego niegdyś w Rudziszkach (przed 1939 rokiem) sąsiada moich kresowych Dziadków, noszącego takie właśnie imię i pochłoniętego wraz z całą rodziną przez piekło zgotowanej przez Niemców Zagłady. Każdemu z bohaterów, nawet epizodycznych, starałem się nadać cechy, jakie pozwoliłyby Czytelnikowi utrwalić ich w swojej pamięci. Za pierwsze z brzegu przykłady niech posłużą: kozak Omeljan Krepkij z lasu pod Launau, podporucznik Antoine Ledru, szaserzy Ambroży Gontarz i Raymond Barez, pruski fizylier Gregor Edmer...

Zostawmy jednak w spokoju te na poły realne, na poły fikcyjne postacie. Niech pozostaną nieco tajemnicze, zgodnie z moimi intencjami. Poświęćmy kilka słów postaciom historycznym. Historyczne są osoby władców, wyższych dowódców obu stron, postacie proboszczów i niektórych urzędników. „Historyczność” ma w mojej opowieści dwa wymiary. Jeden – to autentyczność imion i nazwisk wielu bohaterów drugiego planu książki, postaci epizodycznych, o których niewiele więcej wiemy, poza tym że istniały (tu pomocny był leksykon nazwisk mieszkańców komornictwa lidzbarskiego z XVI-XVIII w.<sup>2</sup>), choć niekoniecznie akurat w 1807 roku. Plus elementy dawnej niemieckiej gwary z okolic Lidzbarka Warmińskiego/Heilsbergu, zaczerpnięte z kalendarzy „Ermlandbuch”, z działu „Typisch ermländisch”: „Heimatliches Wörterbuch”.

Drugi wymiar realizmu to fakty z życia znanych postaci, elementy dawnej topografii, opisy warmińskiej przyrody. Oba wymiary bazują na źródłach narracyjnych, dokumentowych, kartograficznych, ikonograficznych itp. oraz moich własnych obserwacjach. Istotne były też owocujące koniecznymi korektami uwagi zgłaszane przez tych, którzy mieli możliwość zapoznania się z partiami tekstu w trakcie jego powstawania. W celu ułatwienia Czytelnikowi poruszania się w gąszczu personaliów, załączyłem do powieści spis „Dramatis personae”, z adnotacją czy dana postać jest fikcyjna, czy historyczna.

Jaki jest zatem ostateczny produkt, efekt wysiłków autora i korekt dokonywanych po konsultacjach ze znawcami rozmaitych „nisz” tematycznych? To już osądzą sami Czytelnicy, którzy uznają ten „wypiek” albo za apetyczny, wielosmakowy tort zwieńczony wisienką, albo za niestrawny, mdły gniot z zakalcem. Mogę tylko powiedzieć, co sam o tym swoim debiutanckim tworze beletrystycznym myślę, łącząc „ojcowską” dumę z dmuchaniem na zimne, w oczekiwaniu ewentualnych głosów krytycznych. Starałem się odzwierciedlić fragmenty historii mojego rodzinnego miasta Lidzbarka Warmińskiego i jego najbliższej okolicy. Z góry postanowiłem, że makroskala, tj. opis wielkich wydarzeń historycznych rozgrywających się na wybranej przeze mnie

przestrzeni, ma być jedynie tłem, na które rzucę długi szereg obrazów (czasem wręcz migawek) rozgrywających się w mikroskali: w konkretnych miasteczkach, wsiach czy nawet domostwach, w lasach i na polach, jakie odwiedzałem niejednokrotnie. W myślach i odczuciach bohaterów, bywało że i w moich własnych.

Znane postacie historyczne pełnią raczej rolę znaków orientacyjnych, drogowskazów, które z grubsza wytyczają koleje losu bohaterów fikcyjnych, dla powieści znacznie ważniejszych. Tak zatem ważniejsze w zamyśle autora jest to, co myśli i przeżywa grupa skupiona wokół Timofieja Dmitrijewa albo grupa kamratów Antoine'a Ledru, niż wielkie plany i zamysły wodzów i generałów. Ważniejsze są indywidualne akcje i wędrówki wspomnianych bohaterów po ziemi warmińskiej oraz lutowe walki pod Heilsbergiem i Jegothem, niż wielka zimowa bitwa pod Preussisch Eylau czy czerwcową batalia pod Heilsbergiem. Ważniejsze są losy fikcyjnych postaci kobiecych: Marfy, Elsy, Marianny, Lieselotte, Darii – kobiet będących obiektem zainteresowania bohaterów, niż np. zaledwie wspomnianej królowej Luizy Pruskiej. W samym Heilsbergu i okolicach istotna jest dawna topografia, istotne są historyczne, choć w powieści epizodyczne, postacie urzędników, karczmarzy, duchownych. Rozwinąłem też nieco wątek zaledwie zasygnalizowanej przez wielkiego Balzaca fikcyjnej postaci heilsberskiego doktora Sparchmanna i pobytu również fikcyjnego pułkownika Chaberta w miejskim szpitalu. Chaberta, którego skądinąd nasza grupa rekonstrukcyjna uczciła, z pomocą lokalnych władz i sponsorów, specjalną tablicą wmurowaną w bruk chodnika, w miejscu dawnego szpitala.

Powieść nosi osadzający fabułę w czasie a zarazem enigmatyczny tytuł „1807”. Sądząc po tytule, Czytelnik może spodziewać się wszystkiego, co dotyczy trzeciej i czwartej fazy wojny Napoleona z IV koalicją: kampanii zimowej i wiosennej w Prusach Wschodnich. Całość podzieliłem na dwie duże części o porównywalnych rozmiarach. W moim zamierzeniu miały się różnić jak „Iliada” od „Odysei”. Pierwsza, zatytułowana może znów zbyt enigmatycznie (ale takie było moje zamierzenie) „Śnieg, ogień i krew” (tytuł całości jest taki sam, jak tytuł pierwszej części), z mottem zaczerpniętym z poezji Williama Blake'a, ukazuje – jak z samego tytułu wynika – zimowe walki 1807 roku, tyle że ograniczone do najbliższych okolic Heilsbergu/Lidzbarka Warmińskiego. Bohaterowie pojawiają się niejako „w biegu”, bez zbyt rozwlekłych czy ceremonialnych wstępnych prezentacji; Czytelnik od razu wchodzi w ich świat, chłonie odczuwane przez nich zapachy, dźwięki, obrazy, cierpi i raduje się wraz z nimi. Świadomie starałem się rzucać obrazy naprzemiennie: raz z francuskiej, raz z koalicyjnej strony, by uświadomić Czytelnikowi, że poznaje losy takich samych ludzi, walczących po przeciwnych stronach. Także makabryzm towarzyszący niektórym sytuacjom jest sprawiedliwie rozdzielony między obie wojujące armie. Żadna z armii nie składa się z niewinnych baranków, w każdej jednak możemy odnaleźć przyzwoitych ludzi.

Pierwszą część powieści kończą sceny batalistyczne nad Elmą rozgrywające się wieczorem 6 lutego 1807 roku i spotkanie jednego z bohaterów z człowiekiem przekazującym mu bardzo istotne informacje, które odmieniają jego życie.

Drugą część książki zatytułowałem „Stokroć błogosławiony”, co stanowi cytat z „heilsberskiego” wiersza Konstantina Batuszkowa, uczestnika bitwy z 10 czerwca 1807

roku. Fragment tego utworu stanowi zarazem motto drugiej części powieści. Tym razem skupiłem się na ukazaniu indywidualnych losów poznanych już przez Czytelników bohaterów, ich wymuszonych sytuacją wędrowek po ziemi warmińskiej, będących zarazem poszukiwaniem swoich „drugich połówek” (choć nie zawsze i nie dla każdego są to rzeczywiście owe „drugie połówki”). Ich drogi ku szczęściu są zawile i pełne przeszkód, nie każda ze ścieżek prowadzi do celu, a niektórzy z bohaterów w ogóle tego celu nie osiągają. Bywa, że giną. Tak czy inaczej, wychodzi na to, że najlepszy jest los „domatora spokojnego”, któremu Bóg czy też ślepy traf pozwalają zaznać „stokroć błogosławionego” ziemskiego raj: życia z dala od wojny i nienawiści, życia u boku ukochanej osoby. Któremu z bohaterów uda się cel ten osiągnąć? Który po drodze do celu upadnie i nie podniesie się więcej? Jak potoczą się losy antypatycznych postaci, wrogów bohaterów powieści? Czytelnik odnajdzie odpowiedź właśnie w drugiej a zarazem ostatniej części. Tam również nadaję fabule formę stosunkowo krótkich epizodów, dopiero po zestawieniu tworzących panoramiczną wizję. W obu częściach fragmenty stworzone wyłącznie przeze mnie przeplatają się z informacjami źródłowymi, które przyobлекłem w formę fabularną, czasem zastępując postacie historyczne własnymi bohaterami. Wszystkie takie „odstępstwa” uczciwie wyjaśniam w przypisach. Wykreowany przeze mnie świat jest zatem prawdziwy lub – w niektórych fragmentach – co najmniej prawdopodobny. Jest taki jak nasz region: interesujący i swoiście piękny. Przynajmniej tak mi się wydaje. Bardzo się o to starałem.

Zapisując ostatnie zdania powieści czułem, że będę tęsknił za stworzonymi przez siebie postaciami, że nieraz zapragnę jeszcze raz przebyć drogi przez nie przemierzone, że na jawie lub w snach będę po raz kolejny przeżywał odczuwane przez moich bohaterów emocje. Może się zdarzyć, że napotkane w realnym świecie osoby odruchowo obwołam imionami uczestników tej historii. Bo naprawdę spotykałem w życiu podobnych ludzi, z niektórymi wiązałem pewne nadzieje, inne budziły mój wstręt i wrogość. Będę także od nowa i po wielekroć przeżywał opisane sytuacje. „1807” jest moim własnym światem na zawsze, nikt mi go nie odbierze. Jest niczym wiszący na ścianie wielki obraz w dębowych złożonych ramach, na który będę mógł spoglądać w chwilach zadumy czy smutku. Pamiętając o tym, jak zaczyna się jeden z tomów słynnych „Opowieści z Narni” („Podróż ‘Wędrowca do Świtu’”), wierzę, że ten świat z obrazu także może wyjść do mnie<sup>3</sup>. Pogrążę się w nim z radością. Będę nad wyraz szczęśliwy, jeśli choćby niektórzy z moich Czytelników odczują ów świat podobnie, pokochają go i pozwolą się unieść i ukołysać na jego falach. Czego im z całego serca życzę. Zwłaszcza Moim Aniołom, którym zadedykowałem tę opowieść.

Czytajcie zatem. Oto mamy zimowy, kończący się dzień 4 lutego 1807 roku. Wojska rosyjskie i pruskie wycofują się pod naporem Wielkiej Armii Napoleona na północ, w stronę Preussisch Eylau. Po drodze muszą przebyć okolice Heilsbergu/Lidzbarka Warmińskiego. W szeregach obu armii podążają bohaterowie powieści, zwykli żołnierze. W mijanych wsiach i miasteczkach oczekują rozwoju wydarzeń drżący, bezbronni cywile. Wszyscy zostaną wkrótce wciągnięci w szalony wir wojny. Okaże się jednak, że pośród deszczu śmiertcionośnego ołowiu godzą w naszych bohaterów także strzały Amora... Czy *Amor semper omnia vincit*?<sup>4</sup> Przekonajcie się



sami.

*Sławomir Skowronek*

<sup>1</sup> „Zrozumiałem delikatną aluzję” – ros.

<sup>2</sup> A. Naruszewicz–Duchlińska, Nazwiska mieszkańców komornictwa lidzbarskiego (1500-1772 r.), Olsztyn 2007.

<sup>3</sup> W tej powieści morze z obrazu marynistycznego wlewa się do pokoju i unosi bohaterów do innego świata.

<sup>4</sup> „Czy Amor [tj. miłość] zawsze wszystko zwycięża?” – łac.

## ŚNIEG, OGIEŃ I KREW

*„Jak to się stało, żeśmy szli przez ogień, a nie spłonęliśmy?”*

William Blake

Już dwa dni. Dwa dni ciągłego odwrotu, mimo iż jeszcze tak niedawno przekonywano ich o niechybnej klęsce nieprzyjaciela. O tym, że jego dwa korpusy weszły w pułapkę i wkrótce zostaną otoczone i rozbite. Wtedy też panował mróz a na polach leżał głęboki śnieg. Wtedy także trzeba było ostro maszerować i nie zawsze było co do gęby włożyć. Jednak wszystkich uskrzydlała myśl, że to już niedługo, że nieprzyjaciel sam wchodzi im w ręce i zostanie pobity, a wtedy oni będą mogli powrócić do domu.

Dom... Timofiej Nikitycz Dmitrijew, unteroficer koporskiego pułku muszkieterskiego, nie przerywając miarowego kroku przymknął oczy i przywołał w myśli obraz rodzinnej wsi. Była późna wiosna, bujnie zieleniły się świerkowe i brzoźowe lasy, wabiły oko kolorowym kwieciami, wzgórze opadające ku srebrzystej wstędze rzeki, powoli dojrzewały trawy na łąkach i zboża na polach, porykiwały brązowo umaszczone krowy na pastwiskach, owce i kozy zbijały się w drżące nerwowe stadka. W ciepłym powietrzu świergotały skowronki, popiskiwały czajki. Od kuźni niosły się odgłosy walenia młotem w żelazo, od łąk leniwe nawoływania pastuchów. Jakiś męski głos wznosił pieśń, którą następnie podjęły inne głosy, tworząc niepowtarzalny polifoniczny chór. Skrzypiały studzienne żurawie. Ponad drewnianymi chatami krytymi słomą lub gontem, z oknami i drzwiami zdobnymi cyzelowaną w drewnie snycerką, otoczonymi tak typowymi dla Rosji krzewami wonnego bzu, wznosiła się na wzgórzu drewniana cerkiewka pod wezwaniem Świętego Mikołaja. Już niedługo pora nabożeństwa, zabiją dzwony a wówczas pracowity i pobożny lud ruski odłoży swe zajęcia, by udać się do przybytku Pańskiego...

Timofiej potknął się nagle i omal nie upadł na zaśnieżonej drodze. To przywróciło go do rzeczywistości. U jego stóp leżało ciało żołnierza. Timofiej pochylił się szybko i odwrócił go twarzą do góry – rozpoznał riadowego Borysa Maksimowa. Borys Iwanowicz pochodził z sąsiedniej wsi, znali się od dawna. Był o kilka lat młodszy od Timofieja, który zdążył już awansować na unteroficera w służbie Jego Imperatorskiej Mości Aleksandra I. Borys od paru dni wyraźnie słabował i coraz gorzej znosił trudy nieustannych przemarszów. Timofiej Nikitycz widział, jak płaczą mu się nogi w fałdach długiego, sięgającego kostek szynela, kiedy wraz z innymi „koporcami” brnął poprzez śniegi sięgające nawet do połowy uda. W tak głębokim śniegu szynel nie wydawał mu się już „najlepszym przyjacielem żołnierza”, jak go potocznie nazywano. Robił się ciężki od wilgoci, utrudniał marsz, ciążył niemiłosiernie... A jednak kiedy trzeba było biwakować pod gołym niebem, czy to w dzień, czy w nocy, stawał się niezastąpiony, stwarzał namiastkę dachu nad głową i pozwalał przetrwać przy ogniu największe mrozy i najgorsze słoty. Timofiej zatrzymał gestem idącego obok riadowego Fiedota Jefimowa i razem

unieśli bezwładne ciało Borysa. Ten otworzył czerwone od niewyspania oczy, jego twarz rozjaśnił blady uśmiech. Zebrał siły i zaczął pomagać niosącym go kolegom, z trudem poruszając nogami. Dokoła zapadł już wczesny zimowy zmrok. Na tle nieco tylko jaśniejszego śniegu zalegającego na polach, rysowała się niewyraźnie zupełnie czarna lizjera lasu obejmującego cały północny horyzont. Nagle z boku rozległ się tętent kopyt i rżenie konia. To adiutant dowódcy, pułkownika Gnaade. Machnął dłonią:

– Stać! Tu zatrzymamy się na popas. Rozpalić ogniska wzdłuż lizjery lasu! Wystawić posterunki. Piechota w zwartych grupach, kawaleria utworzy łańcuch wysuniętych postów i będzie patrolowała teren od strony nieprzyjaciela.

Zawrócił konia i pognął z powrotem do sztabu, na ile pozwalał głęboki śnieg. Z nozdrzy i pyska wierzchowca buchały kłęby pary. Zniknął w mroku. Żołnierze zakrzętnęli się koło ognisk, zewsząd dobiegały odgłosy łamania suszu i rąbania gałęzi. Początkowo nieśmiało, potem coraz bujniej rozgorzały płomienie ognisk. Regulaminy przewidywały, by przy każdym z ognisk zasiadało po czterech żołnierzy, ale w warunkach zimowej kampanii w obcym kraju od dawna już tego nie przestrzegano. Grupowano się przy swoich podoficerach, w gronie znajomków, ile miejsca starczyło. Timofiej i Fiedot narąbali tasakami wiecheć jedliny i starannie ułożyli na nim wyczerpanego Borysa. Kilka łyków wódki z manierki, natarcie alkoholem skroni przywróciło Borysowi pełną świadomość.

– *Gospodin unteroficer...* – zaczął słabym głosem Borys Iwanowicz – Bardzo wam dziękuję za pomoc, jak nic zostałbym tam na śmierć w śniegu...

– Nie męczcie się zbytnim gadaniem, riadowy. – odparł z udawaną surowością Timofiej Nikitycz. – Teraz odpoczywajcie, a już my z Fiedotem Pawłowiczem zatroszczymy się o ciepłą strawę dla was. Odpoczywajcie, jutro też będziemy maszerować.

Timofiej odegnał od siebie natrętą myśl o domu. Ani on, ani Borys czy Fiedot – wszyscy chłopscy synowie, do takiego domu już nie wrócą. Takiego domu już nie mają. Ich domem jest teraz miejsce stacjonowania, ich rodziną – pułk, ojcem – pułkownik Gnaade. Ojciec, matka, dziadkowie, rodzeństwo, sąsiedzi – to już tylko zamglone obrazy z dalekiej, jakby nierzeczywistej przeszłości. Pan wsi, zmuszony rozkazem władz, wyznaczył w żołdaty albo najslabszych i chorowitych, niezdatnych do pracy w polu, albo pijaków czy złodziei, albo wreszcie potencjalnych „buntowszczyków”. W ostatnim poborze wybrano czterech na każdym pięciuset. Każdy musiał mieć nie mniej niż dwa arszyny i trzy werszki wzrostu<sup>1</sup> i po prawdzie większość rekrutów w piechocie bardzo niewiele przekraczała tę normę. Chłop powołany „w żołdaty” przestawał być chłopem związanym ze swoją wsią. Przechodził do stanu żołnierskiego i pozostawał w nim praktycznie do końca życia – ledwie dwóch na stu dożywało końca długiej służby. Dlatego po wyznaczeniu do poboru urządzano jakby stypę i żegnano rekruta na zawsze. Jeśli miał już żonę i dzieci, oni także przechodzili do stanu żołnierskiego. Jednak skąpy żołd nie pozwalał na ich utrzymanie, dlatego oddawano dzieci do sierocińców wojskowych, gdzie uczyły się na późniejszych muzykantów lub podoficerów. Żona – „żołdatka” musiała radzić sobie sama, stając się faktycznie martwą za życia. Nie mogła zawrzeć nowego małżeństwa, jej kolejne dzieci były wobec prawa bękartami. A ojciec

żołnierz? Cóż, tak szybko tracił więź emocjonalną z własnym środowiskiem, że – gdyby oficer kazał mu podpalić rodzinną wieś – zrobiłby to bez wahania. A wszystko dlatego, żeby nie wprowadzać powszechnego poboru, nie dawać masowo broni do ręki „bandyckiemu motłochowi”, jak mawiała szlachta. Wybierano więc selektywnie, całkowicie łamiąc żywot prostego człowieka. Nieliczni szczęściarze awansowali na podoficerów, jeszcze bardziej nieliczni – po pokonaniu ogromnych przeszkód – na niższych oficerów.

Na szczęście żaden z nich trzech nie był żonaty. „Na szczęście...” – pomyślał z gorzkim sarkazmem Timofiej. – „Na szczęście moja ukochana Marfa Rodionowna nie zdążyła za mnie wyjść i teraz ma szansę znaleźć sobie dobrego męża i spokojnie przeżyć swoje lata u jego boku, otoczona gromadką dzieci. Niech jej Bóg da wszystko, co najlepsze...”. A jednak wciąż miał przed oczami jej zapłakaną twarzyczkę. Nie potrafił zapomnieć, choć dla swego dawnego świata był już martwy. Ponownie sięgnął po manierkę i pociągnął solidny łyk wódki. Od ogniska nadszedł Fiedot, niosąc miski z kaszą okraszoną kawałkami słoniny, resztką posiadanych zasobów.

– *Gospodin unteroficer*, proszę jeść na zdrowie, ja też zjem i nakarmię Borysa. On już ma się lepiej, dochodzi do siebie.

– Dobry z ciebie człowiek, Fiedot – uśmiechnął się Timofiej. Obaj przeżegnali się zamasyście trzy razy, po czym ujęli łyżki i zaczęli z apetytem pałaszować prostą żołdacką strawę. Tradycyjna rosyjska kasza syciła i dobrze wiązała żołądek, zapobiegając wyczerpującej organizm dyzenterii. Po zjedzeniu własnej porcji Fiedot usiadł obok Borysa i pomógł mu się posilić. Młody żołnierz wyraźnie czuł się lepiej, wszystko wskazywało, że po prostu potrzebował chwili odpoczynku. Zgarnęli pod pachę swoje wiązki jedliny i podeszli bliżej ogniska. Tam ułożyli się obok gęsto leżących kolegów, nogami w stronę ognia. Przedtem wyznaczyli kolejność wart. Powoli cichły rozmowy, trzaskały tylko drwa w ogniskach, podsycanych systematycznie przez wartowników. W głuchym milczeniu pogrążona była też leżąca o kilkaset kroków dalej wschodniopruska wieś. „Zdaje się, Wolfsdorf czy jakoś tak...” – przemknęło przez głowę Timofieja, po czym unteroficer, owinąwszy się szynelem, zasnął. Znów śniła mu się ukwiecona łąka. Z brzoźowego zagajnika wyszła na łąkę dziewczyna o długich blond włosach, zaplecionych w warkocz. Miała na sobie białą płócienną koszulę wyszywaną w piękne wzory. Obszerna barwna spódnica odsłaniała do pół łydki nogi obute w sznurowane skórzane kamaszki. Uśmiechała się – jednocześnie pięknie zarysowanymi ustami i błękitnymi oczami. Timofiej męczył się, nie mogąc we śnie przypomnieć sobie jej imienia. Wyciągał do niej z daleka dłonie i chciał zawołać, ale nie wiedział jak... Wreszcie sobie przypomniał: Marfa! Marfieńka! Otworzył usta, by ją przywołać – i nagle sielankowy obraz rozleciał się na kawałki jak rozbity witraż.

Rozległ się huk jakby wielu wystrzałów jednocześnie. Timofiej otworzył oczy i ujrzał wokoło mroczny las, słabo rozświetlony licznymi ledwie się żarzącymi ogniskami. Wszędzie zalegały na śniegu postacie żołnierzy, niektórzy pozrywali się z legowisk na odgłos wystrzałów. Timofiej wydał cichą komendę swoim żołdatom i po chwili wszyscy stanęli w szeregu z nabitą bronią. Inni podoficerowie i oficerowie robili to samo. Zarzały konie rontów kawaleryjskich. Czekano na dalsze rozkazy. Opary snu uleciały gdzieś

daleko, choć jeszcze dalej było do świtu. Wtedy nagle z głębi lasu nadjechało kilku brodatych kozaków. Ich oczy błyszczały wesoło, oni sami bili się rękami po udach i zaśmiewali się do rozpuku, omal nie spadając z siodeł. Podszedł do nich porucznik Żadowski i ostrym tonem przywołał do porządku. Kozacy uspokoili się i, z trudem tłumiąc śmiech, zaczęli się tłumaczyć oficerowi:

– *Wasze błagorodje, izwinitie*, ale to naprawdę zabawna historia – tu kozak nie wytrzymał i znów parsknął śmiechem.

– Przestań się śmiać, idioto i gadaj mi zaraz, o co chodzi! – głos porucznika Żadowskiego nie brzmiał tak groźnie jak powinien; porucznik sam był zaciekawiony, co spowodowało tę nocną pobudkę, skoro najwyraźniej nie żadna akcja Francuzów. – No, gadajże, *durak chołodnyje uszy!*

Sprawa dotyczyła 7. pułku jegierskiego dowodzonego przez pułkownika Tołbuchina. Całe dwa dni 3 i 4 lutego pułk stanowił część ariergardy i wraz z innymi osłaniał odwrót sił głównych przed francuskim pościgiem idącym spod Jonkendorf i Bergfried<sup>2</sup>. Zwinna lekka piechota, nieco lepiej wyszkolona w celnym strzelaniu od liniowej, odziana w jasnozielone mundury i czarne kiwery z podwójnym daszkiem, opleciona czarnymi lederwerkami, walczyła w rozproszonym szyku – zwykle w tak zwanym „łańcuchu jegierskim” złożonym z par strzelców rozsypanych po kilka kroków od siebie – wykorzystując zasłony terenowe: lasy, zarośla, pagórki... Rankiem 4 lutego 7. pułk jegierski zajmował skraj iglastego lasu leżącego gdzieś między Jonkendorf i Wolfsdorf. Las był położony w rozległej kotlinie o łagodnych stokach. Na jego przedpolu rozciągało się bagno. Za nim znajdowało się pasmo odkrytych pagórków, obsadzonych przez widoczny z oddali I batalion pułku. Równo ze wschodem słońca jegrzy z wysuniętej 7. rot<sup>3</sup> porucznika Otroszczeki ujrzeli od strony południowej, na wzgórzach naprzeciw swojego lasu, pierwsze francuskie konne podjazdy. Jegrzy otworzyli gęsty ogień, nie tyle morderczy co skuteczny: Francuzi po krótkich demonstracjach zawrócili poza wzgórze i zniknęli z oczu. Nastąpiła chwila spokoju, ale tylko do południa. Wtedy nadjechało kilka francuskich dział z osłoną; po ich zatoczeniu Francuzi ostrzelali stojący na wzgórzach I batalion; kule przelatywały ponad głowami znajdującej się w kotlinie 7. rot<sup>3</sup> Otroszczeki, ścinając wierzchołki drzew. Po krótkim ostrzale francuskie armaty zawróciły i ponownie zniknęły za linią wzgórz. Na tym odcinku do końca dnia panował spokój. Jegrzy słyszeli jednak aż do wieczora dobiegające z przerwami od armii głównej odgłosy kanonady – Francuzi, na czele z kawalerią Murata, próbowali osaczyć siły rosyjskie, wykonując między innymi szeroki rajd w stronę Open<sup>4</sup>, z poświęceniem sparowany przez rosyjską lekką jazdę. Bito się też pod Waltersmühl<sup>5</sup>. W typowych walkach awangardowo – ariergardowych nie zawsze można było być pewnym, gdzie swoi, a gdzie wróg, zwłaszcza nocą. Tworzący tylną straż jegrzy i kozacy z huzarami nauczyli się już jednak, że położenie sił głównych wyznacza odległa szeroka łuna za ich plecami. Każdej nocy podobną łunę widziano też od południa, skąd nadchodzili Francuzi. W pewnym momencie ujrzano po tamtej stronie dziwne zjawisko: coś jakby biblijny wysoki słup ognia bijący prosto w niebo. Taki sam, jaki ongiś prowadził Izraelitów do Ziemi Obiecanej. Zabobonni żołdaci zegnali się z lękiem; na próżno oficerowie tłumaczyli, że taki efekt daje w nocy rozpalenie wielu ognisk w głębokiej dolinie

po między wzgórzami – żołnierze wiedzieli swoje i uparcie twierdzili, że to zapowiedź nieszczęścia. Mimo to wieczorem 4 lutego zapanowała cisza. Nastął za to silny mróz. Drogą prowadzącą poza lasem, gdzie stała 7. rota Otroszczunki, przejeżdżał akurat dowódca 7. pułku jegierskiego, pułkownik Tołbuchin. Zbliżywszy się do jegrów 7. roty zawołał wesoło:

– Co, chłopcy, zimno wam?

– Tak jest, *wasze błagorodje*, zimno! – Odparli nieskładnie jegrzy, zgodnie z prawdą. Pułkownik był najwyraźniej w szampańskim nastroju, gotów był wręcz nieba przychylić prostym ludziom<sup>6</sup>:

– No to rozpalcie sobie szeregiem ogniska wzdłuż lasu!

Przerażony porucznik Otroszczenko poprosił o głos i stwierdził:

– Proszę wybaczyć, *wasze błagorodje*, ale regulamin surowo zabrania rozpalania ognisk na linii wysuniętych posterunków! Przed nami nie ma już naszych, są tylko Francuzi!

Tołbuchin natychmiast się zbiesił i wrzasnął wściekle:

– Rozkazuję ci natychmiast porozpalać ogniska! Co to w ogóle za rezonowanie?! Zaraz każę cię aresztować!

W tej sytuacji Otroszczenko wydał rozkaz rozpalenia ognisk, zaś pułkownik oddalił się na tyły. Na efekt nie trzeba było długo czekać. Zaledwie porucznik nakazał obserwować przedpole od strony nie całkiem zamrożonego bagna, czujki zameldowały, że w ciemnościach nadchodzi cichym krokiem jakaś zwarta francuska kolumna. Jegierski łańcuch rozpoczął ostrzał, jednak Francuzi zbliżali się bez otwierania ognia. Dopiero w bezpośredniej bliskości zaczęli wołać: „*Tirer! Tirer! Tirer!*”<sup>7</sup>, po czym – rozsypawszy się w tyraliery – podjęli walkę ogniową i, korzystając z własnej przewagi liczebnej, zachodząc od skrzydeł na tyły 7. roty. Szczególny przypadek sprawił, że strzelający w ciemnościach na oślep Francuzi nie zabili ani nie ranili żadnego z jegrów Otroszczunki. Ruszyli jednak dziarsko ku stanowiskom I batalionu 7. pułku jegierskiego na wzgórzach, co zagroziło Otroszczence odcięciem. Trzeba było po cichu i jednocześnie biegiem przez głęboki śnieg szeroko obejść nieprzyjaciela i dołączyć do reszty swoich. Z daleka widziano rozbłyki wystrzałów od strony pozycji I batalionu. Tymczasem 7. rota dotarła do mostu przez bagno, który dowódca ich II batalionu usiłował właśnie zniszczyć. Otroszczenko zawołał do niego:

– *Wasze błagorodje*, to bez sensu: nieprzyjaciel jest już po tej stronie bagna tam dalej z boku!

Dowódca II batalionu nie chciał mu uwierzyć, toteż 7. rota podążyła dalej, nawet nieco się cofając i wchodząc na drogę, którą Francuzi dotarli nad bagno; przeszła nią kawałek i znów zawróciła ku swoim. Tym razem natknięto się na batalion piechoty liniowej – uglickiego pułku muszkieterskiego. Tu zaczynały się biwaki sił głównych. Całość wysuniętych oddziałów rosyjskich została wycofana do lasu leżącego na południe od pozycji koporskiego pułku muszkieterskiego.

Opisane wyżej zdarzenia nie były jednak powodem nocnego alarmu „koporców” – zachodziły zbyt daleko, odgłosy walk tłumiła odległość, wysokie wzgórza i gęste lasy. Dopiero po ogólnym wycofaniu ariergardy na pozycje bliższe siłom głównym wydarzyła

się rzecz osobliwa. Kompletnie wyczerpani jeźrzy 7. roty mogli rozpalić ogniska i przespać się nieco. Poukładali niewielkie pochyłe półdaszki z gałęzi, otwarte od strony ognia i ułożyli się bokiem do niego. W tej sytuacji byli z jednej strony ogrzani do przesady, z drugiej dotkliwie marzli. Musieli więc systematycznie się obracać, niczym pieczeń na rożnie. Jeden z nich zapomniał opróżnić umocowany u pasa czarny patrontasz z woreczków zawierających ładunki. Kiedy obrócił się nim do ognia, jedno z przepalonych polan zapadło się nagle, rozsiewając wokoło snop iskier. Padły one na półotwarty patrontasz. Po chwili rozległa się seryjna eksplozja – strzelały umieszczone wewnątrz ładunki. To właśnie spowodowało nocny alarm u obozujących w pobliżu „koporców”, gdyż huk dobiegł jakby ze środka rosyjskich biwaków. Czujny ront kozacki natychmiast przybył na miejsce i ze zdumieniem stwierdził, że nikomu nic się nie stało, jako że cała siła eksplozji poszła z uchylonego patrontasza w stronę ogniska. Gruba skóra osłoniła ciało jegra. Sołdaci byli tak wyczerpani, że tylko unieśli na moment głowy, po czym – ujrawszy że nikomu nie stała się krzywda – ponownie zasnęli. Jedyne głównego winowajcę obróciło na drugi bok; rozejrzał się nieprzytomnie i spał dalej<sup>8</sup>. Można więc było na jakiś czas odetchnąć z ulgą.

Budził się świt 5 lutego. W ciągu minionej nocy generał książę Bagration zebrał większość sił ariergardy pod Warlack<sup>9</sup>, kilka wiorst na południe od Wolfsdorfu, gdzie generał *en chef* Bennigsen ustanowił swoją kwaterę. Prawie cała armia główna została skoncentrowana o dwie wiorsty<sup>10</sup> na północ od Wolfsdorfu. Jeszcze późnym wieczorem opanowano krótkotrwałe zamieszanie, jakie wywołało w sztabie Bennigsen przybycie generałów Golicyna i Kretowa oraz austriackiego obserwatora pułkownika Crossarda z wieścią, że Francuzi za godzinę będą w Wolfsdorfie. Jednak na wszelki wypadek jeszcze w nocy posłano ciężkie działa drogami na Wormditt i Mehlsack, by możliwie najszybciej ewakuować je do Preussisch Eylau. Wiedzano też o ruchu francuskiego III korpusu marszałka Davouta na Heilsberg, po obu brzegach Alle. Znajdowały się tam duże pruskie i rosyjskie składy, które należało osłonić i spróbować ewakuować na Insterburg.

Timofiej, Fiedot i Borys nadal spali przy ognisku, kiedy Bennigsen wyprawił spod Wolfsdorfu na Heilsberg dwa szwadrony pułku huzarów pawłogradzkich pod komendą podpułkownika Rosena. Dopiero wczesnym rankiem werble i trąbki zagrały pobudkę i główna armia, w tym także koporski pułk muszkieterski, ruszyła na północ. Timofiej jako podoficer przewiesił swój „*raniec*”<sup>11</sup> przez lewe ramię, jego podkomendni przez prawe. Mimo długich marszów i częściowego sfatygowania mundurów, spod rozpiętych jeszcze szarobrunatnych szyneli nadal wyraźnie widać było ciemnozieloną barwę kurtek, turkusowe kołnierze, mankiety i pagony „koporców”. Guziki kurtek i szyneli, nieczyszczone od kilku dni, były jednak nieco przyblakłe, białe spodnie poplamione, sięgającym niemal pod kolano skórzanym czarnym „*sapogom*” także daleko było do koszarowego połysku. Obrazu dopełniały wymęczone, nieogolone twarze otoczone skórzanymi podpinkami czarnych kiwerów. Sołdaci pobrali karabiny ustawione na noc w kozły, stanęli z bronią u prawej nogi. Zapinali szynele, poprawiali czarne halsztuki, białe pasy główne, patrontasze, tasaki i „*rańce*”, do których przytwierdzone były duże, lekko owalne manierki z siwej blachy. Wreszcie wszyscy byli już gotowi. Pododdziały pułku koporskiego i innych jednostek ustawiły się na poboczu frontem do drogi. Kiedy oddziały



po prawej stronie wykonały zwrot, również Timofiej rzucił komendę:

– *Wzwod*<sup>12</sup>, *smirno! Na prawo!* – Dwuszereg wyprężył się i obrócił w prawo.

– *Kołonna po–czetyrie!* – Soldaci stojący po prawej w parach wykonali krok po skosie w prawo, tworząc kolumnę czwórkami.

– *Tichim szagom... Marsz!* – Wzwod Timofieja ruszył miarowym krokiem za poprzednimi pododdziałami. Szli w prawej kolumnie, podążającej przez Lauterwalde, Sommerfeld, Bürgerwalde na Frauendorf i Drewenz<sup>13</sup>. Inne jednostki poszły przez Dittrichsdorf, Arensdorf, Open i Kaschaunen. Wszyscy kierowali się ostatecznie, różnymi drogami, na Preussisch Eylau. Bezpośrednią ariergardą sił głównych dowodził generał Golicyn.

Odwrót głównej armii osłaniali generałowie Baggowut i Markow, pod ogólną komendą Bagrationa. Ten ostatni odciągnął siły obu generałów o dwie wiorsty za Wolfsdorf, poza głęboki parów z jedynym mostem, dając pozwalając na chwilę odpoczynku. Przed wsią pozostał jedynie generał Jurkowski z pułkiem huzarów jelizawietgradzkich i kozackimi pułkami Małachowa i Sysojewa oraz czterema działaniami artylerii konnej. Reszta artylerii zajęła wzgórze, w samej wsi stanął 4. pułk jegierski. Siły Bagrationa czekał ciężki bój osłonowy pod Wolfsdorf.

Kiedy o godzinie siódmej rano pod Wolfsdorfem pojawił się nieprzyjaciel i rozgorzały walki, pułk koporski był już daleko. Timofiej i jego żołdaci dotarli do wsi Drewenz na północ od Frauendorfu, jednak nie dane im było dłużej odpocząć. Przed szeregami „koporców” zjawił się nagle konno szef pułku – generał Ławrentij Ławrentijewicz Warneck. Oznajmił, że powierzono mu dowodzenie zgrupowaniem złożonym z dwóch pułków piechoty (w tym „koporców”) i pięciu szwadronów kawalerii.

– Chłopcy! Naszym zadaniem jest iść do Heilsbergu i osłonić, a potem ewakuować lub zniszczyć tamtejsze składy i zasoby żywego inwentarza, by nie dostały się Francuzom. Są tam już nasi huzarzy, ale jest ich zbyt niewiele, by skutecznie wykonać zadanie. Dlatego musimy ich wesprzeć. Wiemy, że nieprzyjaciel już podąża w tamtą stronę, zagraża nie tylko magazynom, ale i lewej flance naszej armii głównej. Ruszamy natychmiast! Niech żyje imperator Aleksander!

– Uraa!!! – Zagrzmiało wzdłuż szeregów. Odziane w szarobrunatne szynele oddziały wykonały zwrot i mozolnie ruszyły na wschód – na Heilsberg.

Przed niewielkim kościołem we wsi Rosengarth<sup>14</sup> stała grupa francuskich oficerów. Mimo zimowej aury i trudów poprzednich dni, ich mundury lśniły złotymi i srebrnymi szamerowaniami, a na stosowanych kapeluszach powiewały na wietrze różnobarwne pióra. Rozmawiali cicho o ostatnich wypadkach, wyrażając nadzieję na rychłe zwycięstwo – przeciwnik szybko rejterował spod Jonkendorfu, ustępując przed ich niezwyciężoną armią; także pod Bergfried kolegom z IV korpusu marszałka Soult'a udało się, po zażartej walce 3 lutego, uchwycić przeprawę na Alle – niestety, zapadł wtedy zmrok a wróg wycofał się bezpiecznie ku swoim siłom głównym, osłaniany przez pruską artylerię.

Wojska III korpusu marszałka Davouta, opuściwszy okolice Allenstein, posuwały się na prawym skrzydle Wielkiej Armii w kilku rzutach. Prawym brzegiem Alle 4 lutego poszła najpierw kawaleria korpuśna dowodzona przez generała Marulaza. W jej składzie

znajdowały się obecnie tylko 1. i 12. pułki szaserów, częściowo podzielone na mniejsze oddziały, rozsyłane na drogi wiodące spod Allenstein na wschód – w stronę Sensburga, Nickolaiken i Johannsburga. Wszędzie tam ucierano się z patrolami kozackimi. Drugi rzut prawobrzeżnych oddziałów III korpusu stanowiła 1. dywizja generała Moranda, która w przeciągu dnia dotarła do Wartenburga, Gross Maraunen i Alt Wartenburga. Znacznie z tyłu pozostała 3. dywizja generała Gudina. Natomiast 2. dywizja generała Frianta poszła tego samego ranka przez Spiegelberg na spotkanie z wojskami IV korpusu do Bergfried i po przeprawie na lewy brzeg ruszyła ku odgłosom kanonady, docierając już nocą do Rosengarth, gdzie stanęła na biwaku. O godzinie dwudziestej dołączył do niej sam marszałek Davout i zakwaterował się na plebanii. Tam doczekano ranka 5 lutego, kiedy Davout wspiął się na wieżę kościoła, by rzucić okiem na dobrze widoczną za dnia okolicę.

Od niedawna pozostający przy sztabie III korpusu młody podporucznik Antoine Ledru trochę się nudził i przytupywał zmarzniętymi nogami, zabijając ręce i wypuszczając z ust kłęby pary. Przy każdym ruchu lekko podzwaniała zwisająca nisko u szabeltasa szabla huzarska. Marszałek przebywał już na wieży ponad dwadzieścia minut a stać na mrozie było nieprzyjemnie. Antoine ogarnął tęsknym spojrzeniem płonące nieopodal ognisko, rozpalone przez piechurów z powyciąganych kościelnych ławek. W III korpusie panowała wprawdzie surowa dyscyplina i marszałek karał samowolne rabunki i dewastacje, tym razem jednak uznał wyższą konieczność, zezwalając na spalenie ławek i zarazem ostro zakazując niszczenia ołtarzy i ambony oraz rabunku paramentów i wyposażenia. Pod bokiem samego Davouta nikt nie śmiał lekceważyć tego zakazu.

Antoine lekko przyglądził dłonią huzarski wąsik i, przywoławszy na twarz swój najuprzejmiejszy uśmiech, zwrócił się do stojącego w grupie szefa sztabu korpusu, generała d'Aultanne'a:

– *Monsieur le général*, czy pozwoli pan nieco ogrzać się przy ognisku?

Generał spojrzął krótko na Antoine'a, uśmiechnął się lekko połową ust, skinął głową i ponownie odwrócił się ku swoim rozmówcom: dowódcy artylerii korpusowej generałowi Hanique i dowódcy oddziałów inżynieryjnych pułkownikowi Tousardowi. Nagle jakby się zreflektował, obrócił głowę i gestem przywołał młodego podporucznika:

– Ledru, pan zdaje się nieźle rysuje? Jak się pan już rozgrzeje, proszę naszkicować mi na pamiątkę ten oryginalny kościółek. Ma pan przy sobie co trzeba?

– *Oui, mon général*. – odparł radośnie Antoine. – Z przyjemnością naszkicuję to panu. O ile pan marszałek da nam odpowiednio dużo czasu i pozostanie jeszcze na wieży przynajmniej kilka minut!

Antoine stanął natychmiast przy ognisku, żołnierze rozstąpili się robiąc mu miejsce. Fala ciepła szybko przywróciła podporucznikowi giętkość zmarzniętych palców. Bez zwłoki sięgnął po szkicownik i ołówek, szybkimi ruchami rzucając na papier zarys sylwetki małego późnogotyckiego kościoła z wieńczącymi ściany szczytowe sterczynami, do którego od zachodu przylegała wysoka drewniana wieża, zwężająca się ku górze i opatrzona oryginalnym hełmem pokrytym drewnianym gontem. Antoine dopiero podczas szkicowania dostrzegł swoiste piękno tego skromnego budynku; żałował, że zapewne zabraknie mu czasu na utrwalenie wnętrza wypełnionego ciekawymi dziełami rokoka, baroku, a nawet późnego gotyku. Mimo iż nie były to dzieła wielkich mistrzów, dla

wrażliwej duszy zagubionego we wschodniopruskich śniegach i lasach Antoine'a stanowiły łącznik z ojczyzną, element odległego świata, który zmuszony był opuścić, wstępując do wojska. Nie przeszkadzały mu nawet dobiegające od strony zwijanego biwaku nader frywolne, a momentami nawet wulgarne, słowa śpiewanej wesoło przez żołnierzy piechoty popularnej szanty, zwanej „*Pieśnią Surcoufa*”. Po usłyszeniu jednej z „najmocniejszych” fraz Antoine aż się roześmiał na głos, jednak po chwili spokojnie dokończył rysunek.

– *Mon général*, oto pański szkic! – Antoine wyprężył się z uśmiechem.

– *Merci*. No, nie powiem, ma pan charakter w palcach. – Generał d'Aultanne z uznaniem obracał w rękę rysunek. – Jeszcze tylko podpis. O, dziękuję. Czy ma pan jakieś szczególne życzenie, oczywiście w granicach rozsądku?

– Trochę się nudzę w sztabie, panie generale. Czy mógłby mnie pan, choćby tylko na pewien czas, oddelegować do jakichś zadań na pierwszej linii?

D'Aultanne uniósł ze zdziwieniem brwi:

– Dziwny z pana człowiek, Ledru. Wszyscy próbują się dostać do sztabu: wygodniejsze kwatery, lepsze jedzenie, mniejsze ryzyko... No, ale widocznie młodość musi dobrze dostać po skórze, żeby zacząć takie rzeczy doceniać. No więc dobrze, pošle pana z rozkazami do generała Marulaza na prawy brzeg Alle. Zostanie pan przy jego kawalerii przez kilka dni, a potem powróci do sztabu. Pasuje?

– *Oui, mon général!* – Radośnie zasalutował Antoine. – Czy te rozkazy są już gotowe?

D'Aultanne pokręcił głową z dezaprobatą:

– Aleś pan w gorącej wodzie kąpany! Już pan zdążył zapomnieć, że wszyscy czekamy, aż pan marszałek zejdzie z wieży i powie nam, co tam zobaczył. Potem połączy to z meldunkami od podjazdów i dopiero wyda stosowne rozkazy.

– Tak jest! Wobec tego będę tuż obok pana.

Po kilku minutach usłyszano we wnętrzu drewnianej wieży ciężkie kroki – schodził z niej ktoś w dużych, podkutych butach. Wypaczone drewniane schodki wydawały głośnie skrzypienia i jęki. Wreszcie uchyliły się okute żelazem drzwi i stanął w nich z lunetą w rękę wysoki, niezbyt urodziwy mężczyzna z rozległą łysiną czołową i lekko zmrużonymi oczami, odziany w marszałkowski mundur, bogato szamerowany złotymi liśćmi dębu. Jego ramiona przykrywały ciężkie złote szlify opatrzone gęstymi bulionami. Pierś przecinała wstęga orderowa. Na mundurze pyszniły się wysokie odznaczenia, między innymi krzyż Legii Honorowej. Wszyscy obecni odruchowo przybrali postawę na baczność: przed nimi znów stał ich dowódca – „żelazny” marszałek Davout!

– Panowie, proszę za mną na plebanie! Przygotuję rozkazy do rozesłania. Ogólnie rzecz biorąc, dywizja Frianta pójdzie stąd prosto na Heilsberg lewym brzegiem Alle, dywizja Moranda ruszy tam spod Wartenburga prawym brzegiem przez Guttstadt<sup>15</sup>, jazda Marulaza opuści zajmowane dziś pozycje, wycofa większość podjazdów z dróg na wschód i pójdzie przed Morandem na Heilsberg; miejsce Moranda w rejonie Wartenburga zajmie dywizja Gudina, która potem dołączy do Moranda w Heilsbergu. No to chodźmy!

Grupa sztabowców wraz z podeksycytowanym podporucznikiem Ledru pospieszyła za marszałkiem do budynku plebanii – jedynej poza kościołem murowanej budowli we

wsi. Książd dyskretnie usunął się do bocznej izby, którą pozostawił mu Davout. Oficerowie zgromadzili się wokół dużego dębowego stołu, na którym adiutanci rozłożyli mapę – świeży produkt francuskich drukarni armijnych, wzorowany na zagarniętych w Berlinie matrycach map Schröttera. Wszystkie głowy pochyliły się z zainteresowaniem nad gęstym, lecz precyzyjnym kłębowiskiem linii odzwierciedlających drogi, lasy, zbiorniki i ciekły wodne, ukształtowanie terenu i sieć miejscowości. Każdy z obecnych poczuł znajomy dreszczyk – szykowałą się kolejna wielka żołnierska przygoda.

Oddział generała Warnecka posuwał się mozolnie połą drogą wiodącą z Drewenz na Workeim. Najgorzej mieli idący przodem, bo droga była zasypana głębokim śniegiem, po bokach potworzyły się od wiatru wysokie, malownicze zasy, ponad które wystawały wierzchołki rzadko sadzonych drzew. Droga obchodziła szeroko od południa rozlewiska rzeczki Drewenz; mimo mrozu, szybki nurt nie pozwalał na zupełne skucie lodem samej rzeczki i otaczających ją bagien. Kolumna rosyjska wiała się długim węzłem pomiędzy wzgórzami, przodem przebijając się przez śnieg podążała dwójkami grupa regularnej jazdy, za nią czwórkami piechota, korzystając z nieco już udeptanego gruntu.

Po bokach kolumny, ruchliwe niczym roje os, posuwały się luzem oddziały kozackie, zaglądnąc w każdy zakamarek, zagajnik czy parów. Wiedzeni istic psim węchem – okolicy wszak zupełnie dotąd nie znali – ci szarzy wyrobownicy śmierci docierali wszędzie i wiedzieli wszystko. Żołnierze i oficerowie regularnych jednostek po cichu nimi gardzili, uważając raczej za rabusiów niż żołnierzy; musieli jednak przyznać, że dostarczane przez nich informacje nieraz okazywały się bardzo przydatne, a zapewniana nocami osłona pozwalała spokojniej spać na biwakach. Nieduże, półdzikie konie kozackie, złe i kłające z byle powodu, brzydkie i poszerszeniałe, bezbłędnie wyczuwały grożące niebezpieczeństwo, tak jak ich jeźdźcy wyczuwali wroga albo spodziewany łup. Tym łupem lub ofiarą mógł być nieprzyjacielski kurier wiozący ważne dokumenty, obejście pełne wartościowych dla kozaka przedmiotów czy nadających się do zjedzenia zwierząt, mogła też być to jakaś apetyczna dziewczka czy w ogóle kobieta. Pozwalano im na wiele, uznając za cenne źródło informacji. Tu w Prusach dowództwo starało się jednak, w miarę możliwości, hamować typowe dla tej formacji zapędy – operowano przecież na ziemi sojusznika, króla Fryderyka Wilhelma III! Kozacy brnęli więc przed armią, obok armii i za armią, rozpoznawalni z daleka po swoich papachach, długich pikach i bujnym zaroście. Ich twarze widziane z bliska były zwykle ponure i skupione, oczy połyskiwały czujnie, nosy zdawały się łowić zapach niewidzialnego wroga. Tylko czasami wybuchali dzikim śmiechem, obnażając drapieżnie zęby. Wielu z nich było jednak roslymi, urodziwymi mężczyznami, a niejeden z kozackich oficerów był całkiem nieźle wykształcony, biegle mówił i pisał po francusku, potrafił poprowadzić wytworny dialog o poezji, sztuce, miłości... Obok nich było jednak wielu skrajnie prostackich i prymitywnych, do których nie odezwały się żaden szanujący się oficer liniowy.

Wojsko generała Warnecka zeszło w kotlinę, przekraczając Drewenz po niedużym drewnianym mostku, za którym niedaleko znajdował się szlachecki folwark Sperwatten<sup>16</sup>. Przebyto niewielki odcinek, gdyż śnieg był głęboki i utrudniał marsz. W Sperwatten trzeba było dać żołnierzom i koniom odpocząć. Kiedy Warneck ze sztabem zajechali na dziedziniec majątku, na progu dworu pojawił się właściciel, Otto von Lichtenhagen z

małżonką i dwoma małymi synami, w otoczeniu kilkorga służby. Na znak gospodarza służba rzuciła się do koni generała i jego oficerów, a ich samych zaproszono do wnętrza. W salonie czekał już nakryty stół, na nim zaś kilka prostych dań – czas był w końcu chudy, wojenny. Na środku obrusa królowała karafka z mocną wiśniową nalewką, otoczona wianuszkiem kryształowych kielichów.

– *Herr General, meine Herren, wir bitten Ihnen zum Tisch!*<sup>17</sup> – szeroki gest gospodarza nie pozostawiał wątpliwości. Służba nalała gościom, pani domu, kobieta nie tyle urodziwa co zadbana i schludna, dodała do tego miły uśmiech. Oboje nie znali francuskiego, szczęśliwie generał Warneck biegle mówił po niemiecku. Wymieniono uprzejmości, wypito zdrowie monarchów, gospodarzy i gości, zakąszono drożdżową kuchą i gorącą zasmażaną kapustą. Rosjanie narzekali na głęboki śnieg na drodze. Dziedzic Sperwatten ożywił się:

– *Meine Herren*, od paru dni tą drogą nikt nie chodził ani nie jeździł, bo bywało tam niebezpiecznie. Za to droga przez wzgórze na Workeim, wprawdzie nieco okrężna, była używana i można nią wygodnie dotrzeć nie tylko do Workeim, ale i do Reimerswalde<sup>18</sup>. No to teraz ośmielę się nalać panom jeszcze raz.

Tymczasem przed dworem odpoczywały tłumy żołnierstwa. Wzvod Timofieja Nikitycza Dmitrijewa skupił się wokół studni z żurawiem i ośnieżonego poidła, na którego brzegu przysiedli sam Timofiej, Fiedot i Borys. Wiedzieli, że nie będzie czasu na gotowanie stawy, toteż zdjęli z głów kiwery, wydobyli z „rańców” po sucharze i zaczęli je z trudem gryźć i przeżuwać. Czysty śnieg zastąpił wodę. Timofiej oglądał z zainteresowaniem folwark. Nie było tu jeszcze widać śladów wojny: murowany dwór w otoczeniu wysokich topoli, stajnie i obory, porykiwanie krów; dalej drewniane zabudowania chłopskie, wciąż całe ogrodzenia z okrągłych żerdzi, nienaruszone drzewa w sadzie... „Ciekawe, jak tu będzie za kilka dni, tygodni, miesięcy?” – pomyślał Timofiej. Bo Francuzi dotrą i tu z pewnością. Niewiele wówczas pozostanie z tego spokojnego, zasypanego śniegami majątku. Odarte wypalone ściany, zapadnięty dach, sterczące ze zgliszcz osmalone kominy, puste oczodoły okien, smętnie zwisające resztki niedopalonych okiennic. I cisza. Martwa cisza... Timofiej ponownie założył kiwer, zasunął podpinkę pod brodę, wstał i spojrzał na niebo. Krótki zimowy dzień był od rana pochmurny i dość ponury. Dobrze, że biel śniegu dawała złudzenie jasności i przestrzeni. Jednak sterczące wśród pól i wzdłuż drogi, pozbawione listowia czarne drzewa i ciemna ściana lasu na horyzoncie stwarzały nastrój obcości i pustki. Powoli zrywał się zimny, przenikliwy wiatr, co żołnierze zaczęli od razu odczuwać w kościach. Odpoczynek i bezruch sprawiły, że od ziemi zaczęło ciągnąć i w sapogach robiło się zimno. Nosy czerwieniały, zabijano ręce, rozcierano i chuchano w zgrabiące dłonie, przytupywano.

W progu dworu pojawił się generał Warneck ze sztabem, odprowadzani przez gospodarzy. Twarze wychodzących były wyraźnie rozgrzane, rumiane. Soldaci zazdrośnie spoglądali spode łba – wiedzieli, że dowództwo jest po kielichu; no, ale od tego jest naczałstwo, żeby miało lepiej. Warneck bez słowa wykonał kilka gestów, oficerowie rozbiegli się do oddziałów, padły komendy, po których tłum zmienił się w kolumnę, ta zaś skierowała się drogą na północny wschód, wyjeżdżoną przez sanie. Po kilku minutach o popasie Rosjan w Sperwatten świadczyły tylko udeptane tysiącami stóp

i kopyt dziedziniec i sad. W otwartych drzwiach dworu stali nadal, nie zważając na mróz i zaczynający padać śnieg, oboje gospodarze i drżąca – nie wiedzieć: ze strachu czy z zimna – służba. Kiedy ostatni kozak zniknął za wzgórzem, uśmiechy na ich twarzach zgasły, pojawił się na nich wyraz troski. Dziedziczka chwyciła kurczowo ramię małżonka, podniosła na niego zalękniony wzrok i cicho zapytała:

– Otto, powiedz, że nic się nie stanie! Że będziemy bezpieczni – my, nasze dzieci, nasi ludzie i nasz dom! Przecież ci Francuzi to w końcu ludzie cywilizowani, kulturalni... Nawet nasz świętej pamięci król, Stary Fritz, rozmawiał ze szlachtą i pisał tylko po francusku.

– Tak, owszem – uśmiechnął się krzywo właściciel majątku. – Powiadał, że we własnym języku rozmawia tylko z prostymi żołnierzami, chłopami i końmi. Ciekaw jestem, co by powiedział na naszą obecną sytuację? Tu za dzień – dwa może być bardzo gorąco. Trudi, najlepiej będzie, jeśli zabierzesz Heiniego i Klause do twojej siostry, do Königsbergu<sup>19</sup>. Pojedziecie saniami, zabierze się z wami kilku ze służby na koniach.

– Nie, Otto, nie zostawię cię tu samego! Zabiją cię! Co wtedy zrobię sama z chłopcami? – Histerycznie wykrzyknęła dziedziczka, przytulając się gwałtownie do piersi męża. Ten przygarnął ją a potem delikatnie odsunął i spojrzał w oczy.

– To postanowione! Najlepiej zacznijcie się pakować od razu. Dietrich, Peter, zaprzęgajcie konie do sań! Helga, pomóż pani pakować kufry!

Dziedziczka z płaczem wbiegła do wnętrza dworu. Za nią służba, tylko dwaj wywołani podążyli do stajen. Po chwili cały dwór rozbrzmiewał płaczem i lamentami. Jakby w przeczuciu nieszczęścia, zaczęły też ryczeć krowy w oborach. W progu pozostał samotny dziedzic. Zdawało mu się, że po raz ostatni widzi swój dwór. „Nadchodzi sądny dzień...” – przemknęło mu przez głowę. Westchnął ciężko i podążył za żoną do domu.

Kolumna generała Warnecka, prowadzona przez jednego ze sług dziedzica Sperwatten, skręciła w prawo – na drogę wiodącą wprost do Workeim. Okolica wydawała się zupełnie bezлюдna. Gdzieś z bardzo daleka, w jakiś taki nierzeczywisty sposób, jak we śnie, dobiegały głuche odgłosy rzadkiej kanonady. Tłumiła je odległość i padający wprawdzie z przerwami, za to coraz gęściej śnieg. Uszy wypełniał więc raczej cichy szum wiatru w gałęziach drzew i niemal niedosłyszalny szelest białych wirujących płatków. Pokrywały one stopniowo kiwery i szynele żołnierzy, ciągnących drogą przez lasy i puste pola. Mijali oni właśnie skarpe nad rozległym bagnem i widoczny na jej skraju wyjątkowo czarny, ponury las. Gałęzie świerków pokrywał śnieg, podobnie jak gęste, tajemnicze poszycie. Nie słychać było nawet krakania gawronów. Po obu stronach drogi wzdłuż niej widniały ślady kozackich koni, a tu i tam przecinały ją w poprzek tropy dzikiej zwierzyny. Sam Warneck ze sztabem posuwał się konno tuż za czołową grupą regularnej kawalerii.

Zaraz za sztabem szedł koporski pułk muszkieterski. Na czele rota porucznika Żadowskiego a w jej składzie wzwod Timofieja Nikitycza. Timofiej, mimo iż syn chłopca z guberni pskowskiej, był człowiekiem piśmiennym i posiadającym sporą wiedzę dzięki pewnemu do dziś wdzięcznie wspominanemu, zacnemu „batuszce”. A jednak pozostał w najgłębszej warstwie duszy dzieckiem natury. Często wyczuwał rzeczy przed innymi zamknięte, zagłuszone bagażem formalnego wykształcenia i ogłady, odcięte murem od głosu jakim wołały do nich zwierzęta, drzewa, szumiące wody... Timofiej wyczuwał w

tym lesie coś w nieokreślony sposób niepokojącego. Jakieś bardzo stare, lecz zarazem wciąż bardzo silne zło. Zło, które czaiło się w milczeniu i czekało... na co? Unteroficer miał wrażenie, że właśnie na nich, tu i teraz. Idący przy jego boku Borys i Fiedot zauważyli niepokój na twarzy Timofieja i także stali się czujni, choć sami nie wiedzieli dlaczego. Spojrzeli po sobie i przeżegnali się po trzykroć. Było cicho...

To nastąpiło tak nagle, że nie zdążył zareagować nawet żaden z wszechobecnych kozaków. Spomiędzy drzew, jakby bezpośrednio spod ziemi pokrytej śniegiem, wyskoczyła na sam środek drogi szarobura postać, po czym uczepiła się wozów konia generała, wyjąc i charcząc. Śmiertelnie przerażony koń zakwiczął aż echo poniosło się lasem i stanął dęba. Warneck był dobrym jeźdźcem i tylko to uratowało go przed upadkiem. Kilku oficerów dobyło broni, pochylili się ku intruzowi piki trzech nadjeżdżających kozaków i bagnety najbliższych idących „koporców”. Warneck jednak wstrzymał ich gestem dłoni, przyglądając się dziwnemu człowiekowi, który znalazł się teraz w otaczającym go kręgu uzbrojonych żołnierzy. Patrzono na niego z zabobonnym lękiem. Miał wychudzone, dawno nie golone oblicze, długie siwe rozwiane włosy, wyraźne szaleństwo w głęboko zapadniętym jedynym oku. Zamiast drugiego oka miał pokryty czarnym skrzepem krwi pusty oczodół. Spomiędzy spierzchniętych, popękanych warg ciekła mu struzka śliny, brakowało mu wielu zębów. Chude dłonie wyglądały jak szpony krogulca. Co chwila wybuchał krótkim, histerycznym śmiechem wariata. Mimo mrozu miał na sobie tylko podartą brudną koszulę i złachmanione strzępy pledu, obszarpane spodnie do kolan a na bosych stopach drewniane saboty. Stał pośrodku udeptanego kręgu czujnie pochylony, gotowy do ataku, groźny, już na pierwszy rzut oka szalony...

Warneck zwrócił się do niego po niemiecku:

– Kim jesteście, człowieku? Co robicie sami w lesie w taki mróz?

Szaleniec łypnął jedynym okiem i zaczął bełkotać, tocząc jeszcze więcej śliny. Wtedy przemówił do niego Karl, towarzyszący im przewodnik z folwarku Sperwatten:

– Fritz, nie bój się, to przyjaciele. Ty dobry człowiek, ty wiesz, co znaczy „przyjaciele”, prawda? No przecież wiesz... – Po czym obrócił się do generała – *Herr General*, to tutejszy smolarz, Fritz Winkler, wypalał do niedawna węgiel drzewny dla naszego majątku, jeszcze od czasów Knobelsdorfów<sup>20</sup>. Ostatnio nikt go nie widział od prawie miesiąca. Nie wiem, co go takim uczyniło... Był normalny, miał żonę i trzy córki.

Nagle obłąkany smolarz zaczął szybko mówić:

– Fritz zawsze mówił, że w tym lesie zło... Tu nawet ptaki latem nie śpiewają, drzewa boją się szumieć... tylko złe szepcze po krzakach, wyłazi z ziemi, z lasu, spada z drzew... Pan kazał w tym lesie smołę i dziegieć robić, węgiel wypalać... a Fritz mówił „nie trzeba, nie wolno”... Pan pyta „dlaczego nie wolno”, a Fritz na to „bo to zły las, ONI nie pozwalają”! „Kto ONI?” pyta pan. A Fritz „diabły co mieszkają w starych mogiłach, tam w lesie na skarpie”...

Tu ponownie wtrącił się Karl:

– *Herr General*, to takie tutejsze zabobony, oni tu wierzą, że w dawnych pruskich kurhanach nadal mieszkają złe duchy, i że to las opanowany przez złe siły. Ale Fritz sam

jeszcze niedawno się z tego śmiał i mówił, że to z tego, że niedaleko stąd dawni pogańscy Prusowie mieli święty gaj, gdzie składali ofiary z ludzi – do dziś miejscowi nazywają to uroczysko Hellwinkel, znaczy Piekielny Zakątek... A teraz – sam pan widzi, co się z nim porobiło.

– Dlaczego mówicie: miejscowi? Wy nie stąd?

– Mnie pan przywiózł z Berlina, ja nietutejszy i w takie rzeczy nie wierzę.

Tymczasem Fritz Winkler złapał się nagle za głowę obu rękami, upadł na kolana w śnieg i zaczął się kiwać jak sierota, jęcząc i wyjąc. Po chwili przestał i niespodziewanie roześmiał się na całe gardło, aż wszystkich obecnych przeszły ciarki. Wielu żołdatów przeżegnało się z lękiem, najwidoczniej uznając napotkanego szaleńca za „jurodiwego” – człowieka nawiedzonego, dotkniętego palcem Bożym. Warneck z niepokojem stwierdził, że to osobliwe spotkanie w lesie może źle wpłynąć na morale jego żołnierzy, w większości prostych chłopów. Gorączkowo szukał w myślach jakiegoś sposobu racjonalnego wytłumaczenia wojsku tego, co zaszło. I nic nie przychodziło mu do głowy.

Pomógł mu sam szaleniec, z chytrą miną i makabrycznym uśmiechem opowiadając dziwną historię:

– Fritz mówił panu „nie trzeba wypalać w tym lesie... tam diabły, tam złe...” a pan swoje... I była noc, w nocy to było: Fritz siedział przy mielerzu i wypalał węgiel, a jego Gretel spała... Spały trzy małe aniołki – Liese, Uschi i Marianne... Moje małe aniołki – nagle Fritz zaszłochał na klęczkach, z jedyne go oka pociekły łzy. – Ale ONI czuwali... wyszli z lasu... dużo ich było, jakby cały gaj ożył... Fritz nie zobaczył jak przyszli do jego chaty... ONI chodzą bez dotykania ziemi, ale to WIELKA TAJEMNICA... Tu Winkler spojrział upiornie na obecnych i przyłożył palec do ust. – No i weszli do chaty Fritza, zabrali Gretel, zabrali aniołki, wszystko zabrali... – szaleniec znów zapłakał i tym razem zamilkł na dobre. Karl podrapał się w głowę i powiedział do generała:

– Tu w połowie stycznia przechodziły różne wojska: nasze, wasze i francuskie. Wiele szkód wtedy nie narobiły, za to pojawiły się grupy maruderów. No, ci to już trochę narozrabiali.

Timofiej rozumiał po niemiecku i w tym momencie coś go tknęło. Podeszedł do Karla i zapytał:

– Gdzie mieszka ten człowiek?

– Jakieś dwieście kroków stąd, w lesie. Od stycznia nikt tam nie chodził, bo teraz trochę strach samemu łązić... A Fritz też do wsi nie przychodził.

– *Wasze błagorodje* – zwrócił się Timofiej do generała. – Czy wolno mi coś powiedzieć?

– Mówcie!

– Sprawdźmy, proszę, tamto miejsce. To blisko, raz dwa i po robocie...

– No dobrze, weźcie paru ludzi i sprawdźcie, tylko szybko!

Timofiej, Borys, Fiedot i jeszcze dwóch żołdatów ruszyli z Karlem w las. Po krótkiej chwili poczuli ledwie uchwytną woń zwietrzałej spalenizny. Wkrótce zobaczyli to, czego szukali. Chata smolarza była doszczętnie spalona, co najmniej dwa – trzy tygodnie temu. Pod jej ścianami spoczywały na zewnątrz na wpół ogryzione przez dzikie zwierzęta zwłoki kobiety i trzech dziewczynek. Timofiej zrozumiał wszystko, kiedy



spojrzał pod nogi – leżał tam metalowy guzik od francuskiego munduru.

Wracali do generała szybko, jakby ich coś spłoszyło, ze spuszczonymi głowami, bez słowa. Timofiej czuł się tak, jakby miał usta pełne popiołu. Zameldowali Warneckowi o tym, co znaleźli w lesie; generał zasepił się, z zakłopotaniem pogładził bokobrody, po czym rozkazał nakarmić nieszczęsnego smolarza. Kiedy jednak Winkler ujrzał, że jeden z woźniców niesie mu bochenek chleba, dopadł go znieca, porwał chleb i pognął w głąb lasu, zanim ktokolwiek zdążył go powstrzymać. Przez chwilę słyszeli jego histeryczny śmiech, coraz słabiej dobiegający z gęstwiny. Ponad las napłynęła kolejna niska, czarna chmura, sypnęło gęstym śniegiem. Wszyscy skierowali pytający wzrok na generała. Ten westchnął ciężko, spojrzał po twarzach oficerów i żołnierzy:

– Cóż, panowie... Nic tu po nas. Nie jesteśmy w stanie pomóc temu człowiekowi, poza tym mamy własne zadania. Pilne zadania. No, chłopcy – przeniósł wzrok na resztę kolumny – Ruszamy dalej, do Heilsbergu jeszcze spory kawałek drogi! – wzniesioną prawą ręką zatoczył niewielki krąg. – Kozacy naprzód, reszta też tak jak dotąd: kawaleria na czele, piechota za sztabem!

Rozległ się sygnał werbla, zagrała trąbka... Kolumna ruszyła. Timofiej widział, jak jeźdźcy miarowo i monotonnie kołyszają się w siodłach, jak równo podrygują końskie zady, czasem któryś z koni zarżał lub parsknął, wstrząsając uprzężą. Szczękały szable. Kopyta raz głucho, raz miękko biły o grunt. Równo poskrzypywały sapogi piechurów, dzwoniły tasaki u pasa, słychać było ciężkie posapywanie objuczonych rańcami i bronią żołnierzy. Twarze jednych były wychudzone i blade, innych poczerwieniałe od brudu i biwakowych dymów, jeszcze inni mieli oblicza czerwone z wysiłku, po ich skroniach ściekał pot. Nad całą kolumną unosiły się kłęby pary z ust i końskich pysków. „Wygląda to tak, jakby wszyscy naraz zapalili fajki” – pomyślał Timofiej, obojętnie zgniatając butem w marszu końskiego „pączka”. Rozejrzał się na boki. O tej porze roku świerkowy las nie wydawał tak oszałamiających woni, jak latem, kiedy słoneczne promienie rozgrzewały żywicę i igliwie, uwalniając balsamiczną, eteryczną aurę. Teraz las wydawał się martwy. Raz tylko ujrzano z daleka zająca spłoszonego hałasem. Innym razem nagle z krakaniem poderwał się z gałęzi kruk, zrzucając na kiwer Borysa ciężką okiść śniegu. Idący obok żołdaci wydali krótki rechot i znów zamilkli. Jakoś nikt nie miał ochoty na rozmowy. Oszczędzano oddech i siły na sam marsz. W milczeniu dotarli na skraj lasu i ujrzeli w dole wieś, której zabudowania ciągnęły się wzdłuż drogi biegnącej w dół łagodnym stokiem. Znów te same domy z łączonych na zrąb smołowanych drewnianych belek, stawiane na podmurówce z polnych kamieni, kryte słomianymi lub trzcinowymi strzechami. Za to prawie każdy z kominem! Otoczone drzewami owocowymi i plecionymi z wikliny i leszczynowych gałęzi płotami. Ponad plecionki wystawały ostre jak kozackie piki słupki, na których oplatano wiklinę. Timofiej przypomniał sobie, jak w jego rodzinnej wsi – on sam miał wtedy zaledwie kilka lat – jeden z młodzieńców z sąsiedztwa, chcąc popisać się przed chichoczącymi na progu chaty dziewczętami, puścił w galop dosiadanego na oklep konia i próbował przesadzić płot. Koń źle skoczył i nadział się brzuchem na ostry sterczący kołek. Niemądry chłopak przeleciał mu przez głowę i zarył twarzą w świeżo skopaną i obsadzoną grządkę kapusty, a biedne zwierzę zawisło na płocie, rozpaczliwie rżąc i wierzgając bezskutecznie kopytami; jego wnętrzności spływały

na ziemię... Timofiej pamiętał jego oczy pełne niewyobrażalnego cierpienia. Na pisk dziewcząt zbiegli się chłopci, jeden z nich z litości dobił zwierzę. Inni zajęli się niefortunnym jeźdźcem, dla którego wszystko skończyło się złamaniem lewej ręki. Tylko dlatego nie został na miejscu solidnie obity przez własnego ojca, dla którego koń stanowił poważny majątek. Mały Tima patrzył na to wszystko wytrzeszczonymi oczami przez szparę w płocie. Zapamiętał każdy szczegół...

Workeim wyglądały jak wymarłe. Tylko kundły ujadły w obejściach, a strwożone pary oczu tu i tam pojawiały się w małych szparach lekko uchylonych okiennic. Z żadnego komina nie unosił się dym, tak jakby mieszkańcy udawali, że ich nie ma. Nie zatrzymano się we wsi ani na moment. Kolumna przeszła szybko, zeszła ostro w dół i pograżyła się w kolejny las. Na lewo od wznoszącego się Timofieja dobiła do boku kolumny grupka kozaków, która objechała Workeim niewielką ścieżką – obwodnicą. Przy siodle jednego z nich szamotała się rozpaczliwie gdacząca kura, uwiązana za łapy – najwyraźniej świeży łup. Kozak nie oparł się nadarżającej się pokusie. Na jego szczęście nikt nie zwrócił na to specjalnej uwagi. Ta droga prowadziła prosto do kościelnej wsi Reimerswalde. Żegnając się z nimi, Karl powiedział, że z jednego z tamtejszych wzgórz widać już na horyzoncie Heilsberg. Generał obdarzył przewodnika srebrną monetą, po czym Karl udał się w drogę powrotną do Sperwatten.

Timofiej nadal czuł w nozdrzach jedynie chłód i słabo uchwytny zapach ziemi i zetlałego suchego igliwia. Tylko ptaków było nieco więcej, niż poprzednio – poza krukami kilkakrotnie pojawiły się gile i sikorki, na krótką chwilę przerywając straszną ciszę swym radosnym popiskiwaniami. Ich czerwone i żółte brzuszki ładnie kontrastowały z ponurym lasem, w którym dominowały czerń i ciemny brąz gałęzi, mroczna zieleń igliwia i biel śniegu. Wiatr poruszał lekko gałęziami drzew i krzewów. Kiedy przynosił kolejną chmurę, śnieg wirował w powietrzu, zacierając wyraźny obraz otoczenia. Korony wysokich świerków i sosen wydawały wtedy stłumiony, głuchy szum. W pewnym momencie Fiedot mocniej pociągnął nosem i powiedział do Timofieja:

– *Gospodin unteroficer*, wydaje mi się, że czuję zapach dymu. Jakby gdzieś z przodu...

Timofiej jednak nadal czuł tylko te same martwe, zimowe zapachy lasu.

– Ja niczego nie czuję. Zresztą zobaczymy, może rzeczywiście coś z daleka do nas chwilami wiatr zanosi? Gdzieś tam są wsie, jest zima, ludzie palą ogień na kuchni, grzeją się, gotują stawę... Próbują jakoś normalnie żyć...

W tej chwili upadła mu na śnieg rękawica z dwoma palcami, której używanie regulamin dopuszczał podczas mrozów. Timofiej schylił się pod nogi i, prostując się ułowił delikatną, ledwie wyczuwalną woń dymu. A więc jednak! Fiedot się nie mylił, gdzieś z przodu płonął ogień. Już także inni to wyczuli, Timofiej zobaczył jak generał żywo dyskutuje ze sztabowcami, pokazując przed siebie. Unteroficer ułowił uchem część rozmowy. Mówił major Biełagin:

– *Tak toczno, wasze błagorodje*, kozacy idą przodem, gdyby coś nam groziło, już byśmy o tym wiedzieli! Nie ma powodu do obaw.

– Który oficer dowodzi tym oddziałem?

– Sotnik Mołokow, *wasze błagorodje*. To dobry, odpowiedzialny oficer. Zna się na

zwiadowniczej robocie i dyscyplinę trzyma jak należy. Właśnie dlatego jemu powierzyłem nadzór nad czołową grupą kozaków. Żeby nie było przykrych niespodzianek. To dzikie stepowe wilki, muszą czuć nad sobą solidny bat!

– Tak, tak, oczywiście... Jednak wolałbym już sam zobaczyć i się upewnić, że to zwykły dym z komina. Mam dziwnie złe przeczucia.

– Ten dzień rzeczywiście dziwny, wasze błagorodje. Choćby ten nieszczęsny szaleniec... Ale po czymś takim każdy z nas mógłby oszaleć.

Kolumna wyszła wreszcie z lasu zwartą masą. Po prawej stronie drogi rozpościerała się płaska powierzchnia na w pół zamrożonego bagna, po lewej – dość wysoki, stromy stok zaśnieżonego wzgórza. U jego stóp znajdowało się oddalone od wsi, samotne obejście chłopskie. A raczej to, co po nim pozostało. Ściany domu i zabudowań gospodarczych właśnie kończyły się dopalać, ogień wciąż huczał groźnie, buzujące płomienie nie pozwalały podejść bliżej, niż na dwadzieścia kroków. Na rozkaz Warnecka kolumna przystanęła na drodze. Major Bielagin wskazał generałowi osobliwy widok: obok płonących zabudowań palił się jeszcze stos z belek i kawałków płotu a przy nim stał posepny, zwalisty kozak, którego oczy zakrywała włochata papacha. Doskonale za to widoczna była świeża, nabiegła krwią pręga, biegnąca na ukos przez całą twarz. Z drogi widać było jeszcze coś – w pobliżu stosu leżały obok siebie trzy trupy. Pierwsza od lewej prawie zupełnie naga kobieta z poderżniętym gardłem, której przyrodzenie ledwie zakrywała porwana nocna koszula. Miała piękne jasne włosy, zmierzwiłone i rozsypane na zakrwawionym śniegu. Obok niej mężczyzna w lnianej koszuli, sukiennych spodniach i półkożuszku, skręcony na boku, z rękami jakby usiłującymi przytrzymać wylewające się jelita. Trzecim był trup kozaka leżący na wznak, z ogromną krwawą plamą na piersi. Parę kroków dalej rosła pozbawiona liści stara jabłoń, z której konara zwisała pętla a pod nią stała nieduża drewniana skrzynka. Scena była tyleż makabryczna, co dziwaczna. Bielagin zażądał wyjaśnień. Ponury kozak głuchym jak zza grobu głosem przemówił:

– *Winowat, wasze błagorodje, winowat.* Przed Bogiem zgrzeszyłem, to i kara musi być jak trzeba. Był zakaz a my go złamaliśmy. Wiedzieliśmy, jaka może być kara. Tak i będzie. Wybacz, *wasze błagorodje*, odpuść winy przed śmiercią, cobyśmy nie odchodzili *kak sobaki*...

– Mów człowieku, co tu zaszło!

– Ot, jak to na stepie, na szerokim nieraz bywało. Byłem w czujce we dwóch z Maksymem, oficerzy z tyłu zostali... Patrzymy, chałupa niezgorsza, samotna, no to wleźliśmy. A tam dziewczeczka cud, jasne kosy rozplata i w samej koszuli przy piecu. No to Maksym powiada „Ty, Gawrii! idź pilnuj za drzwiami, a ja tu się dziewczką nasłodzę”. To ja i tak zrobiłem. Tam w izbie dziewczka krzyczy, Maksym krzyczy – znaczy dopadł ją w pościeli i swoje robi. A potem wylazł i moja miała być kolej. Dziewka spłakana, zastrachana, siniec pod okiem; Maksym jak zły, to nie patrzy jak bije. Wtedy nagle jej chłop wypada z obory z widłami i z wyciem do mnie. Dla mnie taki niestraszny, szabelką widły odbiłem i go przez brzuch ciach! Zwalił się, a kiszki na śnieg, ot tak i został – tu kozak obojętnie wskazał trupa mężczyzny.

– A kobieta?! – wrzasnął major Bielagin.

– Ona jak zobaczyła, co z tym jej, to z siekierą w ręku jak szalona się na mnie

rzuciła. No to Maksym złapał ją od tyłu, wy dobył nóż i przejechał jej po grdyce. To i ona zległa na śniegu... Wtedy podpalili chałupę i obory...

– Durnie, przekłęci durnie! Ale w takim razie kto zabił twojego kompana?

– Zabił jak się należało. Winowaci bylim, *wasze błagorodje*. Winowaci.

– Ale kto, do czorta?!

– *Gospodin* sotnik Mołokow. Nadjechał jak raz kiedy Maksym zarznął tę dziewczkę... Jak kurczaka zarznął, ani zipnęła... A sotnik zbiesił się, nahajką Maksyma przez plecy a mnie po mordzie z całej siły chlasnął i 'Duraki' krzyczy „Był zakaz ruszać cywilów, dziewczek nie psuć, nie rabować”. My na to, że prawda, był zakaz. No to on zaraz dobył pistolet i Maksymowi prosto w pierś wypalił! Maksym padł na plecy i oddał grzeszną duszę. Mnie sotnik Mołokow powiada „Ty, *durak*, teraz ich wszystkich tu pogrzebiesz”, ja na to „*Blagorodje*, ziemia zmarznięta”. On powiada „To ją rozgrzej – weź belki i płot, rozpal ogień, ziemia odmarznie, to ich zakopiesz i krzyż postawisz”. Ja do niego „*Blagorodje*, jak Bóg na niebie, rozpalę, trupy zakopię, krzyż postawię”. „To dobrze” on na to „ale to nie koniec”. „Co jeszcze trzeba, *wasze błagorodje*?”. „Widzisz, *durak*, czort przekłęty, tamto drzewo?”. „Widzę”. „No to stryczek z powroza konopnego ukręcisz a potem sam się na nim powieszisz”. Ja na to „*Blagorodje*, ale to grzech śmiertelny”. On tylko powtórzył prikaz i odjechał.

– Zdajesz sobie sprawę, Gawriił, że zasłużyłeś na śmierć?

– *Tak toczno*, *wasze błagorodje*, ale z własnej ręki grzech...

Bielagin podjechał do Warnecka i zrelacjonował sprawę. Generał natychmiast wydał rozkaz:

– Przygotować mi tu zaraz pluton egzekucyjny. Ten człowiek zostanie rozstrzelany. Nie można go zmuszać do samobójstwa.

Po chwili kozak Gawriił, rabuś i morderca, podpalacz i niedoszły gwałciciel, stanął przed plutonem egzekucyjnym. Przeżegnał się trzy razy, odmówił krótką modlitwę i głosem nawykłym do pokory wobec władzy rzekł do majora Bielagina kierującego egzekucją:

– To jużem gotów, *wasze błagorodje*. Pokornie o wybaczenie wszystkiego złego proszę. Ja prosty człowiek i wierzę w Boże miłosierdzie...

– Niech wam Bóg wybaczy, człowieku.

Padły krótkie komendy, pluton oddał salwę, kozak upadł na śnieg.

Generał Warneck powiedział:

– Wyznaczcie kilku ludzi, by ich pochowali. Ruszamy dalej!

Resztki chaty dopalały się, ogień dogasał. Wiatr wciąż szumiał w koronach drzew i kołysał niepotrzebnym już stryczkiem na starej jabłoni.

Po moście w Kossen<sup>21</sup>, nieopodal Guttstadt, przetaczały się francuskie wozy taborowe i działa. Przed nimi przeszło duże zgrupowanie kawalerii a z tyłu nieco wolniej podążała piechota III korpusu. Odcinający się od zaśnieżonych łąk czarny nurt Alle był w tym miejscu wyjątkowo bystry, na powierzchni tworzyły się liczne wiry. Za mostem droga znikwała w rozległym kompleksie leśnym. Na poboczu stało kilka osiodłanych koni, obok których skupiła się grupa oficerów – sztab generała Marulaza. Dwóch adiutantów trzymało rozwiniętą poziomo dużą mapę. Dowódca kawalerii korpusnej, odziany w

mundur huzarski, wpatrywał się w nią uważnie, próbując oszacować czas potrzebny na dotarcie do Heilsbergu. Nie musiał się spieszyć: według informacji zwiadu, żadnych wojsk nieprzyjaciela w Heilsbergu nie było. Były za to duże składy płodów rolnych i ziarna siewnego oraz obory pełne bydła. Ziarno i złożony w magazynach sprzęt rolniczy zgromadzono co prawda z myślą o wiosennych zasiewach, ale Francuzów niewiele obchodził los tutejszych cywilów – wojna musiała się sama wyżywić. Tylko towarzyszący sztabowi marszałka Davouta polscy doradcy i przewodnicy: kapitanowie Zadera i Żarzyński wielokrotnie prosili francuskich kolegów o oszczędzanie warmińskiej ludności. Tłumaczyli, że przed upadkiem Rzeczypospolitej, przed jej pierwszym podziałem, był to przez całe wieki polski kraj zamieszkały przez ludzi „jednej z nimi narodowości”, to jest mówiących różnymi językami poddanych polskiego króla. Większość francuskich dowódców tylko wzruszała ramionami na te prośby. Wojsko było głodne, konie potrzebowały paszy – jedynie to się liczyło. Zabierano więc bez skrupułów wszystko, co było niezbędne, nie bacząc na biadania cywilów. Tylko fizyczną przemoc Davout kazał bezwzględnie tępić i karać. Bywało, że nawet śmiercią.

Jacob François Marola, piszący się też Marulaz, Niemiec urodzony w palatynackim Zeiskam, młodszy od cesarza o niespełna trzy miesiące, był wiernym żołnierzem Francji. W wieku trzydziestu sześciu lat był już kawalerem Legii Honorowej i generałem brygady. Wydawało się, że – podobnie jak generał Lasalle – urodził się w siodle, by dowodzić oddziałami lekkiej kawalerii. Doskonałe wycucie specyfiki tej służby, zwierzęcy instynkt wykazywany w terenie, osobiste umiejętności jeździeckie i szermiercze czyniły go dowódcą szanowanym i cenionym przez podkomendnych i zwierzchników. Nosił się po huzarsku; kiedy tak stał przy moście, z obszytego białym futrem ciemnego mentyka wystawała jego obwiedziona czarnym halsztukiem szyja a nad nią siwiejąca głowa, ozdobiona jednak kruczoczarnymi bokobrodami i takimiż imponujących rozmiarów wąsami; nad dużymi niebieskimi oczami widniały czarne mocne brwi. Pociągłemu obliczu dodawał dostojeństwa długi, prosty rzymski nos. Mimo to w jego twarzy było coś swojskiego, plebejskiego, budzącego sympatię.

W miarowy tupot nóg idącego drogą wojska wdarł się gwałtowny tętent konia, nadeżdżającego galopem od strony Guttstadt. Dosiadał go młody podporucznik w huzarskim mundurze. Jego zarumienioną od pędu i mrozu twarz okalały cienkie blond warkoczyki, pod nosem zawadiacko sterczały płowe wąsy. Był wyraźnie z czegoś zadowolony, bo spod wąsów błyskały śnieżnobiałe zęby. Zatrzymał konia o kilka kroków od generała, zeskoczył z siodła i zasalutował:

– *Monsieur le général*, melduje się podporucznik Antoine Ledru z rozkazami od pana marszałka Davout! – po czym sięgnął do szabeltasa i wydobył zapieczętowany płaski pakiet, wręczając go Marulazowi. Generał złamał pieczęć i przez chwilę przebiegał oczami kolejne kartki listu. Następnie, trzymając w lewej dłoni plik papierów niczym rozłożoną talię kart, potoczył wzrokiem po zebranych:

– *Monsieurs*, musimy się nieco pospieszyć. Marszałkowi bardzo zależy na przejęciu heilsberskich składów i tamtejszych przepraw przez Alle. O wrogu wprawdzie nadal niewiele wiadomo, ale „strzeżonego...”. Sądzę, że nie ma sensu poganiać naszych wymęczonych piechurów i artylerii. Wystarczy, że moja brygada ruszy szybko przodem

i przejmie magazyny. Na wszelki wypadek pojedę osobiście na jej czele – tu Marulaz obrócił się w stronę Antoine’a:

– Pański zwierzchnik prosi, bym zatrzymał pana przy sobie przez kilka dni i dał się wyszumieć, bo podobno rozpiera pana nadmiar energii... Myślę, że taki szybki rajd do Heilsbergu u mego boku zaspokoi pańską żądzę przygód. I pan, i pański koń będziecie po tym spoceni jak należy, mimo mrozu. Wiatr zaś wywieje panu z głowy wszelką melancholię – Marulaz uśmiechnął się przy tych słowach do porucznika Ledru, gdyż osobiście lubił takich energicznych młodych ludzi, nadających ton i sznyt operacjom lekkiej kawalerii. Następnie zwrócił się do stojącego obok pułkownika Exelmansa, dowódcy 1. pułku szaserów:

– Joseph, przekazuję ci na czas mojej... jakby to nazwać... przejażdżki do Heilsbergu dowodzenie brygadą. Zabieram ze sobą pierwszy szwadron twojego pułku. I tego tu młodzieńca – wskazał ręką Antoine’a.

– Tak jest, *mon général!* – wyprężył się Exelmans. – Czy nie obawia się pan, że jeden wysunięty szwadron może mieć kłopoty z kozakami, których tu wszędzie pełno?

– Przecież zabieram ten najlepszy – zaśmiał się generał. – Poza tym, wy idziecie zaraz za nami. Mamy teraz do przebycia kawał terenów leśnych, a tam kozacy rzadko się w większej liczbie zapuszczają, bo trudno o łupy i dziewczki. No i nie od wczoraj wojuję, pułkowniku. Poradzimy sobie.

Padły szybkie rozkazy, oficerowie dosiedli koni, po czym szwadron z Marulazem na czele ruszył szybkim kłusem wiodącą lasami drogą na Liewenberg<sup>22</sup>. Konie dziarsko parskwały, pobrzękując uprzężą. Szczękały szable podrygujące przy udach szaserów. Karabinki zwisały w bandolierach, jeźdźcy jednak czujnie acz ze spokojem rozglądali się na boki. Droga była używana, toteż śniegu nie zalegało zbyt wiele. Sam las wydawał się pusty i milczący. W koronach jodeł, świerków i sosen szumiał wiatr, konary drzew ogołoconych z liści trzeszczały i skrzypiały, tworząc nastrój tajemnicy i grozy. Od czasu do czasu prószył gęsty śnieg. Szaserzy uważnie spoglądali na ziemię, próbując dostrzec na białym podłożu ślady ludzkich stóp albo końskich kopyt. Nic jednak nie wskazywało na obecność ludzi – pieszych czy konnych. Tylko rzadkie tropy dzikiej zwierzyny: saren, zajęcy, lisów i dzików. Jadący obok Marulaza Antoine dziwił się, że ani razu nie dostrzegł wilczych tropów; w takich rozległych lasach wilki powinny zimą mieć się całkiem dobrze. Zapytał o to.

– Podporuczniku, tu wilków dziś prawie nie ma – wyjaśnił generał. – Kiedyś były plagą, dlatego miejscowe władze nakazywały ich systematyczne wyniszczanie. Płacono za odstawione ubite sztuki, całkiem nieźle. Chłopi urządzali też specjalne pułapki na wilki. Dłuższy okres pokoju sprzyjał tej akcji. O wilka teraz tu bardzo trudno, a na pewno nie zagrażają już one tutejszym ludziom ani ich stadom. Obym był złym prorokiem, Ledru, ale jest całkiem możliwe, że – jeśli wojna się przeciągnie a skutek walk pojawi się wiele nie pogrzebanych ludzkich zwłok – wilki zwabione łatwym dostępem do ludzkiego mięsa powrócą i znów staną się utrapieniem<sup>23</sup>. Miejmy jednak nadzieję, że wojna szybko się skończy i ofiar nie będzie zbyt wiele. Chociaż powiem panu, że w kilku wsiach widziałem już ludzi spuchniętych a nawet konających od głodu. To ubogi kraj, a zarówno my, jak i nasi przeciwnicy, czerpiemy pełnymi garściami jego liche zasoby. A

niby po co jedziemy nawet teraz do Heilsbergu? Nikt nie myśli, co czeka tych ludzi na wiosnę i później.

Koń Antoine'a nagle zarżał głośno i rzucił łbem. Po prawej odchodziła w głąb lasu zaśnieżona wąska droga, na której wyraźnie rysowały się ślady kopyt kilku koni. Marulaz zatrzymał szwadron. Skinął na porucznika Ledru:

– No młodzieńcze, jeśli chcesz się wykazać, weź czterech ludzi i sprawdźcie, dokąd prowadzi ten trop. Zawróćcie, jeśli będzie więcej, niż kilkaset kroków. My ruszamy dalej, stępa, więc nas dogonicie.

Antoine i kilku najbliższych szaserów z gotową do użycia bronią puścili konie kłusem w las. Droga niemal natychmiast skręcała w lewo, niknąc za zasłoną drzew i okrytego śniegiem poszycia. Trop wyglądał na świeży, śnieg nie zdążył go przyprószyć. Było zupełnie cicho, nawet wiatr nieco zelżał; niebo było ciemne i pochmurne, ale chwilowo nie sypał się z niego biały puch. Pnie porastały szarobure porosty i zrudziałe mchy. Z głębi kniei dobiegł ich zapach dymu. Po chwili usłyszeli kwik konia, tętent kopyt i krótki, urwany okrzyk – z daleka nie można było stwierdzić, w jakim języku. Szaserzy unieśli nabite karabinki, Antoine wyrwał szablę z pochwy i trzymał ją ostrzem paralelnie do końskiej szyi. Bez słowa wskazał lewą ręką, by dwóch żołnierzy ruszyło przodem, wzajemnie się ubezpieczając. Za kępą młodych świerczków znajdowała się niewielka, przylegająca do drogi polanka. Pośrodku niej wciąż paliło się ognisko, śnieg splamiony był ogromną kałużą krwi, na szczęście nie ludzkiej – na ziemi leżał świeżo wypatroszony, najwyraźniej przygotowywany do upieczenia jeleń. Obok leżała jego obcięta głowa, zdobna wspaniałym wieńcem rogów. Przy niej stał smętnie przekrzywiony na bok pobielany miedziany kociołek wypełniony śniegiem. Ktoś szykował tu sobie smakowitą ucztę. Tylko kto? Ślady kopyt prowadziły w głąb lasu...

Odpowiedź przyszła nagle. Spoza rozrosłego cisu padł wystrzał. Szaser siedzący na koniu po prawej od Antoine'a nawet nie jęknął, po prostu upadł na plecy i legł na ziemi z krwawą dziurą w czole, wypuszczając z rąk karabinek. Jego koń zarżał i puścił się galopem z powrotem ku głównej drodze. Ledru ujrzał na moment owianą dymem prochowym brodatą twarz w futrzanej papasze, wychylającą się zza gałęzi. W tej samej chwili wypalił karabinek szasera znajdującego się po lewej stronie podporucznika. Człowiek w papasze wrzasnął z bólu i upadł na śnieg. Ledru i dwóch szaserów, w tym ten, który wystrzelił, zeskoczyli z siodeł i wpadli biegiem pomiędzy drzewa. Tam ujrzeli świeżego trupa trzymającego się za okrwawioną pierś. W szeroko rozwartych oczach odbijała się groza śmierci. W uchylonych ustach błyszczały zdrowe, ostre zęby. Kozak. Inne ślady prowadziły dalej w las a potem zawracały ku polance, gdzie płonęło ognisko. Wtedy usłyszeli krzyk pozostawionego na drodze szasera i pojedynczy wystrzał. Natychmiast zawrócili. „Konie!” – przemknęło Antoine'owi przez głowę – „Zwabili nas w las, żeby porwać nasze konie!”. Kiedy wypadli na drogę, dwóch konnych kozaków godziło właśnie pikami w przypartego do pnia brzozy szasera, który – śmiertelnie wystraszony – próbował parować pchnięcia pik szablą. Jeden z towarzyszących porucznikowi szaserów krzyknął głośno i wypalił z karabinka, zdmuchując papachę z głowy jednego z kozaków. Obaj, zorientowawszy się, że Francuzi mają przewagę, obrócili swe konie i galopem pognali drogą w głąb lasu. Antoine dopadł trupa szasera, chwycił

leżący na śniegu karabinek i, nie celując, strzelił z pozycji klęczącej w stronę uchodzących. Jeden z nich, ugodzony w plecy, rozrzucił nagle na boki ramiona i upadł na drogę. Drugi wraz z jego koniem umknął. W tym samym momencie wiatr przywiał ponownie falę gęstego śniegu. Sylwetki kozaka i obu koni rozmyły się w zamieci. Nie było sensu go ścigać.

Na polankę wpadło kilku szaserów, posłanych przez Marulaza, lecz było już po wszystkim. Przy pobliskim drzewie znaleziono uwiązane konia kozaka zastrzelonego w lesie. U siodła zwieszały się, poza bronią, płócienne worki wypełnione prowiantem i drobnymi łupami. Szaserzy podzielili między siebie znalezione suchary, paski suszonego mięsa, kawałki sera, kilka cebul, kilkanaście pierścionków, bransolet i sporą garść monet. Z ciała zabitego kozaka zabrali umieszczone na piersiach i przy pasie ładunki. Zabrali też karabinek, ładownicę, mantelzak i buty poległego kolegi. Jego zwłoki owinęli płaszczem i przerzucili przez koński grzbiet – zabiorą go do Heilsbergu i tam pochowają. Ledru z dwoma szaserami podeszli do drugiego kozaka, leżącego na drodze. Ten jeszcze żył, choć jego oczy były już mętne, oddychał z trudem. Jeden z szaserów, jak się okazało – Polak, zapytał kozaka, czy w Heilsbergu jest wojsko. Konający kozak wyszeptał niewyraźnie:

– *W gorodie nikakogo wojska niet... Priszli gusary, niemnogo... Stojat na zapad ot goroda... No siegodnia prijdut sledujuszczyje wojska...* – kozak nagle jęknął i zawył: – *Odpustitie mnie, dobryj czelowiek, prostitie mienia griesznogo! Ja siejczasbudu...*<sup>24</sup> – z jego ust buchnęła krew, Rosjanin wziął szybki wdech i wolno wypuścił powietrze. Znieruchomiał. Było po wszystkim.

Antoine obrócił się ku szaserom:

– Ułóżcie obu kozaków przy drodze, przyrzućcie grubszymi pniami i gałęziami, żeby ich zwierzęta nie objadły. Może potem ktoś ich znajdzie i pochowa. Oznaczcie to miejsce prostym krzyżem z brzoźowych żerdek.

Szybkim kłusem wracali na drogę, do grupy Marulaza. Tych parę chwil spędzonych w lesie można by uznać za drobny sukces, gdyby nie szary toból, przewieszony przez koński grzbiet. Ledru czuł się trochę odpowiedzialny za śmierć szasera. Zapytał tego, który zabił kozaka pośród drzew:

– Znaliście dobrze zabitego?

– *Oui, mon sous-lieutenant* – odrzekł. – Nazywał się Jean Foulard, pochodził, tak jak i ja, z Chattancourt niedaleko od Verdun. Jego ojciec umarł jeszcze za starej monarchii, matka została z trzema synami... Najstarszy Louis poległ pod Austerlitz, najmłodszy François stracił prawą nogę jeszcze w 1800 roku, rozpił się, opuścił Chattancourt i przepadł gdzieś bez śladu. Pozostał tylko średni, Jean. Aż do dzisiaj...

„A mnie zachciało się do wojska, bo szukałem przygód” – zadumał się smętnie Antoine. Nie wypytywał więcej. Milczał nawet po złożeniu meldunku Marulazowi. Generał od razu zauważył zmianę nastroju porucznika:

– Ledru, co pana gnębi? Czyżby nie zetknął się pan dotąd ze śmiercią?

– To nie to, *mon général* – odrzekł cicho Antoine. – Ten zabity na drodze kozak też nie był pierwszym, jaki padł z mojej ręki. Nie zdarzyło mi się jednak dotąd rozmawiać ze śmiertelnie przeze mnie ranionym człowiekiem. A jeszcze jak usłyszałem historię o trzech synach matki wdowy...



– To wojna, podporuczniku. Niech pan pamięta, że tam w lesie to oni zaczęli strzelać pierwsi i to jak skutecznie! Ten umierający zaś przekazał nam cenne informacje o przeciwniku. I teraz tylko to się liczy! Zwłoki zabitych Rosjan prowizorycznie pan zabezpieczył i nawet oznaczył krzyżem. A poległego Foularda pochowamy z honorami w Heilsbergu, w cieniu kościelnych murów. Nic więcej zrobić nie możemy.

Wyszli z wielkiego lasu. Ich oczom ukazała się malowniczo położona wieś Liewenberg. „Ciekawe” – pomyślał Antoine. – „Liewenberg czyli Liebenberg to po niemiecku ‘Góra Miłości’. Może to dobry omen?”

Rosjanie wyszli wreszcie z lasu na otwartą przestrzeń. Niedaleko, na prawo od drogi, widać było sporą wieś Reimerswalde. Teren, na którym leżała, był bardzo urozmaicony: obok kotlin z bagienkami i oczkami wodnymi, obecnie pokrytymi lodem, wznosiły się pagórki o stromych lub łagodnych stokach. Schodziło się w niej kilka dróg – z Launau, Wormditt, Workeim, Retsch i Heilsbergu. Droga z Wormditt do Heilsbergu przechodziła przez wieś dwoma ostrymi zakrętami, przebijając się między wzgórzami. Było już dobrze po południu, toteż nad wsią powoli zapadał wczesny zimowy zmierzch, choć słońce zakryte chmurami stało jeszcze względnie wysoko. Samą wieś zaczynała przy gruncie zasnuwać lekka wieczorna mgła. Ponad nią wznosiły się ściany i wieża kościoła, stojącego na lewo od drogi, przy pierwszym ostrym zakręcie. Nieco dalej, za kościołem, także na lewo od drogi heilsberskiej, widać było sylwetkę wyjątkowo wysokiego, stromego wzgórza.

Generał Warneck postanowił zatrzymać się tu na chwilę, by ze szczytu rozpoznać okolicę. Drzwi i okiennice domów we wsi były pozamykane, chociaż z niektórych kominów unosiły się wąskie smużki dymu. Za to u wejścia do kościoła, przy ścieżce wiodącej przez przykościelny cmentarz, stało kilku ciepło odzianych w kozuchy i sukienne kapoty cywilów, wyłącznie mężczyźni. Jeden z nich trzymał na drewnianej tacy skromny poczęstunek: bochenek ciemnego razowego chleba, kawałek świeżego sera, plasterki wędzonej szynki i miskę „*sauerkrautu*” to jest kiszonej kapusty z dodatkiem marchewki i kminku. Inny trzymał tacę z okazałą flaszą mocnej nalewki ze świdośliwy<sup>25</sup> i kilkoma szklanymi karczmiakami. Po chwili z kościoła wyszedł drobny siwowłosy ksiądz i stanął obok swych parafian.

– *Herr General* – pierwszy przemówił drżącym, starym głosem duchowny. – Nazywam się Christophorus Andreas Hossmann, jestem tutejszym proboszczem od osiemnastu lat. Ci zacni ludzie to nasz sołtys Martin Angrigk, nasz karczmarz Caspar Asman, karczmarz z pobliskiego Neuendorfu<sup>26</sup> Franz Popihn i kilku najzamożniejszych gospodarzy. Bylibyśmy szczęśliwi, gdyby pan i panowie oficerowie byli łaskawi przyjąć nasz poczęstunek. Prosimy w zamian, by nakazał pan oszczędzić naszą świątynię i wieś, zaś nasi ludzie nakarmią i napoją pańskie wojsko i konie. Wiemy, że czas wojenny, toteż nietrudno o gwałty i rabunki; nawet nasze wojsko potrafi użyć wobec nas przemocy. Ja sam jestem już bardzo stary, przed niespełną półtora miesiącem ukończyłem siedemdziesiąt sześć lat, mnie na życiu nie zależy. Jednak jako pasterz muszę troszczyć się o moją trzódkę. Jeśli trzeba będzie coś objaśnić, pokazać, to mogę rozmówić się po niemiecku i po łacinie.

– Księżę, proszę być spokojnym o wieś i ludzi. Wystarczająco dużo złego

naoglądaliśmy się na tej wojnie, choćby tylko dziś, gdy nawet żadnej walki nie toczyliśmy... – odrzekł ze smutkiem Warneck. – W mowie niemieckiej można rozmawiać ze mną albo z pułkownikiem Gnaade, dowódcą tego pułku, który wkracza do wsi zaraz za kawalerią.

Warneck przeżegnał się trzy razy, podobnie jego sztabowcy: pułkownik Gnaade, pułkownik Kulikowski<sup>27</sup> i major Bielagin. Ujęli kieliszki, które tymczasem Popihn nappełnił nalewką, wypili za zdrowie monarchy, zawąchali i zakąsili czarnym chlebem i serem. Resztę poczęstunku odłożyli na potem. Weszli wraz z proboszczem do świątyni, obejrzawszy przedtem jej barokową bryłę z zewnątrz; główne wejście znajdowało się u stóp wieży opatrzonej baniastym gontowym hełmem. W środku ponownie się przeżegnali przy granitowej kropielnicy. Proboszcz zatoczył szeroko dłonią, wskazując salowe wnętrze z drewnianym malowanym stropem, kilkoma ołtarzami i amboną.

– Nasza parafia i wieś są stare, założono je w XIV stuleciu – mówił ksiądz Hossmann. – Kościół ma za patrona świętego Jana Ewangelistę. To już kolejna budowla, bo poprzednie uległy zniszczeniu. Ta obecna świątynia ma zaledwie dwadzieścia jeden lat, konsekrował ją ostatni biskup rezydujący w Heilsbergu, *Prinz* Ignatius Krasicki. Teraz, po śmierci jego eminencji biskupa Josephusa von Hohenzollern – Hechingen w 1803 roku, mamy sediswakancję, czekamy na obiór nowego pasterza. Proszę spojrzeć na ołtarz główny, zwłaszcza na nowe figury świętych Apostołów Piotra i Pawła; także nowiutka ambona to przedmiot naszej dumy. Za to sto lub więcej lat liczą sobie obrazy siedmiu Apostołów i obraz Ukrzyżowania. Nowszy zaś jest piękny krucyfiks, który panowie tu widzicie...

Warneck wy dobył z zanadrza skórzany pugilares i wręczył proboszczowi kilka rosyjskich asygnat: – To na kościół, wierzę, iż przetrwa tę wojnę...

Ruszyli ku wyjściu. Nagle wzrok Warnecka przykuły drzwi zamykające wejście z korpusu świątyni na wieżę. Posiadały solidny stary zamek, opatrzony oryginalną wykładką, wykutą w kształcie ażurowej sylwetowej sceny walki świętego Jerzego ze smokiem. Rosjanie stanęli oczarowani – ujrzeli dawne godło swojego kraju i herb panującego domu Romanowów, obecnie umieszczany na piersi dwugłowego orła. Święty Jerzy pokonujący smoka – to jakby wróżba ostatecznego zwycięstwa nad siłami zła. „Trzeba będzie powiedzieć o tym żołdatom” – pomyślał generał. I wyszedł na zewnątrz.

Timofiej i „koporcy” stanęli na popas przy murze okalającym kościół; po przeciwnej stronie drogi, wokół kamiennego krzyża, zatrzymała się reszta piechoty. Nie ustawiali karabinów w kozły, wiedząc, że w każdej chwili mogą ruszyć dalej; poprzestali na oparciu ich kolbami o ziemię lub własne stopy. Timofiej oparł się łokciami o mur cmentarny i spoglądał na nieduże kopczyki mogił, na których zatknięto lekko pochylone drewniane i metalowe krzyże. Na części mogił widniały tylko słupki z drewnianymi tablicami, na jeszcze innych zalegał jedynie śnieg, spod którego wystawały rzadkie suche badyle. Unteroficer wiedział, że (zgodnie z tutejszymi zwyczajami) cmentarze odwiedzane są sporadycznie lub wcale, pamięć bliskich kultywuje się przez zamawianie mszy za ich dusze lub rzucanie datków żebrakom pod cmentarną furtą lub kościołem, by się za nich modlili. Cóż, co kraj to obyczaj, ani to lepsze ani gorsze od ich prawosławnego uctowania na grobach. Timofiej miał wciąż przed oczami zgwałconą i zabitą przez

kozaków dziewczynę. Jej zmaltratowanej twarzy i sponiewieranego ciała nie pamiętał, może zresztą pamięć wypierała ten makabryczny obraz; doskonale za to zapamiętał jej długie, piękne, jasne włosy, szeroko rozsypane na zakrwawionym śniegu. Takie gęste i jakby nieco zwilżone, jak na mżącym deszczu – takie niby „makaronowe” łagodnie wijące się sploty... Gdzieś, kiedyś widział już takie włosy. Tylko gdzie? Przymknął zmęczone oczy. Wtedy z całą mocą ukazała mu się, zdawałoby się, już zapomniana, słoneczna i promienna, śliczna twarz Marfy Rodionowny. Jego Marfy – tak wciąż o niej myślał. Tak, ta zamordowana dziewczyna miała włosy identyczne jak Marfa. Ten fragment dzisiejszej rzeczywistości: włosy nieznaney z imienia obcej kobiety, uświadomił mu, że jego dawny świat wcale nie umarł, tylko – siłą stłamszony i skazany na zapomnienie – wegetuje na samym dnie duszy i tli się niczym ostatnie wątle iskierki gasnącego ogniska. Na myśl, że taki los mógłby spotkać Marfę, jego Marfę, Marfieńkę, mróz skuwał serce Timofieja w stalowe okowy. Bo przecież ona żyje, przecież gdzieś jest, a Wszechmocny władny jest, by kiedyś ich jeszcze zetknąć ze sobą. Od czasu opuszczenia rodzinnej wsi Timofiej nie spojrzał nawet na inną dziewczynę. Raz tylko, za namową kolegów, skorzystał z usług sprzedajnej dziewczki w Koporje, całkiem niebrzydkiej i zdrowej, ale ta wizyta napełniła go takim wstrętem do samego siebie, że odtąd nie odwiedzał takich miejsc. Młody organizm trochę się buntował, odczuwał bolesny wręcz głód kobiecego ciała, jednak z biegiem czasu wysiłek fizyczny i wstrzemięźliwość uczyniły jego naturalne żądze jakby uśpionymi. Uśpiony był także obraz Marfy w jego sercu; do dziś, do chwili kiedy ujrzał jasne włosy martwej warmińskiej wieśniaczki.

– *Gospodin unteroficer*, miejscowi częstują nas gulaszem. – Fiedot i Borys stali uśmiechnięci, trzymając miski pełne parującej strawy. – Czy mamy przynieść i panu? A i naleweczki mają zacne.

– Nie trzeba, chłopcy, sam pójdę. Gdzie wydają ten posiłek?

– Z kilku kotłów, tam za kościołem, koło domu księdza. Łatwo trafić, bo zapach niesie się z daleka. Dawnośmy tak dobrego jedzenia nie dostawali.

Timofiej Nikitycz udał się we wskazane miejsce i wyciągnął miskę do wydającej porcje gulaszu młodej dziewczyny. Była odziana w półkożuszek założony na obszerną wełnianą suknię, sięgającą kostek, odsłaniającą tylko czubki skórzanych butów. Zimowa odzież skrywała kształty dziewczyny, za to spod białego króliczego czepeczka wystawały dwa długie, jasne warkocze, okalające zaróżowioną od mrozu ładną buzię. Timofiej przyjrzał się jej kątem oka. Miała wyraźnie zarysowane łuki brwi, niebieskie, prawie niezauważalnie przymrużone oczy i wąski, wyrazisty, kształtny nos. Jej spojrzenie było wesołe i śmiałe. Była najwidoczniej przekonana o sile swego wdzięku. W pewnej chwili ułowił jej spoczywający na sobie wzrok i uśmiechnął się. Odwzajemniła uśmiech, ale do kotła podchodzili już następni żołdaci i dziewczyna przestała zwracać na niego uwagę, a przynajmniej tak mu się wydawało.

Kiedy spożywał gulasz, podszedł do niego postawny mężczyzna w średnim wieku, dostatnio odziany i zapytał, czy Timofiej mówi po niemiecku. *Unteroficer* odrzekł, że słabo, że więcej rozumie. Nagle ów człowiek zawołał do dziewczyny:

– Marianna, a dużo tam jeszcze w kotle zostało?

Timofiej ze zdumieniem stwierdził, że jego rozmówca zawołał to po polsku! On

zaś po polsku rozumiał bardzo wiele a nawet potrafił się całkiem dobrze rozmówić. Zaczął więc łamaną polszczyzną:

– Pan moj, wy powiedzieli to na polskim języku. Ja polski rozumiem a i *niemnożko* mówię. Wy Polak?

Zdumiony gospodarz odwrócił się do Timofieja:

– Wielki Boże! Wy także Polak?

– *Niet*, pan. Ja tylko *ponimaju* polski jazyk. U mnie był w połku kolega Polak, on *mienia* nauczył...

– Panie szanowny, to ja waszmość pana do siebie w gościnę proszę. Jakem Jakub Benski! A i Marianna będzie rada po polsku z kim innym niż ojciec pomówić. Bo ja, panie, od dziesięciu lat wdowiec a sąsiedzi sami Niemcy. Dobrzy ludzie, ale po naszymu nie pogadasz...

– I ja rad by się pogościć u was, ale my zaraz *uchodzim dalsze*, w Heilsberg. Może kiedy to indziej.

Mężczyzna obrócił się na pięcie i zawołał:

– W takim razie damy waszmości co na drogę. Proszę poczekać chwilkę! – i pognął biegiem do najbliższej chałupy, skąd po dwóch minutach powrócił, niosąc niewielkie zawiniątko.

– Wędzonego boczku waszmości dam i kawał naszego swojskiego chleba. Jeść będzie, to dobrze nas wspomni!

– Dziękuję panu. I piękną córkę pan ode mnie pozdrowi. Może się jeszcze kiedy spotkamy? Na wojnie wszystko możliwe.

– Prawda, wielka prawda! Niech Bóg prowadzi!

Kiedy żołdaci spożywali posiłek, generał Warneck w towarzystwie kilku oficerów wdrapał się na wyniosły pagór za kościołem. Z jego wysokości widać było doskonale okoliczne pola i osady, zaś w oddali można było ujrzeć przez perspektywę zamglone sylwetki wież heilsberskiego zamku i fary. Byli już niedaleko. Warneck zszedł z góry, pożegnał się z księdzem Hossmannem i gospodarzami, po czym kazał dać sygnał wymarszu. Znów zagrały trąbki i werble. Uformowana na nowo kolumna ruszyła w stronę odległego o dwanaście wiorst Heilsbergu.

Kiedy minęli wieś Lawden<sup>28</sup>, ujrzeli przed sobą, na lewo od drogi, łańcuch wzgórz dominujących nad szerokimi przestrzeniami pól i łąk i gruntowymi drogami, prowadzącymi z różnych stron w kierunku Heilsbergu. Generał Warneck skinął na jadącego obok majora Bielagina:

– Niech pan spojrzy, majorze! Gdyby kiedyś przyszło nam bronić Heilsbergu, musielibyśmy na tych wzgórzach usypać silne szańce. Nieprzyjaciel połamałby sobie na nich zęby. Zwłaszcza na tamtym wzgórzu – tu Warneck wyciągnął rękę w kierunku północy, gdzie rozciągał się przypominający wał twierdzy rozległy pagór. – Naprawdę zaintrygowało mnie to miejsce. Wie pan co? Podjedźmy tam na chwilę, do Heilsbergu już tylko jakieś dwie – trzy wiorsty, nie musimy się spieszyć.

Generał, major Bielagin i dwóch kozaków z grupy osłaniającej lewą flankę kolumny ruszyli wolnym kłusem ku wzgórzom, odległemu o kilkaset kroków. Stojący na drodze „koporcy” odprowadzali ich beznamiętnym wzrokiem. Widzieli, jak po kilku

minutach, zarysowawszy wyraźny trop na nietkniętym dotąd śniegu, czterech jeźdźców stanęło na szczycie pagórka, a następnie zjechało z niego na lewą stronę. W tym momencie zachodzące już ostatecznie słońce przebiło na krótko ciemne chmury i ostatnimi promieniami oświetliło pola i wzgórze. Borys wytrzeszczył oczy i rozdziawił usta: na ciemnej i niewyraźnej z daleka sylwetce generała pojawił się nagły rozbłysk światła, jakby jego pierś przeszła złocista strzała.

– Borys, coś się tak rozdziawił? – spytał Fiedot ze śmiechem.

– Ten błysk, jakby piorun uderzył w pierś generała...

– To tylko promień zachodzącego słońca odbił się w orderach, *jego błagorodje* ma ich całkiem sporo – uśmiechnął się Timofiej.

– Nie, nie, *gospodin unteroficer* – odparł przerażony Borys. – U nas we wsi była stara *worożycha*. Mówiła, że kiedy widzisz takie ognie na ciele człowieka, to bardzo zły znak. Zły dla niego. *Gospodin unteroficer*, przekona się pan: *jego błagorodje* napotka w tym miejscu swoją śmierć!

– Co ty bredzisz, Borys! – zirytował się Timofiej. – Tylko, broń Boże, nie powtarzaj tego nikomu, bo jeszcze każą cię wychłostać.

– Powiem czy nie powiem, i tak losu nie odmienisz. *Jego błagorodje* zostanie na tym polu.

– Niby kiedy? Dziś? Jutro?

– Tego nie wiem, *gospodin unteroficer*. Dziś, jutro czy za kilka miesięcy... Ale wiem, że właśnie tu śmierć ucałuje pierś *gospodina generała*.

Dwustu francuskich szaserów, z generałem Marulazem na czele, wpadło galopem do wsi Reichenberg<sup>29</sup>. Szpica złożona z dziesięciu jeźdźców wysforowała się do przodu, rozdzieliła na dwie części, z których lewa objechała skraj wioski główną drogą, a prawa podążyła wąską uliczką wiodącą w kierunku kościoła, po czym obie spotkały się przed murem cmentarnym. Jeden z szaserów zawrócił do generała i zameldował, że we wsi nie ma nieprzyjaciela. Marulaz, trzymając przy boku podporucznika Ledru i szasera – Polaka nazwiskiem Gontarz, nakazał wystawić posty od strony Heilsbergu, drogi na Wosseden i leżącego na końcu wsi rozwidlenia dróg na Wernegitten i Süssenbergl. Na jego polecenie Gontarz zastukał w drzwi najbliższego domu. Otworzył zalękniony mężczyzna w sukiennych portkach, koszuli i szarej kamizeli.

– Czy wyście tu sołtysem? – Spytał szaser po niemiecku.

– Nie, panie, jam zwykły chłop, Gregor Goldau. Sołtys to tamta chałupa, przy kościele, nazywa się Martin Barcz... Ale teraz go we wsi nie ma, wyjechał onegdaj do Heilsbergu wraz z żoną i dziećmi.

– To z kim znacznym można tu się rozmówić?

– Bo ja wiem? Najlepiej to chyba z księdzem proboszczem, o tamten dom z zielono pomalowanymi drzwiami. – Goldau wskazał ręką budynek oddalony o jakieś sto kroków. Duchownego nie trzeba było szukać ani wyciągać z plebanii; słysząc hałas we wsi wyszedł właśnie na próg, zapinając guziki sutanny.

Marulaz, Ledru i Gontarz, ciągnąc za sobą resztę oddziału, podjechali pod plebanię. Generał, Niemiec z pochodzenia, zwrócił się bezpośrednio do księdza:

– Wyście tu proboszcz?

– Ano ja, *Herr General* – odparł duchowny, wyglądający na około czterdzieści lat.  
– Proboszcz tutejszej parafii świętej Elżbiety i świętego Rocha, ksiądz Josephus Braun. Pełnię tu posługę od jedenastu lat. Od 1802 roku byłem koadiutorem, a od 1804 jestem także kanonikiem kolegiackim w Guttstadt<sup>30</sup>.

– Hmm... w Guttstadt nikt mi o tym nie wspomniał. No, mniejsza o to, chcę zadać księdzu kilka pytań, na które oczekuję szczerzej i wyczerpującej odpowiedzi. Czas jest wojenny, więc nie możemy pobłażać nikomu, kto chciałby nas wprowadzić w błąd.

– Nie mam takiego zamiaru, *Herr General*. Proszę pytać.

– Czy, według księdza, ktoś ze wsi odwiedzał dziś Heilsberg?

– Owszem i to na moje polecenie. Kolmer<sup>31</sup> Bernhard Feider, przywoził dla mnie komunikanty wypiekane w Heilsbergu i belę lnianego płótna.

– A czy można będzie z nim porozmawiać, to jest, czy obecnie przebywa w Reichenbergu?

– Jak najbardziej. Mieszka tu nieopodal, zaraz każę go wezwać – proboszcz zawołał młodego chłopaka przypatrującego się zza płotu odzianym w zielone mundury francuskim szaserom. Zagadał z nim chwilę, po czym chłopak pognął w głąb wsi. Ksiądz znów zwrócił się do Marulaza.

– Czy *Herr General* życzy sobie skorzystać z mojej skromnej gościny? Szczerze zapraszam.

– Dziękuję księdzu, ale nie tym razem. Musimy zaraz jechać dalej.

Czekając na Feidera, generał obrzucił wzrokiem stojący niedaleko tynkowany kościół, wyglądający na barokowy, z drewnianą wieżą i ciekawym nie otynkowanym prezbiterium, zawierającym nisze wypełnione rzeźbami<sup>32</sup>. Proboszcz zauważył to i krótko poinformował:

– Za świątynią na cmentarzu, znajdują panowie kapliczkę wotywną świętego Rocha, pamiątkę po dawnych epidemiach. W środku kościoła zaś piękne polichromie mistrza Meyera i niedawno wykonane ołtarze rzeźbione przez mistrza Schultza. Mamy też piękne, choć niezbyt stare obrazy i chór organowy... – O pochodzącym z drugiej połowy XV stulecia pacyfikale, starannie ukrytym już przed kilku tygodniami, proboszcz na wszelki wypadek nie wspominał. Tymczasem nadszedł prowadzony przez chłopaka Feider. Był wyraźnie wystraszony, widząc duży oddział obcego wojska na koniach. Marulaz wezwał go przed swe oblicze niecierpliwym gestem:

– Powiedzcie człowieku, ile wojska stoi w Heilsbergu?

Feider odpowiedział, kłaniając się pokornie raz po raz:

– E, panie, nijakiego wojska w mieście nie ma! Nasz dwudziesty pierwszy fizylierski batalion pana majora Stutterheima już dawno wyszedł w pole, ostatni raz był w pobliżu jakie dwie niedziele temu, była tu wtedy taka mała potyczka...

– A Rosjanie? Co wiesz o Rosjanach?

– Ano, panie, przeszli przez nasze okolice w zeszłym miesiącu, a teraz znów się rankiem pojawili. Konni, panie, parę setek. Ale do miasta nie weszli. Stoją jakąś milę na zachód i na coś czekają. A na co, to ja nie wiem.

– Miasto mocno pilnowane?

– Iiii, panie, a kto miałby pilnować, jak wojska nie ma? Bramy otwarte.

– A mosty? Co z mostami?

– Ten, com po nim wjeżdżał i wyjeżdżał, to cały. A inne? Nie wiem, panie, nie widziałem.

Marulaz odprawił kolmera ruchem ręki i zwrócił się do księdza:

– Z mapy wynika, że do Heilsbergu prowadzą stąd dwie drogi. Która jest według was lepsza?

Ksiądz zastanowił się chwilę, po czym odrzekł:

– *Herr General* ma na myśli drogę Świętego Krzyża i drogę świętych Apostołów Piotra i Pawła<sup>33</sup>. Hmm, pierwsza prowadzi przez Wosseden do majątku i przedmieścia rządowego Amt Heilsberg, znaczy Neuhof, dawniej Pilnik, gdzie stoi kościół Podniesienia Świętego Krzyża. Stamtąd można od razu wyjść na most i drogą z Wormditt dojść do miasta od zachodu, prosto na Hohe Tor, to jest Bramę Wysoką...

– Czy to w tamtym rejonie stać może owa rosyjska kawaleria? – Przerwał Marulaz niecierpliwie.

– Tak by wychodziło, *Herr General*. Ponadto z drogi Świętego Krzyża w kilku miejscach widać drugi brzeg Alle, a skoro tak, to z tamtego brzegu szybko i was zobaczą.

– A druga droga?

– Droga świętych Apostołów bardziej od Alle oddalona i lepsza. Wyjdziecie nią, panowie, na Kirchentor Vorstadt i przez samą Kirchentor, tuż obok fary świętych Apostołów, wkroczycie do nie obsadzonego miasta.

– Magazyny i obory są na zachód od miasta?

– Tak jest, tuż za Hohe Tor, na Hohetor Vorstadt, przy dużych stawach.

Marulaz zasępił się nieco. Wychodziło na to, że zlekceważyli przeciwnika. Miasto niby nie obsadzone, ale wróg w pobliżu. Trzeba się spieszyć z przejęciem składów i stad, a tymczasem piechota i artyleria dywizji Moranda zostały znacznie z tyłu. „Co robić, co robić?” – rozmyślał gorączkowo. Po chwili wydało mu się, że znalazł rozwiązanie.

– Ledru, pošlij pan gońca do generała Moranda z prośbą, by przyspieszył marsz, a potem bierzemy jakichś osiemdziesięciu szaserów i ruszamy do Heilsbergu. Przed zapadnięciem nocy powinniśmy zdążyć wejść do miasta, przejść je i – po cichu, bez alarmowania tamtej ich kawalerii – z pomocą ludności przenieść choć część zawartości składów za bramę do miasta, a samemu obsadzić te obory koło stawów i zabezpieczyć znajdujące się tam stada bydła. A przynajmniej spróbować. Kiedy nadejdzie piechota i artyleria Moranda, wszyscy odetchniemy. A kiedy jeszcze lewym brzegiem Alle nadciągnie dywizja Frianta, przeciwnik będzie miał się z pyszna! Ale to może nastąpić dopiero jutro. Teraz czeka nas wiele godzin niepewności. Poważnie ryzykujemy, Ledru...

Antoine zawrócił konia i ruszył wypełniać rozkazy generała. Krótki zimowy dzień wyraźnie zaczynał się kończyć. Śnieg przestał padać. Na zachodzie, na lewym brzegu Alle, przetaczały się niesione wiatrem szare chmury.

W zapadającym zmierzchu, na skraju pola leżącego między drogami do Wormditt i Landsbergu<sup>34</sup>, nieopodal rozjazdu na Launau, coraz wyraźniejszy stawał się blask płonących ognisk biwakowych. Wokół nich na ściętych pniach i gałęziach siedziały grupki rosyjskich huzarów. Dopiero z bliska można było zobaczyć, jak bogato byli umundurowani. Mieli na sobie ciemnozielone dołmany z turkusowymi kołnierzami i

mankietami. Również turkusowe były narzucone na ramiona mentyki, obszyte białym futrem. Guziki i wielorzędowe szamerunki na dołmanach i mentykach miały barwę żółtą. Spodnie zimowe: szare, bez ozdób, nogawki zapinane z boku na ciemnoszare guziki, wypuszczane na huzarskie buty z cholewami. Na, niewidocznych spod ozdobnych turkusowo – żółtych pasów głównych, ciemnozielonych skórzanych pasach wisiały szable w pochwach i ciemnozielone szabeltasy ze złotymi haftami. Na zakładanych przez lewe ramię białych skórzanych bandolierach wisiały krótkie karabinki. Na głowach huzarzy mieli proste czaka z czarnego filcu, bez podpinek, z czarnym skórzany daszkiem bez okucia, obwiedzione na górnych krańcach kordonami, z jednym prostym frędzlem na wysokości skroni, od którego zwisały do ramion dwa mniejsze. Czaka, ozdobione czarno – pomarańczowymi kokardami i wyszytymi w skośną czwórpołową szachownicę „*repiejkami*”, wieńczyły barwne kity swobodnie zwisające ku dołowi lub rozwiewające się na wietrze<sup>35</sup>. Dla świadomego rzeczy obserwatora wszystko to stanowiłoby precyzyjną informację, że ma przed sobą pułk huzarów pawłogradzkich. Takich koneserów jednak wokół nie było – oddalony od miejskich murów i okolicznych wsi biwak nie wabił ciekawskich. Zwłaszcza o tej porze.

Po obu stronach biwaku na drodze do miasta, na drodze do Launau i na pobliskim wzgórzu wystawiono niewielkie konne posty. W samym środku siedział przy ogniu niespełna trzydziestoletni oficer o gładko ogolonej, pełnej lecz lekko pociągłej twarzy, z prawie niewidocznymi jasnymi bokobrodami i ułożonymi w kunsztowne pukle, dość krótkimi ciemnoblonde włosami. Długi wąski nos, pod zmarszczonymi brwiami ciemnoniebieskie oczy. Wydatne pełne usta. Godna, spokojna postawa. Dowódca jednostki podpułkownik Aleksandr Władimirowicz Rosen zwany „*trzecim*”, syn generała, bałtycki Niemiec z guberni estlandzkiej. Mówiono, że w wieku siedmiu czy ośmiu lat został już zapisany jako sierżant do gwardyjskiego pułku preobrażeńskiego. U schyłku żywota imperatorowej Katarzyny takie praktyki bywały częste. Jednak młody Rosen, po dojściu do lat sprawnych, potrafił wykazać, że nadaje się na oficera. Mając piętnaście lat służył jako wachmistrz w pułku konnym Lejbgwardii, po roku został kapitanem w azowskim pułku piechoty, w wieku dwudziestu lat odbył w charakterze adiutanta naczelnego wodza kampanię italską i szwajcarską Suworowa odnosząc ranę w bitwie pod Novi. Krótco potem jego kariera doznała osobliwego „zakrętu”: 17 września 1802 roku mianowano go pułkownikiem w dawnym pułku – preobrażeńskim, by już po pięciu dniach przenieść go do pułku huzarów pawłogradzkich jako jednego z oficerów. Za walki w kampanii 1805 roku został odznaczony orderem Świętego Jerzego IV klasy i awansowany na dowódcę pułku. Niedawno stoczona bitwa pod Gołyminem przyniosła mu złotą szablę „*Za męstwo*”. Potrafił operować zarówno metodami kawalerii regularnej, jak i w stylu kozackim, stąd często przydzielano mu „kozackie” zadania: dalekie rozpoznanie, śmiały rajd na tyły wroga...

Do ogniska podszedł kapitan Nikiforow, dowódca jednego ze szwadronów.

– *Wasze błagorodje*, już noc, zimno, a my tutaj przy ogniu, kiedy miasto tak niedaleko... Jeśli wolno zapytać, dlaczego tam nie pójdziemy na kwatery?

– Kapitanie, był rozkaz zabezpieczyć miasto i magazyny, jednocześnie osłaniając odwrót sił głównych od prawej flanki. Jak dotąd nie stwierdzono obecności przeciwnika



w mieście ani na prawym brzegu Alle w pobliżu. Za to od strony lasów koło Launau, o tam – Rosen wskazał dłonią na południe – nadal słycać dalekie odgłosy kanonady a nad horyzontem, jak się dobrze przypatrzeć, zobaczy pan prawie niewidoczną lunę. Zapewniam pana, że nie oznacza ona nic innego, jak zbliżanie się Francuzów. Dlatego stoimy tutaj, przy rozwidleniu dróg i niedaleko od mostu w Amt Heilsberg, by w razie konieczności odpowiednio do sytuacji reagować. Czy zadowala pana taka odpowiedź, kapitanie?

– *Tak toczno, wasze błagorodje. Ja sowsiem dowolen* – wyprężył się Nikiforow. Rosen wskazał mu gestem miejsce na pieńku obok siebie. Zanim jednak kapitan zdołał się na dobre rozsiaść, od strony Lawden przygalopował jeden z huzarów stojących na posterunku. Podjechawszy do dowódcy, zeskoczył z siodła i zameldował:

– *Wasze błagorodje*, od Lawden nadchodzą nasi. Dragoni, piechota, kilka dział. I naturalnie kozacy.

– Kto dowodzi?

– *Jego błagorodje gospodin generał Warneck!* Kazał uprzedzić, bo już ciemno i łatwo o pomyłkę. Zwłaszcza, że bez pochodni idą, by wroga nie alarmować.

– Dziękuję wam, żołnierzu. Wasze nazwisko?

– Charitonow, *wasze błagorodje*, Anton Antonowicz!

– Odpocznijcie chwilkę, zjedzcie coś. I poproście o czarę wódki u mojego ordynansa, zmarzliście na posterunku.

– *Tak toczno, wasze błagorodje. Za wasze zdrowje!* – Huzar wykonał regulaminowo w tył zwrot, wysuwając lekko lewą stopę, a następnie obracając się w prawo na obcasach i przystawiając lewą nogę do prawej. Odmaszerował.

Od zachodu, z ciemności dobiegł cichy rozgwar wielu ludzkich głosów, tętent i rzenie koni, stłumiony śniegiem turkot kół armat i wozów. Nadchodził oddział generała Warnecka. Wokół biwaku „pawłogradców” rozsypali się czujni kozacy sotników Mołokowa i Isajewa. Rosen, Nikiforow i inni oficerowie podnieśli się z siedzisk i powitali nadjeżdżający sztab Warnecka, odkrywając głowy i wciskając pod prawe ramię kapelusze i czaka. Również Warneck zsiadł z konia. Tymczasem kilka szwadronów regularnej kawalerii Warnecka przejechało czwórkami drogą nieco poza biwak huzarów i na komendę „*stoj!*” zamarło w bezruchu; słycać było tylko ciche pobrzękiwanie upręży, parskanie koni i niespokojne uderzenia kopyt o pokrytą ubitym śniegiem ziemię. Był to złożony z pięciu szwadronów pułk dragonów kurlandzkich szefostwa generała–majora Lescherna, dowodzony przez podpułkownika Argamakowa „trzeciego”. Mieli na sobie typowo dragońskie dwurzędowe kurtki mundurowe koloru „bagiennej” zieleni, żółte guziki, ich kolorem dystynkcyjnym był turkus – takie mieli kołnierze, mankiety, wywijane poły kurtek, pagony i czapraki końskie, obwiedzione haftowanymi żółtymi pasami i ”cyfrą” imperatora Aleksandra<sup>36</sup>. Oficerów rozpoznawano po żółtym galonie na pagonach. Z tyłu siodeł przytroczone szare mantelzaki, na mundurach białe lederwerki: pas główny z rapcami i długim pałaszem w brązowej pochwie i bandolierzy do specyficznych długich karabinów, klamry i okucia przy obu barwy złotej. Do pasów głównych zamocowane czarne skórzane ładownice a na nich, jak w piechocie liniowej, mosiężne blachy z dwugłowym orłem. Na szyjach czarne halsztuki, głowy chronione

czarnymi, o lekko baniastym wydłużonym kształcie kaskami, okutymi mosiężną blachą z orłem na froncie i ozdobionymi grzebieniami z przylegającą do nich wysoką, puszystą, czarną kitą. Dłonie i nadgarstki osłaniały białe skórzane rękawice z szerokim mankietem, nogi wypuszczane na długie buty szare spodnie, zapinane po bokach na liczne szare guziki, podobnie jak u huzarów. W warunkach trwającej zimowej kampanii pozostawano właściwie cały czas w tych szarych spodniach marszowych.

Za dragonami jak zwykle przemaszerował pułk koporski, za nim zaś jegrzy 21. pułku<sup>37</sup> i jedna trzecia baterii pieszej artylerii lekkiej: cztery działa 6–funtowe. Plus kilka jaszczy amunicyjnych i wozów taborowych. Jegrów wyróżniał jasnozielony kolor kurtek i spodni, podwójne daszki kiwerów i czarne lederwerki. 21. pułk miał czerwone kołnierze i mankiety z białymi wypustkami. Artylerzyści posiadali mundury barwy „bagiennozielonej” z czarnymi kołnierzami i mankietami oraz białe spodnie. Jedni i drudzy, tak jak piechurzy liniowi, nosili czarne skórzane sapogi z cholewami. Lawety i koła dział były pomalowane na zielono.

Warneck po połączeniu obu oddziałów objął dowodzenie nad całością, zgodnie z rozkazami generała *en chef* Bennigsena. Teraz można już było pozwolić sobie na obsadzenie zarówno rozjazdu i okolicy mostu przy Amt Heilsberg, jak też składów i samego miasta. Generał rozdzielił zadania:

– Tu na miejscu pozostaną kozacy, jegrzy, jeden szwadron huzarów i dwa działa z obsługą. Dowodzi pan, pułkownik Rosen. Proszę utrzymywać z nami stałą łączność. Ja z pozostałymi dwoma działami, dragonami, drugim szwadronem huzarów i pułkiem koporskim ruszam do miasta. Powodzenia, pułkowniku!

– Nawzajem, *wasze błagorodje!* Na wszelki wypadek przygotowaliśmy już wcześniej dużo materiałów palnych, gdyby przyszło spalić most.

– To proszę zrobić tylko na mój wyraźny rozkaz. Dzielące pana od miasta dwie – trzy wiorsty konny goniec przebędzie w okamgnieniu. Wytrzymacie.

– Jak *wasze błagorodje* sobie życzy. Będziemy się bronić i czekać na rozkazy. Myślę jednak, że dziś nic się nie wydarzy; jest już właściwie noc...

– Tak czy owak, trzeba zachować czujność. Obserwujcie oba brzegi Alle.

Warneck dosiadł konia, skinął na oficerów sztabu, ci wydali komendy i po chwili kolumna ruszyła do niedalekiego już Heilsbergu.

*Brigadier*<sup>38</sup> Henri Cardelle, goniec posłany przez Marulaza do dywizji generała Moranda, odnalazł jej forpoczty w Liewenbergu już po zapadnięciu zmroku. Dowodził nimi generał brygady Étienne Ricard. Po wysłuchaniu gońca generał stropił się nieco:

– Oczekujecie naszego natychmiastowego wsparcia? Dopiero co tu przybyliśmy po długim marszu, główne siły naszej dywizji stoją aż w Amt Guttstadt, sam generał Morand kwateruje w tamtejszym pałacu<sup>39</sup>. Muszę go powiadomić o prośbie generała Marulaza, a tymczasem pošlę wam część tego, co mam pod ręką, powiedzmy batalion piechoty. Z resztą poczekam tu na całą dywizję i rano ruszymy do Heilsbergu. Gdyby generał napotkał w mieście większe siły wroga, niech niczego nie zaczyna i poczeka na nas. Możecie wracać!

Cardelle ponownie dosiadł konia i pognął z powrotem. Od Heilsbergu dzieliło go trzy czwarte mili<sup>40</sup>. Ricard wyznaczył batalion piechoty ze składu 13. pułku lekkiego

pułkownika Guyardeta. Zmęczeni marszami piechurzy nieco szemrali, ale jak zwykle posłusznie nałożyli tornistry, uformowali kolumnę czwórkową i podążyli w stronę Reichenbergu, skąd Marulaz posłał gońca. Po chwili skryły ich ciemności, krótko potem ucichły ich kroki na drodze. Zupełnie jakby nigdy ich tu nie było.

Marulaz, któremu towarzyszyli podporucznik Antoine Ledru, Gontarz i osiemdziesięciu innych szaserów, w niecałe dwadzieścia minut klusem przebyli pół mili dzielące ich od Heilsbergu. Tuż przed miastem minęli pasmo wyniosłych pagórków, z których jeden, po lewej stronie, był szczególnie wysoki. „Kreuzberg czyli Krzyżowa Góra” – generał przypomniał sobie adekwatny fragment mapy. Na okolicznych polach i stokach wzgórz wystawały spod śniegu płoty i tyczki chmielowe, zapewne wszędzie tu znajdowały się ogródki mieszczan. Po prawej stronie, na oddalonym pagórku, widać było małe światelko w oknie samotnego domu. Kilkaset kroków dalej, wyłoniwszy się zza zakrętu, Francuzi ujrzeli przed sobą słabą łunę, jaką tworzyły światła świec migocących w oknach i oszklonych latarniach nad drzwiami domów Heilsbergu. Na tle nieco jaśniejszego nieba widać było czarne sylwety bram, fary i zamku. Przed nimi opadała w dół droga wiodąca przez Kirchentor Vorstadt. Na tym przedmieściu, tak jak przed wiekami, nadal skupiały się liczne szopy, stodoły, chlewy, obory i owczarnie. Środkiem ciągnęły się po obu stronach ubogie, parterowe domy mieszkalne, zwrócone szczytami ku ulicy. W każdej ze ścian szczytowych widać było jedno, najwyżej dwa nieduże okna. Niewidoczne nocą z ulicy wejścia znajdowały się z boku, nieco w głębi posesji.

– Niziutkie mają te domki, można im chujem w okna zastukać – rozległ się za plecami Marulaza niezbyt wyszukany, wulgarny żart jednego z szaserów. Nikt się nie roześmiał, wszyscy byli czujni i spięci. Świece paliły się tylko w nielicznych oknach przedmieścia. Dotarli wreszcie do brzegu Alle; za drewnianym mostem wznosił się masyw gotyckiej Kirchentor, Bramy Kościelnej zwanej też Gutsztadzka<sup>41</sup>. Wierzeje były otwarte, nikt nie pilnował bramy, tak jak mówił kolmer z Reichenbergu. W mieście nie było wojska. Marulaz skinął na Gontarza i wskazał mu otwarte wrota. Szaser pogalopował przodem przez most i bramę, po czym nieco zawrócił i dał znak, że droga wolna. Wobec tego podążył za nim Antoine, jako trzeci<sup>42</sup> generał Marulaz a za nimi reszta. Legary mostu zadudniły pod kopytami koni francuskich kawalerzystów, które po chwili zaczęły dźwięcznie klaskać o uliczny bruk. Mimo iż w wielu oknach miasta widać było światła, same ulice wydawały się wyludnione. Po prawej wznosiły się wysokie ściany gotyckiej fary z okazałą wieżą. Po lewej zabudowania kilku miejskich szpitali, od których nosiła nazwę wiodąca od bramy ulica Hospitalstrasse.

– Składy z pewnością są pozamykane. Musimy znaleźć kogoś, kto ma do nich klucze. Niech kilku naszych zajedzie na plebanię, a my pod ratusz na rynku. Tam się spotkamy – wydał dyspozycje Marulaz.

Część sił rosyjskich dowodzona bezpośrednio przez generała Warnecka zbliżała się do miasta od strony Hohetor Vorstadt. Droga była niemal idealnie prosta. Wkrótce ujrzano niskie zabudowania przedmieścia, po lewej zaś długie ciągi szop, obór i stajen. W środku tego kompleksu budynków gospodarczych znajdowały się duże stawy, zasilane wodami płynącego od północy potoku<sup>43</sup>. Koło stawów stała popularna karczma zwana „Zu Drei Schwestern”, gdyż prowadziły ją trzy siostry. W mieście tajemnicą poliszynela było, że

oferowano tam nieoficjalnie nie tylko jadło i napitki. Same domy Hohetor Vorstadt były nieco okazalsze, niż na innych przedmieściach. Poza murami bogatsze były tylko rezydencje urzędnicze budowane przy drodze<sup>44</sup> wiodącej do Amt Heilsberg.

Generał Warneck rozkazał dragonom, huzarom i kozakom pozostać na przedmieściu i zabezpieczyć składy, do samego miasta zaś skierował pułk koporski. Na czele jak zwykle szła rota porucznika Żadowskiego, a w jej czołówce wzwod Timofieja Dmitrijewa. Muszkietierowie równym krokiem przemaszerowali przez ogromne przedbramie i wkroczyli na most, pod którym przebiegała fosa łącząca brzegi Alle i otaczająca miejskie mury od północy. Dopiero po kolejnych stu krokach wznosiła się, również otwarta, właściwa gotycka brama. Od niej w głąb starego miasta, do rynku i ratusza, wiodła pryncypalna ulica Langgasse<sup>45</sup>. Przy niej stały szeregi kilkupiętrowych, bogatych kamienic o barokowych szczytach. Tam także było najwięcej oświetlonych okien. „Koporcy” przemaszerowali przez niemal całą Langgasse, kiedy nagle uchyliło się okno na pierwszym piętrze jednej z kamienic, ozdobionej na szczycie statuą jakiegoś świętego. Na tle oświetlonego wnętrza izby ukazała się ciemna sylwetka mężczyzny. Rosjanie chwycili za karabiny, jednak mieszczanin zawołał cicho:

– *Achtung, Kameraden! Dort sind schon die Franzosen!*<sup>46</sup> – i wskazał ręką w stronę niedalekiego rynku. Timofiej, Fiedot i Borys spojrzeli w tamtym kierunku. Nagle zza rogu wyłonił się francuski szaser na koniu, zdumiony tak samo jak oni tym nieoczekiwanym spotkaniem. Przez krótką chwilę trwało zupełne milczenie. Naraz jednak szaser ocknął się jak ze snu, szybko zawrócił konia i pogalopował ku swoim, wrzeszcząc na całe gardło: – *Aux armes! L'ennemi en ville!* Porucznik Żadowski zakomenderował: – *Wolnyj zariad!* „Koporcy” zaczęli szybko nabijać broń i umieszczać ją na ramieniu. Po chwili padła komenda „*Skorym szagom... marsz!*” i żołdaci ruszyli szybkim krokiem na rynek, skręcili w prawo, po czym na komendę „*Strojsia. Dwie szeregi!*” utworzyli dwuszerogową linię. Ujrzeni przed sobą skłębioną, około stuosobową grupę francuskich kawalerzystów. Żadowski zakomenderował „*Prawoju rukoju za rużjo... Podwys'... Wzwodi kurki... Prikladywaj... Pali!*”. Zagrzmiała salwa, dym prochowy zasnuł wąską przestrzeń między ratuszem a zachodnią pierzeją rynku. Wroga już nie było, słychać było tylko oddalający się odgłos bicia podków o bruk. Za plecami roty porucznika Żadowskiego zaczęły warczeć tarabany, zagrały trąbki kawalerii. Heilsberski rynek i wychodzące z niego uliczki wypełniły się tętentem kopyt, tupotem obutych nóg, okrzykami oficerów. Zaczynała się walka o miasto...

Kilka minut później na rynek wjechał konno generał Warneck. Wysłuchał meldunków, z których wynikało, że siły wroga były niewielkie, zostały już przepędzone z miasta i oddaliły się w kierunku południowym.

– Pułkowniku – zwrócił się do dowódcy „koporców”, pułkownika Karła Jurjewicza Gnaade – Niech pan każe natychmiast spalić mosty w samym mieście i pchnie gońca z tym rozkazem do Amt Heilsberg! Orientuje się pan, ile dokładnie jest tych mostów?

– Według mojej wiedzy, poza tamtym w Amt Heilsberg, jeden przy Kirchentor, drugi przy Mühlentor<sup>47</sup>, trzeci to ten, po którym wkroczyliśmy do miasta przez Hohe Tor.

– Przez ten ostatni wychodzi z miasta droga na Preussisch Eylau i Königsberg, nasza droga odwrotu ku siłom głównym generała Bennigsen. Musimy go więc zachować

do ostatniej chwili, zresztą nawet kiedy Francuzi zaatakują nas, jak przypuszczam, najpierw na prawym brzegu, Hohetor Brücke nie będzie bezpośrednio zagrożony.

– A co ze składami, *wasze błagorodje*? Z tymi środkami transportu, jakie mamy, zabrać zgromadzonych tam zapasów na pewno nie zdołamy, a byłoby szkoda, gdyby wszystko to wpadło w łapy nieprzyjaciela.

– Trudno mi w tej chwili rozstrzygnąć tę kwestię. Nasze zadania tutaj są w ogóle dosyć osobliwe. Nasz głównodowodzący wysyłając nas do Heilsbergu nakazał, byśmy – cytuję – osłonili od prawej flanki odwrót sił głównych, zabezpieczyli magazyny w Heilsbergu i... tu rzecz dziwna: nazajutrz dołączyli ponownie do głównej armii w Landsbergu! Wychodzi na to, że nasz wielokilometrowy marsz został zaplanowany jedynie po to, byśmy – nie wiem – nastraszyli Francuzów operujących na naszą prawą flankę czy jak? Nastraszyć Davouta – dobre sobie! Już widzę, jak mu się łydki trzęsą! A potem mielibyśmy spokojnie powrócić do armii...

– Co wobec tego *wasze błagorodje* rozkaże?

– Na razie spalimy mosty i zabarykadujemy bramy: gutschadzka i młyńską. Spróbujemy nie dopuścić Francuzów na lewy brzeg Alle, a gdyby trzeba było rejterować, będziemy musieli spalić składy.

Gnaade i stojący obok major Biełagin milczeli. Po chwili Gnaade odezwał się stłumionym głosem:

– A... co z końmi i bydłem w stajniach i oborach? Przecież to ziarno i ten inwentarz to podstawa przetrwania miejscowej ludności...

– Myśli pan, że to mnie cieszy? Pędzić tego ze sobą nie damy rady, stada zbytnio opóźniałyby marsz.

– To znaczy... że te zwierzęta spalimy żywcem?

– Widzi pan lepsze wyjście? Jeśli tak, to słucham! Ludziom ich nie rozdamy, bo Francuzi po zajęciu miasta i tak im je zarekwirują. A tego właśnie chcemy uniknąć... Kto wie, może właśnie po to nas tu przysłano?

– Żeby spalić magazyny i inwentarz?! – zdziwił się Gnaade.

– Żeby za wszelką cenę opóźnić pościg przeciwnika! Bo to jest pościg, pułkowniku – ich pościg, a nasza, nie bójmy się tego słowa: ucieczka!

– *Wasze błagorodje*, pozwoli pan, że zajmę się mostami i bramami.

Warneck skinął głową i rozejrzał się dokoła. Teraz już w niemal wszystkich oknach paliło się światło, za szybami widać było nieruchome ciemne sylwetki obserwujących ich ludzi. Nad miastem zdawało się wisieć nieokreślone przecucie nadchodzącego nieszczęścia. Zupełnie jakby ludzie w oknach rozumieli toczoną po rosyjsku rozmowę i gestykulację oficerów.

Po odjeździe Gnaadego zapanowało niezręczne milczenie. Milczał lekko poirytowany swoją bezsilnością Warneck, milczał w oczekiwaniu dyspozycji Biełagin, milczeli niepytani o zdanie stojący najbliżej żołdaci roty porucznika Żadowskiego. Timofiej oglądał heilsberski rynek z okazałym średniowiecznym ratuszem pośrodku. Jeden z jego szczytów był starszy, gotycki, drugi barokowy. Pośrodku kalenicy dachu wznosiła się drewniana wieżyczka zegarowa, zwieńczona miedzianym hełmem. Budynek tonął w mroku, gdyż w nocy nikogo tam nie było, zaś nocujący w swym miejscu pracy

właściciele sklepów i warsztatów, ulokowanych w oblepiających ratusz „*hakenbudach*”, mieli surowy zakaz używania ognia w nocy. Rynek i ulice nadal były puste, przebywali na nich tylko Rosjanie.

Nagle zegar zaczął dźwięcznie i głośno wybijać godzinę szóstą wieczorem. Jednak po wybiciu czterech uderzeń mechanizm nagle zazgrzytał i... stanął! Wtedy dopiero ujrzano, że na wieżyczce znajduje się jakaś postać, która nagle wrzasnęła na całe gardło, aż echo poniosło się po rynku:

– *Verfluchte Scheisse!* – po czym usłyszano, jak głośno tupiąc złazi po drewnianych schodach. Po chwili zaskrzypiały dramatycznie główne wrota ratusza, wyłonił się z nich wyglądający na lekko nietrzeźwego osobnik i zaczął się gwałtownie dobijać do niedużych drzwi obok, zupełnie nie zwracając uwagi na tłum obcych żołnierzy. Zanim zdążyli zareagować, w drzwiach stanął wystraszony, też wyraźnie podпиты mężczyzna i bełkotliwie zapytał intruza:

– Co? Znowu się zepsuł? Ile razy mam wam powtarzać, że jestem tylko ślusarzem, a nie zegarmistrzem! Jak miasto żałuje pieniędzy na etatowego zegarmistrza, to i zegar się ciągle psuje!

– Dobra, dobra... Chodź na górę i napraw *diese verfluchte Seega!*<sup>48</sup>

Timofiej zrozumiał prosty dialog toczony po niemiecku. Chrząknął znacząco. Obaj mężczyźni dopiero teraz zauważyli Rosjan na rynku, skonfundowani cofnęli się kilka kroków i oparli plecami o ścianę ratusza.

– Czy szanownym panom nic nie dolega? Może czegoś trzeba? – zapytał po niemiecku generał Warneck, któremu ta idiotyczna scenka przywróciła dobry humor. Ślusarz i strażnik z wieży milcząc pokręcili przecząco głowami. Tymczasem na ulicach i rynku, zorientowawszy się, że już nikt nie strzela, zaczęli się pojawiać pojedynczy mieszkańcy miasta, zaciekawieni sytuacją i budzącymi zarazem lęk i zainteresowanie sojusznikami. Tu i tam zaczynało porozumiewać się na migi, rozległy się nieśmiałe śmiechy, rzadziej rozmowy. Napięcie wyraźnie opadło, ulice zaczęły ożywać.

Nagle wszystkie twarze stężały. Po obu stronach miasta zajaśniała luna. To płonęły dwa główne mosty podpalone przez pułkownika Gnaade... Wśród tłumu rozległo się głośne szemranie i okrzyki, z których przebijały strach i rozpacz. Wtedy przed mieszkańców wysunęły się dwie nobliwie wyglądające osoby. Pierwszy zachowywał wojskową postawę, drugi był księdzem katolickim.

– Proszę wybaczyć, *Herr General*, że będę mówił bardzo głośno, ale w służbie jego królewskiej mości Fryderyka Wilhelma II niemal zupełnie straciłem słuch w lewym uchu – zaczął ten pierwszy – Za wstawiennictwem obecnego naszego monarchy, oczywiście po przedstawieniu na piśmie stosownych referencji i moich planów na przyszłość, zostałem wybrany tutejszym Polizeibürgermeisterem<sup>49</sup>. Pan pozwoli, że się przedstawię: podporucznik von Möller. A to – burmistrz wskazał ręką duchownego – nasz proboszcz od Świętych Apostołów, ksiądz Joannes Nepomucenus Franciscus Czychowski<sup>50</sup>. Reprezentujemy mieszkańców Heilsbergu i majestat jego wysokości króla Prus Fryderyka Wilhelma III. Ja mówię po niemiecku i francusku, ksiądz biegle włada niemieckim, polskim i łaciną.

– Miło mi panów poznać, bo w najbliższych godzinach będziemy musieli

współpracować. Niestety, zapewne bardzo krótko i w okolicznościach wybitnie nie sprzyjających kultywowaniu przyjaźni.

W umyśle burmistrza zrodziło się straszliwe podejrzenie:

– Czyżby *Herr General* zamierzał spalić nasze miasto?!

– Na miłość Boską, proszę tego nie czynić! – Zawołał proboszcz.

– *Meine Herren*, zapewniam, że nigdy nie robię niczego, co nie jest konieczne.

Sytuacja strategiczna zmusza nas do spalenia dwóch mostów. Niewykluczone, że spłoną też magazyny – tu ułowił rozpaczliwe spojrzenia obu notabli heilsberskich. – Ale tylko w ostateczności. Poniesione straty zostaną zawiązką zrekompensowane po ostatecznym zwycięstwie – ostatnie zdanie generał dodał na własną odpowiedzialność.

– Czyli samo miasto nie spłonie? – Upewniał się proboszcz.

– Nie przewiduję takiej ewentualności. Chyba że nieprzyjaciel je podpali, ale na to już nie będę miał wpływu.

Niespecjalnie uspokojeni notable stali w milczeniu z zafrasowanymi minami. Zamilkli także zgromadzeni wokół mieszkańcy, którzy słyszeli rozmowę choćby z powodu podniesionego głosu na pół głuchego burmistrza. Jeszcze nic szczególnie tragicznego się nie wydarzyło, ale atawistyczna wyobraźnia podsuwała im już makabryczne wizje pożarów, paniki, głodu, chorób i masowych zgonów, jakie wcale nie tak dawno musieli na tej ziemi przeżywać ich przodkowie. Czuli, że tamto znowu nadchodzi. I że nic nie mogą na to poradzić...

Od strony Burgstrasse<sup>51</sup> powrócił na rynek pułkownik Gnaade. Zameldował Warneckowi:

– *Wasze błagorodje*, oba mosty w mieście płoną, moi ludzie pilnują, by zgorzały należycie i żeby ogień się nie rozniósł. – Gnaade zawahał się.

– Tak pułkowniku? Chce pan coś powiedzieć?

– Chodzi o zamek. Kiedy podpaliliśmy most przy Mühlentor, widzieliśmy z dość bliska bryłę zamku. To duża, solidna budowla, górująca z prawego brzegu Alle nad miastem. Zastanawiam się, czy nie warto by go obsadzić?

Generał pomyślał chwilę i odrzekł:

– Skoro, jak pan twierdzi, leży on już po drugiej stronie rzeki, to nawet jeśli wróg go opanuje i tak nie będzie miał przystępu do naszego lewego brzegu. Z kolei nasza załoga w zamku mogłaby zostać łatwo odcięta, nie mając dróg odwrotu.

– Jednak z górnych kondygnacji zamku Francuzi mogliby ostrzeliwać miasto. Strzelaliby nam niejako w plecy.

– Zastanówmy się dobrze. – Warneck spojrział na czarny masyw opustoszałego zamku, w którego oknach nie paliło się ani jedno światło, po czym nagle zwrócił się do von Möllera:

– *Herr Bürgermeister*, jak wysokie są domy w kwartałach dzielących zamek od rynku?

– W samym rynku i przyległych ulicach mają po dwie lub trzy kondygnacje. Przy Fleischerstrasse, tam dalej na dole, wzdłuż Alle, prawie wszystkie mają po dwie kondygnacje.

– Wobec tego – kontynuował Warneck, wracając do rozmowy z pułkownikiem –

dopiero z drugiej lub trzeciej kondygnacji zamku można skutecznie ostrzeliwać te kwartały. A skoro tak, to wyklucza użycie zwykłej artylerii. Zakładam, że w wysuniętych oddziałach nie będą mieli dział czy moździerzy strzelających stromotorowo.

– Chyba nie – wzruszył ramionami Gnaade.

– Poza tym, niech pan spojrzy – generał wskazał ręką zamek i wylot Burgstrasse. – Stąd widać tylko dach zamku, bo zasłaniają rynek otaczające go kamienice i domy przy Burgstrasse i Fleischerstrasse. Wygląda na to, że karabinowy ostrzał z zamku byłby niebezpieczny tylko dla tych, którzy zmuszeni byłiby poruszać się po Burgstrasse, południowej pierzei rynku i biegnącej dalej w kierunku zachodnim Querstrasse – tam zresztą byłoby już dla strzelców dość daleko. Czyli obsadzenie zamku możemy sobie spokojnie darować.

– Jak *wasze błagorodje* rozkaże! – wyprężył się Gnaade.

Warneck zwrócił się do stojącego w pobliżu dowódcy pierwszej roty „koporców”:

– Poruczniku, proszę przypomnieć mi pańskie nazwisko.

– Żadowski, *wasze błagorodje*!

– Niech pan wyznaczy pododdział do obsadzenia zablokowanej Kirchentor. Będą mieli oko na spalony most i bieg Alle od bramy do ujścia fosy przy Hohe Tor. Proszę wybrać dobrych żołnierzy z odpowiedzialnymi podoficerami.

– *Słuszajus’*, *wasze błagorodje*!

– Dostaniecie miejscowego przewodnika. – Warneck skinął na burmistrza. – *Herr Bürgermeister*, niech ktoś z zaufanych mieszkańców poprowadzi tych żołnierzy i stale im towarzyszy.

Porucznik Żadowski bez wahania wybrał wzwody unteroficerów Dmitrijewa i Pankratowa. Całością miał dowodzić Timofiej Dmitrijew. Grupa wyruszyła na stanowiska, prowadzona przez mężczyznę około trzydziestki, odzianego w czarną grubą sukienną kaptę sięgającą do pół łydki, spod której wystawały skórzane sztyfle. Na głowie miał sukienną czapę z nausznikami, wokół szyi zawiązany szalik, dłonie okrywały wełniane rękawice z jednym palcem. Nosił obfity wąż, co dodawało mu lat. – Georg Woelky, czeladnik krawiecki – przedstawił się krótko i potem cały czas milczał. Przebyli Querstrasse i spoza niewysokich na tym odcinku starych murów obronnych usłyszeli lekki szum wiatru w pozbawionych liści nadrzecznych wierzbach. Było tu znacznie ciemniej, niż na rynku, można też było wyczuć charakterystyczne, nieprzyjemne zapachy. Timofiej zapytał Woelky’ego po niemiecku:

– Garbarnie?

– Tak, ale nie tylko. Tu obok jest Neumarkt, znaczy Nowy Rynek. Handluje się tu bydłem i po części je oprawia. Niewykorzystane resztki i nieczystości wyrzuca się prosto do Alle. Niby zmywa się wodą, a i deszcze spłukują brudy po pochyłości, ale i tak smród pozostaje...

– A te domki w dole po prawej, już za ujściem fosy?

– Te koło Hohe Tor? To domy garncarzy. Dlatego mówimy na to miejsce Töpfergrund, znaczy Garncary.

Timofiej pomyślał, że gdyby wróg chciał ich osaczyć i zablokować w mieście, powinien był uderzyć w tym właśnie miejscu i opanować Hohetor Vorstadt. Tylko



bowiem przez tę bramę Rosjanie mogli się wycofać na Preussisch Eylau i Königsberg. Alle była skuta cienkim, kruchym lodem, nurt był zbyt bystry, by można było się bezpiecznie przepłynąć w dużej grupie i z cięższym sprzętem. Wyznaczywszy stanowiska żołdatom, Timofiej i Pankratow zaczęli się rozglądać po otoczeniu, starając się przewidzieć, co może wykorzystać nieprzyjaciel, gdyby zechciał przepłynąć się po lodzie. Mogły być to tylko mizerne domki z Kirchentor Vorstadt i stojące obok nich szopy i płoty, ewentualnie lekko tylko nadpalone dźwigary Kirchentor Brücke. Spaliły się bowiem tylko legary.

– Grisza – Timofiej zwrócił się do Pankratowa, z którym razem rozpoczynali służbę w pułku koporskim – Dobrze byłoby jakoś zasugerować dowództwu, żeby ustawili na tym odcinku chociaż jedno działko. Bo Francuzi ani chybi spróbują się tu przepłynąć – wskazał nisko położone domki Töpfergrund. – Do tego zaś będą potrzebowali belek i desek z dźwigarów spalonego mostu i z tych budynków naprzeciwko. Ostrzelani z bliska kartaczami ponieśliby duże straty, a może i zupełnie odstąpili...

– Tylko jak? Tima, jeśli przyjdzie tu porucznik Żadowski, wspomnimy mu o tym; trzeba zachować drogę służbową.

– Masz rację, ale to akurat może potrwać. Nie wiem, czy przeciwnik da nam dość czasu na zastanowienie i podjęcie decyzji. Wyślę do porucznika moich zaufanych: Fiedota i Borysa. Może się uda.

Kiedy jednak pół godziny później obaj żołdaci próbowali odnaleźć dowódcę swojej rotacji, zostali zatrzymani u wrót ratusza przez pełniących straż dwóch nadętych huzarów.

– *Gospodin lejtenant użinajet s drugimi oficerami. Mer ich prigłasił. Lejtenant skazał, czto by jemu nikakim obrazom nie mieszat'!* Podożditie do zawtra!<sup>52</sup>

„Jutro rano może być już za późno” – pomyślał Timofiej, kiedy Fiedot i Borys powrócili z niczym. – „Dla nas wszystkich”.

Był wczesny ranek 6 lutego; około godziny czwartej, jeszcze w ciemnościach, marszałek Davout opuścił swą kwaterę w Benern<sup>53</sup> i nocującą na linii Freimarkt – Benern dywizję generała Frianta, by dołączyć w Amt Guttstadt do wojsk dywizji generała Moranda. Trzecia dywizja korpusu, dowodzona przez generała Gudina, stała już od wieczora w samym Guttstadt; tego dnia miała zwolna podążać za Friantem lewym brzegiem Alle. Friant zaś, wraz z towarzyszącą mu dywizją Saint-Hilaire'a, powinien wczesnym popołudniem osiągnąć okolice Retsch i Grossendorfer See na północny zachód od Heilsbergu. Ich marszruta przebiegała przez Launau i Reimerswalde, drogą wiodącą przez duży kompleks leśny. Celem manewru Frianta było utworzenie „kowadła” dla „młota”, jakim mieli być Morand i Marulaz operujący pod okiem samego marszałka. Jeśli tylko dopisze szczęście, obie dywizje i jazda korpusna bez wątplenia zgniotą siły rosyjskie, jakie nieopatrznie pojawiły się w okolicy Heilsbergu. Liczone łącznie, wojska Moranda, Marulaza i Frianta miały tam bowiem nad Rosjanami miażdżącą przewagę.

Decyzję o wcześniejszym wymarszu dywizji przyspieszył goniec, przysłany poprzedniego wieczora z Liewenbergu przez generała Ricarda. Jeżeli Marulaz faktycznie zwiąże tam Rosjan, jest szansa, że uda się ich osaczyć i rozbić. Generał Charles Antoine Louis Alexis Morand, jeden z „trzech nieśmiertelnych” spod Auerstedt, weteran Armii Renu, Armii Północy i wielu kampanii Napoleona (także tych z czasów, kiedy był tylko

generałem Bonaparte), pucułowaty na twarzy, ze starannie przystrzyżonymi bokobrodami, charakterystycznym zaczesem do góry, odsłaniającym wypukłe wysokie czoło, i lekko opadającymi powiekami, wyglądał trochę jak łobuziak z podejrzanym dzielnicy Paryża. Urodzony w Pontarlier przy granicy szwajcarskiej, prawnik z wykształcenia, liczył sobie obecnie niecałe 36 lat<sup>54</sup>. Przed opuszczeniem pałacu w Amt Guttstadt chciał zaczekać na przyjazd Davouta, by razem wyruszyć na Heilsberg. Polski oficer sztabowy kapitan Zadera powiedział mu, że skromny, lecz gustownie zaprojektowany pałacyk, stanowiący przez jedną noc kwaterę Moranda, był ongiś własnością polskich biskupów Warmii, dopiero po rozbiore w 1772 roku należący do pałacu folwark przejął rząd pruski, a w rękach biskupa Krasickiego pozostał tylko budynek rezydencji. Kiedy kolejny biskup, już niemiecki, Karol von Hohenzollern-Hechingen wyjechał do nowej siedziby w Oliwie koło Gdańska, pałacem *de facto* zawiadywał zarządca rządowego folwarku. Moranda niezbyt interesowały te sprawy, grunt, że wyspał się porządnie i teraz energicznie szykował się do kolejnej akcji. Trzeba było się pospieszyć, gdyż Marulaz oczekiwał ich już w Reichenbergu, przenocowawszy na tamtejszej plebanii. Wczorajszego wieczora rozpoznał nieco sytuację w mieście i potrzebował licznej piechoty oraz artylerii zdolnej osłonić przeprawę przez Alle i to przynajmniej w dwóch punktach. Bez tego nie było sensu podejmować jakiegokolwiek akcji przeciwko nieprzyjacielowi stojącemu pod Heilsbergiem.

Wreszcie około godziny szóstej Davout dotarł do Amt Guttstadt i można było ruszać. Trąbki i tarabany podały sygnały do zbiórki i wymarszu, po czym wśród chrzęstu oporządzenia, bicia kopyt, tupotu butów i hurgotu kół armatnich kolumna podążyła drogą na Heilsberg. Zaśnieżona okolica pełna pagórków i lasów wymuszała nieustanną czujność. W każdej chwili zza drzew lub wzniesień mogli ukazać się kozacy, których wszędzie było pełno. Dlatego rozglądano się na boki a broń trzymano nabitą. Po drodze w Liewenbergu połączyli się z awangardą generała Ricarda.

W Reichenbergu już przy rozjeździe na Stolzhagen<sup>55</sup> powitał ich Marulaz, nie ukrywający spontanicznej radości na ich widok:

– *Monsieur le maréchal* jakże się cieszę, że znów będziemy wspólnie prowadzić działania. To dla mnie zaszczyt i gwarancja sukcesu!

– Też się cieszę *monsieur le général*. – Davout uśmiechnął się lekko. – Dajmy jednak spokój tym duserom i przystąpmy do rzeczy. Czy ma pan jakiś wstępny ogólny plan działania?

– Tak jest. Pokażę panu. – Marulaz skinął ręką na adiutantów, którzy rozpostarli mapę Prus Wschodnich. Marszałek i dwaj generałowie: Marulaz i Morand, pochylili nad nią głowy.

– Myślę, że część piechoty z kilkoma działami powinniśmy pchnąć tą drogą. – Marulaz wskazał palcem drogę przez Wosseden do Amt Heilsberg. – Oni i tak już o nas wiedzą, więc nie ma sensu się kryć, a tak najszybciej dotrzemy w pobliże mostu przy domenie rządowej. Z mapy wynika, że nad doliną Alle i mostem góruje wysoka skarpa na prawym, naszym, brzegu. Stamtąd położymy ogień zaporowy na lewobrzeżne podejście do mostu, a sami przeprawimy się bezpiecznie...

– A jeśli oni do tej pory zdążyli zniszczyć most? – spytał Davout.

– To oczywiście jest możliwe, a nawet bardzo prawdopodobne. W pobliżu mostu mamy jednak dużo lichych domków, płotów i szop; rzeka jest skuta cienkim lodem, na którym można będzie ułożyć drewniane pomosty dla piechoty.

– Brzmi całkiem rozsądnie. – Davout przyjrzał się mapie i dodał. – Jednak w tym samym czasie inna część naszych wojsk powinna dotrzeć do Heilsbergu główną drogą i zaatakować tamtejsze przedmieście i most koło fary. Każde z tych miejsc zaatakujemy bezpośrednio siłami jednego pułku, reszta pozostanie w rezerwie. Użyjemy jej zależnie od rozwoju sytuacji. No i dobrze byłoby utrzymywać stałą i skuteczną łączność z Friantem. To dość trudne: odległość, rzeka, kozacy...

– Zadbam o to. Mam ludzi, którzy się do tego nadają. Generale Morand – Marulaz obrócił się do dywizjonera – które z pańskich pułków wyznaczy pan do natarcia?

Morand odpowiedział po chwili zastanowienia:

– W czołówce mamy dwa pułki: 13. lekki i 17. liniowy. Batalion „siedemnastki” jest najbliżej miasta, gdyż już wczoraj wieczorem przeszedł z Liewenbergu do Reichenbergu. Niech dołączy do niego reszta pułku, a wtedy całość uderzy na bramę koło fary i przedmieście. Dostaną kilka dział. Natomiast „trzynastka” zaatakuje przeprawę koło Amt Heilsberg. Pod osłoną ognia artylerii oczywiście. Osobiście będę nadzorował to natarcie.

– Co z kawalerią i resztą piechoty? – zapytał Marulaz.

– Musimy koordynować akcję obu pułków, zachować gotowość do przeprawy na lewy brzeg i pościgu za uchodzącym nieprzyjacielem, a także pamiętać, że z Guttstadt przyjdzie za nami dywizja Gudina, której trzeba zostawić miejsce na drogach – rozważał marszałek. – Dlatego całość kawalerii pozostanie tutaj – wskazał na mapie rejon Amt Heilsberg. – Jedynie mały oddział zapewni łączność z grupą atakującą bramę koło fary. Jako jej wsparcie wystarczy dodatkowy batalion piechoty. Także reszta piechoty będzie tam oczekiwać na rozstrzygnięcie walki o przeprawę w Amt Heilsberg i na wiadomość od Frianta. No właśnie, Marulaz, kogo wyznaczy pan do utrzymywania kontaktu z 2. dywizją?

– *Mon maréchal*, mam u siebie nadetatowego oficera przysłanego na kilka dni z pańskiego sztabu przez generała d’Aultanne’a. Podporucznika Ledru. Dobrze sobie wczoraj poradził z kozakami w lesie i aż pali się do takich zadań. Dam mu kilku szaserów, niech spróbują dotrzeć do Frianta i powiadomić go o naszych planach.

– Ach, Antoine Ledru? Nieco narwany, ale sprytny i sympatyczny gówniarz. Myślę, że to dobry wybór. Znałem kiedyś jego dziadka... – Davout znów się uśmiechnął. – Morand, niech pan każe wezwać pułkowników Guyardeta i Lanusse’a. Trzeba im wyjaśnić szczegóły naszego manewru.

– Tak jest! Zaraz tu będą – generał odwrócił się i wydał dyspozycję adiutantowi. Ten zsalutował i oddalił się. Marulaz z kolei skinął na podporucznika Ledru, stojącego kilka kroków obok, i zaczął udzielać mu instrukcji. Po chwili wszyscy wyznaczeni do natarcia oficerowie stanęli przed marszałkiem.

– Cóż, panowie, oto kolejny dobry dzień, by chwalebnie umrzeć – zażartował Davout – Śnieg od wczoraj nie pada, wiatr zelżał, jest nieco cieplej...

Zgromadzeni oficerowie uśmiechnęli się uprzejmie, ale żaden nie podjął tematu

pogody. Wiedzieli, że ten dzień będzie trudny i krwawy. Czekali na rozkazy.

Ranek wstał pochmurny i zimny, jednak bez opadów śniegu, toteż widoczność była dość znośna. Kozacy rzadką tyralierą obsadzali okoliczne wzniesienia, bacznie obserwując teren. Jęgrzy pułkownika Kulikowskiego, uszykowani w „*jegierskuju cep*”<sup>56</sup>, ustawili się po obu stronach parowu, którym wiodła boczna droga do mostu w Amt Heilsberg, oraz wzdłuż brzegu zamrożonego rozlewiska Alle z niewielką wysepką połączoną groblą z łądem stałym<sup>57</sup>. Także po obu stronach parowu ustawiono dwa działa sześciofuntowe, wycelowane na spalone resztki mostu, wokół których lód był stopiony. Na drodze z Wormditt stał w charakterze rezerwy szwadron huzarów pawłogradzkich. Przy nich pozostawali: dowodzący całością pułkownik Kulikowski i podpułkownik Rosen. Od godziny to jeden, to drugi co chwila unosił do oka składaną perspektywę. Obserwowali przeciwległy brzeg, z którego dobiegały stłumione odgłosy toczących się ciężkich kół, do których następnie dołączyło odległe rżenie koni. Z kominów zabudowań Amt Heilsberg nie unosiła się ani jedna smuga dymu, jakby tamtejsza ludność wymarła albo opuściła swe domy. Nie słychać było nawet szczekania psów.

– Działa – lakonicznie stwierdził Rosen i obejrzał się na wzgórza za swoimi plecami. Nad jednym z nich zaczął się unosić gęsty słup ciemnego dymu – to kozacki posterunek dawał znak, że dostrzegł przeciwnika. Rosen ujrzał galopującego w jego stronę kozaka. Ten po chwili osadził konia przed obu oficerami i zameldował Kulikowskiemu:

– *Wasze blagorodje, Francuzy idut!* Dużo. Kawaleria, piechota, armaty. Dużo więcej, niż naszych tutaj.

– Niech sotnik Mołokow pośle kogoś do generała Warnecka do Heilsbergu. Natychmiast!

– *Słuszajus’, wasze blagorodje!* – Kozak popędził do komendanta sotni.

Kulikowski nakazał Rosenowi pozostać przy huzarach na drodze, a sam postanowił ostatni raz przed spodziewanym starciem zlustrować pozycje jęgrów i artylerii. Jęgrzy, w miarę jak przejeżdżał wzdłuż ich łańcucha, prostowali się kolejno i usztywniali karki patrząc wprost przed siebie.

– Kiedy tylko pokaże się przeciwnik, proszę zakomenderować „*wolnyj zariad*” i dalej prowadzić ogień według uznania – zwrócił się do bezpośrednio dowodzącego jęgrami majora Konowałowa. W tym momencie obaj ujrzeli ostrożnie podążającego ku nim po ułożonych na lodzie przez jęgrów podczas palenia mostu kilku deskach cywila z rozcapierzonymi na boki rękami, odzianego w urzędniczy mundur i pelerynę. Był to zarządca domeny rządowej.

– *Herr Kommandant, wir haben die Franzosen gesehen! Das feindliche Packzeug kommt mit vielen Kanonen aus dem Wald Hundegeheck!*<sup>58</sup>.

Kulikowski nie rozumiał po niemiecku, toteż skierował zarządcę do podpułkownika Rosena. Zaledwie zdążyli się rozmówić, na drugim brzegu pojawiło się kilku jeźdźców. Przemknęli galopem w stronę kościoła w Amt Heilsberg, następnie zawrócili i wjechali na drogę wiodącą skosem w dół, ku mostowi. Zdawali się jawnie prowokować długie szeregi Rosjan stojących po drugiej stronie Alle. Ci jednak trwali nieporuszeni, nie otwierając ognia. Natomiast francuscy szaserzy oddali w ich kierunku

dwa strzały, z daleka dobiegł ich głuchy odgłos, poprzedzony pojawieniem się obłoczków dymu prochowego. Kule zagwizdały w powietrzu, nie trafiając nikogo. Francuzi zawołali coś głośno, któryś się roześmiał, po czym zawrócili konie i pognali ku swoim, którzy niczym olbrzymie stado czarnych żuków zaczęli wylewać się z lasów na prawo od domeny rządowej.

Kulikowski dołączył do Rosena i powiedział:

– Główny ciężar walki spadnie na moich jegrów. Przeciwnik z pewnością dysponuje przewagą liczebną, zwłaszcza w artylerii. Luźny szyk nieco złagodzi nasze straty od ich ognia. Gorzej będzie, kiedy działa podejną bliżej i zaczną bić kartaczami. Będziemy bronić przeprawy tak długo, jak się da, potem wycofamy się ku miastu. Chyba, że generał Warneck zadecyduje inaczej.

– Moi huzarzy nieraz osłaniali odwrót, poradzą sobie. Kozacy także.

– Moi jegrzy też potrafią szybko strzelać i szybko biegać. Jestem więc umiarkowanie spokojny.

Tymczasem na francuskim brzegu ukazała się grupa jeźdźców w stosowanych kapeluszach. Obaj pułkownicy ponownie przyłożyli perspektywy do oka. Przez szkła widać było barwne mundury Francuzów, hafty i ordery. Sztab. Nagle Rosen oderwał lunetę od oka i znów szybko przyłożył:

– No, panie pułkowniku, jesteśmy w doborowym towarzystwie. Pofatygował się do nas osobiście sam marszałek Davout! Będzie gorąco!

– To oznacza, że bardzo poważnie traktują starcie. Nie możemy zaniedbać niczego. I nie łudźmy się, nie zdołamy ich tu powstrzymać. Ale zrobimy, co w naszej mocy, by opóźnić przeprawę.

Nie rozumiejący ich rozmowy ani powagi sytuacji zarządca tryskał entuzjazmem, wygrażając pięścią Francuzom na prawym brzegu:

– *Verfluchte Pachulken! Wir werden euch alle mit ein Sternicksel gestossen!*<sup>59</sup>

Kulikowski i Rosen wymienili znaczące spojrzenia. Zapał urzędnika był dość groteskowy. Kazali mu zostać przy huzarach, by nie narażał się na niebezpieczeństwo, a im nie przeszkadzał. Zdziwił się mocno, ale usłuchał.

Za sztabem przybyła w większej liczbie kawaleria, potem pojawiły się działa. Jedno, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć – liczył Rosen. Francuzi zatoczyli je na stanowiska, usytuowane na wzgórzach. Odprzodkowali i załadowali. Wszystko przebiegało w szybkim tempie. Tymczasem nadeszła piechota. Jej część rozsypała się natychmiast w tyraliery, biegiem posuwając się ku brzegowi Alle. Co chwila któryś z tyralierów oddawał strzał, z luf wykwiwały obłoczki dymu, pierwsze kule zagwizdały nad głowami jegrów. Major Konowałow jednak nadal czekał, aż Francuzi podejną bliżej. Po żadnej ze stron nie polała się jeszcze krew.

Nagle jeden z jegrów krzyknął i złapał się za lewe ramię, palce zabarwiły się na czerwono. Pierwszy ranny! Konowałow wydał komendę:

– *Wolnyj zariad!* – Po czym nastąpiły skrócone komendy strzeleckie i Rosjanie oddali salwę. Wzdłuż łańcucha jegierskiego przetoczył się grzechot karabinowych wystrzałów a postacie żołdatów na chwilę zasnuł dym. Po drugiej stronie też ktoś wrzasnął, ktoś inny upadł i nie podniósł się więcej. Francuscy tyralierzy także strzelali.

Widoczność spadła niemal do zera, bo wiatr był słaby, nie rozwiewał dymu od razu. Po obu stronach ładowano dowolnie i strzelano bez komend. Byli ranni i zabici. Obecny przy jegrach Konowałow działał automatycznie, nie zastanawiając się nad sytuacją w innych rejonach pola walki.

Wtedy ponad grzechot ognia karabinowego przebił się huk kilku wystrzałów armatnich. Cztery żelazne kule przeleciały z głośnym wizgiem, piąta roztrzaskała w drzazgi pień rosnącej obok starej wierzby, szósta urwała głowę jednemu z jegrów. W górę wytrysnęła obfita fontanna krwi, ciało w jasnozielonym mundurze zważyło się na śnieg jak worek owsa. Anton Iwanow nie wróci już do kraju. Jego koledzy stojący po lewej, Artiom i Sasza, otarli twarze zroszone krwią Antona i ponownie zaczęli ładować broń. Siergiej, partner z pary Antona, stanął na jego pozycji, jego miejsce zajął z kolei inny jegier, Paszka Glebow. Walka nabierała rozmachu...

Georges Pignatel, wołyżer 13. pułku lekkiego, zdołał dotrzeć do samego brzegu rzeki mimo gęstego ognia rosyjskich jegrów. Rosły tam stare wierzby i olchy o grubych pniach, za którymi można było znaleźć schronienie. Za olchą oddaloną o dwadzieścia kroków na prawo skrył się jego dowódca sierżant Remi Pirvauchin. Korzystając z bezpiecznej osłony, przeczyścił swe okrągłe okulary i ponownie nasadził na nos. Na migi wskazał Georgesowi rosyjskiego podoficera dowodzącego wzwozem jegrów. Znajdował się on w odległości około czterdziestu kroków, jakieś dwadzieścia od drugiego brzegu. Można było pokusić się o trafienie. Georges wycelował na tyle precyzyjnie, na ile pozwalała broń, a to zawsze była swego rodzaju loteria. Znał jednak własny AN IX, wczoraj wieczorem dokładnie go wyczyścił i wymienił skałkę. Może się uda... Rosyjski podoficer go nie widział; jego usta otwierały się, zapewne wypowiadał jakieś komendy. Co chwila wykonywał ruchy prawą ręką. Nagle spojrzał wprost przed siebie i Georges odniósł wrażenie, że przeciwnik go widzi i próbuje hipnotyzować wzrokiem. „Bzdura! Jestem ukryty za drzewem, on nie może mnie widzieć. To tylko nerwy!” – myślał wołyżer. Potrząsnął głową jakby zbudzony ze snu i ponownie wymierzył.

Działa francuskie wystrzeliły trzy salwy bez większego skutku. Starszyna<sup>60</sup> Jewsiejew po kilku minutach wymiany ognia był już spocony jak szczur. Na chwilę zdjął kiwer i otarł czoło rękawem, gdyż pot zalewał mu oczy, utrudniając widzenie. Nagle owładnęło nim dziwne przeczucie, poczuł jakby zimny podmuch wiatru na plecach, co wydało mu się osobliwe, bo wiatr niedawno ustał i nie poruszała się żadna gałązka. Czy aby na pewno żadna? Po przeciwnej stronie rzeki, za grubym pniem wypróchniałej wierzby wyraźnie poruszyły się świeżo odrosłe przy ziemi witki. Zaraz potem ujrzał wychylającego się zza drzewa, mierzącego do niego Francuza. Nie był w stanie w żaden sposób zareagować, tamten już naciskał spust. Wtedy wypalił jegier po lewej stronie Jewsiejewa, zasłaniając górną połowę ciała starszyny chmurą dymu...

To zdarzyło się tak niespodziewanie, że Georges jeszcze długo potem wspominał ten niesamowity, niewyobrażalny przypadek. W chwili, kiedy jego palec naciskał spust, twarz Rosjanina nagle zniknęła a w bikorn wołyżera coś uderzyło z góry, mocno i zarazem miękko. Tuż nad uchem rozległo się chrapliwe krakanie a wzrok Georges'a ułowił przez ułamek sekundy błyszczące oko olbrzymiego kruka. Ptaszysko najwidoczniej oszalało ze strachu, słysząc huk wystrzałów i krążyło zdezorientowane nad

pobojowiskiem. Georges odruchowo podrzucił ręce w górę i strzelił panu Bogu w okno.

Jewsiejew poczuł silne uderzenie w trzymany w dłoni kiwer, który miał właśnie ponownie nasadzić na głowę. Jeden rzut oka wyjaśnił wszystko: w usztywnionym klejem kostnym czarnym suknie kiwera ziały dwie nieduże okrągłe dziury, jeszcze lekko dymiące po przejściu ołowianej kuli. Spojrzał za rzekę, gałęzie już się nie poruszały, zza drzewa wystawał tylko nieco łokieć Francuza. Woltyżerów było zresztą na brzegu już całkiem sporo. Było oczywiste, że wkrótce nastąpi poważniejszy atak. W tym momencie otworzyły ogień oba rosyjskie działa. Grad kul kartaczowych spadł na rozproszonych francuskich piechurów, kilku zabijając lub raniąc. Na obu brzegach biel śniegu znaczyły już rozległe plamy krwi i bryły czarnej ziemi, wrywanej na wierzch przez pociski armatnie. Francuzi zawrócili, pozostawiając nad rzeką kilku ukrytych za drzewami strzelców. Stado przerażonych gawronów i kruków ostatecznie odleciało z głośnym krakaniem w stronę Lasu Hundegeheck. Po stronie francuskiej działa umilkły. Rosyjskie po kilku salwach poszły za ich przykładem. Nastąpiła złowróżbna cisza, przerywana na francuskim brzegu uderzeniami siekier, trzaskiem rozbijanych ścian, wyłamywanych belek i wiklinowych płotów.

Kulikowski lustrował przeciwny brzeg przez perspektywę. Widział rojących się jak muchy Francuzów, rozbierających zabudowania Amt Heilsberg. Odrywane elementy ścian, dachów i płotów układano w kilka wielkich stosów. Cel tych działań był oczywisty: szykowano improwizowane pomosty wzmacniające kruchy lód na Alle i umożliwiające przeprawę. Godzinę później w stronę rzeki ponownie ruszyły grupy tyralierów. Za nimi posunęły się nieco ku Rosjanom francuskie działa, zatrzymując się i ustawiając w odległości umożliwiającej kartaczowy ostrzał pozycji jegrów i armat rosyjskich. Jeszcze dalej uformowały się grupy saperów, niosących na ramionach drewniane belki, żerdzie i plecione płoty. Naraz turkot kół armatnich ustał, piechota zastygła nieruchomo. Trwało to tylko moment. Rozległ się pojedynczy wystrzał armatni, po czym tyralierzy, nie bacząc na straty zadawane przez znow strzelające rosyjskie działa i jegrów, zaczęli gęsto ostrzeliwać obsługę obu armat przeciwnika i łańcuch jegierski. Nad ich głowami przelatowały kule kartaczowe i granaty, rozrywające się nad pozycjami Rosjan. Kiedy zniesiono z pola ciężko rannego majora Konowałowa, Kulikowski i Rosen, nie chcąc dopuścić do rozbicia dział, rozkazali jegrom i artylerzystom wycofać się ku drodze, gdzie stali huzarzy. Wtedy jakby za dotknięciem różdżki ruszyli ku spalonemu mostowi saperzy z drewnianymi belkami i deskami. Za nimi równym, powolnym krokiem nadchodziła zwarta masa piechoty.

Po odbyciu swojej kolejki warty Timofiej oparł się o koronę muru miejskiego, mocniej rozparł się na nogach, położył czoło na wyciągniętym przedramieniu i zaraz potem zadrzemał. Wciąż było ciemno. Przyzwyczał się do odpoczywania w tej pozycji. Gdyby się położył, bez ogniska groziłaby mu nawet śmierć od wychłodzenia. Zmęczenie sprawiło, że sen był głęboki. Rzeka... Śniła mu się bystro płynąca rzeka o urwistych brzegach, na skarpach widać było gniazda jaskółek. Szemrzący nurt nastrajał kojąco, pachniały polne kwiaty. Po drugiej stronie gęsto rosły bielejące w słońcu brzozy. Ich drobne listki, z jednej strony zielone, z drugiej jasnosiwe, szeleszcząc mieniły się i migotały na wietrze jak drobne monety. Słysząc było kukanie kukulki. „Czy mam przy

sobie jakieś pieniądze?” – pomyślał we śnie Timofiej. – „Kiedy słyhać kukułkę, dobrze mieć je w sakiewce, na dobrą wróżbę...”. Poczuł, jakby płynął łodzią z nurtem. Po obu stronach wznosiły się zielone, zalesione wzgórza. Przed sobą widział szeroki, obrócony podstawą do góry trójkąt czystego nieba, na którym pojawiły się dwie białe chmury. Naraz chmury przybrały postać oprawionych długimi rzęsami, cudownie błękitnych oczu. Oczy te zdawały się przenikać Timofieja do głębi duszy. Skądś, z samego dna serca, zaczęła pobrzmiwać cicha, słodka muzyka, powoli narastając i zmieniając się w czarowną harmonię dźwięków. Kołysały one duszę Timofieja jak matka niemowlę w kołysce. Wtedy nagle powiał silny wiatr, niebo zasnuły ciemne chmury, nurt rzeki stał się porywisty i niebezpieczny. Wokół błękitnych oczu pojawiła się piękna owalna twarz z niedużym nosem i bladoróżowymi, lekko wilgotnymi ustami. Otaczały ją długie, jasne włosy, zaplecione na skroniach w drobne warkoczyki, związane z tyłu. Brwi, oczy i usta przybrały wyraz trwogi i niepokoju. „Tima! Timoczka! Zbudź się! Zbudź się, bo łódź poniesie cię w przepaść!”. Timofiej obudził się gwałtownie i ze zgrozą stwierdził, że wyczerpani żołdaci pospali się na warcie. Tymczasem w bladym świetle wstającego dnia unteroficer ujrzał wyrajające się spomiędzy domków Kirchentor Vorstadt liczne sylwetki nieprzyjacielskich piechurów, bezszelestnie pomykających w stronę niedopalonego mostu. „To znów ona, moja Marfa. Czuwa nade mną z daleka, nie pozwoli mi zginąć! To ona mnie obudziła!”. Timofiej natychmiast poderwał swoich i pozostałych żołnierzy okrzykiem:

– *Barabannyj boj! Triewoga obszczaja!*<sup>61</sup>

Dobosze przecierali zaspane oczy. Po chwili z różnych stron zawarczały tarabany. Wzdłuż całego odcinka murów między Kirchentor a Hohe Tor podnosiły się ponad blankami czarne kiwery rosyjskiej piechoty. Ładowano karabiny. Tima Dmitrijew przebiegał za plecami swych żołdatów, lustrując szybko stan broni. Inni czynili to samo. Nadbiegał już także od strony ratusza porucznik Żadowski, którego zaczerwienione oczy zdradzały, że wczoraj dobrze sobie dogodził przy stole burmistrza. „Koporcy” obsadzili gęsto mury, część pułku stanęła w rezerwie na rynku. Huzarzy i dragoni z częścią kozaków obstawiali składy na Hohetor Vorstadt. „Zaraz się zacznie... W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego! Dzięki ci, kochana! Marfieńka, kiedy ty jesteś ze mną, choćby tylko duchem, nic złego mnie nie spotka!” – z tą myślą Timofiej zaczął szykować się do nadchodzącej walki.

Antoine, Gontarz oraz czterej szaserzy o imionach Gaston, François, Raymond i Pierre w milczeniu jechali lekkim kłusem przez zaśnieżony las, porastający brzegi Alle. Towarzyszył im równie milczący, ponury przewodnik pochwycony w Amt Heilsberg. Miał całkiem przyzwoitego wierzchowca, wybranego ze stajni folwarku rządowego. Dlatego Antoine wciąż miał na niego oko – a nuż przyjdzie mu do głowy zbiec? Przecież to on najlepiej zna tu każdą ścieżkę. Podporucznik postanowił go wybadać, zagajając za pośrednictwem mówiącego po niemiecku Gontarza:

– Hej, ty... Jak ty się właściwie nazywasz?

Mężczyzna rzucił niechętnie spojrzenie spod filcowego trikorna, wciśniętego na okutaną wełnianym szalikiem głowę, i odpowiedział półgębkiem:

– Klaus Weber – i dalej milczał, ponownie zwracając wzrok przed siebie.



– Czym się zajmujesz? – nie dawał za wygraną Antoine.

– *Waldwart*<sup>62</sup> – zdawkowo odparł przewodnik. Należał więc do nielicznego grona miejskich urzędników na stałych etatach. „Nic dziwnego, że jest taki nieufny wobec Francuzów – pomyślał Ledru. – Będzie potem rozliczony z każdego swego kroku wykonanego podczas wojny. O ile ją przeżyje...”.

Kiedy przejechali jasny, złożony ze straszących zimą nagimi konarami liściastych drzew Las Hundegeheck, zaczął się bór sosnowo – jodłowy z nielicznymi świerkami. Las rósł jednak tylko po lewej stronie, na wznoszącej się łagodnie skarpie; po prawej, aż po zamarznątą Alle, ciągnęły się płaskie podmokłe łągi nadrzeczne. Kilkaset kroków na lewo, na wzniesieniu za lasem, leżały niewidoczne stąd Wosseden, przez które przechodzili wczesnym rankiem.

– *Monsieur le sous-lieutenant* – zwrócił się do Antoine’a Gontarz. – Warto by zasięgnąć języka, czy w okolicy nie widziano dziś kozaków.

– Dobrze. Zapytaj Webera, czy można tu znaleźć jakichś ludzi.

– *Es gibt eine Mühle. Unweit von hier*<sup>63</sup> – urzędnik nadal nie zdradzał zamiłowania do krasomówstwa. Wskazał ręką wąską drogę prowadzącą przez las w prawo, ku rzece. Skierowali się tam, bacznie obserwując grunt w poszukiwaniu śladów kopyt, końskiego nawozu lub żółtych plam moczu. Po chwili usłyszeli szum niewielkiego strumienia. Bardzo bystry nurt nie pozwalał mu zamarznąć całkowicie. Kawałek dalej wznosił się na nim drewniany jaz, a przy nim nieduży młyn wodny o ścianach oszalowanych deskami. Obok niewielka komórka. Jaz był lekko uniesiony, koło stało w miejscu, a woda przelewała się swobodnie. Młyn nie pracował, z komina także nie unosił się dym. Czyżby nikogo tu nie było? Jednak nie: do pobliskiej kępy pokrytych śnieżną okiścią krzaków prowadziły wyraźne, świeże ślady dużych ludzkich stóp.

„Prawie na pewno mężczyzna” – pomyślał Ledru. Szaserzy ujęli w dłonie swe karabinki i trzymali w gotowości do strzału, rozglądając się naokoło. Naraz usłyszano skrzyp śniegu pod butami i w chwilę potem z krzaków wyłonił się wysoki barczysty mężczyzna w kozuchu, niosący na plecach naręczne chrustu na opał. Ujrawszy obcych, zatrzymał się z rozdziawioną gębą, upuszczając na ziemię chrust.

– Bez obaw, *Herr Schlägell* – odezwał się nieoczekiwanie Weber. – Oni chcą tylko wiedzieć, czy dziś rano nie widziano tu kozaków. Młynarz – dodał lakonicznie, zwracając się do podporucznika.

Mężczyzna wywołany z nazwiska przyjrzał się dokładniej przybyszom i nagle twarz mu się rozjaśniła – rozpoznał heilsberskiego urzędnika:

– *Guten Morgen, Herr Waldwart!* – wyszczerzył rzadkie zęby w uśmiechu.

– Co, pewnie myślałeś, że znowu będę cię ścigał za kłusownictwo? – po raz pierwszy uśmiechnął się, co prawda oszczędnie, ledwie połową ust, także Weber.

– Ale jakie tam kłusownictwo, *Herr Waldwart!* Czy kto widział u mnie jaką dziczyznę? Kurki, gąski trzymam, na co mi kłusować...

– Znam cię nie od wczoraj, *Schlägell*, mnie oczu nie zamydlisz. Odsiadka i sztraf<sup>64</sup> niczego cię nie nauczyły. – Weber wskazał na otwarte drzwi komórki, w których wisiał kruszejący ubity zajac. – Zamiast głupio łągać w żywe oczy, mów czy nie widziałeś kozaków.

Młynarz podrapał się po głowie, wsuwając dłoń pod wielką futrzaną czapę:

– Wczoraj wieczorem kręcili się w Pomehren<sup>65</sup>, niewielu. Stary Gralke mówił, że dziewczkę od Teschnera zepsuli. Ale ponoć nie za bardzo sobie krzywdowała; powiadał Gralke, że tylko radośnie piszczła w tej stodole i nogi pod niebo zadzierała. Po prawdzie to zwykła suka z niej zawsze była – przy tych słowach Schlägellowi niezdrowo zabłyśły oczy, na wargach pojawiła się duża kropla śliny a dłonie zaczęły lekko drżeć.

– *Oh, wie schönes Tatterich...*<sup>66</sup> Stary matole, z braku baby rozum ci się całkiem pomieszał! – zbeształ młynarza Weber. – Gadaj mi o kozakach, a nie o suce, co ci się przyśniła!

– Jak Bóg na niebie, tak było, *Herr Waldwart*. Mimo wszystko szkoda dziewczki, chociaż od pruskich czasów w Pomehren to prawie same luterskie heretyki siedzą – urwał ujrzawszy surowy wzrok urzędnika. – No dobrze, już mówię. Tak więc wczoraj byli, ale odjechali, tylko tę sukę... No dobrze, dobrze... Nawet niczego nie zrabowali. Próbowali się przepawić po lodzie tu niedaleko, ale ten, co pierwszy konia za uzdę prowadził, omal się nie utopił. Znaczy, on jakoś szedł, ale nagle koń idący za nim wpadł pod lód i utonął, kozak ledwie rękę z wodzów wywinął, tak by razem z koniem pod lód poszedł! *Herr Waldwart*, żeby pan słyszał, jak ten biedny zwierzak kwiczał w tej wodzie, zanim poszedł na dno – tu Schlägell niespodziewanie się rozczulił i zaczął pociągać nosem, z oczu popłynęły łzy.

– Schlägell, stary durniu, *du bist im Schmoor!*<sup>67</sup>

– Jestem, *Herr Waldwart*, jestem. A bo to zabronione? Jak tu teraz nie oszaleć bez gorzałki? Taki straszny czas, taka niepewność, co będzie jutro... Baby nie mam, dzieciak nie mam, tylko gorzałka daje pocieszenie.

– Znaczy: dziś kozaków już nie widziano?

– E no, nie tak całkiem, *Herr Waldwart*. Była cała horda w Launau. Odjechali, może tam też którąś zepsuli – młynarz aż się skulił, kiedy strażnik zmarszczył brwi i uniósł kułak – No to odjechali, ale jeden został na straży przy moście. Sołtys Hippel zaniósł mu tam kawał szpeku i flaszkę Meschkinnisa<sup>68</sup>. Brodacz krzywił się, że jakaś perfumowana gorzałka, ale wypił. Duszkiem całą flaszkę; jeszcze żem czegoś takiego nie widział, *Herr Waldwart*. Ja to pół szklaneczki wychylę dla zdrowia albo na pociechę i już zaraz, że pijany...

– Przestań już bredzić! To pewne, że tylko on jeden przy moście?

– Pewne! Był tu przed godziną chłopak od Gralkego, po trochę mąki ze starego przemiału, bo tam we wsi już nie mają, wszystko zjedli a co jeszcze było, to zabrali... – Schlägell nagle skrzywił się jakby wypił ocet i spojrział lękliwie na Francuzów – No... zabrali.

Weber obrócił pytający wzrok na Antoine'a. Ten miał już pewien plan, toteż od razu zadysponował:

– Ruszamy do Launau, tam musimy przedostać się na lewy brzeg. Musimy zachować ostrożność, zdjąć tego kozaka tak, by nie narobił alarmu. Wiecie, że oni są czujni jak dzikie zwierzęta, więc nie będzie łatwo. A ty, Weber, masz się trzymać przy mnie. Żeby ci głupie myśli nie przyszły do głowy!

W twarzy urzędnika nie drgnął ani jeden mięsień. Wzruszył tylko ramionami. Po

chwili cała szóstka ruszyła kłusem w stronę Pomehren i Launau.

Timofiej uważnie obserwował teren za rzeką. Tuż za jego plecami stał porucznik Żadowski. Oddech oficera był ciężki, nieregularny i mocno zalatywał słabo przetrawionym alkoholem. Mimo to wzrok miał bystry i szybko szacował siły przeciwnika. Zdawał sobie sprawę, że wczorajsza zabawa trwała zbyt długo, i że zaniedbał parę spraw. Teraz w obecności unteroficera Dmitrijewa odczuwał coś w rodzaju wstydu. Nauczył się bowiem szanować i cenić tego podwładnego za umiejętności wojskowe i wiedzę niespotykaną u ludzi z jego środowiska. Dmitrijew miał też nadzwyczajny instynkt, pozwalający przetrwać nie tylko jemu, ale i ludziom z jego otoczenia. Żadowski nieraz łapał się na tym, że rozmawia z nim jak równy z równym. Timofiej jednak zdawał się tego nie zauważać i nie spoufalał się nadmiernie z porucznikiem, zachowując regulaminowy dystans. Oficer odchrząknął i nieco drewnianym od przepicia głosem zaczął:

– Patrz pan, Dmitrijew, oni wyraźnie coś kombinują.

Zobaczyli, jak francuska piechota zgromadzona na Kirchentor Vorstadt zaczyna rozdzielać się na dwie części. Grupy postaci w granatowych mundurach i czarnych bikornach wyraźnie kierowały się w różne strony. Niektórzy ruszyli w swoją prawą i stopniowo znikali między szopami i stodołami skupionymi wzdłuż zakola Alle, starając się nie robić wiele hałasu i nie zwracać na siebie zbyt dużej uwagi. Porucznik Żadowski wydobyl perspektywę i przyjrzał im się uważnie, pragnąc rozpoznać numery umieszczone na ładownicach. Widoczne z daleka wykonane z miedzianej blachy „siedemnastki” informowały obserwujących, że mają przed sobą 17. pułk piechoty liniowej. Łoskot tarabanów i pogwizdywanie fletów towarzyszyły natomiast poruszeniom Francuzów skupiających się naprzeciwko spalonego Kirchentorbrücke i zabudowań Töpfergrund. U nich wyraźnie można było rozpoznać numery „51” – był to 51. pułk liniowy. Wprawne oko Timofieja oszacowało niejako automatycznie, że chwilowo nie jest to cały pułk, może nawet nie cały jego batalion. Możliwe jednak, że reszta kryła się wśród zabudowań Kirchentor Vorstadt. Żadowski przerwał milczenie:

– Dokąd mogli poleźć tamci? Wszędzie jest rzeka pokryta kruchym lodem, mosty spalone, mury obronne ciągną się wzdłuż całego brzegu.

– *Nie sowsiem znaju, gospodin lejtenant*<sup>69</sup>. Być może interesuje ich zamek? – Odparł Timofiej. – Liczą na to, że będą mogli z góry ostrzeliwać całe miasto. No to się zawiodą, jeśli burmistrz mówił prawdę. Bardziej niepokoi mnie, co zrobią ci tutaj, z liniowej.

– Jeśli popróbują przeprawy w tym miejscu, pogonimy im kota paru salwami. Będą tu wystawieni na nasz ogień jak kaczki!

– Owszem, dopóki nie ściągną dział. Wtedy to nam wypadnie się chronić przed ich ostrzałem.

– Masz rację, Dmitrijew. Dobre i tyle, że bez mostów nie będą mogli przerzucić swojej artylerii na nasz brzeg. Po tak cienkim lodzie i deskach zdoła przejść najwyżej piechota, a i to w niedużych grupach. Wtedy jakoś wytrzymamy.

– Wtedy pewnie tak, *wasze blagorodje*. Do zapadnięcia ciemności.

– O ile nie zdarzy się jakaś niespodzianka.

– Tak jest, o ile nie zdarzy się jakaś niespodzianka.

Timofiej starał się zachowywać obojętność i spokój, wiedząc z doświadczenia, że uleganie emocjom w takich sytuacjach tylko szkodzi. Żadowski oblizał spieczone suche wargi, przesunął w zamyśleniu dłonią po niegolonym od dwóch dni policzku, bez słowa położył ją na moment na ramieniu podoficera i podążył w stronę zabarykadowanej Kirchentor, by zlustrować resztę swoich podkomendnych. Oczy żołdatów czujnie, lecz beznamietnie, spoglądały spod skórzanych daszków kiwerów na gromadzących się po drugiej stronie Francuzów. Być może zaraz się zacnie. W głębi duszy chyba tego oczekiwali. Wtedy będą wiedzieli, co robić. Byli gotowi. Za ich plecami, przez szpary w lekko uchylonych okiennicach na pierwszym piętrze kamienic, obserwowali drugi brzeg pełni niepokoju mieszkańcy Heilsbergu. W części okien także ulokowali się rosyjscy strzelcy. Nagle po francuskiej stronie umilkła muzyka. W zapadłej ciszy upiornie zaklaskały o bruk podkute kopyta kilku koni. Przybywał ktoś ważny. A więc to już.

Pułkownik Louis Paul Baille, dowódca 51. pułku liniowego, zdawał sobie sprawę z trudności powierzonego mu zadania: jego żołnierze pod ogniem rosyjskiej piechoty mieli rozebrać resztki mostu przy Kirchentor, pozyskane nadpalone dźwigary ułożyć na cienkim lodzie, pokryć warstwą desek i plecionych płotów, torując drogę do natarcia za rzekę na Töpfergrund, a następnie składy w rejonie Hohetor Vorstadt. Czas naglił. Nie można było beczynn timer czekać na przybycie dywizji Frianta, gdyż przeciwnik mógł tymczasem opuścić miasto, niszcząc składy na odhodne. Jednak Baille nadal nie otrzymał ani jednego działą, chociaż od strony Amt Heilsberg od jakiegoś czasu slychać już było regularną kanonadę. Przemierzywszy konno całe Kirchentor Vorstadt, pułkownik zdecydował się rozpocząć akcję. Liczył też na to, że idący przez obrzeża Fürstliche Garten<sup>70</sup> ku zamkowi żołnierze 17. pułku liniowego odwrócą choć częściowo uwagę Rosjan od jego kierunku natarcia. Skinął ręką, wzywając do swego boku czekającego na rozkazy kapitana Pierre'a Vautreille'a:

– Kapitanie, wiem, że ryzykujemy, ale naprawdę czas już zaczynać. Proszę wybrać najlepszych strzelców do osłaniania naszych cieśli. Nie będą bowiem mieli gdzie się skryć.

– *Oui, mon colonel!* – Zsalutował Vautreille i oddalił się do grupy fizylierów zgromadzonych pod osłoną dużej stodoły z muru pruskiego, krytej nieco spleśniałą strzechą. Kazał otworzyć wierzeje; uchylily się z głośnym skrzypieniem, ukazując kilkudziesięciu żołnierzy klekających z desek improwizowane osłony.

– Dobrac po czterech lub pięciu do każdej z osłon. Już teraz wyznaczyć kolejność i miejsce ich ustawienia. Przyjrzyjcie się okolicy mostu przez szpary, potem nie będzie czasu na zastanowienie. Mounier! – Zawołał sierżanta o mocno czerwonym obliczu.

– *Oui, mon capitaine?*

– Kto poniesie pierwszą osłonę, zgarniając na siebie pierwszą salwę przeciwnika? Nie chcę, by zginęli, tylko by należycie wykonali swą robotę!

– Gravet, Trencavel, Valéry, Driault i Philippe.

– Dobry wybór, Mounier. Powinni dać radę. Niech już teraz załadują karabiny, tak samo jak reszta osłaniających.

Sto kroków dalej duża grupa żołnierzy, z bronią przewieszoną przez plecy,

oczekiwała na sygnał do akcji, nerwowo ściskając w spoconych mimo mrozu dłoniach siekiery osadzone na długich styliskach. Tylko niektórzy założyli rękawice, mogące po części ograniczać sprawność palców w przypadku konieczności użycia broni. Podjechał do nich pułkownik Baille, zwracając się do dowodzącego grupą porucznika:

– Jambet, pora na pana. Kiedy tylko ludzie Mouniera ustawią osłony na brzegu a fizylierzy Vautreille’a zaczną walić salwami do wroga, ruszajcie najszybciej jak potraficie. Nie ukrywam, że będzie ciężko.

– Wiem, *mon colonel*. Postaramy się zrobić wszystko jak najlepiej. I jak najszybciej.

Baille uniósł prawą dłoń, dając znak dobošom. Warkot tarabanów z sekundy na sekundę nabierał tempa i mocy, zmieniając się jakby w huk potężnej ulewy połączonej z gradobiciem, od którego przechodziły po plecach ciarki, a nogi same podrygiwały w oczekiwaniu sygnału do biegu. Żołnierze z siekierami ujrzeni po prawej wybiegających ze stodoły kolegów niosących kryjącą ich od brody do pół łydki długą osłonę zbitą z desek. Tuż za nimi bieгло kolejnych kilku z bronią gotową do strzału. Dalej kolejna osłona i kolejna grupa strzelców. I jeszcze jedna.

Pierwsza piątka szeregowych niosąca osłonę żwawo przebiegała nogami, by jak najszybciej ustawić ją na śniegu na lewo od resztek mostu i sięgnąć po broń. Koledzy z drugą osłoną biegli nieco w prawo. Czarne nadpalone dźwigary rosły w oczach, równa powierzchnia zamarznętej Alle wydawała się coraz szersza, a wznoszące się za nią ceglane średniowieczne mury i ściany kamienic coraz wyższe. Ponad wszystkim górowała oddalona o kilkadziesiąt kroków ogromna fara z wysoką wieżą. Na koronie murów Francuzi ujrzeni długą linię czarnych rosyjskich kiwerów oznaczonych pomarańczowo-czarnymi kokardami, jasnymi „repiejkami” i pomponami. W kierunku nadbiegających, niczym straszliwe śmiercionośne żądła, wysunęły się lufy karabinów przeciwnika. Inne wysuwano z otworów strzelniczych w zabarykadowanej Kirchentor. Owinięta w czarny całun Śmierć mocniej ujęła ciężką kosę w swe kościste dłonie.

Łoskot francuskich tarabanów dotarł jednocześnie na drugą stronę rzeki. Szybki rzut oka na broń, na panewkę; tu i tam ostatnie nerwowe przetarcie kciukiem krzesiwa, sprawdzenie osadzenia skałki. Lekko nierówny odgłos szczękania odwodzonych kurków, przebiegający wzdłuż całej linii. Rota porucznika Żadowskiego była już gotowa do oddania salwy. Porucznik zakomenderował flegmatycznie:

– *Barabannyj boj!* – Po czym natychmiast doboše zaczęli wybijać prosty, czytelny sygnał poprzedzający rozpoczęcie ognia. Nie był tak urokliwy muzycznie, jak ten u przeciwnika, ale nie musiał być. Najważniejsze, że wszyscy go słyszeli i rozumieli.

Zza dużej stodoły wybiegła grupa Francuzów kryjących się za osłoną z desek. Sądząc po wystających głowach i liczbie nóg, niosło ją pięciu żołnierzy. Kilkanaście kroków za nią nadbiegały kolejne. Należało je odpowiednio powitać.

– *Kłads’...* – Żadowski zawiesił głos, po czym dokończył. – *Pli!*<sup>71</sup>

Wzvod Timofieja wypalił do pierwszej piątki, lecz mimo trafienia kule nie przebiły desek; jedynie jedna zraniła w nogę Francuza, który krzyknął i zaczął utykać. Grupka nie zwolniła tempa biegu, gdyż trafiony biegl pośrodku. Śladem zranienia były tylko niewielkie plamy krwi pozostawiane przez niego na śniegu. Wołtyzerowie dobiegli do

osłony i uklękli obok niosących, gotowi do strzału. Wypalili do Rosjan, zmuszając ich do chwilowego schowania się za murem.

Lepiej powiodło się wzwodowi Griszy Pankratowa: salwa powaliła aż trzech spośród niosących osłonę na prawo od resztek mostu, co sprawiło, że osłona upadła płasko na ziemię, wystawiając pozostałych dwóch i nadbiegającą za nimi grupę fizylierów na ogień Rosjan. Sołdaci obsadzający Kirchentor z zimną krwią wykorzystali powstałą szansę, waląc potężną salwą w zmieszanych Francuzów pozbawionych osłony. Upadł z wrzaskiem czwarty z niosących osłonę i aż czterech strzelców. Razem trafiono tam aż ośmiu. Trzech nadal leżało nieruchomo, dwaj wili się jęcząc i barwiąc śnieg na czerwono, pozostałych trzech, wyraźnie ranionych, niezdarnie kuśtykało do najbliższych zabudowań; jeden z nich porzucił karabin.

Zanim nad rzekę dobiegły kolejne grupy z osłonami i strzelcami, Rosjanie i Francuzi z pierwszej grupy zdołali ponownie załadować broń. Niemal jednocześnie padły komendy: „*Pli!*” i „*Feu!*”. Szanse na tym odcinku pola walki też się wyrównały, gdyż obie strony wypaliły z podobnej ilości luf, obie też były po części osłonięte: Francuzi grubymi deskami, Rosjanie murem miejskim. Huk salw zmieszał się niemal od razu z dzikimi wrzaskami trafionych. Kiedy dym się nieco rozwiął, nad rzeką leżało w mocno już zdeptanym i zakrwawionym śniegu trzech Francuzów, w tym raniony w nogę przy pierwszej salwie. Timofiej szybko zlustrował pozycję swoich ludzi i zauważył, że z muru zwałił się na plecy riadowy Kostin. Nie żył, o czym świadczyła straszliwa krwawa dziura pośrodku twarzy. Unteroficer obejrzał się na stojącego dwadzieścia kroków dalej porucznika Żadowskiego. Ten z uśmiechem uniósł prawą rękę, zwijając dłoń w kulak, i na chwilę zastygł w tym geście, odwracając pięść knykciami na zewnątrz: „Dopieprzyliśmy im!”. Timofiej zatoczył dłonią wzdłuż szeregu żołdatów na murze i pokazał jeden palec. Żadowski wznosił obie dłonie, pokazując dziesięć rozcapierzonych palców a potem jeszcze jeden – „Razem jedenastu!”. „Jak na początek, całkiem nieźle” – pomyślał Timofiej. Wiedział jednak, że to tylko przygrywka.

Francuzom udało się donieść nad rzekę tylko trzy osłony: tę pierwszą na lewo od mostu i jeszcze dwie na wprost i na prawo. Po drodze stracili czterech kolejnych ludzi, z czego aż trzech strzelców z osłony. Obecnie obsadzało zasłony łącznie około trzydziestu fizylierów gotowych do strzału, z prawie pełnymi ładownicami. Pułkownik Baille, ulokowawszy się w małym okienku na strychu jednego z domków, obserwował przez perspektywę okolicę mostu. Postanowił kontynuować natarcie. Ponownie wezwał kapitana Vautreille’a:

– Kapitanie, musimy zrząść i przejąć co najmniej sześć – osiem dźwigarów. Rzuci pan do ataku kolejnych pięćdziesięciu strzelców, więcej się naraz na tej przestrzeni nie pomieści, niech od razu złączą ostrzeliwać te mury. Na zmianę z tymi siedzącymi za deskami. Grupa saperska rzuci się możliwie szybko na te przekłete resztki mostu.

– *Oui, mon colonel!* Mamy jeszcze spore rezerwy.

– Mamy, mamy, sam wiem, że mamy. Ale też nie możemy sobie pozwolić na zbyt duże straty bez osiągnięcia celu. Czy potrzebuje pan czegoś?

– Przydałoby się choć jedno działo, *monsieur le colonel*.

– Ano, przydałoby się, Vautreille – uśmiechnął się smutno Baille. – Sam pan wie,

że na razie musimy obejść się bez niego. Może się uda.

Vautreille zbiegł po wąskich skrzypiących schodkach na parter i podążył biegiem do piechurów uszykowanych pod osłoną zabudowań. Posłał też gońca do porucznika Honoré Jambeta, by jego ludzie byli gotowi ruszyć lada moment. Tym razem nie bito w tarabany. Strzelcy Vautreille'a niczym żwawe mrówki ruszyli szybkim truchtem ku rzece, rozwinęli się w tyralierę i wycelowali w szereg czarnych kiwerów na murach. Wystrzeliło niemal naraz pięćdziesiąt karabinów. Dym zasnuł pole widzenia, ujrzano tylko ogniste błyski po drugiej stronie, skąd także oddano salwę. Ktoś tu i tam upadł, ale nie było czasu na liczenie. Zza pleców strzelających wybiegli ludzie z siekierami, przebiegli obok i pomiędzy nimi, zeszli ostrożnie na lód i zaczęli posuwać się ku pierwszym spalonym przęsłom. Lód niebezpiecznie trzeszczał, czego prawie nie słyszano, gdyż wszyscy darli się bez opamiętania, dodając sobie animuszu i zagłuszając lęk. Pierwszy dopadł przęsła kapral Régis Dornet. Poprawił jednym ruchem karabin przewieszony przez plecy i zamachnął się wielką siekierą, starając się uderzyć jak najbliżej powierzchni zamarzniętej rzeki.

„Koporcy” zobaczyli, jak kolejna grupa francuskiej piechoty podąża na brzeg, tym razem bez osłon, za to z karabinami w dłoniach. Wycelowali i wypalili niemal jednocześnie z tamtymi, którzy utworzyli tyralierę. Nie liczyli trafień, bo dym zasnuwał widok i trzeba było jak najszybciej załadować po raz kolejny. Na pewno padł ktoś z tamtych, ale także po stronie rosyjskiej ktoś się wydierał z bólu, i to w kilku miejscach na murze. Timofiej poczuł jakby ukłucie gorącą igłą w policzek, kiedy uderzył go odprysk cegły trafionej francuską kulą. Otarł twarz dłonią, nie było krwi – to tylko lekki rykoszet. Zanim rozwiął się dym, przeciwnik ponownie oddał salwę. I znów któryś z „koporców” zwałił się z muru bez słowa, inny upadł na kolana, krzycząc nieprzytomnie z bólu i zakrywając dłońmi twarz; przez palce ciekła krew. Kiedy je oderwał, widać było tylko pusty oczodół, po policzku spływało to, co jeszcze przed chwilą stanowiło oko nieszczęsnego żołdaka. Koledzy szybko się przeżegnali, wymamrotali „*Gospodi, pomiluj!*” i dalej ładowali i strzelali. Za ich plecami zawarczały tarabany, rozległ się tupot równo maszerujących licznych nóg. Nadchodziła w sukurs rota porucznika Pietrowa. Tymczasem Fiedot i Borys zobaczyli, jak rosły Francuz bierze zamach siekierą, próbując zrąbać na pół spalony filar mostu. Odległość nie była duża, jakieś trzydzieści kroków. Wymierzyli i strzelili jednocześnie. Któryś z nich – który? – trafił w korpus. Francuz ugiął się w kolanach i upadł na twarz, upuszczając siekierę za plecy.

Szeregowy Grégoire Villevieux ustawiał się już do rąbania filaru z drugiej strony, kiedy nagle partnerujący mu kapral Dornet stęknął ciężko, bluznął krwią z ust i upadł na lód, który natychmiast załamał się pod ciężarem jego potężnego ciała. Zanim ktokolwiek zareagował, podoficer pogrążył się w czarnej wodzie i zniknął pod lodem. Pozostała po nim tylko porzucona siekiera. Spróbował ją pochwycić szeregowy Henri Troche, lecz w sekundę potem zawył dziko i upadł, kiedy kula karabinowa wystrzelona z murów strzaskała mu prawe kolano, czyniąc go dożywotnim kaleką. Nadal jednak żył, wciąż nie do końca świadomy, co go spotkało. Po chwili omdlał. W tym samym momencie padła francuska salwa, po której na krótko wiele głów Rosjan na murze skryło się, by zaraz potem znów wychynąć, niektórych jednak zabrakło. Tam za murem też ktoś wrzeszczał

jak opętany. Dobiegł stamtąd łoskot tarabanów. „Czyżby dostali wsparcie?” – pomyślał porucznik Jambet. Jego ludziom nie udało się dotąd zrąbać żadnego z filarów ani dźwigarów. Kilku było rannych, na szczęście w większości niegroźnie. Dwóch ciężko rannych, jeden zabity podoficer. Ogień fizylierów nie był dostatecznie skuteczny, by odstraszyć przeciwnika, którego kule biły do jego ludzi jak do kaczek. Jeszcze chwila i prawie żaden nie pozostanie nietknięty. Sam nie mógł jednak wydać rozkazu odwrotu. Na całe szczęście gęsty dym prochowy, słabo rozpraszany przez leniwie powiewający wiaterek, nie pozwalał przeciwnikowi dobrze mierzyć i orientować się w sytuacji. Nagle z tyłu ktoś zawołał Jambeta po nazwisku. Obejrzał się: był to kapitan Vautreille.

– Dwie wiadomości. Jedna nie najlepsza: musicie się wycofać. Druga znakomita: marszałek Davout i generał Morand posłali nam dwa działony ośmioletów z kilkoma pełnymi jaszczami kul i kartaczy bliskiego zasięgu, już są niedaleko. No to teraz im pokażemy!

– Doskonale, naprawdę mi ulżyło – odetchnął Jambet. Natychmiast nakazał odwrót i ewakuację rannych. Dwóch żołnierzy odciągnęło do najbliższej szopy także nieprzytomnego Troche’a. Może przeżyje, ale i tak będzie kaleką. Wracając między zabudowania Kirchentor Vorstadt, porucznik Jambet miał wciąż przed oczami twarz umierającego kaprała Dorneta. Poczciwy młody byczek z tego samego miasteczka. Pełen entuzjazmu i typowej dla dwudziestolatka wiary w swoją nieśmiertelność; niedawno awansowany na kaprała. Przy winie, w małej karczmie u starego Gonnarda, Jambet obiecywał ojcu Dorneta, że będzie czuwał nad chłopakiem. A teraz młody Régis nie będzie miał nawet grobu.

Jechali krótkim kłusem, zachowując najwyższą czujność. Szybko minęli Pomehren, którego rzadko rozrzucone wzdłuż drogi zabudowania wyglądały na wymarłe, choć z kominów wydobywał się dym. Nie chcieli zwracać na siebie szczególnej uwagi, toteż pochylił się w siodłach i popędził konie, znikając po krótkiej chwili z oczu obserwujących ich zza okiennic wieśniaków. Kiedy mijali miejscowość, wyposzczonym młodzieńcom wybrzmiały w pamięci słowa pijanego młynarza o „suce z Pomehren”. Ech, życie... Antoine kazał szaserom przed wjazdem do wsi zdjąć czaka, tylko Weber pozostał w swym trikornie. Lepiej, żeby małoznający się na obcych mundurach chłopcy nie potrafili potem określić, kogo konkretnie widzieli tego przedpołudnia. Za wioską las rozciągał się tylko po lewej stronie, po prawej, za doliną słabo zamarznątej Alle, widać było szerokie otwarte pola i wzgórza pokryte śniegiem. W samej dolinie z pewnością przylegały do rzeki połacie zdradliwych, ukrytych pod śniegiem i lodem mokradeł – można było domyślić się ich położenia po wystającej z bieli typowo bagiennej roślinności, zimą zbrązowiełej lub pożółkłej. Mając w pamięci opisany przez młynarza wypadek kozaka, Ledru i jego ludzie nie chcieli ryzykować przeprawy przez rzekę lub bagna. Jednak mostu w Launau strzegł inny kozak, wprawdzie lekko zamroczony wypitą niedawno butelką wódki, ale wciąż czujny jak wilk i dysponujący koniem. W dodatku, o czym wkrótce mogli się naocznie przekonać, teren wokół mostu był odkryty i nie sposób było podejść tam niezauważenie. Antoine i jego szaserzy raz po raz spoglądali zza kępy jałowców na nieruchomego niczym posąg, oddalonego o jakieś trzysta kroków kozaka, nie bardzo wiedząc co począć. Wreszcie Gontarz zaproponował bez przekonania:



– *Monsieur sous-lieutenant*, może nagle wypadniemy galopem, z nabitą bronią, zajedziemy go z obu stron...

Ledru zaczął mu tłumaczyć:

– Zobaczy nas od razu, wystrzeli, trafi – nie trafi, ale zaalarmuje całą okolicę. Kto wie, czy nie ma ich więcej w pobliżu. Założyłbym się, że są i z miejsca zareagują na wystrzał. Trzeba inaczej to... – nagle urwał, słysząc za plecami, nieco w głębi lasu, śpiewaną niezbyt głośno, ale melodyjnie piosenkę:

„*Ich sitz in der Stube*

*und bin ganz allein!*

*Die Eltern haben nie Zeit!*

*Der Tanzsaal ist viel zu weit...*”<sup>72</sup>

Gontarz, jedyny spośród szaserów rozumiejący po niemiecku, wyszczerzył żółte od tytoniu zębiska w wesołym uśmiechu:

– Tam jest jakaś dzierlatka! I to bardzo samotna, *monsieur sous-lieutenant!*

– A ty skąd wiesz, że samotna?

– Bo o tym właśnie sobie śpiewa. No i innych głosów nie słychać.

Antoine pomyślał chwilę, po czym rozkazał:

– Uwiążcie konie i wy trzej: ty, Gaston i François, musicie się tak zacząć, by ją bez hałasu złapać i zatkać usta. Wtedy ja powiem jej co trzeba, a ty przetłumaczysz. Weberowi nie ufam. Tylko słowo w słowo, bez żadnych wygłupów i własnych pomysłów! Domyślam się, co ci chodzi po głowie.

– *Mon commandant*, co też pan... – Gontarzowi świetnie wychodziło udawanie szczerego oburzenia. – Ja mam swoją Walerkę, co prawda nie widziałem się z nią dwa lata, ale tylko ona mnie zajmuje.

– Dobrze, dobrze, dość tego. Bierzcie się za wykonanie rozkazu!

Ledru patrzył przez jakiś czas za oddalającymi się szaserami, a następnie zwrócił się do Raymonda, który wraz z Pierrem pozostał przy koniach:

– Raymond, chyba będziesz musiał się na trochę rozstać z twoim pięknym zielonym mundurkiem.

– Jak pan podporucznik rozkaże. Ale... czy mogę wiedzieć, dlaczego?

– Zaraz wszystko się wyjaśni. Na razie możesz się powoli zacząć rozpinać.

Młody szaser o delikatnej urodzie, wciąż bez zarostu, z pięknymi czarnymi lokami, gładką, lekko zaróżowioną cerą, ładnymi pełnymi ustami i ciemną oprawą czarnych jak sama śmierć gaskońskich oczu, zaczerwienił się i spojrzał ze zdumieniem na dowódcę.

– No dalej, dalej! – zamachał ręką Ledru. – Nie rozumiesz, co to jest rozkaz?

Raymond posłusznie, choć powoli i niechętnie, rozpinał mundur. Naraz z głębi lasu dobiegły odgłosy krótkiej, cichej szamotaniny. Antoine skinął na Raymonda i Webera, po czym wszyscy trzej ruszyli w tamtą stronę. Kilkadziesiąt kroków dalej Gontarz, François i Gaston trzymali mocno niespełna dwudziestoletnią dziewczynę, zatykając jej usta zerwaną z głowy wełnianą chustą. Dziewczyna miała długie jasne warkocze, niebieskie

duże oczy i lekko zaczerwieniony od mrozu nosek. Kształt ust kryła chusta a oczy były wytrzeszczone z przerażenia, było jednak widać od razu, że jest niezwykle urodziwa. Ledru skinął dłonią na Polaka:

– Gontarz, tłumacz dokładnie to, co powiem.

– *Oui, mon sous-lieutenant!*

Antoine podkreślił swego blond wąsa, co uczyniło oczy dziewczyny jeszcze bardziej przerażonymi, i bardzo uprzejmie zagaił:

– *Je vous demande pardon, mademoiselle*<sup>73</sup>, ale będzie nam pani przez jakiś czas bardzo potrzebna... – nie był to chyba najlepszy początek, bo kiedy Gontarz przetłumaczył słowa dowódcy, dziewczyna rzuciła się jak ryba i próbowała krzyknąć, na szczęście trzymali ją bardzo mocno. Ledru pytał dalej:

– Co panienka robiła sama w lesie?

– Ja, panie, stąd, z Launau. Jest wojna, kończą się zapasy. Trzeba szukać jedzenia także w lesie.

– Zimą w lesie? – Antoine uniósł brwi ze zdziwienia.

– Tak, panie. Trafiają się jeszcze czasem grudniowe opieńki albo judaszowe uszaki. No i teraz zimą najlepiej zbierać zmarznięte owoce tarniny... – widząc spokojny, uważny wzrok podporucznika, dziewczyna jakby nabrała odwagi.

– Panienka wybaczy, ale będzie musiała przebrać się w piękny mundur naszego uroczonego kolegi. To niestety konieczność. Obiecuję, że tylko na chwilę.

Dziewczyna znów się spłoszyła. Jej piękne oczy zastygły w niemym pytaniu: „Ale dlaczego?”. Ledru uśmiechnął się i wytłumaczył, o co chodzi. Panienka lekko odetchnęła i już spokojniej, a nawet z niejaką kokieterią zapytała:

– Tylko jak mam to zrobić? Przy was wszystkich?

– Ależ nie, *mademoiselle*, ten oto uroczy młody żołnierz – wskazał na zarumienionego Raymonda – użyczy pani swej kurtki, spodni, butów i nakrycia głowy. Oddali się panienka za te tam krzaki i przebierze się, oddając nam własną sukienkę, pelerynę i chustę.

Dziewczyna zmarszczyła brwi i dość rezolutnie zapytała:

– No a buty? Jakże ten panicz włoży na nogi moje buty?

Wszyscy, poza Raymondem, jak jeden mąż cicho zarechotali, posypały się życzliwe dogadywania:

– Raymond, bracie, nie wypowiedziałeś ani słowa, a już ta ślicznotka tak za tobą obstaje! No, tylko pozazdrościć! To ci się trafiło!

Panienka patrzyła na nich w milczeniu, nie rozumiejąc z czego się śmieją. Kiedy w końcu pojęła i spojrzała na czerwonego po sam pępek Raymonda, uśmiechnęła się do niego i sama spłonęła rumieńcem. Raymond był naprawdę urodziwym chłopakiem i mógł się podobać. Ledru kontynuował:

– Proszę się o niego nie martwić. Owinie sobie stopy szmatami, a potem panienka odda mu jego buty. Z pewnością będzie zachwycony! Żeby go trochę ośmielić, może panienka mu się przedstawi? Jemu na imię Raymond.

Piękne dziewczę, całkiem już uspokojone, lekko przekrzywiło kształtną główkę, pozornie niedbałym ruchem dłoni odrzuciło warkocze za plecy, zatrzepotało rzęsami,

rzuciło młodemu szaserowi powłóczyście błękitne spojrzenie, błysnęło spoza różowych warg białymi ząbkami i cicho wyszeptało:

– Lieselotte... Po obu moich zmarłych babciach.

Antoine zepsuł sielankowy nastrój, rozsądnie informując dziewczynę:

– Proszę się dobrze skryć w tej kępie. Moi ludzie będą niestety zmuszeni otoczyć ją ze wszech stron, żeby nie przyszło panience do główki uciekać.

Lieselotte z naturalnym, wrodzonym talentem aktorskim skromnie spuściła wzrok, by po chwili spokojnie dodać:

– Panowie, przecież nie zdejmę koszuli! Nie będzie się na co gapić!

Kiedy przetłumaczono Raymondowi jej słowa, szaser ponownie się uśmiechnął i stwierdził, że on także zachowa kalesony i koszulę. Kiedy Lieselotte przebierała się w iglakach a Raymond w bieliźnie oczekiwał na jej suknie, jego koledzy otaczający z dyskretnej odległości krzaki wpatrywali się w nie jak sroka w gnat. Ich twarze przybrały tak głupawy wygląd, że półnagi młodzian omal nie parsknął śmiechem, mimo dokuczliwie szczypiącego ciała mrozu. Wreszcie dziewczyna wyszła z zarośli, niosąc czako pod prawą pachą, ukazując ponownie całą urodę swych długich blond włosów zaplecionych w warkocze. Buty były na nią wyraźnie za duże, spodnie lekko przyciasne w biodrach, kurtka za luźna w talii i dlatego nieco zmarszczona pasem głównym, za to dobrze opięta na piersiach. Do tego nie wiadomo czemu rozradowana od ucha do ucha gębula. Wyglądała prześlicznie! Wszyscy odruchowo westchnęli.

Lieselotte niosła na lewym ramieniu swoje odzienie, zmierzając prosto ku Raymondowi. Przestała się uśmiechać i powiedziała z troską:

– *Bitte, ziehen Sie das schnell an, es ist sehr kalt...*<sup>74</sup>

– *Merci...* Lieselotte – po czym bardzo szybko i wstydliwie dorzucił:

– *Vous êtes tres belle...*<sup>75</sup>

Dziewczyna przeniosła pytający wzrok na Gontarza i Webera, a kiedy szaser przełożył jej słowa Raymonda, wykonała przed nim uroczy dyg, godny zaiste wersalskich salonów z czasów *ancien régime*’u. Patrzyła zaciekawiona, kiedy młodzieniec przebierał się w jej ubranie. Sukienka okazała się za krótka, sięgała mu do pół łydki. Ledru obejrzał go krytycznym okiem, po czym stwierdził, że głęboki śnieg ukryje ten niedostatek. Kiedy zaś Raymond narzucił na ramiona ciepłą sukienną pelerynę i owinął głowę, ujrzeni przed sobą piękne ciemnookie dziewczę o zaróżowionym liczku, z figlarnymi czarnymi loczkami wymykającymi się spod chusty. Może tylko wzrost był nazbyt imponujący, ale kto by zwracał uwagę na takie drobiazgi. Antoine spowaźniał:

– Raymond, trzymaj pod peleryną nabity pistolet, ale użyj go tylko w ostateczności. Tym razem twoim głównym orężem będzie ukryty za pazuchą nóż i... twój nieodparty urok osobisty. Skup się: n i e o d p a r t y urok osobisty. Masz być wobec tego kozaka zalotny i wdzięczyć się jak...

– Jak suka z Pomehren! – Cichym zgodnym chórem uzupełnili szaserzy, szczerząc głupio zęby.

– Niech będzie: jak suka z Pomehren – uśmiechnął się lekko Ledru.

– Czy mam spróbować zdjąć go przy samym moście, tam gdzie stoi?

– Ryzykowne. Może okazać się czujny. Lepiej uśmiechaj się do niego i pokazuj

ręką na krzaki, daj do zrozumienia, że TO da się zrobić, ale nie na drodze. I staraj się przybliżyć ku nam. Nasze konie odprowadzimy jeszcze dalej w las, Gaston i Pierre przypilnują ich, dziewczyny i Webera, a ja, Gontarz i François przyczaimy się w jałowcach. Jeśli mimo to nie uda się nam go zwabić dostatecznie blisko, to... – tu przerwał mu Gontarz:

– *Mon sous-lieutenant*, czy mogę coś powiedzieć?

– Mów, tylko z sensem!

– Ja doskonale rzucam nożem. Kiedy oni będą blisko, po prostu zrobię co trzeba. Zapewniam, że nie zawiodę, jeszcze nigdy mi się to nie zdarzyło.

Antoine zastanowił się chwilę i skinął aprobowująco głową. Klepnął Gontarza z rozmachem w ramię, podszedł do Raymonda, żartobliwie ucałował go w czoło i na sekundę przygarnął do piersi:

– No, młody, zasuwasz. To twój dzień. Odegraj mi to pięknie.

– Postaram się, *mon sous-lieutenant*.

Każdy ruszył na wyznaczone pozycje. Śnieg, wciąż jeszcze nieskazitelnie biały, skrzypiał pod stopami oddalającego się Raymonda, grającego trudną rolę „suki z Pomehren”. Gontarz sprawdził kciukiem ostrość noża i zważył go w dłoni. Gaston i Pierre delikatnie poklepywali końskie szyje, uspokajając wierzchowce. Weber zachowywał kamienną obojętność, w przeciwieństwie do Lieselotte, która rozumiała o co toczy się gra i całą duszą była po stronie dopiero co poznanego młodego Francuza. Każdy słyszał w ciszy mocne bicie własnego serca, krew pulsowała w skroniach. Właśnie rzucono kości na stół. Stawką w tej grze było ludzkie życie. Tylko czyje? To miało się dopiero okazać.

Omeljan Iwanycz Krepkij, trzydziestoletni doński kozak ze stanic Afanasijewskiej, trwał na przydzielonym mu posterunku. Zarówno on sam, jak i jego kudłaty konik, nie bali się niepogody, zimna, głodu ani niewygód. Obaj bowiem wiedzieli, że, jak powiada Pismo, jest czas siania i czas zbierania; raz wojna, śmierć, rany, wszy, bieda, a potem – jeśli Bóg pozwoli przeżyć i powrócić – ciepła, wysprzątana, przytulna izba z piecem do spania, własna hoża baba lepiej grzejąca od pieca, miska pierogów, kapuśniak, *samogonczik*...<sup>76</sup> a po wszystkim *bania* przywracająca siły, po której człowiek jakby rodził się na nowo. Omeljan rozmarzył się. Stanica, Don, roześmiane dziewczuchy z gołymi łydkami idące po wodę z wiadrami na koromysłach, wspaniałe wierzchowce w stajni... Ech, gdzieżeś ty, mój cudowny Witroduju<sup>77</sup>, nie ma nad ciebie lepszego nad całym Donem. Został w domu, na *zagranicznyj pochod* kozacy pobrali gorsze, mniejsze ale wytrzymałe koniki. Kozak rozczulił się i poklepał przyjaźnie po szyi swego niezawodnego Temira, który odwdzieczył się równie przyjaznym krótkim parsknięciem. Teraz wojna, kraj tutejszy obcy, ale nie wrogie. W tej wiosce też dobrzy ludzie: sała i wódeczki przynieśli na posterunek przy moście... Wódka perfumowana jakaś, ale *wkusnaja*, sosnowym lasem i miodem przyjemnie zalatywała. Może jako sojusznikowi przynieśli, a może ze strachu – kto to wie? Omeljan nie wczuwał się w smak, wypił duszkiem i od razu oddał *butyłoczku*, by cieplej było i weselej. Wzrok się po tym z lekka mroczył, odległy las rozmazywał w szarą plamę, ale wokół było cicho i spokojnie. Byle do zmiany. Ta zaś nie nadchodziła. W ich sotni w ogóle nie działo się dobrze od śmierci sotnika Pogorielskiego. Kiedy ten oficer, surowy ale sprawiedliwy niczym ojciec, zginął

w akcji przed dwoma tygodniami, jego miejsce zajął sotnik Korowin, pijaczyna, rozpustnik i gnuśnik. Zaniedbywał dyscyplinę, pozwalał na zbyt wiele, teraz też wbrew zasadom wystawił na post samotnego kozaka. Gdyby to sotnik Pogorielski albo choćby i Omeljan dowodzili, jeden kozak stałby między lasem a mostem, zaś na samym moście kolejnych dwóch, a co najmniej jeden. Tymczasem on tkwił tu w pojedynkę, zaś sotnik i cała reszta weselili się beztrząsco w karczmie odległej o półtorej wiorsty. Na koszt miejscowych oczywiście. „Biedni ci ludzie. Taaak... może i ze strachu przynieśli” – kozak z niechęcią wspominał wczorajszy gwałt w sąsiedniej wiosce. Złapali dziewczę na drodze, zaciągnęli do najbliższej stodoły. On nie brał w tym udziału, nazbyt kochał swoją Agafię. Nie mógł też się przeciwstawić, skoro dowódca sotni pozwolił i sam dał przykład, pierwszy kładąc się na dziewczę. Jej białe uda podrygiwały w tym samym rytmie, co równe białe pośladki komandira, kozacy rzeli z radości, czekając na swoją kolej. Omeljan odwrócił się i przyknuł oczy, aż do bólu starając się przywołać w pamięci rumianą krągłą twarz swojej Agafii. Komandir skończył z chrapliwym okrzykiem, tamci po kolei robili swoje, ciężko dysząc. Ku zdumieniu Omeljana, dziewczę sprawa zaczynała się najwyraźniej podobać: jęczała a potem wręcz wyła z uciechy, sama dopasowywała ruchy bioder do ruchów gwałcicieli. Wreszcie ostatni skończył, ona zaś leżała z suknią i włosami w nieładzie, spocona, ale z zagadkowym uśmiechem na twarzy. „Może to zwykła suka, dla której to tylko kolejna przygoda?” – pomyślał kozak – „Nie widać po niej, żeby czuła się nieszczęśliwa...”. Zaraz jednak przypomniał sobie, co kiedyś mówił mu starszy brat, felczer w stancy. Że człowiecze ciało to skomplikowana machina, że nie zawsze przewidzisz jak zareaguje, nawet na potworne bicie. Może nawet podczas brutalnego gwałtu zdarzyć się, że przeskoczy jakaś czuła sprężyna i ciało odczuje to jako rzecz przyjemną? „Nawet jeśli tak czasem i bywa, to jest w tym ręka szatana” – stwierdził Omeljan – „Nie może z czegoś tak podłego zrodzić się prawdziwe dobro, prawdziwa rozkosz. Takie rzeczy rodzi tylko szczerą miłość – to dlatego jest nam tak dobrze z Agafią, dlatego nie mam ochoty na takie ‘zabawy’, jakie radują moich kompanów. Daj Boże powrócić do domu, do Agafii, bo *skuczno* się robi na duszy”. Poza duszą pocziwy kozak miał też jednak i ciało – ono zaś upomniało się o swoje prawa: rozejrzawszy się, zsiadł z konia, rozpiął kożuszek i spodnie, by ulżyć pęcherzowi. Nagle przed Omeljanem, w odległości jakichś stu kroków, pojawiła się kobieta, najwyraźniej wychodząca z pobliskiego lasu.

Raymond w pewnej chwili zorientował się, że kozak go już zauważył. Po plecach przebiegł mu zimny dreszcz, a więc zaraz wszystko się rozstrzygnie. Skup się, młody: masz wykazać n i e o d p a r t y urok osobisty, zwabić kozaka w las... Kolejny krok; kozak nadal tkwi nieruchomo. Następny – stojący wolno, zaniepokojony koń głośno parsknął. Jeszcze jeden; kozak wyraźnie spojrzął na Raymonda czyli „sukę z Pomehren”. Zgodnie z oczekiwaniami Rosjanin obnażył białe zęby w uśmiechu, który przejętemu Raymondowi wydał się drapieżny. „Spodobała mu się samotna kobieta, zaraz do mnie zagada...”. Ręce miał wolne: pistolet i nóż tkwiły za pasem pod peleryną, ona zaś posiadała szerokie boczne rozcięcia, umożliwiające wysuwanie rąk bez jej rozchylenia. Na wszelki wypadek pomachał ręką do kozaka; tamten lekko poklepał konia i podszedł kilka kroków naprzód, potem jednak zatrzymał się i czujnie rozejrzał. „Czyżby wyczuwał

podstęp?” – pomyślał Francuz – „E, chyba nie, po prostu wie, że nie powinien opuszczać posterunku”. Ruszył więc sam w jego stronę, starając się radośnie uśmiechać. Kiedy kozak znów wykonał kilka kroków, Raymond obu rękami powoli wykonał ruch masowania swych piersi, na co tamten ze zdziwieniem uniósł brwi. Szaser zaczął wykonywać żywe ruchy ręką, wskazując na pobliski las i zarośla. Kozak zadał mu pytanie w niezrozumiałym języku:

– *W cziom nuždajeties', gospoża?*<sup>78</sup>

Raymond szeroko otworzył swoje czarne oczy, odsłonił nieco loki spod chusty i jeszcze raz, już nieco zdenerwowany, zaczął wskazywać krzaki. Kozak przyjrzał się lepiej postaci stojącej przed nim i uśmiechnął się jeszcze raz:

– *Każetsia, czto wy jeszcze nie sowsiem gospoża... Togda skaži, czto tiebie prikluczilos', diwoczka? Napugał–li kto–to tiebia w lesu ili kak?*

Jedyną odpowiedzią „dziewczyny” było ponowne machnięcie ręką w stronę lasu. Rosjanin rozejrzał się ponownie, po czym stwierdził z westchnieniem:

– *Mnie nie lzia schodit' iz posta. Nu, na odnu minutoczku wojdiom w les i razbieriomsia, czto tam tiebia tak napugało!* – i ruszył za „dziewczyną”, trzymając pistolet gotowy do strzału. Raymond powoli prowadził go między jałowce.

Gontarz ścisnął w dłoni swój zabójczy nóż. Wszyscy trzej widzieli, jak kozak zeskoczył z siodła, rozpiął się i – ujrawszy „sukę z Pomehren” – zagadał do „niej”, a potem jeszcze raz się rozejrzał i ruszył z tyłu. Zlazł z konia i rozpiął gruby kożuch, co dało szaserom niepowtarzalną okazję! Oboje byli już bardzo blisko. Po czole Polaka spływał zimny pot. Już tylko dwadzieścia kroków, już tylko piętnaście, dziesięć... Zamachnął się powoli, oszacował odległość i wielkość celu a potem wrzasnął:

– Raymond, padnij!!! – Po czym młody szaser natychmiast legł na ziemi.

Omeljan nawet nie zauważył przeciwnika. Nagle jakby rozżarzony pręt wbił się w jego pierś z ogromną siłą, sięgając niemal serca. W ustach poczuł słonawo-słodki smak krwi. Ciemne pnie i konary drzew zatańczyły dookoła w zawrotnym tempie. Kozak powoli obrócił oczy ku szaremu, zachmurzonemu niebu i upadł na plecy.

„Co się ze mną dzieje? Gdzie jestem? Dlaczego tak cicho? Dlaczego tak zimno, coraz zimniej?”. Naraz usłyszał wielogłosowy chór... Uspokoił się – tak, już dobrze, jest w cerkwi w stancy Afanasijewskiej... Drewniane ściany, złote ikony, mnóstwo świec... I śpiew... Któż to zbliża się do niego? Ona – jego Agafia... Ale dlaczego jest tak uroczyście ubrana i taka niezwykle piękna, niczym w jaki prazdnik? Ach, przecież ona jest odziana do ślubu! Otworzył usta i, mieszając każde słowo z wypływającą spomiędzy warg krwią, wyszeptał zdziwiony:

– *Agafia Mironowna, Agafieńka moja... Zaczem nam wtoroj raz wienczat'sia?* – po czym, pełen zdumienia, ale dziwnie szczęśliwy, skonał.

Pochylająca się nad konającym Rosjaninem Lieselotte nie rozumiała słów wypowiedzianych przez kozaka. Jednak z właściwym od milionów lat tylko kobietom matkom, kochankom, żonom, siostram, córkom instynktem wyczuła emocje, jakie wyraził w chwili śmierci. Jej dobra dusza i wrażliwe serce nie wytrzymały napięcia i dziewczyna rozdzierająco zaszlochała nad trupem tego zupełnie obcego mężczyzny. Kiedy podniosła wzrok na stojącego obok, nadal w kobiecym przebraniu, Raymonda

zobaczyła jak po jego urodziwym obliczu także spływają cicho łzy. Z boku mogło to wyglądać komicznie, wręcz groteskowo, ale n i k t się nie roześmiał, ani nawet nie uśmiechnął. Coś nieokreślonego legło czarnym złogiem na ich myślach. Po raz kolejny ktoś w tej bardzo okaleczonej przez historię krainie poczuł na sobie wyraźny dotyk zła.

Antoine jako dowódca grupy otrząsnął się pierwszy. Cichym głosem nakazał Raymondowi i Lieselotte ponownie zamienić się ubraniami, szaserom – ukryć zwłoki kozaka i przejąć jego konia. To ostatnie nie było proste. Wyczuwszy obcy zapach, koń mógł się spłoszyć i umknąć. Wiedzieli jednak, co robić. Ostrożnie objechali go szeroko z kilku stron, a następnie biegły w chwytności i ujeżdżaniu François, przyodziały w zdjęty z kozaka kozuch i papachę, zbliżył się i zarzucił mu arkan, jaki zawsze woził ze sobą, w wolnych chwilach ćwicząc dla zachowania wprawy. Temir boczył się nieco i rżał, ale przywykli do obchodzenia się z końmi szaserzy zmusili go do posłuszeństwa. Kiedy mieli już wsiadać na konie i ruszać ku mostowi za rzekę, do dywizji Frianta, Raymond obejrzał się na dziewczynę:

– Lieselotte, obiecuję, że wrócę do ciebie! Tylko czekaj, nie zapominaj!

Gontarz przetłumaczył, ale ona i tak zrozumiała. Uśmiechnęła się smutno, podeszła do niego i gorąco pocałowała. Raymond wiedział, że musi przeżyć tę wojnę. Nie zginie, nie może zrobić tego Lieselotte. Jego Lieselotte.

Marszałek Davout z satysfakcją obserwował, jak jego artylerzyści zmuszają przeciwnika do odstąpienia od rzeki. Nie było w tym niczego osobliwego: przewaga ogniowa Francuzów była na tyle duża, że sam na miejscu rosyjskiego dowódcy wydałby rozkaz odwrotu poza zasięg bezpośredniego ostrzału. Teraz położono ogień zaporowy na lewobrzeżne podejścia do przeprawy, podczas gdy oddziały saperskie i inżynierskie uwijały się jak w ukropie, by możliwie najszybciej odbudować spalony most przy Amt Heilsberg. Na lewo i prawo od przeprawy pracujących chroniły dodatkowo gęste tyraliery strzelców. Za nimi stały gotowe do przejścia rzeki zwarte formacje piechoty i kawaleria: szaserzy 1. i 12. pułków. Dwa działony z dużym zapasem amunicji posłano na Kirchentor Vorstadt. Przeciwnik będzie teraz zdezorientowany i rozproszy siły między dwa, a nawet – jeśli liczyć atakujących zamek heilsberski żołnierzy 17. pułku liniowego – trzy kierunki obrony. Ponadto lewym brzegiem nadciąga spod Freimarkt i Benern dywizja Frianta. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, przeciwnik zostanie całkowicie odcięty i rozbity w samym mieście i w okolicy na zachód od niego. Byle Friant zdążył na czas! „Czy ten młokos Ledru poradzi sobie z zadaniem?” – myślał marszałek. – „Ruszył ku Friantowi drogą najkrótszą, ale też najbardziej niebezpieczną, w otoczeniu zaledwie kilku ludzi i pruskiego przewodnika, którego lojalności pewnym być nie można”. Davout kątem oka zauważył, że kilka kroków dalej czeka wyprężony generał Morand. Zapytał więc:

– Co tam Morand? Wszystko idzie według planu? Cóżes pan taki spięty?

– *Mon maréchal*, melduję, że wszystko gotowe do przeprawy.

– Dziękuję Morand, to akurat widzę sam. Ale dziękuję – Davout uśmiechnął się blade. – Kto bezpośrednio pokieruje akcją?

– Pułkownik Guyardet, dowódca 13. pułku lekkiego. Jeden jego batalion ruszy od razu za rzekę, drugi pozostanie tymczasem w rezerwie, poza zasięgiem ich dział. Podobnie kawaleria. Zobaczymy, jak rozwinie się sytuacja. To znaczy, co zrobią

Rosjanie: czy będą próbowali dalej bronić się w pobliżu mostu, czy zrejęterują ku miastu.

– No tak, kontratakować nie mogą, bo nasze działa zagłuszyły ich artylerię i kontrolują dolinę Alle niemal po drodze z Wormditt. Chwilowy pat...

– *Oui, mon maréchal*, ale tylko dlatego, że nie chcemy ich przedwcześnie spłoszyć. Żołnierze z 51. liniowego i 17. liniowego muszą zrobić wszystko, by ściągnąć tych co stoją naprzeciw nas, w stronę miasta. Wtedy nadejdzie Friant, obchodząc miasto szeroko od zachodu i północy, a my ruszymy za tymi tu i przejmujemy składy. Nawet mysz się nie wymknie z tej pułapki. No i magazyny będą nasze.

– Dwie pieczenie na jednym ogniu. Jeśli się uda, będzie to wielki sukces. Byle wszystkie czynniki zadziałały. Którą to mamy godzinę? – marszałek wydobył uwieszony na dewizce zegarek. – Dochodzi południe. Gdzie konkretnie może być teraz Friant, oto jest pytanie...

Nad Kirchentor Vorstadt zapadła złowieszcza cisza. Jeszcze przed chwilą główną ulicę przedmieścia wypełniał głośny turkot okutych żelazem kół armat i jaszczy amunicyjnych, rzenie konnych zaprzęgów i pokrzykiwania woźniców. Potem działa zatoczono na stanowiska bojowe i teraz szczyrzyły gardziele swych luf w stronę Kirchentor i starych murów, spoza których wystawały blade twarze Rosjan. Wyżej, na piętrze ciągu kamienic przylegających do obwarowań, gwałtownie domykano drewniane okiennice.

Dowódcy działonów podeszli do armat i za pomocą śrub zorientowali działa w pionie. Następnie obaj wydali komendę „*Chargez!*”<sup>79</sup>, amunicyjni podali „pierwszym” kanonierom stojącym po lewej stronie kule z przymocowanymi do nich „sabotami” i woreczkami prochowymi. Ładowniczo przy obu działach wepchnęli ładunki do luf, „pierwsi” kanonierzy po prawej stronie dopchnęli je odwrotnymi końcami wyciorów. „Drudzy” kanonierzy z lewej trzymanymi w prawej ręce specjalnymi „szydłami” przebili woreczki prochowe przez otwory zapałowe, w które lewą ręką wstawili przepalniczki<sup>80</sup>. „Drudzy” kanonierzy z prawej zapalili lontownice od stale już gotowych do użycia tłących się knotów. „Drudzy” kanonierzy z lewej podnieśli ręce w górę, dając oficerom – dowódcom działonów, sygnał gotowości do strzału. Dowódcy dali znak, „drudzy” kanonierzy z prawej przytknęli lontownice do przepalniczków, które zapaliły się momentalnie, wyrzucając u otworów zapałowych snopy iskier. Oba działa bluznęły ogniem i dymem, kule z hukiem uderzyły w koronę starych murów Heilsbergu...<sup>81</sup>.

Porucznik Żadowski obserwował z niepokojem przygotowania Francuzów do strzału. Na tym odcinku nie można było im niczego przeciwstawić – własne działa albo pozostały na drodze z Wormditt, na wysokości Amt Heilsberg, albo zostały ustawione przy Hohe Tor, na wypadek ataku przeciwnika na tę jedyną nie zablokowaną bramę. Ponadto tu, naprzeciwko Kirchentor Vorstadt, trudno byłoby ustawić działa skutecznie ostrzeliwujące ten kierunek. Żadowski poczuł się więc nieco usprawiedliwiony, że wczorajszego wieczora zaniedbał rozmieszczenia tu artylerii. Co innego Töpfergrund, które można było efektywnie ostrzeliwać z murów od strony Nowego Rynku. Mniejsza o to, gorzej że Francuzi właśnie skończyli ładowanie. Zaledwie porucznik ujrzał jak dowódcy działonów unoszą dłonie, armaty zagrzmiały. Kule głucho uderzyły w mur, krusząc kilka cegieł i rozpryskując ich drobiny na wszystkie strony. Soldaci nieco



przysiedli i pochyłili głowy, ale po chwili mogli stwierdzić, że stary średniowieczny mur dobrze radzi sobie z bezpośrednim ostrzałem pełnymi kulami z lekkich dział. Żadowski zakomenderował:

– *Rota, słuszaj... wolnyj zariad!* – Załadowano karabiny, po skróconych komendach oddano salwę w kierunku wroga, również bez widocznego efektu.

Francuskie działa jeszcze dwukrotnie wystrzeliły pełnymi kulami. Jednak i tym razem rezultaty były niezadowalające. W dodatku punktowe trafienia nie wzbudzały w przeciwniku respektu wystarczającego, by można było ponownie podjąć dzieło rozbierania resztek mostu bez narażania się na wielkie straty. Do stanowisk artylerii podszedł pułkownik Baille:

– *Monsieurs*, zdaje się, że nasze kule nie wyrządzą tym starym murom większej szkody, a jeśli nawet, to trzeba by ich zużyć bardzo wiele. Czasu także. Ale przecież, *sacrebleu!*, nie jest naszym celem rozpieprzenie tych cegieł, tylko zmuszenie tamtych do schowania łbów i łuf przed naszym ogniem; tak, byśmy mogli wreszcie zerwać te filary i dźwigary...

Dowódcy działonów flegmatycznie spojrzeli na Baille'a, po czym jeden z nich stwierdził, nie wyjmując z ust tłającej się cygaretki:

– *Oui, mon colonel*. Faktycznie trzeba zacząć walić kartaczami. Naprzemiennie – raz jedno działo, raz drugie. Tak, żeby musieli się prawie cały czas chować za murem. Jednak i dla pańskich fizylierów znajdzie się robota – tu wskazał na milczące otwory strzelnicze zabarykadowanej Kirchentor – Muszą zneutralizować ruskich strzelców, którzy próbowaliby stamtąd nadal ostrzeliwać naszych saperów.

Baille powoli obrzucił wzrokiem cały powierzony odcinek, od prawej do lewej, i pokiwał bez słowa głową. Nakazał chwilowo wstrzymać ogień, po czym ruszył wydać stosowne dyspozycje. Zarówno grupa saperska, jak i żołnierze z jej osłony zdążyli już dokładnie rozeznac się w atakowanym terenie; wiadano także, iż siły nacierające na przeprawę pod Amt Heilsberg odrzuciły przeciwnika od rzeki. Teraz kolej na ruch Baille'a. Musi przedostać się na lewy brzeg i wymusić na przeciwniku wycofanie oddziałów spod Amt Heilsberg ku miastu. „A gdyby tak udało się wdrzeć do składów na Hohetor Vorstadt, tam się zabarykadować i czekać na rychłe uderzenie Moranda i Marulaza?” – rozmarzył się Baille – „Zgrupowanie rosyjskie spod Amt Heilsberg nie zaryzykuje walki na dwa fronty i raczej odskoczy ku północy, na drogę königsberską... Składy będą nasze, a wróg w mieście zupełnie odcięty”. Niby on sam też znajdzie się-po zajęciu składów-między młotem a kowadłem. Wierzył jednak, że jego ludzie wytrzymają, zdołają nie dopuścić wroga do wyjścia z miasta przez wąską Hohe Tor, a zaraz potem uderzy na nadchodzących od zachodu Rosjan ścigająca ich grupa Moranda i Marulaza. Marszałek Davout na pewno dobrze skoordynuje to wszystko!

Żołnierze 17. pułku liniowego szybko obesзли, czy raczej obiegli, całe szerokie zakole Alle, w jakim rozłożyło się stare średniowieczne miasto Heilsberg. Jednak rzeka i rozciągnięte wzdłuż niej mury nie pozwalały przeniknąć do miasta od tej strony. Wkrótce ujrzeni przed sobą ogromny masyw gotyckiego zamku z czerwonej cegły, przed którym leżało jeszcze rozleglejsze przedzamcze, przebudowane w stylu barokowym. Nad przedzamczem dominowały wieża zegarowa i okrągła baszta, nad zamkiem – wysoki

oktogonalny stołb. Wkrótce pierwszy pluton pod dowództwem sierżanta Simona Araise wbiegł na most przerzucony nad fosą, łączącą się z Alle. Podćwiekowane buty głośno załomotały na drewnianych deskach poszycia. Główne wrota na przedzamcze, zwieńczone ostrołukiem, były zawarte na głucho. Po kilku minutach ciosy siekier i łomów dokonały swego: żołnierze wdarli się na dziedziniec, brukowany „kocimi łbami” i ułożonymi w kilka regularnych pasm równiej obrobionymi kamieniami. Pośrodku dziedzińca wznosiła się na postumencie figura jakiejś świętej, z atrybutami koła, miecza i palmy. Rudy, niewielki wzrostem, nawet jak na Francuza, jedyny w oddziale żarliwie pobożny, fizylier Philippe Royeux rozpoznał postać właśnie po tych atrybutach: „*C'est sainte Catherine d'Alexandrie... vierge et martyre*”<sup>82</sup>. Imię świętej nosiła jego ukochana, dawno zmarła matka. Żołnierzy 17. pułku przedzamcze interesowało tylko o tyle, o ile znajdowałby się tam przeciwnik. Budynki magazynowe, administracyjne, baszta i pałac z ogromnym tympanonem ozdobionym jakimś herbem<sup>83</sup> były opuszczone. Na dziedzińcu stały tylko dwa puste drabiniaste wozy bez zaprzęgów. Obok nie uprzątnięte kupy końskiego nawozu i porozsypywana słoma. Pod ścianą magazynu leżała osłonięta drewnianą wiatą wielka sterta siana, o nią oparte były również drewniane widły. Kilku Francuzów podbiegło do niskiego muru po obu stronach wejścia na most, prowadzący z dziedzińca przedzamcza ku zamkowi. Przestrzeń w dole wypełniały nie pielęgnowane należycie od kilkunastu lat drzewa i krzewy dawniej zadbanego ogrodu. Przed głównym, gotyckim, budynkiem zamkowym widniała dwukondygnacyjna, rozległa fasada barokowego pałacu, z wyraźnie wyróżniającymi się trzema ryzalitami, które stanowiły ściany szczytowe trzech powiązanych łącznikami budynków; po obu stronach widać było prostopadle zorientowane boczne oficyny. Środkowy ryzalit był również trójdzielny, zwieńczony ozdobnym tympanonem. W jego dolnej kondygnacji znajdował się otwór bramy wjazdowej, ponad nim zaś – rodzaj galerii, stanowiącej bezpośrednio przedłużenie ściany szczytowej środkowego budynku. Wszystkie oficyny i łączniki były zwieńczone namiotowymi dachami krytymi dachówką. Cały gmach wyglądał na mocno zaniedbany<sup>84</sup>. Osłaniany przez kolegów piechurzy prowadzeni przez Simona Araise przebiegli most i utknęli pod zamkniętymi wrotami. Dobyli ponownie siekier i łomów, wówczas jednak rozległy się nawoływania z tyłu, od przedzamcza. Okazało się, że Royeux zauważył poruszające się siano, zaczął je rozgarniać widłami i po chwili wy dobył spod niego drobnego, drżącego z zimna i ze strachu staruszka. Sierżant Araise cofnął się spod wrót zamkowych. Royeux przywołał znajdującego niemieckiego szeregowca Josepha Stroebela, pochodzącego z Alzacji. Ten od razu spytał starca, kim jest.

– *Herr Soldat*<sup>85</sup>, ja tu tylko pilnuję kluczy do bramy. Zamek stoi pusty, nie pozwolili nikogo wpuszczać...

– Aaa, doskonale, znaczy to, że masz klucze do zamku! – Stwierdził z zadowoleniem sierżant.

– *Jawohl, Herr Offizier*. Już otwieram, już otwieram... Tylko nie zabijajcie, mam chorą żonę, zemrze beze mnie z nędzy.

Niespodziewanie „awansowany” na oficera Araise roześmiał się głośno i poklepał starca po plecach:

– Nie bój się pan, my z takimi jak pan nie walczymy, chyba że nas sami zaatakują...

– pogroził żartobliwie palcem. – No, dawaj pan te klucze!

– *Sofort, sofort, Herr Offizier!* Sam otworzę, bo to tam się klucz trochę zacina. Stary mechanizm, słabo oliwiony... – stary już drobił nogami, spiesząc truchtem ku mostowi. Za nim Francuzi uszykowani w dwa rzędy, przy obu barierkach mostu. Stary z trudem wtłoczył spory klucz do zamka. Drżały mu dłonie, nie był w stanie, z przejścia czy z braku siły, otworzyć bramy. Zniecierpliwiony Araise przywołał gestem kaprała Pierre’a Frère, jednego z trzech braci służących w tym samym pułku. Ten wydobył z tornistra pojemniczek z oliwą do smarowania broni i wlał kilka kropel do zamka. Następnie ujął klucz we własne porośnięte kępkami jasnych włosów dłonie, przypominające łapska niedźwiedzia. Sam Pierre też miał potężną, budzącą respekt posturę. Klucz po prostu musiał się obrócić pod jego naciskiem. Toteż zamek ustąpił. Fizylierzy szybko przebyli tunel bramy i wypadli na nieduży wewnętrzny dziedziniec, z którego wiodły do właściwego zamku kolejne masywne, okute żelazem wrota. Był jednak z nimi stary dozorca, weszli więc bez problemów. Szeroko otwierane drzwi wydały nieprzyjemny, przejmujący zgrzyt. Sierżant wydał szybkie dyspozycje:

– Pięciu ludzi na piętro pałacyku, reszta za mną na drugą kondygnację w zamku! Celować w stronę miasta za rzeką, walić do wszystkiego, co się rusza!

Trudno było wyrazić się jaśniej, toteż już po chwili otwory okienne w zamku i pałacu wypełniły się francuskimi strzelcami. Żołnierze szybko zorientowali się, że na piętro prowadzą szerokie kamienne schody po lewej, zaś te na końcu podcieni z prawej – do piwnic magazynowych. Po wspięciu się na wyższą kondygnację, przebyciu części krużganku i wkroczeniu do komnat zachodniego skrzydła Araise zdziwił się jednak nieprzyjemnie, gdyż okazało się, że nawet z wyższej kondygnacji słabo widać wnętrze miasta, zasłaniały je piętrowe kamieniczki ulicy wiodącej wzdłuż murów i wyższe, przylegające do wschodniej pierzei Rynku. Tak naprawdę widać było tylko jedną ulicę, która prowadziła od strony zamku lekko pod górę, ku Rynkowi, i dalej w głąb zachodnich kwartałów miasta. „*Parbleu!*, trochę mało!” – pomyślał sierżant. Postanowił jednak czuwać na wszelki wypadek. Może wejdą pod lufy Rosjanie przemierzający się z osłoniętych rejonów do zachodniej części miasta... Nakazał tymczasem nękać ogniem karabinowym samych mieszkańców, toteż żołnierze zaczęli zabawiać się strzelaniem po oknach. Trzask pękających pod uderzeniami kul okiennic i brzęk rozbijanych szyb budziły w nich jakąś głupkowatą radość, zwłaszcza że nikt się im nie odgryzał.

W oknie pierwszego piętra kamienicy na rogu Querstrasse i Kirchenstrasse<sup>86</sup> ostrożnie uchyliła się drewniana okiennica. Najemca mieszkania, muzykant miejski Martin Derdak, zapragnął sprawdzić, co dzieje się na ulicy. Zza jego pleców, kurczowo uczepiona jego silnego ramienia, wyglądała ładna filigranowa brunetka – jego żona Gretel. W głębi mieszkania tuliły się do siebie siedzące na drewnianej wyściełanej ławie dwie zalęknione córki: około dwudziestoletnia, podobna z karnacji do ojca, niebieskooka piękna blondynka Agathe i dobrych parę lat młodsza Inga, zupełny jeszcze kurczak, ta z kolei podobna raczej do matki. Na zewnątrz rozlegały się wciąż wystrzały karabinowe, od czasu do czasu grzmiały armaty. Słysząc też było trzask pękających dachówek. Gretel szeptała niecierpliwie:

– Martin, lepiej nie wyglądaj, tam niebezpiecznie. Jeszcze ktoś strzeli nam w

okno...

– Wiem, wiem, Gretel, ale wolę wiedzieć, co tam się dzieje, żeby nas nikt z nagła nie zaskoczył! Kiedy pomyślę o tobie, *Schätzchen*<sup>87</sup> i o dziewczynkach...

– *Vati*, czy ty nas obronisz? – Zapytała płacząco Inga, wyginając usta w podkówkę. Starsza siostra jak zwykle zachowywała spokój i powagę; obróciła łagodne spojrzenie swych pięknych oczu na małą, uśmiechnęła się wyrozumiale i powiedziała:

– Inga, głuptasie, nie bój się, tatko nas zawsze obroni.

– Wiem. Tatko jest taki silny i mądry! – Małej obeschły łzy, zanim na dobre zdążyła się rozplakać. Wesóło spojrzała na siostrę i dała jej niespodziewanego kuksańca w bok. Agathe udała oburzenie i wymierzyła małej żartobliwego klapsa. Następnie zwróciła się do matki:

– *Mutti*, dorzucę drewek pod kuchnią, bo ogień wygaśnie i obiad nie dojdzie. – Matka pokiwała głową, ale nadal stała za plecami ojca. Agathe zeszła schodami na dół, do kuchni. W izbie na piętrze wszyscy zastygli w oczekiwaniu.

Nagle ojciec ożywił się i szerzej uchylił okiennicy, wołając:

– Heini, uważaj! Nie pałętaj się po ulicy, bo strzelają!

Gretel z ciekawości również wychyliła się z okna, rozpoznając w postaci stojącej pod kamienicą miejskiego listonosza, Heinricha. Wszyscy go lubili i po prawdzie mało kto pamiętał jego nazwisko. Wszyscy wołali go po imieniu, najczęściej zdrobniale: Heini. Listonosz zadarł głowę do góry i zawołał wesóło:

– *Keine Angst*, Martin! Mnie żadna kula nie trafi, bo urodziłem się w czepku i w dodatku w niedzielę! *Diese verfluchte Welschen* mogą sobie strzelać do woli! – Odwrócił się w stronę zamku i szyderczo zasalutował. Wtedy nagle zeszywniał, jakby wspiął się na palcach, potem lekko obrócił w lewo i upadł. Znieruchomiał, leżąc na lewym boku, jego nogi ułożyły się jak do biegu. Na piersi widniała krwawa plama, także śnieg zalegający na ulicy zabarwił się czerwono. Oczy Heinricha, szeroko otwarte i nieruchome, oglądały już inną rzeczywistość.

Gretel nie czekała dłużej. Zdecydowanym ruchem, z niezwykłą siłą odciągnęła męża od okna, z hukiem zatrzasnęła okiennice i okno, odepchnęła Martina w głąb izby, ku Indze, i, wsparłszy się lewą ręką pod bok, prawą dłoń uniosła w górę, wystawiając groźnie wskazujący palec. Martin wiedział, że jego Gretel ma rację. Trzeba pilnować swoich spraw. Za oknami krążyła Śmierć, rozglądając się, kogo jeszcze ucałować swymi sinymi wargami...<sup>88</sup>.

Kapral 17. pułku liniowego Sébastien Thouard znalazł się wraz z częścią jednostki w rejonie bezpośrednio na południe od heilsberskiej fary, na przeciwnym brzegu Alle. Rozłożyli się na skraju Fürstliche Garten, na prawo od dużego zamrożonego stawu, wzdłuż drogi, wiodącej ku zamkowi. Za plecami mieli partery ogrodowe z urządzeniami wodnymi, jeszcze dalej – letni pałacyk dawnych biskupów na wyniosłym pagórku. W pobliżu rzeki znajdowało się niewielkie skupisko niskich zabudowań o charakterze gospodarczym. Pomiędzy nimi widniał prześwit, prowadzący do, wyglądającej na wątlą, wąskiej drewnianej kładki. W godzinach rannych żołnierze z „siedemnastki” próbowali nawet przedostać się tamtędy do miasta, jednak kładka nie mieściła naraz tylu ludzi, by mogli oni przejść na drugą stronę: gęsty ostrzał ze strony rosyjskiej piechoty zmiatał

każdego, kto wchodził na deski. Nikomu nie udało się dotrzeć dalej niż do środka kładki. Smutnym śladem tych usiłowań było czterech rannych, w tym jeden poważnie i wciąż leżący na samym środku mostka trup grenadiera<sup>89</sup> André Verdois z przestrzeloną szyją. Trup był tylko jeden, za to robił niesamowite wrażenie, gdyż rozerwana kulą tętnicą szyjna zbryzgała obficie zarówno pierś i głowę poległego, jak i duży kawał zaśnieżonej kładki. Wyglądało to tak, jakby broczył z potwornej rany sam mostek. W dodatku już w trakcie próby przeskoczenia Alle po kładce okazało się, że drugi jej koniec kończy się dość wysokim, grubym ceglany murem, stanowiącym część obwarowań miejskich. Obsadzali go oczywiście Rosjanie. Na pytanie, dlaczego most kończy się ślepym murem, uzyskano wkrótce odpowiedź. Sébastien osobiście znalazł w jednej z szop na terenie ogrodów przestraszonego cywila. Ostro indagowany przedstawił się jako *Zimmermeister*<sup>90</sup> Georg Horneffer. Postawiony przed szefem batalionu<sup>91</sup> Pierrem Clémentem, musiał odpowiedzieć na szereg pytań dotyczących topografii miasta. Zapytany, czy wie dlaczego kładka kończy się murem, odparł:

– *Herr Offizier, ich bin auch ein Röhrenmeister. Ich mache, dass das Wasser in die Stadt kommen kann*<sup>92</sup>.

*Chef de bataillon* uniósł brwi:

– To znaczy, że to jest tylko most wodociągowy?

– *Ja, Herr Offizier. Das ist eine Röhrenbrücke.*

Następnie opisał dokładnie, jak przebiegają dębowe rury prowadzące wodę do miasta. Nie omieszkał pochwalić się z dumą, że wodociąg działa już od ponad czterystu lat. Oficera interesowało jednak co innego: mianowicie czy mostek wytrzyma ciężar działa lub konnego wozu. Horneffer potwierdził, dodając, że nie tak dawno wymieniono pod jego osobistym nadzorem osłabione drewniane elementy.

– Doskonała wiadomość! – Zatarł ręce Clément. – Kiedy naszym uda się w końcu przebić do miasta, tędy będzie można, sztuka po sztuce, przeprowadzić na lewy brzeg wozy i działa! Mur się rozwali na tym odcinku i tyle.

Obecni przy przesłuchaniu oficerowie pokiwali radośnie głowami. Zupełnie jakby już byli na drugim brzegu, jakby nie czekały ich wszystkich jeszcze całe godziny walki albo co najmniej nerwowego wyczekiwania na rozstrzygnięcie na innych odcinkach. Przyzwyczajeni do sukcesów, nadal skłonni byli nieco lekceważyć przeciwnika, wierząc że koniec końców i tak odśpiewają „*La victoire est à nous*”<sup>93</sup>. Od tej chwili tylko czekali na sygnał do ataku.

Timofieja zdziwiło, że Francuzi przerwali ostrzał jego odcinka. Ostrożnie wyjrzał spoza muru i zobaczył, że działa wroga nie zmieniają pozycji. Oznaczało to, że będą nadal strzelać. Skoro tak, rzecz była oczywista: za chwilę na głowy Rosjan posypie się deszcz kul kartaczowych. Murom co prawda zaszkodzi to jeszcze mniej, niż pełne kule o wadze ośmiu funtów; za to pole rażenia znacznie się poszerzy i trzeba będzie dobrze się kryć, by nie oberwać w twarz lub górną część tułowia. Każda ołowiana kula, przechodząc przez niezbyt czyste wskutek trudów kampanii mundury i bieliznę, rozplaszczając się nieco nawet w zetknięciu z tkankami miękkimi i najczęściej pozostając w środku, będzie jak zawsze wtłaczała w głąb rażonego nią ciała solidną porcję brudu, kawałki tkaniny, guziki, co oznaczało zwykle gangrenę i śmierć. Chyba, że fachowo usunięto kulę, dokonano

szybkiej amputacji – prawie zawsze bez jakiegokolwiek znieczulenia, ranny miał końskie zdrowie i dużo szczęścia. Życie ludzkie było nadzwyczaj kruche i darło się tak łatwo, jak namoknięty cienki papier. Dotknął twarzy, czując pod czubkami palców twardą drobną szczecinę. „Najwyższy czas, by się ogolić” – pomyślał, jakby to był zwykły dzień w rodzinnej wsi lub w garnizonie. Świerzbiały go lekko dwie blizny, pamiątki z czasów służby w twierdzy Koporje: jedna na prawym barku, druga na plecach, tuż ponad prawą łopatką. „To chyba nerwy, zwykle nie czuję tych starych skaleczeń...”. Oczy miał zaczerwienione i suche. Zamrugał powiekami, lecz niewiele to dało. Stłumił głębokie ziewnięcie – dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest znużony. Spojrzał z ukosa na stale znajdujących się obok Borysa i Fiedota. Ich twarze też były poszarzałe i zmęczone, oczy spoglądały bez wyrazu na Kirchentor Vorstadt. Timofiej zapragnął kilku chwil rozmowy, zanim zacznie się ostrzał:

– *Nu, rebiata, kak diela? Wsio w pariadkie?*<sup>94</sup>

– *Tak toczno, gospodin unteroficer!* – Odpowiedzieli posłusznie, chociaż bez entuzjazmu. Przybrali przy tym regulaminową postawę „smirno”, spoglądając wprost przed siebie. Timofiejowi nie do końca o to chodziło, raczej o parę ciepłych słów; służbista reakcja podkomendnych – niezamierzenie chłodna i oficjalna – wywołała u podoficera poczucie obcości. Wiedział, że to nie kwestia emocji – był lubiany przez żołnierzy – tylko automatyczna odpowiedź na w sumie zdawkowe, ogólnikowe pytanie. Mimo to poczuł się przez moment straszliwie samotny, jak wędrowiec podążający zimą saniami przez step. „W obliczu śmierci każdy jest samotny” – skonstatował banalnie, ale czyż w sumie nie jest banalne wszystko to, co ważne w życiu człowieka: wygodna, ciepła izba, dobra strawa, szklaneczka alkoholu, miłość jako melodia duszy i jako bliskość ciał, przyjaźń, radość z oglądania rzeczy pięknych lub rezultatów własnej pracy...? Czas jakby zastygł w bezruchu. Timofiej widział szereg żołdatów na murze, z bronią gotową do strzału, pozornie nieruchomych. Pozornie, bo jeden lekko się zachwiał, inny przestawił nogę, inny przez chwilę potarł kark lub twarz. Cisza także była pozorna. Ucho Timofieja wyławiało ciche westchnienia, chrząknięcia, siąkanie nosem, ledwie dosłyszalne szepty, szuranie butów, skrzypienie śniegu, poszczękiwanie porządzenia... „Oni także się denerwują. Dyscyplina nie pozwala im tego okazać, ale każdy jest napięty jak łuk gotowy do strzału”. Wszystkie te, najdrobniejsze nawet, zakłócenia zupełnego bezruchu i ciszy razem tworzyły jakiś niedokończony, drżący wizerunek, podobny do obrazu odbitego w cichej wodzie, prawie niedostrzegalnie marszczonej ledwie wyczuwalnym wiatrem. Nieco dalej, po lewej, widniała wyprostowana sylwetka porucznika Żadowskiego. On także obserwował przygotowania Francuzów. Prawda: pierwsze wystrzały pozwolą oszacować stopień zagrożenia. „Czekajmy zatem...”

Z drugiego brzegu dobiegały stłumione odgłosy francuskich komend. Nastąpiła chwila ciszy, Timofiej niby w zwolnionym tempie ujrzał, jak jeden z kanonierów przykłada lontownicę do przepalniczka. Rozbłysk, potem huk, chmura dymu i... gęsty grad kul kartaczowych walących w koronę muru. Nie tylko w mur: po obu stronach unteroficera rozległy się okrzyki bólu – trafiono co najmniej dwóch ludzi. Rozejrzał się szybko. Po lewej zwałił się z muru i leżał nieruchomo jeden z radowych, którego nazwiska nie znał. Prawdopodobnie zabity. Po prawej klęczał, trzymając się kurczowo za

ucho, riadowy Kretow, podkomendny Griszy Pankratowa. Przebity na wylot kiwer Fiedota świadczył, że i stojącego obok Timofiejaomal nie dosięgły kule wroga. Zaraz po wystrzale kartaczowym ustawieni w tyralierę francuscy piechurzy walnęli gromką salwę w kierunku Kirchentor. Dało to drugiemu działonowi kilkanaście sekund na bezpieczne dokończenie ładowania. Zaraz potem działo wystrzeliło i deszcz kul spadł z kolei na odcinek przylegający do bramy. Tam także kogoś trafiono, bo dał się słyszeć głośny krzyk. Mimo gęstego dymu dział i karabinów, Rosjanie zauważyli, że pierwszy działon ponownie ładuje. Nie było na co czekać. Żadowski wykrzyknął komendę „Kryj się!”, po czym prawie wszyscy żołdaci, z wyjątkiem wyznaczonych obserwatorów, przykucnęli za osłoną muru. Stare średniowieczne umocnienia dawały wystarczającą ochronę przed kartaczami, łatwo było uniknąć większych strat. „Koporcy” wiedzieli jednak, że przeciwnikowi nie chodzi o rozbicie murów, tylko o utrudnienie Rosjanom ostrzału francuskich saperów. Timofiej był świadomy, że w zaistniałej sytuacji przeciwnik cel ten łatwo osiągnie. Dlatego możliwie najszybciej należało dostosować własne działania do przewidywanego rozwoju wydarzeń. Francuzi zdobędą te filary i dźwigary, ułożą je na kruchym lodzie, na nich położą lżejsze deski i płoty, po czym przejdą – tymczasem bez artylerii i kawalerii – na lewy brzeg Alle. Jedynym miejscem, gdzie mogliby to zrobić, były okolice Töpfergrund. Tam zatem należało skupić ostrzał własnych armat i większość sił piechoty. Timofiej widział, jak do porucznika Żadowskiego podchodzi porucznik Pietrow, a następnie obaj, żywo gestykulując, rozprawiają ze sztabowcem przysłanym przez generała Warnecka. Rozmowa dotyczyła zapewne tego samego, o czym rozmyślał Timofiej, gdyż po chwili Żadowski i Pietrow wydali kolejne rozkazy. Rota Pietrowa miała pozostać na odcinku między Kirchentor a ujściem fosy, obsadzając też nadal mur za farą, do którego przylegała kładka Röhrenbrücke. Rota Żadowskiego przechodziła w kierunku Nowego Rynku i Hohe Tor. Tymczasem Francuzi nadal strzelali z dział i karabinów, nie wyrządzając jednak znaczących szkód i strat.

Pułkownik Baille stwierdził, że na murach widać znacznie mniej Rosjan, odgryzali się także z rzadka. Doszedł do wniosku, że czas najwyższy ponowić próbę przeprawy. Grupa saperska wciąż pozostawała w stanie gotowości. Kazał wezwać porucznika Jambeta. Ten zjawił się dosłownie po dwóch minutach.

– Jambet, czy pańscy ludzie gotowi?

– *Oui, mon colonel!* I bardzo rwą się do akcji. Nie chcą, by ofiarność kaprała Dorneta i innych chłopaków poszła na marne.

– *Oui, évidemment...*<sup>95</sup> Sądzę, że przeciwnik już jest zmięczony i nie bardzo ma czym odpowiadać. Czyli czas na pańskich ludzi. Uderzacie najdalej za pięć minut.

Jambet wyprężył się, zasalutował strzelając obcasami, wykonał w tył zwrot i zbiegł po skrzypiących, wypaczonych stopniach na parter. Wyszedłszy na zewnątrz, ruszył ku saperom. Tam wystarczyło, że rzucił krótkie: „Za pięć minut!”, by wszyscy zrozumieli i zaczęli szykować się do uderzenia.

Tym razem byli tak pewni sukcesu, że postanowiono atakować z towarzyszeniem tarabanów. Znow więc zagrzmiała narastająca kaskada łomotu pałek o napiętą skórę, lawina spotęgowanych rezonansem huczących dźwięków. Saperzy, osłaniany tym razem skutecznie przez własne działa i tyralierów, podążali truchtem ku rzece. Pierwszy biegł

Grégoire Villeveux, ściskając w rękę siekierę poległego kaprała Régisa Dorneta. Kule karabinowe i kartaczowe przelatywały ponad nimi i z boku, zmuszając przeciwnika do krycia się za murem. Dobiegli. Ten i ów zmoczył nogi po kostki lub do pół łydki, trafiając na mniej wytrzymały lód, większość jednak dobiegła ostrożnie do pierwszych przesł i w kilka minut zrąbała i odciągnęła na brzeg siedem solidnych belek, których nie zdołał strawić ogień wzniecony minionej nocy. Wtedy jednak któremuś z Rosjan udało się – wyzyskując krótką przerwę w ostrzale – trafić sapersa Louisa Condeta, na szczęście powierzchownie, w lewe ramię. Kula jedynie otarła się o ciało, wystarczy więc zapewne szybko oczyścić ranę i zrobić opatrunek. Condet sam zadbał o to, by mieć przy sobie flaszeczkę mocnego wyciągu z głogu; zagrzeje, przemyje, felczer założy czysty bandaż... Za parę dni pozostanie tylko wspomnienie. Innych ofiar nie było. Razem zdołano pozyskać dwanaście filarów i dźwigarów. Teraz czas ułożyć je na lodzie, na wysokości niewielkiego przysiółka położonego między ujściem fosy a Hohe Tor. Tym samym przenieść także ostrzał w tamten rejon, gdyż przeciwnik nie jest głupi i z pewnością domyślił się, skąd może mu zagrozić niebezpieczeństwo. Należy więc przygotować się na kolejny pojedynek ogniowy, tym razem działa przeciwko działom, plus karabiny oczywiście. Prawdziwa zabawa dopiero się zacznie. Teraz jednak cel był wyraźnie określony i możliwy do osiągnięcia, nawet jeśli za cenę dużych strat. Tam wszakże te straty poniosą obie strony.

Grupa Antoine'a Ledru przebyła most w Launau i skierowała się w lewo, na południowy zachód. Towarzysząca im Lieselotte szybko podążyła ku jednej z chat. Na szczęście droga wiodąca od mostu do wsi łączyła się z główną drogą na samym skraju zabudowań; świadomi obecności kozaków i bliskości Francuzów mieszkańcy woleli nie wyściubiać nosa poza własny próg, chyba że w razie konieczności, toteż grupka jeźdźców nie zwróciła specjalnej uwagi. Należało teraz ominąć szeroko karczmę, w której hucznie zabawiała się sotnia kozacka. Odgłosy wesolej popijawy niosły się daleko. Karczma zwana „Dittchen – Krug” leżała o wiorstę za wsią, niedaleko rozstaju dróg na Wormditt i Guttstadt. Weber radził ruszyć w stronę leśnictwa Tiergarten – dawnego zwierzyńca biskupiego, następnie lasem dotrzeć do drogi wormdickiej w okolicy Grosse Bruch – Wielkiego Bagna, objechać je i skręcić przez Mawern na Peterswalde<sup>96</sup>. Trasę przez Zechern uważał za zbyt ryzykowną – folwark mogli nadal obsadzać Rosjanie. Leżał on zbyt blisko karczmy. Pozostawało pytanie, którą drogą porusza się spod Guttstadt dywizja Frianta: na Peterswalde czy bezpośrednio na Zechern. Nieco krótsza była droga przez Zechern, za to wiodąca do niego trasa przez Peterswalde była lepsza dla dział i wozów. Antoine pomyślał, że skoro i tak będą dokonywać obejścia przez Mawern, to dotrą najpierw do Peterswalde. Tam zaś postanowią, co dalej. I tak będą poruszali się znacznie szybciej od kolumny Frianta. Zapytał Webera o obie miejscowości. Ten, jak poprzednio lakonicznie, odpowiedział:

– Peterswalde to wieś chłopska, chełmińska. Zechern to dobra szlacheckie.

– Do kogo należy majątek?

– Do Schimmelpfennigów. Stara ermlandzka szlachta, herbu własnego Krzep.

Wiele znaczyli za polskich czasów, teraz nieco podupadli. Obecnie gospodarzy tam Johann Gottfried von Schimmelpfennig.



– Czy w Peterswalde jest kościół?

– Owszem, to wieś kościelna. Parafia pod wezwaniem świętego Bartłomieja. Posiada też wieżę, bo chyba o to pan chce zapytać?

– Domyślny jesteś, Weber – uśmiechnął się lekko Ledru.

– Bywałem u tamtejszego wikarego na kartach. Ksiądz Anton Wagner. Młody jeszcze człowiek, niecałe trzydzieści lat, wyświęcony jakieś trzy lata temu... Dobry z niego kompan – *Waldwart* Weber wykazał zdumiewające gadulstwo mówiąc o zaprzyjaźnionym księdzu. Najwyraźniej przypadli sobie do gustu. Weber kontynuował:

– Jego gospodyni przyrządza doskonały poncz, a księżulo chętnie się nim dzieli. O Francuzach mówi dobrze i twierdzi, że się ich nie obawia.

Antoine pomyślał, że to dobry znak: przyjazny Francuzom ksiądz w Peterswalde. Może potraktuje ich życzliwie i powie znacznie więcej, niż powinien jako poddany pruskiego króla? Na razie jednak trzeba było niezauważenie ominąć karczmę „Dittchen – Krug”. W las prowadziła wąska droga, od przynajmniej doby nie używana, gdyż pokrywał ją nietknięty śnieg. Wjechali między drzewa, stając się niewidocznymi dla każdego, kto obserwowałby główną drogę. Las był cichy, tu także nie słychać było ptaków a cichsze odgłosy tłumiał śnieg gęsto okrywający gałęzie drzew i krzewów, w większości iglastych. Ledru zapytał:

– Jak daleko jest to Tiergarten?

– Kilkaset kroków. Za wzgórzem, które będzie po lewej.

– Czy tam ktoś teraz mieszka?

Weber wzruszył ramionami:

– Jeszcze przed kilku dniami urzędował tam leśniczy. Dziś – kto to wie?

Jechali przez chwilę w milczeniu, czujnie rozglądając się wokoło. Śnieg jednak był czysty, poprzecinany tylko nielicznymi tropami dzikiej zwierzyny. Były to drobne tropy zajęcy lub łasic, większe sztuki prawdopodobnie unikały dróg używanych przez ludzi. Kiedy mijali grupę starych dębów, na głowę Antoine’a posypał się śnieg. Odruchowo chwycił za pistolet, po chwili jednak odetchnął: po grubym pniu umykał sprawca – wiewiórka obudzona, by napełnić brzuch zgromadzonymi latem i jesienią zapasami. Skryła się za konarem, wystawiając łebek z czarnymi ślepkami i cukając na intruzów. W ciszy zaśnieżonego lasu głos małego zwierzątka był słyszalny bardzo wyraźnie. To spotkanie z żywą istotą wywołało w jadących dobry nastrój. Za kolejnym zakrętem ujrzeni ciągnące się wzdłuż drogi ogrodzenie z grubych bali, nieco już spróchniałych, z tu i ówdzie nadłamanymi, tkwiącymi w śniegu końcami. Ledru spojrzał pytająco na Webera. Ten wyjaśnił:

– Tiergarten, dawny zwierzyniec biskupi. Trzymano tu dużą zwierzynę, specjalnie schwytaną w puszczy, by książęta biskupi i ich dostojni goście mogli sobie zapolować z gwarantowanym sukcesem – *Waldwart* uśmiechnął się z przekąsem. – Bywali tu na łowach dawni polscy królowie, nasi książęta elektorzy i inni nobile. Po przejęciu dóbr biskupich przez naszą kamerę, w 1772 roku, zwierzyniec przestał być potrzebny, stopniowo podupadł a teraz stoi pusty. Inaczej się teraz poluje. Naszym władzom nie opłacało się go utrzymywać w dawnej postaci. Teraz jest tu zwykły *Forstamt*<sup>97</sup>.

Wjechali na nieduży drewniany przepust nad strumieniem. Weber dodał nie pytany:

– Ten strumyk nosi nazwę na pamiątkę dawnych wojen ze Szwedami, przed stu laty. Schweden – Graben, znaczy „Szwedzkie Okopy”.

– Co Szwedzi robili na tym odludziu? – spytał z powątpiewaniem Antoine.

– Och, dotrzeć potrafili wszędzie i rabowali wszystko, co się dało. Mogli dotrzeć i tutaj, a jeśli ich tu nie było, to nazwa strumyka mówi o grozie i lęku, jaki wtedy rozsiewali. Szwedzkie Góry, Szwedzkie Okopy... Wszędzie Szwedzi...

Ponownie zamilkli. Przed nimi ukazał się budynek leśnictwa. Po długiej ciszy zaskoczyło ich ujadanie psa. Był to duży kundel o poszerszeniałej sierści, uwiązany przy szopie. Wyglądało na to, że dom leśniczego nie jest opuszczony. Pytanie, czy gospodarz jest w domu. Antoine posłał przodem Webera. Ten jechał powoli, z daleka machając trikornem i wołając:

– *Kurt, das bin ich – Klaus Weber! Fürchte nicht! Diese Franzosen sind mit mir, sie wollen nichts Bösen zu tun!*<sup>98</sup>

Drzwi domu uchylły się ze skrzypieniem. W szparze ukazała się wystraszona twarz kobiety. Zapewne żony leśniczego. Weber pomachał do niej:

– Gerda, to ja! Nie poznajesz mnie?

Kobieta po chwili pokiwała głową, po czym odpowiedziała:

– *Ja, natürlich, Herr Waldwart.* Kurta nie ma. Rano poszedł zapolować, choćby na zając, bo nie ma co do garnka włożyć. Dobrze, że dzieciaki odesłaliśmy jeszcze jesienią do Rastenburga...<sup>99</sup>. Tam jego brat urzęduje w magistracie, zaopiekuje się naszym drobiazgiem. Własnej rodziny nie ma.

Weber zwrócił się do Francuzów:

– Leśniczego nie ma, jest na polowaniu. Gospodyni zaprasza do izby. Nie poczęstuje, bo sama nie ma, ale zawsze można się ogrzać i chwilę odpocząć.

Podporucznik Ledru pozostawił na straży Gastona i François, z pozostałymi wchodząc do domu. Przebyli chłodną sień i wkroczyli do przyjemnie nagrzonej kuchni. Niestety, gospodyni była w stanie ugościć ich tylko tym ciepłem, gdyż zapasy się skończyły. Antoine przed wejściem do leśniczówki wydobyl z mantelzaka kilka sucharów i kawałek suszonej wołowiny. Teraz podał je gospodyni, która z zażenowaniem przyjęła dar – musiała być naprawdę głodna. Zaczęła przeżuwać mięso, natomiast ułamała sobie tylko połowę suchara. Gontarz poprosił o garnek z wodą, kazał leśniczynie postawić go na kuchni, po czym przyniósł woreczek krup. Po niedługim czasie kasza była gotowa. Smakowała wszystkim nawet bez soli i okrasy. Raymond i Pierre zmienili kolegów na warcie.

Nagle zarżały konie i znów rozszczękał się pies. Tak jak przypuszczali, powrócił gospodarz, Kurt Grunert, dźwigając na plecach zabitą sarnę. Początkowo wystraszony, uspokoił się na widok żony i Webera. Zaprosił obecnych na posiłek, ci jednak nie mieli zbyt wiele czasu. Leśniczy stwierdził:

– Skoro nie możecie panowie zostać dłużej, poczęstuję was czymś na szybko. Gerda, szykuj patelnię, usmażymy gościom chociaż sarnią wątrobę. Będzie gotowa raz – dwa.

Szybko i fachowo wyciął wątrobę i kilka kawałków tłuszczu, wkrótce potem zaskwierczało na patelni nieduże, ale za to gorące danie. Zjedli je w pośpiechu, pożegnali

się, dosiedli koni i ruszyli dalej w las. Wyglądająca na nieużywaną droga wiodła najpierw między lasem po prawej a bagnistymi, zamarzniętymi łąkami, potem wkraczała w las. Weber objaśnił, że ten rewir leśny, aż po jezioro Potar, stanowi część Guttstädter Wald czyli Lasu Gutsztadzkiego. Dalej zaczyna się rewir leśny Meile należący do miasta Wormditt. Kiedy, zatoczywszy szeroko łuk, dotarli do drogi na Wormditt, oczom ich ukazała się rozległa płaska połać, równo pokryta nietkniętym śniegiem. Grosse Bruch – Wielkie Bagno. Nieco po lewej stała samotna chata. Zapytany o nią Weber powiedział, że mieszka tam kopacz torfu, wydobywający go na zlecenie władz. Francuzi po chwili wahania postanowili ominąć dom kopacza i od razu ruszyć na Mawern. Teraz trudniej byłoby się ukryć, gdyż las się skończył i jedyną osłonę stanowiły liczne pagórki. Jednak nawet z daleka grupka jeźdźców była dobrze widoczna na tle jasnego śniegu. Trzeba było możliwie najszybciej oddalić się od „Dittchen – Krug” i ominąć szeroko Zechern. Jechali niedługo, nikogo nie napotykając po drodze. Jedyne tropy zwierzyny kilkakrotnie przecinały ich szlak, podobnie jak w lesie koło Launau. Mawern okazały się również chłopską wsią chełmińską, położoną nad obecnie zamarzniętym, niedużym jeziorem. Zatrzymali konie przed chatą sołtysa, by zapytać, czy nie widziano w okolicy kozaków albo Francuzów. Wystraszony sołtys albo nic nie wiedział, albo nie chciał powiedzieć – dość że niczego konkretnego się nie dowiedzieli. Inni mieszkańcy popatrywali na przybyłych zza swoich okiennic, ale nikt nie wyszedł na drogę. Wieś milczała, nie zaszczekał pies, nie zapał kogut, nie zaryczała krowa... Antoine domyślił się, że chłopci poukrywali swój inwentarz w obawie przed rabunkiem i głodem.

Za wsią wjechali między dwa dość wysokie wzgórza. Przebyli niewielką kotlinę a następnie wspięli się na biegnący w poprzek drogi grzbiet. Stamtąd widać było leżącą w dole dużą wieś, ciągnącą się wzdłuż drogi. Na jej tle wyróżniała się sylwetka ceglanego kościoła z drewnianą wieżą. Weber wskazał ją ręką, lekko uśmiechnął się do siebie i poinformował krótko:

– Peterswalde...

Naprzeciwko Töpfergrund francuska piechota była już gotowa do przeprawy. Zatoczono też oba działa na nowe stanowiska i wycelowano: jedno w stronę mostu przerzuczonego ponad fosą, łączącego Hohe Tor z potężnym przedbramiem<sup>100</sup>, drugie – w odcinek murów obronnych ciągnący się od Hohe Tor wzdłuż brzegu Alle. Tak jak dotychczas, miały one odstraszać rosyjskich piechurów od prób ostrzeliwania przeprowadzających się Francuzów. Jednak Rosjanie także ustawili oba swoje działa na moście i gotowi byli podjąć pojedynek ogniowy z francuską artylerią. Szykowała się nielicha jatka, deszcz ognia, przed którym nie mógł osłonić żaden parasol. Pułkownik Baille słyszał, jak po drugiej stronie rzeki przeciwnik przemieszcza swoje oddziały; hałasy dobiegały także od strony przedbramia – zapewne usuwano zapory w tunelu budowli, by w razie potrzeby dokonać stamtąd wypadu. Lustrując przeciwny brzeg przez perspektywę, Baille nie mógł niestety dostrzec, co kryje się za domami Hohetor Vorstadt, stojącymi na skarpie nadrzecznej. A to właśnie kawałek za nimi znajdowały się upragnione składy. Ze swojego stanowiska widział jedynie fragment niezabudowanej przestrzeni na lewo od przedbramia a dalej ogołocone z liści korony rosnących tam drzew. „Tam może kryć się wszystko” – pomyślał – „Przygotowane do strzału działa, liczna

piechota, może i kawaleria?”. Tylko głębokie przekonanie o umiejętnościach własnych piechurów i kunszcie artylerzystów, wiara w wypróbowaną wielokrotnie doskonałą kooperację obu rodzajów broni, pozwalały mu żywić nadzieję na sukces. Tu bowiem wszystko zależało od szybkości przeprawy, szybkiego i celnego ognia kontrbaterijnego, natychmiastowego rozpoznania terenu po drugiej stronie i obsadzenia w miarę bezpiecznych pozycji w zabudowaniach Töpfergrund i Hohetor Vorstadt. Następnie objęcia maksymalnie dużej przestrzeni na drugim brzegu zaporowym ogniem własnych dział i wyjścia naprzeciwko przedbramia Hohe Tor a może i na teren samych składów. W obu przypadkach za osłonę posłużą znajdujące się tam budynki. Bo, przynajmniej na początku, artylerii na lewy brzeg przeprawić się nie da. Trzeba będzie utrzymać się w kwartale na zachód od miasta w murach. Przywołał ruchem ręki stojącego dwa kroki obok kapitana Vautreille’a:

– Vautreille, ludzie Jambeta zrobili swoje, teraz czas na pana. Kiedy tylko artyleria zacznie walić, ruszy pan jak najszybciej za rzekę. Proszę na siebie uważać i dobrze rozpoznać teren. Niech pan unika zbyt dużych strat; możecie korzystać z osłony tamtych domów i szop – wskazał na liche budynki Töpfergrund. – W ostateczności zabarykadujcie się w domach przedmieścia i wyczekujcie odsieczy.

– *Oui, mon colonel!* Co, jeśli przeciwnik nie okaże się nazbyt aktywny i pozostanie za bramą?

– Wtedy ruszycie ku magazynom i tam się zabarykadujecie. Bez obaw: wiemy już, że nasi pod Amt Heilsberg w każdej chwili gotowi są ruszyć nam z pomocą ze zdobytego przyczółka. A wierzę, że i dywizja Frianta niedaleko. Bijcie się twardo, starajcie się nie wypuścić wroga z miasta. Uwikłajcie go w przewlekłe walki. Niech tam uwięźnie do czasu nadejścia Frianta. Czy to jasne?

– Jasne, *mon colonel*. Będziemy się bili najlepiej jak potrafimy!

– No to odmaszerować! Za chwilę sygnał do natarcia...

– Pięć minut? – uśmiechnął się Vautreille.

– Tym razem trzy! – odpowiedział ze śmiechem Baille. Odprowadził wzrokiem kapitana i spojrzał na zegarek. Zauważył zwrócony na siebie wzrok oficerów dowodzących działonami. Czekali. Pułkownik przez chwilę śledził przesuwającą się wskazówkę, po czym podniósł dłoń i gwałtownie opuścił. Lontownice do przepalniczków, iskra, fontanna ognia i huk obu dział. Zaraz po nich salwa tyralierów. Piechurzy w granatowych mundurach i czarnych bikornach ruszyli biegiem ku słabo zamarzniętej rzece, kierując się na szeroką improwizowaną kładkę. Pierwsi szybko przeszli na lewy brzeg, od razu zajmując stanowiska pod osłoną zabudowań i płotów. Za nimi dobiegali kolejni. Wróg jeszcze nie wystrzelił, kryjąc się przed salwą kartaczną i karabinową. Szeregowy Henri Duchamp biegnąc patrzył pod nogi. Wolał nie spoglądać na wprost, gdyż ogromny masyw przedbramia Hohe Tor przytłaczał go i budził lęk. Po chwili rzucił jednak szybkie spojrzenie w prawo i ujrzał, jak szereg rosyjskich piechurów powstaje po salwie i wysuwa w kierunku Francuzów lufy swych „Brown Bess”<sup>101</sup>. Walnęli! Idący tuż przed Henrim kapral Robert Noué, trafiony w prawy bok, upadł i stracił przytomność. Nieco dalej chwycił się za zranione udo szeregowy Jacques Trencavel; zwolnił bieg, narażając się na kolejne trafienie. Henri szybko złapał go za ramię i razem

dobrnęli do przeciwległego brzegu. Tam natychmiast złożył kolegę pod osłoną płotu.

– Trzymaj się, Trencavel! Nic ci nie będzie, to tylko draśnięcie!

Przebiegł schylony wzdłuż płotu i schował się za węglem drewnianej szopy, ciężko dysząc z wysiłku i przejęcia. Za sąsiednim budynkiem znalazł się idący na czele ataku kapitan Vautreille. Gestami kierował kolejnych nadbiegających ku różnym osłonom. Stopniowo zebrała się wśród domów i szop Töpfergrund spora gromada żołnierzy, Duchamp oszacował, że co najmniej kompania. Nadbiegali następni, wkrótce zabraknie miejsca. Trzeba ruszać dalej, pod górkę. Wszyscy spojrzeli na kapitana. Ten zaś szerokim wymachem ręki poderwał pierwszą kompanię i pchnął do dalszego natarcia. Gnali tłumnie prosto w pustą przestrzeń między przedbramiem a pierwszymi domami Hohetor Vorstadt. Tymczasem następna kompania, ze stosunkowo niewielkimi stratami, także przedostała się na lewy brzeg. Dowodzący nią kapitan Ambroise Pélet rozkazał swym podkomendnym wdrzeć się do najwyższych domów na Töpfergrund i stamtąd, z okien i wybitych dziur w dachach, osłaniać ogniem atakujących kolegów. Sierżant Louis Martel i szeregowy René Monsard wspięli się na przeraźliwie skrzypiące schody, wpadając do jednej z izb. Tam przywitał ich przeraźliwy wrzask kobiety w średnim wieku, próbującej ukryć się pod grubą pierzyną. Obok łoża stał mężczyzna w czerwonej sukiennej kamizeli, zapewne małżonek, trzęsąc się jak galareta i unosząc w górę puste dłonie, by pokazać, że jest nie uzbrojony. Monsard popchnął mężczyznę za drzwi sąsiedniej izby, chwycił za kołnierzyk kobiety i wraz z pierzyną wcisnął w ślad za mężem. Zatrzasnął drzwi i zastawił ciężkim łożem. Wtedy obaj otworzyli okno i szybko zorientowali się, jakie mają pole ostrzału. Okazało się, że wprawdzie Rosjanie znajdują się nieco wyżej, ale niektórzy z nich są dość dobrze widoczni i można spróbować ich trafić. Po tamtej stronie jednak ich także dostrzeżono. Dwaj Rosjanie wymierzili w ich kierunku. Monsard wypalił do pierwszego z brzegu – tamten upadł na twarz. Zanim jednak rozwiął się dym i przebrzmiał huk, sierżant Martel nagle szarpnął się do tyłu i bez jęku legł na plecach na brudnych deskach podłogi. Ziejąca w czole krwawa dziura mówiła, że żaden lekarz już mu nie pomoże. Monsard ostrożnie wyjrzał oknem i zobaczył, że pierwsza kompania wychodzi ze skarpy na poziom Hohetor Vorstadt. Zaraz trzeba będzie podążyć w ślad za nią. Wyglądało na to, że atak już po kilkunastu minutach zakończył się sukcesem. Francuzów czekał jednak gorzki zawód.

Ta wieś także wyglądała na wymarłą: panowała cisza, z kominów nie unosił się dym, nie widać było żadnego człowieka. A jednak droga wiodąca środkiem Peterswalde była przetarta i pełna śladów stóp, tu i tam zalegały kupki końskiego i krowiego nawozu, w ogrodach koło domostw powiewały wiszące na sznurach zeszytywniałe od zimna jasne szmaty, prawdopodobnie bielizna. Dziwne tylko, że psy nie szczekały. Aż do kościoła teren wsi był równy, dopiero za nim lekko opadał. Z daleka widać było rozwidlenie dróg, z których obie nikięły następnie w czarnym lesie, którego lizjera obejmowała cały horyzont. Antoine, Weber i szaserzy podjechali pod kościół. Ledru taksował odruchowo budowlę, mając jakie takie pojęcie o architekturze. Kościół podmurowany polnym kamieniem, ściany z cegły ułożonej w wątku gotyckim, co zdradzały nieliczne miejsca z odpadłym tynkiem. Od północy zakrystia, na oko nie starsza niż sto – sto pięćdziesiąt lat. Dość wysoka drewniana wieża na murowanej podstawie. Górną część wieży stanowiła

izbica zwieńczona chorągiewką z herbem. Antoine wskazał na nią, pytając Webera o herb.

– To herb jeszcze polskiego biskupa Szembeka, sprzed ponad siedemdziesięciu lat. Dobry był z niego gospodarz, ale z naszym ówczesnym królem Fryderykiem Wilhelmem I nieraz się spierali.

– O co? Przecież wtedy była tu Polska...

– Po prawdzie to biskup był w swoim prawie. Nasi porywali mu wieśniaków i mieszczan do wojska, nieraz po zbójceku, wprost z pola lub na drodze. Spierali się też z królem o prawa papistów, to jest katolików, w Prusach.

Powoli objeżdżali świątynkę, odkrywając na południowej ścianie szczytowej zegar słoneczny z datą 1772. Weber stwierdził:

– Tamtego roku nasz król, Stary Fryc, zajął biskupie księstwo. Zupełnie inne nastąpiły wtedy porządki.

– Lepsze czy gorsze, niż dawne?

– Trudno rzec, *Herr Leutnant*<sup>102</sup> – Weber uchylił się od jasnej odpowiedzi. – Zależy dla kogo... Jedno wyszło na gorsze, drugie na lepsze, jak to we wszystkich ludzkich sprawach bywa.

Za kościelnym murem okalającym nieduży cmentarzyk, nieco w dole, stała parterowa plebania. W fasadzie wyróżniał się środkowy ryzalit, zwieńczony trójkątnie, z wyciśniętą w tynku datą 1806 – pamiątką po świeżym remoncie. W nim znajdowało się główne wejście do budynku. Z tyłu za plebanią widać było sad pełen jabłoni, ciągnący się po lekkim zboczku ku małej płaszczyźnie, zapewne pokrytemu lodem i śniegiem jezioru. W sadzie także wisiała na sznurach bielizna. Nagle usłyszeli skrzyp otwieranych drzwi:

– Oj, kogo moje oczy widzą! *Herr Waldwart Weber! In der gute Kompanie... Kommen Sie, bitte, herein!* – młody lecz już dość zażywny duchowny w sutannie zapraszał gestami do środka. – Konie lepiej schować za domem, w sadzie, tam z drogi nie widać, a nie wiadomo, kogo zły wiatr przyniesie.

Antoine pozostawił na zewnątrz tym razem Raymonda i Gastona, oni też zajęli się końmi. Weber przywitał się serdecznie z księdzem, który przedstawił się sam, ku zdumieniu szaserów, po francusku:

– *Antoine Wagner, prêtre; je suis un vicaire d'ici de trois ans*<sup>103</sup> – wyrecytował nieco szkolnym tonem. Ledru od razu zapytał, skąd zna francuski. Duchowny odparł z uśmiechem:

– Zaraz tam „zna”... Ot, w ubiegłym roku poduczył mnie trochę ksiądz Bonnevie, Francuz, emigrant z Metzu, co to teraz w naszej kaplicy zamkowej w Heilsbergu Beneficjum Sancti Georgii jako dożywocie obsługuje. Poza duszpasterstwem interesuje mnie polityka, lubię wiedzieć, co w trawie piszczy... A teraz wszyscy tylko o Francji i Francuzach gadają. No to się przyda.

Podporucznik naraz spoważniał i zapytał o klucze do kościoła, z myślą o wejściu na wieżę. Wikary natychmiast ruszył do izby kredensowej, przynosząc spory żeliwny klucz. Zaofiarował się sam zaprowadzić i otworzyć drzwi. Konie, Gaston i Raymond pozostali ukryci w sadzie za plebanią. Cała szóstka weszła do kościoła i wspięła się drewnianymi schodami na izbicę, w której widniały niewielkie otwory okienne. Pośrodku wisiał średniej wielkości spizowy dzwon. Antoine odczytał na nim odlany grubymi

literami napis z abrewiacją: „Scts Bartholomaeus” – „Święty Bartłomiej”, patron parafii. Pomyślał: „Jeszcze wisi. Zapewne i na niego przyjdzie pora, kiedy zaczną się rabowanie cennych metali”. Tymczasem ostrożnie spojrział przez okienko. Cicha wieś, zaśnieżone pola, na horyzoncie sino – czarny las... Lekki skowyt wiatru wpadającego przez szpary w deskach izbicy. „Strasznie tu zimno. Dobrze, że nie pobędziemy długo w Peterswalde. Księżulo da kielicha gorącego ponczyku i ruszamy dalej...”. Zapytał wikarego o dwie rozchodzące się drogi. Ten wyjaśnił:

– Ta w lewo wiedzie z Amt Guttstadt, znaczy z folwarku i pałacu koło Schmolainen. Druga z Altkirch<sup>104</sup>.

Nagle gdzieś z daleka, jakby z głębi lasu, dobiegł odgłos pojedynczego wystrzału karabinowego. Krótkie echo, chwila ciszy i... trzy, nie – cztery kolejne wystrzały! Ledru wydobył perspektywę i obrócił ją ku lasowi na południu. Nie obawiał się refleksu światła, bo dzień był nadal pochmurny i ponury. Przez szkło ujrzał, jak z lasu, na drodze z Amt Guttstadt, wyłania się dwóch jeźdźców. Pędzili ostrym galopem, toteż wkrótce można było stwierdzić, że to kozacy odziani w papachy i kozuszki. Zza ich pleców wysoko wystawały piki, zbliżali się szybko do wsi. Kiedy dotarli pod kościół, rozejrzeli się czujnie, wyciągnęli pistolety i zwrócili się ponownie w stronę lasu. Sześciu ludzi na wieży zamarło w bezruchu. Antoine dyskretnie znów skierował perspektywę na las. Tym razem wypadło z niego galopem około dziesięciu konnych z widocznymi pikami bez porpczyków, a więc też kozacy. Kiedy zbliżyli się do dwójki stojącej pod kościołem, podporucznik zauważył, że przez łąk siodła jednego z prowadzonych przez kozaków luźnych koni przewieszona są zwłoki mężczyzny. Zagadali coś szybko do siebie. Antoine bez słowa dotknął dłonią ramienia Gontarza. Szaser skinął głową i cichym głosem wyjaśnił:

– Mówią, że Francuzi zabili im podoficera. To chyba ten trup na luzaku. I że są już bardzo blisko. No i... że nie ma po co czekać na resztę, bo tamci polegali lub popadli w niewolę.

Jakby na potwierdzenie tych słów, z lasu na horyzoncie wyłoniła się duża grupa piechoty, która następnie rozwinęła się w szerokie półkole i ruszyła ku wsi. Przez perspektywę widać było wyraźnie, że to Francuzi. Jeden z kozaków ostro zagwizdał na palcach, cały oddziałek pogalopował w stronę Zechern. Ledru roześmiał się z ulgą i, odruchowo podkręciwszy blond wąża, powiedział do swoich szaserów:

– No, chłopaki, wygląda na to, że nasza misja dobiega końca. To piechota generała Frianta. Druga dywizja III korpusu. Teraz pozostaje nam tylko przekazać im wiadomości od marszałka i generała Moranda. Jeśli Friant wykona swoją część zadania, zwyciężymy i opanujemy składy. *La victoire est à nous!*

Pułkownik Kulikowski i podpułkownik Rosen nie bardzo wiedzieli, co mają robić dalej. Przeciwnik, w dodatku pod okiem samego sławnego Davouta, *de facto* sforsował już rzekę i uruchomił przeprawę mostową. Jaki więc miał cel, wstrzymując się od kontynuowania natarcia? Wojskowe doświadczenie obu oficerów sugerowało, że Francuzom z jakiegoś powodu z a l e ż y na tym, by Rosjanie pozostali na drodze wormdickiej naprzeciwko Amt Heilsberg. Kulikowski zaczął pierwszy, pytając:

– Aleksandrze Władimirowiczu, jak pan sądzi, dlaczego nie atakują?

Rosen, odjąwszy perspektywę od oka, po chwili namysłu odpowiedział ostrożnie, pocierając dół twarzy dłonią niczym człowiek, który właśnie stwierdził, że pora się ogolić:

– Obaj wiemy, że przez poprzednie dni ścigały nas główne siły Francuzów, prawdopodobnie towarzyszy im sam Buonaparte... Skoro korpus Davouta poszedł prawym brzegiem Alle na Heilsberg, być może jakiś inny, ewentualnie część korpusu Davouta, idą lewym. A to oznacza, że mogą nam wyjść na prawą flankę lub nawet tyły. W konsekwencji odciąć nas od armii głównej.

– Czyta pan w moich myślach. No bo jak inaczej tłumaczyć ich bezruch – Kulikowski wskazał zgrupowanie wojsk przeciwnika nad rzeką. – Nie uważa pan, że powinniśmy jak najszybciej skonsultować to z generałem Warneckiem? Pchnijmy do Heilsbergu kozacki patrol.

– Słusznie, oni będą do tego najlepsi. Zwłaszcza że od strony miasta wciąż słychać odgłosy walki; być może trzeba będzie się przemykać lub szeroko omijać wroga...

Podpułkownik wydobyl kartkę i ołówek, szybko skreślił kilka zdań używając własnego szabeltasu jako podkładki, po czym złożył papier we czworo.

– Charitonow! – tu Rosen zwrócił się do stojącego nieopodal huzara, który wczorajszego wieczora doniósł o nadejściu grupy Warnecka.

– *Słuszajus', wasze błagorodje!*

– Ruszaj do sotnika Mołokowa, tam na wzgórzu – wskazał ręką za siebie – i przekaz mu ode mnie, by posłał patrol do generała z opisem naszej sytuacji i prośbą o decyzję, co mamy robić. Tu masz pismo do generała. Sprawa pilna najwyższej wagi!

– *Tak toczno, gospodin podpułkownik!* – huzar natychmiast pogalopował na wzgórze, by przekazać rozkaz. Obaj oficerowie odprowadzili go wzrokiem, widząc jak po chwili Charitonow powraca, a trzech kozaków rusza ostrym klusem w dół, na drogę, a następnie w stronę Heilsbergu, odległego o niecałe trzy wiorsty.

Oba rosyjskie działa stały już także na drodze, jednak nadal wycelowane w wąską gardziel płytkiego parowu, wiodącego od odbudowanego przez Francuzów mostu, pomiędzy słabo zamarzniętym rozlewiskiem Alle a niewielkim pagórkem. Oślaniała je usytuowana nieco poniżej drogi wormdickiej linia 21. pułku jegierskiego, tymczasem w zwartym szyku dwuszeregowym. To jeźrzy i artylerzyści stanowili trzon sił rosyjskich w tym miejscu – sotnia kozaków i jeden stukilkudziesięcioosobowy szwadron huzarów mogły ich jedynie wspierać lub osłaniać w razie odwrotu. Gdyby wróg zaatakował siłami całej swej jazdy, miałyby około dwukrotną przewagę liczebną nad kawalerią rosyjską. Rosen uszykował swoich huzarów zgodnie ze stałą regułą. „Pawłogradcy” stanęli w dwóch dwuszeregowych liniach, każda złożona z czterech plutonów. Między plutonami niewielkie interwały. W pierwszej linii przed każdym plutonem – niższy oficer, na prawej flance pierwszego, trzeciego i czwartego, licząc od lewej, plutonu – podoficer, na flance drugiego – praporszczyk<sup>105</sup>. Najlepsze jakościowo i pod względem wyszkolenia konie zgrupowane w czwartym plutonie i na flankach wszystkich pozostałych. W drugiej linii po dwóch podoficerów za każdym z plutonów, za całością oficer. Na czele szwadronu także oficer – niekoniecznie najwyższy stopniem, za to z największym doświadczeniem bojowym. To dlatego Rosen nie postawił z przodu szyku kapitana Siemiona Wojejkowa, tylko sekund – rotmistrza Kondratija Sperlinga. Każdy pluton dzielił się na półplutony, te



zaś na dwie sekcje po trzy rzędy każda. Front szwadronu, liczący 48 rzędów, rozciągał się na szerokość 18 – 19 sążni<sup>106</sup>. Kozacy Mołokowa pozostawali w rozproszeniu, obserwując teren ze wzgórza i osłaniając flanki.

Tymczasem trzej podkomendni sotnika Mołokowa: Grigorij Ponomarienko, Ilja Czubytyj i Ignatij Woron gnali drogą wormdicką w stronę Heilsbergu. Czujnie rozglądali się po bokach, taksując wzrokiem każdy krzak i kępę drzew. Przed sobą słyszeli narastającą kanonadę i palbę karabinową – oznaki toczącej się walki. W oddali widzieli heilsberską farę, lecz potem stracili ją z oczu, gdyż droga opuszczała się łagodnie w dolinę potoku, uchodzącego kilkaset kroków po prawej do Alle. Następnie ponownie wznosiła się ku miejscu, skąd w oddali widać było wystające ponad korony drzew: wieżę fary i – nieco na lewo – zarys przedbramia Hohe Tor. Stał tam wysoki drewniany krzyż, znaczący rozstaje dróg na Wormditt i Landsberg. Dalej, po lewej stronie drogi, zaczynały się długie, wąskie niwy pól uprawianych przez zamieszkujących w Heilsbergu rolników. Na zaśnieżonych obecnie polach sterczały tylko dwie duże, ulokowane obok siebie szopy. Przy nich Grigorij, Ilja i Ignatij napotkali pierwszą szpicę kozaków Isajewa, którzy uważnie obserwowali teren za rzeką z bardzo stromej, wysokiej w tym miejscu skarpy<sup>107</sup>. Dowodzący trójką łączników Grigorij zapytał o drogę do generała Warnecka. Tamci zastanowili się, rozejrzeli, po czym ich dowódca stwierdził:

– *Jego błagorodje* od wczorajszego wieczora w samym mieście. Tam cały sztab. Ale teraz to nie wiem, przy wielkich wrotach biją się, może wjazd zablokowany?

– Wszyscy nasi w mieście?

– Nie, zaraz niedaleko, przy magazynach i oborach, dragony, huzary i nasze kozaki... Znaczy tylko część, bo reszta na postach, tak jak my.

– Francuzi przedarli się przez rzekę? Tam przy wrotach?

– Ano, ale dopiero co i jeszcze nie okrzepli – pokazał ręką na lewo – O tam widać dymy prochowe, tam się biją...

Grigorij spojrział we wskazanym kierunku. Chmury dymów kłębiły się wyłącznie po tej stronie Hohetor Vorstadt, która przylegała do rzeki. Widać też jednak było, że nie da się dotrzeć do wielkich wrót jadąc prosto przedmieściem – jego ostatni odcinek pozostawał pod ostrzałem wroga. Trzeba było ruszyć w lewo, obchodząc Hohetor Vorstadt wzdłuż szeregu zabudowań magazynowych, obór i stajen. Tam z daleka zieleniły się mundury dragonów kurlandzkich Argamakowa, uszykowanych nad stawem. Gdzieś tam musieli znajdować się też huzarzy ze szwadronu kapitana Nikiforowa.

– Dla pewności najpierw podjedziemy do dragonów i rozpytamy się, co i jak. Potem do generała – zdecydował Grigorij. Skierowali konie w lewo i pognali ku dragonom, mijając szereg szop, obór i stajen wybudowanych solidnie z drewna lub pruskiego muru, krytych strzechą lub gontem. Po drugiej stronie drogi ciągnęły się długie bariery z drewnianych bali. Od zabudowań dobiegała charakterystyczna woń końskiego i bydłęcego nawozu, słychać było rozdzierające porykiwanie krów i głośnie rzenie bijących kopytami i szamoczących się w boksach koni. Zwierzętom najwyraźniej udzielił się nastrój niepokoju wywołanego toczoną nieopodal walką, płoszył je donośny huk broni palnej. Co kilkanaście kroków stali przy budynkach spieszeni dragoni z załadowaną bronią. Trzej kozacy ujrzeni po chwili z prawej uformowane w czworobok zabudowania

karczmy „Zu Drei Schwestern”; przed wejściem stała w zdeptanym, brudnym śniegu grupka oficerów w zielonych mundurach z turkusowymi pagonami, kołnierkami i mankietami, z pułkownikiem na czele. Byli pieszo, spoglądali bez słowa w stronę domów mieszkalnych Hohetor Vorstadt. Ich konie stały kilka kroków obok, trzymane przez ordynansów. Matwiej Wasiljewicz Argamakow czekał jednocześnie na meldunki z Hohetor Vorstadt i na rozkazy generała Warnecka, przebywającego w mieście, za nadal zamkniętą Hohe Tor. Oczywiście w razie konieczności gotów był sam poprowadzić swoich dragonów do walki z wdzierającym się na lewy brzeg Alle przeciwnikiem, jednak wolałby włączyć się w odgórnie koordynowane działania. Zwłaszcza, że nie znał ogólnej sytuacji całej grupy Warnecka i Rosena. W jego pułku – etatowo prawie tysiąc ludzi, licząc wraz z niebojowymi – po wielu tygodniach ostrych marszów, bojów i wskutek strat sanitarnych w ludziach i koniach, była pod bronią już tylko część pierwotnego stanu. Mimo to „kurlandcy” stanowili nadal poważną siłę. Rosyjscy dragoni w ogóle mieli dobrą opinię. Cenił ich między innymi zazwyczaj dość zgryźliwy brytyjski obserwator przy armii rosyjskiej, podpułkownik sir Robert Wilson; kilka lat po tej kampanii miał zapisać: *„Na wojnie są oni czujni i inteligentni, a w bitwie odważni i zdolni do wszelkich ewolucji i działań. Szarżują szybko i w skupieniu, i we wszystkich działaniach straty spowodowane ich dzielnością i przedsiębiorczością są znaczne”*... Doskonale radzili sobie także w walce pieszo, a na taką się tu właśnie zanosilo.

Pułkownik Argamakow usłyszał hałas u wjazdu na dziedziniec karczmy i zobaczył, że warta rozmawia z trzema kozakami, zdradzającymi oznaki niecierpliwości. Machnął ręką, przyzywając ich ku sobie. Po chwili Grigorij Ponomarienko zameldował ustnie dowódcy „kurlandców” o sytuacji pod Amt Heilsberg i poprosił o kontakt z generałem Warneckiem.

– To nie będzie tak zaraz, mój drogi – odparł Argamakow. – Tam za tymi domami Francuzi atakują przedpole tej wielkiej bramy i całe przedmieście. Być może im także chodzi o te tu składy i obory? Tego nie wiem, ale wiem prawie na pewno, że za chwilę będziemy musieli ich zatrzymać i odrzucić. Jeśli w ciągu paru minut nie nadejdą rozkazy od generała, sam poprowadzę kontratak. Generał jest chwilowo za wrotami, niedostępny.

– *Tak toczno, wasze błagorodje! Czy możemy się na coś przydać?*

– W walce każda para rąk i szabla się przyda. Tyle, że prawdopodobnie będziemy kontratakować pieszo. Wśród tych zabudowań szarżować się nie da...

– *Gospodin pułkownik, my nawykli do każdej walki, konno i pieszo, piką, szablą... a i z pistolca celnie wypalić uspiejem!*

– *Wot i priekrasno, rebiata*<sup>108</sup>. Trzymajcie się zatem przy mnie, wzmocnicie moją ochronę. Do czasu kontaktu z generałem podlegacie mnie.

Grigorij wyprężył się, wykonał w tył zwrot i dołączył do dwóch pozostałych kozaków. Wszyscy trzej dokładnie obejrzelili swoje pistolety. Rozległy się charakterystyczne dźwięki towarzyszące wysuwaniu i wsuwaniu szabel do pochew – należało sprawdzić, czy przy dobywaniu nie stawiają oporu. Nie stawiały, wyskakiwały gładko. W walce na białą broń liczy się każdy ułamek sekundy. Szarpanie się z szablą stojąc twarzą w twarz z wrogiem mogło kosztować życie. Zauważyli, że podobne ruchy wykonuje wielu dragonów, próbujących swoich pałaszy. Szczęk przesuwanego metalu

tworzył osobiwą, cichą kaskadę dźwięków, która po chwili zamarła. Poza odgłosami walki na Hohetor Vorstadt i hałasem dobiegającym od stajni i obór, słyhać było urywane rzenie i parskanie dragońskich koni. Stały one długimi szeregami za plecami patrzących, trzymane grupkami po kilka przez koniowodnych. Spieszeni dragoni czekali na rozkazy. Nieco dalej, dostosowując szyk do wąskiej przestrzeni, ustawili się w kolumnie czwórkami, frontem do wylotu na główną ulicę przedmieścia, huzarzy ze szwadronu kapitana Nikiforowa.

Nagle pojawił się konny kozak od Isajewa, krzycząc: „Francuzy na ulicy przy wrotach!”, zaś za nim ujrano odziane na granatowo i czerwono sylwetki piechurów przeciwnika, przenikających ku karczmie od strony drogi königsberskiej<sup>109</sup>, wychodzącej spod przedbramia Hohe Tor.

Pułkownik Argamakow zakomenderował:

– *Słuszaj... Strojsia! Dwie szeregi!*<sup>110</sup> – po czym natychmiast rozległ się sygnał alarmowy „Apel”, wygrywany donośnie przez szesnastu trębaczy. Dragoni ustawili się karnie w dwa długie, gęste szeregi, trzymając karabiny u nogi. Argamakow skinął na kapitanów, którzy – każdy w swoim szwadronie – zakomenderowali „*na pleczko!*” a następnie swobodne ładowanie. Przez krótką chwilę sprawnie nabijano broń; padła komenda „*k' nogie!*”, po czym karabiny ponownie stanęły u nogi. „Kurlandcy”, chłopiska rosłe i tęgie jeden w drugiego, w wysokich kaskach z puszystymi kitami, wydawali się olbrzymami. Twarzom oficerów dodawały groźnego wyglądu imponujące wąsiska. Kolejna komenda:

– *Zapinaj sztyki!*<sup>111</sup> – i znów groźny szczeł metalu towarzyszący nakładaniu nasadkowych bagnetów na lufy. Francuzów, drobniejszych, bardzo ruchliwych i sprawnych, wciąż przybywało. Pułkownik nakazał oficerom ruszyć powoli przeciwko nim, po kilkunastu krokach łamiąc linię w połowie – lewa część stanęła frontem ku wrogowi, prawa ku szopom i komórkom znajdującym się na tyłach domów przedmieścia. Tamtędy bowiem także, przechodząc przez sień i miniaturowe podwórko, można było przenikać na teren między główną ulicą a karczmą. Tymczasem przeciwnik zaczął strzelać do Rosjan. Ogień był dość chaotyczny, jednak trafiono dwóch dragonów, w tym jednego śmiertelnie. Zwarto szyk, padły komendy do strzelania salwą: „*Podwys'... Wzwodi kurki... Kłads'... Pli!*” – równy grzechot wystrzałów przetoczył się wzdłuż szeregów, które okryły gęste chmury dymu. Po drugiej stronie kule zastukały głucho o płoty i ściany, niektóre wyrwały kawałki kory z kilku rosnących tam drzew. Trafiono też kilku Francuzów; trzech leżało bez ruchu, inni klęczeli lub czołgali się, głośnie krzycząc. Na mundurach i na śniegu po obu stronach pojawiła się krew. Kapitanowie zakomenderowali:

– *Oruże w boj!* – dragoni pochyliłi karabiny, wysuwając bagnety naprzód. – *Skorym szagom... Marsz!*<sup>112</sup>

Zwarta, zielono – szara ściana zwieńczona szeregiem lśniących czarnych kasków okutych miedzią, ruszyła szybko naprzód. Od zieleni mundurów i czarno – złocistych kasków odbijały blade, zacięte twarze. Dragoni milczeli, słyhać było, jak skrzypi śnieg pod ich butami. Francuscy piechurzy zawahali się, jednak padły z ich strony pojedyncze strzały; szczęśliwie dla Rosjan ranny został tylko jeden dragon, niezbyt groźnie – w

przedramię, powierzchownie. Francuzi, którzy znaleźli się naprzeciwko lewej połowy szyku dragonów, zaczęli się wycofywać. Odgryzali się jednak nieustannie, trafiając kolejnych trzech Rosjan. Ci po kolejnej komendzie zatrzymali się i, nie zmieniając szyku, ponownie załadowali.

Prawa połowa, po dotarciu do opłotków i szop na zapleczu domów Hohetor Vorstadt, rozluźniła szyk i – korzystając z zalegających tam desek i drabin – wdarła się na teren miniaturowych podwórek a następnie przez tylne drzwi domów do ich wnętrza. Okazało się, że Francuzi też już tam są. Niespodziewanie rozległ się nad głowami dragonów trzask gwałtownie otwieranej okiennicy. Z niedużego okna na piętrze wysunęła się lufa AN IX, która natychmiast bluznęła ogniem i dymem. Dragon Ilja Pimienow zawył z bólu i upadł na plecy z przestrzelonym prawym obojczykiem. Jego towarzysz Foma Dragomirow, ponad dwumetrowe chłopisko o szerokich barach, bez użycia kolby napał potężnie na drzwi, które od razu rozpadły się na części a drań wyłożył się jak długi, niesiony własnym impetem. Miał szczęście – stojący naprzeciwko niego w wąziutkiej sieni Francuz wystrzelił, zabijając na miejscu idącego za Dragomirowem unteroficera Fiodora Diaczenkę. Kula przeszła Rosjaninowi serce. Rozjuszony Dragomirow poderwał się z podłogi i, rycząc niczym wściekły tur, jedną ręką złapał drobnego Francuza za gardło; coś głośno chrupnęło, głowa zwisała bezwładnie. Dragon, odrzucając na moment karabin, uchwycił zabitego drugą ręką za pas, uniósł ponad głowę i cisnął z rozmachem jak szmacianą lalkę w kierunku trzech francuskich piechurów, znajdujących się przy otwartych drzwiach z sieni na główną ulicę. Trup uderzył swą kilkudziesięciofuntową masą w grupkę kolegów, a ci wypadli na zewnątrz i legli plecami na małych schodkach, zbici z nóg tym koszmarnym „pociskiem”. Idący za Dragomirowem dragon Gieorgij Pawłow podał mu jego karabin. Cała grupa przedzierająca się przez sień wysypała się na ulicę. Przed wejściem leżał na skraju trotuaru nieduży wóz, przewrócony kołami do góry. Rosjanie z ulgą powitali tę – co prawda nie najlepszą – osłonę, gdyż przeciwnik opanował już pierwszą panikę i właśnie ustawieni w poprzek ulicy w dwie linie Francuzi kończyli ładować broń. Dragomirow rozejrzał się szybko po bokach – ku jego radości, z sąsiednich domów Hohetor Vorstadt wybiegali na ulicę kolejni dragoni.

Generał Louis Friant wysłuchał uważnie meldunku podporucznika Antoine’a Ledru na temat sytuacji pod Heilsbergiem i zaczął studiować mapę. Przez Peterswalde przeciągały kolejne jednostki drugiej dywizji III korpusu. Najpierw brygada generała Pierre’a Charlesa Locheta: biało odziany 33. pułk liniowy Pouchelona i 48. pułk liniowy Barbanègre’a w granatowych mundurach. Potem brygada generała Louisa Josepha Grandeau: teraz tylko 108. pułk liniowy Rottembourga<sup>113</sup> odziany na granatowo. Dywizji nie towarzyszyły żadne oddziały kawalerii. Konno poruszali się jedynie: dywizjoner i brygadierzy ze sztabami (ci ostatni – miniaturowymi), wyżsi oficerowie pułkowi i dziesięciu żandarmów. Łącznie stanowiliby wprawdzie sporą grupę szabel, pałaszy i pistoletów, jednak głowy większości oficerów sztabu dywizji były zbyt cenne, by narażać je w bezpośrednim boju. Nawet – nieregulaminowa, lecz dopuszczalna – eskorta sztabu składała się z plutonu piechoty. Dlatego, jeśli dla dywizji Frianta przewidywano odegranie istotnej roli w odcięciu i zniszczeniu wroga przebywającego pod Heilsbergiem, jej

żołnierze musieli dobrze wyciągać nogi. Bowiem dopiero pod samym miastem mogła ich wesprzeć kawaleria Marulaza. Friant przesunął palcem po mapie:

– Ledru, wydaje mi się, że powinniśmy iść przez Zechern, Launau, Bewernick, Langwiese i Lawden wprost na Retsch, stamtąd zaś na Jegothen<sup>114</sup>, omijając Grossendorfer See i sam Grossendorf. Przeciwnik nie powinien się nam wymknąć: idąc tą trasą, przetniemy mu bardzo szybko drogę odwrotu na Landsberg – generał wskazał czarną linię wiodącą z Heilsbergu przez Retsch do Neuendorfu, tam rozdzielającą się na drogi do Petershagen i Hanshagen, łączące się w Landsbergu – Będzie zmuszony iść drogą königsberską, a tam dopadniemy go albo pod Jegothen, albo pod Schwollmen, albo i tu, i tu. Mam nadzieję, że do tego czasu nawiąże z nami kooperację kawaleria Marulaza; nasi weterani z „trzydziestki trójki” to co prawda dobrzy żołnierze, ale lepiej, jeśli kawaleria najpierw spowolni i wstrzyma marsz wroga, należycie go, że tak powiem, zmiękczy... Nasza piechota ma przed sobą co najmniej trzy mile<sup>115</sup> ostrego marszu. A potem prosto w bój. Niby nie pierwszozna, ale zawsze.

– *Mon général*, pozwoli pan, że zapytam...

– *Ledru, demandez, s'il vous plaît*<sup>116</sup>.

– Czy pan generał nie pošle żadnego ze swych oddziałów pod Heilsberg?

Friant przeczesał palcami prawej ręki drobne loczki na głowie i uśmiechnął się szeroko, co na moment znacznie odmłodziło jego dojrzałe oblicze niemal pięćdziesięcioletniego mężczyzny:

– Nie ma potrzeby, Ledru. Sam pan powiedział, że w karczmie pod Launau kwaterują kozacy. Z pewnością zauważą nas i doniosą swoim. Ci zaś na wieść o tym podążą ku głównym siłom ich grupy, stojącym pod samym miastem. A chyba o to nam chodzi, nieprawdaż? Stłoczeni w Heilsbergu skapitulują albo spróbują się przebić, ale wtedy... No, wtedy wpadną nam w ręce tu – wskazał na mapie Jegothen. – Dodajmy, że to pozwoli także uniknąć walk w samym mieście.

Ledru potwierdził ruchem głowy. Rozumowaniu generała nie sposób było niczego zarzucić. Faktycznie: kozacy narobią alarmu, przeciwnik spod Amt Heilsberg w obawie przed starciem z przeważającymi siłami ucieknie w stronę miasta. Minie sporo czasu, zanim ich dowództwo podejmie jakieś konkretne decyzje. A oni ten czas wygrażą, zachodząc Rosjanom drogę...

Niespodziewanie odezwał się Gontarz:

– *Mon sous-lieutenant*, proszę wybaczyć, ale Weber gdzieś zniknął!

– Jak to „zniknął”?! Kto go miał pilnować?

– Melduję, że do czasu zejścia z izbicy Pierre i François, bo Gaston i Raymond zostali przy koniach w sady za plebanią. Potem pojawił się generał, wszyscy się ucieszyli, nikt nie zwracał uwagi na tego cholernego Prusaka... Kiedy schodziliśmy z wieży, siedł za mną i gadał z księdzem, ale pomyślałem, że skoro są starymi kamratami, to nic dziwnego.

Antoine zacisnął zęby i spurpurowiał na twarzy. Ręka sama odszukała rękojeść szabli. Był wściekły – na obu durniów szaserów i na siebie samego:

– *Sacrebleu!* Jak mogliście spuścić go z oka?! Teraz nie wiadomo, ile zdołał usłyszeć i jak daleko dotarł z tymi rewelacjami...

Obaj obwinieni stali jak słupy soli, zaskoczeni gwałtownym wybuchem tymczasowego dowódcy, którego zdążyli poznać z zupełnie innej strony. François próbował coś powiedzieć, ale Ledru nie dał mu dojść do słowa:

– Durnie! Przez was cały nasz plan może spalić na panewce! Odpowiedcie za to przed samym marszałkiem! – nagle urwał, przesuwając wzrok za gestem wyciągniętej ręki szasera. Od strony plebanii, którą wskazywał palec François, nadchodził uśmiechnięty *Waldwart* Klaus Weber, piastując między ramionami pękata, parującą wazę z grubego szkła. W pewnej chwili nawet cicho zarechotał, co skonfundowało Antoine’a. Weber czule poklepał wazę i uroczyście stwierdził:

– *Trink nich so viel Wasser, krichst bloß Läus’ innen Magen! Das ist das reine Wort Gottes!*<sup>117</sup> Słynny gorący poncz księdza Wagnera. *Trinken Sie, bitte!*

Antoine wyglądał jak papierowy balon braci Montgolfier, z którego ktoś spuścił powietrze. Purpura na twarzy stopniowo zniknęła. „Teraz jest blady jak psie gówno na trawie” – pomyślał z ulgą, ale i złośliwą satysfakcją François, przywołując jedno z szokujących starsze damy porównań swego pocziwego ojczulka. Stary Dupré był garbarzem w Toul, stąd dobrze wiedział jak prezentują się na zielonej trawce psie odchody, niezbędne w jego niewdzięcznym, acz użytecznym dla ludzkości rzemiośle. Podporucznik próbował zachować lekko poderwany autorytet:

– No, *mes camarades*, ale tak naprawdę toście go z oczu jednak spuścili!

– A gdzie tam, *monsieur le sous-lieutenant*. Tam jest tylko jedno wejście do budynku, sprawdziliśmy. Stale je obserwowaliśmy, a na razie wciąż jasno.

– Właśnie, właśnie – zreflektował się Ledru – Ile pozostało do zachodu słońca? Teraz jest... – spojrzął na zegarek – Wpół do drugiej po południu...

Szaserzy milczeli, bo nie wiedzieli; Weber, bo nie rozumiał pytania. Zanim Gontarz zdążył użyć swej niemczyzny, podążający za Weberem ksiądz użył swej francuszczyzny:

– Dziś słońce powinno zająć około wpół do piątej po południu. Czyli za mniej więcej trzy godziny. Jednak szarówka zacznie się już około wpół do czwartej. Tyle, że śnieg wzmacnia jasność. Mimo to za dwie godziny wszystkie koty zaczną się robić bure.

– Co takiego? – nie zrozumiał Ledru.

– Takie polskie powiedzenie: „Po ciemku wszystkie koty bure”. Znaczy, że o zmierzchu intensywność barw słabnie a wraz z nią ostrość widzenia.

– Tak, tak, rozumiem. Ciekawa metafora – uśmiechnął się Antoine.

– O, wasz język ma takich bardzo wiele. Dopiero go poznaję, ale jego bogactwo mnie wręcz urzeka. Zwłaszcza w sferach, o których księdzu wspominać nie wypada...

– Zapewniam księdza, że nasz naród w tej mierze jest jeszcze mocniejszy w praktyce, niż w epitetach, metaforach i porównaniach – podporucznik świetnie bawił się dialogiem, który rozwinął się w tak nieoczekiwanym kierunku. – A czy zna ksiądz opowiastkę o matce i trzech córkach, które wydała za mąż?

– Znam, synu, znam. Ale może dość już o tym. Mnie nie wypada, a wam i tak tymczasem nic z tego nie przyjdzie, tylko bardziej zatęsknicie za domem...

W tym momencie przysłuchujący się rozmowie Raymond Barez dosłownie zobaczył „oczyma duszy” leśną zjawę sprzed kilku godzin – pannę Lieselotte. Wyobraźnia podsunęła i inne wizje, ale – pomyślał – nikomu nic do tego. Chciałby kiedyś

do niej powrócić. Tylko kiedy, jak? Nawet nie znał jej nazwiska... Ot, Lieselotte z Launau – tyle na razie musi wystarczyć. Jest wojna i nikt nie wie, jak długo potrwa i co się przez ten czas wydarzy. Książd przyniósł ze sobą pucharki, do których Weber nalał ponczu. Zaproszony przez księdza generał Friant z ochotą dołączył do smakoszy „czystego Słowa Bożego”, zwłaszcza że mróz powoli tężał. Wieczorem będzie zapewne bardzo zimno. „Ciekawe, ilu naszym i Rosjanom stanie się to zupełnie obojętne, zanim zapadnie noc?” – pomyślał Antoine.

– *Prosit!* – generał wzniosł typowo niemiecki (choć *de facto* łaciński!) toast. Unosząc pucharek dodał po francusku:

– *Vive l'Empereur! Pour la victoire!*<sup>118</sup>

Zanim wypili, Weber, niespodziewanie ośmielony, powiedział cicho:

– Ja wypiję za to, żeby na wszystkich polach, gdzie potykać się będą wojska francuskie, rosyjskie i nasze, pruskie, nie królowała tylko śmierć. Żeby wszędzie tam byli także ludzie i potrafili dostrzec ludzi w swoich przeciwnikach...

Książd Wagner szybko przetłumaczył. Puchary na chwilę zawisły w powietrzu, po czym odezwał się generał Friant:

– Myślę, *monsieurs*, że nic nie stoi na przeszkodzie, byśmy dołączyli toast pana...

– spojrzał na księdza pytająco; ten cicho wypowiedział nazwisko strażnika leśnego – Webera do naszego stałego toastu. Wypijmy!

Czuwając przy jednym z wybitych okien na parterze domu w zachodniej pierzei Hohetor Vorstadt, kapitan Vautreille otarł rękawem czoło pokryte paskudną mazią, jaką tworzył obficie wydzielany pot zmieszany z czarnym osadem prochowym. Na czerwonym mankiecie pozostała brudna smuga. Głupstwo! Bardziej przeżywał gorycz – chwilowej, jak wierzył – porażki. Jego ludziom, nawet z pomocą kompanii Péleta, nie udało się od jednego zamachu wdrzeć na przedmieście i opanować składów. Przeciwnik był przygotowany i liczny. Kontratakował zdecydowanie i skutecznie. Starcie z roślami dragonami spowodowało straty zwłaszcza w kompanii Vautreille'a, na szczęście większość to ranni, przeważnie lekko. Niemniej wyeliminowani już z dzisiejszych bojów. Jakże przydałoby się na tym brzegu choć jedno działo! To jednak pozostawało chwilowo w sferze marzeń. Trzeba krajać jak materii staje. Czyli – na razie czekać. Na wsparcie spod Amt Heilsberg, tu zaś na jakiś ruch przeciwnika, który tym razem sam będzie musiał się odsłonić, jeśli spróbuje kontynuować atak w nadziei zepchnięcia 51. liniowego z powrotem do rzeki. Broń załadowana, amunicja przed chwilą uzupełniona, pozycje w budynkach przedmieścia obsadzone... Tak, tylko czekać. No to czekali.

Karczma „Dittchen Krug” wyglądała, jakby przeszedł przez nią sam Książę Piekieł z godnym siebie orszakiem: wewnątrz przewrócony stół i połowa ław, połamany zydeł, na surowych deskach podłogi rozbite duże gliniane naczynie z wystygłą kaszą i smętnie sterczącą z niej drewnianą łyżką, kilka pustych butelek po winie i wódce, plama rozlanego piwa. W kącie za szynkwasem śmiertelnie wystraszony karczmarz, jego żona i dwie córki. Wybita szyba, wiatr hulający po izbie... Na podwórzu pieniek z wbitym toporem, zalany świeżą krwią; jednak nie ludzką – wokół wałało się co najmniej dziesięć obciętych kurzych łbów. Nieco dalej – wypatroszona świnia przygotowana do upieczenia w całości, warczące psy bijące się o wnętrze. Na środku podwórza dogasające ognisko z

przygotowanym rożnem. Porzucona fajka i kapciuch z rozsypanym tytoniem. Śnieg zdeptany dziesiątkami kopyt i obutych stóp, zapaskudzony końskim nawozem. Pod plecionym płotem wielka kolorowa plama wymiocin. Ogółem – krajobraz po bitwie czy raczej po ostrej wojackiej zabawie, typowej dla oddziału, w którym dyscyplina nie jest najmocniejszą stroną.

Antoine i jego szaserzy, wciąż z Weberem przy boku, wyszli przed próg karczmy. W oddali, od strony Launau, słychać było cichnący tętent dużej grupy koni. Sotnia kozacka zabawiająca się dotąd w „Dittchen Krug” popędziła ku swoim, by wszcząć alarm. „Dobrze! O to właśnie chodzi” – pomyślał Ledru. Spojrzał na zegarek. Zaraz druga...

Po kilku minutach kolumna przechodziła już przez Launau, kierując się na Bewernick. Zaleknieni mieszkańcy poukrywali się w domach, Raymond na próżno spoglądał w kolejne okna, w nadziei ujżenia Lieselotte. Jeśli nawet gdzieś tam była i widziała go, to nie pokazała się, oni zaś nie mieli ani chwili czasu do stracenia. Wieś pozostała za nimi, a duszę Raymonda omroczyły niedobre myśli. Być może na wyrost, jednak naprawdę bał się o tę napotkaną tak niedawno dziewczynę. Obejrzał się za siebie. Nic, cisza i martwota. Spuścił głowę i jechał dalej w milczeniu. Teraz nie pora o tym myśleć – przed nimi nieprzyjaciel. Trzeba będzie walczyć, ale tak, by zwyciężyć i ocalić życie. Nie tylko dla siebie.

– *Wasze błagorodje, wasze błagorodje!* – galopujący ze wzgórza w stronę podpułkownika Rosena kozak był bardzo przejęty. – Nasi cofają się od Launau a za nimi wali kupa Francuzów! I ciągle nowi dochodzą!

Rosen spojrział na zegarek: druga. Przeniósł wzrok na Kulikowskiego. Tamten pokiwał głową. A więc to już. Tego obaj spodziewali się od jakiegoś czasu. Za chwilę ruszy także przeciwnik znad rzeki, czekający w gotowości. Ich zadaniem jest teraz wykonanie uporządkowanego odwrotu. Wobec braku rozkazów od generała Warnecka, będzie to odwrót w stronę miasta – ku głównemu zgrupowaniu. Nie mogą jednak odsłonić następującemu wrogowi dojścia do składów i obwarowań Heilsbergu, w których przebywa tak wielu Rosjan z samym generałem na czele. Gdyby choć można było skonsultować się z dowodzącym... Wtedy mogliby próbować odskoczyć nieco na północ, przechodząc kawałek polami na drogę landsberską, tak by przeciwnik – świadomy ich obecności – bardziej ostrożnie naciskał w stronę miasta, jednocześnie rozpraszając uwagę i siły między grupę Warnecka i ich stosunkowo niewielki oddział. Francuzi, niezależnie od przewagi sił, musieliby poczynać sobie ostrożniej. Warneck był jednak, z czego Kulikowski i Rosen nie zdawali sobie sprawy, izolowany za Hohe Tor. Nie mógł więc wydać odpowiednich rozkazów, a w takich okolicznościach należało raczej skupić siły i iść ku miastu – niewykluczone, że na zatracenie... Po krótkiej naradzie z Kulikowskim Rosen wydał komendę swoim huzarom:

– *Kolumna po tri... na lewo zachadi... Marsz!*<sup>119</sup> – droga była zbyt wąska, by mogli od zwykłego szyku szwadronowego przejść do kolumny plutonami. Plutony stojące już na drodze musiały łamać się na sekcje, zachodzić na lewo i ruszać naprzód, zwalniając następnie miejsce kolejnej linii, która – stojąc dotąd kawałek za drogą, już w polu – wystąpiła teraz lekko naprzód i powtórzyła manewr pierwszej linii. Potem przyszła kolej na oba działony, które odtoczono i wycofano jeden po drugim, wciąż pod osłoną linii



tworzonej przez 21. pułk jegierski. Wreszcie rozpoczęli odwrót sami jęgrzy; jeden batalion pułku uformował kolumnę i ruszył za artylerią, drugi rozproszył się w łańcuch dwójkami w poprzek drogi, tworząc wraz z kozakami z sotni Mołokowa ariergardę rejterującego oddziału. Wtedy przeciwnik nagle wznowił ogień artyleryjski za rzeki.

Morand ujrzał, że Rosjanie na drugim brzegu Alle zmieniają szyk. Kawaleria podążyła w zwartej grupie ku miastu, po niej ewakuowano działa, pozostali tylko jęgrzy i kozacy. Marszałek Davout opuścił swoje wyżej położone stanowisko i podjechał ze sztabem do Moranda na skraj łagodnej skarpy:

– Wygląda na to, że Ledru dotarł pomyślnie do Frianta, albo on sam zorientował się w sytuacji i zaraz tu dotrze. No, Morand, jak pan wolisz: ruszać na drugi brzeg i zgarnąć chwałę dla siebie, czy czekać na wsparcie Frianta?

– *Mon maréchal*, w liście prosiłem Frianta, by pomógł nam osaczyć wroga w Heilsbergu. Trudno mi stwierdzić, z jakimi siłami i kiedy znajdzie się akurat tutaj, a jakie pośle dalej na północ. Na tym brzegu mamy już wystarczające siły w Heilsbergu; wolałbym zatem iść za ciosem i przejść na lewy brzeg.

– Dobrze. Na wszelki wypadek walnij im pan jeszcze salwę lub dwie na pożegnanie, a potem ruszamy. Zaraz po batalionie piechoty niech idą nasze działa, bo ich nasi na tamym brzegu nie mają. Potem reszta.

Kule kartaczowe spadły na opuszczony już teren, toteż po jednej salwie znów przerwano i zaczęto szykować działa do przeprawy. Przeciwnik już nie niepokoił, toteż wszystko odbyło się sprawnie i szybko. Piechota skierowała się w prawo, za Rosjanami; po niej ruszyły działa. Z boku pozostawiono nieco miejsca dla szaserów 1. pułku. Część z nich rozsypała się w tyralierę naprzeciwko widocznych z dala kozaków i jęgrów. Pozostali poruszali się wraz z piechotą, uszykowani w kolumnę dwójkami. Po konsultacji z Morandem i Davoutem, Marulaz postanowił posłać 12. pułk szaserów Guyona na spotkanie z Friantem. Odtąd pułk ten miał ściśle kooperować z 2. dywizją. Sam marszałek i obaj generałowie dołączyli do grupy maszerującej na Heilsberg. Maszerowano spokojnie i miarowo – wszystkich uskrzydlało przeczucie zbliżającego się zwycięstwa. Nie oczekiwano żadnych niespodzianek. Wszyscy powtarzali w myślach niczym mantrę lub „zdrowaśki” Różańca: *„La victoire est à nous!”*.

Soldaci pułku koporskiego obsadzający przedbramie Hohe Tor ujrzeli, jak w ich kierunku pędzi galopem kilku zdyszanych kozaków, którzy chwilę potem, zeskoczywszy z koni, gwałtownie załomotali do wrót rękojeściami szabel. Wrzeszczeli przy tym jak opętani:

– *Otkrywat’! Bystro otkrywat’! S dokładom dla gienierala!*<sup>120</sup>

„Koporcy” uchylili niewielką furtę w przedbramiu, wpuszczając trzech raptusów; ci wkroczyli do wewnątrz prowadząc konie za uzdy. W sklepionym tunelu ceglanego przedbramia głośno zaklaskały na „kocich łbach” końskie kopyta. U wyjścia z tunelu na most, wiodący ponad fosą ku właściwej Hohe Tor, stał w otoczeniu kilkudziesięciu muszkieterów oficer, którego turkusowe pagony otaczał złoty galon. Przepasany był srebrno – pomarańczowym „*oficerskim szarfom*”, na jego piersi wisiał metalowy „*gorżet*”<sup>121</sup> barwy srebrnej ze złotą obwódką i również złotym dwugłowym orłem. Znaczy – kapitan. Grigorij Ponomarienko, bo on to był wraz z Ilją i Ignatijem, wyprężył

się przed oficerem:

– *Wasze błagorodje*, pilny *dokład* dla generała! Nie mogliśmy dostarczyć wcześniej, bo Francuzi atakowali przedmieście przed wielkimi wrotami. Byliśmy przy boku pułkownika Argamakowa. Ale jak tylko dragony odrzucili Francuza, my od razu tutaj!

Kapitan dowodzący obsadą przedbramia wziął do ręki pismo, przeczytał adres, po czym skinął głową i machnął ręką do swoich żołdatów:

– Przepuścić i zaprowadzić prosto do generała! Pilnować, żeby nie zbaczali nigdzie po drodze! Prosto do magistratu!

Wiodąc konie za uzdy, kozacy odprowadzani przez trzech muszkieterów koporskich minęli oba sześćofuntowe działa, z których pierwsze skierowano lufą do tunelu przedbramia a drugie ku Töpfergrund. Przeszli przez cały długi na około piętnaście sążni<sup>122</sup> most i przekroczyli dużo niższą od przedbramia Hohe Tor. Znaleźli się od razu na Langgasse; w obie strony odchodziły wąskie uliczki: ta w lewo pod górę, ta w prawo – w dół<sup>123</sup>. Prosto przed nimi rozciągała się szeroka ulica z wysokimi, pięknymi kamienicami. Wszędzie stali uszykowani rotami „koporcy”, gotowi do wymarszu. Po wejściu na Rynek kozacy ujrzeli wysoki ratusz. U drzwi stał *karaul*<sup>124</sup> w postaci dwóch ponurych huzarów. Kiedy Grigorij przedstawił sprawę, stojący za drzwiami podoficer pobiegł schodami na piętro; powrócił po chwili, każąc kozakowi iść ze sobą.

Generał Warneck stał za dębowym, ciemno malowanym stołem, w otoczeniu sztabu. Pod wszystkimi ścianami pomieszczenia stały szafy wtłoczone w specjalne nisze; przetrzymywano tam archiwum miejskie, w tym najcenniejsze dokumenty, z aktem lokacyjnym na czele. Grigorij stuknął obcasami i wyciągnął przed siebie bez słowa rękę z pismem od podpułkownika Rosena. Adiutant przejął kartkę, odprawił kozaka i wręczył meldunek Warneckowi. Ławrentij Ławrentijewicz studiował go przez chwilę, opuścił kartkę na stół, potoczył wzrokiem po obecnych i zmęczonym głosem powiedział:

– Tak jak przypuszczałem, musimy opuścić miasto. Kulikowski i Rosen podejrzewają, że lewym brzegiem Alle nadchodzą duże siły francuskie. Już teraz wróg ma tam przewagę, toteż należy się spodziewać, że nasi spod Amt Heilsberg wkrótce tu przyjdą i to z Francuzami na karku... – tu zamilkł na dłużej.

– *Wasze błagorodje* – przerwał milczenie pułkownik Gnaade – Czekamy na rozkazy. Wszyscy moi „koporcy” gotowi do wymarszu, artyleria także. Dragoni, szwadron huzarów i sotnia kozaków na przedmieściu, także gotowi. Czekamy na Kulikowskiego i Rosena czy od razu ruszamy?

– Pułkowniku, to niełatwa decyzja. Proszę spojrzeć na mapę – Warneck wskazał na stół. – Wydaje się, że pozostaje nam tylko droga königsberska. Tylko jak się na niej pomieszczą wszystkie nasze oddziały? Pierwsza powinna pójść piechota i artyleria, kawaleria i jeźrzy muszą je osłonić.

– Czyli moi „koporcy” idą pierwsi? A za nimi działa?

– Tak jest. Dragoni Argamakowa pozostaną tymczasem na przedmieściu. Szwadron „pawłogradców” osłoni składy i obory. Do nadejścia grupy Kulikowskiego i Rosena... Wtedy ich oba działa ruszą wprost za nami, oba szwadrony huzarów Rosena połączą się i pójdą na przełaj polami na zakręt drogi königsberskiej przy Grossendorfer See. Jeźrzy Kulikowskiego będą szli drogą i po obu jej stronach jako ariergarda. Dragoni

Argamakowa ruszą polami śladem huzarów, osłaniając całą kolumnę przed Francuzami spod Amt Heilsberg i tymi, co zapewne już nadchodzą, by nam przeciąć drogę. Czy są jakieś uwagi, pytania?

Bardzo emocjonalny zwykle major Bielagin milczał wyprostowany, z bladą twarzą. Warneck spojrział mu w oczy i podrzucił głowę w geście: „No...”.

– *Wasze błagorodje* – przemówił Bielagin stłumionym głosem – Co z oborami, stajniami i szopami na przedmieściu?

– Wiem, o co pan pyta, majorze – generał potarł czoło z zakłopotaniem. – Niestety, nie da się tego uniknąć... – westchnął cicho.

– Znaczący... palimy? – upewniał się Bielagin. Inni obecni także patrzyli na dowódcę zgrupowania. Zwłaszcza Gnaade, Niemiec z pochodzenia.

– Ano, palimy... Z dwóch stron, żeby ogień na pewno wszystko strawił. Nie chodzi tylko o zniszczenie zapasów, które mogliby przejąć Francuzi – dodał pospiesznie Warneck. – To również utrudni im pościg i częściowo odwróci uwagę. No niech pan tak na mnie nie patrzy, Gnaade; proszę mi wierzyć, mnie także żal i tych ludzi, i tych biednych zwierząt. Ale nie mamy wyjścia. Od strony miasta podpalamy, kiedy przejdzie artyleria; od drugiej strony, kiedy nasi nadejdą spod Amt Heilsberg.

– Jak *wasze błagorodje* rozkaże! – Gnaade wyprężył się jeszcze bardziej.

– Wierz mi pan, Gnaade, wolałbym, aby to pan wydał mnie taki rozkaz. Jednak nie ma czasu na dłuższe deliberowanie. Do zadań, panowie!

Warneck skinął na adiutanta, młodego podporucznika Wasiljewa:

– Alosza... pozwolisz, chłopcze, że się tak do ciebie zwrócę... – adiutant energicznie skinął głową – Teraz najgorsze: sprowadź tu burmistrza i proboszcza, trzeba ich powiadomić o naszej decyzji odnośnie składów i obór.

Po wyjściu adiutanta generał oparł się ciężko obu rękami o stół i westchnął głęboko, jakby sam do siebie:

– Do czorta, w tym mieście od początku towarzyszą mi jakieś złe przeczucia... Coś niedobrego wisi w powietrzu.

Timofiej z Borysem i Fiedotem, dwoma najbliższymi towarzyszami, także wyczekiwali rozkazów. Ta osobliwa cisza nie mogła trwać w nieskończoność. Przeciwnik usadowił się na Töpfergrund i w domach najbliższej Hohe Tor części pierzei zachodniej przedmieścia. Także odległa kanonada od strony Amt Heilsberg ustała. Coś się działo albo wkrótce miało zacząć się dziać. Rota porucznika Żadowskiego wciąż stała wzdłuż muru, z pustą przestrzenią Nowego Rynku za plecami. Nagle w centrum Heilsbergu, na Rynku i na Langgasse, tarabany zaczęły wybijać sygnał zbiórki. Zaraz potem Timofiej zobaczył w uliczce Querstrasse przeciągające przez Baderstrasse inne pododdziały pułku koporskiego, odwoływane z Kirchenplatz, Klosterstrasse i Fleischerstrasse<sup>125</sup>. Był to naoczny dowód, że szykuje się ewakuacja miasta.

Generał Warneck ze sztabem przejechał konno przez Hohe Tor i dudniąc kopytami po deskach przebył klusem prawie cały most. Wydobył perspektywę i uważnie zlustrował teren Kirchentor Vorstadt za rzeką i opanowany przez Francuzów Töpfergrund. Skinął na Bielagina:

– Majorze, gońcy do Kulikowskiego i Rosena posłani?

– Tak toczno, *wasze błagorodje!* Ci sami kozacy, którzy do nas z meldunkiem przybyli. Musieli już dotrzeć. Ulica na przedmieściu pod ostrzałem, więc kazałem im obejść za domami, koło karczmy i składów.

– Dobrze. Wobec tego ustalmy kolejność ewakuacji. Kiedy tylko przy pierwszych domach przedmieścia pojawi się grupa spod Amt Heilsberg, „pawłogradcy” podpalają składy od zachodu; jednocześnie my otwieramy wrota przedbramia i wyjeżdżamy wraz z pierwszym batalionem „koporców”; potem oba nasze działony, za nimi reszta „koporców”. Za składami dołączą do nich oba działony Rosena. Dragoni Argamakowa będą trzymali w szachu Francuzów siedzących na naszym brzegu, do czasu aż wszystkie nasze oddziały znajdą się już na drodze königsberskiej albo ruszą polami na Grossendorfer See, osłaniając nas od wroga nadchodzącego z zachodu. Oni także podpalą składy od strony wschodniej.

– Co z resztą zabudowy przedmieścia, z karczmą?

– Domy i karczmę można oszczędzić. Składów niestety nie...

Biełagin skinął głową ze zrozumieniem, odmeldował się i wraz z towarzyszącym mu w charakterze tłumacza pułkownikiem Gnaade podążył do oddziałów, by pokierować ewakuacją miasta. Na Rynku wypełnionym po brzegi przez gotowych do wymarszu „koporców”, u wrót ratusza, stali czarno odziani członkowie magistratu, na czele z burmistrzem von Möllem i księdzem Czychowskim. Wyglądali jak stado smutnych gawronów na mrozie. Wszyscy byli bladzi jak śmierć, ich pobrużdżone troskami twarze postarzały się w ciągu ostatniej godziny o dobrych parę lat. Panowało głuche milczenie, słychać było tylko nawoływania podoficerów i szczęk oporzędzenia rosyjskich piechurów. Parskały konie oficerów. Warczały równym rytmem tarabany. Major Biełagin zeskoczył z siodła i podszedł do grupy miejskich notabli.

– Panowie, wiecie już wszystko. W tej sytuacji nie mogę panom zaoferować niczego poza tym oto kwitem rekwizycyjnym. W nim znajdziecie panowie ogólny szacunek strat, jakie spowoduje spalenie składów i obór...

Polizeibürgermeister von Möller wziął do ręki podany papier, rzucił na niego okiem i zobaczył, że zapisano go nieznanymi mu znakami alfabetu rosyjskiego. Na dole widniał zamaszty podpis generała Warnecka.

– *Herr Offizier*, proszę mnie źle nie zrozumieć, ale czy pański kolega – tu spojrzął na Gnaadego – mógłby potwierdzić, że taka jest treść tego dokumentu?

Biełagin zdziwił się mocno, na jego twarzy zaczął nawet wykwitać wyraz oburzenia, jednak pułkownik Gnaade uspokoił go kładąc dłoń na ramieniu:

– Spokojnie, Antonie Fiodorowiczu, wydaje mi się, że wiem, o co im chodzi. Proszę sobie wyobrazić, że – zwłaszcza w tak zwanym głębszym terenie – niejeden z naszych oficerów czy raczej oficerków wydał mieszkańcom rzekome kwity rekwizycyjne, które okazały się nie tylko nic niewartymi świstkami, ale wręcz szyderstwami z tych nieszczęśników...

– Szyderstwami? Jak to?

– Na niektórych znaleziono teksty sprośnych ludowych przyśpiewek, na innych teksty w rodzaju: „Okazicielowi niniejszego dokumentu należy wypłacić sto uderzeń kijem”. Bardzo zabawne, nieprawdaż? Dlatego proszę się nie obrażać i nie unosić

honorem. Wezmę do ręki ten „Zettel” i potwierdzą im jego treść. Tyle im się chyba od nas należy, nie sądzi pan, Bielągin?

Kolumna Kulikowskiego i Rosena przeszła ponad wiorstę nie niepokojona przez przeciwnika. Tempo marszu całej grupy zależne było od tempa poruszeń armat i jęgrów. Francuzów widziano początkowo jedynie z oddali. Podobnie jak Rosjanie, posuwali się po części drogą, po części obu jej stronami. Zanim jednak Rosjanie dotarli do rozstajów dróg oznaczonych krzyżem, wróg wysunął naprzód liczną kawalerię – na oko Rosena cały pułk szaserów – i wzmógł nacisk na cofających się. Szwadron huzarów pawłogradzkich i sotnia kozaków nie były w stanie nawiązać równorzędnej walki bez wsparcia jęgrów – natomiast ich użycie spowolniło rejteradę. Wyglądało więc na to, że Kulikowski i Rosen nie zdołają oderwać się od przeciwnika i dotrą do Heilsbergu z Francuzami depczącymi im po piętach. Przy rozstajach napotkano też powracających kozaków, wożących przedtem meldunek dla generała Warnecka. Przyniesione przez nich wieści nie nastrojały optymistycznie. Trudno było przewidzieć, jaką sytuację zastaną po dotarciu na przedmieście. „Tak czy owak, walki nie unikniemy” – pomyślał Rosen.

Tymczasem w ariergardzie zaobserwowano, że przeciwnik wyraźnie nabiera śmiałości: miejsce pojedynczych desperatów szukających szczęścia w indywidualnych starciach zajęły kilkusobowe grupki flankierów, często zmieniające pozycje i prowadzące szybki, celny ogień. *Brigadier* Henri Cardelle z 1. pułku szaserów wypuścił się naprzód w asyście czterech swoich podkomendnych, mając nadzieję stoczyć jakiś zwycięski pojedynek. Chwilowo jednak po stronie rosyjskiej nie widać było ani pojedynczego jeźdźca, ani grupy wysuniętej przed szyk. Cardelle postanowił sprowokować przeciwnika i zaryzykował jeszcze bliższe podejście. Kiedy i to nie pomogło, krzyknął na całe gardło, mieszając słowa francuskie i rosyjskie:

– *Pereux russe! Russkij trus!*<sup>126</sup> – co wypadło nawet do rymu.

Kozak Ilja Czubytyj spojrział porozumiewawczo na Grigorija Ponomarienkę i Ignatija Worona – ci skinęli głowami; wszyscy obejrżeli się na sotnika Mołokowa – ten także skinął głową i dał znak ręką, że mogą spróbować. Ruszyli kłusem w stronę grupki szaserów. Ujęli w dłonie piki, dotąd spoczywające za plecami. Pistolety były nabite, szable gotowe. Kopyta koników równo szły po śniegu...

Cardelle i jego ludzie zobaczyli, że rusza ku nim trzech jeźdźców, ponad sylwetkami których sterczały długie piki. Po chwili piki zniknęły, zapewne kozacy ustawili je w poziomie, gotowe do pchnięcia. Drobny szaser o przeczącym posturze nazwisku Biennourri<sup>127</sup> zapytał *brigadiera*:

– Strzelamy?

– Biennourri, puknij się w łeb! Jesteśmy w tym miejscu, bo zachciało nam się brawury i chwały! A jaka to będzie chwala, jaka brawura, jeśli – mając przewagę pięciu do trzech – powiększymy ją jeszcze przez oddanie salwy, zanim dojdzie do starcia wręcz? Jeśli się boisz, wracaj, tchórze!

Biennourri zbyt często padał ofiarą kpin kolegów na temat swojego wzrostu i postury, by zawracać, choć rozsądek nakazywał ostrożność – kozacy zdążyli już zdobyć sobie w oczach przeciwników dostateczną porcję chwały, zarówno przez ich brawurę, jak i podstępne metody walki, a czasem okrucieństwo. Dlatego zamknął usta i wraz z

kolegami czekał, aż kozacy się zbliżą. Trzyosobowa grupka rozdzieliła się nagle: dwaj jeźdźcy po bokach odbili od środkowego jak jaskółki z gniazda na wysokim brzegu rzeki. Nagle znaleźli się na flankach grupy Cardelle'a. *Brigadier* pokazał rękami, że mają po dwóch zaatakować każdego z bocznych, on sam ruszył ku środkowemu. Biennourri i Ferron pogalopowali ku lewemu, potężny drągal Trudeau i Lefort – ku prawemu.

Ignatij znalazł się oko w oko z parą francuskich szaserów, z których jeden był bardzo okazałej postury. Kozak wiedział, że – wbrew pozorom – ten właśnie będzie dla niego prawdopodobnie łatwiejszym przeciwnikiem. Już wielokrotnie doświadczył, że żołnierze o potężnej budowie ciała bywali zwykle nazbyt zadufani w sobie i mieli skłonność do lekceważenia przeciwnika. A on nieraz to wykorzystał i dzięki temu wciąż głośno chwalił Imię Boże i sycił się wonią kwiecia wężanego od góry, a nie od spodu. Ignatij i obaj jego adwersarze, jakby zmówieni, na moment zwolnili biegu, po czym nagle w dwójnasób przyspieszyli, jak w ostatniej fazie szarży. Teraz liczył się każdy ułamek sekundy i każdy, choćby prawie niezauważalny, ruch konia lub jeźdźca. Nogi wierzchowca poruszały się bardzo szybko, ale kozakowi wydawało się, że i on, i koń, i Francuzi naprzeciwko gramolą się z wielkim trudem w jakiejś gęstej mazi; ręce zdawały się ważyć po dwa pudy<sup>128</sup>, oddech krótki jak u chorego na dusznicę, oczy wprawdzie dobrze widziały twarze Francuzów, jednak jakby poprzez warstwy rozedrganego upałem powietrza. Obie ich sylwetki były na poły nierzeczywiste... Ignatij musiał szybko zdecydować, czy uderzy piką z góry, czy na wprost, niczym dawni rycerze kopią. Bo k o g o uderzyć, nie miał wątpliwości: oczywiście tego wielkiego! Należało tylko przewidzieć, co uczyni ten drugi, mniejszy. I jak szybko. Uznał, że najlepiej będzie zajechać wielkiego od zewnątrz, zwalić z konia piką, a potem zająć się mniejszym. Na szczęście wielkiego miał po lewej, mógł więc zaatakować go bezpośrednio piką trzymaną w prawej ręce, jednocześnie zasłaniając się nim i jego koniem od mniejszego. Wysoki szaser był już bardzo blisko, kozak widział jego ironicznie uśmiechnięte usta o zmysłowych szerokich wargach i mięsisty, długi nos. Brwi niknęły pod daszkiem czaka, w jego cieniu także oczy były jedynie małymi błyszczącymi punkcikami. W prawej wyciągniętej do przodu ręce trzymał ustawioną poziomo szablę. Doszli! Ignatij precyzyjnie i szybko, tak jak to czynił wiele razy, wyrzucił prawą rękę w przód, jednocześnie gwałtownie się pochylając na grzywę konia. Ostrze szabli wielkiego szasera niegroźnie przecięło powietrze – trzymająca ją dłoń nie miała siły, by mocniej i celniej uderzyć, bowiem ułamek sekundy wcześniej grot piki Ignatija wbił się dokładnie w tchawicę Francuza, trafiając pomiędzy obojczyki. Zanim jednak kozak zdołał wyciągnąć pikę z ciała przeciwnika a ten ostatni upaść na biały śnieg w drodze do mrocznych jaskiń Tartaru, szabla drugiego szasera uderzyła całą mocą w drzewce, ucinając je tuż przy dłoni Ignatija. Walka miała trwać dalej – Francuz i Rosjanin dysponowali szablami i bronią palną; tej ostatniej jednak – jakby kierowani niepisaną umową – postanowili nie używać. O ich życiu lub śmierci miały zdecydować nagie zimne klingi, wciąż jeszcze nie powalane krwią.

Biennourri i Ferron bardziej ostrożnie zaatakowali pojedynczego kozaka po lewej. Ich przewaga była bowiem pozorna, dopóki tamten dysponował piką. Pierwszą rzeczą jaką musieli zrobić, było jej wyeliminowanie. Porozumieli się wzrokiem – zadanie

przypadło Biennourri'emu: mniejszemu, a więc przypuszczalnie bardziej lekceważonemu przez kozaka. Ferron miał jedynie zachowywać czujność i w razie konieczności wesprzeć kolegę. Z zadowoleniem ujrzeni, że przeciwnik rzeczywiście obrał za obiekt ataku małego Biennourri. Był to błąd – niewielki wzrostem i posturą szaser był kulką skondensowanej energii, butlą lejdejską, w której kryły się nieoczekiwane zasoby siły, pomnożonej przez uparcie ćwiczoną szybkość i precyzję ruchów. Tymczasem kozak zajechał Biennourri'ego od jego lewej strony. Kopyta wyrzucały w górę chmury śniegu. Nagle zaatakował szasera, próbując trafić go piką w pierś. Biennourri wykonał błyskawiczny zwrot koniem w lewo, w ostatnim momencie podbijając trzymaną w prawej ręce szablą grot piki w górę. Zanim jednak zdążył przedłużyć i nakierować cięcie na korpus przeciwnika, albo wykonać szybki zamach i zadać cios w korpus lub głowę, kozak schylił się i w tej pozycji śmignął jak błyskawica pomiędzy obu Francuzami. Po przejechaniu kilkunastu kroków zawrócił i z piką w dłoni zbliżał się powoli do adwersarzy, łypiąc oczami to na jednego, to na drugiego. Biennourri zmusił go do większej czujności. Zarówno on, jak i Ferron byli dobrymi szermierzami i strzelcami, jednak nie lekceważyli pojedynczego przeciwnika. Porozumieli się wzrokiem i gestami, postanawiając zająć go swoistym „tańcem na trzy konie”, zanim nie rozstrzygnie się starcie toczone przez pozostałych. Biennourri kątem oka zobaczył upadek olbrzymiego Trudeau, na którego piersiach wykwitła jasnoczerwona wielka plama. Widział też, jak *brigadier* Cardelle ściera się z samotnym kozakiem i podbija jego pikę w górę, po czym obaj minęli się, zawrócili konie i szykowali się wyraźnie do skrzyżowania szabel. Z kolei Lefort stał naprzeciwko trzeciego z kozaków. Sytuacja kolegów wyglądała zatem chwilowo na remisową. Dał znak Ferronowi i obaj naparli z dwóch stron na „swojego” kozaka...

Grigorijowi atakującemu jadącego pośrodku podoficera nie udało się trafić go piką – tamten widocznie miewał już do czynienia z ludźmi operującymi tą bronią, toteż zdołał precyzyjnie i w odpowiednim momencie zbić pchnięcie. Zawrócił, odwiesił pikę na plecy i dobył szabli. Zbliżyli się do siebie ponownie; Francuz zadał szybkie, płytkie cięcie w prawy bok kozaka, ten jednak z łatwością sparował je, wyrzucając łokieć do góry a szablę kierując ostrzem w dół. Sam spróbował z równie płytkiego zamachu wykonać cięcie w spojenie szyi i prawego ramienia Francuza, ale i on zgrabnie sparował cios, podbijając szablę przeciwnika do góry. Oskoczyli od siebie na kilkanaście kroków, by znów skrzyżować klingi. Rozpoczął się klasyczny „taniec”, forma walki najmilsza dla uwielbiających się hazardować kawalerzystów. Najazd na przeciwnika, szybka wymiana cięć lub pchnięć, za każdym razem skutecznie parowanych, bo obaj szermierze byli siebie warcami. Nic nie wskazywało, by pojedynek miał się zaraz rozstrzygnąć. Grigorij i Cardelle jakby zapomnieli o całym świecie, o tym, że są tylko niewiele znaczącymi pionkami w wielkiej grze, zwanej wojną. W wojnie, którą w podręcznikach historii nazywać się będzie „wojną Napoleona z IV koalicją”, a w innych, bardziej postępowych i nowoczesnych podręcznikach, w ramach „odciążania uczniów od przeładowanych treści nikomu niepotrzebnego przedmiotu zwanego historią”, nie będzie o tej wojnie nawet najmniejszej wzmianki. Dla Henriego i Grigorija liczył się tylko ich własny, niejako prywatny, taniec ze Śmiercią. Zaczynała rodzić się między nimi, kawalerzystami z krwi i kości, osobliwa więź. „Tak musieli się czuć gladiatorzy w dawnym Rzymie” – pomyślał Cardelle. Ale

skoro tak, to jeden z nich prawie na pewno pozostanie na tym śniegu i pogrzebią go w obcej ziemi. Bo obaj byli tu obcy, daleko od domu i rodzin... Ich śmierć nie wywoła u nikogo z miejscowych potoku łez ani głośnych szlochów. Ich ciała w najlepszym razie spoczną nago w zbiorowej mogile, albo może wylądują na dnie jakiegoś jeziora czy stawu. Albo po prostu ich szczątki rozdziobią ptaki – ścierwojady i rozwłóczą dzikie zwierzęta. A po wielu, wielu latach ktoś przypadkiem natknie się na te smętne resztki, milczące świadectwo pełnej namiętności i trosk człowieczej egzystencji. Nigdy nie odgadnie myśli kłębiących się ongiś pod zbrązowiałą, ubrudzoną ziemią, porośniętą glonami i mchem czaszką; nie będzie pamiętał, że pomiędzy zmurszałymi żebrami biło kiedyś serce, serce wierne jakiejś wielkiej miłości, albo wręcz przeciwnie – serce bezwzględne donžuana (o ile serce nawet donžuana może być tak do końca bezwzględne...) lub zbrodniarza. Być może odwiedzi wtedy to miejsce jakiś dygnitarz z ojczyznoego kraju, powodowany ludzką empatią albo rozgrywający jakieś małe polityczne interesiki. I stanąwszy nad ich późnym grobem zwróci się do nich: „Nieznany żołnierzu!”. A oni przecież byli, oni mieli imiona, nazwiska! I unoszące się nad tym polem ich dusze będą krzyczeć na cały głos: „Nieznany?! Dlaczego nieznany?! Przecież wszyscy mnie znali – jestem Henri Cardelle syn André i Blanche; jestem Grigorij Antonowicz Ponomarienko z matki Jewdokii! Tęsknią za nami piękne dziewczyny: Caroline i Dasza!”. Ale nikt ich nie będzie słyszał, pogrzebią ich anonimowo. Czasem ktoś zapali świeczkę na grobie, czasem położy kwiaty – ale z a w s z e zapomni je przedtem pocałować, rzuci je im jak umarłym – i to boleć ich będzie najbardziej...<sup>129</sup>

Ilja, naciskany przez dwóch przeciwników, nie próbował nawet bezpośrednio ich zaatakować, świadomy że wówczas oni skoordynują działania i od razu któryś z nich wykorzysta jakiś jego błąd lub chwilowe odsłonięcie części ciała. Dlatego spokojnie cofał się, od czasu do czasu wprawiał konia w krótki kłus i zmieniał pozycję – raz w lewo, raz w prawo. Oczy tamtych wyraźnie skupione były na grocie jego piki, czasem zerkały też na jego pistolety. Bowiem właśnie te śmiertcionośne narzędzia trzymały ich na dystans i zapewniały chwiejną równowagę. Jej utrzymywanie wymagało jednak ciągłego natężania wszystkich mocy fizycznych, a zwłaszcza psychicznych. Coraz częściej nachodziła ich pokusa sięgnięcia po karabinki. Wreszcie Biennourri i Ferron – bo to z nimi „tańczył” Ilja Czubatyj, choć o tym nie wiedział i nigdy nie miał się dowiedzieć – rozjechali się na boki i zasłi przeciwnika jednocześnie z obu stron.

– Uważaj, Ferron – rzucił Biennourri, zajeżdżając kozaka od prawej – Pikę ma od mojej strony, ale potrafi zrobić szybkiego młynka albo mocno uderzyć tępym końcem!

Ferron tylko skinął głową, że rozumie, po czym obaj gwałtownie runęli na wroga. Ten błyskawicznie zwrócił konia w lewo, zmniejszając optycznie swoją sylwetkę wobec przeciwnika po lewej, jednocześnie próbując szybkiego pchnięcia piką w pierś tego po prawej – Biennourri’ego. Ten ostatni uchylił się w lewo i od razu ciał szablą, ucinając drzewce u samej nasady grotu. Zanim jednak zdołał ponownie unieść rękę z szablą, kozak – odrzuciwszy pikę, która stała się tylko ciężkim kawałkiem drewna – błyskawicznie dobył własnej szabli i już przy jej wyciąganiu spróbował wykonać cięcie z dołu po skosie, niejako przedłużając ruch. Powracający z wychylenia do pozycji pionowej Biennourri zdążył się zasłonić unosząc prawy łokieć i opuszczając klingę skośnie w dół. Siła cięcia



kozaka podrzuciła jednak jego rękę z szablą ku górze. Odskoczyli od siebie, po czym Ilja ruszył ku Ferronowi; skrzyżowali bez przekonania klingi, oczywiście parując wzajemnie bez trudu swoje cięcia. Ilja znalazł się za plecami Ferrona, ale tylko na moment – po kilku sekundach sytuacja powróciła do punktu wyjścia: obaj Francuzi znów napierali na Rosjanina. Tyle że tym razem on nie miał już piki.

Ignatij Woron zorientował się, że Ilja ma kłopoty. Nie mógł go wspomóc znajdujący się bliżej Grigorij, bo walczył z podoficerem. On sam, Ilja, też miał na karku przeciwnika. Trzeba zrobić coś, co umożliwi mu wsparcie kamrata. W tej sytuacji postanowił zastosować sposób skuteczny, ale nie lubiany. Dusza kozaka cierpiała na samą myśl o tym, ale tu chyba nie można inaczej... Ruszył więc kłusem ku Lefortowi, nagle zajeżdżając go od lewej i – zanim Francuz zorientował się o co chodzi – ciał z rozmachem szablą prosto między uszy konia. Nieszczęsne zwierzę straszliwie zarżało, rzuciło łbem... Jego przednie nogi ugięły się w kolanach, po czym przewróciło się na lewy bok, przygniatając sobą nogę jeźdźca. Kopyta zaczęły konwulsyjnie pruć śnieg, wydobywając spod niego kępki pożółkłej trawy i grudy zmarzniętej ziemi. „Tego mamy z głowy” – pomyślał Ignatij. Przez chwilę spotkały się oczy Francuza i Rosjanina. Wzrok kozaka zdawał się mówić: „Przepraszam, kolego, ale nie mogłem inaczej”. W spojrzeniu szasera kozak ujrzał zdziwienie pomieszane z ironią: „A więc mnie nie zabijesz? Czy sądzisz, że zabijając m o j e g o konia skrzywdziłeś mnie mniej?”. Ignatij był świadomy, że pierwszy złamał niepisane zasady tego flankierskiego pojedynku i nie czuł się z tym dobrze. Lefort także postanowił złamać zasady. Sięgnął po nabity karabinek...

Ignatij galopem dołączył do Ilji i stanął u jego boku. Biennourri i Ferron zrozumieli, że chwilowa przewaga została zniwelowana i przeciwko własnym dwóm szablom mają dwie szable przeciwników. Oczywiście nie zamierzali uchylać się od walki, ale teraz ryzyko było większe. Widok trupa Trudeau i leżącego z nogą pod zabitym koniem Leforta był poważnym ostrzeżeniem, że wroga nie należy lekceważyć. Ujrzeni, że również trzeci kozak odrywa się od Cardelle'a i dołącza do towarzyszy. Cardelle'owi nie pozostawało nic innego, jak dołączyć do Ferrona i Biennourri'ego. Obie trzyosobowe grupki dzieliło około trzydziestu kroków. Gdyby nie leżący na śniegu ludzie i koń, gdyby nie utracone piki dwóch kozaków, można by uznać, że nic nie zaszło. Nagle wypalił karabinek Leforta – nie celował, jednak kula przeszła prawe ramię Ignatija, eliminując go z dalszej walki. Jego kamraci sięgnęli po pistolety; Biennourri, Ferron i Cardelle po karabinki. Kula pistoletowa przeorała skroń Ferrona, krew zalała mu twarz i prawe ramię, szaser zaczął się chwiać w siodle; nie upadł tylko dlatego, że z obu stron podtrzymali go koledzy. Upadł natomiast Grigorij, gdyż francuska kula uбиła pod nim konia. Chmura dymu prochowego zasnuła ten niewielki wycinek pola walki. Wtedy za plecami kozaków zagrały trąbki huzarów, odwołujące wszystkich kawalerzystów toczących pojedynki na linii ariergardy. Grigorij zdjął z zabitego zwierzęcia najpotrzebniejsze rzeczy i podbiegł do kolegów. Ilja pomógł mu wskoczyć za sobą na konia, po czym wszyscy trzej na dwóch wierzchowcach podążyli ku reszcie sotni Mołokowa. Tam Grigorij przejął jednego z luzaków, a Ignatijowi *kostopraw*<sup>130</sup> Derewienko zrobił tymczasowy opatrunek. Wszystko poszło sprawnie, gdyż takie sytuacje zdarzały się bardzo często. Wkrótce cofająca się kolumna Kulikowskiego i Rosena ujrzała zabudowania Hohetor Vorstadt.

Szef batalionu Clément wysłuchał rozkazów przekazanych ustnie przez gońca od generała Moranda i natychmiast kazał ściągnąć żołnierzy 17. pułku liniowego obsadzających zamek. Z pomocą *Zimmermeistera* Horneffera ludzie kaprala Sébastiena Thouarda znaleźli parę łomów i oskardów w szopach na terenie Fürstliche Garten. Za murem naprzeciwko nie widać już było żadnego Rosjanina. Dlatego Clément posłał tam kilkusobową grupkę ochotników, by upewnili się, że można zacząć wybijać wyłom w murze. Taki, by mogły przejechać działa i wozy. Akcją dowodził Thouard. Ubezpieczani przez kolegów grenadierzy dobiegli truchcikiem do połowy Röhrenbrücke, gdzie wciąż spoczywał trup André Verdois, obficie zalany zakrzepłą już krwią. Jego otwarte szare oczy spoglądały bez wyrazu w pochmurne niebo; kiedy Sébastien pochylił się nad nim, w rozszerzonych źrenicach nieboszczyka szukał własnego odbicia. Jednak upłynęła więcej niż godzina, toteż rogówka zmarłego była już zmętniała i jakby zamglona. Wargi z czerwonych stały się sinawo – brunatne. Drobne skaleczenie na lewej dłoni również wyschło i wydawało się większe, niż w rzeczywistości. Thouard wspomniał, jak trzy dni temu Verdois, lekko podпиты i radośnie uśmiechnięty, podawał mu nocą przy ognisku kubek z grzany winem; nagle potknął się i upadł, kalecząc dłoń o ostry sęk gałęzi przygotowanej na opał. „*Rien. C'est bagatelle!*”<sup>131</sup> – zawołał ze śmiechem – „Do wesela się zagoi!”... Sébastien poklepał go wtedy po ramieniu i przygarnął do piersi, po czym wypili za zwycięstwo. Teraz kapral poczuł jakby go ktoś gwałtownie odepchnął. Przekroczył trupa i ruszył dalej w stronę muru. Pozostali za nim, z łomami i oskardami w rękach. Kilkadziesiąt kroków za ich plecami rozległ się tupot wielu nóg – powracali żołnierze Simona Araignée obsadzający dotąd zamek. Na znak Thouarda grenadierzy zaczęli uderzać żelazem w mur. Cegły okazały się słabsze od zaprawy, seria silnych uderzeń sprawiła, że mur zaczął się szybko kruszyć. Ściana sięgała Francuzom po szyję, bili więc u jej podstawy, licząc że po wybiciu dziury u spodu, górna część zawali się pod własnym ciężarem.

Na przeciwległym brzegu Clément, upoważniony przez pułkownika Lanusse'a, nadzorował porządkowanie szeregów pułku zgromadzonego na skraju Fürstliche Garten. Po chwili ujrzał, że od strony Kirchentor Vorstadt nadjeżdżają oba działony, które umożliwiły przeprawę na Töpfergrund. Rzenie koni i głośny hurgot okutych kół armatnich po zmarzniętym gruncie zagłuszyły odgłosy kucia muru za rzeką. Natomiast w rejonie Hohe Tor nadal panowała cisza, to znaczy nikt nie strzelał.

– *Monsieurs* – zwrócił się do grupki oficerów 17. pułku Clément – Przeciwnika wprawdzie naprzeciwko nas już nie widać, jednak jego siły nadal są w mieście. Gdyby było inaczej, usłyszeliśmy strzelaninę na Hohetor Vorstadt. Dlatego powinniśmy na razie wstrzymać się z przeprawą dział i wozów, zachowując stan gotowości. Sygnałem do przeprawy będzie albo rozkaz od generała Moranda, jeśli taki nadejdzie, albo odgłosy walki na przedpolu Hohe Tor.

– *Mon commandant*, w jakiej kolejności będziemy się przeprawiać? – spytał kapitan Thiebault, dowódca trzeciej kompanii.

– Według rozkazu pułkownika Lanusse'a, najpierw pańska kompania, która dołączy do waszych grenadierów z grupy Thouarda. Potem oba działony wraz z jaszczami amunicyjnymi. Dalej reszta I batalionu. II batalion, zależnie od drożności przepraw,

pójdzie albo za I, albo po kładce przy Töpfergrund. Na końcu wozy. Dowódcy pododdziałów zaraz ustawią swoich ludzi stosownie do tej instrukcji.

Armaty zajęły na pozycję wyjściową do przeprawy. Obsługa wyprzęgła konie – działa miało przetaczać po moście siłą mięśni ludzkich, gdyż konie zamierzano przeprowadzać pojedynczo. Podobnie z wozami. Zza rzeki słychać było mocne uderzenia oskardów i łomów. Kapral Thouard posłał jednego ze swoich grenadierów do Clémenta ze sprawą niejako osobistą. Szeregowy Merle stanął przed szefem batalionu, zaszalutował i zameldował:

– *Mon commandant, monsieur le caporal* Thouard bardzo prosi, by – jeśli to możliwe – ktoś z naszych żołnierzy usunął zwłoki Verdois z mostku, zanim zaczniemy się przeprawiać. Potem nie będzie na to czasu i jego trupa ktoś po prostu zepchnie na lód pod mostem. Verdois był naszym dobrym kamratem.

– To godna pochwały postawa, żołnierzu. Zróbmy tak. Tam za murem powinien być przykościelny cmentarz. Weźcie jeszcze dwóch ludzi, niech przeniosą zwłoki tych parę kroków, pod mur, a po wybiciu wyłomu ułożą go tam pod ścianą fary, na cmentarzu. Potem czy to nasi, czy miejscowi, ktoś go przecież pochowa. Verdois był wierzący?

– Tak do końca to nie wiem, *mon commandant*, ale na pewno urodził się w katolickiej rodzinie i tak był ochrzczony.

– Jak większość z nas... – powiedział cicho, jakby do siebie, nagle zgorzkniały Clément. – No, bierzcie się do roboty, bo lada chwila ruszamy!

Paul Klinger, zamożny wdowiec z Launau, stał przy oknie głównej izby swego domu i spoglądał przez niewielką szparę w uchylonej okiennicy na szybko przeciągających przez wieś Francuzów. Jego chałupa stała niemal w samym środku miejscowości, nieopodal domu sołtysa. W stajni miał trzy dorodne konie, w tym jednego pod wierzch. Kurnik, obora i chlewik także nie stały puste, chociaż pasza dla zwierząt zaczynała się kończyć. Również mąki i ziarna zaczynało brakować. Jego ukochana Lieselotte, mocno ryzykując, bez pytania udała się o świcie do lasu za rzeką, by zebrać trochę jesiennych i zimowych grzybów dla urozmaicenia pożywienia, trochę owoców tarniny i głogu – zrobi się z nich czy to nalewki, czy to środek odkażający skaleczenia. Jedno i drugie można będzie potem wymienić na inne produkty... Małżonka, umierając przed czterema laty, pozostawiła go z dorastającą córką. Lieselotte była wyjątkowo piękną dziewczyną, bardzo podobną do matki i babki macierzystej. Z wybitną, subtelną urodą szedł w parze rozsądek i takt, co czyniło ją – przy zamożności ojca – pierwszą partią w Launau. Co tam w Launau! – we wszystkich okolicznych wsiach chłopaki wodzili za nią oczami, a i bywając z ojcem na targu w Heilsbergu, odziana dostatnio a gustownie, wydawała się wielu księżniczką z bajki. Do tego poczciwy ksiądz Hossmann z Reimerswalde, zauważywszy predyspozycje dziewcząt, wyuczył trzy lata temu Lieselotte i tę małą, jak jej tam... Mariannę od Benskiego, także wdowca, czytania i pisania. Odtąd obie były wielką pomocą dla swych starzejących się ojców, którzy świata za nimi nie widzieli. Znali się, często spotykali, razem wybierali się do Heilsbergu na Świętego Marcina, by rozliczyć się za miniony rok. Ale to było przed wojną – niby tylko kilka tygodni (bo wojna przyszła do nich dopiero w styczniu tego roku), a jakby w innym życiu. Nic już nie było jak dawniej. Przemarsze wojska, kwaterunki, potem zwykłe rabunki i

gwałty... Ich okolicy wojna też nie oszczędziła. Francuscy piechurzy w styczniu wybili połowę kur i świń w Launau, a wczoraj kozacy zgwałcili w Pomehren nieszczęsną Teschnerównę, Adele. Dziś przez Launau po raz trzeci przeciągało wojsko. Tym razem francuskie. Francuzi spieszyli się bardzo, toteż tylko hałasu narobili i napędzili stracha. Jak dotąd, udawało się Klingerowi ukryć śliczną Lieselotte przed nazbyt „gorącymi” wielbicielami jej urody, ale jak długo jeszcze? Coraz częściej rozważał odwiezienie jej do kuzyna do Braunsbergu<sup>132</sup>; w mieście łatwiej jeśli nie o żywność, to o jakie takie, nawet jeśli wojenne, prawo. Patrząc za okno nie zauważył, jak córka stanęła cichutko za nim i również spojrzała na drogę ponad jego ramieniem, wstrzymując oddech. Nagle poczuł, że jej długie, delikatne palce zaciskają się na jego barkach a dziewczyna gwałtownie wypuszcza powietrze przez nos. Szybkim ruchem obejrzał się i zauważył jej błękitne oczy wpatrzone w coś za oknem. Podążył za jej wzrokiem, ale tam wciąż przeciągali tylko Francuzi. Jeden z nich, urodziwy brunecik o nieomal kobiecej, bardzo młodzieńczej twarzy okolonej drobnymi lokami, uporczywie wpatrywał się w okna mijanych domów. „Czyżby chciał coś ukraść, podpalić albo zgwałcić jakąś dziewczkę?” – Klingerowi ręce same zacisnęły się w pięści. Obejrzał się na córkę, ale ku jego zdumieniu twarzyczkę Lieselotte rozpromienił szeroki uśmiech. Ułowiwszy spojrzenie ojca, dziewczyna splonęła rumieńcem. „Wygląda tak, jakby go znała! *Mein Gott*, czyżby w lesie stało się coś złego?!” – pomyślał przerażony – „Nie, nie, gdyby tak było, nie byłaby taka uśmiechnięta” – zreflektował się. Postanowił poczekać, aż córka sama opowie mu, co zaszło w lesie. Nauczył się jej ufać. Lieselotte to mądra dziewczyna. Dojrzeje – sama powie. Nie trzeba naciskać. Piękna Klingerówna, ujrawszy na drodze omiatającego wzrokiem wszystkie okna Raymonda, była więcej niż pewna, że to właśnie jej wypatruje młody Francuz. Potem wszystko ojcu opowie. Teraz radowała się w duszy, czuła szybsze bicie serca i – przepelniona poczuciem bardzo kobiecej satysfakcji – pomyślała: „No proszę, minęło tak niewiele czasu, a on już za mną tęskni!”. Po chwili uświadomiła sobie, że ona za nim także. Śmielej uchyliła okiennicy, by go jeszcze raz ujrzeć, ale sylwetki ostatnich francuskich żołnierzy rozmywały się już w oddali.

Sołdaci Rosena i Kulikowskiego idący w ariergardzie byli świadomi, że podążający ich tropem, przeważający liczebnie i w sile ognia przeciwnik nie pozwoli im na żaden odpoczynek ani zastanowienie – pierwsze szeregi następujących Francuzów widać było w odległości zaledwie kilkuset kroków. Dlatego Rosen od razu przywołał kilku ludzi, których zadaniem – zgodnie z rozkazami generała Warnecka – było podpalenie składów, stajni i obór na Hohetor Vorstadt. Grupa dotarła właśnie do miejsca, gdzie w lewo odchodziła droga wiodąca wzdłuż gęsto rozlokowanych w kilku rzędach magazynów i karczmy „Zu Drei Schwestern”, w prawo zaś – główna ulica przedmieścia. Wzdłuż składów stali uszykowani w kolumnę czwórkami huzarzy pawłogradzcy; Rosen nakazał prowadzonemu przez siebie szwadronowi dołączyć do towarzyszy. Jęgrzy 21. pułku Kulikowskiego rozsypali się w „cep” i zwrócili frontem ku nadciągającym Francuzom. Kozacy Mołokowa obsadzili skrzydła i tyły. Obaj dowódcy postanowili natychmiast po wznieceniu ognia cofnąć swe oddziały bliżej karczmy i stawu, by następnie przeniknąć między szopami i wyjść na przylegające do nich niwy stanowiące granicę gruntów miejskich, a potem na puste pola położone na zachód od drogi königsberskiej. Zanim

plomień ogarną środkową część zabudowań. Trzeba to zrobić sprawnie i szybko, bo składy miały być podpalone także od drugiej strony, przez żołnierzy Warnecka.

Czterech milczących jak grób jegrów skręciło kopeć ze słomy wziętej z pierwszego ze składów, sporządziło pochodnie z kijów i nasączonych oliwą szmat, po czym jeden z nich zaczął uderzać krzesiwem w krzemień; po kilku próbach iskra padła do wnętrza stalowego puzderka wypełnionego zwęglonymi skrawkami grubego płótna. Zwęglono je przez umieszczenie w tym samym puzdrze, hermetycznie zamkniętym i wrzuconym do ogniska. Płótno zaczęło się tlić, po rozdmuchaniu przyłożono do niego słomę, od niej zaś zapalono pochodnie. Jegrzy otworzyli wrota pierwszego z budynków. Była to duża stodoła wypełniona sianem i słomą, kryta prostym gontem z długich desek. Weszli do środka, niezbyt głęboko, i przyłożyli pochodnie do siana w kilku miejscach, zaraz potem wybiegając na zewnątrz. Złożone w środku siano i słomę owiał najpierw dym wywołany przez niewielki płomień, który jednak błyskawicznie zmienił się w ścianę ognia. Zajęty się wysuszone deski i belki, po chwili nie sposób było podejść do płonącego budynku na dwadzieścia kroków. Wysoki ogień huczał potężnie i nikt już nie byłby w stanie go opanować, nawet gdyby komuś przyszło to do głowy. Tymczasem jegrzy podbiegli do kolejnej szopy – ta niestety okazała się oborą pełną śmiertelnie przerażonego bydła, którego rozdzierający, niesamowity ryk potężniał z każdą chwilą i zamieniał się w nieustające dzikie wycie i chrapliwe stękanie. Oficerowie i żołdaci czuli w piersiach dziwny ciężar, ryki nieszczęsnych zwierząt budziły w nich poczucie winy. Bodaj czy nie większe, niż przy zabijaniu wrogów w walce... Poza zasięgiem ognia powoli robiło się szaro – zbliżał się zmierzch. W miarę przesuwania się pożaru składy, obory i stajnie skupione przy Hohetor Vorstadt zamieniały się w jedno wielkie morze ognia. Huzarzy, jegrzy i kozacy cofali się wraz z postęпами płomieni. Podobnie od zabudowań mieszkalnych ku karczmie i stawowi stopniowo wycofywali się dragoni kurlandzcy Argamakowa. Jednocześnie uchyliły się wierzaje przedbramia Hohe Tor i zaczęły się z nich wysypywać pierwsze szeregi „koporców”. Piechurzy rosyjscy ujrzeni przed sobą nienaturalnie ciemne pierzeje głównej ulicy przedmieścia, za którymi wznosiła się ku niebu iście apokaliptyczna ściana ognia. Dopiero po chwili, już skręcając w prawo, na drogę königsberską, zobaczyli, że z zabudowań zachodniej pierzei wychodzą Francuzi a z okien na piętrach wysuwają się ciemne lufy francuskich karabinów. Zaś w dalszej perspektywie ulicy ukazała się pędząca galopem kawaleria i zaprzęgi artyleryjskie.

– Nie zatrzymywać się! *Skorym szogom w prawo... marsz!* – darli się oficerowie, nie chcąc wstrzymywać ewakuacji, a zarazem uniemożliwiając swoim podkomendnym odgryzanie się przeciwnikom. Tuż po pierwszym batalionie „koporców” kłusował generał Warneck ze sztabem, mając przy lewym boku zasłaniającego go własnym ciałem majora Bielagina. Za nimi pierwszy z dwóch działonów. Po nim następny. Ponad szeregami muszkietarów wysoko wystawały kiwery artylerzystów siedzących na cugowych koniach. Wszyscy głośno krzyczeli, poganiając zwierzęta i ludzi; huczały po bruku koła armat, brzęczał przytwierdzony do lawet sprzęt. Ludzkie mrowie wciąż wylewało się z ciemnego tunelu wrót przedbramia...

Piechurzy 51. pułku liniowego poczuli, że nadeszła ich chwila: oto wróg umyka z miasta wąską drogą, w szyku tak gęstym, że każda kula znajdzie swój cel; w dodatku nie

może się zatrzymać, żeby dać im należyty odpór. Wykorzystali to z całą bezwzględnością. Kapitan Ambroise Pélet, dowódca 1. kompanii 51. pułku, uszykował pluton w dwa szeregi przy zachodniej pierzei. Kątem oka zauważył, że po ich lewej stronie świeżo przybyli spod Amt Heilsberg artylerzyści od generała Moranda zataczają dwa działa prosto naprzeciw przedbramia, kierując wyloty luf na wyciekający z tunelu tłum Rosjan. Na lewej flance pierwszego szeregu plutonu znalazł się szeregowy René Monsard, wciąż mający przed oczami moment śmierci sierżanta Louisa Martela na Töpfergrund. Kapitan Pélet zakomenderował: „*Feu!*”, padła huczna salwa. Mimo chmur dymu prochowego, widziano jak upada kilku rosyjskich piechurów a jeden z konnych artylerzystów chwije się nagle w siodle, przez chwilę zatacza się w różne strony, by w końcu spaść w dół – wprost pod kopyta koni zaprzęgu i koła własnego działa, które przejechało po jego nodze, rozcinając ją na pół. Ponad odgłosy walki przebił się straszliwy krzyk nieszczęsnego Rosjanina. Zaraz potem ucichł jak ucięty nożem. „*Bystriej! Bystriej!*”<sup>133</sup> – wydzielali się oficerowie, poganiając pokaleczoną przez salwę masę ludzi. Tymczasem francuscy artylerzyści załadowali oba działa kartaczami. Przyłożyli lontownice do przepalniczków, rozległ się podwójny grzmot, lufy w odstępie kilkunastu sekund rzygnęły ogniem i dymem, siejąc śmierć. Jednak wbrew nadziejom Francuzów kule kartaczowe dosięgły piechoty, nie artylerii przeciwnika. Kilkunastu ludzi poległo lub zostało rannych, ale zarówno pierwszy jak i drugi działon przejechały bezpiecznie prawie przed śmierdzącymi zgniłymi jajami lufami chwilowo rozładowanych po salwie armat francuskich. Za to piechota 51. liniowego oddawała plutonami salwę za salwą, kosząc niczym zboże kolejne szeregi wychodzące z Hohe Tor. Bito też z okien na piętrach domów Hohetor Vorstadt. Przestrzeń naprzeciwko przedbramia zamieniała się stopniowo w gęsto haftowany krwią kobierzec. Z pędzącej szybkim krokiem kolumny oddawano tylko rzadkie, pojedyncze strzały, nie czyniące poważniejszych szkód. Ot, kilkunastu lekko rannych...

Wzvod Timofieja Dmitrijewa wraz z całą rotą porucznika Żadowskiego posuwał się tuż za artylerią, on też głównie został dotkliwie „poczęstowany” francuskimi kartaczami. Ubyło Timofiejowi aż ośmiu podkomendnych, którym nie był w stanie pomóc. Na szczęście kule oszczędziły Fiedota i Borysa. Ci dwaj sprawdzeni towarzysze i krajani nadal byli u jego boku. „To dobrze” – pomyślał – „Kto wie, co nas dziś jeszcze czeka; oddani koledzy zawsze się przydadzą!”. Tymczasem maszerowali szybkim krokiem, chwilami przechodząc w trucht a nawet bieg. Byle dalej od tej przeklętej bramy i miasta! Obracając oczy w lewo, ujrzał jak cały teren składów ogarnia od strony przedmieścia huczająca ściana płomieni. Potem dołączył do niej drugi płomień, wzniecony przez huzarów od prawej. Nic nie miało prawa ocaleć. Buchała stamtąd fala gorąca. Przez huk ognia wzbijał się ku czerwono podświetlonym chmurom dymu przedśmiertny kwik koni i ryk krów, wylatywały pod niebo sypiące tysiącami iskier, unoszone gorącym powietrzem kępy płonącej słomy, siana i lnu... Na tle ognia, niczym diabły tańczące wokół piekielnych kotłów, przesuwały się ciemne ludzkie sylwetki, konne i piesze: huzarzy, dragoni, kozacy, jęgrzy. Z trzaskiem zapadały się wśród snopów iskier przepalone drewniane dachy szop, obór i stajen. Coraz mocniej drażnił nozdrza charakterystyczny, odrażający smród spalonego mięsa. Nagle ryki ustały, a zamiast nich powietrze rozdarł niesamowity, głuchy i przeciągły jak odległy dźwięk zatapianego w

odmętach dzwonu, poruszający serce ton. Zaraz po nim głośny charkot i rżenie konających zwierząt. Ściany stodół i szop stawały się coraz bardziej ażurowe – za coraz cieńszymi czarnymi resztkami spalanych desek widać było już tylko jaskrawoczerwone płomienie. W wielu miejscach zalegały ciemne kupy czegoś nieokreślonego, skrzącego się tysiącami ognistych punkcików. Z tych czarnych roziskrzonych zwalisk sterczały czarne, wciąż żarzące się, podłużne, niesamowicie powyginane kształty. Timofiej odwrócił wzrok, doskonale wiedział, co to takiego... „Jakże szkoda tych niewinnych stworzeń. Padły ofiarą ludzkich porachunków. A co z miejscowymi ludźmi, którym rychło zajrzy w oczy śmiertelny głód?...”

Po przebyciu biegiem około tysiąca kroków, „koporcy” z połączoną artylerią i sztabem generała Warnecka wydostali się drogą königsberską na otwartą przestrzeń. Jeszcze cegielnia po lewej a dalej już tylko ośnieżone, powoli pogrążające się w szarości zmięzchu pola. Spoglądając w lewo widzieli w pewnym oddaleniu konne i piesze oddziały rosyjskie, idące polami w osłonie ich kolumny. Z tyłu pozostało pogrążone w szarości miasto i powoli opadająca ściana płomieni. Wiatr przynosił swąd spalenizny. Zmęczone biegiem płuca paliły jak ogień, nogi sztywniały od gwałtownego wysiłku, pot zmieszany z osadem prochowym zalewał oczy. Karabiny i oporządzenie ciążyły jakby były wykonane z czystego ołowiu. „Czy wydostaliśmy się z pułapki?” – zastanawiał się Timofiej – „Czy to wszystko, czym nas dziś Bóg chciał doświadczyć?”. Nad maszerującą kolumną wisiała ciężka, gęsta cisza. Pod stawianymi z coraz większym wysiłkiem nogami głośno skrzypiał zmarznięty śnieg... Po ponad półgodzinnym marszu wyszli na łagodne wzgórze, z którego po prawej widać było niknącą w odległym lesie drogę königsberską, na wprost zaś – rozległą, pokrytą śniegiem równą przestrzeń. Grossendorfer See... Czy to kres niepowodzeń? Timofiej nie był aż takim optymistą. Miał słuszość: po drugiej stronie jeziora, na tle jasnego śniegu, powoli przesuwwały się drobne ciemne sylwetki piechurów, jeźdźców i lekkich armat. Francuzi próbowali zająć ich od lewej i odciąć od drogi königsberskiej.

Grenadierzy 17. pułku liniowego, wybiwszy odpowiednio szeroki wyłom w murze, delikatnie i z powagą oparli martwego André plecami o ścianę fary, a następnie sprawnie zabrali się za przetaczanie obu dział, jaszczy i przeprowadzanie koni. Po kilku minutach pierwsze z dział, minąwszy po lewej XVII-wieczną wikarówkę, wjechało na przykościelny cmentarz. Prawie cały plac wokół fary pokryty był puszystym nietkniętym śniegiem; tylko od południowej kruchty do drzwi wybudowanego przed kilku laty – w miejsce rozebranej kaplicy „polskiej” Świętego Stanisława – piętrowego budynku szkoły wiodła wydeptana ścieżka. Z równej powierzchni cmentarza wystawały liczne kopczyki, z rzadka tylko opatrzone drewnianymi krzyżami lub tabliczkami. Groby zwykłych parafian; znacznych obywateli od wieków grzebano we wnętrzu kościoła, składając trumny w kryptach. Grenadier Merle, składając zwłoki Verdois pod murem zauważył, że na ceglach wydrapane są liczne daty i krótkie napisy, przeważnie imiona i inicjały. Najstarsza data pochodziła sprzed stu lat. Nie było jednak czasu na rozmyślanie. Merle, Thouard i kilku innych grenadierów stanęli na chwilę przy trupie kamrata. Kapral przemówił:

– *Adieu, Verdois!* Przykro nam, że musimy cię tak zostawić. Jeśli trafisz do jakiegoś

lepszego świata, czekaj tam na nas, jeszcze niejednen kubek wina razem wypijemy!  
Chłopaki, *garde à vous!*

Grenadierzy wyprężyli się i zasalutowali. Potem ruszyli znów do dział i wozów. Ciężkie koła armat i jaszczy, ponownie zaprzężonych, bez ceremonii rozjeżdżały stare groby, zmierzając do centrum Heilsbergu i dalej ku Hohe Tor. Po nich deptały zaśnieżony cmentarz setki żołnierskich butów. Kolejne pododdziały objeżdżały farę i wylewały się na Hospitalstrasse a potem na Baderstrasse. Kopyta, koła i podćwiekowane buty grenadierów z czoła kolumny dudniły już po deskach mostu między Hohe Tor a przedbramiem. Ulice były zupełnie wyludnione. Zatrwożone miasto oglądało przemarsz Francuzów przez szpary w okiennicach i zaciągniętych grubych kotarach. Zapadał zmierzch, a nikt nie zapalał latarń. We wnętrzach domów mieszkańcy wsłuchiwali się w uderzenia własnych serc i pulsowanie krwi w skroniach. W ratuszu na piętrze, w sali posiedzeń rady, zasiadał w komplecie wokół dębowego stołu magistrat, przypominający w swym bezruchu kolekcję bladożółtych figur woskowych. W mieszkaniu Martina Derdaka jego żona Gretel zagryzała do bólu usta, a śliczna błękitnooka jasnowłosa Agathe i mała Inga siedziały na ławie, trzymając się za ręce. Piece powoli gasły, nikt nie dorzucał drewna. Ludzie milczeli, przeczuwając nadejście złego czasu...

Dywizja Frianta parła szybko naprzód z Lawden na Retsch i dalej ku drodze königsberskiej, zamierzając osiągnąć ją na odcinku między Grossendorf a Jegothen. Wymagało to przejścia przez nieco trudniejszy teren w okolicy królewskiego, ongiś biskupiego, lasu. Tymczasem do kolumny dołączyła kawaleria Marulaza: 12. pułk szaserów Guyona, który przybył do dywizji wprost spod Amt Heilsberg. Jazda i część piechoty Frianta posuwały się polami, artyleria i reszta piechoty – wąską drogą na Retsch i Grossendorf, prowadzącą między królewskim lasem a Grossendorfer See, obok dawnego folwarku i zwierzyńca biskupiego. Na czele grupy pościgowej podążali szaserzy Guyona i żołnierze 33. pułku liniowego Pouchelona. Na ich spotkanie szły z Heilsbergu oddziały Moranda, których awangardę stanowił 1. pułk szaserów Exelmansa. Uwzględniając fakt, że prawym brzegiem Alle szła za Morandem dywizja Gudina, Rosjanom nie pozostawało nic innego, jak nieustanny i jak najszybszy odwrót. Francuzi sukcesywnie zalewali okolicę niczym nieubłagane tocząca się lawa.

Awangardę 12. pułku szaserów stanowił oddział kapitana Étienne'a Holtza. Towarzyszyło mu kilka lekkich dział artylerii konnej. Holtzowi wciąż brzmiały w uszach słowa pułkownika Guyona, człowieka szorstkiego w obejściu, ale w rzeczywistości gotowego dać się pokrajać za swoich szaserów:

– Holtz, szalony gówniarzu... no co się tak na mnie wybałuszasz, bez obrazy, przecież wiesz, że jestem dla was jak najlepszy ojciec... Nie potakuj, sam wiem jak jest! No więc, szalony gówniarzu, tym razem nie oczekuję od ciebie i twoich, tak samo jak ty stukniętych, nieuleczalnych notorycznych ochotników, żadnych brawurowych szarż, rzucania się w nieprzeliczone szeregi wroga i takie tam... Chcę jednego: macie mi przeciwnika zatrzymać na drodze königsberskiej do nadejścia odpowiednio dużych naszych sił. A przynajmniej zadać mu jak największe straty! No nie gap się na mnie z takim uwielbieniem, jak ulubiony pudel mojej starej na swoją pańczę! Jeszcze mi tu zaraz 'służyć' i skomleć zaczniesz... – nagle spowaźniał i zupełnie rzeczowym tonem dodał: –



Étienne, drogi chłopcze, mam nadzieję, że wiesz co masz robić?

Wówczas kapitan Holtz równie poważnie odpowiedział:

– *Oui, mon colonel!* Staram się zawsze trzymać w pobliżu dział kompanii Souffreta; niejedną raz wyszło to nam obu na zdrowie. Lekkie armaty pognają przodem wraz z nami, odnajdziemy optymalną pozycję i zadamy Roskom bobu, kiedy będą ciągnęli drogą w gęstej masie!

– Jak zwykle, znakomicie się rozumiemy! – stwierdził pułkownik z krzywym uśmiechem. – No dobra, dość tych karesów... Zjeżdżaj mi stąd, mały, i bierz się za swoją robotę!

Holtz strzelił obcasami i „zjechał”; jednak „jego robota” była dopiero przed nimi. Przed nimi była także nieduża wioska, jakieś dwadzieścia chałup, pewnie niewiele więcej niż setka mieszkańców... Zagubiona pośród zasypanych śniegiem pól i łagodnych pagórków, w terenie poprzecinanym licznymi strumykami – to ostatnie można było stwierdzić tylko po przebiegu parowów, w których zapewne cieplejszą porą kuszaco szemrała bystra woda. Z mapy Holtz pamiętał, że to Retsch. Nie zatrzymując się, grupa Holtza z armatami Souffreta podążyła dalej. Zjechali w dolinę jednego ze strumieni, przebyli ją po drewnianym mostku i wkrótce wyszli na dość wysokie wzgórze. Nieco z przodu po prawej ujrzeli jeszcze wyższy pagór, jednocześnie oczom ich ukazała się biała tafla zamrożonego jeziora. Po lewej teren obniżał się ku kolejnemu niewidocznemu strumieniowi i pokrytemu lodem i śniegiem bagnu, za którym czerniała się szeroko ściana królewskiego lasu. Zatrzymali się. Holtz przywołał ruchem ręki młodego porucznika Devin<sup>134</sup>:

– Devin, przypomnij pan sobie, byłeś pan ze mną u pułkownika i też wytrzeszczałeś gały na mapę. Wiem, że na mapach się znasz zawodowo jeszcze z cywila i dobrą masz pamięć. Dokąd, według ciebie, najlepiej teraz podążyć? Tak, żeby możliwie najbardziej zaszkodzić przeciwnikowi. Bo droga już niedaleko...

– *Mon capitaine*, z tego co pamiętam, jeśli teraz pójdziemy w prawo, to osiągniemy drogę königsberską jeszcze p r z e d bardzo interesującym z naszego punktu widzenia *defilé*<sup>135</sup>; po obu stronach drogi znajdują się tam przylegające do niej niewielkie lasy i dość rozległe bagna.

– No to znakomicie! – zataił dłonie Holtz. – Tam ich ostrzelamy i zatrzymamy! Na jakiś czas, rzecz jasna...

– Sęk w tym – zgasił go Devin – że to p r z e d *defilé*; oni się tam stłoczą, poniosą straty, ale zarazem, nie mając innego wyjścia, od razu rzucą dużą część swych sił bezpośrednio na nas, bez problemu zwyczajnie nas rozdepczą i po naszych trupach wielu z nich obejdzie to *defilé*, odciążając drogę dla pozostałych.

– Co radzisz?

– Idąc w lewo przebyć mały kawałek lasem, tam jest przecinka – granica rewiru, potem ustawić nasze działa na wzgórzu, pod osłoną bagna, naprzeciwko w y j ś c i a. Będą dość stłoczeni, byśmy mogli trafiać skutecznie, a zarazem kusić ich będzie wolna przestrzeń przed nimi. Zaś największy, a dla nas bezpieczny, tłok powstanie p r z e d *defilé*, tym jednak zajmą się już nasi z innych oddziałów...

Po krótkim namyśle Holtz postanowił zaufać radom Devina. Grupa kawalerzystów

i towarzysząca im kompania artylerii konnej szybko ruszyły skrajem królewskiego lasu, ku miejscu gdzie stykał się on z lasem wsi Grossendorf. Kawałek dalej zamierzano zastawić pułapkę na rejterującego z Heilsbergu, mocno już zmęczonego i osłabionego stratami przeciwnika.

Timofiej prowadził swoich ludzi udeptaną już przez idących przodem drogą; żołdaci zachowywali porządkowy szyk, lecz cała kolumna aż parowała od obficie wydzielanego potu wywołanego szybkim marszem. Nikt się nie odzywał, niemal wszyscy ciężko dyszeli, odczuwając coraz bardziej ciężar długich wełnianych szyneli, broni i oporządzenia. Przepocone szynele i mundury wydzielały nieprzyjemny smród. W „*patronnych taszach*”<sup>136</sup> żołdaci mieli już tylko po kilka ładunków, jeszcze w Heilsbergu naruszyli zawartość ostatnich woreczków. Gdyby teraz doszło do większego starcia, byłiby w stanie oddać zaledwie po kilka wystrzałów – potem zostawały już tylko bagnety, kolby, pięści i zęby. Za mało, żeby zwyciężyć z liczniejszym przeciwnikiem wspieranym przez artylerię... Horyzont na wschodzie powoli ciemniał, pożar przedmieścia także dogasał. Natomiast na zachodzie wciąż było dość jasno, chociaż słońce przez cały dzień kryło się za chmurami. Po długim milczeniu odezwał się Borys:

– *Gospodin unteroficer*, niech pan spojrzysz – wskazał lewą ręką za siebie – nasi huzarzy i dragoni biorą się za wyprzedzanie... Czy nasza piękna kawaleria zamierza czmychnąć przodem i porzucić nas na pastwę wroga?

Timofiej przyjrzał się przemykającej szybko kłusem konnicy, a potem popatrzył przed siebie. Na jego zmęczonym obliczu pojawił się uśmiech:

– Nie, *rebiata*, mamy przed sobą przeszkodę: las i bagna po obu stronach drogi. Kawaleria rusza przodem, by przebyć pierwsza to wąskie miejsce i za nim znowu rozwinię się na polu, by nas osłaniać. To nie ucieczka, Borys.

Starł się uspokoić swego żołdatę, ale sam wciąż miał w pamięci czarne oddalone sylwetki Francuzów na śniegu. Tak naprawdę wcale nie był pewien, co czeka ich kolumnę za tym lasem i bagnem. Kiwery, plecy jeźdźców i szerokie zady koni oddalały się coraz bardziej. Tuż przed drugim batalionem pułku koporskiego, w którego skład wchodziły między innymi rotę Żadowskiego i Pietrowa, Timofiej widział już tylko konie kanonierów ostatniego działonu; czasem pomiędzy nimi ukazywała się na moment zaczopowana drewnianym klockiem paszcza armaty. Pokrzykiwanie jeźdźców, rzenie i parskanie koni, tętent ich kopyt, brzęk osprzętu i turkot kół były jedynymi głośnymi dźwiękami, jakie wydawała sunąca szybko, zdyszana kolumna. Zaczęli schodzić w dół, ku ciałninie, gdzie droga na odcinku kilkuset kroków robiła się jeszcze węższa, niż dotychczas, w dodatku widok przesłaniał las dochodzący do samego jej skraju. Widzieli jak oddziały piechoty i artyleria, po przebyciu ciałniny, pną się drogą w górę, zaraz potem znikając za zakrętem po lewej, przysłonięte osnieżonymi drzewami i podszytem. Mijały kolejne minuty, podobne do siebie jak krople wody... Krok za krokiem, starając się nie tworzyć zatoru, posuwano się naprzód. Nadzieją na wymknięcie się z matni bez dalszych strat był zapadający zmierzch.

Las stawał się coraz rzadszy – najwyraźniej za chwilę z niego wychodzą i uzyskają lepszą orientację w terenie, łatwiej dostrzegą przeciwnika. Tu, na wąziutkiej drodze pośród lasu i bagien, czuli się jak w pułapce. Na szczęście to nieprzyjemne

poczucie zagrożenia zaraz minie. Jeszcze tylko kilkaset kroków... Nagle z przodu, za drzewami, rozległ się wystrzał armatni, po nim zagrzechotała salwa karabinowa a zaraz potem usłyszano dzikie wycie, wrzaski i przeraźliwy kwik koni. „Francuzi są już przed nami!” – przemknęło Timofiejowi przez głowę. – „Teraz będzie naprawdę gorąco!”. Nie mógł wstrzymać marszu kolumny a tym samym dopilnować załadowania karabinów swojego pododdziału. „Będzie można to zrobić dopiero za lasem – a tam nie wiadomo, co nas czeka”. Porucznik Żadowski głośno zakomenderował:

– *Skorym szagom... marsz!*

Po nim komendę powtórzył porucznik Pietrow. Obie roty „koporców” podwoiły krok, coraz szybciej zbliżając się ku wyjściu z ciałniny i lasu. Soldaci dyszeli jak miechy kowalskie lub wyczerpane długim biegiem konie. Nadal nikt nie miał załadowanej broni. Czuli coraz intensywniejszy zapach prochowego dymu, snującego się między rosnącymi na lizjerze lasu drzewami i ponad zaśnieżoną łąką. Huk armatniego wystrzału rozległ się po raz drugi, z podobnym skutkiem – krzykami ludzi i kwikiem koni. I kolejna salwa karabinowa. Znów wrzask i kwik. „Nasza kawaleria musi nieźle dostawać po skórze...” – domyślił się Timofiej. Sytuacja, choć nadal niewidoczna, stawała się groźna: pokieroszowana jazda nie będzie w stanie skutecznie osłaniać wolniej maszerującej piechoty i artylerii. Utrata kawalerii lub znacznej jej części to dla reszty jak utrata oczu i uszu, brak orientacji w siłach i położeniu wroga. „Trudno, musimy chociaż załadować”:

– *Wzwod, stoj! Słuszaj... wolny zariad!*

Timofiej ułowił kątem oka spojrzenie Żadowskiego, który – nieco zaskoczony samowolną inicjatywą podoficera, co wszakże nie było pierwszym wypadkiem tego rodzaju, za to zawsze uzasadnionym – zatwierdził komendę skinieniem głowy i głośno wydał rozkaz całej rocie; powtórzył za nim Pietrow:

– *Wolno... żaj!*<sup>137</sup>

Przez kilkadziesiąt sekund sprawnie ładowano karabiny, słychać było odgłos rozdierania papieru zębami, szczękały stemple, zamasyście wypluwano odgryzione kawałki ładunków. Po chwili zarzucono broń na ramię i II batalion pułku koporskiego ponownie ruszył szybko naprzód. Na samej lizjerze lasu po lewej stronie drogi leżał na skarpie głową w dół trup muszkietera I batalionu; pod prawą ręką karabin z nasadzonym bagnetem, twarz wtulona w śnieg, na plecach pięknie wyglansowany walcowaty „*raniec*” z czarnej skóry. Timofiej skinął na Fiedota, który szybko przetrząsnął ładownicę zabitego, wydobywając z niej prawie nienaruszony woreczek z patronami<sup>138</sup>. Nieszczęsny współtowarzysz oddał im ostatnią przysługę. Jeśli w najbliższych godzinach nikt go nie pochowa, na tym odludziu zajmą się nim wkrótce kruki, kawki i gawrony. Najpierw wydziobią trupowi oczy – na wszelki wypadek, zawsze tak zaczynają, potem zaczną oskubywać wystające części ciała. Jeszcze później, po zmroku, przyjdzie kolej na lisy... Dla miejscowych poległy żołdat stanie się obiektem zainteresowania głównie jako posiadacz skórzanych butów, lederwerków, ładownicy, szynela z surowej wełny, sukiennej kurtki mundurowej z błyszczącymi mosiężnymi guzikami, białych sukiennych spodni, lnianej koszuli i takichże kałesonów. Karabin też się przyda. Dopiero po zaspokojeniu żądzy łupu może znaleźć zwłok ruszy sumienie (w końcu ksiądz czy pastor wiele i często mówili o miłości bliźniego...) i wraz z sąsiadami zatroszczy się o godziwy

pochówek – z zachowaniem formalności: poza cmentarnym murem, bo to przecie ani katolik, ani luter... Na pociechę zostawią zmarłemu znaleziony na jego szyi metalowy szkaplerzyk z jakimś „ichnim” świętym; nikt nie rozpozna w nim świętego Mikołaja. Timofiej jeszcze nie wie, jak bardzo już wkrótce będzie potrzebował orędownictwa „*swiatitiela Nikołaja, archiepiskopa Mirlikijskiego, cudotworca*”...<sup>139</sup>.

Kapitan Holtz ze swymi szaserami i artylerzystami Souffreta zajęli doskonałą pozycję na pagórku, oddzieloną odnogą bagna od drogi, którą podążał przeciwnik. Sześć dział załadowanych kartaczami oczekiwało wyjścia Rosjan z lasu. Osłaniali je kawalerzyści a w oddali widziano już nadchodzący szybkim krokiem 33. pułk liniowy Pouchelona. „To dobrze, na wypadek, gdyby tamtym przyszło do głowy rzucić na nas piechotę” – pomyślał z ulgą Holtz. Z lasu w dole za bagnem dochodził coraz głośniejszy tętent kopyt; oznaczało to, że na czele kolumny podążała jazda. Kapitan przywołał gestem Souffreta:

– René, robimy tak. Twoje dwa działa walną kartaczami do pierwszej grupy kawalerii, starajcie się bić w konie. Gdyby od nich wyszedł kontratak jazdy, moi „stuknięci ochotnicy” ze mną na czele ruszą im naprzeciw. Potem walniesz z dwóch kolejnych dział do następnej grupy. Niech po wystrzałach ponownie załadują, a dwa ostatnie działa pozostaną jako rezerwa. Nadchodzi już „trzydziestka trójka” Pouchelona; nasze „białe chłopaki” zajmą się odpieraniem bezpośrednich prób kontrataków ogniem plutonowym. Kiedy dołączą szaserzy 1. pułku Exelmansa i dojdzie więcej piechoty, ruszamy całymi siłami i kończymy zabawę!

– Oczywiście, kapitanie. Dla mnie to nie pierwszyna, znam się na swojej robocie. Naturalnie ty, Étienne, też znasz się na swojej – uśmiechnął się Souffret.

– No to do dzieła, tym razem nam się nie wymkną!

Tymczasem z mroczniejącego z każdą chwilą lasu wyjechał czwórkami szwadron rosyjskich huzarów, po nim kolejny. Huzarzy od razu zauważyli francuskie zgrupowanie na wzgórzu po lewej, padły komendy, zaczęto się przeformowywać w celu zaatakowania Francuzów. Moment zamieszania z zimną krwią wykorzystał Souffret. Jego dwie armaty wystrzeliły kolejno kartaczami w najgęstszy tłum wrogiej jazdy. Skutek był straszliwy: padło kilkanaście koni wraz z jeźdźcami, kilku innych huzarów chwiała się w siodłach, brocząc krwią z ran. Reszta huzarów, którymi dyrygował postawny oficer, zdołała jednak częścią sił posunąć się dalej w prawo poza kraniec bagna, wykonać zwrot w lewo, sformować dwuszeregową linię i ruszyć kłusem do szarzy. Do ataku szło kilkudziesięciu jeźdźców. Przeciwno nim ruszyło – również w dwuszeregowej linii – sześćdziesięciu „stukniętych ochotników” Holtza. Jeszcze przed zwarciem szaserzy oddali salwę z karabinków, powalając prawie dziesięciu przeciwników i cztery konie. Z tamtej strony padło kilka nieregularnych wystrzałów pistoletowych, które raniły dwóch ludzi Holtza. Obaj jednak nadal trzymali się w siodłach. Dopiero wtedy doszło do starcia wręcz. Z jednej i drugiej strony walczone z determinacją, padło po kilku zabitych i rannych. Nie trwało to jednak długo... Pułk Pouchelona dotarł półbiegiem na wzgórze. Ujrano walczących jeźdźców. Pierwszy pluton, dowodzony przez porucznika Roberta Prasque’a, zaszedł rosyjskich huzarów od ich lewej, oddając salwę do tych, którzy usytuowali się z tyłu. Kolejni jeźdźcy spadli z koni. Zabito dwa wierzchowce.

Na widok nagle przybyłej francuskiej piechoty huzarzy zawahali się, trąbki zagrały sygnał odwrotu na pozycje wyjściowe. Trudno jednak byłoby wskazać owe „pozycje wyjściowe”, gdyż na stłoczonych na drodze huzarów napierali zwartą masą wyjeżdżający z lasu dragoni kurlandzcy Argamakowa. Rosen wydał więc swoim pokiereszowanym „pawłogradcom” rozkaz dalszego marszu w stronę Jegothern, zachowując wszakże łączność z resztą kolumny. Próbę rozwinięcia się do ataku podjęli z kolei „kurlandcy”, jednak Holtz i Souffret przewidzieli taki scenariusz. Szaserzy Holtza powrócili poza linię artylerii i ponownie załadowali karabinki, podobnie cztery pierwsze działa Souffreta znów przygotowano do strzału. Tymczasem dragoni, wciąż nie do końca rozwinięci, stali się łatwym celem. Souffret postanowił poczęstować ich czterema ładunkami kartaczowymi w niewielkich odstępach czasu, pamiętając o zachowywaniu dwóch ostatnich dział w stałej gotowości – na wszelki wypadek. Tak jak poprzednio, mierzono głównie do koni. Spieszona dragonia oczywiście nadal nadawałaby się do walki, jednak tempo jej poruszeń stałoby się znacznie wolniejsze, a w konsekwencji porażki wielu dragonów popadłoby w niewolę. Dlatego ta seria kartaczy miała ogromne znaczenie.

Zwalisty dragon Foma Dragomirow trzymał załadowany karabin na łęku siodła, czekając na rozkazy. Obok po prawej stykał się noga w nogę ze starym druhem Griszą Pawłowem. Kilka kroków dalej znalazł się ich zwierzchnik, kapitan Szczerbaczew. Szeregi wyrównywano w pośpiechu, kiedy nagle huknęło pierwsze z francuskich dział i deszcz kul kartaczowych spadł na wciąż nie uszykowanych „kurlandców”. Najbardziej ucierpiały nieszczęsne konie. Padło ich, zabitych lub ciężko rannych, aż sześć; dwa kolejne zaczęły kwiczeć i stawać dęba, draśnięte powierzchownie, lecz boleśnie. Jeden z nich zrzucił na ziemię swojego jeźdźcę. Ten upadł bardzo niefortunnie – krzyczał głośno, unosząc w górę brzydtko złamaną prawą rękę, z rany wystawały zakrwawione kości. Zginęło też na miejscu dwóch dragonów: jeden trafiony w skroń, drugi w otwarte usta. Czterech rannych, z czego trzech niegroźnie i powierzchownie, jeden poważnie w brzuch – bezskutecznie przytrzymał ręką wylewające się jelita; po chwili znieruchomiał i przestał jęczeć. Wtedy padł kolejny wystrzał, po którym nastąpiła salwa plutonu piechoty. Łączny efekt był przerażający: dwanaście koni zabitych i rannych, kilkunastu dragonów zabitych na miejscu, kilku ciężko rannych, kilku draśniętych. Kapitan Szczerbaczew leżał na wznak z dziurą w czole, tuż obok swego konia. Foma Dragomirow był szczerze zdziwiony, że żadna z kul nie trafiła w jego sylwetkę, wielką jak tarcza strzelnicza – wielka decha o wysokości człowieka, malowana w trzy kolory; ćwicząc (bardzo rzadko, niestety) strzelanie do celu, walono w określony kolor, zamierzając trafić w głowę, korpus lub nogi. Takie ćwiczenia były jednak do chrzanu, gdyż tych kilka żalonych ołowianych kulek jakie przydzielano rocznie na ostre strzelanie, to tyle co nic. Z kolei próby używania kul ceramicznych kończyły się uszkodzeniem zamków w karabinach – błędne koło! Na swoje szczęście Foma potrafił zrobić znakomity użytek z pałasza a i w potężnych rękach miał krzepę niebywałą. Uśmiechnął się mimowolnie na wspomnienie drzwi na Hohetor Vorstadt, gdzie obalił kilku naraz francuskich piechurów rzucając w nich trupem ich kamrata. W ogólnym zamęcie Dragomirow bezskutecznie rozglądał się za Griszą Pawłowem, który jeszcze przed chwilą był tuż obok. Po obu stronach kłębiły się konie, po części bez jeźdźców. Dragon kopnął jednego w bok, koń zarżał i odskoczył,

odslaniając leżące na śniegu zwłoki innego wierzchowca, pod którym leżał przygnieciony Grisza. Próbował unieść korpus i coś powiedzieć, ale ciało wciąż opadało bezsilnie a z ust rzuciła się obficie krew. Foma zeskoczył z siodła z karabinem w ręku i przykleknął przy konającym koledze. Ogromnemu, muskularnemu Dragomirowowi zaszklily się oczy, a po chwili po obu policzkach spłynęły łzy:

– *Griszka, drug ty moj! Tiebie jeszcze ranowato uchadit' iz togo mira, iz jasnogo solnca! Grisz, czto ja skažu twojej Maszkie? Ona mnie mordu obijet, czto ja nie uspiel spasti tiebia... Grisz!*<sup>140</sup> – ale Pawłow już wyzionął ducha.

Foma odłożył karabin i zacisnął pięści wielkie jak bochny wiejskiego chleba, unosząc je ku niebu:

– *Gospodi, ja klianus' pieried Toboj, czto otomszczu smiert' mojego druga!*<sup>141</sup>

Pułkownik Argamakow, próbując zapanować nad chaosem, krzyknął:

– Wszyscy pozbawieni koni utworzyć jedną linię! Konni w prawo, niech objadą to wzgórze i zajmą tamte działa od lewej! Za chwilę wesprą was „koporcy” i jegrzy! *Bystriej, bystriej!* – zataczał ramieniem szerokie koła w powietrzu. Dragomirow musnął ustami czoło martwego przyjaciela, chwycił karabin, dosiadł konia i dołączył do grupy mającej wykonać manewr obchodzący.

Tymczasem I batalion pułku koporskiego zgodnie z rozkazami parł dalej drogą na Jegothen, za nim zaś wszystkie cztery działony. Natomiast czołowe pododdziały II batalionu, w tym rotę porucznika Żadowskiego, znajdujący się na miejscu generał Warneck pchnął w sukurs dragonom. Zdał dowodzenie akcją Argamakowowi, podążając następnie za I batalionem i artylerią. Jegrzy 21. pułku, zmuszeni – podobnie jak huzarzy i dragoni – do zejścia z pola i wkroczenia na drogę, znaleźli się teraz na końcu kolumny. Ich zadanie było nie do pozadzroszczenia: musieli pieszo osłaniać odwrót całości grupy Warnecka. W tej chwili określenie „całość” było raczej przesadne – oddziały rosyjskie zdążyły do tej pory ponieść poważne straty. Generał szacował, że w samym Heilsbergu i pod miastem pozostawiono około dwustu rannych i co najmniej stu zabitych. Tutaj będzie zapewne jeszcze gorzej...

Souffret zauważył przegrupowanie dragonów, którzy po chwili ruszyli konno w kierunku lewego skrzydła szyku Francuzów. Kanonierzy dwóch działonów nie biorących dotąd udziału w walce, przekierowali swe armaty w stronę nadjeżdżających dragonów. Oba działa były załadowane, toteż ich przygotowanie nie zabrało dużo czasu. Souffret osobiście stanął przy nich, nadzorując wykonanie salwy. Padła komenda, kanonierzy wytrenowanym ruchem przyłożyli lontownice... Kolejne dwa grzmoty wstrząsnęły powietrzem. Kilkunastu dragonów zwałiło się na śnieg razem z końmi. Pluton 33. pułku liniowego poprawił salwą karabinową. Grupa konnych dragonów została zupełnie dezorganizowana. Wielu z nich pozostało bez ruchu pośród martwych lub rżących i ryjących kopytami śnieg powalonych wierzchowców. Część koni bez jeźdźców pogalopowała prosto w pole – w ciemniejszą dal, niektóre zawróciły na drogę... Przeciwno spiesznej grupie, wspartej przez część „koporców”, zwróciły się kolejne białe odziane plutony „trzydziestki trójki”, prowadząc naprzemiennie ogień salwowy. Okazał się on wręcz morderczy dla kontratakujących pieszo Rosjan. Po utracie kilkudziesięciu towarzyszy, wycofali się z powrotem na drogę.

Żadowski i Pietrow wydali swoim rotom rozkaz dalszego odwrotu w stronę Jegothen. W tym samym kierunku bezładnie wycofywali się pozbawieni koni „kurlandcy”. Reszta kolumny gnała już drogą przez wieś, nie oglądając się za siebie. Szeregi zaczynała ogarniać panika, zwłaszcza że głównodowodzący był już daleko. Ani pułkownik Argamakow, ani żaden z pozostałych oficerów nie potrafili opanować sytuacji. Po kilku minutach już najzwyczajniej uciekano wprost przed siebie. Poszczególne formacje mieszały się ze sobą, ostatni z czterech działonów pozostał daleko w tyle za trzema pierwszymi. Jegrzy 21. pułku starali się osłaniać uciekających, ale i im zaczynała kończyć się amunicja, wyczerpywały się siły. Zmieszana piechota, pozbawiona wsparcia artylerii i kawalerii, była już tylko ogarniętym paniką tłumem. Jedynie część pułku koporskiego zachowywała dyscyplinę i szyk. Kiedy jednak rota Pietrowa starała się obejść od lewej zabudowania Jegothen, wchodząc pomiędzy pozbawione listowia jabłonie w otaczających wioskę sadach, francuska kula karabinowa, wystrzelona przez któregoś z żołnierzy 33. pułku liniowego, trafiła porucznika w prawą pierś, dokładnie pomiędzy sutek a obojczyk. Oficer od razu stracił przytomność, kilku podkomendnych zawlokło go do najbliższego domu, opuszczonego, podobnie jak większość wsi, przez przerażonych mieszkańców, którzy już wcześniej, na samą wieść o nadchodzeniu obu wojsk, uciekli ze swym bydłem do pobliskiej osady Elmswalde<sup>142</sup>. Chałupa wypełniła się kilkudziesięcioma muszkietierami, z których wielu było rannych. Sąsiedni dom obsadzili rozbici i spieszeni dragoni. Obie grupy miały dość przypadkowy skład – żołdaci pochodzili z różnych pododdziałów swoich pułków. Wszyscy byli potwornie zmęczeni i prawie bezbronni wobec niemal zupełnego wyczerpania amunicji.

– *Rebiata*, nie damy rady dalej się cofać. Może jeszcze nasi się opamiętają, uporządkują i ruszą nam na pomoc – odezwał się najwyższy obecnie stopniem pośród zabarykadowanych w chałupie żołdatów starszyna Jewdokimow i zaraz potem spojrzął na nieprzytomnego porucznika Pietrowa – Jeśli zaś nie przyjdą...

Z poczerwiałych i zlanych potem twarzy „koporców” wpatrywały się w niego oczy o przekrwionych białkach. Wszyscy ciężko dyszeli, trzymając bezwładnie karabiny w czarnych od prochu dłoniach. Cała podłoga była zapaskudzona naniesionym butami, wymieszanim z ziemią mokrym śniegiem, który błyskawicznie zamieniał się w błoto. Zanim Jewdokimow podjął jakąkolwiek decyzję, za oknami rozległo się rzenie koni i hurgot podskakujących na nierównościach terenu armat. Żołdaci wyjrżeli przez szyby – na zewnątrz stała uszykowana w dwa szeregi francuska piechota; prosto w okno wymierzona była lufa działa. Od czarnego na tle szarego zmierzchu szeregu oderwała się sylwetka z białą szmatą na stemplu karabinowym – parlamentariusz...

W sąsiednim domu znalazło się trzydziestu siedmiu spieszonych dragonów. Wśród nich potężny Foma Dragomirow. Obejście otoczyła grupa szaserów 12. pułku, dowodzona przez kapitana Holtza. Kapitanowi zależało na uniknięciu dalszych strat po obu stronach, toteż skinął na trębacza. Ten zagrał sygnał przerwania walki, po czym Holtz obnażył szablę, umocował na jej końcu wydobyty z mantelzaka biały gałganek i wyjechał kilka kroków naprzód:

– Ej, wy tam w chałupie! *Rendez vous!*<sup>143</sup>

Wołał po francusku, ale że w grupie dragonów nie było oficera, nikt go nie

zrozumiał. Po chwili namysłu spróbował użyć bardziej znanego słowa:

– *Russes! Pardon! Pardon pour vous!*<sup>144</sup>

Słowo „pardon” rozumieli wszyscy wojskowi ówczesnej Europy. Dragoni oczywiście pojęli, że to nie przeciwnik ich prosi o łaskę, tylko sam im ją oferuje... Dla zdrowych, silnych mężczyzn, jakimi byli „kurlandcy”, sytuacja w jakiej się znaleźli była wielce niekomfortowa i haniebna. Szczególnie Dragomirow aż trząsał się z bezsilnej wściekłości. Wszystko jednak wskazywało, że nie da się tym razem uniknąć niewoli. Kapral Worobiej, jedyny podoficer w grupie, potoczył wzrokiem po obecnych, wyjął stempel i osadził na nim wyciągnięty zza pazuchy kawałek lnianego płótna...

Rota Żadowskiego zdołała przejść przez Jegothern, następnie po kilkuset krokach znalazła się na szczycie skarpy, opadającej dość stromo ku drewnianemu mostowi na nie całkiem zamarznętej, bystrej rzeczce Elm<sup>145</sup>. Za mostem po prawej tworzyła ona spore rozlewisko. Tuż za rzeczką widać było osadę Schwollmen, a nieco dalej, na wzgórzu po prawej, niewielki folwark Gunten otoczony kępą starych dębów<sup>146</sup>. Prowadziła do niego aleja topolowo – grabowa. Droga königsberska wiodła jednak przez most w Schwollmen. Dlatego tamtędy przeprowały się trzy pierwsze działony, wraz z pomieszzanymi oddziałami piechoty. Rota Żadowskiego na rozkaz pułkownika Argamakowa zmieniła jęgrów; przebyli oni rzeczkę, a po nich ruszyła drogą do mostu część „koporców”, za którymi bardzo powoli przepychał się czwarty, ostatni działon. Timofiej, mając obok siebie, jak zwykle, Borysa Maksimowa i Fiedota Jefimowa, objął komendę nad kilkoma wzwodami, w których zabrakło podoficerów – polegli, zostali ranni lub przepadli w powszechnym zamęcie. Za plecami jego dwuszeregowej linii wciąż przetaczały się fale uciekającego tłumu. Nad nimi unosił się nieustający wrzask, w jaki zlewały się paniczne okrzyki setek ludzi. Co jakiś czas rozlegał się huk wystrzału armatniego; niestety, teraz były to wyłącznie działa francuskie. Palba karabinowa trwała nieomal bez przerwy.

– *Nu, malcziki, możet byt', czto prijdjotsia nam wstupat' w rukopasznyj boj... Patrony poczti konczalis'...*<sup>147</sup>

Odpowiedzią na to oczywiście dla każdego z nich stwierdzenie Timofieja było ponure milczenie. Soldaci czekali na rozkazy. Unteroficer nakazał sprawdzić zamki i ilość ładunków. Karabiny były sprawne, gorzej z amunicją – wystarczy najwyżej na dwa lub trzy wystrzały. Timofiej głośno oznajmił:

– Załadujemy, oddamy jedną salwę, potem nakładamy bagnety. A potem... Cóż mam wam powiedzieć? Będzie co ma być – tu, tknięty nagłym impulsem, wydał komendę:

– *Na molitwu!*<sup>148</sup>

„Koporczy” zdjęli kiwery, ujmując je za daszki prawą dłonią przy boku na wysokości pasa; karabiny oparli kolbami o ziemię tuż obok stopy. Przez chwilę każdy cicho się modlił własnymi słowami lub we własnym języku ojczystym – w pułku byli między innymi Ingrowie i Karelowie spod Petersburga i znad Onegi. Niejeden nie był w stanie się modlić, przez głowy przemykały najrozmaitsze myśli, przeważnie pełne lęku i nieziszczalnych tęsknot.

– *Po molitwie!* – zakomenderował Timofiej, po czym dorzucił półgłosem, jakby do siebie: – No to teraz „*Gospodi, pomiluj*” albo „*czort pobieri*”, jak komu odpowiada...



Wszyscy ponownie nałożyli kiwery i umieścili broń na ramieniu. Po komendzie „*Wolnyj zariad!*” swobodnie załadowali i karabiny znów znalazły się na ramieniu. Czas był najwyższy: francuska piechota w dużej liczbie docierała już na płaską łąkę naprzeciwko uszykowanych „koporców”. Timofiej już na pierwszy rzut oka mógł stwierdzić, jak bardzo obie linie różnią się długością. Walka była właściwie beznadziejna. Osłaniali jednak wciąż przechodzących przez most kolegów. Słońce, niewidoczne za chmurami, właśnie zaszło. W dolinie Elm, przy moście, mimo śniegu było już teraz znacznie mroczniej, niż tu, na skarpie. Most, właściwie mocna szeroka kładka, nie posiadał barier. Timofiej i jego żołdaci co chwila słyszeli głośny plusk, kiedy któryś z towarzyszy wpadał w lodowaty nurt rzeczki, zepchnięty z mostu przez spanikowany tłum. Na szczęście było tam dość płytko, toteż nieszczęśni mogli ucierpieć głównie od zimna. Gramolili się wolno i ponuro na drugi brzeg, zupełnie przemoczeni od pasa w dół. Niektórzy upadli mniej fortunnie i byli mokrzy od stóp do głów. Zapewne niejeden nie przeżyje nadchodzącej mroźnej nocy...

Francuzi z 33. pułku liniowego ustawili się do salwy. „Koporcy” na rozkaz Timofieja złożyli się do strzału nieco szybciej. Najpierw zatem padło „*Pli!*” a dopiero potem „*Feu!*”. O skuteczności obu salw zdecydowała jednak liczba luf, zdecydowanie większa po stronie francuskiej. Kiedy rozwiął się dym, jedna trzecia Rosjan leżała na śniegu, padło też kilku Francuzów – reszta jednak sprawnie doszłusowała i zaczęła ponownie nabijać broń. Nie było na co czekać.

– *Zapinaj sztyki! Orużje w boj! Skorym szagom... w sztyki... marsz!*<sup>149</sup>

Dwa krótkie szeregi „koporców” ruszyły z determinacją na znacznie liczniejszego wroga. Nastąpiło gwałtowne zwarcie. Timofiejowi udało się zbić bagnet przeciwnika i wbić mu własny w brzuch, uderzając z góry, z prawą dłonią na stopce kolby. Borys skrzyżował swój karabin z bronią jednego z Francuzów i przez chwilę się przepychali, zanim inny Francuz nie wbił bagnetu w ramię Rosjanina. Zanim jednak zdołał to wykorzystać, jego twarzy dosięgło brutalne uderzenie kolby Fiedota. Chrupnęły chrząstki nosa, Francuz upadł zalany krwią. Tymczasem jednak zabito dwóch „koporców” bijących się po obu stronach Timofieja i jego kompanów. Borys upuścił karabin i klęknął, trzymając się za prawe ramię; cały rękaw miał zboczony krwią, która przeciekała przez drżące palce. Francuzi i Rosjanie bili się zażarcie, w całkowitym milczeniu; słychać było tylko szczęk broni, chrzęst łamanych kości i urywane okrzyki bólu. Jednak przy tak dużej dysproporcji sił walka nie mogła trwać długo. Masa napierających francuskich piechurów zaczęła spychać mniej licznych „koporców” ze skarpy w dół, ku rzeczce. Timofiej jakby z dna głębokiego jeziora usłyszał jak zaprzęg z ostatnim działonem wjeżdża wśród głuchego łomotu kopyt i okutych kół na deski poszycia. Kiedy pierwsze szeregi 33. pułku liniowego zeszyły w ślad za Rosjanami ze skraju skarpy, następny szereg oddał salwę w kierunku kłębiącej się na moście ciżby. Jeden z koni zaprzężonych do przodka<sup>150</sup>, trafiony kulą w szyję, stanął dęba i zwałił się z mostu do rzeczki, pociągając za sobą działo, dwa inne konie i kilku kanonierów. „To działo jest już stracone...” – pomyślał Timofiej, oglądając się za siebie. – „Gdzie podział się porucznik Żadowski?”. Był to ostatni przebłysk jego świadomości: uderzony kolbą w głowę, zanurzył się cały w gęstym, aksamitnym mroku...

Pułkownik Guyon doczekał się wreszcie 1. pułku szaserów Exelmansa. Oba wraz z jego „dwunastką” znów tworzyły zgraną brygadę, co prawda nadal osłabioną brakiem pozostawionego pod Myszyńcem 2. pułku. Generał Marulaz objął osobiście komendę nad swoją jazdą. Nie wjeżdżając do Jegothen, szaserzy ruszyli drogą na Elmswalde, po czym – wypatrzywszy dogodne miejsce – sforsowali Elm i pognali polami na północ. Szybkim marszem przejechali przez folwark Schönwiese<sup>151</sup>, skąd podążyli drogą wiodącą między rozległym bagnem i lasem, skręcając za nim w prawo – ku leżącej na drodze königsberskiej wsi Sieslack<sup>152</sup>. Rozgrzana odniesionym przez III korpus sukcesem pod Jegothen i Schwollmen, brygada zamierzała raz jeszcze zaatakować zdeorganizowaną grupę Warnecka. Tym razem w czołówce jazdy Marulaza podążali szaserzy Exelmansa, wśród nich piątka kamratów Antoine’a Ledru i on sam.

Kiedy szaserzy Marulaza znaleźli się w odległości ćwierci lieu<sup>153</sup> od Sieslack, pozostali pod osłoną lasu, ostrożnie wysuwając trzyosobową szpicę. Nie minęło nawet dziesięć minut, gdy pojawiła się idąca chaotycznie rosyjska kolumna. Tym razem przeciwnik starał się ubezpieczyć – przodem kłusowało kilku huzarów, rozglądając się na boki. Jednak las dobrze skrywał francuskich szaserów, ponadto robiło się już naprawdę ciemno. Francuzi przeczekali, aż minie ich rosyjska szpica, przepuścili huzarów i dragonów. Pod ich osłoną przejechały wszystkie trzy działony, ku wielkiemu żalowi Francuzów. Generał Marulaz, spoglądając przez perspektywę, starał się zidentyfikować dowództwo przeciwnika, jednak w zapadających ciemnościach okazało się to niemożliwe. Opuścił lunetę i zwrócił się do pułkowników Exelmansa i Guyona:

– Robi się noc, moi drodzy. Działa przeszły, sztabu nie udało się namierzyć... Pozostaje nam przejechać się po ich piechocie i urwać tyłu, ilu się da. Tylko bez zbytnich szaleństw, bo po ciemku można sobie samemu strzelić w stopę! „Jedynka” idzie do szarzy, „dwunastka” ubezpiecza i w razie potrzeby zgarnia rozproszonych uciekinierów. Tak jak powiedziałem: urywamy ilu się da, ale bez szaleństw. Nocą łatwo o niepotrzebne straty.

Obaj oficerowie kiwnęli głowami. Exelmans obrócił głowę ku swoim szaserom, uniósł prawą dłoń i lekkim ruchem wskazał kierunek, ruszając na czele. Za nim rozwiniął się w dwuszeregową linię cały 1. pułk. Od przeciwnika dzieliło ich niespełna dwieście kroków. Zjechali kłusem z pagórka, zatrzymując się w odległości pięćdziesięciu kroków od nieprzyjacielskiej kolumny. Exelmans wydał rozkaz oddania salwy przed atakiem. Szaserzy unieśli karabinki i przyłożyli do ramienia. Prawe policzki przyłgnęły do kolb, daszki przysłoniły prawe oko, chroniąc je od ognia z panewek...

Pododdziały pułku koporskiego, przemieszane z jegrami 21. pułku, osłabione stratami, walką i szybkim marszem, posuwały się bezładnie zdeptaną przez kawalerzystów i artylerię drogą. Kiedy zaczęto mijać zamarznięty staw po lewej, zmęczone oczy piechurów zauważyły zaraz za nim długą linię francuskiej jazdy. Niejeden pomyślał: „*Gospodi, pomiluj!*”, niejeden szpetnie zaklął. Kilku młodym żołdatom wyrwał się z ust jęk rozpacz. Karabiny prawie wszyscy mieli załadowane, ale brakowało energicznego oficera, który mógłby skutecznie pokierować ogniem. Amunicja była na ukończeniu, jednak zawsze można by choć jedną – dwie salwy oddać. Można by – gdyby ktoś tym pokierował... Porucznik Żadowski, mocno zaniepokojony zniknięciem Timofieja Dmitrijewa, jako jedyny zareagował właściwie, krzykiem wymuszając na

grupce podkomendnych, jaka znajdowała się bezpośrednio przy nim, uformowanie dwóch szeregów. Tymczasem przeciwnik nagle się zatrzymał. Któryś z podoficerów odezwał się bez rozkazu:

– *Strielat' budut, sobaczji syny!*<sup>154</sup>

Wtedy nagle od gromady stłoczonych piechurów oderwał się młodzieńki chłopak w rozpiętym szynelu, biegnąc prosto na zaśnieżony staw, odrzuciwszy karabin i „*raniec*”. Po chwili zerwał też kiwer z głowy, obnażając płową czuprynę. Wyglądał jak szalenię. Przerażony krzyczał głośno:

– *Ja nie chcuzu pomirat'! Ja nie chcuzu pomirat'! Gospodi, spasi mienia!*<sup>155</sup>

Zanim ktokolwiek zdążył zareagować – doścignąć i pochwycić żołdata, zastrzelić lub zagarnąć do niewoli, ten wbiegł na sam środek stawu. Kiedy znalazł się na zaśnieżonej tafli, rozległ się przeciągły trzask pękającego lodu, śnieg nagle pociemniał od wybijającej spod spodu czarnej, bagnistej wody i młody Rosjanin zapadł się od razu po pas, a potem po szyję. Wydał jeszcze krótki, rozdzierający okrzyk, który przeszedł w bulgot. Głowa zniknęła pod lodem, na moment wynurzyła się dłoń z rozcapierzonymi palcami, po czym i ona przepadła. Kiedy woda jeszcze falowała, od strony Francuzów dobiegła komenda: „*Feu!*” i padła mordercza salwa, oddana z bliskiej odległości. Deszcz kul uderzył w grupę „koporców” zmieszanych z jegrami, obalając około dziesięciu ludzi. W tym punkcie powstała luka, a sąsiedzi rozbiegli się w różne strony. Przeciwnik mógł zacząć krwawe polowanie.

Pułk Exelmansa runął galopem do szarzy. Nie napotkano żadnego poważniejszego oporu. Dwa szeregi szaserów przerąbały się gładko przez rozrzedzoną kolumnę, klingi szabel spadały na głowy, szyje, barki i ręce żołdatów, którzy stali się niemal bezbronną zwierzyną. Szaserzy uganiaли się po polu za pojedynczymi uciekinierami lub małymi grupkami, wycinając dościgniętych bez pardonu – na branie w niewolę przyjdzie czas za chwilę, kiedy straty wroga wzrosną. Na razie tylko „bij, zabij!”, chrapanie koni, piana z pysków i ust, obnażone drapieźnie zęby i klingi we krwi po rękojęść...

Nie wszyscy jednak zrezygnowali z oporu. Grupa „koporców” skupiona przy poruczniku Żadowskim spokojnie przypuściła kilkunastu szaserów na dystans dwudziestu kroków, po czym oddała ostatnią salwę, wystrzeliwując resztę posiadanych ładunków. Kilka koni wraz z jeźdźcami zważyło się na śnieg, dwóch spadło z siodeł, jeden się mocno zachwiał. Żadowski wrzasnął:

– *W sztyki!* – i cała grupa runęła na szaserów, kłując obalonych bagnietami i zmuszając do rejterady kilku ocalałych. Był to jednak samobójczy atak. Ludzie Żadowskiego nie mogli wyrwać się z okrążenia ani tym bardziej pokonać przeciwnika. „Koporczy” ujrzeli, jak w ich kierunku zmierza kolejna linia francuskiej kawalerii – 12. pułk Guyona. Porucznik zakomenderował sucho:

– *Sdajomsia!*<sup>156</sup> – i po chwili żołdaci ustawili się w szeregu, unosząc w widoczny sposób karabiny kolbami do góry. Podjechał do nich pluton szaserów, dowodzony przez młodego blondyna z wąsami. Blisko niego trzymało się kilku żołnierzy, w tym jeden przystojny brunet o delikatnej, niemal kobiecej urodzie.

– *Officier, s'il vous plaît déposer les armes! Je suis le sous-lieutenant Antoine Ledru.*<sup>157</sup>

– *D'accord. Je suis le lieutenant Żadowski, Pierre Borysowicz...*<sup>158</sup> – odparł porucznik i przekazał szpadę Francuzowi. Po kilku minutach Żadowskiego i jego ludzi, wraz z innymi jeńcami, których wzięto w tej ostatniej akcji około stu dwudziestu, poprowadzono różnymi drogami w kierunku Schwollmen i folwarku Schönwiese. Na śniegu pozostała setka rosyjskich trupów. I ten nieszczęśnik utopiony w stawie. Straty Francuzów były nieznaczne... Noc po starciach w Heilsbergu, pod Amt Heilsberg, Jegothen, Schwollmen i Sieslack III korpus spędził stłoczony w kilku miejscowościach. Dywizja Moranda stanęła w zabudowaniach i na biwakach w Grossendorf. Dywizja Frianta podobnie w opuszczonym Jegothen, zaś jej 33. pułk liniowy Pouchelona w zdobytej w walce wręcz osadzie Schwollmen. Tam także umieszczono część jeńców, w tym wielu lekko i ciężko rannych. Jazda Marulaza ubezpieczała całość, biwakując przy ogniskach w polu. Podążający ze swą 3. dywizją Gudin dotarł pod Heilsberg dopiero późnym popołudniem; do miasta wszedł na noc tylko 25. pułk liniowy Cassagne'a, reszta stanęła na Kirchentor Vorstadt. Marszałek Davout podyktował sekretarzowi raport dla cesarza. Z ubolewaniem doniósł o spaleniach czterdziestu budynków z ziarnem, narzędziami rolniczymi, bydłem i końmi. Spodziewane zapasy sucharów zostały już wcześniej ewakuowane. Straty zadane przeciwnikowi oszacowano na tysiąc ludzi i jedno działo. Z tego prawie czterystu czterdziestu jeńców i około czterystu zabitych; reszta to ranni, którzy zdołali ujść. Sumując własne straty, dotrzymano wierności zasadzie stanowiącej podstawę cesarskich biuletynów. Skoro sam cesarz mógł „*mentir comme un bulletin*”<sup>159</sup>, to i im historia wybaczy. Ostatecznie zapisano, że: Morand utracił w zabitych 2 oficerów, 14 podoficerów i szeregowych, w rannych odpowiednio 7 i 92; Friant nie więcej, niż 2 zabitych i 5–6 rannych; szaserzy Marulaza tylko „niewielu” rannych i kilka zabitych koni. Nikt w sztabie III korpusu nie mógł wtedy przewidzieć, że to nieliczne łgarstwo zostanie zapomniane wskutek hekatomb, jaka miała nastąpić zaledwie za dwa dni, pod Preussisch Eylau...

Timofieja ocuciło dotkliwie zimno a zaraz potem okropny smród. Leżał na zmarzniętym klepisku, pokrytym cienką warstwą wilgotnej słomy, pośród nieruchomych lub przeciwnie – wijących się i jęczących z bólu ludzi. Niektórzy musieli oddawać mocz i kał pod siebie, stąd ta wszechogarniająca, upiorna woń. W pomieszczeniu cuchnęło też końskimi odchodami i jakby gnijącym ludzkim mięsem. „Zaczyna się gangrena” – Timofiej znał ten zapach. Jeśli zgorzel jeszcze nie objęła rozległych połaci ciała, jedynym ratunkiem była natychmiastowa amputacja, inaczej – śmierć w męczarniach. Tylko kto miałby taką operację przeprowadzić? Pod czyim nadzorem znajdowali się ci wszyscy żołnierze – we własnym lazarecie czy we francuskiej niewoli? Sytuacja szybko się wyjaśniła, kiedy do pomieszczenia weszło dwóch uzbrojonych francuskich piechurów w białych mundurach, niosąc za ramiona i nogi jęczącego rosyjskiego huzara. Rozejrzeli się, po czym – zobaczywszy kawałek wolnego miejsca obok Timofieja – złożyli tam rannego. A więc jest w niewoli. Tyle, że poza bólem głowy najwyraźniej nic mu nie dolegało. Pomacał dłonią, ale krwi nie było, choć wyczuł sporą opuchliznę. Nie doznał rany ani ostrej kontuzji. Tylko ten ogłuszający cios kolbą... Było nadal ciemno, chociaż przez na pół rozwalony dach przeświecało nieco jaśniejsze niebo. U wrót tej ni to szopy, ni to stodoły stanął wysoki mężczyzna lat około czterdziestu, o długich przerzedzonych

włosach i gładko wygolonej twarzy. Przez ramię miał przewieszony ongiś biały fartuch, mocno poplamiony krwią. „Chirurg albo felczer” – przemknęło Timofiejowi przez głowę. Na jego widok piechurzy stanęli na baczność. Czyli chirurg i to znaczny. On zaś zagadał coś po francusku, obaj żołnierze wyszli z szopy, wracając po chwili z miotłą i metalową misą wypełnioną rozżarzonym węglem drzewnym. Inny żołnierz przyniósł naręczce drewna. Wymietli starannie spory kawał klepiska, ustawili misę na środku i dorzucili grube polano. Jeden z nich przysunął sobie niski pień i usiadł na nim, pilnując ognia. W jego blasku widać było przeciętą blizną twarz dojrzałego mężczyzny z długimi wąsami. Zapewne grenadier, weteran wielu kampanii... Przy tym wątłym świetle można było lepiej zobaczyć wnętrze. Była to konstrukcja z grubych belek, której ściany uzupełniono gliną. Strop tworzyły nieco gęściej ułożone krokwie, na których umieszczono grube trzcinowe maty. Na nich zapewne znajdowała się właściwa strzecha ze słomy, gdyż jej fragmenty wyzierały z otworu wyszarpanego w dachu, prawdopodobnie przez kulę armatnią. Drewniano – gliniane ściany pokrywały plamy wilgoci, u stropu zwisały w kilku miejscach girlandy pajęczyn. Na belce stropowej Timofiej zauważył przyklepione stare, opuszczone gniazdo jaskółcze. Przyniesione na polecenie chirurga niewielkie źródło ciepła podniosło jednak odrobinę temperaturę w szopie. Czy to realnie, czy to wskutek autosugestii, Rosjanin poczuł się nieco bardziej komfortowo, zwłaszcza że jego – na szczęście nadal obute w porządne sapogi – dolne kończyny dzieliła od paleniska odległość zaledwie dwóch kroków. Jeśli nóg nie odmroził i pozostał w jednym kawałku, to jakoś to będzie. Całe ciało nadal chronił szynel – „*najlepszy przyjaciel żołdata*”. Przepadły tylko kiwer, ładownica i „*raniec*”, jednak w tym ostatnim nie miał już niczego cennego poza zmianą bielizny i przyborami do szycia. No i oczywiście broń: karabin, bagnet i tasak. Odczuwał tylko nieprzyjemne ssanie w żołądku; od dobrych paru godzin nie miał nic w ustach. Tu wszystko zależało teraz od ich francuskich nadzorców – może w końcu dadzą jeńcom coś do zjedzenia? Teraz może najlepiej zasnąć, skoro zrobiło się nieco cieplej? Przymknął oczy, starając się myśleć o czymś przyjemnym... Po chwili drzemał, oczyma duszy oglądając kłębiące się szare chmury i bure fale przyboju, wyskakujące na brzeg Zatoki Fińskiej. Głośno krzyczą mewy. Powietrze pachnie wodorostami, rybami i wiatrem. W to wszystko zaczyna wsączać się cicha melodia, nucona słodkim głosem, znajomym głosem... Timofiej rozgląda się, ale nikogo nie widzi. Wkrótce jednak ciemne chmury rzedną, jaśnieją, zaraz błysnie słońce... Ale nie – zamiast słońca pojawia się na niebie ta sama co zawsze para najcudowniejszych na świecie, błękitnych oczu... Oczy lekko się mrużą, potem znów szeroko otwierają, ale tym razem wilgotne od łez. Pod nimi pojawia się delikatny, zwiewny, jakby zasnuty dymem, zarys nosa a pod nim wyraziste różowe usta, w których połyskują perliste, drobne ząbki... „*Tima, Tima! Prosnuwajsia, ja dołżna tiebie wsio rasskazat*!”<sup>160</sup>. Ciałem Timofieja targa potężny wicher wiejący od morza, na próżno wyciąga ręce w stronę głosu. Nagle wszystko niknie, ciemnieje, Timofiej znów jest w szopie pełnej rannych jeńców, słabo oświetlonej płonącymi w palenisku polanami...

A jednak ktoś nim potrząsa, ktoś go woła! To ten złożony niedawno przy nim ranny huzar: opiera się na prawym łokciu, lewą ręką szarpiąc Timofieja za ramię. Nogi leżą bezwładnie. Twarz czarna od prochu, skroń i policzek pokryte zakrzepłą krwią. Mówi z

trudem, charkotliwie. Oczy niezdrowo błyszczą od wysokiej gorączki :

– Tima! Tima, zbudź się! Muszę ci wszystko opowiedzieć, zanim umrę! Niewiele mi już czasu zostało, dobrze to czuję, mam napady gorączki, tracę przytomność...

Timofiej przygląda się rannemu, próbuje przypomnieć sobie jego twarz, ale pokryte brudem i krwią oblicze nikogo mu nie przypomina. Chociaż... Jest coś, co wydaje mu się znajome! Oczy! Zmęczone, o pozółkłych od gorączki białkach, jednak tak samo błękitne jak tamte z sennego majaku... I nagle już wie, ale przecież to niemożliwe, jak, gdzie? Z dalekiego, umarłego świata... Zbiera siły, siada, obraca się ku rannemu huzarowi i stłumionym głosem krzyczy:

– Igor! Igor Rodionowicz! Brateńku najmilszy, skąd ty tutaj? Co z Marfą, czy żyje, jak żyje? Co z waszymi rodzicami, co z Rodionem Polikarpowiczem, z Ksenią Jewgienijewną? Cali, zdrowi? A ty – dlaczego chcesz umierać, skoro rozmawiamy, skoro możesz mówić...

– Timoczka, ja już długo mówić nie będę, trawi mnie gorączka, nic ze mnie nie będzie... Dopilnuj, żeby choć pochowali...

– Ale co ty... Igor, teraz będziemy trzymać się razem, wspierać... Jakoś przeżyjemy tę wojnę!

– Tima, daj powiedzieć... – Igor Rodionowicz Daniłow zrobił przerwę na złapanie oddechu. – Ze mnie już nic nie będzie, upadłem z koniem, zmiażdżone obie nogi, nie opatrzone na czas, sam zobacz...

Timofiej odgarnął brudną szmatę okrywającą ciało Igora od pasa w dół. Pod kolanami nogi tworzyły jedną krwawo – czarną miazgę. Cuchnęło gnijącym mięsem. Gangrena. Tima nie bacząc na nic rozerwał nogawkę spodni, nadprutą w okolicy rany. Czarna zgorzel objęła już całą nogę i pachwinę – dla Igora rzeczywiście nie było ratunku. Chwycił rękę huzara, przycisnął do swego policzka, z oczu pociekły mu łzy. Oto na jego rękach umiera rodzony brat ukochanej Marfy, jedyna nić łącząca go z dawną rzeczywistością, z jedyną miłością jego życia... Równie wzruszony Igor opadł na plecy i ciężko oddychał.

– Tima, posłuchaj, nie pytaj, brak mi sił... Muszę krótko i dużo zarazem... Wzięli mnie w rekruty jesienią tysiąc osiemset piętego, do huzarów pawłogradzkich, wiesz, że zawsze byłem przy koniach, kochałem je, gadałem z nimi... Nie musieli mnie długo szkolić, byłem pojętny. Listów nie pisałem, bom niegramotny, nie dostawałem, bo moi też niegramotni... W naszym Wozniesienskoje tylko ty, batuszka Jermołaj i jego syn Wowka popowicz czytać i pisać umieli, ty jeszcze zacząłeś Marfę uczyć, zanim cię w żołdacy zabrali. Ojciec i matka oboje zdrowi, ale gorsza rzecz się stała, a ja nic nie mogłem zrobić, nawet ciebie powiadomić, bo niby jak?

– Igor, czy coś z Marfą? Ukrzywdził ją kto?!

– Nie zdołał. Ale chciał. Jesienią zeszłego roku. Wiem od Wowki. Pamiętasz, że jemu zawsze Marfa się podobała, ale wiedział, że dla niej tylko ty... Cierpiał, smutny chodził po wsi, nie obabił się, choć niejedna krasawica za popowicza by się chętnie wydała... Okazał się druhem szczerym, oddanym.

– Ale co ma Wowka popowicz do tego wszystkiego?

– Tima, pamiętasz tego zgniłka, Griszkę Wasiljewicza, synalka naszego dziedzica

Grekowa? Po kilku latach nauk powrócił ze szkół w Petersburgu, zepsuty, znudzony, szukający rozrywek... Kiedy już nagrał się w karty i kości z sąsiadami pomieszczykami<sup>161</sup>, napił wina i wódeczki, bab mu się zachciało. Jeździł wierzchem albo dwukółką po okolicy i wypatrywał jak sęp. Wybredny był, pierwszej lepszej nie chciał brać... Szukał wyjątkowej krasawicy. No i wypatrzył.

Timofiejowi nie trzeba było dopowiadać, kogo mianowicie upatrzył sobie Griszka Grekow, synek dziedzica, zblazowany paniczek – nie było w całej okolicy żadnej, która mogłaby się równać urodą, roztropnością i wdziękiem z Marfą Rodionowną Daniłową. Jego Marfą. Mimowolnie zacisnął pięści.

– Czy... czy ten pies...

Igor uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Nie, Timoczka, nie zdążył. Kiedy po wyjściu z cerkwi otwarcie się do niej przystawił i nawet chwycił za kibić i pierś, Marfa wymierzyła mu przy wszystkich siarczasty policzek. Wściekł się, ale na szczęście był przy tym nasz batuszka i nawoływał do opamiętania. Griszka zaciął konia i pognął prosto do swego ojczulka. Ten wezwał naszego ojca do dworu i powiedział, że – dla uniknięcia afery – nie każe wprowadzić Marfy wychłostać, ale że ojciec i matka nie zobaczą więcej córki. Nic nadto nie rzekł, tylko się uśmiechał takim złym uśmiechem...

– To co w końcu uczynił? – niecierpliwiał się Timofiej.

– Mówiłem, że Wowka popowicz okazał się prawym druhem. On to któregoś dnia jesienią powrócił z Pskowa i przywiózł gazetę. W tej gazecie ogłoszenie naszego pomieszczyka: „*Sprzedam dwie krowy mleczne, sześć żrebaków i... znajdującą się na wyszywaniu, pięknie śpiewającą i tańczącą dziewczuchę imieniem Marfa, wyjątkowo urodziwą, lat osiemnastu*”. Bo ona 20 czerwca<sup>162</sup> tamtego roku tyle skończyła. Mógł to zrobić, jego „*kriepostnoje*”<sup>163</sup> prawo... Chciał, żeby się nie wydało, żeby Marfa i rodzice dowiedzieli się jak będzie za późno, jak już po nią przyjadą nowi właściciele... Ale Wowka z gazetą natychmiast do naszego ojca, a potem razem do batuszki pognali. Sam wiesz, że nasz batuszka Jermołaj na krzywdę ludzką czuł. Rada w radę ustalili, że Wowka potajemnie Marfę wywiezie do zachodnich guberni, na Litwę. Tam u zaufanych znajomków ją ukryje... – tu Igora uderzyła fala gorączki, opadł na słomę i ciężko dyszał. Timofiej zawołał do Francuza siedzącego przy ogniu:

– *Musje soldat, jemu nużno wody!*<sup>164</sup> – i pokazał na migi, że ranny potrzebuje wody. Stary grenadier wstał, podszedł do wrót szopy i zawołał do kogoś na zewnątrz. Po chwili przyniesiono wiadro z wodą i kubek. Timofiej zaczerpnął z wiadra i podsunął Igorowi do ust. Ten łapczywie wypił kilka dużych łyków i znów opadł na plecy. Tima podtrzymał mu głowę. Igor otworzył oczy, powróciła świadomość. Chwycił Timofieja za rękę:

– Tima, braciszku, musisz ją odnaleźć. Ona tylko twoja, ty to wiesz, ja to wiem i ona o żadnym innym nie myśli... Wowka wracając do Wozniesienskoje zajechał do mojego garnizonu i wszystko mi pod sekretem opowiedział. Powiedział też, gdzie ją zostawił.

– Gdzie, mów gdzie!

– W karczmie u znajomego Żyda Ajzyka, dziewczyna miała w przebraniu udawać Żydówkę, do czasu aż ty ją odnajdziesz i razem coś uradzicie...

– Marfa Żydówkę? Z jej jasnymi włosami i niebieskimi oczami?  
– Włosy zakryte chustą, a tam Żydów i Żydówek jasnowłosych i rudych całkiem sporo. Nie wyróżnia się...

– Powiadasz – u Ajzyka, ale gdzie, w jakiej wsi czy miasteczku?

Igor zastanowił się chwilę, po czym powiedział z trudem:

– Zapamiętałem. Mała miejscowość między Wilnem a Trokami. Rudziszki.

– Rudziszki, Rudziszki...<sup>165</sup> Już będę pamiętał... Teraz trzeba zająć się tobą, braciszku. Przemyć rany, zdobyć coś do jedzenia... Będiesz żył, Igor!

Igor zaśmiał się z wysiłkiem i nagle rozkaszał. Twarz mu poczerwieniała, znów napłynęła gorączka. Spojrzał na Timofieja zmętniałym wzrokiem:

– Tima, ratuj ją. Tylko ty, pamiętaj, tylko ty... A Wowka druh najszczerzy, niech Bóg da mu co najlepsze, najpiękniejszą krasawicę za żonę, dostatek i szczęście... On nasz dobrodziej, nasz druh, nasz brat... Ja tu zostanę na zawsze. Dopilnuj, żeby pochowali jak człowieka...

Igor Rodionowicz ostatecznie utracił kontakt z rzeczywistością, majaczył w malignie, nazywał Timofieja Wowką lub przeklinał, nazywając Griszka – sobaczym synem. Nie poznawał. Tima do końca przemywał mu twarz, trzymał za rękę i przemawiał uspokajająco. Kiedy weszło słońce i do wnętrza szopy wpadło więcej światła, stary francuski grenadier spojrzał na rosyjskiego podoficera, ze łzami tulącego do piersi zmarłego huzara. Milczeli. Słyszeć było tylko ciche trzaskanie płonących polan. Na zewnątrz słońce ponownie przesłoniły chmury. Powiał lodowaty wiatr i zaczął sypać gęsty, drobny śnieg. Był poranek 7 lutego 1807 roku. Dwadzieścia wiorst dalej na północ dwie wielkie armie szykowały się do generalnej bitwy. Śnieg zalegał pola i sypał się z nieba, płonęły wsie, we wschodniopruską ziemię wsiąkała krew...

*Lidzbark Warmiński (d. Heilsberg), 7 stycznia 2017*

**Koniec części pierwszej**



<sup>1</sup> Tj. 155,6 cm.

<sup>2</sup> Wolfsdorf, Jonkendorf, Bergfried – ob. Wilczkowo, Jonkowo i Barkweda.

<sup>3</sup> Rota – kompania w armii rosyjskiej.

<sup>4</sup> Open – ob. Opin.

<sup>5</sup> Waltersmühl – ob. Konradowo.

<sup>6</sup> Dopiero po wielu latach, spisując wspomnienia Otroszczenko odważył się stwierdzić, że pułkownik Tołbuchin miał wtedy dobrze w czubie.

<sup>7</sup> Tirer – franc. „strzelać”.

<sup>8</sup> Epizod zaczerpnięty ze wspomnień Otroszczenki. Opisane nocne walki miały miejsce z 4 na 5 lutego 1807 roku; tylko incydent z eksplozją ładunków wydarzył się na początku marca tegoż roku w okolicach Zechern i Launau – ob. Urbanowo i Łaniewo. Egzemplarz współcześnie wydanych (2006 r.) wspomnień Otroszczenki otrzymałem w prezencie od ś.p. Andrzeja Nieuważnego, wielkiego przyjaciela wszystkich rekonstruktorów epoki napoleońskiej, zmarłego w przededniu IX Bitwy pod Heilsbergiem, w czerwcu 2015 r.

<sup>9</sup> Warlack, Wormditt, Mehlsack, Pr. Eylau/Pruska Hława, Heilsberg, Alle, Insterburg/Wystruć – ob. Worławki, Orneta, Pieniężno, Bagrationowsk, Lidzbark Warmiński, rzeka Łyna, Czerniachowsk. Artyleria dotarła do Pr. Eylau rankiem 7 lutego.

<sup>10</sup> Wiorsta ros. – ok. 1,1 km.

<sup>11</sup> Raniec – owalny plecak rosyjski z czarnej skóry, obowiązujący w 1807 roku.

<sup>12</sup> Wzwod – pluton, smirno – baczność, tichij szag – wolny/zwykły krok.

<sup>13</sup> Lauterwalde – Samborek, Sommerfeld – Zagony, Bürgerwalde – Miejska Wola, Frauendorf – Babiak, Drewenz – Drwęca (wieś i rzeka), Dittrichsdorf – Biała Wola, Arensdorf – Lubomino, Kaschaunen – Kaszuny.

<sup>14</sup> Rosengarh – Różynka, Allenstein – Olsztyn, Sensburg/Ządzbork – Mrągowo, Nickolaiken – Mikołajki, Johannsburg/Jańsbork – Pisz, Wartenburg/Wartembork – Barczewo, Gross Maraunen – Maruny, Alt Wartenburg – Barczewko, Spiegelberg – Spręcowo.

<sup>15</sup> Guttstadt – Dobrze Miasto, Workeim – Workiejmy.

<sup>16</sup> Sperwatten – Zaręby.

<sup>17</sup> „Panie generale, moi panowie, prosimy panów do stołu!”.

<sup>18</sup> Reimerswalde – Ignalin.

<sup>19</sup> Königsberg – Królewiec, ob. Kaliningrad.

<sup>20</sup> Warmiński ród szlachecki Knobelsdorfów był właścicielem Sperwatten do 1785 r.

<sup>21</sup> Kossen – Kosyń pod Dobrym Miastem, wówczas folwark należący do biskupów warmińskich, wydzierżawiony władzom pruskim, podobnie jak folwark w Schmolainen – Smolajnach.

<sup>22</sup> Liewenberg – Miłogórze.

<sup>23</sup> Potężna plaga wilków pojawiła się w Prusach Wschodnich zimą 1812/1813, kiedy za konającą Wielką Armią przywlokły się ogromne stada wilków z Rosji. Przez kilka następných lat intensywnie je tępiono.

<sup>24</sup> „W mieście nie ma żadnego wojska”, „Przyszli huzarzy, niewielu”, „Stoją na

zachód od miasta”, „Ale dziś przyjdą następne oddziały”, „Odpuść mi, dobry człowieku, wybacznemu! Ja zaraz umrę...” – ros.

<sup>25</sup> Świdośliwa jajowata (*Amelanchier ovalis* Medic.) – rosnący dziko na obrzeżach lasów Warmii krzew, rozsiewany przez ptactwo (chętnie zjada jego nasiona). Napar i nalewka z kwiatów wzmacniają serce i obniżają ciśnienie krwi, odwar z kory i liści wspomaga leczenie przewodu pokarmowego, napar z owoców świeżych lub suszonych zwalcza anginę i stany zapalne jamy ustnej. Jak znalazł na zimę 1807 roku.

<sup>26</sup> Neuendorf – Nowa Wieś Wielka. Postać proboszcza jest historyczna; nazwiska pozostałych osób także występowały w Reimerswalde/Ignalinie i w Neuendorf w XVIII i XIX w., rzeczywiście istnieli sołtys Angrigk i karczmarze Asman i Popihn (umieszczenie ich obu w roku 1807 to moja *licentia poetica*).

<sup>27</sup> Nie wiemy dokładnie, jakie jednostki poza „koporcami” weszły w skład grupy Warnecka 5–6 lutego 1807; dlatego wstawiłem nazwisko d–cy „koporców” płka Gnaade, d–cy będącego w tej samej brygadzie 21. pułku jegierskiego – płka Kulikowskiego i fikcyjną postać mjra Biełagina.

<sup>28</sup> Lawden – Lauda.

<sup>29</sup> Reichenberg – Kraszewo, Wosseden – Nowosady, Wernegitten – Kłębowo, Süssenberg – Jarandowo.

<sup>30</sup> Zmarły 28 maja 1833 r. w Reichenbergu ksiądz Braun był ostatnim z wówczas żyjących byłych kanoników dobromiejskiej kapituły.

<sup>31</sup> Kolmerzy to specyficzna grupa wolnych osobiście chłopów warmińskich.

<sup>32</sup> W roku 1807 kościół po przebudowach zatracił już dawny gotycki charakter; wspomnianą wieżę rozebrano w 1858 r., zastępując ją w 1860 r. obecną neogotycką.

<sup>33</sup> W lokalnej tradycji nazywano tak w parafiach drogi prowadzące do innych miejscowości kościelnych; te same drogi w Heilsbergu mogły być nazywane drogami świętej Elżbiety, gdyż prowadziły do parafii pod jej wezwaniem.

<sup>34</sup> Landsberg – Górowo Iławeckie, ówczesna droga z Heilsbergu do tego miasta prowadziła przez Retsch – Redy, mn.w. wzdłuż późniejszej linii kolejowej, potem przez Hanshagen – Janikowo; inna – przez Grossendorf – Wielochowo, Nerfken – Nerwiki i Petershagen – Pieszkowo. Obie schodziły się w Grünwalde – Zielenicy. Z Hanshagen można też było podążać do Landsbergu przez Hoff – Dwórzno.

<sup>35</sup> Opisywane mundury pochodzą z kampanii 1807 roku; uniformy huzarskie uległy znacznym zmianom od 1809, a zwłaszcza 1812 r.

<sup>36</sup> Do służby pieszej dragoni zakładali regulaminowo kurtki z kołnierzami „bagiennozielonymi”, obwiedzione wypustką barwy pułkowej – „kurlandcy” turkusowej. Po 1808 r. puszyste kity zostały zastąpione sztywnymi grzebieniami. Do służby pieszej nakładano białe spodnie, wpuszczane w buty długie do kolan.

<sup>37</sup> Poza „koporcami” i „pawłogradcami” skład grupy walczącej 5 i 6 lutego 1807 r. w Heilsbergu i pod Jegothen jest hipotetyczny (brak źródeł); natomiast wymienione pododdziały znajdowały się wraz z tymi pułkami w składzie większych jednostek w lutym 1807 r.

<sup>38</sup> Odpowiednik kaprała w kawalerii francuskiej.

<sup>39</sup> Amt Guttstadt – folwark i pałac w Smolajnach.

<sup>40</sup> Ok. 7 km.

<sup>41</sup> Bramę tę rozebrano w XIX w.

<sup>42</sup> Historyczne: w dzienniku operacyjnym III korpusu zapisano, że Marulaz wjechał „jako trzeci”.

<sup>43</sup> Dużo później, za burmistrza Wegnera, stawy osuszono a potok ukryto pod ziemią, urządzając jego ujście w postaci istniejącego do dziś wodospadu. Wtedy też przebito mur miejski i usypano w poprzek dawnej fosy groblę, tworząc ob. ulicę Wiślaną (dawniej Wegner–Damm).

<sup>44</sup> Chodzi o ob. ulicę Wiejską.

<sup>45</sup> Długa, ob. Powstańców Warszawy, Markt czyli Rynek to ob. Plac Wolności.

<sup>46</sup> „Uważajcie, koledzy! Tam są już Francuzi!” – niem.; „Do broni! Nieprzyjaciel w mieście!” – franc.; „Swobodne ładowanie!” (tj. bez komenderowania kolejnych „temp”) – ros.

<sup>47</sup> Brama Młyńska, również rozebrana w XIX w. Pr. Eylau/Pruska Hława – Bagrationowsk, Königsberg/Królewiec – Kaliningrad.

<sup>48</sup> Epizod oparty na faktach: wg urodzonego w pobliskim Neuendorfie archiwisty i dziejopisa Adolfa Poschmanna, po wprowadzeniu do miasta garnizonu wojsko wymusiło naprawę zepsutego od dawna zegara ratuszowego; jednak miasto nie zatrudniło zegarmistrza, toteż zegar „działał prawie bez przerwy” i niejednokrotnie strażnik z wieży o różnych porach musiał dobijać się do ślusarza, by ten po raz kolejny naprawił doraźnie zegar. Ciekawe, że w „breslauisch” zaadaptowano polskie słowo „zegar” („*Seega*”).

<sup>49</sup> Magistratem zarządzało wówczas w miastach pruskich dwóch burmistrzów: Polizeibürgermeister i Justizbürgermeister. Von Möller miał w 1807 r. ok. 55 lat.

<sup>50</sup> Ksiądz Czychowski (Cichowski) był ostatnim proboszczem polskiego pochodzenia aż do roku 1945; ur. w rodowym majątku Podlasy koło Wartenburga/Wartemborka (ob. Barczewa) w 1745, zm. w 1816 r. we Frauenburgu/Fromborku. Koadiutor w Heilsbergu od 2 kwietnia 1802, archiprezbiter tamże od 31 maja 1802 r. (zarazem od r. 1776 proboszcz w Wuhsen/Osetniku, z czego zrezygnował w listopadzie 1807). Kanonik warmiński od 1798 r. Był następcą wybitnego proboszcza z l. 1792–1802, Joachima Ottona Zygmunta Kalnassy’ego zw. też Kalińskim lub Kalinowskim.

<sup>51</sup> Ob. przedłużenie ul. Prostej, łączące się z ul. M.Kajki, d. Fleischerstrasse/Rzeźnicza; Querstrasse/Poprzeczna – ob. ul. Prosta; Töpfergrund/Garncarska – ob. ul. M.Konopnickiej.

<sup>52</sup> „Pan porucznik spożywa kolację w towarzystwie pozostałych oficerów. Zaprosił ich burmistrz. Porucznik powiedział, żeby mu w żaden sposób nie przeszkadzać. Poczekajcie do jutra!” – ros.

<sup>53</sup> Benern – Bieniewo, Freimarkt – Wolnica, Retsch – Redy, Grossendorfer See – jezioro Wielochowskie.

<sup>54</sup> Za kilka miesięcy, 23 grudnia 1807 r. Morand pozna w Warszawie na balu swoją wielką miłość i przyszłą żonę, Polkę – pannę Emilię Łucję Parys.

<sup>55</sup> Stolzhausen – Kochanówka.

<sup>56</sup> „Jegierskaja cep”/łańcuch jegierski (strzelecki) – szyk stosowany przez jegrów

do walki strzeleckiej, złożony z dwójek oddalonych od siebie o kilka kroków.

<sup>57</sup> Rozlewisko zasypiano w latach 70-ych XX w., ob. znajduje się tam ujęcie wody pitnej.

<sup>58</sup> „Panie dowódco, widzieliśmy Francuzów! Nieprzyjacielska hołota nadciąga z licznymi działami od Lasu Psie Staje!” – niem. (Las Psie Staje znajdował się przy drodze z Amt Heislberg do Wosseden; Packzeug – w podheilsberskiej gwarze „breslauisch” był odpowiednikiem określenia Gesindel).

<sup>59</sup> „Przekłete pachołki! Wszystkich was poprzebijamy na wylot!” – „Pachulken” i „Sternickel” to słowa zaczerpnięte z lokalnej gwary „breslauisch”.

<sup>60</sup> Rosyjski odpowiednik sierżanta w piechocie.

<sup>61</sup> „Bić w tarabany! Sygnał alarmowy!” – ros.

<sup>62</sup> Waldwart – niem. „strażnik leśny”.

<sup>63</sup> „Jest młyn. Niedaleko stąd” – niem.

<sup>64</sup> Tu: grzywna pieniężna.

<sup>65</sup> Pomehren – Pomorowo, wieś po 1772 roku zasiedlona w większości przez protestantów.

<sup>66</sup> „Och, jak pięknie trzęsą ci się łapy” – niem.; w gwarze „breslauisch” Tatterich to „das Zittern der Hände” – „drzenie rąk”, zwłaszcza od pijaństwa.

<sup>67</sup> „Jesteś pijany!” – „breslauisch”.

<sup>68</sup> Meschkinnis (inaczej Bärenfang/”Niedźwiedzi kiel”) – niedźwiedziówka, wschodniopruska nalewka spirytusowa na miodzie i pączkach sosny.

<sup>69</sup> „Tak na pewno to nie wiem, panie poruczniku” – ros.

<sup>70</sup> „Ogrody książęce”, tj. biskupie. Ich część między Alle/Łyną a tzw. Oranżerią nazywano w czasach Krasickiego „Krasiczynem”.

<sup>71</sup> W praktyce Rosjanie wypowiadali komendy w wersji skróconej; tu pełne komendy brzmiałyby odpowiednio: „Prikładywajsia”... „Pali”, tj. „Cel”... „Pal”.

<sup>72</sup> „Siedzę w izbie i jestem zupełnie sama! Rodzice nigdy nie mają czasu, a do sali z tańcami jest o wiele za daleko...” Nieco przetworzony przeze mnie tekst piosenki zaczerpnięty ze zbioru „Kinder – Eltern”, Textbuch (TB), s. 5–20, z serii „Lesearten” (LA) für Kl. 5–10 von Hauptschule, Realschule und Gymnasium; cyt. za: „Ermlandbuch” 1976, s. 47.

<sup>73</sup> „Proszę panienkę o wybaczenie...” – franc.

<sup>74</sup> „Proszę, niech pan to szybko nałoży, jest bardzo zimno” – niem.

<sup>75</sup> „Dziękuję”... „Jest pani bardzo piękna” – franc.

<sup>76</sup> „Samogon”, „łaźnia parowa”, „kampania zagraniczna”, „smaczna”, „flaszeczka”, „tęskno” – ros.

<sup>77</sup> Witroduj – wg ludowej demonologii ukr., demon kierujący wiatrami, zamieszkały w samotnym drzewie rosnącym na wzgórzu.

<sup>78</sup> „Czego pani potrzeba?”, „Zdaje się, że z was jeszcze niezupełnie pani... Powiedz więc dziewczyno, co ci się przydarzyło? Ktoś cię wystraszył w lesie, czy jak?”, „Nie wolno mi schodzić z posterunku. No, ale na chwilę wejdziemy do lasu i zobaczymy, co cię tak wystraszyło”, „Agafio Mironowna... Moja Agafko... Dlaczego mamy brać ślub po raz drugi?” – ros.

<sup>79</sup> Tu: „Ładuj!” – franc.

<sup>80</sup> Trzcinka ze specjalną łatwopalną mazią.

<sup>81</sup> Opis ładowania za: O. Sokołow, *Armia Napoleona*, Oświęcim 2014, s. 144–147. „Sabot” – drewniana podkładka pod kulę, „szydło” – przebijacz.

<sup>82</sup> „To święta Katarzyna Aleksandryjska... dziewica i męczennica” – franc.

<sup>83</sup> Zbiświcz – herb budowniczego pałacu: biskupa Adama Stanisława Grabowskiego; widnieje także na cokole pomnika św. Katarzyny; na obu obiektach herbowi towarzyszy płaskorzeźbiony wizerunek Orderu Orła Białego, który przetrwał nienaruszony od XVIII w. do dziś.

<sup>84</sup> Był to tzw. Pałac biskupa Wydźgi, zdewastowany przez Szwedów w XVIII w., rozebrany w XIX w.

<sup>85</sup> „Panie żołnierzu”, „Tak jest, panie oficerze”, „Natychmiast, natychmiast...” – niem.

<sup>86</sup> „Poprzeczna” i „Kościelna” – ob. ul. Prosta i Mickiewicza.

<sup>87</sup> „Skarbie”, „Tatusiu”, „Mamusiu”, „Nie ma strachu”, „Te przekłete żabojady [dosł. Celtowie, w znaczeniu pogardliwym]” – niem.

<sup>88</sup> Wydarzenie historyczne: od francuskich kul wystrzelonych z zamku 6 II 1807 r. rzeczywiście zginął miejski listonosz imieniem Heinrich.

<sup>89</sup> Grenadier – żołnierz kompanii wyborczej (*d'elite*).

<sup>90</sup> „Mistrz ciesielski” – niem.

<sup>91</sup> *Chef de bataillon* – odpowiednik podpułkownika, wówczas wyżej od kapitana a niżej majora, będącego przy pułkowniku kimś w rodzaju szefa sztabu.

<sup>92</sup> „Panie oficerze, jestem także nadzorcą i konserwatorem wodociągu. Doprowadzam wodę do miasta”, „Tak, panie oficerze, to jest most wodociągowy” – niem.

<sup>93</sup> „Nasze jest zwycięstwo” – franc. znana pieśń wojskowa z czasów napoleońskich.

<sup>94</sup> „No, chłopcy, jak tam? Wszystko w porządku?”, „Tak jest, panie unteroficerze” – ros.

<sup>95</sup> „Tak, oczywiście” – franc.

<sup>96</sup> Mawern – Mawry, Peterswalde – Piotraszewo, Zechern – Urbanowo.

<sup>97</sup> Forstamt – tu: leśnictwo.

<sup>98</sup> „Kurt, to ja – Klaus Weber! Nie obawiaj się! Ci Francuzi są ze mną, nie chcą zrobić nic złego!”, „Tak, naturalnie, panie strażniku” – niem.

<sup>99</sup> Rastenburg – Kętrzyn.

<sup>100</sup> Hohe Tor rozebrano w XIX w., ob. nazwą Wysoka Brama określa się jej dawne przedbramie, znacznie okazałsze od samej bramy.

<sup>101</sup> Brytyjski karabin skałkowy Indian Pattern, w który częściowo uzbrojona była armia rosyjska. Potoczną nazwę (dosł. „Ruda Elka”) zawdzięczał naturalnej rdzawej patynie nie oksydowanych luf.

<sup>102</sup> „Panie podporuczniku”, „Pan strażnik Weber! W dobrym towarzystwie... Proszę panów do środka!” – niem.

<sup>103</sup> „Antoni Wagner; jestem księdzem, tutejszym wikarym od trzech lat” – franc.

<sup>104</sup> Altkirch – Prasłity.

<sup>105</sup> Chorąży.

<sup>106</sup> Tj. 38,41–40,55 m. Opis szyku szwadronu za: A. i J. Żmodikow, *Taktyka armii rosyjskiej w dobie wojen napoleońskich*, Oświęcim 2010.

<sup>107</sup> Spotkanie nastąpiło przy ob. ulicy Poniatowskiego, w pobliżu Młodzieżowego Domu Kultury.

<sup>108</sup> „No to pięknie, chłopcy” – ros.

<sup>109</sup> Prowadziła ona ob. ulicami Konstytucji 3 Maja, Spółdzielców i J.H. Dąbrowskiego na Wielochowo.

<sup>110</sup> „Uwaga... Szykuj się! Dwa szeregi!” – ros.

<sup>111</sup> „Bagnet na broń!” – ros.

<sup>112</sup> „Broń do walki wręcz!”, „Krokiem przyspieszonym... marsz!” – ros.

<sup>113</sup> Drugi z pułków brygady Grandeau: 111. liniowy Hussona (pierwotnie 1. półbrygada piemontka złożona z Włochów, wcielona pod nowym numerem do Wielkiej Armii) pozostał pod Myszyńcem.

<sup>114</sup> Bobrownik, Długoleka, Lauda, Redy, Jagoty, Wielochowo, Nowa Wieś Wielka, Pieszkowo, Janikowo, Swalmy.

<sup>115</sup> Tu: *lieu* wynoszące 3,8907 km, tj. 2000 „długości ciała”.

<sup>116</sup> „Proszę pytać, Ledru” – franc.

<sup>117</sup> „Nie pij za dużo wody, bo ci się wszy zalęgną w żołądku! Oto czyste Słowo Boże! ... Proszę, pijcie panowie!” – „breslauisch”. Wprawdzie w miejscowym dialekcie określenie to dotyczyło czystej żytniej wódki, ale pozwólmy naszym bohaterom należycie nacieszyć się księżowskim ponczykiem z Peterswalde!

<sup>118</sup> „Niech żyje Cesarz! Za zwycięstwo!” – franc.

<sup>119</sup> „Kolumna trójkami... na lewo zachodź... Marsz!” – ros.

<sup>120</sup> „Otwierać! Szybko otwierać! Meldunek dla generała!” – ros.

<sup>121</sup> „Oficerskij szarf” – ozdobny pas wiązany na pasie głównym, połączenie sztuki tkackiej i szmuklerskiej; „gorżet” vel „oficerskij znak” – metalowy ryngraf; wraz z galonem na pagonach pozwalały rozpoznać oficera i jego stopień.

<sup>122</sup> Sążeń ros. („sažen”) liczył 213,36 cm; czyli most był długi na ok. 30 m.

<sup>123</sup> Pierwsza wiodła na Hintere Neustadt (ob. Hoża), druga na Neumarkt – Nowy Rynek.

<sup>124</sup> Warta – ros.

<sup>125</sup> Baderstrasse – Kasprovicza, Kirchenplatz – Plac Kościelny, Klosterstrasse – d. Klasztorna, ob. Reja, Fleischerstrasse – M. Kajki.

<sup>126</sup> „Tchórzliwy Rosjanin!” – franc. i ros.

<sup>127</sup> Biennourri – po franc. „dobrze odżywiony”, „wypasiony”.

<sup>128</sup> Pud – ros. jednostka wagowa równa 16,38 kg.

<sup>129</sup> Być może jakiś skrupulatny Czytelnik zarzuci w tym miejscu autorowi: „Ej, fantazjujesz waćpan! Gdzieżby dwóch walczących ludzi, w dodatku prosty *brigadier* (kapral) i zapewne niepiśmienny kozak potrafili snuć i mieli czas na tego rodzaju refleksje!”. W pełni się z takim Czytelnikiem zgodzę. To nie oni, to wasz pokorny autor snuje te rozważania, to jemu tak bardzo dokucza ta sytuacja. Może jednak nasi bohaterowie – nawet jeśli ludzie prości i nieuczni, nie potrafiący tak formułować myśli

i nie mający na to czasu w trakcie walki – byli w stanie to wszystko o d c z u ć? Głęboko wierzę, że t a k...

<sup>130</sup> *Kostopraw* – felczer w armii ros.

<sup>131</sup> „To nic. Drobnostka!” – franc.

<sup>132</sup> Braniewo.

<sup>133</sup> „Szybciej! Szybciej!” – ros.

<sup>134</sup> „Perskie oko” do Czytelnika: nazwisko „mówiące” – po franc. „devin” to „wróżbita”.

<sup>135</sup> *Defilé* – franc. „ciaśnina”, przewężenie terenu utworzone przez np. wody powierzchniowe, bagna, lasy, strome pagórki czy góry.

<sup>136</sup> „Patronnyje taszi” – ros. ładownice; umieszczano w nich ładunki w kilku płóciennych woreczkach.

<sup>137</sup> Forma skrócona od „*wolno zariażaj!*” („swobodnie ładuj!”) – ros.

<sup>138</sup> Ładunkami.

<sup>139</sup> „Świętego Mikołaja, arcybiskupa Miry Licyjskiej, cudotwórcy” – ros. Św. Mikołaj w prawosławiu jest adresatem modlitw w wielu intencjach. Uważa się go za szczególnego orędownika przy różnych chorobach. Wierni modlą się do niego o przywrócenie wzroku i w innych chorobach oczu, podróżujący łądem i morzem, znajdujący się w niewoli wroga, będący w wyjątkowo trudnej sytuacji materialnej, mający problemy rodzinne. Ponadto uważany jest za świętego sprawującego opiekę nad rodziną, patrona wdów i sierot.

<sup>140</sup> „Griszka, mój ty przyjacielu! Za wcześnie ci jeszcze odchodzić z tego świata, od jasnego słońca! Grisz, co ja powiem twojej Marysi [Maszce]? Obję mi pysk za to, że nie zdołałem cię ocalić... Grisz!” – ros.

<sup>141</sup> „Panie, przysięgam przed Twoim obliczem, że pomszczę śmierć mojego przyjaciela!” – ros.

<sup>142</sup> Elmina, nie istnieje od lat 80-ych XX w.

<sup>143</sup> „Poddajcie się!” – franc.

<sup>144</sup> „Rosjanie, oszczędzimy was!” – franc.

<sup>145</sup> Elma, lewy dopływ Alle/Łyny. Uchodzi do niej ok. 3 km dalej na płd.–wsch., pod Konnegem/Koniewem.

<sup>146</sup> Swalmy, Guntkajmy (obie miejscowości nie istnieją od lat 80-ych XX w.). Most w Swalmach funkcjonował jeszcze u progu lat 90-ych (natomiast pod Guntkajmami, nieopodal żwirowni, istniał – na przemian z czasowymi mostkami – płytki bród, który można było przebyć motocyklem lub rowerem. Kiedy most w nie istniejących już Swalmach padł pod naporem kry, cały ruch przeniósł się na drewniany mostek koło żwirowni (formalnie nieprzejezdny dla samochodów).

<sup>147</sup> „No, chłopcy, być może będziemy musieli walczyć wręcz... Amunicja prawie się skończyła...” – ros.

<sup>148</sup> „Do modlitwy!”, „Panie, zmiłuj się”, „niech diabli wezmą” – ros.

<sup>149</sup> „Bagnet na broń! Broń do walki wręcz! Krokiem przyspieszonym... na bagnety... marsz!” – ros.

<sup>150</sup> Przodek – przednia część zaprzęgu artyleryjskiego, dwukołowa skrzynia

zawierająca sprzęt lub ładunki; jechała na nim część obsługi działa.

<sup>151</sup> Żuława – nie istnieje od lat 80-ych XX w.

<sup>152</sup> Piaseczno.

<sup>153</sup> Niecały kilometr.

<sup>154</sup> „Będą strzelać, psie syny!” – ros.

<sup>155</sup> „Nie chcę umierać! Nie chcę umierać! Panie, ratuj mnie!” – ros.

<sup>156</sup> „Poddajemy się!” – ros.

<sup>157</sup> „Panie oficerze, będzie pan łaskaw złożyć broń! Jestem podporucznik Antoine Ledru” – franc.

<sup>158</sup> „Zgoda. Jestem porucznik Żadowski, Piotr Borysowicz” – franc.

<sup>159</sup> „Kłamać jak biuletyn” – franc.

<sup>160</sup> „Tima! Tima! Obudź się, muszę ci wszystko opowiedzieć!” – ros.

<sup>161</sup> Dziedzic, właściciel ziemski.

<sup>162</sup> Wg kalendarza juliańskiego; wg gregoriańskiego 1 lipca.

<sup>163</sup> „Pańszczyźniane, poddańcze” – ros.

<sup>164</sup> „Panie żołnierzu, on potrzebuje wody!” – franc./ros.

<sup>165</sup> W 1807 r. Rudziszki, powiat (*ujezd*) trocki, były niewielką wsią należącą do Fohlerów, zamieszkałą przez katolików i Żydów. Posiadały karczmę, leżały nad potokiem. Przynależały do gminy Międzyrzecz, od której dzieliło je 21 wiorst; od Wilna 36 wiorst, od Trok 12 wiorst. W przyszłości miały stać się majątkiem skarbowym ze stacją kolejową (Kolej Petersbursko–Wiedeńska), a potem miasteczkiem.



## „STOKROĆ BŁOGOSŁAWIONY”

*„Stokroć błogosławiony domator spokojny,*

*którego wiejskie bóstwa ziemskim rajem sycą;*

*ten, co kroku nie stawia za biednej chatki progiem*

*i nie wyzywa w modłach Fortuny bystronogiej!*

*Miłością ślepą nie pała ku sławie,*

*Nie składa w ofierze spokoju ni krwi;*

*Wie gdzie swe kości złoży i kornie czeka kresu swych dni”*

Konstantin Batiuszko

W osadzie Schwollmen wstawał zimowy świt 14 lutego 1807 roku. Timofiej Nikitycz Dmitrijew, unteroficer koporskiego pułku muszkieterskiego, osłabiony trzydniową silną gorączką, przetarł brudną i od dawna nie goloną twarz równie brudną ręką i z dezaprobatą obejrzał wnętrza obu dłoni. Również turkusowy mankiet munduru znaczyły czarne smugi – ślady prochowego nagaru. Za to zachowały się wszystkie guziki przy kurtce i spodniach. Nadal był szczęśliwym posiadaczem pary porządnych butów i szynela. W ciągu ostatnich ośmiu dni jego całym światem była ta nędzna, choć obszerna, stodoła i kawałek pustej łąki kilkadziesiąt kroków za nią. Śnieg był w tym miejscu zdeptany setkami nóg i zapaskudzony ekskrementami jeńców – odprowadzano ich do tej otwartej ze wszystkich stron „latryny” pod eskortą, pilnując by nie uciekali. W ostatnich dniach do ekskrementów doszło wymieszane z mokrym śniegiem rozkисле błoto, gdyż nastąpiła gwałtowna odwilż. Zbiorowe wyjście za potrzebą było zarazem jedyną formą spaceru. Ci, którzy byli w stanie sami odbywać ten „spacer”, musieli również usuwać nieczystości spod cięższych rannych lub chorych kolegów. Czynili to poniekąd i dla własnego dobra, gdyż smrodu w szopie – „lazarecie” było i tak aż nadto... Nadzorujący ich Francuzi odnosili się do jeńców najczęściej obojętnie, w niektórych przypadkach nawet życzliwie; jawnej wrogości nie okazywali. Nie sposób jednak było dowiedzieć się od nich

czegokolwiek, ponieważ – poza ciężko rannym porucznikiem Pietrowem, którego odwieziono do dużego lazaretu w Landsbergu – w osadzie Schwollmen nie trzymano ani jednego oficera, który mógłby znać francuski. Sam Timofiej rozmówiłby się po niemiecku i po polsku, francuski był jednak dla niego *terra incognita*<sup>1</sup>. Unteroficer rozpoznawał kilka słów i zwrotów, ale było to za mało, by zorientować się w sytuacji. Obserwował jednak w milczeniu wszystko dookoła, uznawszy że może się to kiedyś przydać. Każdego dnia nadzorcy przynosili jeńcom kocioł zupy, w której – sądząc po zapachu i konsystencji – można było się domyślić obecności warzyw, sera, krup a nawet mięsa. Czasem trafiały się jego niewielkie kawałki. Timofiej stwierdził, że podawano to samo, co Francuzom, może tylko w mniejszej ilości. Do tego każdemu z jeńców dawano raz dziennie ćwiartkę chleba. Nie żałowano też opału. Trzeciego dnia niewoli Tima stojący w drzwiach szopy zauważył, jak żołnierz obsługujący kuchnię na majdanie wydobywa z bagaży coś w rodzaju sporej butelki o szerokiej szyjce, zatkanej drewnianym czopem uszczelnionym płótnem i lakiem. Po odkorkowaniu wydobyl z niej gęstą, galaretowatą substancję, którą następnie wlał do wypełnionego wrzątkiem kotła<sup>2</sup>. Timofiej wyczuł intensywną woń tłustego bulionu mięsno – warzywnego. Potem kucharzący żołnierz dorzucił do kotła kilkanaście cebul, marchewek i ziemniaków ze skórką. Wygarnął z tornistra stare okruchy sera i chleba, dodając je również do gotowanej zupy. Po dogotowaniu wywaru, z pomocą innych żołnierzy podzielił chleb na porcje i wezwał na posiłek, którego część przeznaczona była także dla jeńców.

Skład osobowy grupy jeńców zgromadzonych w Schwollmen zmieniał się z dnia na dzień: wielu ciężko rannych szybko zmarło, ich zwłoki wyniesiono na śnieg za rzeczkę Elm, przepływającą tuż obok osady. Z pochówkiem tymczasem czekano. Spoczęło tam także ciało nieszczęsnego Igora, brata Marfy. Odnosił je osobiście już drugiego dnia Timofiej, dając znać na migi, że to członek jego rodziny. Uważnie przyjrzał się spoczywającym nad rzeką zwłokom, nie rozpoznał wśród nich jednak żadnego ze znanych sobie żołdatów czy oficerów. „Jest więc nadzieja, że Fiedot i Borys żyją, podobnie porucznik Żadowski...”. Jednak żaden z nich nie pojawił się w kolejnych dniach, mimo iż na miejsce umierających sprowadzano co zdrowszych jeńców z przepelnionych majątków Gunten i Schönwiese. Potem Timofieja złożyła na trzy dni choroba spowodowana wyziębieniem; gorączkował, majaczył, ale jego silny organizm ostatecznie zwyciężył. Teraz, po ośmiu dniach niewoli, unteroficer czuł się względnie dobrze, dokuczał mu tylko brak wiadomości o przebiegu wojny. Niepokoił go także los Marfy, oddanej przez przyjaciół pod opiekę nieznanym ludzi w oddalonym o kilkaset wiorst litewskim miasteczku. Tymczasem jednak starał się godzić z losem, wyczekując sposobnej okazji do ucieczki. Upływające dni postanowił wykorzystać na naukę podstaw francuskiego. Szczęśliwym trafem nadzorujący jeńców od pierwszego dnia starszy wiekiem wąsaty grenadier nadal przebywał w Schwollmen i często pełnił dyżur w szopie przy ogniu. Tego ranka zatem Timofiej powoli, dając znaki, że nie zamierza niczego złego, podszedł do siedzącego na pieńku Francuza i pokazał na migi, że chciałby się trochę umyć. Stary żołnierz przez chwilę patrzył uważnie na usta i gesty Rosjanina, po czym jego wąsiska uniosły się, obnażając szeroki uśmiech i kilka szpar po utraconych zębach:

– *Eh bien, tu veux de l'eau pour se laver?*<sup>3</sup> – następnie pokiwał głową, wstał i z

progu szopy wezwał zmiennika. Młodszy kolega zastąpił go przy ogniu, podczas gdy grenadier skinął na Timofieja i poprowadził go do znajdującej się nieopodal stajni. Stała tam duża beczka z wodą a obok niej drewniane koryta. Pokazał Rosjaninowi, żeby nappełnił do połowy jedno z nich. Potem zawołał do swoich, by przyniesiono trochę wrzątku w wiadrze. Po wymieszaniu woda w korycie stała się przyjemnie ciepła. Wtedy pojawił się niemiecki wyrostek ze Schwollmen i dolał do wody trochę jakiegoś płynu. Na pytający wzrok Rosjanina chłopak potarł dłońmi twarz i powiedział:

– *Zum Waschen...*<sup>4</sup>

Timofiej domyślił się, że to odwar z korzenia mydlnicy lekarskiej<sup>5</sup>, dobrze znany mu jeszcze z Wozniesienskoje, skutecznie zastępujący mydło a nawet lepszy. Na powierzchni wody pojawiła się piana, rozszedł się słaby i delikatny, a przy tym przyjemny zapach. Tima zrzucił szynel i mundur, rozwiązał halsztuk, ściągnął przez głowę lnianą rubachę. Z niewysłowioną przyjemnością rozkoszował się tą prymitywną kąpielą, pokrywając pianą i masując palcami skórę na głowie, twarzy, szyi, ramionach i klatce piersiowej. Rozejrzał się za czymś do wytarcia, ale w zasięgu wzroku nie było żadnych ręczników czy szmat, wytarł więc głowę, twarz i ciało rubachą i – z braku innej możliwości – ponownie założył ją na siebie. Trudno, nogi i resztę umyje następnym razem... Francuz czekał na zewnątrz, uśmiechając się i trzymając w rękach kawałek białego płótna i brzytwę. Rosjanin zrozumiał, że zamierza pomóc mu się ogolić. Kiedy jednak wyciągnął rękę po brzytwę, grenadier spoważniał, pokręcił przecząco głową i kazał mu na migi usiąść na odwróconym pustym wiadrze. Przez kilka minut Francuz sprawnymi ruchami golił Timofieja, po czym polał mu z kubka nieco wody na złożone dłonie, a kiedy Rosjanin opłukał twarz, wytarł mu ją płócienną szmatką. Fachowym okiem obejrzał wynik swej pracy z lewej i z prawej strony. Kiwnął głową z aprobatą i nagle wskazał palcem na siebie:

– *Timothée...* – na co unteroficer zaśmiał się głośno i również wskazując na siebie przesyłabizował:

– *Ti–mo–fiej...*

Francuz zdziwił się lekko, lecz zaraz potem także się roześmiał, poklepał Timę po ramieniu i stwierdził gromko:

– *Deux hommes, même nom!*<sup>6</sup>

Po powrocie do szopy stary grenadier odprawił zmiennika i obaj Tymoteusze – francuski i rosyjski – podjęli pierwszą próbę dłuższej rozmowy, ucząc się wzajemnie podstawowych słów i zwrotów. Ktoś patrzący na to z boku mógłby pomyśleć, że to nie jeniec i jego nadzorca, tylko para starych przyjaciół albo ojciec i dorosły syn, opowiadający sobie pieprzne historyjki, jakich nie powinna usłyszeć matka, żona a zwłaszcza młodsze rodzeństwo lub dzieci...

Wczesnym popołudniem jak zwykle wydano Francuzom i jeńcom „*la soupe*”<sup>7</sup> i dzienną rację chleba. Żołnierze odebrali swoje porcje stając w kolejce do kotła, jeńcom zanesiono kocioł do szopy. Spożywano zupę w milczeniu, słychać było tylko siorbanie gorącej zawiesistej polewki i skrobanie łyżek o blaszane lub drewniane miski. W pewnej chwili, po zjedzeniu zupy, któryś z żołdatów głośno beknął, wywołując wesołość kolegów, spośród których dwaj odpowiedzieli tym samym. „Człowiek jest tylko

człowiekiem, zwłaszcza młody” – pomyślał Timofiej – „Te prostackie zachowania oznaczają jedynie, że pomimo smutnych okoliczności nie opuszcza ich naturalna radość życia...”. Nagle jego uwagę zwrócił hałas na zewnątrz. Dyskretnie zbliżył się do wrót szopy i wyjrzał. Pośrodku kręgu zgromadzonych na placu żołnierzy na czele z około trzydziestoletnim kapitanem, przemawiał siedzący w siodle francuski huzar. Mówił podniesionym głosem, żywo gestykulując, lecz tak szybko, że niczego nie sposób było zrozumieć. Wkrótce potem, straszliwie skrzypiąc słabo nasmarowanymi osiami, zajechał wymoszczony słomą wóz o szprychowych kołach, wypełniony francuskimi rannymi; mieli na sobie porwane lub zdekompletowane mundury, poobwiązywane głowy, oczy lub kończyny. Przybrudzone płócienne opatrunki były przesiąknięte krwią, kilku jęczało z bólu, najwyraźniej źle znosząc wstrząsy nie resorowanego pojazdu na wyboistej, pokrytej rozmarzniętymi kałużami drodze. Woźnice kierujący zaprzęgiem zachowywali wobec nich całkowitą obojętność. Zaraz potem pojawiły się trzy kolejne wozy z rannymi, którym towarzyszyła eskorta złożona z dziesięciu dragonów. Po krótkim postoju i napojeniu koni cała kolumna ruszyła dalej za rzeczkę – na Jegothen. Timofiej zauważył, że w ślad za nią wyruszyło kilkunastu żołnierzy spośród tych, którzy pilnowali jeńców w Schwollmen. „Co się za tym kryje?” – pomyślał – „Czyżby Francuzom powinęła się noga i to co widać, to fragment ogólnej rejterady?”. Bez wypytania kogoś lepiej poinformowanego niczego więcej się nie dowie, a jałowo spekulować nie zamierzał. „Będzie, co ma być...”.

Po dwóch godzinach żołnierze ze Schwollmen towarzyszący kolumnie sanitarnej powrócili do osady, ale nie sami – prowadzili ze sobą ponad trzydziestu jeńców, w tym kilku lekko rannych z rękami na temblakach lub widocznymi z daleka opatrunkami. Niektórzy utykali, ale wszyscy poruszali się o własnych siłach i nie wyglądali na wycieńczonych. „Ci słabsi zapewne zdążyli umrzeć lub oczekują śmierci w jakimś innym lazarecie” – tu Tima po raz kolejny poczuł nieprzyjemne wzruszenie, wspominając niedawny zgon Igora. Zmuszał się, by nie myśleć o Marfie, której w tej chwili i tak nie był w stanie pomóc. Mimo to w jego snach wciąż powracała wizja niesamowitych, błękitnych oczu obojga rodzeństwa Daniłowych, jedynych takich na całym świecie. Czuł namacalnie we śnie ledwie uchwytnie muśnięcia jasnych, lekko wilgotnych, jakby świeżo umytych włosów swojej Marfy. Pachniały czystością, polnymi kwiatami i jeszcze czymś nieokreślonym, lecz bardzo przyjemnym. „Jeśli tak ma wyglądać tęsknota, to mogę czasem trochę potęsknić...” – pomyślał, uśmiechając się ciepło do własnych myśli. Przypomniał sobie, jak przed kilku dniami stary Timothée zadał mu po przebudzeniu niezrozumiałe pytanie: „*Qui est Marpha, Marphenka?*”<sup>8</sup>, lecz Rosjanin nie potrafił mu wtedy tego wyjaśnić. Dziś zresztą też jeszcze nie, ale za dwa – trzy dni, kto wie? Tima uczył się szybko i łatwo, jeśli się postara, wkrótce zacznie co nieco mówić po francusku. Nagle usłyszał słowa wypowiedane półgłosem, dochodzące od wciąż stojącej na zewnątrz kolumny jeńców:

– *Gospodin unteroficer, wy nas nie priznali? Eto my, Fiedot i Borys*<sup>9</sup>.

Timofiej przyjrzał się dwóm zarośniętym po same oczy, brudnym postaciom w rozchełstanych szynelach, bez kiwerów i „*rańców*”, i dopiero wtedy rozpoznał w nich swoich podkomendnych i krajanów. Chętnie rzuciłby się im w ramiona, ale tamtych pilnowali strażnicy, a on stał u wejścia do szopy. Uśmiechnął się do nich, puścił oko i

położył palec na ustach, nakazując ciszę. Jeśli nowych jeńców Francuzi ulokują w tym samym budynku, znajdzie się okazja do dłuższej rozmowy. W kolumnie rosyjskich żołnierzy okrytych szarobrązowymi szynelami i ciemnozielonymi mundurami wyróżniał się wyjątkowo rosły dragon, wyrastający na półtorej głowy ponad pozostałych. Tima miał wrażenie, że widział go już przedtem, podczas marszu spod Drewenz do Heilsbergu. Wtedy jednak tamten siedział na koniu i jeszcze bardziej wyglądał na olbrzyma z baśni. Timofiej od razu nazwał go w myśli „Ilja Muromiec”<sup>10</sup>.

Był początek kwietnia Roku Pańskiego 1827. Tyflis<sup>11</sup>, kwatera główna dowództwa rosyjskiego korpusu stacjonującego w Gruzji. Siwowłosa, pełny na twarzy, rumiany, pięćdziesięcioletni mężczyzna bez wąsów i brody, za to z bujnymi bokobrodami, zawiesił trzymającą umoczone w inkauscie pióro rękę kilka cali nad kartką papieru. Druga dłoń spoczywała płasko na lewym brzegu zapisywanej karty. Przymknął oczy i zamyślił się... Na podstawie własnych luźnych notatek z odbytych kampanii (dopiero teraz, podsumowując dotychczasowe życie, zdał sobie sprawę, ile ich było!) spisywał swe wspomnienia i przemyślenia, nie szczędząc w tych prywatnych, pisanych „do szuflady” zapiskach gorzkich słów i palącej ironii żadnemu z małych i wielkich tego świata. Może nie zawsze całkiem obiektywnie, za to szczerze i od serca. Bo taki właśnie był: gwałtowny, szczery, kompetentny w artyleryjskim rzemiośle. Nie znosił faworyzowania Niemców w rosyjskiej kadrze oficerskiej. Kiedy niedawno zmarły imperator Aleksander Pawłowicz zapytał go ongiś, jakiej życzy sobie nagrody za swe zasługi, on odparował śmiało, narażając swoją przyszłą karierę: „Niech Wasza Imperatorska Mość mianuje mnie Niemcem!”. Ech, dawne dzieje... Teraz Aleksiej Pietrowicz myślał o tym, czy jego powiązania z nieszczęsnymi „dekabrystami”<sup>12</sup> nie zostaną wykryte, i co z tego wyniknie. Żeby uciec od złych myśli, wspomniawszy sławny i groźny rok 1807, wracając w zapiskach do czasu sprzed dwudziestu lat, po wielkiej bitwie pod Preussisch Eylau. Otworzył oczy, spojrzał na papier, ponownie zanurzył pióro w kałamarzu. Spod ręki generała wyciekały litery: „*Po niecałych dwóch tygodniach przebywania w okolicy Königsbergu armia ruszyła naprzód. Awangarda pod komendą generała majora Markowa w dwóch marszach dziennych przybyła do Preussisch Eylau. Tam wzmocniła ją jazda generała księcia Golicyna. Z ciekawością oglądałem pole bitwy. Przeraziłem się, zobaczywszy mnóstwo ciał w miejscach, gdzie stały nasze szeregi, lecz jeszcze więcej zwłok znalazłem tam, gdzie stały wojska nieprzyjaciela; szczególnie tam, gdzie w zwartym szyku stały ich kolumny gotujące się do ataku. Mieszkańcy miasteczka twierdzili, że nie zdecydowali się wypełnić nakazu Francuzów, by w ciągu kilku dni powywozić zwłoki ich rodaków do pobliskiego jeziora; z kolei nie sposób było też wtedy wzruszyć zamrożonej ziemi. Jako oficer artylerii oceniałem dzieło naszych baterii i uznałem je za doskonałe. W miasteczku żaden dom nie pozostał nietknięty, zgorzała dzielnica, dokąd według słów mieszkańców znoszono rannych; wielu z nich przy tym zginęło. Wraz z naszym podejściem do Preussisch Eylau nieprzyjaciel opuścił miasto. O jego pospiesznym odwrocie świadczyły porzucone liczne tabory, kule armatnie i lazarety wypełnione rannymi i chorymi. Silna odwilż uczyniła drogi nieprzebytymi, toteż – jako że w podobnej sytuacji najwięcej traci ten, kto rejteruje – Francuzi pozostawili w miasteczkach i wsiach wszystkie swe lazarety. Po przybyciu do Landsbergu zastaliśmy tam szpital dla oficerów, którzy ku swemu wielkiemu*

zdziwieniu spotkali się z naszej strony z troską daleko większą, niż od swoich. Wielu z nich od kilku dni nie zmieniano opatrunków. Umiejący po francusku gospodarz mojej kwatery powiedział, że słyszał, jak francuscy oficerowie rozprawiali na temat stanu ich armii, kiedy po bitwie przeszła ona do Landsbergu. Powiadali mianowicie, że gdyby nie pozostający w odwodzie, nie biorący udziału w bitwie korpus marszałka Bernadotte'a, zabrakłoby świeżych sił, by osłonić odwrót. Wojska ich bowiem pozostawały w stanie ogromnego chaosu a liczba maruderów przybrała niewyobrażalne rozmiary. Wielu ich korpusom zabrakło amunicji...<sup>13</sup>.

Rozległo się pukanie do drzwi, zasłoniętych grubą aksamitną kotarą.

– Wejść! – zakomenderował gromko niczym na polu bitwy Aleksiej Pietrowicz, zastanawiając się w duchu, kto i z czym przybywa. Drzwi lekko zaskrzypiały („Ten głupi Piet'ka mógłby wreszcie wysmarować zawiasy!”), kotara uchyliła się i stanął w progu młody ordynans, trzymając w ręku zalakowany list. „Oczywiście zapomniał, że korespondencję dla generała powinno się podawać na tacy; dobrze choć, że jest w białych nicianych rękawiczkach...”.

– Dawaj, *durak!* Coś jeszcze?

Piet'ka zaprzeczył ruchem głowy, co ponownie zirytowało Aleksieja Pietrowicza, który od kilku miesięcy nie mógł nauczyć chłopaka, że naczelnemu dowódcy należy odpowiadać na pytania pełnym zdaniem:

– Ile razy ci mówiłem, że kręcić i kiwać łbem to możesz do koni albo do twoich koleżków z artelu!<sup>14</sup> Jeśli jeszcze raz się to zdarzy, dostaniesz baty!

– *Tak toczno, wasze błagorodje! Winowat, winowat!* – ordynans kajał się z udawaną pokorą, uśmiechając się w duchu; wiedział, że w gruncie rzeczy Aleksiej Pietrowicz to człowiek wprawdzie impulsywny, ale dobroduszny. On udaje, że się strasznie boi kary, zwierzchnik – że się strasznie gniewa. Ot, taka ich codzienna gra, bez której trudno byłoby wyobrazić sobie dzień na służbie u sławnego weterana tak wielu kampanii.

Aleksiej Pietrowicz odprawił chłopaka ruchem ręki i przyjrzał się listowi. Pieczęć kancelarii imperatora Mikołaja I. „Zaczęło się” – skonstatował generał z westchnieniem. Sam jeszcze nie był pewien, czy to oznaka gnębiących go obaw, czy westchnienie ulgi, że oto nareszcie wszystko się rozstrzygnie...<sup>15</sup>.

Nazajutrz rano Timofiej, trzymający się teraz cały czas razem z Fiedotem i Borysem, zaczął snuć bardziej sprecyzowane plany ucieczki, starając się przy tym nie zdradzić przed starym grenadierem. Poznał też jego nazwisko i nazwę rodzinnej miejscowości: Timothée Leboeuf z Sandillon, niedaleko Orleanu. Nazwy te niewiele mówiły rosyjskiemu podoficerowi, lecz Timothée bardzo poruszająco opowiedział mu poprzedniego wieczora o Joannie – Dziewicy Orleańskiej, która przed wiekami przyczyniła się do oswobodzenia Francji spod jarzma Anglików. Ci ostatni byli sojusznikami Rosji w obecnej wojnie, jednak Tima niejedną raz miał okazję słyszeć rozmowy starszych oficerów, którzy bardzo cierpko wyrażali się o tych aliantach. Nie jemu jednak roztrząsać tego rodzaju zawilości wojny i polityki – jego rzecz uciec z niewoli, znów walczyć, dowodzić pododdziałem, nie dać się zabić. Teraz jeszcze – odnaleźć Marfę i wymyślić, co dalej. Kiedy wszyscy trzej usiedli pod ścianą szopy oparci o nią plecami, zaczęli cicho rozmawiać.

– *Rebiata*, co zapamiętaliście od czasu pojmania w niewolę? To znaczy gdzie was trzymali, pod jak liczną strażą, czy ta straż była bardzo czujna?

– *Gospodin unteroficer* – zaczął Fiedot – Nas obu i tamtych pozostałych, w tym tego wielkiego dragona, powiedli prosto z pola do takiego *pomiestja*<sup>16</sup>, zdaje się że „Szunwize” czy jakoś tak... Był tam też nasz porucznik Żadowski, ale zaraz na trzeci dzień jego i pozostałych oficerów zabrali dokądś wozem. Do jakiegoś miasta niedaleko, ale nie do Heilsbergu. Po tych walkach sprzed kilku dni strażnicy czuli się pewnie, nawet nie zawsze było ich widać. Nie obawiali się ani buntu, ani ucieczek. Zresztą dokąd mielibyśmy uciekać, skoro nie znamy tej okolicy? Rannych opatrzyli, jeść marnie bo marnie, ale dawali...

– Ten majątek to bardzo daleko stąd?

– E, nie, niecała wiorsta; żeby nie pagórki, to i stąd byłoby widać.

– Duży ten folwark? I jak położony, to jest czy wokół lasy, czy łatwo stamtąd uciec i zmylić tropy?

– No właśnie nie bardzo. Więcej lasu dopiero za bagnem, gdzie jest kolejny, większy majątek. Wypytalibyśmy pacholków ze dworu, ale nie umiemy po niemiecku. Porucznik, zanim go wywieźli, powiedział tylko, że z mapy generała pamięta bardzo duży las, ale w którym kierunku się ciągnie, to nie wiemy...

Timofiej pomyślał, że dobrze byłoby dyskretnie porozmawiać z kimś ze Schwollmen; unteroficer mógł rozmówić się zarówno po niemiecku, jak i po polsku, a te dwa języki zupełnie wystarczały do komunikacji z tutejszymi ludźmi.

– *Gospodin unteroficer* – wtrącił się Borys – Tak sobie myślę, czy nie byłoby też dobrze wtajemniczyć tego ogromnego dragona. Taki wielkolud mógłby się nam przydać w drodze do naszego wojska. Może walczyć z kilkoma naraz, każde drzwi rozwali...

– Wezmę to pod uwagę – powiedział Timofiej po chwili zastanowienia – Jednak nie znamy go, nie wiemy czy umie trzymać język za zębami, no i czy w ogóle zechce uciekać. Nawet jeśli jest tak bardzo silny, to przez swoją posturę jest także znaczny, zapamięta go każdy z ludzi napotkanych przypadkowo po drodze.

– Nazywa się Foma Dragomirow. Od początku jest ciągiem w złym humorze i powtarza, że dla niego ta niewola to hańba, jakiej dotąd w życiu nie zaznał – odezwał się Fiedot – Mówił też, że musi pomścić śmierć przyjaciela, który poległ półtorej wiorsty stąd.

– Niedobrze, bo to znaczy że gwałtownik i w gorącej wodzie kąpany – zadumał się Timofiej – Na pewno przydatny w walce, ale łatwo może się zdradzić albo sprowokować Francuzów nie w porę. No, ale spróbuję go wybadać.

Fiedot myślał nad czymś intensywnie. Zaciskał usta, spoglądał co chwila na unteroficera i zaraz umykał z oczami... Wreszcie oparł się łokciem o kolano, położył dłoń na policzku, poruszył brwiami i z namaszczeniem powiedział:

– Ja nie wiem, czy to ważne, ale wydaje mi się, że tak...

Tima i Borys obrócili wzrok na Fiedota, zaciekawieni tym wstępem.

– Kiedy byliśmy w tym „Szunwize”, Francuzi trzymali razem z nami czterech Prusaków. Trzech z kawalerii i jednego z piechoty – kontynuował Fiedot – Ci kawalerzyści trzymali się osobno, za to ten z piechoty chętnie by z nami pogadał, tylko

nie bardzo było jak. Wiadomo, inna mowa, *kak gus' s porosionkom*<sup>17</sup>. Tyle wszakże pojąłem, że on z tej okolicy. Pokazywał na siebie, mówił „Gregor Edmer”, znaczy chyba nazwisko takie, i powtarzał „cwajuncwancyk fizylier bataljon sztuterchajm”<sup>18</sup>, jakoś tak podobnie. I jeszcze parę razy mówił „Heilsberg”.

Timofiej był poruszony tą wiadomością. Jego twarz przybrała wyraz triumfu, z rozmachem klepnął Fiedota w ramię i omal nie wrzasnął:

– Braciszku, to dopiero dobra nowina! Jeśli uda nam się uciec ze Schwollmen, musimy koniecznie dotrzeć do tego Gregora Edmera! Skoro był tu w garnizonie, zna dobrze całą okolicę. Z nim nie zginiemy w tym obcym kraju.

– A co z dragonem? – upewniał się Borys.

– Spróbujemy zabrać i jego ze sobą. Oby tylko nie narobił kłopotów. No to... byłoby nas razem pięciu. Grupa znaczna, za to z niezwykłym siłaczem i tutejszym, co zna wszystkie ścieżki. Zaczynam wierzyć, że nam się uda!

Tima zamyślił się. „Chłopaki dobrze znają drogę do Schönwiese, tam zaś Francuzi trzymają tego Edmera, który jest zaznajomiony z okolicą... Potrzebny tylko pretekst, żeby opuścić szopę nie budząc czujności straży”. Jego wzrok powędrował ku wierzejom stodoły, w której ich trzymano. Klepisko na przestrzeni kilku kroków pokryte było świeżo nanoszonym z zewnątrz czarnym błockiem. „Przedtem tyle tego błota nie było” – skonstatował. I nagle go olśniło: „Nie było tyle błota, bo na dworze panowały mrozy, toteż żołdaci i ich nadzorcy wnosili do szopy na butach tylko śnieg, pozostawiający mokre plamy. Teraz nastąpiła nagła, głęboka odwilż, więc jest i błoto!”. Dał znak kamratom i szepnął:

– Słuchajcie, tam za mostem, na śniegu, leżą nasi zmarli ranni, wśród nich niestety także brat mojej Marfy, Igor...

Fiedot i Borys zrobili wielkie oczy. Tima opowiedział krótko, jak to Igor Rodionowicz Daniłow umarł na jego rękach, i jak on sam obiecał mu, że go pochowa jak należy. Dotąd trupy spoczywały sztywno na śniegu, bo ziemia była zbyt zmarznięta. Ale teraz... Być może to niepowtarzalna okazja; do tego prośba, by przy kopaniu grobu i grzebaniu zwłok pomagał im zwalisty Foma Dragomirow, wyda się Francuzom całkiem naturalna. „Oj, Igor, braciszku, przydasz się swoim jeszcze ten jeden, ostatni raz”. O losie Marfy Timofiej na razie postanowił nic nie mówić. Poczeka z tym do czasu, aż zdołają odzyskać swobodę ruchów.

Tymczasem, po upływie kolejnej zmiany, młody żołnierz nadzorujący jeńców w szopie wstał i pomachał ręką do kogoś na zewnątrz. Kolejny dyżur przejął stary Timothée Leboeuf. Usiadł przy ogniu i jak zwykle uśmiechnął się do Timofieja, który całkiem szczerze odwzajemnił uśmiech. „Uczynię wszystko, by podczas ucieczki nie wyrządzić mu szkody, to dobry człowiek...” – pomyślał. To właśnie od rozmowy z grenadierem postanowił podjąć sprawę pogrzebu zmarłych. Podszedł do Francuza, przyjaźnie skinął dłonią i usiadł po drugiej stronie misy z żarem. Przez chwilę szukał wśród niewielkiego zasobu przyswojonych francuskich słów tych właściwych; było to bardzo trudne, bo zasób był niewielki:

– *Timotje, la soł notre mort kamarad...*<sup>19</sup> – wskazał ręką w kierunku mostu i rzeczki, a następnie skierował palec na siebie, Fiedota, Borysa i siedzącego w odległym



kącie stodoły Dragomirowa, po czym wstał i zaczął naśladować gestami wbijanie łopaty i odrzucanie ziemi na bok. Grenadier uważnie przyjrzał się Timofiejowi, po czym w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia. Pokazał na swoją pierś, potem na zewnątrz:

– *Le commandant décide. Je vais lui dire*<sup>20</sup> – powiedziawszy to, wstał, w progu szopy przywołał jednego z żołnierzy a potem sam wyszedł. Powrócił po kilku minutach z zadowoloną miną. Zrozumieli, że jest zezwolenie na pogrzebanie zmarłych. Timothée oznajmił powoli i wyraźnie:

– *Bien; vous pouvez enterrer les morts. Cependant, après la soupe.*

Nigdy jeszcze Tima z taką niecierpliwością nie oczekiwał na wydanie posiłku. Dyskretnie poinstruował kamratów, żeby zachowali przydzielony chleb, jedząc tylko zupę. Na początek dobre będzie i tyle, potem się zobaczy. Żadnych specjalnych przygotowań nie trzeba czynić – wszak żaden z nich nie miał niczego do zabrania a droga do Schönwiese była Fiedotowi i Borysowi znana. Trzeba będzie tylko przygotować się do obezwładnienia nadzorców. No i, przede wszystkim, zaraz pogadać z Fomą Dragomirowem. To ostatnie wziął na siebie Timofiej jako podoficer mogący wymagać posłuchu od szeregowego, nawet jeśli to dragon a nie muszkieter. Kiedy Dragomirow podszedł do kotła po miskę zupy i dzienną rację chleba, Tima gestem wskazał mu miejsce pod ścianą, przy własnym legowisku. Lekko zdziwiony, ale i zaintrygowany dragon bez słowa udał się za nim. Zagarniając łyżką i wlewając beznamiętnie do ust, niczym zegarmistrzowski automat, kolejne porcje zupy, Foma łypał od czasu do czasu okiem na Timofieja. Zastanawiał się, czego chce od niego ten podoficer piechoty. Wreszcie:

– Foma Dragomirow, zgadza się?

– No tak, a kto i dlaczego pyta? Znaczy, do czego *gospodinu unteroficeru* potrzebny taki zwykły dragon, jak ja?

– Umiesz ty, Fomka, trzymać język za zębami? Bo od tego los nas wszystkich zależy...

Dragon był wyraźnie podekscytowany. Obnażył zęby w drapieźnym uśmiechu i puścił oko do Timofieja, domyślając się, w czym rzecz:

– *Znaczi, udirajem, gospodin unteroficer? Kogda?*<sup>21</sup>

– Spokojnie, Foma, spokojnie. Może jeszcze dziś, a może za parę dni. Pójdziemy za rzeczkę grzebać naszych zmarłych i wtedy spróbujemy.

– Ale Francuzi na pewno nas samych tam nie puszcza. Trzeba będzie poskręcać im karki. Aaa, teraz rozumiem, po co jestem potrzebny... No, dobra, jak dla mnie w porządku. Mam ja z nimi swoje porachunki, za mojego Griszkę. Ubili go tam za rzeczką w potyczce! – Dragomirow zacisnął olbrzymie pięści.

– Pojmuję twój ból, Fomka, ale zabijać będziemy tylko jeśli to będzie absolutnie konieczne. Nie martw się, do końca wojny daleko, zdążysz się zemścić.

Nieco zawiedziony dragon pokiwał jednak głową ze zrozumieniem i poprzysiągł utrzymać sprawę w sekrecie. Oddalił się na swoje legowisko i czekał. Pozostali także czekali na decyzję dowódcy straży. Mijały godziny, a grenadier Leboeuf nie wracał. Dzień się powoli kończył, wkrótce nastanie zmierzch. Wyglądało na to, że sprawę przyjdzie odłożyć na jutro, a może i jeszcze dalej. Pogoda może się znowu odmienić i wtedy trzeba będzie szukać innego sposobu ucieczki...

Wtedy nagle w otwartych wrotach stodoły pojawiły się trzy sylwetki strażników, w tym Timothée Leboeufa. Dwaj młodszy żołnierze trzymali w rękach wyrobione w twardym drewnie łopaty, okute żelazem. Rosjanie zrozumieli bez słów, że sprawa pochówku ruszyła z miejsca, i że zaraz wszystko się rozstrzygnie.

Kilka minut później czterech Rosjan pod nadzorem trzech uzbrojonych Francuzów – dwóch młodych żołnierzy i Leboeufa, przekroczyło Elm po drewnianym moście, na którym kilkanaście dni temu rozgrywały się dantejskie sceny. Przewrócone do wody działo i końskie truchło zdążono już usunąć. Strażnicy nie dali jeńcom łopat do rąk, nieśli je sami. Łód na rzeczce był wyraźnie mniejszy, lekko żółty i pełen drobnych dziurek przypominających otworki w serze. Czarna na jego tle bystra woda głośno szumiała i w wielu miejscach wyskakiwała na krawędź lodowej pokrywy. Po śniegu i lodzie w poszukiwaniu żeru spacerowały bez lęku kawki i gawrony, znacząc łapkami zawile tropy. Odwilż. Niedaleko za mostem leżeli w dwóch rzędach zmarli żołdaci, razem szesnastu. Timofiej poszukał wzrokiem Igora, który spoczywał pośrodku pierwszego rzędu. Dla ochrony przed ptasimi dziobami Francuzi już przed kilku dniami pozdejmowali zmarłym szynele i okryli nimi głowy i górne części ciał. Chwilowo pomogło. Teraz należało znaleźć odpowiednie miejsce do wykopania zbiorowego grobu. Leboeuf rozejrzał się i, zwracając się do Timofieja, zatoczył ręką półokrąg, wskazując położoną nieco wyżej piaszczystą skarpe, oznaczającą uskoki terenu. Wzdłuż niej zalegała wielka sterta słomy. Timofiej zrozumiał: to jedyne miejsce, gdzie będzie można wykopać grób – ziemia okryta słomą nie zamrzęła nawet podczas poprzednich mrozów! Obaj młodzi strażnicy kilku żywymi ruchami odgarnęli część słomy, z rozmachem wbili łopaty w ziemię, ustawili się po obu stronach grupki jeńców i zdjęli z ramion nabite karabiny. Timothée skinął na Rosjan, by ujęli łopaty i odrzucili słomę na bok, zostawiając tylko cienką warstwę. Potem grenadier skrzesał ognia i podpalił te resztki, by dodatkowo rozgrzać glebę. Kiedy ogień zgasł, Rosjanie zaczęli kopać rów w poprzek stoku. Pierwszy chwycił za łopatę Dragomirow, drugą wziął Borys. Okazało się, że pod warstwą wypłowiałej trawy zalegają zwały sypkiego piasku, łatwe do poruszenia. Nie minęła godzina, a wykopali już spory kawał rowu, długiego na szesnaście łokci, szerokiego na sześceń; docelowo zamierzali wbić się w ziemię na głębokość trzech łokci<sup>22</sup>. Teraz łopatę przejął od Borysa Fiedot, jednak kiedy Tima spróbował tego samego z Dragomirowem, ten przecząco pokręcił głową i kopał dalej. Obaj „koporcy” byli lekko zdyszani, natomiast po dragonie nie znać było najmniejszego zmęczenia – kopał z obojętnością czochrającego się o szorstką dębową korę żubra. Nie rozmawiali, słychać było tylko chrzęst piasku i odgłos wbijania łopat w ziemię. Niewidoczne zza chmur słońce znalazło się tuż nad horyzontem, zbliżała się pora zachodu. Grób był gotowy. Tima pomyślał, że ta rozkopana zimną ziemią ma specyficzny, przyjemny zapach. Zapach kojarzący się raczej z urodzajnym ogrodem, a nie z cmentarną jamą śmierci. Na znak Leboeufa Rosjanie zaczęli przenosić zmarłych, po dwóch za każdym razem, i układać ich z pietyzmem w mogile. Pierwszy od lewej spoczął Igor Rodionowicz, którego policzka Timofiej dotknął palcami prawej dłoni w geście pożegnania, odgarniając mu następnie kosmyk włosów z czoła. Półgłosem wypowiedział słowa:

– Bywaj, braciszku. Spotkamy się w innym, lepszym świecie. Da Bóg, opowiem o

wszystkim naszej kochanej Marfie, a może i odwiedzimy cię tutaj razem, pomodlimy się i położymy na mogile ucałowaną naszymi ustami gałązkę bzu. Takiego samego, jak w naszym Wozniesienskoje... – nieznacznie otarł łzę.

Kiedy ułożyli pozostałych, odmówili krótką modlitwę i zabrali się za zasypywanie grobu. Uklepali łopatami długi kopiec z żółtego piasku, a stary grenadier podał im przyniesione ze sobą dwie równe żerdki brzozone i kawał cienkiego rzemienia. Dragomirow ujął jedną żerdkę w dłonie i, ku zdumieniu Francuzów, złamał ją na dwie części tak łatwo, jakby to była słomka. Jedną połówkę przywiązał rzemieniem u góry, drugą – nieco niżej, ukośnie. Zaciekawieni strażnicy zobaczyli dziwny krzyż z dwiema poprzeczkami, który Dragomirow już za pierwszym razem wbił mocno i głęboko w mogiłę. W tym momencie ostatecznie zaszło słońce. Jeńcy i Francuzi zamierzali właśnie ruszyć z powrotem za rzeczkę, do Schwollmen, kiedy nagle dobiegł z tamtej strony odgłos wystrzału karabinowego a potem liczne okrzyki zaalarmowanych straży. Padły kolejne wystrzały. Ponad wrzawę przebił się głos kapitana dowodzącego garnizonem osady nadzorującym jeńców:

– *Aux armes! Les cosaques! Sauvez le dépôt de munitions!*<sup>23</sup>

Z odległości około dwustu kroków widać było biegnących ku północnemu skrajowi osady żołnierzy francuskich z karabinami. „Nasi kozacy napadli zniemacka na Schwollmen! Może ucieczka nie będzie potrzebna?” – Timofiejowi przemknęła przez głowę radosna myśl. Spojrzał na Leboeufa i naraz wydarzyło się coś dziwnego. Grenadier wydał obu młodym Francuzom krótki rozkaz, po czym ruszyli oni biegiem za rzeczkę. Timothée pozostał sam z czterema jeńcami, w tym jednym olbrzymem. „Oszalał?” – zdumiał się Tima. Przez chwilę trzej Rosjanie wpatrywali się w swego podoficera, on zaś we Francuza. Uciekać czy oczekiwać rezultatu potyczki? A jeśli to tylko typowy dla kozaków rajd zwiadowczy i za moment znikną oni tak samo nagle, jak się pojawili? Ciemność bardzo szybko kładła się nad okolicą. Wkrótce sprawa rozstrzygnęła się sama – strzały i zamieszanie w Schwollmen zaczęły cichnąć, Francuzi przestali krzyczeć... Co zatem robić? Wracać do szopy? Uciekać? Taka okazja może nieprędko się powtórzy. A co z Leboeufem – zabić go czy tylko ogłuszyć? Jedno i drugie napełniało Timofieja niesmakiem. Jednak stary grenadier zaskoczył Rosjanina po raz kolejny. Podał mu kawał rzemienia, odwrócił się plecami i złożył razem nadgarstki, oglądając się za siebie i zachęcająco kiwając głową. Tima zrozumiał: Leboeuf chce, żeby związać mu ręce z tyłu. Chce ułatwić im ucieczkę! Nie sposób było wytłumaczyć tego inaczej! Rosjanin poważnie skinął głową, po czym związał grenadiera. Stanął naprzeciwko niego, rzucił cicho: „*Merci...*”<sup>24</sup> i spontanicznie uściskał. Również pozostali skinęli głowami w geście podziękowania i pożegnania. Po chwili cała grupka uciekinierów zniknęła w ciemnościach, starając się trzymać krzaków porastających brzegi Elm.

W maleńkich litewskich Rudziszkach panowały, jak zwykle o tej porze roku w guberni wileńskiej, siarczyste mrozy. Potok płynący przez wieś zupełnie zamarzał i wodę trzeba było czerpać z przerębli; także w nielicznych studniach, opatrzonych żurawiami, każdego dnia musiano rąbać lód długimi okutymi drągami. Mieszkańcy liczącej niespełna dziesięć drewnianych, krytych strzechą domów wioski wychodzili z ciepłych chałup tylko powodowani absolutną koniecznością. Jedyne koło karczmy Ajzyka Rudziszker<sup>25</sup> widać

było nieco większy ruch; karczma i wieś leżały przy ważnej drodze z Trok, dalej rozchodzącej się na Olitę i Orany. Dlatego kilku młodych Żydów, zamieszkujących dwa obejścia, prawie cały czas a to biegalo do stajni, obór i kurników, a to kursowało między karczmą i spiżarnią, czasem zaś wyjeżdżało po towary do miasta lub z nimi powracało. Trafiały się i sprawy urzędowe. Tylko stary, owdowiały przed piętnastu laty, siwobrody Ajzyk w zwykłe dni nie opuszczał ani na moment swego *geszeftu*<sup>26</sup>, wiedząc, że „pańskie oko konia tuczy” a i dwóch dorastających córek dobrze przypilnować nie zaszkodzi. Bo to albo ktoś im, albo one same sobie gotowe jakie nieszczęście wyszykować. Wyjeżdżał tylko na szabat, bo w Rudziskach nie było koniecznej do wspólnych modłów liczby dorosłych żydowskich mężczyzn. Także grubsze *geszefty* załatwiał osobiście. Niby zwykły wiejski karczmarz, Ajzyk prowadził wszakże szerokie interesy, zarówno z synami Izraela, jak i z *gojami*, bez różnicy – katolikami, prawosławnymi czy mahometanami. Miał także duże wpływy w po nowemu zorganizowanym *kahale*<sup>27</sup>. Poza „strefę osiedlenia”<sup>28</sup> docierał w interesach za pośrednictwem zaprzyjaźnionych Rosjan, w tym nawet duchownych. Należał do nich batuszka Jermołaj z Wozniesienkoje w guberni pskowskiej. Ajzyk załatwił dzięki jego pomocy wiele ważnych spraw, w wyniku których jego skromny trzosik znacznie się zaokrąglił, wszystko odbyło się zresztą ku uciesze obu stron prowadzonych *geszeftów*, jak i – ma się rozumieć – pośrednika. Dlatego nie wypytywał zbyt o szczegóły, kiedy Wowka popowicz, syn Jermołaja, zwrócił się do niego z wielce osobliwą sprawą. Jesienią, 5 *Cheszwan* 5567 roku<sup>29</sup>, Ajzyk wybrał się w piątkowy poranek na kolejny szabat do odległej o kilkanaście wiorst gminy w Sumiliskach<sup>30</sup>. Natknął się tam niespodziewanie na jadącego niewielkim wozem Wowkę, któremu towarzyszyła zakutana w chusty i pledy postać. Wkrótce okazało się, że to młoda, bardzo urodziwa dziewczyna. Żyd zachował się spokojnie i rzeczowo, zadowolając się tymczasem oświadczeniem Wowki Jermołajewicza, iż sprawa jest delikatna (jakby Ajzyk kiedykolwiek zajmował się sprawami innymi, niż delikatne!), i że wszystko wyjaśni w bardziej dyskretnym miejscu. Do zachodu słońca, kiedy rozpoczynano szabat, pozostawało kilka godzin. Trzeba było szybko znaleźć dla Wowki i dziewczyny jakieś locum i to aż do niedzieli. Domy żydowskie nie wchodziły w rachubę ze względu na szabat. Na szczęście karczmarz z Rudzisek miał od lat dobrych znajomości także wśród tutejszych chrześcijan. Ludzie ci nie mieli zwyczaju zadawania niemądrych pytań, kiedy Ajzyk o coś prosił; podobnie działało to w odwrotną stronę. Ostatnio takich „delikatnych” spraw zrobiło się więcej, jako że zwiększono pobór w żołdacy i podniesiono podatki na utrzymanie wojsk regularnych oraz milicji. Bardziej dokuczliwe zrobiły się też rekwizycje, nie zawsze egzekwowane z zachowaniem formalnie obowiązujących zasad.

Teraz trzeba jednak było zająć się Wowką i jego tajemniczą towarzyszką. Najlepszym w tej potrzebie adresem wydał się Ajzykowi kowal Piotr Bałutko, właściciel kuźni położonej niedaleko od placu targowego miasteczka. Karczmarz bez słowa wskazał przybyszom, by podążali za jego telegą, w której poza ojcem rozsiadły się dwie córki: osiemnastoletnia Fajga i szesnastoletnia Chana. Obie spoglądały ciekawie na Wowkę i dziewczynę. Jego już kiedyś widywały w Rudziskach, lecz dziewczyna była zupełnie obca. Po prawdzie mało co było widać – jej twarz i kształty skrywała chusta i gruby pled;

tylko wielkie błękitne oczy, ocienione długimi rzęsami, od czasu do czasu błyskały zza przymkniętych powiek. Spod chusty wysunął się też pojedynczy, niesforny kosmyk jasnych włosów, który dziewczyna natychmiast wsunęła z powrotem. Ajzyk cmoknął na konie i wóz potoczył się ulicą w stronę kościoła świętego Wawrzyńca i centralnego placu, pełniącego funkcję targowiska. Miał on charakterystyczny trójkątny kształt. Mały konwój przejechał wzdłuż jednej z pierzei placu i skierował się do małego bocznego zaułka, kończącego się nad niewielką rzeką.

– To Strawa – odezwał się milczący dotąd Ajzyk – za miastem wpada do jeziora. Jezioro nazywają Niestrowa, lepiej to zapamiętać, żeby nie zwracać zbytnio na siebie uwagi. Po rusku gadać możecie, byle tylko w ostrej potrzebie. W miasteczku jest garść prawosławnych, ale nie kuście losu i nikogo bez przyczyny nie nagabujcie. Dopóki nie wrócę po was.

Wowka i zakutana dziewczyna bez słowa pokiwali głowami. Po chwili Żyd zatrzymał konie tam, gdzie słyhać było wyraźnie odgłosy walenia młotami w żelazo. Był to ostatni budynek, położony trochę na uboczu, nad samą rzeką, dla bezpieczeństwa od pożaru. Przed kuźnią stało kilku wieśniaków i trzy niewielkie, koślawe wozy, z czego dwa wyprężone. Widocznie konie właśnie podkuwano. Chłopi byli dobrze podchmieleni, co zdradzały maślane oczka, mocne rumieńce i z daleka zauważalne, niezborne ruchy. Jeden z nich trzymał w rękach flaszkę obszytą twardą skórą, pociągnął łyk i podał kolejnemu, który przyssał się do niej z wyraźnym zachwytem. Inny odwrócił się do wozu i wydobył kolejną wraz z niedużym poćciem słoniny. Perspektywa dalszej biesiady nastroiła chłopów życzliwie do świata, toteż ten, który dopiero co pociągnął z flaszki, zawołał bełkotliwie do Ajzyka siląc się na protekcyjny ton:

– Ej ty, Żydzie! Znaj co dobra krześcijańska dusza, gólnij sobie z nami!

Mając na uwadze nadchodzący wieczór szabatowy, karczmarz musiałby zdecydowanie odmówić, zwłaszcza zakąszania słoniną – a wtedy awantura gotowa! Co robić? Nie tylko o siebie mu szło, ale także o dwie młode córki, i o niespodziewanych gości... Fajga i Chana na wszelki wypadek skuliły się i nakryły pledami wraz z głową, byle ukryć się przed wzrokiem obcych, nietrzeźwych mężczyzn. Podobnie dziewczyna od Wowki nasunęła chustę na całą twarz. Kiedy wahanie się przedłużało, zniecierpliwiony wieśniak potrząsnął jeszcze raz flaszką i mruknął zachęcająco czyli, jak tu mawiano, „z prynuką”:

– Nu! Pij, Żydzie! – i nagle rzucił – Aaaa, gardzisz?! Gardzisz?!

Nastała chwila napięcia, po czym do pijaka nagle odezwał się młody mężczyzna przybyły z Ajzykiem. Wowka, celowo zniekształcając rosyjskie słowa i udając bełkot, zawołał:

– *Ech, bratuszki, ostawtie toho Żida! On durnyj, nie soznaje sia na choroszoj horyłkie. Żal takomu dawat', on wypijot jejo kak wodu i wkusa nie poczuwstwujet. Nie Żidom choroszuju horyłku wypiwat'! My bratuszki chrestijany, ja s wami wypiju s udowolstwujem!*<sup>31</sup>

Opój spojrział zdumiony i czknął głośno, co prawdopodobnie przywróciło mu życzliwe nastawienie do ludzi, bo uśmiechnął się i chwiejnym krokiem podszedł do Wowki, by go serdecznie uściskać i wycalować zaślinionymi ustami. Wowka pociągnął z

flaszki, umiejętnie zasłaniając sobą skuloną w głębi wozu dziewczynę. Potem grzecznie ugryzł kawałek słoniny i podziękował za poczęstunek. Zanim chłop zdecydował, czy kontynuować tak dobrze się zapowiadającą ucztę ze świeżo poznanym młodzieńcem, w drzwiach kuźni pojawił się wieśniak prowadzący za uzdy dwa dopiero co podkute konie. Cała gromadka ochoczo rzuciła się je zaprzęgać do wozów i po kilku minutach podochocone towarzystwo, strzeliwszy kilkakrotnie z fantazją z batów, ruszyło z gwizdami i turkotem kół w stronę centralnego placu. Dopiero wtedy Ajzyk wszedł we wrota kuźni, mrużąc oczy w mroku, rozświetlonym tylko słabym światłem od uliczki i żarem paleniska. Przy kowadle stał wysoki, dobrze zbudowany kowal i dwaj kilkunastoletni kowalczycy – czeladnicy. We wnętrzu pomieszczenia było, mimo drugiej połowy października, bardzo ciepło.

– Szczęść Boże, wszystkiego dobrego panu Piotru! Jak zdrowie małżonki, jak dziatki się mają i szanowna mateczka pana Piotra? – zaczął Ajzyk życzliwym tonem, ustawiając się tak, żeby kowal mógł go lepiej zobaczyć i rozpoznać. Kowal przyjrzał się uważnie przybyłemu i wyszczerzył niekompletne uzębienie w szerokim uśmiechu.

– A, witajcie, panie Ajzyk! Dawno już u mnie ni bywszy, tak prosiem, prosiem w nasze niskie progi! Tak tylko z wizyto po starej družbie, czy z jakim interesem, a?

Uścisnęli sobie mocno dłonie, po czym Rudziszker wskazał szerokim gestem towarzyszące mu stadko:

– Panu Piotru nie będzie konfuzji albo nijakiej zaboty, jeśli dwie owieczki na przechowanie do niedzieli u niego ostawię? Sprawa nagła, delikatna.

– Panie Ajzyk, a nijakiej polityki w tym aby nie ma? Bo od tego to ja z daleka...

– Żadnej polityki, żadnej polityki – Żyd uderzył się w piersi dla podkreślenia swych słów – Ot, muszą znaleźć dach na dwa dni i w oczy ludzkie bez potrzeby nie leżć. Ludzie spokojne, kłopotu nie narobią. W niedzielę ich zabiorę i pan Piotr o wszystkim zabędzie. O wszystkim, ale nie o starym druhu Ajzyku, nieprawdaż?

Teraz kowal wałnął się potężnym kułakiem w pierś:

– Ja miałby zabyć pana Ajzyka? A komu ja obowiązany jestem za wykup mego najstarszego, Antuka, od pójścia w żołdacy? On jeszcze całkiem durny pastuszek, jemu by tam życie złamali. Zmarnowałyby mi się chłopak jak, nie przymierzając, Rodziewicz kotka...

– I ja niejedno panu Piotru życzliwie pamiętam. Tak więc ostawiam te owieczki u was, do niedzieli. Teraz mnie spieszno do rodziny, niedługo szabat, a córki jeszcze całkiem nie gotowe.

Karczmarz pożegnał się i opuścił kuźnię. W jej wrotach stała para młodych ludzi z niewielkimi tobołkami. Kowal Bałutko machnął ręką na jednego z czeladników:

– Zenuk, zabierz konia do naszej stajni, daj siana i obroku, wóz zatocz pod okap. A ty, Antuk, prowadź gości do matki i babki, niech ich nakarmio i pokażo, gdzie majo spać. O nic nie wypytywać. Ludzie od Ajzyka – tyle wystarczy.

Syn kowala poprowadził Wowkę i dziewczynę przez mały majdan za kuźnią do chaty z drewnianych smołowanych belek, krytej trzciniową strzechą. W opartych na drewnianych słupach podcieniach stała wielka kadź z wodą, w ścianach widać było cztery oszklone okna z okiennicami i kolorowo malowane, dwuskrzydłowe płycinowe drzwi.

Wewnątrz, w obszernej sieni prowadzącej na przestrzał do drzwi w tylnej ścianie domostwa, było ciemno, pachniało sieczką i wysmarowaną tłuszczem skórą. Antuk skierował się w słabo widoczne drzwi po lewej stronie sieni i po chwili wszyscy troje weszli do porządnie ogrzanej kuchni, w której krzątały się dwie kobiety: jedna około czterdziestoletnia, druga o jakieś dwadzieścia lat starsza. „Żona i matka” – pomyślał Wowka. W kącie przeciwległym do rozżarzonego na glinianej kuchni paleniska z żeliwnym rusztem, na baraniej skórze obok szerokiej ławy, bawiła się para dzieci: chłopiec i dziewczynka w wieku około ośmiu – dziesięciu lat. Na ruszcie stało kilka dużych, ceramicznych garnków, w których coś bulgotało i intensywnie parowało. Starsza z kobiet podawała jakieś przyprawy, młodsza mieszała w garach. Na szerokim okapie nad paleniskiem stały mniejsze garnki, kubki i cynowe dzbanki, na ścianach i u ciemnego drewnianego stropu suszyły się pęki ziół. Antuk pokłonił się w pas starszej pani:

– Babko, tatko kazali tu gości przywieść i o nic nie pytać. Do niedzieli ostanò. One od Ajzyka...

Kiedy chłopak wyszedł, kobieta otrzepała dłonie i wytarła je o zapaskę. Po chwili, obejrzawszy oboje młodych, spytała:

– Może głodne so? Aj, głupi pyta! Anciotka, daj co jeść i pić. Potem pokaż, gdzie król piechoto chodzo, wody do mycia nalej, dzbanek i ręczniki daj. Później im nocleg przygotujem.

Młodsza z kobiet postawiła na stół michę kaszy kraszonej słoniną i wetknęła w nią dwie drewniane łyżki. Obok stanęły dwa gliniane kubki z kozim mlekiem. Wowka i jego tajemnicza towarzyszką (uważny Czytelnik zapewne domyślił się już, że była nią Marfa) stojąc przeżegnali się jak prawosławni, trzema palcami i po trzykroć, z pokłonami, odmówili krótką modlitwę i z apetytem spałaszowali podaną strawę. Podziękowali po polsku, z silnym rosyjskim akcentem. Gospodynie udawały, że tego nie słyszą. Dzieci patrzyły z otwartymi buziąmi na gości, ale były zbyt nieśmiałe, by się odezwać. Po wizycie w dyskretnym miejscu Wowka i Marfa umyli w misce z wodą twarz, szyję i ręce. Następnie udali się na spoczynek.

Posłano im w komorze, na dwóch ławach. Pierwszy o świtaniu zbudził się Wowka, Marfa jeszcze spała. Młodzieniec na palcach podszedł do jej posłania i cicho przysiadł na zydlu u wezłowia, wpatrując się w dziewczynę, z którą miał się wkrótce pożegnać, może na zawsze... Marfa leżała na plecach, jej piękna, otoczona długimi pasmami jasnych włosów twarz była lekko zwrócona w stronę ściany. Bładoróżowe usta i zamknięte, ozdobione długimi rzęsami oczy zdawały się uśmiechać do własnych snów. Okrywający Marfę pled zsunął się nieco, odsłaniając w rozcięciu lnianej koszuli idealnie gładką szyję i krągłe, lecz szczupłe ramiona. Odwieczny instynkt i wyobraźnia próbowały skierować myśli Wowki nieco dalej, jednak – wbrew naturze – zwalczył to natychmiast i bardzo stanowczo. „Nie wolno ci! Innemu, nie tobie Wowka, pisane jest przekroczyć złote Carskie Wrota w świątyni tego cudownego, alabastrowego ciała”. Kiedyś myślał o tym z goryczą, dziś – w obliczu ostatecznego być może rozstania – ze zdumiewającym spokojem, pogodzony z losem. Ponownie przeniósł spojrzenie na jej twarz, doznając nagłego rozczulenia. Jego ciemne, brązowe oczy zalśniły od gromadzących się łez, kiedy popatrzył na włosy o barwie mlecznego, lekko przydymionego bursztynu, których jeden

kosmyk dziewczyna przygryzła przez sen kącik ust. Bezwiednie wyciągnął dłoń i zapragnął choć koniuszkami palców dotknąć jej włosów na skroni. Jednak dłoń zatrzymała się na cal przed twarzą dziewczyny. Wstrząsnęło nim ciche łkanie, palce drżały w powietrzu. Przypomniała mu się zasłyszana gdzieś myśl: „Najbardziej boli tam, gdzie kończy się moja dłoń, a nie zaczyna twoja...”.

Nagle Marfa westchnęła głębiej, rozciągnęła ramiona nie otwierając oczu i nadal się uśmiechając, po czym uniosła powieki i – ujrawszy młodzieńca – wzdrygnęła się odruchowo. „Nie tobie, Wowka, ona pisana, nie o tobie śniła” – powtórzył w myślach po raz nie wiadomo który. Zaraz jednak na twarz Marfy powrócił uśmiech, choć nieco inny, niż ten we śnie. Dziewczyna ściągnęła rozchełstaną koszulę prawą dłonią, kładąc lewy policzek na drugiej dłoni, z łokciem opartym o poduszkę.

– Wiesz, Wowka – zaczęła wesoło Marfa, a oczy jej wręcz promieniały – Miałam dobry sen. Śniłam, że Tima żyje, że mnie odnalazł i na zawsze byliśmy już razem...

Wowka zmusił się do uśmiechu. W jego duszy, sercu, myślach, w całym ciele wrzało, gotowało się, cały w środku drżał. Nie, nie był już zazdrosny – Timofiej miał więcej szczęścia, to on zyskał serce Marfy, Wowka się z tym pogodził i nie żywił niechęci do żadnego z nich obojga. Ale ten żal, głęboki czarny żal i poczucie, że jego żywot zmierza donikąd, nie ma celu, nie ma nadziei. Że jego słońce zachodzi i już nigdy nie wstanie świt... Zerwał się gwałtownie i przeprosił, że musi wyjść, ale zaraz wróci. Nie witając się z gospodarzami przebiegł kuchnię i sień, wypadł do podcieni i tam dopiero wydał głuchy, stłumiony jęk bólu i beznadziejnej rozpacz. Po jego urodziwych, gładkich policzkach popłynęły gorące, szczere łzy, których nawet nie próbował wstrzymać. Po chwili poczuł ulgę. Zacerpnął dłonią wody z kadzi, opłukał twarz i wytarł rękawem. Powoli zawrócił do domu, tym razem kłaniając się rodzinie kowala na powitanie. Nie nagabywany, udał się do komory. Marfa już się umyła, uczesała i zaplotła włosy w długi warkocz. Miała na sobie barwną spódnicę i zapaskę. Na koszulę narzuciła sukieną jubkę, obuła sznurowane czerwone kamaszki. Uśmiechała się jak zawsze: zarazem ustami i oczami. Zapytała z lekkim niepokojem:

– Czy coś się stało, Wowka? Tak nagle wybiegłeś...

– *Niczewo, Marf, niczewo! Żyw, zdrow... i kogda tiebia wiżu, sowsiem dowolen*<sup>32</sup>.

Marfa, jakby wyczuwając, że opowiedziany sen miał coś wspólnego z zachowaniem chłopaka, nie wracała do tego. Wkrótce żona kowala poprosiła ich na posiłek. Podczas jedzenia rozległo się stłumione odległością bicie dzwonu z kościoła świętego Wawrzyńca.

– Pewnie nie wiezdo, ale nasz Laurenty, znaczy Wawrzyniec, to najstarszy dzwon w całej Litwie – odezwał się kowal – Znaczy tej naszej, bo na Białej i Czarnej Rusi, koło Mińska, Grodna czy Nowogródka, to się moży i starsze trafio... Ale w Litwie ten nasz najstarszy; kazali go zawiesić król Jagiełło i książę Witold, w Roku Pańskim tysięcznym czterechsetnym i dwudziestym.

Marfa i Wowka pokiwali z podziwem głowami, ale nic nie powiedzieli. Po południu matka kowala zaproponowała obojgu sobotnią kąpiel w drewnianej bani, pobudowanej w sadzie za domem, nad samą rzeką. Po robocie w kuźni Antuk z Zenukiem nanieśli wody i całe naręcza wieników brzoźowych, rozpalili ogień, by rozgrzać kamienie.



Marfa, matka, żona i córeczka kowala zażyły łaźni w pierwszej kolejności. Piotr Bałutko żartował, że gdyby żył ojciec, pierwsi poszliby się wyparzyć i wychłostać wienikami mężczyźni. Kiedy wspólnie zasiadano do wieczerzy, wszyscy czuli się czyści, wypoczęci i zdrowi. „Nie ma to jednak, jak dobra parowa bania” – stwierdził w myślach Wowka, któremu po kąpieli nastrój się poprawił. On i Marfa zamienili nawet z gospodarzami kilka słów, po czym ponownie udali się do komory na spoczynek.

Ajzyk Rudziszker, uważnie wysłuchawszy opowieści Wowki i Marfy, zamyślił się głęboko i zafrasowany gładził swoją długą, siwą brodę, co zwykle pomagało mu się lepiej skupić. Nie ulegało wątpliwości, że dziewczynę trzeba jakoś ukryć i to tak, by dla ewentualnych poszukiwaczy ślad jej zagał. Natomiast Wowka powinien jak najszybciej opuścić gubernię i wracać do siebie, by nie wzbudzać podejrzeń. Już i tak dotarł pod Troki na lewym paszporcie podróznym, który czynił z niego handlarza prawosławnymi dewocjonaliami, jakie rzekomo rozprowadzał wśród katolickich Polaków i Litwinów, propagując jedyną prawdziwą, wspieraną przez imperium wiarę... Ajzyk widział tylko jedno rozwiązanie: przez jakiś – nie wiadomo na razie jak długi – czas Marfa Rodionowna będzie musiała pozostawać pośród litewskich Żydów. Żeby nie budzić niezdrowej ciekawości otoczenia, musi uchodzić za Żydówkę, krewną Rudziszker. I nie pchać się zbyt ludzom przed oczy. Bo raz, że jasnowłosa i niebieskooka, dwa, że – nawet Ajzyk przy swym poważnym wieku nie mógł tego nie dostrzec – wyjątkowo urodziwa. Przyszło im żyć w kraju, gdzie na wszystko potrzebna była odpowiednia *bumaga* z pieczęcią i stosownym podpisem. Tak więc i dla Marfy taką *bumagę* trzeba załatwić. Od tego był *kahał* w Sumiliszkach, który wystawiał okolicznym Żydom paszporty podrózne i inne dokumenty. Tam Ajzyk, wykorzystując swoje układy, sprokuruje odpowiednie papiery. To może trochę kosztować, ale... cóż, stare przyjaźnie i wspólne interesy zobowiązują. Żyd klepnął się z rozmachem prawą ręką w kolano, wstał i oznajmił:

– Wowka, dziś zanocujecie wraz ze mną u mojej rodziny, żeby kowalowi nie nadojeść. Jutro z rana pojedziemy do magistratu i podbijesz paszport podróznym, żeby potwierdzić twój pobyt w Sumiliszkach w sprawach handlowych. Zostały ci tam jeszcze jakie szkaplerzyki i krzyżyki na szyję?

– Papa zadbał o wszystko, panie Rudziszker; mam jeszcze garść szkaplerzy ze *Swiatom Nikołajem* i *Bogomatierju*. W pudełkach opatrzonych pieczęcią naszej parafii w Wozniesienskoje i pismem od papy, znaczy od batiuszki Jermołaja... – żarliwie potwierdził chłopak.

– Bardzo roztropnie, bardzo roztropnie. A wy, Marfo Rodionowna, musicie się jak najszybciej nauczyć nowego imienia i nazwiska. Wyrobimy wam papiery na nazwisko mojej zmarłej daleko stąd, na Podolu, młodej kuzynki. Cała jej bliska rodzina zmarła podczas zarazy. Żydami nikt się specjalnie nie interesował, byle podatki płacili. Włosy ukryjesz pod czarną chustą – tu Ajzyk zniemacka przeszedł wobec dziewczyny na „ty” – Wdziejesz żydowskie ubranie, lico na podróż przyciemnimy ci wywarami ziołowymi<sup>33</sup>, oczu za często nie podnoś, bo takie wielkie i błękitne, że... Zamieszkasz z nami w karczmie w Rudziszkach. Będziesz się odtąd zwać Chawa Milch, córka Hirsza Milcha i jego żony Ester. Miałaś też młodszego brata, ośmioletniego Meira. Wszyscy pomarli od zarazy, więc wziął cię pod opiekę jedyny krewny, daleki kuzyn z Litwy, znaczy ja: Ajzyk

Rudziszker. Nigdy dotąd się nie widzieliśmy, stąd niewiele o sobie wiemy. Urodzona jesteś w Płoskirowie, we wtorek 23 *Siwan* 5548 roku, to jest 1 lipca 1788... Zapamiętasz?

Marfa, niesamowicie przejęta a nawet trochę przerażona, spojrzała niepewnie, ale po chwili stwierdziła, że jeśli sobie to kilka razy powtórzy, to zapamięta. Musi. Jeśli trzeba, nauczy się wszystkiego, co potrzeba, żeby uchodzić za cichą, pokorną żydowską sierotę, unikającą kontaktu z ludźmi po utracie najbliższych. Ajzyk skinął głową z aprobatą. Pojętna dziewczka, jakoś to będzie.

– Wowka wracając uwiadomi sekretnie twojego brata Igora, gdzie przebywasz. A teraz, moje dzieci, musicie się pożegnać, nie wiedzieć na jak długo, może na zawsze... Tę noc spędzicie jeszcze pod jednym dachem, ale w różnych izbach, takie nasze żydowskie zwyczaje, chłopak i dziewczka w waszym wieku nie mogą spać w jednej izbie, jeśli nie są małżeństwem. Wyjdę do kuźni, nie będę wam przeszkadzał; stary jestem, ale widzę, że skoro Wowka tak wiele dla ciebie ryzykował, to... no, lepiej będzie, jak pożegnacie się sami, bez obcych oczu.

Ajzyk wyszedł z komory, zamykając za sobą drzwi, cicho skrzypiące zawiasami. Nastąpiła głęboka, obejmująca cisza. Żadne z nich nie mogło wydusić ani słowa. Wreszcie Wowka otworzył usta i przemówił ze ściśniętym gardłem:

– Marf... – głos mu się łamał, do oczu napływały łzy – Marf, jeden Bóg na niebie wie, kiedy ja cię znowu zobaczę... Bóg jeden wie, czy w ogóle jeszcze kiedyś cię zobaczę... Ja... ja nie wiem, jak mi żyć bez twego widoku, bez twego głosu... Nie mogąc ująć i ucałować twej dłoni... Tak bardzo, tak bardzo będzie mi brakowało tego wszystkiego, co było moją radością, co oświetlało moje ciemne dni i noce. Tej świadomości, że nad rzeką, na drodze, w cerkwi zawsze mogę cię ujrzeć, pośmiać się razem, pomówić... Od lat, Marf, od lat... Ale ty to przecież wiesz.

– Wiem... – Marfa wypowiedziała tylko to jedno słowo, jednak tak bardzo z głębi duszy, z taką emocją, że starczyło za wielką uroczystą przemowę.

Wowka po raz pierwszy w życiu ośmielił się ująć obie dłonie Marfy, ucałował je z emfazą i zaraz potem, jakby przestraszony, dodał:

– Marf, chcę cię bardzo przeprosić, za wszystko, czym mogłem cię obrazić albo przestraszyć, za te moje nieopatrne słowa...

– Nie masz za co mnie przepraszać, Wołodia – Marfa zwróciła się do niego tak poważnie po raz pierwszy, odrzucając dziecinne, od lat wypowiedane na co dzień „Wowka”, jakby dostrzegając w nim zupełnie innego człowieka – Nie masz za co mnie przepraszać. Nie miałam nigdy lepszego, wierniejszego przyjaciela, teraz też tylko dzięki tobie uniknęłam nieszczęścia. Gdyby nie Tima...

– Nic już nie mów, Marf. Ja też wiem. Czy pozwolisz się uściskać, ten ostatni raz, na zawsze?

Marfa bez słowa otoczyła jego szyję swym ramieniem i lekko musnęła ustami policzek. Wowka poczuł na twarzy dotyk jej czystych po wczorajszej kąpeli, pachnących lawendą<sup>34</sup> włosów. Ta chwila będzie musiała wystarczyć na lata, może do samego końca. Bo miał silne przeczucie, graniczące z pewnością, że nigdy już się nie zobaczą. Gorką pociechę stanowiła dlań inna myśl: że mroczne dni, jakie miał jeszcze przed sobą, być może są już odmierzone i że wkrótce wszystko pograży się w ostatecznych ciemnościach

i ciszy. Ból przeminie. Płomień żywota zgaśnie. Nastąpi ukojenie.

Odstąpili od siebie bez pośpiechu, ostrożnie, jakby zbudzeni ze snu. Spojrzeli po sobie z pewnym zażenowaniem, lekko zawstydzeni dopiero co minioną chwilą. Bez słowa oboje zaczęli zbierać swoje rzeczy i układać na grubych chustach, wiążąc je następnie w tobołki podróżne. Wowka skończył pierwszy i rozejrzał się raz jeszcze po komorze, w której spędzili tak blisko siebie dwie noce i dwa dni. Zwykła izba o ścianach z pobielanych belek, proste ławy zasłane siennikami, pledami i lnianą pościelą. „Najpiękniejsze miejsce na świecie” – pomyślał. Po czym, zwracając się do dziewczyny, powiedział:

– Żegnaj, Marf, moja... Żegnaj. Niech cię Bóg prowadzi. Niech cię Tima odnajdzie i uratuje. Niech wam szczęście sprzyja. A ja... mnie wystarczy ciemność. Nie jest taka zła, potrafi ukoić, przytulić jak gwiazdzista letnia noc. Cudownie jest zasnąć pod gwiazdami... choćby na zawsze.

Prastary pogański bóg Anteros<sup>35</sup> zyskał kolejnego wyznawcę. Nadchodząca noc była jednak pochmurna, jesienna. Zimny wiatr pędził na swoich skrzydłach tabuny więdnących liści. Przed kilku dniami na odległym o prawie tysiąc wiorst polu uległa zagładzie wielka armia jeszcze niedawno potężnego mocarstwa. Druga wielka armia zalała pokonany kraj. Jeszcze inna wielka armia, tocząc się niczym lawa, ruszyła mu na pomoc. W setkach tysięcy domów zamarły na twarzach uśmiechy, polały się łzy. Na drogach warczały tarabany, dudniły koła wozów i armat, biły w ziemię końskie kopyta i żołnierskie buty. Wzbijały się w niebo ostre sygnały trąbek, głosy komend, śpiew maszerujących wojsk. Towarzyszyły im wielkie stada ścierwojadów...

Czwórka uciekinierów ze Schwollmen, korzystając z zapadających ciemności, bardzo ostrożnie ominęła zakole Elm i przylegające do niego rozmarznięte bagienko, przechodząc niemal pod samymi zabudowaniami Jegothen. Na szczęście bystra rzeczka płynęła urwistym parowem, do którego nikt się po ciemku bez potrzeby nie zapuszczał. W samej wsi pozostało tylko kilkunastu Francuzów i garstka jeńców, w większości rannych lub chorych. Po walkach z 6 lutego powróciła też część mieszkańców, zajmując swe opuszczone i nieco zdemolowane kilkunastodniowym kwaterunkiem domy i obejścia. Kiedy jednak Timofiej, Fiedot, Borys i Foma Dragomirow zbliżyli się do małej, posiadającej zaledwie kilka domów osady Elmswalde, nie sposób było choćby na chwilę nie wyjść na drogę wiodącą z Jegothen do Neuendorfu. Widoczne w mokrym śniegu koleiny, ślady kopyt i obutych stóp świadczyły, że była ostatnio często używana. Pierwszy opuścił parów Timofiej i uważnie się rozejrzał, nasłuchując odgłosów z osady. Panowało w niej jednak głucho milczenie. Konturów jej słabo rysujących się na tle nieba dachów nie wyostrzał nawet najmniejszy odbłask płonącego ogniska, z kominów nie unosił się ani jeden słupek dymu. „Osada jest opuszczona” – skonstatował Tima. Obejrzał się za siebie i cicho gwizdnął przez zęby. Pozostała trójka także wyszła na drogę i wszyscy ostrożnie zbliżyli się do pierwszej z chat. Jej drzwi były otwarte na oścież, w pokrywającej dach strzesze ziały wielkie dziury, na podwórzu leżała porozrzucana słoma, trzcina z dachu i cuchnące końskie truchło. Widać było czarne ślady po trzech ogniskach, walające się wokół nich resztki poogryzanych kości i brudne, tłuste od oliwy szmaty pozostałe po czyszczeniu broni. Także wewnątrz domu nie było żywej duszy. Timofiej nakazał Borysowi i Fomce sprawdzić pozostałe domostwa; rezultat okazał się ten sam. Za ciasno

skupionymi budynkami osady rozpościerały się otwarte pola, zaraz za domami rósł tylko niewielki świerkowy las. Uciekinierzy nie mieli ze sobą żadnych bagaży, postanowiono więc, że przenocują w domu najbardziej oddalonym od drogi, zmieniając się na czatach aż do świtu; w razie potrzeby na sygnał wartownika wszyscy łatwo schronią się w lasku, nie pozostawiając śladów swej bytności. Niczego lepszego i tak nie mogli uczynić. W izbie kuchennej jednego z domów znaleźli pomiędzy garnkami krzesiwo i dobrze wysuszoną hubkę. Niedobrze tylko, że nie można będzie rozpaścić ognia, a noce zimne, mimo odwilży. Cóż, do rana jakoś wytrzymają w zamkniętej, jeszcze niedawno zamieszkałej i ogrzewanej izbie. Najpierw trzeba też przeszukać cicho osadę i spróbować znaleźć coś do jedzenia. Na to ostatnie po prawdzie nie za bardzo liczyli – mieszkańcy uszli z dobytkiem, Francuzi zapewne zjedli wszystko, co pozostało... Mając jednak tylko po ćwiartce chleba wydawanego przy posiłkach w Schwollmen, woleliby zdobyć coś jeszcze. Poszukiwanie na zewnątrz jam z zadołowanymi ziemniakami było nazbyt ryzykowne; musieli zadowolić się przeszukaniem izb i piwniczek, o ile takie są w tutejszych chatkach. W ostateczności ziemianek zauważonych w sadach. Na poły po omacku, potykając się o porozwalane pod nogami rozbite i przygotowane do spalania meble i drewniane elementy konstrukcyjne, przeczesywali nieliczne zabudowania Elmswalde, podczas kiedy Foma Dragomirow obserwował drogę. Niestety, ani ziemniaków, ani kaszy nie znaleźli; jedynym ich łupem stały się poukładane na wiszącej u stropu belce lekko przywędłe jesienne jabłka i wciąż twarde zielone gruszki. A i tych nie było zbyt wiele.

– *Gospodin unteroficer!* – zawołał nagle Borys. Jego stłumiony głos dobiegał z podziemnej spiżarni. Zeszli tam także Tima z Fiedotem, zastając Borysa nad odwaloną na bok drewnianą pokrywą, którą dotąd maskował niewielki stos zardzewiałego żelastwa i rozbitych glinianych skorup. Sługa poświecił w głąb jamy znaną w „czarnej” izbie kuchennej latarnią. W drgającym świetle zatkniętej w jej wnętrzu świecy Rosjanie ujrzeli kilka sporych woreczków z lnianego płótna, z których emanowała delikatna, przyjemna woń. Znali te zapachy z rodzinnych domów – woreczki, najwyraźniej ukryte w ostatniej chwili, zawierały dobrze wysuszone grzyby i owoce. To już było coś konkretnego, w dodatku możliwego do dłuższego przechowywania. Borys nadal przyświecał, zaś Fiedot uklęknął nad jamą i zaczął wydobywać kolejne woreczki, które okazały się niezwykle lekkie, co stanowiło w oczach uciekinierów dodatkową zaletę. Naraz Fiedot zamarł, rzucił szybkie spojrzenie na Timofieja i Borysa, sięgnął głębiej i po chwili wydobył spory słoż z grubego szkła, zawierający ciasno poutykane połówki gruszek w gęstej zalewie. Szyjka słoja była zatkana cienkim drewnianym dekielkiem, obwiązana płótnem i uszczelniona roztopionym woskiem pszczelim. Więcej „skarbów” skrytka nie zawierała.

– Dziś zjemy po połowie racji chleba, po jednym jabłku i opróżnimy ten słoż, który i tak by nam w drodze zawadzał – zaordynował Timofiej. – Pozostałe zapasy rozdzielimy po równo, ale spożywać je będziemy tylko według norm, jakie ustalę ja. Powiem kiedy i ile można zjeść. Na tym tu musimy przecież przetrwać nie wiadomo jak długo. Potem zobaczymy.

– Suszone grzybki zachowamy do jakiej lepszej gorącej potrawy, *gospodin unteroficer* – stwierdził z humorem Borys.

– A suszone jabłuszka i gruszczyki damy do grzanego winka, kiedy już je zdobędziemy – Fiedot nie pozostał dłużny koledze. Widać było, że nastrój im się wyraźnie poprawił.

– Pytanie tylko, czy dzisiejsza mizerna wieczerza zadowoli naszego „Iłję Muromca”, tak dzielnie trzymającego straż na drodze? – uśmiechnął się pod wąsem Tima i natychmiast znów spoważniał. – Od tej chwili wartę obejmuje Borys, potem Fiedot, po nim ja. Borys, powiadom Fomkę o zasadach racjonowania żywności i przyślij go do naszej „kwatery”. Od razu zabierzesz jabłko. Zostawimy ci twoją porcję tego co w słoju.

– *Tak toczno, gospodin unteroficer!* – Borys przekazał Fiedotowi latarnię, pobrał jabłko i ruszył na drogę, do Dragomirowa. Po kilku minutach wszyscy trzej, poza wartownikiem, zasiedli pod ścianami najbardziej bliskiej lasku chaty. Każdy odłamał po pół racji chleba i zaczęli powoli go przeżuwać, zagryzając jabłkiem. Dla dorosłych mężczyzn było tego mało, toteż wszyscy ciekawi byli zawartości słoja. W nabożnym skupieniu patrzyli, jak Timofiej ostrożnie usuwa zamknięcie.

– Pewnie te gruszki to w syropie, takie bardzo słodkie... – nie wytrzymał Foma, oblizując się zawczasu jak kilkuletni dzieciak – Moja babuszka takie mi zawsze robiła jesienią.

Prawda okazała się inna: po usunięciu dekielka w całej izbie rozszedł się zapach mocnego, wonnego alkoholu. Gruszki były zalane wysokoprocentową okowitą, która – po przyprawieniu miodem – utrwaliła ich smak i zapach, nadając od siebie tak miłą żołnierskiemu sercu krzepkość. W tę zimową noc, spędzaną w nie ogrzewanej izbie opuszczonego domostwa, nic nie mogło im sprawić większej radości, niż ten zacnych rozmiarów słoje.

Fiedot Jefimow objął wartę krótko po północy. Noc była ciemna, pochmurna, tyle że nie wiał zbyt silny wiatr, co czyniło stanie na czatach znośnym. Kawałek czerstwego chleba, jabłko i parę gruszek doprawionych miodem i okowitą przyjemnie ogrzewało żołądek. Od strony niedalekich, choć skrytych za pagórkami Jegothen widać było słabą łunę, jaką tworzyły płonące ogniska. Niemrawo poszczekiwał pojedynczy pies, co sprawiało wrażenie powrotu wsi do względnie normalnego życia. Od czasu do czasu lekki powiew poruszał bezlistnymi gałęziami krzaków przy drodze i wywoływał chwilowy szum świerków w zagajniku. Fiedot obserwował prawie wyłącznie drogę, gdyż jakiegokolwiek zagrożenie mogło nadejść właśnie stamtąd – od Neuendorfu lub Jegothen. Zwłaszcza ten pierwszy kierunek był wielką niewiadomą, gdyż o niecałą wiorstę od Elmswalde rozciągał się tam, na lewo od drogi, królewski las, ograniczający horyzont i tłumiący wszelkie odgłosy. Oczywiście dla zwykłego riadowego był to po prostu las. Od dziecka jednak zwykł traktować las z respektem i obawą; z lasu brano chrust, grzyby, jagody, mniej czy bardziej legalnie wypasano bydło i świnie, ale też z lasu wychodziły napadające na inwentarz wilki, tam kryli się niejednokrotnie ludzie wyjęci spod prawa – a nie każdy z nich był niewinną ofiarą samowoli pomieszczyka czy skorumpowanego urzędnika. Krótko mówiąc – las był zawsze tajemnicą i trzeba było uważać. Toteż Fiedot uważał. Żeby nie zasnąć i nazbyt nie zmarznąć, robił co chwila parę kroków, starając się nie wychodzić poza głęboki cień zalegający u ściany chaty stojącej tuż przy drodze. Jednak w zalegającej wokół ciszy każde chrupnięcie mokrego śniegu lub mlaśnięcie błota

pod naciskiem buta wydawało się żołdatowi głośnym jak metaliczny chrzęst przestawianych na półce kuchennej cynowych misek. Ruszał się więc niewiele i marzył coraz bardziej. W końcu uznał, że jeśli zrobi krąg dokoła tych kilku skupionych chat, nic się nie stanie, a on się lekko rozgrzeje i sprawdzi, co widać z drugiej strony, od zagajnika. Ostrożnie stawiając kroki ruszył drogą w prawo, ku Jegothen, by zaraz znów skrócić w prawo i zacząć obchodzić zabudowę Elmswalde. Cały teren wokół opustoszałej osady był zdeptany butami i kopytami, rozjeżdżony kołami. Podobne ślady ciągnęły się licznymi sznureczkami w stronę zagajnika i z powrotem. Fiedot uśmiechnął się, domyślając się przyczyny – to tam francuscy „królowie” okupujący do niedawna osadę „chodzili piechotą”. „To bardzo dobrze” – pomyślał – „Gdyby przyszło nam się tam szybko ukryć, nasze ślady nie będą jedyne i nie wzbudzą podejrzeń”. Kiedy powrócił na posterunek przy drodze, wydało mu się, że po przeciwnej stronie usłyszał jakiś dźwięk. Coś jakby chrupnięcie mokrego śniegu pod butem. Zaczął nasłuchiwać, ściskając w rękę solidną nogę od drewnianej ławy do spania. Było jednak zupełnie cicho. Tak minęły kolejne minuty, po czym odgłos powtórzył się, tym razem aż pięciokrotnie – ktoś lub coś zbliżało się do drogi od przeciwnej strony, gdzie pół wiorsty dalej płynęła Elm. Fiedot cicho wycofał się w głąb zabudowań i obudził kamratów. Ci bez słowa pozapinali szynele, zgarnęli tobolek z owocami i grzybami, po czym szybko, lecz ostrożnie i jak najciszej ukryli się w zagajniku. Otoczyła ich zewsząd ściana ciemnych, gęstych gałęzi, wciąż pokrytych mokrą okiścią śniegu. W nocnym powietrzu unosił się delikatny zapach świerkowego igliwia, zbutwiałej kory, grzybów i porostów. Znacznie intensywniejsza była woń ludzkich ekskrementów, obficie zalegających zewnętrznym pas zagajnika. Zwyczajni takich zapachów, traktowali je jak rodzaj informacji: tu kwaterowało i biwakowało wielu żołnierzy. Znacznie bardziej ich uwagę przyciągało to, co działo się na drodze. Oto nagle wiatr rozwiął chmury i za moment na niebie pojawił się jasno świecący księżyc. W jego blasku ujrzeli pojedynczą ciemną sylwetkę, która wyłoniła się spoza kępy niskich krzaków, rozejrzała na boki i nagle szybkimi, długimi susami przecięła drogę, wpadła pomiędzy opuszczone chaty i – nie zatrzymując się przy żadnej z nich – ruszyła biegiem wprost do zagajnika, gdzie kryli się zbiegli Rosjanie. Na czoło czatującej wśród świerków grupy wysunęli się dzierżący drewnianą pałkę Fiedot i zwalisty Fomka Dragomirow, który przybrał postawę zapaśnika, pochyliwszy nieco ciało i wysunąwszy do przodu swoje straszliwe łapska. Zbliżająca się tajemnicza postać była pozbawiona płaszcza i nakrycia głowy, ukryci w zagajniku zbiegowie słyszeli jej ciężki oddech. Od świerków dzieliło ją już tylko kilka kroków. Już tylko dwa, jeden... Wysoki mężczyzna wbiegł pomiędzy gęsto rosnące drzewa i natychmiast zderzył się z Dragomirowem, który sprawnie schwycił go za usta i barki, obracając plecami ku sobie. Fiedot zamachnął się pałką, obaj wraz z Fomą spojrzeli na Timofieja. Ten rzucił cicho:

– *Niet! Brat' jego żywym!*<sup>36</sup>

W tym samym momencie zamarli wszyscy, gdyż spod lasu od strony Neuendorfu rozległ się tętent kopyt i na drogę wypadła grupa kawalerzystów, nawołujących się po francusku. Wszyscy trzymali w rękach pochodnie. Huzarzy. Timofiej liczył ich wzrokiem, dochodząc do jedenastu. Ten jedenasty wyglądał na podoficera, wymachiwał rękami i wydawał rozkazy. Dwaj nie zeszli z koni i stanęli na drodze, po jednym z każdej

strony osady. Dwaj inni trzymali konie. Kilku przetrząsało krzaki przy drodze, inni na czele z dowódcą wpadli do opuszczonych chat. Słysząc było ich śmiechy na przemian z przekleństwami. Trzaskały kopane resztki mebli, nagle rozległ się brzęk tłuczonego szkła, któremu towarzyszył wyjątkowo wściekły okrzyk. „Czyżby znaleźli nasz opróżniony już słoje?” – pomyślał Tima z przelotną, niemądrą satysfakcją. Naraz ujrzał, że jeden z huzarów podchodzi do zagajnika, inny zatrzymał się kilkanaście kroków za nim. Obaj przyświecali sobie pochodniami. Pierwszy ostrożnie rozchylił gałęzie rosnącego z brzegu świerka i wsadził między nie głowę, rozglądając się czujnie. Zanim jednak Rosjanie zdążyli się dobrze przyjrzeć jego twarzy albo skrócić mu kark, spomiędzy gałęzi wyrwała się spłoszona wiewiórka i, cukając głośno, skoczyła na czako Francuza i – wykonawszy następny skok – popędziła po zaśnieżonym polu w ciemność. Huzar odetchnął z ulgą, by zaraz potem zakląć siarczyście: – *Merde!*<sup>37</sup> – i wycofać się z zagajnika, gwałtownie wycierając but o mokry śnieg. Zmierzając wolno ku kamratowi, wciąż wycierał but i powtarzał wściekle jak obłąkany: – *Merde! Merde! Merde!*

Jego kompan zaczął się śmiać i po chwili skomentował przygodę kolegi:

– *Merde? Oui, littéralement „merde”! Il est pour la chance*<sup>38</sup>.

Huzar z zafajdanym butem warknął coś, lecz po chwili klepnął kompana w ramię i głośno się roześmiał. Obaj ruszyli ku drodze. W kilka minut później podoficer zakomenderował „na koń” i cały oddział podążył ku Jegothen i Schwollmen. Księżyc ponownie skrył się za chmurami, oddalająca się kawalkada z pochodniami wyglądała jak ognisty wąż. Zniknęli i ponownie zapadła cisza.

Timofiej nakazał Fomce puścić schwytanego mężczyznę. Ten z trudem złapał oddech, wyprostował się i odruchowo poprawił odzienie. Miał na sobie zielony mundur pruskich fizylierów. Spojrzawszy na Rosjan, rozpoznał sojuszników i odetchnął z ulgą. Wtedy nagle Borys zawołał radośnie:

– *Gospodin unteroficer, ja jego znaju. Eto Prusak, s kotorym my poznaomilis’ w „Szunwize”!*<sup>39</sup>

Prusak zamrugnął niebieskimi oczami, przyglądził jasny lok nad czołem i, wyprężając się na baczność, wysunął do przodu podbródek i lekko haczykowaty długi nos, po czym wypalił:

– *Herr Unteroffizier! Gregor Edmer, Soldat des XXI Füsillier-Bataillon von Stutterheim. Ich bin aus französisch Gefangenschaft geflohen*<sup>40</sup>.

Timofiej pokiwał głową i stwierdził krótko po niemiecku:

– *Wir auch!*<sup>41</sup> – po czym wydał całej grupie rozkaz natychmiastowego opuszczenia zagajnika i Elmswalde; jedynym sensownym kierunkiem dalszej ucieczki stawał się widoczny w pobliżu królewski las.

Trudno byłoby rozpoznać w rozczocharanym, brudnym, poowijanym szmatami osobniku z prawą ręką na płóciennym, niegdyś białym i czystym, teraz szaroburym i cuchnącym temblaku, dziarskiego podporucznika Ledru. Jak na szyderstwo, nie rozplotły mu się tylko dwa huzarskie warkoczyki na skroniach, sztywne od brudu i sterczące idiotycznie na boki niczym groteskowe rogi albo owadzie czułki. Ledru starał się udawać twardziela, jednak na każdym kolejnym wyboju wstrząsy marnej, przeraźliwie skrzypiącej źle nasmarowanymi osiami chłopskiej furmanki, sprawiały mu dojmujący

ból. Rana cięta zadana szablą polskiego ułana z pruskiego pułku „Towarzyszy” pod koniec wielkiej bitwy na polach pod tym zapyziałym miasteczkiem, jak mu tam... Preussisch Eylau... goiła się powoli i nadal ropiała. Dobrze, że – na prośbę marszałka Davouta – obejrzał ją i kazał opatrzyć sam słynny doktor Larrey. Ropiała, ale nie czerniała ani nie śmierdziała, co dobrze rokowało. Antoine wyczuwał pod lewą pachą rękojeść swej ulubionej szabli, wypróbowanej towarzyszki bojów. Została mu ona jedna i buty; piękny mundur był w strzępach, czako przepadło w opłotkach płonącej wsi Kutschitten<sup>42</sup>, koń wraz z rzędem i mantelzakiem w bronionym przez żołnierzy III korpusu brzoźowym zagajniku. Tylko szabla i buty... No, nie tylko. Ledru obrócił głowę w bok i uśmiechnął się blado widząc leżącego na słomie, głęboko uśpionego i słabego, ale już nie gorączkującego Raymonda Bareza, postrzelonego w pierś tuż pod prawym obojczykiem. Podporucznik dołączył do sztabu krótko przed bitwą i wyprosił pozwolenie na walkę u boku kamratów z akcji 6 lutego. Raniony, nie miał pojęcia, co stało się z pozostałymi: Gastonem, Pierrem i François. Pruskiego *Waldwarta* Webera zwolnili jeszcze tamtego dnia w Launau, wydając mu przepustkę, opatrzoną pieczęcią generała Frianta. Antoine spotkał Raymonda w lazarecie w Landsbergu, kiedy w kilkanaście godzin po bitwie wniesiono młodego szasera, nie wykazującego oznak życia, do udającej szpital szopy. Opatrzono go szybko, używając niemal ostatnich resztek szarpi, bandaży i środków dezynfekujących. Szczęśliwie kula przeszła na wylot nawet nie trącając łopatki, rana była dość czysta i zaczynała się goić. Kilka dni po wielkiej bitwie cesarz opuścił spustoszone, ogołocone z żywności i furazu okolice Preussisch Eylau. Spędził jedną noc na plebanii ewangelickiej w Landsbergu i podążył dalej, do Freimarkt a potem przez Wormditt do Liebstadt<sup>43</sup>. Zaczęła się ogólna ewakuacja armii na rubież rzeki Passarge<sup>44</sup> i w rejon górnego biegu Alle. Za moment mieli wkroczyć do Landsbergu Rosjanie. Z landsberskiego lazaretu zabrano tylko część rannych i chorych, w tym – na wyraźne polecenie generała d’Aultanne’a – obu młodych kawalerzystów: podporucznika Ledru i szasera Bareza. Dzięki temu obaj uniknęli rosyjskiej niewoli. Teraz telepalili się w długiej kolumnie wozów, zaprzęgów artyleryjskich i poszarzałych, wymęczonych i zdziesiątkowanych oddziałów kawalerii i piechoty. Raymond po raz pierwszy otworzył oczy podczas krótkiego postoju we Frauendorf<sup>45</sup>, kiedy pojono i karmiono konie, wydając przy okazji bardzo marne racje żywnościowe żołnierzom. Młody szaser spojrział nieprzytomnie i cicho wyszeptał:

– *Quel est ce village? Est-il Launau?*<sup>46</sup>

– Nie, Frauendorf. Jedziemy na Wormditt i Liebstadt. Do Launau stąd będzie kawał drogi w bok. Dlaczego pytasz?

Raymond spojrział na Antoine’a ze zdziwieniem. Jak podporucznik mógł nie zapamiętać takiej ślicznej dziewczyny jak Lieselotte?! Szaser wypowiedział więc jej imię z taką emfazą, na jaką pozwalał jego stan. Ledru uśmiechnął się wyrozumiale pod wąsem, ongiś płowym i zawadiackim, teraz przypominającym dwa wiechcie zleżalej słomy. Pokręcił głową, trochę z ironią a trochę z podziwem:

– Ale cię wzięło... No, ale jak sobie ją dobrze przypomnę, to coraz bardziej cię rozumiem! Dziewka niepospolitej urody, do tego bystra i rezolutna.

– *Monsieur le sous-lieutenant*, boję się, że spotka ją coś złego. Wtedy, w lesie,



obiecałem jej, że wrócę. Tylko czy będzie do czego, do kogo...

– Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie, Barez. Nikt nie potrafi. Trzeba wierzyć; jeśli nawet nie w takiego czy innego boga, to w swoją i jej dobrą gwiazdę, w szczęście... Raymond, czy uważasz, że masz szczęście? Bo na przykład nasz cesarz lubi otaczać się szczęściarzami, a nie znosi pechowców.

– Zależy, co pan ma na myśli, *monsieur le sous-lieutenant*...

Ledru spojrział na niego spod przymrużonych powiek i z nieokreślonym uśmiechem sprecyzował:

– No, szczęście w sprawach z kobietami, z dziewczynami. Czy na przykład przydarzyły ci się już jakieś „czarujące epizodziki”?

– Znaczy, czy były jakieś obłapki? To to tak, bywało, krew nie woda a fertycznych dziewuch na świecie niemało, zwłaszcza u nas we Francji. Czasem trudno się opędzić, bo jak nic zwyzywają od różnych... Ale żebym tak za nimi gonił, to raczej nie. Ot, czasem dla wyrównania humorów, żeby się na nerkach nie gromadziło, jak mawiała moja babcia. To tak jakby wziąć kąpiel po upalnym dniu. Nie musiałem szukać, same mnie znajdowały – w stodole, w stajni, na łące...

– Rozumiem, że nie krzywdowały sobie? Czy może nie w smak im był taki melancholik, w którym nie ma nic z koguta?

Raymond skrzywił się lekko, jakby przedmiot rozmowy nie był mu miły; poprosił o wodę. Ledru podsunął mu do ust manierkę, szaser wypił kilka głębokich łyków i westchnął:

– Jeśli chodzi o to, czy się „spisałem”, to bez obaw, stwórca raczył być dla mnie łaskawy, to i te dziewuchy nie mogły narzekać. Ale wszystko to było jak dobre jedzenie, duszy nie poruszyło. Dopiero ta dziewczka w lesie. Lieselotte...

– E tam, Barez, po prostu dawno baby nie miałeś, to ci się w głowie zakręciło i serce mocniej zabiło. Trzeba takie rzeczy lżej traktować, bo inaczej humory człeka na śmierć zagryzą!

Raymond, bynajmniej nie przekonany, sceptycznie pokręcił głową. Postanowił przerwać tę rozmowę, która zdecydowanie przestawała mu się podobać. Nie urodził się wczoraj i był świadomy, że w człowieku współgrają lub walczą dwie natury: ta duchowa, szlachetna i ta prymitywna, zwierzęca. I że obie są ważne; pielęgnowane dostarczają wiele szczęścia a zaniechane potrafią bardzo boleśnie dokuczyć. W żadnym jednak razie nie myślał o Lieselotte jak o babie, z którą zaraz miałyby wskoczyć na siano. Ona budziła w nim zupełnie inne emocje, dotąd nie odkryte światy. Może kiedyś, później... ale teraz miał przed oczami tylko jej twarz, w uszach jej głos, w sercu czuł nieznaną ciepło i tkliwość. I lęk, lęk że może jej się przytrafić coś niedobrego, kiedy on tu leży unieruchomiony tak daleko od niej. Przymknął powieki i udał, że śpi. Podporucznik wydał mu się przez moment prostacki i obleśny, choć Raymond wiedział, że w rzeczywistości tak nie jest – po prostu sądzi, że na wojnie sentymenty należy odsunąć na bok, dla własnego i podkomendnych dobra. I że takie „koszarowe” komentowanie spraw z natury intymnych i delikatnych to tylko jeden ze sposobów na ucieszenie własnych lęków i poczucia niepewności jutra.

Wokół ich fury panował niesamowity rozgardiasz, wielotysięczny tłum krzyczał,

jęczał, wył, ale też toczył zwyczajne rozmowy; słycać było słowa francuskie i niemieckie, czasem polskie a nawet włoskie, rozlegały się śmiechy i prostackie zarciki, konie rżały i parskały, czekały wioskowe psy, z rzadka porykiwały ostatnie ocalałe krowy, rozdzierająco kwiczały zarzynane na miejscu świnię. Ledru dziwił się tylko, że wcale nie słycać drobiu. „Najwidoczniej kury, kaczki i gęsi zdążono już pozżerać... albo połapać i schować gdzieś w lesie” – wywnioskował podporucznik. Ponad tę kakofonię wzniósł się nagle warkot tarabanów a zaraz po nim ostre dźwięki trąbek kawaleryjskich. Chaotyczny tłum zaczął z grubsza przybierać formę bardziej uporządkowaną, tworząc szeregi i zwarte oddziały, przy których miotali się wymachujący rękami i drący się na całe gardło podoficerowie i niżsi oficerowie. Jednocześnie Antoine zauważył, że w stronę ich wozu zmierza młody porucznik na koniu, zadając po drodze krótkie pytania rannym na innych furach i notując coś szybko ołówkiem w kajecie. Wreszcie znalazł się przy Ledru i Barezie. Pozostając w siodle oznajmił:

– Porucznik Maurice de Courtenay, adiutant generała Compansa, szefa sztabu IV korpusu marszałka Soult’a. Powiedziano mi, że panowie przynależycie do III korpusu marszałka Davout’a, jednak w powstałym zamieszaniu zostaliście z wielu innymi skierowani na trasę marszu przewidzianą dla naszego IV korpusu. Z kolei wielu naszych rannych posłano omyłkowo trasą na Allenstein. Teraz nie pora tego odkręcać, nie mamy zresztą takich możliwości. Poprzestajemy więc na próbie spisania stanów osobowych w kolumnach a potem w lazaretach; później wszystko zostanie uporządkowane. Notuję zatem, że tym wózkiem pojedą na rekonwalescencję do Liebstadt: podporucznik Antoine Ledru ze sztabu III korpusu i towarzyszący mu... no właśnie, kim jest pański towarzysz?

Dotąd udający śpiącego Raymond ponownie otworzył oczy i odpowiedział półgłosem, lecz wyraźnie:

– Raymond Barez, szaser 1. pułku pułkownika Exelmansa, brygada lekkiej kawalerii generała Marulaza, III korpus marszałka Davout’a. Ranny kulą karabinową w pierś pod Preussisch Eylau. Samopoczucie dobre, gorączka spadła, jestem jeszcze tylko bardzo słaby... *Monsieur le lieutenant*, czy można zadać pytanie?

De Courtenay potwierdził. Raymond spojrział na niego z uwagą:

– Czy w naszej kolumnie natknął się pan na szaserów o nazwiskach Lacoste, Colin lub Dupré? Albo *Gontache*. To nasi towarzysze broni, walczyliśmy ramię w ramię pod Eylau... Nie znamy ich losu.

– Przykro mi, Barez, nie przypominam sobie takich nazwisk, przynajmniej dziś podczas spisywania nie trafiłem na nikogo o takich nazwiskach.

– Raymond, może to dobra wiadomość – wtrącił się Ledru, starając się sztucznie uśmiechać – Skoro nie wiemy niczego, a nie znaleźli się w spisach rannych czy chorych, to może po prostu nadal pozostają w szeregach pułku i brygady? I martwią się o nasz los, tak jak my o nich...

– Cóż, *monsieurs*, zmuszony jestem panów pożegnać, muszę kontynuować spisywanie, a za chwilę kolumna rusza dalej. *Adieu!* – porucznik zawrócił konia i oddalił się ku kolejnym pojazdom wypełnionym rannymi. Nie minęło kilka minut, kiedy ponownie zagrały trąbki i zawarczały tarabany. Padły głośne komendy i kolumna potoczyła się ciężko w stronę Wormditt i Liebstadt. Inne oddziały IV korpusu ruszyły

również na Liebstadt, jednak lasami przez Bürgerwalde, Kaschaunen, Arnsdorf i Elditten<sup>47</sup>.

Zbiegowie, teraz już w piątkę, zagłębili się w gęstwinę królewskiego lasu, by przeczekać nadchodzący dzień. Do świtu było jeszcze dobrych kilka godzin, toteż Timofiej postanowił zaryzykować rozpalenie ognia. Musieli się nieco ogrzać a potem zagasić ognisko, zanim zrobi się jasno. Ich sytuacja była obecnie nieco lepsza, gdyż towarzyszył im Edmer doskonale znający okolicę, potrafiący wskazać przewidywane punkty etapowe ucieczki i oszacować odległości pomiędzy nimi. Znaleźli miejsce oddalone od skraju lasu, osłonięte niskimi świerkami. Starając się zachowywać jak najciszej, nazbierali i nałamali chrustu, po czym rozpalili niewielkie ognisko. Przez dobrych parę minut wszyscy milczeli. Edmer robił miny, jakby chciał coś powiedzieć; nawykły jednak do hierarchii i posłuszeństwa, nie śmiał zaczynać, zanim nie wypowie się wyższy stopniem. Jego wzrok spoczywał więc co chwila na twarzy Timofieja – pruski fizylier czekał na jego znak. Tima zauważył to i zaczął po niemiecku:

– *Wo haben die Franzosen dich gefangen?*

– *Bei Wackern; das ist ein kleines Rittergut in der Nähe von Preussisch Eylau.*

*Unsere Kompanie den Marsch von L'Estocq'sche Korps versicherte... und war fast bis zum letzten Mann geschlagen*<sup>48</sup> – w głosie Edmera pobrzmiwała gorycz i złość. Timofiej przetłumaczył słowa Prusaka na rosyjski. Dragon i „koporcy” zareagowali żywo i poprosili o dalsze szczegóły. Fizylier jakby na to czekał, gdyż od razu zaczął obszernie opowiadać o historii swojej jednostki i jej szlaku bojowym w trakcie obecnie toczonej wojny. Tima ledwie nadażał z tłumaczeniem. Oddział ich nowego kamrata był od początku związany z Heilsbergiem. Według Edmera dzieje XXI Füsillier–Bataillon von Stutterheim do wybuchu wojny przebiegały następująco:

Po upadku Rzeczypospolitej utworzono w Heilsbergu nowy: XXI batalion fizylierów, którego szefem został major August Ludwig von Stutterheim. Jednostkę powołano na podstawie rozkazu z 9 sierpnia 1795 roku. Do jej sformowania użyto żołnierzy z II batalionu 55. pułku piechoty Carla Friedricha von Holwede i świeżo powołanych rekrutów. Ciekawostkę stanowił fakt, że wcielono tam również 50 wziętych do niewoli żołnierzy milicji powstańczej Warszawy (z polskiej insurekcji 1794 roku). Umundurowanie batalionu było następujące: zielone kurtki, białe kamizelki i czarne „zweiklapy” z pruskim orłem. Wyłogi, kołnierze i mankiety były fioletowe a guziki białe (srebrne). W 1799 roku całość mundurów stała się ciemnozielona a zaraz potem „zweiklapy” zastąpiono czakami. Po sformowaniu (przed dziesięciu laty, w 1797 roku) fizylierskich batalionów: nr XXIII majora Johanna Davida Yorka, potem Schachtmeyera (w Johannsburgu<sup>49</sup>) i nr XXIV majora Friedricha Wilhelma Bülowa (w Soldau<sup>50</sup>) połączono je z XXI batalionem w 2. wschodniopruską brygadę fizylierów. Utworzenie brygady było wynikiem wzrostu niepokoju Prus po włoskiej kampanii Napoleona 1796–1797.

Batalion Stutterheima stacjonował w mieście do wybuchu obecnej wojny, potem także pozostawał w Prusach Wschodnich, wchodząc w skład korpusu generała von L'Estocq'a. Po raz pierwszy zetknął się z Francuzami (VI korpusem Ney'a) w walkach pod Schippenbeil i Leunenburgiem<sup>51</sup>, w styczniu 1807. Podczas tych akcji nie

odnotowano przypadków dezercji, nawet wśród wcielonych w skład batalionu Polaków, których zresztą do tej pory już i tak niewielu pozostało...

– A Francuzi tak czmychali, że z trudem mogliśmy za nimi nadążyć, posuwając się lewym brzegiem Alle – kontynuował wyraźnie zadowolony Edmer. Jednak po chwili twarz mu zmierzchła, kiedy przeszedł do opisywania odwrotu spod Jonkendorfu i Allensteinu. Ten fragment kampanii słuchający go „koporcy” i Dragomirow znali aż za dobrze z własnego doświadczenia. Bardziej interesowało ich to, co zaszło po 6 lutego, kiedy sami popadli w niewolę. Gregor zadumał się, smętnie popatrzył na trzaskające płomienie, po czym podjął przerwana opowieść:

– Jeszcze przed Wackern, ósmego, nasi dowódcy otrzymali wiadomości o planach i ruchach wroga. Kiedy Francuzi zorientowali się, że armia Sprzymierzonych nie wyda im batalii pod Landsbergiem, poszli dalej za nami, zamierzając rozdzielić nasze korpusy. Buonaparte ruszył za waszym wojskiem pod Preussisch Eylau, siódmego wieczorem opanował miasteczko a nazajutrz planował osaczenie waszej armii z obu skrzydeł; czekał tylko na opóźnione korpusy. Wasze prawe skrzydło miał osaczyć Ney, który ścigał nasz korpus od dnia nieszczęśliwej dla nas batalii pod Waltersdorf piątego... Chciał wejść pomiędzy wasze i nasze oddziały, rozbić nas, a potem uderzyć na was.

– Udało mu się was rozbić? To wtedy dostałeś się do niewoli? – gorączkował się Borys – Co stało się z naszą armią?

– Z tą niewolą to nie tak zaraz – uśmiechnął się bladymi ustami Gregor. – Najpierw tośmy rudzielca<sup>52</sup> długo za nos wodzili...

– Rozumiem, że was jednak nie rozbił – skonstatował Tima. – No to opowiadaj o tym Wackern!

Edmer nabrał powietrza, lekko wydał szczupłe policzki, wywinął dolną wargę, wzniosł oczy do góry... Nagle sapnął krótko i energicznie kontynuował, rozłożywszy na boki swe długie, oparte łokciami o kolana, ramiona i rozcapierzywszy drapieżnie kościste palce:

– Na nasze szczęście tamtejszy teren jest poprzecinany wzgórzami i lasami, tylko z niektórych miejsc można oszacować położenie. Rudzielec jest odważny, ale nie bardzo rozgarnięty, toteż dość łatwo udało nam się go wymanewrować. Niewielka część naszego korpusu udawała siły główne i prawie przez cały dzień ósmego odciągała go na północny zachód, by nie dotarł na czas pod Eylau. A tam wasi toczyli przez wiele godzin morderczą batalię, opowiadał mi o tym nasz ułan z pułku „Towarzyszy”, zresztą Polak, pojmany pod Eylau...

– Napoleon rozbił naszych? – z pozornym spokojem spytał Timofiej.

– No... nie za bardzo... – Gregor stropił się nieco i na moment zamilkł.

– Co znaczy „nie za bardzo”? To rozbił czy nie rozbił?

Prusak zastanowił się i odparł:

– Batalia toczyła się przy zmiennej pogodzie. W zadymce jeden ich korpus pobłądził i wasze działa go zmasakrowały, właściwie unicestwiły...

– Ura! – wrzasnął radośnie Borys; Timofiej i Fiedot uśmiechnęli się pobłaźliwie, czując że to nie koniec relacji o Eylau. I rzeczywiście:

– Tyle że potem inny korpus, dowodzony przez tego sławnego Davouta,

energicznym atakiem zwinął wasze lewe skrzydło, gdy tymczasem i na prawym zaczęło być ciężko. Inna rzecz, że w centrum działały się cały czas rzeczy niemożliwe: wasi o mało nie rozbili francuskiego szyku i prawie pojмали Buonapartego, zamkniętego w kościele... Wtedy Francuzi rzucili do szarży masy kawalerii. Nastąpiło straszne zamieszanie, ale w końcu sytuacja w centrum się ustabilizowała. Jednak na skrzydłach, jak powiedziałem, zrobiło się niebezpiecznie. Klęska waszych wisiała w powietrzu, choć siły się wyrównały. I wtedy nadciągnął nasz korpus L'Estocq, przeszedł za plecami waszych i zniemacka uderzył na prawą flankę Francuzów. Tamci, wyczerpani walkami, odstąpili na pozycje wyjściowe... Francuzom zabrakło tych korpusów, na które czekali, zwłaszcza Neya. No, ale nim właśnie my się zajęliśmy. Dotarł na pole walki późno, kiedy batalia już wygasła i żadna ze stron nie miała siły jej kontynuować. Tyle, że po jego przybyciu wasz wódz zdecydował się jeszcze nocą odejść na Königsberg. Dlatego Buonaparte odtrąbił swoje zwycięstwo. Nawet jeśli tak było, to kosztowało go ono baaardzo drogo, baaardzo drogo!

– Gregor sugestywnie przeciągał sylaby.

Timofiej jako człowiek obyty z wiedzą taktyczną potrafił wyobrazić sobie, co realnie zaszło pod Preussisch Eylau ósmego lutego; natomiast jego podkomendni i Dragomirow reagowali emocjonalnie, interesowała ich tylko prosta odpowiedź na proste pytanie: „kto kogo?” – ale właśnie takiej odpowiedzi odnośnie tej batalii udzielić było nie sposób. Dlatego Tima powrócił do akcji pod Wackern.

– No właśnie, Wackern... – ożywił się Edmer – Kiedy rudzielec zorientował się w końcu, że robimy go w konia, i ujrzał jak nasz korpus wali pełną parą w kierunku Eylau, postanowił zrobić wszystko, by ten marsz opóźnić. Pchnął jedną dywizję prosto na nas, ale na drodze stanęliśmy my: nieliczne wydzielone oddziały pod komendą generała Prittwitza – Prusak wodził dłońmi ponad ogniem, jakby przesuwając figury na szachownicy. – Dragoni Prittwitza, kilka dział i my, garść piechoty, naszej i waszej, która zasilala nasz korpus, obsadziliśmy pozycję nieopodal majątku Wackern, przy wiatraku za wioską Schlauthienen<sup>53</sup>. Francuzi bali się zaatakować, ograniczyli się do wymiany ognia artyleryjskiego. Wtedy nadeszła wieść, że za lasem nadchodzi ich kolejna dywizja. Przyszedł czas na nas, fizylierów. Generał Prittwitz wysłał naszą kompanię pod komendą dzielnego kapitana Krausenecka<sup>54</sup>, by rozeznała się w sytuacji. Weszliśmy pomiędzy ciemne pnie pokrytych śniegiem świerków, przebyliśmy las i uderzyliśmy wściekle na francuską piechotę. Tamci mieli ogromną przewagę, ale nasze natarcie zrobiło swoje: kiedy my krwawiliśmy, nasi kirasjerzy Wagenfelda i dragoni Baczki przeszli przez Wackern i dołączyli do głównych sił korpusu. Prawie cały korpus ruszył waszym na pomoc.

– „*Kol' sławien Gospod nasz na Sijonie...*”<sup>55</sup> – zaczął spontanicznie śpiewać Foma Dragomirow. Potrząsnął głową i, zacierając swoje wielkie łapska, zawołał: – *Zacziem mienia tam nie było?!*

Edmer spojrzał pytająco na Timofieja, a kiedy ten przetłumaczył słowa dragona, stwierdził ze śmiechem:

– Prawda, przydałbyś się, *Kamerad*, bo pod Wackern nieraz do walki wręcz dochodziło! Myślę, że niejednym z tych mikrusów zakręciłbyś nad głową i rzucił w ich szeregi! Albo swoją piąchą zdjął łeb z karku – zarechotał rubaszenie.

– Tak właśnie zrobił w Heilsbergu! – rzucił Borys – Zaduśił francuskiego wołyżera jedną ręką a potem rzucił nim, wywracając paru jego kompanów na ulicę! To prawdziwy Ilja Muromiec!

– *Wer?* – nie zrozumiał Gregor – *Wer ist Ilya Muromyetz?*

– *Ein insbesondere stärker Held aus der alten russischen Sagen*<sup>56</sup> – wyjaśnił Timofiej, przyjaźnie poklepując Fomę po ramieniu.

– *Ja, ich verstehe...*<sup>57</sup> – Edmer oszacował z uznaniem wzrokiem zwalistą sylwetkę Dragomirowa.

– No dobrze, ale jak to się stało, że dostałeś się do niewoli? – zapytał trzeźwo Tima. Także pozostali Rosjanie skierowali oczy na fizyliera.

– W walce pod Wackern wzięła udział siódma część kawalerii naszego korpusu i trzecia część artylerii konnej – nieco mniej radośnie opowiadał Gregor. – Francuzom udało się uniemożliwić nam przebicie do swoich, musieliśmy wycofać się na północ, zamiast podążać za korpusem na wschód. Tam część naszych dopadł francuski pościg. Ja także dostałem się w ich łapy, niestety... – Prusak nagle podrzucił głowę do góry – Ale korpus dotarł na czas pod Eylau, a korpus rudzielca nie! I tylko to się liczy! Jestem dumny z naszej kompanii i z całego batalionu. Straty jednak ponieśliśmy spore...

Zapadła cisza, słychać było tylko trzaskanie płonących gałęzi. Nagły podmuch wiatru zakołysał drzewami królewskiego lasu i zakręcił dymem z ogniska. Fiedot wstał, żeby dorzucić chrustu. Naraz ujrzał w odległości około dwudziestu kroków parę świecących oczu, do których dołączyła wkrótce druga, trzecia i czwarta. „Wilki” – przemknęło mu przez głowę – „Nigdy dotąd nie napotykaliliśmy ich w tutejszych lasach. Czy to wróżba, zapowiedź długiej wojny?”. Na szczęście mieli ogień. Mogli więc bez obaw dotrzeć do świtu. Potem jednak, wbrew pierwotnym zamiarom, będą musieli opuścić to względnie bezpieczne schronienie... Może Edmer coś wymyśli?

Telepiący się po marnej, rozmokłej drodze wóz wiozący Antoine’a i Raymonda wjechał na przedmieście niewielkiego, lecz malowniczo położonego miasteczka. Szaser drzemał, tylko podporucznik Ledru rozglądał się ciekawie na boki:

– *Comment est appelé cette ville?*<sup>58</sup>

Odziany po cywilnemu francuski woźnica z Kompanii Breidta<sup>59</sup>, niemal przez cały czas zachowujący obojętne milczenie, nie odwracając głowy odpowiedział:

– Liebstadt, po niemiecku „Miasto Miłości”. Ale to od rzeczki, która tu przepływa: Liebe czyli „Miłość”. Nie wiem, kto tak wymyślił...<sup>60</sup>

– Grunt, że ładnie wymyślił – roześmiał się Ledru. Był w dobrym humorze, gdyż zamajaczyła przed nimi perspektywa dłuższego spokojnego kwaterowania (junackich przygód miał chwilowo dość) a zraniona ręka przestała narywać i tylko zwyczajnie pobolewała, co stanowiło nieomylną oznakę powolnego powrotu do zdrowia i sprawności. Również Barez nie jęczał, tyle że niemal bez przerwy spał w drodze do Liebstadt. „Dobrze, dobrze, niech się chłopczyzna dobrze wyśpi, odpocznie. Niech mu się tam jaki leczniczy sen przyśni, na przykład, że obłapia tę swoją blond sarenkę spod Launau...” – tu Antoine po raz kolejny poczuł, jak jego własny „brat mniejszy” zaczyna się budzić z czasowego letargu, jakiemu uległ po nieprzyjemnym zranieniu swego „brata starszego”, i z coraz większą natarczywością domaga się należnej sobie daniny.

Kilkudniowa podróż pod gołym niebem i wyłączona z użytku prawa ręka poważnie utrudniały zarówno zwykłe „czynności odwrotne”, jak i *de facto* prawie uniemożliwiały zaspokojenie natarczywych uroszczeń „brata mniejszego” prastarym sposobem, jakiego nauczył swego niewydarzonego syna Pana helleński bóg Apollo<sup>61</sup>. Inna rzecz, że towarzyszący armii lekarze przestrzegali przed nadmiernym korzystaniem z tego sposobu, a nawet wydawali broszury na ten temat... Dlatego Ledru postanowił na razie, do czasu ozdrowienia lub przygruchania sobie jakiejś fertycznej panienki, zignorować sygnały emitowane przez „brata mniejszego” i oddać się kontemplowaniu widoków. „Brat mniejszy” poczuł się obrażony i postanowił nie odzywać się i zasnąć jeśli nie na dobre, to na długo. „Jeszcze mnie popamiętasz, poruczniczyno! Zapukasz w drzwi, a nie zostanie ci otworzone!”. Antoine udawał jednak, że go nie słyszy i przypatrywał się spokojnie nielicznym domkom przedmieścia wormdickiego. Następnie wóz przekroczył średniowieczną linię obwarowań, przejeżdżając pod gotyckim ostrołukowym tunelem Wormditter Tor. „Na oko czternasty wiek” – oszacował w myślach Ledru, któremu, jak wiemy, nieobca była historia architektury. Podporucznik niewiele mógł zobaczyć pólżąc na wozie poruszającym się w kolumnie. Mury miejskie wybudowane były solidnie z kamienia polnego, tylko uzupełnione ceglaną nadbudową. Przestrzeń wewnętrzna tuż pod murami prawie nie była zabudowana, większy kompleks budynków Antoine zauważył dopiero po chwili, kiedy z lewej strony ukazała się wysoka sylwetka gotyckiego kościoła otoczonego obiektami należącymi do parafii, dawniej katolickiej pod wezwaniem Świętej Elżbiety Turyńskiej, obecnie ewangelickiej. Kolumna wozów zatrzymała się na moment, gdyż pod ratuszem, na dość ciasnym rynku, utworzył się zator – kierujący ruchem dyżurni oficerowie nie nadążali z rozrządem. Tylko część pojazdów z rannymi miała pozostać w Liebstadt, porozdzielana równomiernie, podobnie jak zdrowi żołnierze i konie, po domach i szopach miasteczka. Pozostałe miano kierować na Mohrungen<sup>62</sup> i jeszcze dalej: do okolicznych wsi, na biwaki, do obozów złożonych z drewnianych baraków, jakie dopiero zaczynano stawiać wśród stuku setek siekier, młotków i wizgu ręcznych pił. Szykowała się dłuższa przerwa w intensywnych operacjach, trzeba było wojsko odżywić, zwłaszcza konie kawalerii, i dać mu nieco wytchnienia. A także – o czym nikt głośno nie mówił a w biuletynie spod Preussisch Eylau nie napisał – sprowadzić uzupełnienia, naruszając pulę poborowych przewidzianą na rok 1808...

Wóz Antoine’a i Raymonda ruszył wreszcie powoli ku południowej pierzei rynku, otoczonego skromnymi kamieniczkami, posiadającymi zwykle jedną lub dwie kondygnacje i niskie poddasze. Niektóre z tych niższych, parterowych, miały ładny środkowy ryzalit, zwieńczony trójkątnie, z ozdobnym wejściem. Sam ratusz, nieco okazalszy od większości kamienic, był dwukondygnacyjną budowlą o zwartej bryle, z poddaszem, zwieńczoną namiotowym dachem. We wszystkich jego ścianach widniały liczne okna, w przyziemiu opatrzone dodatkowo drewnianymi okiennicami. Nad niektórymi oknami biegł skromny stiukowy fryz imitujący półokrągłe arkady. Dolną partię południowej części budynku, od ściany szczytowej, zajmowały głębokie podcienia, wsparte na prostych filarach połączonych trzema także półokrągłymi arkadami bez ozdób – tam znajdowało się wejście do ratusza, gdzie mieścił się sąd i obradował magistrat; tam

też funkcjonowała przez wieki waga miejska. Teraz wszystkie okna i drzwi były pootwierane na oścież, pojawiali się w nich co chwila różni ludzie, w mundurach lub po cywilnemu, krzyczeli coś, wymachiwali rękami i trzymanymi w nich papierami, wbiegano i wybiegano przez podcienia, zsiadano z koni i wozów bądź przeciwnie – wdrapywano się na nie i ostro ruszano z miejsca, by zaraz potem utknąć w tłoku, klnąc na czym świat stoi. Powoli jednak harmider mijał, ścisk się rozluźniał, sznureczki wozów i jeźdźców wyciekały różnymi uliczkami z rynku i z miasteczka, zamykano stopniowo kolejne okna i przestawano się wydzierać. Widać było, że ruch kolumn przechodzących przez Liebstadt osiągnął już punkt szczytowy i wszystko wracało do względnej normy. Pojazd Ledru i dwa inne wozy dyżurny kierujący ruchem przepędził z rynku, wskazując machnięciem ręki wąską uliczkę na południe od ratusza, przebiegającą za grupą bogatszych domów, poprzecznie do dotychczasowego kierunku jazdy. Zabudowana była ciasno przylegającymi do siebie małymi kamieniczkami; nazywała się Brauhausstrasse, to jest Browarna. Do kolejnych domków, usuwając zupełnie na ulicę lub spychając do jednego pomieszczenia rodziny mieszkańców Liebstadt, wprowadzano na kwatery zdrowych, chorych lub rannych francuskich żołnierzy. Antoine'a, Raymonda i ośmiu innych, lżej rannych, zainstalowano w jednej izbie, na podłodze której po prostu rozsypano słomę, spisano nazwiska i przydziały do jednostek. Na tym troska o nich ze strony administracji wojskowej chwilowo się skończyła. Dbalność o jedzenie i wygody Francuzów spadała odtąd na barki rodziny browarnika Hansa Taube, złożonej z chudej jak szczapa acz noszącej ślady minionej urody małżonki imieniem Ruth oraz dwóch średnio rozgarniętych chłopaków w wieku około piętnastu – szesnastu lat. W bezbarwnych oczach Gottholda i Gottlieba (takie bowiem imiona, mające obu gamoniom zapewnić łaskę Bożą, nadali im rodzice) próżno byłoby doszukiwać się oznak żywego intelektu, za to każde polecenie ojca, wydawane głosem twardym i zdecydowanym, wykonywali dokładnie, szybko i bez rezonowania. Słyszalne niemal bez przerwy we wszystkich izbach płytkie, męczące pokasywanie pani Taube zdawało się sugerować, że dni pocziwej niewiasty są policzone, gdyż na zaawansowane suchoty nie znano skutecznego lekarstwa. Żadnej dziewczki służebnej nie było w tym najwyraźniej ubogim domu. Nadzieja na przytulenie czegoś miłego i, poza kilkoma ściśle zlokalizowanymi miejscami, mięciutkiego, jaką przed umieszczeniem na kwaterze żywił Ledru, musiała oddalić się na czas nieokreślony. „A mówiłem ci, że pożałujesz” – złośliwie przypomniał o sobie ponownie „brat mniejszy” – „Zapukasz, a nie będzie ci otworzone!”. Naburmuszony podporucznik postanowił wyładować swą frustrację na osobie Bogu ducha winnego browarnika. Wezwawszy go, wrzasnął, nie zastanawiając się, czy ma prawo i moc, by rzucać takie pogróżki:

– Słuchaj no, szwabska mordo! Jak mi tu zaraz nie przytargasz dzbana piwa, osobiście wpakuję cię do trumny!<sup>63</sup>

Zanim skonfundowany gospodarz zdążył odpowiedzieć, rozległo się ciężkie szuranie sabotów po podłodze i kaszel pani Taube, która pojawiła się niespodziewanie i przemówiła najczystszą francuszczyzną:

– Po co bez potrzeby i przyczyny obrażać ludzi, *monsieur le officier*? Nie można zwyczajnie poprosić albo zapytać, czy w ogóle jest w tym domu jakieś piwo? W ten ciężki



czas często nawet zwykłego chleba nam brakuje.

– Pani mówi po francusku? – zapytał bardziej zaskoczony, niż rozeźlony, Antoine

– Nie wiedziałem, że w takiej dziurze na końcu świata...

Zanim dokończył, pani Taube odpowiedziała krótko, spokojnym tonem:

– Pochodzę z francuskiej rodziny hugenockiej<sup>64</sup>. Moich przodków wygnano z ojczyzny za wyznawaną wiarę, ponad sto lat temu. W naszej rodzinie do niedawna córki wydawaliśmy tylko za naszych a synów żeniliśmy tylko z hugenotkami, w domach mówiło się wyłącznie po francusku. Jestem pierwszą w rodzinie kobietą, która wyszła za Niemca. I ani razu nie żałowałam tej decyzji – tu spojrzała ciepło na swojego małżonka, który z uśmiechem odwzajemnił jej spojrzenie, choć nie pojmował, o czym żona rozmawia z zakwaterowanym u nich siłą, tak przed chwilą aroganckim oficerem. Pozostali ranni żołnierze, w tym Raymond, zaskoczeni agresywnym zachowaniem wesołego podporucznika Ledru, obserwowali w milczeniu rozwój sytuacji. Zastygli niczym posągi, wspierając się na łokciach lub opierając plecami o ścianę, z podkurczonymi kolanami. Było wśród nich dwóch podporuczników i jeden sierżant. Oficer w potarganym mundurze podporucznika wołtyżerów, z głową obwiązaną białym, płóciennym bandażem, wstał powoli, zrobił kilka kroków w stronę gospodyni i, lekko zażenowany, zapytał:

– *Madame* Taube, może trzeba przynieść wody ze studni albo narąbać drzewa? Między nami jest kilku prawie zupełnie wyleczonych, pomożemy...

Zawstydzony Antoine pokiwał energicznie głową, jakby chcąc nadgorliwością zatrzeć swe niedawne zachowanie:

– *Oui, madame*. Ja niestety mam obecnie sprawną tylko lewą rękę, ale gdyby pani coś i dla mnie znalazła, to ja chętnie!

Zapadła niezręczna cisza. Gdyby to było lato, zapewne słyszano by muchy bzykające w izbie. Ruth Taube szepnęła coś na ucho mężowi a następnie przetłumaczyła to, co powiedział:

– *Monsieurs*, zaraz przyniesiemy panom coś do jedzenia i trochę piwa. Dopóki jeszcze mamy, to... czym chata bogata. Potem zobaczymy.

Uprzedzając nieco wypadki, zawiadamiamy Czytelników, że od tej chwili przez szereg kolejnych dni stosunki między pruskimi gospodarzami a zakwaterowanymi w małym domku przy Brauhausstrasse francuskimi żołnierzami układały się zupełnie odmiennie, niż na znanej rycinie Richarda Knötela „Französische Einquartierung”...<sup>65</sup>.

Paul Klinger, choć z rozdartym sercem, nie ustąpił przed błaganiami i zaklęciami córki, która za nic nie chciała opuszczać Launau. Z reguły ulegał swojej ukochanej Lieselotte, ona z kolei nigdy dotąd nie nadużywała ojcowskiej słabości ku niej dla kaprysów i błahostek. Tym razem jednak ona upierała się z żarliwą determinacją, on zaś mimo to nie ustąpił – zagrożenie było zbyt poważne, a miał ją tylko jedną. Chcąc uchronić jedyne dziecko, w dodatku już na dobrą sprawę dorosłe i tak urodziwe, przed nieszczęściami jakie może przywiał ze sobą kolejny „przeciąg” wojsk, zamierzał początkowo wywieźć Lieselotte do kuzyna, do Braunsbergu. Uważał, że w większym mieście nawet wojskom okupacyjnym łatwiej jest utrzymać porządek i zapewnić bezpieczeństwo. Jednak wczoraj po południu zapukał do ich drzwi sołtys Hippel, którego

mocno zasepiona mina zapowiadała niewesołe nowiny. Tym niemniej zaczął od tradycyjnego powitania:

– *Gelobt sei Jesus Christ!*<sup>66</sup>

– *Für immer und ewig!* – zgodnie z obyczajem odparł Klinger.

Gość rozejrzył się dyskretnie na boki i – stwierdziwszy że nikogo poza nimi dwoma nie ma w sieni – ściszoneg głosem oznajmił:

– Słuchaj, Paul, wiem od pewnych ludzi, że wkrótce znowu będziemy mieli „wizytę” we wsi, i to być może podwójną. Możemy spodziewać się nie tylko Welschów, ale i Ruskich.

– Jak to? Dlaczego i jednych, i drugich? Johann, przecie dopiero co, ze dwie niedziele temu, Ruscy wycofali się na północ a Francuzi poszli za nimi...

Hippel pokiwał głową, potakując Klingerowi, ale zaraz potem dodał:

– Była wielka batalia pod Eylau, tym za Landsbergiem<sup>67</sup>, nawet nie batalia, ale – jak powiadają – wielka rzeź! Pole zasłane trupami ludzkimi i końskimi, śniegu prawie nie widać pod kałużami rozlanej krwi. Po obu stronach straty olbrzymie. Eylau i jego okolice niewyobrażalnie spustoszone i ogołoco ne ze wszystkiego, tam ludzie zaczynają już umierać z głodu! *Diese verfluchte Welschen*<sup>68</sup> z trudem mogli znaleźć odpowiednio wielu miejscowych do grzebania trupów. Ziemia zmarznięta, rąk mało, to w końcu kazali wrzucać trupy prosto do jeziora Langer, wsuwać pod lód przez przeręble. Nawet swoich! Powiadają, że niektórych w pośpiechu prawdopodobnie pogrzebano żywcem!

– Straszne rzeczy opowiadasz, Johann. Skąd to wiadomo?

– Ano stąd, że kiedy para bezdomnych już wtedy wieśniaków ze spalonych Kutschitten za kilka sucharów zakopywała trupy, nagle jeden z nich zaczął jęczeć, choć wydawał się tak samo siny i sztywny jak pozostali. Zawiadomili Francuzów a ci zabrali tego niedoszłego nieboszczyka do szpitala w Heilsbergu. Mój szwagier Ernst, ten z Heilsbergu, mówił, że to podobno jakaś figura, pułkownik... I że kuruje go osobiście sam doktor Sparchmann<sup>69</sup>.

– Znam, znam, doktor Heinrich Sparchmann. Dobry lekarz i szlachetny człowiek. Kiedyś próbował ratować moją biedną Käthe. Niestety bezskutecznie...

Przez chwilę obaj milczeli. Nie zauważyli, jak w uchylonych drzwiach do izby kuchennej stanęła Lieselotte, chłonać każde wypowiedane słowo. Potem sołtys ponownie przemówił:

– Krótka mówiąc, Welsche powoli wycofują się na południe i zachód, Ruskie i nasi walą za nimi. Tu i tam jeszcze się biją, ale to już ostatnie starcia. Jedni i drudzy będą szukać kwater na zimę – a to dla nas najgorsze, co tylko może być! *Ganz egal*<sup>70</sup>: nasi, Ruscy czy Welsche – każdy kwaterunek to nieszczęście, głód i nędza dla zwykłych cywilów. A najgorszy moment to przejście frontu; jedni narabują, pogwałcą a może i pozabijają, a potem drudzy!

– Prawda. A nasze Launau na jednej z głównych dróg, jakby na przeciągu, nie da się uniknąć tego wszystkiego ...

– zasepił się Klinger. – Chciałem wywieźć małą do kuzyna w Braunsbergu, ale teraz na to za późno, droga odcięta...

– Tak jest, niestety – potwierdził Hippel – Welsche już się cofają, pierwsze

rejterujące oddziały ciągną już przez Landsberg, Heilsberg i Bartenstein<sup>71</sup>, lada chwila będą i tutaj. Paul, bierz małą i schowaj tak, żeby nawet specjaliści od wynajdywania zakopanych jam z ziemniakami nie mogli jej znaleźć!

– Oczywiście, oczywiście! Potem sam będę musiał tu wrócić i pilnować domu, żeby choć cztery ściany i komin zostały. Na nowy początek dobre będzie i tyle.

W tym momencie Lieselotte wbiegła do sieni i rzuciła się ojcu na szyję.

– *Vati, Vati*, przynigdy cię nie zostawię samego! Nie bój się o mnie, poradzę sobie, nie jestem już małą dziewczynką!

– No właśnie dlatego, że nie jesteś już małą dziewczynką, twój stary ojciec musi cię dobrze ukryć! Zapewniam cię, dziecko, że żaden z tych co tu nadciągają nie potraktuje cię jak królową z bajki, którą jesteś w moich oczach! Im w głowach tylko jedno; do pewnego stopnia ich pojmuję: koszmar wojny, straszne przeżycia, daleko od domu, brak kobiet... Ale mało mnie to obchodzi, dla mnie ty jesteś najważniejsza i muszę cię chronić za wszelką cenę, nawet przed twoją własną niefrasobliwością.

– Ojczy, Raymond jest inny, wiem to! Pozwól mi zostać z tobą w domu! Błagam, błagam! – tu dziewczyna padła na kolana i zaczęła całować ręce ojca, zalewając je łzami. Obaj mężczyźni byli zaskoczeni tak emocjonalną reakcją Lieselotte. Ona także uspokoiła się po chwili, otarła łzy wierzchem dłoni i nieco spokojniej powtórzyła, że stanowczo chce zostać. Sołtys pożegnał się i wyszedł. Klinger zaś był tym razem zdecydowany jak nigdy. Udając surowość rzekł:

– Lieselotte, *kein Wort mehr!*<sup>72</sup> Natychmiast pakuj potrzebne rzeczy i najdalej za godzinę Peter i Michael odwiozą cię saniami...

Dziewczyna próbowała przerwać ojcu:

– Ależ *Vati*, nie mogę, nie mogę cię opuścić!

Ten jednak z lodowatym spokojem dokończył:

– Odwiozą cię saniami do wuja Franza, do Pudelkeim<sup>73</sup>. To naprawdę ostatnia chwila, jutro może być za późno! Przemkniecie się szybko przez Reimerswalde, Widdrichs i Neuendorf. Pudelkeim leżą w głębi lasów, daleko od głównych dróg; wioska jest mała, uboga. Jest nadzieja, że żaden obcy nie odnajdzie bez mapy ani jej, ani ciebie i nie uczyni krzywdy. Zresztą i tak nie mamy innego wyjścia... Wszystko w ręku Boga. I wuja Franza.

Timofiej z grupką uciekinierów od dłuższej chwili czaili się w gęstych zaroślach na skraju królewskiego lasu. Przed sobą mieli dużą połąć otwartej przestrzeni, pośrodku której rozciągał się długi parów. Na jego dnie widać było szaroburą, z lekka tylko oprószoną śniegiem, powierzchnię bagna; w jego przewężeniu przerzucono mały drewniany mostek. Dalej, za parowem, wznosiły się niewysokie wzgórza. Na ich stokach i wzdłuż widocznej z daleka polnej drogi stały nieduże chaty. Od Edmera wiedzieli, że to Neuendorf. Stamtąd prowadziła droga do Widdrichs i Reimerswalde. Tam zaś Rosjanie znaleźliby się na terenie, który już raz odwiedzili. Tima zapamiętał kościół, otaczający go cmentarzyk i... życzliwego Polaka, ojca ładnej córki. „Jak ona miała na imię?” – bezskutecznie usiłował sobie przypomnieć. Wtedy myślał bardziej o swojej Marfie i o tym, że zgwałcona i zamordowana przez kozaków w samotnym obejściu, nieznana wieśniaczka miała bardzo podobne, jasne włosy. Włosy Marfy... Ich wspomnienie było

tak żywe, widział je oczami wyobraźni, dosłownie czuł koniuszkami palców ich piękne, długie pasma a jego nozdrza wypełniał emanujący z nich zapach wonnych ziół. We wspomnieniu czuł też ciepłą, delikatną skórę dłoni Marfy, lekkie poruszenia jej długich, subtelnych palców, kiedy trzymał je we własnych, drżących ze wzruszenia dłoniach. Kiedy dotykał ich nieśmiało ustami, patrząc w dwa wielkie błękitne jeziora jej oczu i szeptał ze ściśniętym z rozpaczy gardłem: „Szczęście ty moje!”. Wtedy widział ją po raz ostatni. Nazajutrz zabrano go w żołdacy i wyruszył do twierdzy Koporje.

Najgorsze były pierwsze dwa lata, zanim otrzymał pierwszy awans. Doskwierała mu zwłaszcza rozpacзлиwa tęsknota za rodzinną wsią a zwłaszcza za Marfą. Nikogo z garnizonu nie znał, zbliżył się jedynie do dwóch prostych chłopaków pochodzących z brzegów jeziora Ładoga. Naiwnie uwierzywszy w ich przyjaźń, zwierzył się ze swojej tęsknoty, opowiedział o Marfie i swojej miłości do niej. Spotkał go srogi zawód, gdyż już nazajutrz w całej rocie a nawet batalionie kpiono sobie w żywe oczy z „Timki *pizdostradatiela*”<sup>74</sup> – fałszywi kamraci porozpowiadali wszystkim, że „ten durak Dmitrijew”, zamiast – wzorem kolegów i panów oficerów – chędożyć jak należy wszystkie dziewczki, jakie się nawiną pod... powiedzmy, hmm, pod rękę, oddaje się szczeniackim rojeniom o raz na zawsze utraconej ukochanej. Odtąd przez długie miesiące nikt nie nazywał Timofieja inaczej, niż „*pizdostradatiel*”. W dobrym tonie było bowiem traktować dziewczęta i kobiety jak kawałki ciepłego mięska mające służyć wyłącznie rozładowywaniu nieprzyjemnych napięć w lędźwiach i jądrach. Język, jakim operowano w garnizonie mówiąc o dziewczynach, był pochodną tych „poglądów”. Usłyszał o sprawie dowodzący rotą porucznik Żadowski, skądinąd poczciwy człowiek, bez tak często spotykanych wśród kadry skłonności do okrucieństwa. Nie bardzo wiedząc, co począć z tym wszystkim, poprzestał na poklepaniu Timofieja po ramieniu i niczego nie wnoszących, choć niewątpliwie wynikających z dobrych intencji słowach: „Nie marudź, Dmitrijew! Weź się w garść, przygruchaj sobie jakąś dziewczkę, ulżyj sobie raz i drugi, zobaczysz, że ci przejdzie!”. No to wtedy sobie „ulżył” ten jeden raz, po którym poczuł się jeszcze gorzej. Nie przeszło. Tyle, że nie myślał już o Marfie bez przerwy, poświęcając się służbie. Postanowił też twardo, że odtąd z nikim, ale to z nikim, nie będzie rozmawiał o ukochanej. Dziś, po trzech latach od tamtych wydarzeń, Tima starał się nie wspominać tamtych żołdatów źle. Obaj już nie żyli: Oleg padł ofiarą zgnilej gorączki<sup>75</sup>, Siergiej zdezerterował, został schwytyany, skazany na kilkaset kijów i zmarł wskutek odbycia kary. Ich prostacka głupota odeszła w zapomnienie wraz z nimi. Timofiej nawet ich trochę żałował. Przede wszystkim zaś cieszył się, że – z powodu odbywania warty – nie znalazł się w dwuszeregu żołdatów katujących deztertera. Siergiej uciekł z armii z powodu strasznych warunków służby w Koporje. Także Tima nosił na ciele ślady z tamtego czasu. Raz, kiedy kazano mu rozpać w kominku na kwaterze jednego z wyższych oficerów, Timofiej natrafił na moment złego humoru gospodarza. Niezadowolony ze zbyt wolnego według niego tempa roznieciania ognia, pijany oficer porwał żelazną koczergę<sup>76</sup> i z całej siły uderzył Timę w prawy bark, wbijając hak głęboko w mięsień kapturowy. Potem ciosy spadły na potylicę, młody żołnierz stracił świadomość. Ocknął się niespodziewanie w czystej pościeli, we wnętrzu jasnej, czystej izby. Przyglądał mu się stojący w progu około czterdziestoletni mężczyzna o bladej, szczupłej, podługowatej twarzy z prostym wąskim

nosem i wydatnymi ustami. Na czoło zaczesywał ciemne kosmyki włosów, twarz okalały krótko przystrzyżone, wąskie bokobrody. Rozpytywał o coś pielęgniarza, wskazując na Timofieja. Potem odszedł. Tima nigdy go już potem nie zobaczył. Krótko przed zakończeniem rekonwalescencji zapytał posługacza szpitalnego, kim był tamten mężczyzna.

– To zaufany przyboczny chirurg naszego Monarchy, główny inspektor armijnych służb sanitarnych, doktor „Wilje”<sup>77</sup>. Był akurat w Koporje i jak raz zaszedł do tego oficera, który cię tak pobił koczergą do nieprzytomności. Zobaczywszy co się święci, zrugął go od ostatnich, kazał natychmiast przenieść cię do szpitala i troszczyć się jak o jakiego generała. Widać, że dobry człowiek. Daj mu, Boże, wszystko co najlepsze...

Pozostał po tym ślad jak po uderzeniu siekiery. Druga blizna, też na prawym barku, tyle że z przodu, była pamiątką po złamaniu kości ramienia wskutek uderzenia ciężką belką w trakcie rozbiórki jednego ze starych budynków w twierdzy. Soldaci robili to niemal gołymi rękami, bez żadnego zabezpieczenia. Strop zawalił się niespodziewanie, Tima i jeszcze trzech ludzi nie zdążyli uskoczyć. On miał tylko złamane ramię, tamtych przygniotło na amen. Dawne dzieje, choć ledwie dwa – trzy lata minęły...

Timofiej powrócił do rzeczywistości. Na znak Edmera cała piątka uciekinierów szybko zbiegła do mostku nad bagnem, potem wolniej już i ostrożniej wspięła się na przeciwległy niewysoki stok. Tam dróżka wiodąca od mostku łączyła się z drogą z Widdrichs do Neuendorfu. Rosła w tym miejscu kępa młodych sosenek, w której przycupnęli, słysząc parskanie konia i odgłos tarcia płóz o śnieg – nadjeżdżały jakieś sanie. Nagle, przy samym rozjeździe, zaprzęg się zatrzymał. Powożący mężczyzna zeskoczył z kozła na drogę i podszedł na skraj skarpy, lustrując wzrokiem teren, skąd przybyli nasi uciekinierzy. Nie wychodząc z sań, siedząca w nich, okutana ciepłymi pledami dziewczyna wstała i także rozejrzała się na boki. Z odległości kilkunastu kroków zbiegowie ujrzeni, że jest bardzo piękna. Na wszelki wypadek postanowili jednak się nie ujawniać.

– *Was ist los, Michael?*<sup>78</sup> – spytała woźnicę. Jej głos wydał się podsłuchującym bardzo miły i przyjemny.

– *Nichts, es gibt keinen Gefahr. Wir können weiter fahren, Fräulein Lieselotte.*

Mężczyzna ponownie zasiadł na koźle obok drugiego, który cały czas milczał. Dziewczyna także usiadła, woźnica strzelił z bata i sanie posunęły żwawo w stronę Neuendorfu. Zbiegowie mogli opuścić chwilową kryjówkę. Wyszli na drogę, tylko Foma Dragomirow przyzostał z tyłu. Wyglądał jakby mu rozum odjęło. Stał i gapił się z rozdziawioną gębą w stronę oddalających się sań. Timofiej podszedł do niego, klepnął go w ramię i spytał:

– Fomka, a ty co? Oczadziałeś czy jak?

Dragon spojrział półprzytomnym wzrokiem na podoficera i oznajmił z zachwytem, rozszerzając usta w uśmiechu:

– Oczadział ja, *gospodin unteroficer*, zupełnie oczadział! *Gospodi, pomiluj mnie griesznogo, no ja jeszcze takoj krasawicy nie widiel!*<sup>79</sup> Istna Cud Dziewica z bajki, co to mi ją babunia nieboszczka opowiadała...

Tima musiał dwukrotnie powtórzyć rozkaz, zanim „oczadziały” Foma Dragomirow

oprzytomniał, otrząsnął się jak pies po kąpieli i ruszył za nimi. „No tak” – zadumał się Timofiej – „Trzeba będzie nauczyć się obchodzić z zadurzonym niedźwiedziem. A to sztuka nielicha. Rozum w chmurach, za to góra stalowych mięśni. Żeby nam tylko czegoś nie zmalował!”. Mimo to nie potrafił myśleć o tym bez uśmiechu. Rozumiał bowiem chłopaka jak nikt inny na świecie.

Ranny otworzył oczy i ujrzał nad sobą nieznajomą twarz. Wokół niej roztaczało się coś na kształt brudnobiałej mgły, zacierającej zarówno szczegóły pomieszczenia, jak i reszty ciała przynależnej do twarzy. Czuł się źle, bolało go wszystko, miał wrażenie, że nawet czubki włosów i paznokcie. Było mu zimno, mimo iż leżał w ogrzonym pomieszczeniu, pod ciepłym przykryciem. Głęboką ciszę przerwał nagle spokojny głos osoby pochylonej nad rannym:

– *Vous souvenez-vous quoi que ce soit?*<sup>80</sup>

Ranny zrozumiał słowa, nadal nie pojmując co się z nim dzieje ani gdzie jest. Zachęcony uprzejmym uśmiechem patrzącej na niego osoby, zaczął mówić:

– *La mort c'est rouge. Et puis c'est bleu... Et puis c'est froid. Et par-dessus tout ça devient un silence...! Silence... Au debut, vous entendez comme le bruit d'un ruisseau... les derniers souffles des camarades, les gémissements, vous en avez qui pleurent, oui, oui. Les os craquent, le grincement des dents... Seigneur!*<sup>81</sup> – tu ranny próbował poderwać się z posłania, lecz zabrakło mu sił. Opadł na poduszki. Znow nastąpił atak gorączki, ranny stracił świadomość, choć jego ostatnie słowa świadczyły, że i przed chwilą nie był zupełnie przytomny. Mężczyzna siedzący przy jego łóżku położył prawą dłoń na czole pacjenta, pokręcił sceptycznie głową i, obejrzawszy się za siebie, przywołał gestem stojącą w progu salki zakonnicę:

– Siostró, proszę mu często zmieniać zimne okłady, trzeba panować nad jego skokami temperatury. Wiem, że jest porządnie umyty, rany ma opatrzone, trwałych odmrożeń nie widać... Wykurujemy go. No, przynajmniej jego ciało; to okazały, silny mężczyzna, powinien dojść do siebie niebawem. Wydaje mi się, że gorzej z jego duszą, jego rozum wygląda na mocno pomieszany. Zresztą, to ustalimy dokładnie, kiedy na dobre oprzytomnieje.

– Tak jest, doktorze – młodzianka, zarumieniona na twarzy zakonnica w czarnym habicie i nałożonym na wierzch białym szpitalnym fartuchu dygnęła jak pensjonarka. – A czy można spytać, co on przed chwilą powiedział?

Doktor Sparchmann, naczelný lekarz szpitala miejskiego w Heilsbergu, lekko skrzywił oblicze w typowym dla niego, smutnym i melancholijnym uśmiechu, po czym rzekł w zadumie, jakby znajdował się nie w szpitalu, tylko na odległym o ponad trzy mile pobojowisku:

– On nadal przebywa myślami w tamtym strasznym miejscu, pod Eylau... Majaczy, spontanicznie przekazuje swoje wrażenia z chwili, kiedy wydawało mu się, że umiera... Kiedy naprawdę umierał i leżał na skraju dołu wypełnianego trupami. Tak mi opowiadali ci poczciwi ludzie, co go tu dostarczyli. Oni także przynieśli mi to, co pozostało z jego munduru – tu doktor sięgnął po leżący na blacie prostego drewnianego stolika poszarpany przedmiot i podsunął go zakonnicy – Niech siostra to oczyści i przyniesie do mnie.

– Co to takiego, panie doktorze? – młoda „katarzynka”<sup>82</sup> starała się nieco

przedłużyć rozmowę, gdyż towarzystwo tego starszego mężczyzny, doktora Sparchmanna, zawsze ją uspokajało i pozwalało oddalić natrętne myśli o wojnie, ranach i chorobach, o śmierci, które wciąż rozsuwały swój ponury cień nad całym krajem, nad miastem i tym budynkiem, w którym wbrew wszystkiemu toczono z nimi nieustanną walkę. Walkę jakże często z góry przegraną...

– To szlifa<sup>83</sup> oficerska. Po haftach można określić stopień wojskowy. Nasz pacjent to pułkownik armii francuskiej. Pytanie tylko, czy on sam o tym pamięta.

Zakonnica włożyła szlifę rannego do dużej kieszeni fartucha, ponownie dygnęła i, cicho szeleszcząc obfitym habitem, odeszła. Przez chwilę słyhać było jeszcze jej kroki na korytarzu. Potem znów nastała cisza. „Zupełnie jak w majakach naszego pułkownika” – pomyślał doktor. Przeniósł zmęczony wzrok za okno. Od wielu lat ten sam widok: niski mur okalający przykościelny cmentarz, rosnące tuż za murem stare lipy, a dalej wznoszące się hen, wysoko ceglane ściany czternastowiecznej fary Świętych Apostołów Piotra i Pawła. I wysokie, ostrołukowe witrażowe okna. Z lewej, przy murze, barokowa brama cmentarna z figurą Matki Bożej w niszy nad przejazdem i zawieszonym we wnętrzu „Totenglocke” – „dzwonem umarłych”. Ostatnio dzwon znów bije częściej, niż zazwyczaj. Odmierza ponuro puls życia i śmierci miasta, do którego znów zawitała wojna. „Jakże osobliwe to sąsiedztwo” – po raz tysięczny skonstatował Sparchmann – „Cmentarz i szpital, miejsce umarłych i miejsce, gdzie wciąż walczy się o życie...”. Ponownie spojrzął na nieprzytomnego Francuza. Doktor nie zaniedbywał żadnego z chorych, ale wykurowanie tego akurat pacjenta było dla niego sprawą honoru. Nie do końca wiedział, dlaczego: czy po prostu ulitował się nad obcym, pozostającym z dala od ojczyzny nieszczęśliwym człowiekiem, czy też walka o jego zdrowie stała się dla Heinricha Sparchmanna prywatną, pełną determinacji „wojną przeciwko wojnie” – skoro ona kosi tak wiele ludzkich istnień, to on, doktor Sparchmann, będzie na przekór wszystkiemu parował uderzenia Śmierci mieczem swojej wiedzy medycznej i fachowej troski, unoszony na skrzydłach wyniesionej z domu rodzinnej miłości do ludzi i świata. Tak, oglądane przez niego na co dzień widoki były wciąż takie same. Za dnia wnętrza sal szpitalnych, pełnych łóżek z chorymi i rannymi, a za oknami wyniosłe mury kościoła; nocami – drżące płomienie świec osadzonych w lichtarzach lub kandelabrach, oświetlające niesamowitym światłem blade twarze pacjentów lub zmarłych, pościel i jasno malowane ściany, a za szybą migająca na cmentarzu, osadzona na specjalnym metalowym drągu „Toten – Lanterne”, „latarnia umarłych”. Miała budzić nadzieje na przyszłe życie po śmierci, a według bardziej zabobonnych – zapobiegać wstawaniu umarłych z grobów, bo, „jak wiadomo”, upiory boją się światła... Sparchmann uśmiechnął się do siebie na wspomnienie tego nadal popularnego przesądu.

Na korytarzu ponownie rozległy się ciche kroki i szelest habitu. W progu stanęła ta sama młoda siostrzyczka, wycierając mokre dłonie w płócienny ręcznik.

– Panie doktorze, przyszłam oficjalnie zakończyć mój dzisiejszy dyżur. Dziś niedziela, zaraz powinnam udać się na nieszpory razem z innymi siostrami. Czy mam jeszcze coś zrobić, zanim wyjdę?

– Nie, siostro, nie trzeba. W szpitalu jest jeszcze kilku świeckich pielęgniarzy i posługaczy. Ale bardzo chętnie ujrzę siostrę ponownie, na kolejnym dyżurze. Siostra

pracuje fachowo i z dużym poświęceniem. Powiedz, dziecko, jak właściwie ci na imię – niespodziewanie przeszedł na familiarny ton.

Młodziutka „katarzynka” zarumieniła się i odpowiedziała cicho:

– W zgromadzeniu przybrałam imię Ancilla...

– Ancilla... znaczy „służka”, „niewolnica”... No, to imię zaiste odpowiednie do posługi, zwłaszcza takiej jak nasza. Ale powiedz mi, jakie imię dano ci na chrzcie. Jeśli nie chcesz, nie odpowiadaj – zastrzegł się od razu.

– To żadna tajemnica, panie doktorze. Rodzice dali mi na imię Alix.

– Alix, Alicja, piękne imię. No cóż, droga Alicjo, że się tak po ojcowsku do ciebie zwrócę, idź do swoich klasztornych obowiązków. Nie ukrywam jednak, że będę oczekiwał twojego powrotu do szpitala. Jestem bardzo zadowolony z twojej pracy i postawy; nie omieszkam pochwalić cię przed siostrą przełożoną. I w magistracie także.

– Dziękuję, panie doktorze. Staram się jak umiem. To do zobaczenia, *Gelobt sei Jesus Christ!*

– *Ja, natürlich, für immer und ewig...*

Po chwili siostry Ancilli już nie było. Zadumę doktora Sparchmanna przerwał wkrótce dobiegający z fary zaśpiew:

– „Boże, wejrzyj ku wspomnieniu memu, Panie pośpiesz ku ratunkowi memu. Chwała Ojcu i Synowi, i Duchowi Świętemu, jak było na początku, teraz i zawsze, i na wieki wieków, amen...”

– *Gospodin unteroficer, uže jasno, nada wstawat*<sup>84</sup> – usłyszał cicho wypowiedziane słowa Fomki Dragomirowa. Timofiej, Fiedot, Borys, Foma i Gregor spędzili noc w oborze chłopca z Widdrichs, w obejściu na skraju wsi. Towarzystwo bydła nie było może nazbyt wytworne, za to nie narażali bezpośrednio gospodarza, a przy zwierzętach było po prostu cieplej; zresztą – tu Tima przesunął dłonią po nieprzyjemnie chrzęszczącym kilkudniowym zaroście – ich brudne, nieogolone twarze i wyszmelcowane mundury bardziej pasowały do obory, niż do wnętrza przyzwoitego domu. Na podwórzu ujadął bez przerwy pies uwiązany przy budzie, nie żeby na coś lub na kogoś – ot tak, z nudów, z tego jego pieskiego życia... Zmęczy się, znudzi, ucichnie; właściciel od dawna traktował jego szczekanie jak brzęczenie much w letni dzień. Obejście otaczała otwarta przestrzeń, zatem za dnia gospodarz sam widział z daleka zbliżających się ludzi, zwłaszcza teraz, zimą, na białym śniegu. Co innego nocą – wtedy pies stawał się stróżem obejścia i jego szczekanie ostrzegało przed niebezpieczeństwem; kto bowiem przychodzi do obcego domu nocą w dobrych zamiarach? Wtedy tylko „dzikie hordy Wotana” gnały po polach i lasach z lodowatym wiatrem, zabijając zbłąkanych wędrowców lub przyprawiając ich o pomieszenie zmysłów<sup>85</sup>.

– *Herr Unteroffizier* – odezwał się Gregor, opierając się o ścianę obory – Ja jestem człowiek prosty, ale trzeźwego umysłu. Tak mnie wyuczyli w szkole. Jednak wielu tutejszych ludzi żywi najrozmaitsze przesady. Wszystko jedno, papiści czy prawi chrześcijanie. Tu nieopodal przebiegała granica między Warmią a Dolnymi Prusami. Tu mieszkali katolicy, a niedaleko stąd na północ protestanci. Granica biegła przez lasy i bagna, pełne – według tutejszych – upiorów, duchów i wilkołaków. Albo zbójów czyhających na podróżnych. W tamtym lesie, co go widać na horyzoncie, była ponoć



wielka, rozłożysta stara sosna; w jej konarach ukrywał się przez lata nieuchwytny bandzior i łupieżca. Do dziś wielu poszukuje ukrytych przez niego skarbów. A za lasem jest takie ponure uroczysko, zwą je Bedom. Tam niejednen spotkał samego Księcia Ciemności, a pewien parobek z Workeim to nawet z nim w kości zagrał, stawiając własną duszę przeciwko workowi złota....

– Mówisz Edmer, że z ciebie człek trzeźwy na umyśle, ale tak opowiadasz o tych sprawach, jakbyś sam w nie wierzył – uśmiechnął się Timofiej.

– Bo to, *Herr Unteroffizier*, człowiek jakby na rozdrożu stoi: insze rzeczy wyniósł z domu, z bajania starych babek, insze ze szkoły... Świat niby to jest poukładany i zrozumiały, jednak kiedy znajdziesz się sam nocą pośrodku lasu, pola albo na cmentarzu, wszystko wygląda inaczej. Zupełnie inaczej.

– Na szczęście przez tamten las nam nie po drodze – stwierdził Tima, kończąc tę może i ciekawą, ale jałową rozmowę o miejscowych zabobonach. – Musimy jak najszybciej przedostać się do Reimerswalde; tam się ukryć, bo wieś spora i ludzie znajomi, i jakoś doczekać przyjscia naszych... Fiedot, Borys – zwrócił się do podkomendnych – Idźcie do chaty, poproście tu gospodarza, ugadamy się co do prowiantu i w drogę!

Rozmowa z gospodarzem musiała jednak poczekać, gdyż zanim obaj żołdaci zdążyli wyjść z obory, od strony drogi dobiegł tętent licznych kopyt, skrzypienie osi wozów i okrzyki w języku francuskim. „A niech to, Edmer wykrakał swoje upiory!” – pomyślał Timofiej i gestem nakazał swoim towarzyszom ciszę. Zastygli w bezruchu, tylko Tima i Fomka ostrożnie spoglądali przez szpary w deskach na podwórze. Najpierw wpadło galopem na majdan dwóch huzarów z karabinkami w rękach. Objechali zabudowania, wrócili przed dom i zawołali do pozostałych na drodze. Wtedy zajechały na podwórze dwa wozy wymoszczone słomą i kobiercami, w których siedziało w pozycji półleżącej kilku oficerów ze złotymi szlifami. Za nimi wjechał w obejście prawie cały szwadron huzarów; tylko kilku zostało na czatach. Dwaj pierwsi, którzy przybyli na majdan, zeskoczyli zgrabnie z siodeł i zaczęli z krzykiem dobijać się do drzwi chaty. Otworzył im niespełna czterdziestoletni, przerażony gospodarz, któremu na migi pokazali, że chcą napoić konie, a panowie oficerowie nie pogardzą kieliszeczkiem. Po chwili tej osobliwej rozmowy chłop wskazał huzarom studnię z żurawiem, bosak do rozbijania lodowej pokrywy i poidło, po czym – patrząc ku wozom z oficerami – szerokim gestem zaprosił ich do wnętrza. Ci jednak pokręcili przecząco głowami; jeden wy dobył z kieszeni złoty zegarek i sugestywnie nim potrząsnął na znak, że nie mają czasu na skorzystanie z gościny. Gospodarz zrozumiał, że ma im przynieść napitek do wozów. Uczynił uspokajający gest, zniknął we wnętrzu chaty, by po chwili pojawić się z butelką wiśniówki i kilkoma szklanymi karczmiakami, zręcznie umieszczonymi pomiędzy palcami. Na wszelki wypadek wołał sam obsłużyć nieproszonych gości, stanowczo nakazując małżonce pozostać w domu – nie miała wszak jeszcze trzydziestu lat i wszystko mogłoby się zdarzyć. Kiedy rozdał kieliszki i nalał w nie rubinowego wonnego płynu, siwowłosy oficer wznosił swoje szkło, wypowiadając niespodziewanie zamiast zwyczajowego „Vive l'Empereur!”:

– *Votre santé, mon hôte! Vive la France!*<sup>86</sup> – wychylił jak za kołnierz, cmoknął z

uznaniem i ponaglił pozostałych. Ci uczynili to samo, wołając:

– *Vive la France! Vive la paix!*

Tymczasem huzarzy poili konie, niektórzy wycierali je prowizorycznie wiechciami siana wyciągniętego ze sterty pod wiatą. Po około dwudziestu minutach siwowłósy oficer wstał nie schodząc z wozu i zawołał głośno do żołnierzy, którzy natychmiast dosiedli koni, połowa szwadronu po uformowaniu kolumny dwójkami wyjechała na drogę, potem – uprzejmym gestem przyłożywszy dłonie do kapeluszy – ruszyli oficerowie na wozach, wreszcie druga połowa szwadronu wyjechała jako ostatnia, odczekawszy aż reszta zwolni miejsce na drodze. Okrzyki i tętent oddaliły się a potem zupełnie ucichły. Kawalkada podążyła w stronę Reimerswalde. Pozostała po Francuzach opróżniona butelka, karczmiaki z resztką czerwonego płynu na dnie, parę wiechci siana, zdeptany kopytami i butami śnieg i kupka końskich „pączków” koło płotu.

Piątka zbiegów ostrożnie wychynęła z obory, z ulgą przeciągając kości i ciesząc się jasnym, pierwszym słonecznym po wielu dniach porankiem. Gospodarz także odetchnął z ulgą, ocierając rękawem z czoła pot, jaki zaperlił się na obliczu mimo zimna. Edmer i Timofiej podeszli do niego, prosząc o odrobinę jadła na drogę. Chłop zaprosił ich do chaty, wręczając po chwili płócienne zawiniątko z dużym, okrągłym bochenkiem chleba, polciem wędzonego boczku i garścią suszonych owoców.

– Niewiele mogę wam dać, panowie żołnierze; sami gonimy na resztkach zapasów i nie wiadomo, co przyjdzie do garnka wkładać za tydzień lub dwa...

– Dobrze i tyle, gospodarzu. Z serca dajecie, niech wam Bóg za serce wynagrodzi. Jakoś dotrwamy do przyścia swoich, a potem zadba już o nas nasza intendentura – tu Tima pomyślał gorzko, że chyba nazbyt wysoko ocenia walory armijnych służb zaopatrzeniowych.

– Stąd do Reimerswalde niedaleko, nie więcej jak piąta część mili<sup>87</sup>. Tam łatwiej będzie o żywność i łatwiej się ukryć.

Pożegnali się z chłopem i ruszyli drogą, rozglądając się czujnie na boki. Wkrótce ujrzeni po prawej stronie wysoki podługowaty pagór. Postanowili wejść na szczyt i rozejrzeć się, zanim wkroczą do wioski. Edmer poinformował krótko:

– Lange–Berg, znaczy „Długa Góra”...

Ze szczytu nie zalesionego wzgórza rzeczywiście widać było doskonale całą okolicę. Po drugiej stronie drogi podobne, choć nieco niższe, wzgórze z samotnym obejściem na stoku, po prawej – drogę z Workeim i jeszcze inną wychodzącą prosto z lasu, od strony Neuendorfu.

– Ta chata na wzgórzu to „Dom Wisielca”, tak mówią tutejsi.

– Ktoś ważny się tam obwiesił? – zaciekał się Tima.

– Żeby tylko! Tam chodzą się wieszać rozmaici desperaci. Dom stoi pusty, powiadają że tam straszy. Dawny właściciel powiesił się jako pierwszy<sup>88</sup>.

Edmer zapewne chętnie kontynuowałby opowieść o „Domu Wisielca”, jednak Timofiej przerwał mu, wskazując na obiekt poruszający się w szybkim tempie drogą z Neuendorfu. Po chwili dostrzegli, że to sanie zaprzężone w jednego konia. Z tej odległości nie było można rozeznąć, ilu ludzi zasiada w saniach. Decyzja zapadła natychmiast. Zbiegli możliwie szybko ze wzgórza na drugą stronę, ku saniom. Pojawili się przed nimi

w chwili, kiedy zaprzęg mijał niewielkie bagno przylegające do drogi. Zatrzymali sanie, w których znajdowało się dwóch młodych mężczyzn. Ci wyglądali na mocno wystraszonych; spoglądali z rozpaczą na piątkę zbiegów, ale także co chwila oglądali się za siebie, w stronę lasu. Gregor Edmer przemówił pierwszy:

– Hej, ludzie, musicie nas zabrać do Reimerswalde.

Woźnica, słysząc mowę niemiecką i widząc pruski mundur, nabrał śmiałości i próbował oponować:

– *Herr Soldat*, nasz koń okropnie zmęczony, gnamy od godziny, padnie na drodze, jeśli wsiądzie tak wiele osób! *Meine Herren*, do wsi już blisko, dacie radę piechotą.

– Będiesz stawiał opór wojsku?! Ach ty... – zapewne Edmer zamierzał wygłosić dłuższą mowę, pouczając wieśniaków w kwestii odnoszenia się do mundurów, jednak nagle przerwał, kiedy Tima klepnął go w ramię, wskazując nowy obrazek: z lasu wypadł konny oddział kozaków. Wyglądało to tak, jakby ścigali zatrzymane sanie. Woźnica w jednej chwili zmienił ton:

– *Meine Herren*, ratujcie! Oni za nami podążają prawie od Neuendorfu, z pewnością mają złe zamiary. Jak to dobrze, że nie ma już z nami... – tu urwał, ponieważ jego towarzysz syknął głośno i dał mu kuksańca w bok.

Zbiegowie otoczyli sanie, Timofiej, odsłaniając spod szynela swe dystynkcje unteroficera, wysunął się naprzód. Tymczasem dwudziestoosobowy oddział kozaków podjechał na kilkanaście kroków i zatrzymał się. Jeden z nich podjechał bliżej, omiół wzrokiem dystynkcje Timofieja, obnażył białe zębiska w uśmiechu i zeskoczył z siodła, jednocześnie ściągając z głowy papachę. Na ten widok Tima także rozjaśnił oblicze:

– Ilja Osipowicz Mołokow, oczom nie wierzę! – nagle wyprężył się i słuźbiście zameldował: – *Wasze błagorodje, unteroficer koporskiego muszkieterskiego polka Dmitrijew Timofiej Nikitjewicz...*

– Timofieju Nikitjewiczu, po co te ceregiele! Tu nie sztab, nie garnizon! Toż znamy się od lat, ojca waszego z dawna znałem i matkę... Jużem myślał, że was tam pod Jegothem Francuzi ubili. Tamtego dnia jakoś nie przyszło spotkać się, pogadać, dużo się działo i smutno, no to teraz nadrobimy!

– Ano, nadrobimy, nadrobimy! *My wsie udrali iz plena, eto moi żołdacy Fiedot Jefimow i Borys Maksimow, kurlandskij dragun Foma Dragomirow i prusskij fizylier Gregor Edmer*<sup>89</sup>.

Chwilę później cała kompania ruszyła z gwizdem i szumem do Reimerswalde. Dwóch „koporców” i Edmera kozacy wzięli na luzaki, Foma i Timofiej zasiedli w saniach. Jechano powoli, bez pośpiechu, w radosnej atmosferze. Woźnice spoglądali po sobie niepewnie, nie wiedząc, jak potoczą się ich dalsze losy. Jedyną osobą, która uważnie im się przyjrzała, był Fomka Dragomirow. Od razu rozpoznał w jednym z woźniców tego, który na rozjeździe pod Neuendorfem wysiadł na chwilę z sań, żeby się rozejrzeć. Z sań, w których razem z nimi siedziała ONA. Oznaczało to, że pozostawili ją i ukryli gdzieś za tamtym lasem. Jego Cud Dziewicę, najpiękniejszą na świecie. Od tej chwili Foma czuł, jakby poruszał się parę cali ponad ziemią, niesiony na skrzydłach aniołów...<sup>90</sup>.

Wiosna wciąż nie nadchodziła, wbrew temu, co pokazywały kalendarze. Kwiecień, we Francji zwykle już ciepły i faktycznie pachnący kwiatami, w Prusach Wschodnich był

nadal chłodny, wszędzie zalegał śnieg, okresy odwilży były krótkie i ponownie wracał mróz. „*Gel et dégele*” – jak zapisał w jednym ze swych listów z Finckensteinu<sup>91</sup> Napoleon, „*mróz i odwilż na przemian*”... Kwaterujący w Liebstadt, podobnie jak marszałek Soult, jego adiutant Alfred Armand Robert de Saint – Chamans pozostawał w permanentnie złym humorze, jak zresztą tysiące innych żołnierzy i oficerów Wielkiej Armii. Bezpośrednio po batalii pod Preussisch Eylau nikomu nie było do śmiechu. Jednym z symptomów osłabienia armii kampanią zimową 1806 – 1807 było starcie dywizji dragonów Milhauda ze znacznie mniejszymi siłami kozackimi, które wprawiło dywizję w stan totalnego chaosu. Z przemarszu spod Eylau do Liebstadt Saint – Chamans zapamiętał przede wszystkim zapychające drogi bezładne tłumy żołnierzy wszelkich formacji, domy i lazarety przepełnione rannymi, chorymi i potwornym smrodem. Zapisze po latach w swoim pamiętniku: „*Bardzo potrzebowaliśmy wytchnienia; dyzenteria dziesiątkowała szeregi armii; oficerowie i żołnierze byli apatyczni i niezadowoleni; w owym czasie nikt nie wykazywał chęci do dalszej walki; było bardzo zimno, żywność wydzielano z rzadka; nie sposób było dostać wina, a piwo nie było w stanie poprawić naszej kondycji ani humoru; wątpiono, czy uda nam się utrzymać dłużej na zajmowanych pozycjach, panowało powszechne przekonanie, że zostaniemy zmuszeni wycofać się za Wisłę...*”<sup>92</sup>. W dodatku jego błyskawicznie rozwijająca się kariera uległa chwilowemu zahamowaniu. Dotąd szedł jak burza albo pożar na stepie, wciąż wykazując się aktywnością w służbie Soult. 15 marca 1804 roku awansowany został na podporucznika adiutanta, 24 lutego następnego roku na porucznika, 25 grudnia 1806 roku na kapitana adiutanta. Zadowolony z niego marszałek zaraz potem zgłosił go do awansu na stopień *chef d’escadron*<sup>93</sup>, niestety bez skutku. Soult ponowił wniosek o awans po batalii pod Preussisch Eylau. Ponownie odrzucony. Najgorsze było to, że Saint – Chamans zdawał sobie sprawę, że nawet największe jego starania i czyny bojowe niewiele znaczą wobec osobistej niechęci marszałka Berthiera, szefa sztabu (tzw. majora generalnego) Wielkiej Armii, do jego zwierzchnika – marszałka Soult<sup>94</sup>. Młody adiutant próbował się słabo pocieszać, że – wobec codziennych niebezpieczeństw i zagrożenia życia – najważniejsze jest po prostu zdrowo powrócić do domu, rodziny, spokojnej egzystencji; miłe i pożądane wydawało mu się wszystko, byle było jak najdalej od tej dziwnej „*la Pologne*” (dla niego „Polska” i „Prusy Wschodnie” stanowiły jedno i to samo)...

W Liebstadt nasz bohater zakwaterowany został u pewnego piekarza, w małej izdebce, tak obskurnej, jak tylko można sobie wyobrazić; tam spał – jak potem zapisze – *à l’allemande*<sup>95</sup> czyli pomiędzy dwiema pierzynami. Kiedy, mimo usiłowań, nie mógł zasnąć w takim postaniu, laźł do stajni i kładł się pod ścianą, na słomianej ściółce swoich koni – tam spało mu się lepiej. Współlokatorzy kwatery byli żywieni przez piekarza. Natomiast sam Saint – Chamans był zapraszany do stołu marszałka, gdzie jedzenie było znacznie lepsze. Z jednym wyjątkiem: tam także nie sposób było dostać innego napitku, niż piwo. „*Trzeba było wyżywić armię; wyprawiliśmy do Elbinga*<sup>96</sup> *konne konwoje w poszukiwaniu ziarna i mąki; furgony nie były w stanie się przemieszczać z powodu fatalnych dróg. Znacznie gorzej od ludzi miały się konie; po wyczerpaniu mizernych zapasów furazu w tej zrujnowanej okolicy, trzeba było karmić je słomą z pokrycia dachów, a kiedy wyczerpały się zapasy nawet tej mizernej i pośledniej paszy, większość z nich*

wyzdychała z głodu i nędzy; mam tu na myśli konie używane w zaprzęgach artyleryjskich i pociągach<sup>97</sup>, które musiały służyć na pierwszej linii, obsługując nasz korpus; albowiem konie przynależne do kawalerii rezerwowej i rezerwy artylerii ulokowano w okolicach Elbinga i na wyspie tworzonej przez Nogat<sup>98</sup>, gdzie niczego im nie brakowało”.

W połowie kwietnia Saint – Chamans został wezwany do kwatery marszałka Soult, w celu wypełnienia nowej, szczególnej misji. Dowódca IV korpusu przyjął swego adiutanta stojąc za stołem, z wyjątkowo poważnym i skupionym obliczem, oparty knykciami zaciśniętych pięści o blat.

– *Mon cher Alfred*<sup>99</sup> – rozpoczął familiarnie – Cesarz zlecił mi podjęcie negocjacji w sprawie wymiany ważnych jeńców. Ma ona bowiem nastąpić na odcinku zajmowanym przez nasz korpus... – tu marszałek zawiesił głos, jakby zastanawiając się, co powiedzieć. Saint – Chamans nie ośmielił się wtrącić, cierpliwie czekając na dalszy ciąg wywodu. Jakoż po chwili Soult podjął:

– Pamiętajsz zapewne, że jesienią pojaliśmy pod Ratkau starego Blüchera. Niestety, niedługo później Prusakom udało się pochwycić jadącego do armii naszego generała Perrina, to jest chciałem powiedzieć, Victora...

– *Oui, mon maréchal*, księcia Bellune – wypalił gorliwie adiutant, na co Soult lekko się skrzywił. Po chwili jednak kontynuował:

– Nadarzyła się okazja do wymiany obu generałów. Cesarz kazał przywieźć Blüchera do Rosenbergu<sup>100</sup> a stamtąd do swej kwatery w Finckensteinie, by użyć go jako pośrednika w rozmowach z królem pruskim. Chciał doprowadzić do rozerwania sojuszu króla z carem Aleksandrem. Na razie nic z tego nie wyszło. Owszem, stary generał był pod urokiem cesarza, mimo iż przed audiencją przetrzymano go aż dwa tygodnie na poczcie w Rosenbergu, żeby skruszał i nie był tak butny, jak to ma w zwyczaju. Stwierdził potem publicznie, że – mimo jego chłodnej, zdystansowanej postawy – „Bonaparte prawie go przekonał, bo to diabeł wcielony”. Pośrednictwa się jednak ostatecznie nie podjął. Cesarz postanowił więc wykorzystać jego przyjazd i wymienić go na... Victora.

Saint – Chamans słuchał z uwagą, nie bardzo rozumiejąc, dlaczego marszałek tak rozwlekle wyłuszcza sprawę wymiany, zamiast po prostu wydać stosowne rozkazy. Rzecz wyjaśniła się po chwili.

– Alfredzie, chodzi o to, że mamy nie tylko nawiązać rozmowy, a następnie przekazać Blüchera i przejąć Victora. Nasz parlamentariusz ma dodatkowo rozpoznać siły przeciwnika na prawym brzegu Passarge i ich rozlokowanie. Na tyle, na ile się da, jak stwierdził cesarz. To jednak nie koniec. Ta misja musi mieć odpowiednią oprawę. Sam wiesz, jak tu biedujemy, nawet w naszej kwaterze. Jeszcze gorzej jest w obozach ulokowanych w terenie. O losie tutejszych cywilów nawet nie wspomnę. Zapewne po tamtej stronie Passarge nie jest lepiej, ale toczymy z wrogiem także wojnę nerwów, wojnę propagandową.

Adiutant uniósł brwi, milcząco okazując zaciekawienie i zdziwienie, dlatego Soult dodał szybko:

– Osoby, które pojedą na negocjacje, muszą być czysto i porządnie umundurowane, na dobrych, odkarmionych koniach... Wiem, wiem, trudno będzie takie znaleźć, ale – jak mi donoszą – mało kto tak dba o własne konie, jak ty, mój drogi. A wierzchowce dla

pozostałych znajdziemy. Zabierzecie też ze sobą dobry, czy wręcz luksusowy prowiant. Tamci muszą być święcie przekonani, że nie brakuje nam absolutnie niczego!

„Luksusowy prowiant” – pomyślał Saint – Chamans – „Dobre sobie! A niby skąd go wziąć? No, chyba że *monsieur le maréchal* nam go podaruje...”

– Tamta strona niby jest o wszystkim uprzedzona, jednak nasi parlamentariusze powinni umieć zachować stalowe nerwy. Nigdy nie wiadomo, na kogo się natkną, wychodząc na linię ich posterunków. Alfredzie, jakie znasz języki?

Adiutant, lekko zaskoczony pytaniem, po chwili zastanowienia odpowiedział:

– Trochę umiem po niemiecku... Nie żeby zaraz biegle, ale zdołam się porozumieć. Przynajmniej na tyle, żeby wytłumaczyć, o co mi chodzi.

– Dobre i tyle. Szkoda, że nie mam nikogo, kto zna rosyjski. Trudno liczyć na łut szczęścia i spotkanie na pierwszej linii z oficerem, który znałby choć trochę francuski. Jeśli traficie na Rosjan, najpewniej będą to kozacy, a ci to najczęściej kompletni barbarzyńcy. Dlatego należy zadbać o każdy szczegół. Każdy element ubioru musi świadczyć o tym, że jesteś parlamentariuszem. No i oprawa: asysta, trąbka... A przede wszystkim stalowe nerwy i spokój, kamienna cierpliwość. Żadnych gwałtownych reakcji. Dostaniesz zatem trębaczka na porządnym koniu i coś na poczęstunek. Na jutro rano przygotuję ci stosowne papiery. Teraz możesz odejść.

Saint – Chamans wyprężył się, stuknął obcasami i odmeldował. Czuł, że czeka go poważna próba i postanowił się do niej dobrze przygotować. Następnego ranka do jego drzwi zapukał przysłany przez marszałka młody trębacz. Alfred musiał przyznać, że wprawdzie jeszcze nie wie, jaki okaże się wierzchowiec jego towarzysza, to jednak sam żołnierz każdemu, kto go ujrzał, musiał się wydawać okazem zdrowia i dostatku: potężna, wysoka postura, rozłożyste bary, pełna rumiana gęba rozjaśniona zupełnie nie służbowym uśmiechem, łapy jak okrągłe bochny chleba, palce przypominające grube kielbasy. Uda jak konary dębu, stopy wielkie i silne jak fundamenty napoleońskiego Grand Empire. Przy tym żadnego sterczącego brzuszyska, wszystko proporcjonalnie olbrzymie. U pasa regulaminowy pałasz, wyglądający przy właścicielu jak dziecinna zabawka.

– Sierżant Georges Gourmand melduje się na rozkaz!

Saint – Chamans pomyślał, że nazwisko doskonale pasuje do tego zaiste okazałego żołnierza<sup>101</sup>. W dzieciństwie najwyraźniej niczego mu nie brakowało, a już na pewno wartościowego jadła. Proporcjonalna budowa ciała świadczyła zaś o aktywnym trybie życia. Kapitan oddał pozdrowienie i zaciekawiony wyszedł wraz z Gourmandem na podwórze, gdzie ujrzał wielkiego kirasjerskiego konia o karym umaszczeniu, ze wspaniałym ozdobnym siodłem i pełnym złocień ogłowiem. Na łęku siodła wisiała perfekcyjnie wyczyszczona, lśniąca w porannych promieniach słońca trąbka sygnałowa. „Wierzchowiec godny jeźdźca; ja jako główny parlamentariusz będę przy nim wyglądał jak sierota z parafialnego przytułku” – pomyślał Alfred. Nie stracił jednak rezonu, postanawiając również odziać się jak najokazalej i zabrać ze sobą najlepszego ze swych pięknych, zadbanych koni. Po prawdzie bardziej zadbanych, niż on sam i jego mundur, bo Saint – Chamans troszczył się o konie bardziej, niż o siebie. Od zawsze.

Tymczasem sierżant Gourmand sięgnął po złożone na schodkach sakwy i wydobył z nich podarowane przez dowódcę korpusu frykasy. Nie było ich wiele; zaledwie dwa, za

to od dawna właściwie nieosiągalne na zwykłych żołnierskich i oficerskich stołach: bochen białego francuskiego pszennego chleba i pękaty, opłatany wikliną gąsiorek zacnego, mocnego *calvadosu*<sup>102</sup> prosto z Normandii. Niewiele, za to, jak na biedny wschodniopruski wojenny przednówek, luksusowo – tak jak mówił marszałek. Kapitan kazał Gourmandowi poczekać w pobliskiej karczmie, sam zaś ruszył na kwaterę, by przygotować się do misji. Po godzinie opuścił budynek, mając na sobie wysztafirowany huzarski mundur i wypucowane na półmat buty. Postanowił dosiąść pięknej siwej klaczy Betelgheuse, mającej dopiero trzy lata, jednak sprawdzonej w dramatycznych okolicznościach. Odnalazł sierżanta Gourmanda i obaj ruszyli do ratusza, gdzie kwaterował Soult. Marszałek obejrzał ich zadowolony i zapytał Saint – Chamansa, jak ten znajduje swojego towarzysza. Kapitan mógł jedynie wyrazić pełną aprobatę w kwestii wyboru trębacza. Marszałek uśmiechnął się zadowolony:

– Prawda, że się nadaje? Trudno o takiego drugiego, zwłaszcza tej smutnej wiosny... No to w drogę! Pojedźcie przez folwark Blumen<sup>103</sup> i przekroczycie Passarge w Pittehen. Tam za rzeką, w Elditten – majątku von Hattenów, stoją w szańcach nasze ostatnie posterunki. Od tej pory będziecie musieli sobie radzić sami, przynajmniej do czasu spotkania z kimś kompetentnym z tamtej strony. Kierujcie się powoli w stronę wioski Klein Schwenkitten i majątku Schwenkitten. Ten majątek zwą także Schwendt, tam, jak sądzę, powinien we dworze kwaterować jakiś sztab lub przynajmniej oficer wyższy stopniem.

– *Mon maréchal*, a kto tam za Elditten stacjonuje: Rosjanie czy Prusacy?

– Tego dokładnie nie wiem, wydaje się, że w tym miejscu stykają się pozycje dwóch armii koalicyjnych. Nasze straże widywały tam zarówno kozaków, jak i pruskich kawalerzystów. Tak jak mówiłem – musicie być gotowi na wszystko i opanowani. No cóż, nie przedłużajmy, bo czas nagli. *Bonne chance*<sup>104</sup>, Alfredzie! Liczę na was ja i sam cesarz! A i minę księcia Bellune po tylu tygodniach pruskiej niewoli chętnie zobaczę... – uśmiechnął się złośliwie Soult.

Niecałą godzinę później obaj parlamentariusze wyjechali poza linię najbardziej wysuniętych własnych posterunków. Po drodze, w Elditten, minęli gotycki kościół pod rzadkim w tej części Europy wezwaniem świętego Marcina z Tours, co obu Francuzom przyjemnie skojarzyło się z daleką ojczyzną<sup>105</sup>. Wciąż było dość wcześnie. Saint – Chamans rozkazał Gourmandowi, by ten jechał kilka kroków przed nim i co chwilę wygrywał sygnał na trąbce. Na szczęście pierwszym przedstawicielem wojsk przeciwnika okazał się pruski ułan, Polak z pułku „Towarzyszy” stojący na widocie<sup>106</sup>. Za pomocą paru słów i żywych gestów Alfred przekazał mu, żeby poinformował swoje dowództwo o parlamentariuszach. Ułan natychmiast pognął galopem ku własnym posterunkom. Francuzi odetchnęli z ulgą, okazało się jednak, że nieco przedwcześnie. Spoza pobliskiej kępy drzew wypadli nieoczekiwanie kozacy, wrzeszcząc jak opętani. Na ich widok obu Francuzom włosy zjeżyły się na głowie.

– Gourmand, nie ruszaj się pan, na miłość Boską! Żadnych wrogich gestów, żadnej bijatyki! Jest ich zbyt wielu, a my mamy misję!

– Spokojnie, *monsieur le capitaine*, poinstruowano mnie jak się zachować.

Saint – Chamans ostentacyjnie wyciągnął naprzód obie ręce i rozpostarł dłonie

ukazując że nie ma broni – szabla pozostała w pochwie. Widząc, że kozacy zachowując pewien dystans otaczają ich ze wszystkich stron, Alfred na wszelki wypadek obrócił się wraz z koniem wokół własnej osi, wciąż ukazując puste dłonie i uśmiechając się przyjaźnie. Następnie wykonał oburącz gest odpychania, sugerując by się zatrzymali. Oni jednak nagle zaatakowali z okropnym wyciem, potrząsając groźnie pikami przed samym nosem i korpusem kapitana. Adiutant Soulta mógł zobaczyć całkiem z bliska zapuszczone, po części zardzewiałe groty, budzące tym większe obawy przed zranieniem<sup>107</sup>. Jeden z nich krzychał:

– *Nu, musje, wytiagiwaj sabliu i sražajsia!*<sup>108</sup>

Saint – Chamans jednak trwał w bezruchu, podobnie jak Gourmand, chociaż ten ostatni już się nie uśmiechał i tylko czujnie spoglądał spode łba. Kozacy, widząc że Francuzi nie podejmują walki, zaintrygowani wstrzymali konie i także znieruchomieli. Kapitan usiłował im na migi wytłumaczyć, o co chodzi, lecz bez jakiegokolwiek skutku. Sytuacja stawała się groźna, zwłaszcza że sierżant Gourmand napinał się coraz bardziej, przypominając niedźwiedzia osaczonego przez stado ogarów – mimo instrukcji wyraźnie gotował się do walki. Kozacy zacieśnili krąg. Przedłużające się milczenie nie wróżyło niczego dobrego, a wyraz ich twarzy był zupełnie nieprzenikniony. Nawet oczu nie było widać spod skudłaconych papach.

Nagle rozległ się tętent podkutych kopyt na drodze. Galopem nadjechał pruski oficer. Najpierw zagadał do dowódcy kozaków, który wydał krótki rozkaz. Po chwili jeden z Rosjan ostro zagwizdał, oddziałek zawrócił konie i pognął z powrotem w stronę pobliskiego lasu. Kozacy zniknęli, jakby ich nigdy nie było. Prusak przyłożył dłoń do kapelusza, przyjaźnie skinął dłonią i przemówił:

– *Sprechen Sie deutsch?*<sup>109</sup>

– *Ein bißchen, nicht zu gut...* – odparł Saint – Chamans, pytając z kolei:

– *Et vous, monsieur, parlez-vous français?*<sup>110</sup>

– *Moi aussi seul un peu...* – uśmiechnął się Prusak.

Alfred wyłuszczył mu z grubsza cel misji, Prusak zaś potwierdził, że jego zwierzchnicy są powiadomieni o sprawie wymiany jeńców. Jeszcze raz zsalutował z gracją i obrócił konia nieco w prawo, szerokim gestem wskazując drogę niknącą za wzgórzem. Kiedy Francuzi lekko się zawahali, dorzucił:

– *Le général Victor attend à Wormditt; il est pas loin!*<sup>111</sup>.

Po chwili cała trójka ruszyła kłusem w stronę pobliskich Schwenkitten.

Ajzyk Rudziszker skończył odmawiać *szachris*<sup>112</sup>, zdjął *tefilin* i *tales*, po czym udał się do reszty domowników, by spożyć z nimi poranny posiłek. Dopiero po nasyceniu Pana pokarmem duchowym: modlitwą, można było zadbać o potrzeby cielesne człowieka. Przy skromnie nakrytym stole, po odprawieniu codziennych rytuałów, Ajzyk ogarnął wzrokiem zasiadające przy stole córki, Marfę – „Chawę” i piętnastoletniego pomocnika: sierotę Dawida Abrahamowicza, po raz kolejny uświadamiając sobie, jak bardzo skurczyła mu się rodzina, ongiś – za życia błogosławionej pamięci małżonki Racheli i kilkanaściorga kuzynostwa – tak liczna i wesoła. Dobrze, że w interesach wszystko zaczęło znów zmierzać ku lepszemu. Bowiem jesienią ubiegłego roku, krótko po przybyciu Marfy, sprawy zaczęły się komplikować. Nie, nie chodziło o przyjazd rzekomej



kuzynki do Rudziszek! Szło o szeroko zakrojone, dobrze rokujące interesy. Szykował się poważny *geszeft*, na którym mogliby skorzystać zarówno odbiorcy usługi, partnerzy i sam – zawsze w interesach rzetelny – Rudziszker. Armia Zagraniczna, jak nazywano siły spieszące na pomoc pobitym Prusakom, licząca do 122 tysięcy ludzi i 624 działa, miała przemaszerować przez Gubernie Zachodnie, głównie przez okolice Grodna. Potrzebowała magazynów i dostaw. Usługi dostawcze zaoferował hurtownik i negocjant, Joel Meyerowicz. Jednym z podwykonawców miał być Ajzyk. Zanim jednak Meyerowicz na dobre podjął działania, znaleźli się tacy, dla których ten przedsiębiorczy Żyd był solą w oku. Uważali bowiem, że odbiera im intratny interes. Dlatego jeszcze zanim armia wyruszyła w pole, pojawiły się poważne problemy. Do karczmy Ajzyka w Rudziszkach przyjechał pewnego listopadowego wieczora wspólnik w wielu interesach, czterdziestoletni kupiec Jakub Gerszon z Wilna. Poprosił o rozmowę w cztery oczy.

– *Raw*<sup>113</sup> Ajzyku, sprawy zaczynają się komplikować a nawet stają się, że tak powiem, niebezpieczne, a interes może okazać się śliski...

– Mówcie jaśniej, *raw* Jakubie! – zaniepokoił się karczmarz.

– Wiecie, tak jak i ja, że nad całością dostaw prowiantu dla wojska naszego Monarchy czuwać miał Meyerowicz. To człek uczciwy w interesach jak mało kto. Zamierzał zatem utworzyć na szlaku przemarszu wielkie magazyny, wypełnić je zapasami, a ponadto zorganizować kolumny transportowe do przewozu dużych partii prowiantu w kolejne punkty...

– Oj, to przecie oczywiste dla każdego, kto był choć raz liwerantem<sup>114</sup>.

Jakub Gerszon zrobił zafrasowaną minę i przez chwilę sceptycznie, jakby sam nie mógł uwierzyć w to co mówi, kręcił głową. Poglaskał rozdwojoną rudą brodę, okręcił jeden z jej końców wokół palca i wznosił oczy ku sufitowi:

– *Raw* Ajzyku, wy to wiecie, ja to wiem, Meyerowicz to wie, wszyscy to wiedzą... A jednak znalazł się taki, czy raczej znaleźli się tacy, którym poczynania *raw* Joela wydały się podejrzone!

Rudziszker poprosił o szczegóły sprawy. Gerszon mówił więc dalej:

– *Raw* Joel poprosił o schemat dyslokacji wojska i przewidywane trasy przemarszu, żeby odpowiednio wszystko przygotować. Wtedy ktoś stwierdził, że „temu Żydowi informacje owe potrzebne są po to, by je z zyskiem odsprzedać Francuzom”. *Aj, wej, co się potem działo!*

– Zaraz, zaraz, spokojnie, *raw* Jakubie... Czy był to ktoś z Kancelarii<sup>115</sup>?

– A jakże, a jakże! Osobiście Stiepanow, jeden z urzędników Kancelarii. *Raw* Joel prowadził negocjacje z P., dyrektorem Kancelarii, oraz z jej głównym naczelnikiem, generałem – adiutantem Ł. Wszystko było na dobrej drodze, obie strony były zadowolone, a tu nagle jak grom z jasnego nieba!

– No ale co się właściwie stało?

– *Raw* Joel uzyskał zgodę generała Ł. na otrzymanie tych schematów. Ł. miał wydać dyrektorowi P. ustne polecenie przekazania dokumentów, ten z kolei miał wydać ustne polecenie Stiepanowowi... – tu Gerszon przerwał, by sięgnąć po kubek z wodą.

– No, ale gdzie tu problem, *raw* Jakubie? – spytał Ajzyk.

– Nie wiadomo dlaczego, nie wiadomo czyja intryga za tym stała, dość że ni stąd

ni zowąd nasz Monarcha nagle rozkazał przerwać negocjacje. Doniesiono mu, jakoby Meyerowicz poprosił o schematy rozlokowania wojsk, by je przekazać wrogowi. *Raw Joela* natychmiast aresztowano, oczywiście podczas przeszukania jego domu znaleziono w dotyczących interesów papierach owe schematy, nie wierząc jego zapewnieniom, że otrzymał je od Stiepanowa na polecenie generała Ł. i dyrektora P. Stiepanow wszakże potwierdził, że tak się to odbyło. Wtedy aresztowano i poddano śledztwu także jego.

– Ale dlaczego śledczy nie uwierzyli, skoro to samo twierdzili Meyerowicz i Stiepanow? – zdziwił się Rudziszker.

– Ano dlatego, że zapytani o to panowie Ł. i P., wielcy *purycy*<sup>116</sup>, równie zgodnie zaprzeczyli, jakoby kiedykolwiek wydawali takie ustne polecenie!

Karczmarz zadumał się smętnie, nie pojmując tej osobliwej sytuacji. Teraz nie wiadomo, czy cały *geszeft* będzie się dalej toczył, czy przeciwnie – czeka wszystkich jego uczestników śledztwo tyleż drobiazgowo i znużające, co zupełnie bezsensowne... Nie tylko Boże młyny miały powoli; także młyny imperatorskiego wymiaru sprawiedliwości czy raczej, jakże często, niesprawiedliwości! Zanim sprawa się wyjaśni, nawet niewinny delikwent może stracić wiele lat życia albo i samo życie<sup>117</sup>.

Wspominając obecnie, wiosną 1807 roku, jesienną rozmowę z Jakubem Gerszonem, Ajzyk wiedział już jakie były konsekwencje tej sprawy. Dostawy dla armii przejęła cała granda aferzystów w mundurach, których jedyną przewagą nad Meyerowiczem było prawosławne wyznanie. Na wodza naczelnego wyznaczono niefortunnie feldmarszałka Michaiła Fiedotowicza Kamińskiego, który był już starym, schorowanym na ciele, umyśle i duszy człowiekiem. Kiedy jechał do obozu, by objąć komendę, po drodze – wbrew buńczucznym zapewnieniom nowych liwerantów, protegowanych generała Ł. i dyrektora P. – widział ogołocone magazyny, spustoszony kraj, zdeorganizowany transport. W obozie pod Pułtuskim zastał głód, nędzę i przewracające się szeregami pod naporem zimowej wichury namioty. Załamany psychicznie, wsiadł wraz ze swym adiutantem Wałujewem do powozu i samowolnie porzucił armię, wracając do domu.

Dla Meyerowicza śledztwo potoczyło się łagodnie i zakończyło pomyślnie. Z wiosną został nie tylko uwolniony z aresztu, ale i przywrócony na stanowisko głównego liweranta, gdyż armia okradana przez defraudantów osiągnęła dno nędzy. Z pomocą *raw Joelowi* przyszedł nieoczekiwanie brat imperatora, wielki książę Konstanty Pawłowicz, któremu sprawy wojska zawsze leżały na sercu. Wspólnym wysiłkiem zorganizowali od nowa system dostaw. To dlatego właśnie Ajzyk Rudziszker był taki zadowolony owego wiosennego dnia przy porannym posiłku. Otarłszy usta serwetką, karczmarz zwrócił się do Marfy:

– Moja miła Marfo Rodionowna, wiesz że przez ostatnie miesiące stałaś nam się droga i bliska jak rodzona córka i siostra... – Marfa potwierdziła skinieniem głowy, unosząc ku Ajzykowi swoje cudownie błękitne oczy; także Fajga i Chana pokiwały w milczeniu głowami, lekko się uśmiechając.

– Zawsze okazywałaś nam wielki szacunek i życzliwość, pomagałaś we wszystkim, pięknie wyhaftowałaś moim córkom a twoim chwilowym, przybranym siostronom czepece i chusty, które będą w przyszłości częścią ich małżeńskiej wyprawy – kontynuował

Rudziszker. – Z twoich ust wypływały tylko słowa świadczące o dobroci serca i szlachetności duszy. Pokochaliśmy cię, Marfo, godnie zastąpiłaś naszej rodzinie zmarłą na dalekim Podolu małą Chawę, której młodzieńcza dusza na pewno się tym raduje i nam wszystkim błogosławi...

Marfa, od miesięcy przyzwyczajona do tego, że w żydowskim domu dziewczętom i kobietom w ogóle przystoi milczeć, kiedy przemawia mężczyzna, pan domu i ojciec rodziny, patrzyła ze spokojem w oczy Ajzyka, czekając aż wyłuszczy cel tej dziwnej, uroczystej „mowy śniadaniowej”. Jakoż po chwili Rudziszker doszedł do sedna:

– Za kilka dni wyruszam do Prus w charakterze liweranta i polowego karczmarza. Będę pracował dla *raw* Joela Meyerowicza; z niego wielki *puryc*, wspólnie będziemy karmili nasze wojsko a i sami na tych dostawach zarabiali. Będzie mi potrzebna pomoc w prowadzeniu wyszynku. Chcę zabrać ze sobą Dawida i... ciebie, moja Marfo – „Chawo”. Na czas wojny karczmę w Rudziszkach poprowadzi nasz sąsiad Szmul Aaronson, z pomocą Fajgi i Chany. Czy pragniesz o coś zapytać?

– Chciałabym wiedzieć, czy jest jakiś szczególny powód, dla którego to właśnie ja pojedę z wami, *raw* Ajzyku, a nie Fajga lub Chana? Być może któraś z nich lepiej pomogłaby w prowadzeniu interesów? Ja nawet czytam bardzo słabo, tyle, co mnie kiedyś trochę Tima nauczył.

Rudziszker uśmiechnął się szeroko, przymknął na moment lekko zaczerwienione powieki, jakby pragnął ukryć jakieś myśli, po czym stwierdził:

– Marfo, powiedziałaś: „Tima”. No właśnie. Przecież tam, w pruskim kraju, służą teraz twój dawny narzeczony Timofiej i twój brat Igor. Może nadal żyją i zdołacie się spotkać? Niezbadane są ścieżki Pana. A wtedy wszystko może się zdarzyć. No, ale jeśli bardzo chcesz pozostać tutaj, w Rudziszkach, to nie będę nalegał... Wybór należy do ciebie, moja córko.

W tym momencie dla Marfy wszystko stało się jasne – oto niedługo, może już za parę dni lub tygodni zobaczy się z bratem i Timofiejem! Oczywiście, jeśli Bóg ich oszczędził przez te długie miesiące okrutnej wojny. Pojedzie z Ajzykiem, oczywiście że pojedzie. Nie tylko do Prus, ale choćby na koniec świata!

Timofiej, jak zawsze z Fiedotem i Borysem, po raz kolejny wyprosili dla siebie przepustki z obozu dywizji, ulokowanego między Reimerswalde a Launau, i ruszyli do Heilsbergu, by zjeść coś lepszego od zwykłej kaszy, ostatnio nawet w niewielkich ilościach wydawanej i bardzo rzadko okraszanej, i wychylić kufel piwa albo czarkę wódki. Borys i Fiedot liczyli też na małą szybką obłapkę. Tima bowiem, jak wiemy, unikał towarzystwa przygodnych dziewczek. Miasto leżało stosunkowo niedaleko, mogli więc dotrzeć tam i powrócić piechotą, jednak już po trzech wiorstach dogonił ich jadący niespiesznie pusty furgon, posłany po zakup prowiantu. Dosiedli się chętnie, częstując *furlejta* tytoniem. Po chwili z lubością wystawili twarze ku wiosennemu słońcu, które za dnia przygrzewało już dość mocno, mimo iż na ziemi nadal zalegał śnieg a noce były bardzo zimne. Póллеżąc z wyciągniętymi nogami, gwarzyli o niczym, pykając z małych fajeczek. Osie lekko skrzypiały, metalowe elementy wozu i końska uprzęż podzwaniały z cicha, *furlejt* co pewien czas cmokał na swoje dwie chabety, gdyż nie chciał okładać batem wymizerowanych zwierząt, tak wiernie służących człowiekowi. Po drodze minęły ich

jadące z naprzeciwka dwa ronty kawaleryjskie, każdy po dziesięciu ludzi, jeden kozacki, drugi złożony z huzarów. Porucznik dowodzący huzarami kazał się zatrzymać i *pro forma* sprawdził dokumenty *furlejta* i trzech „koporców”. Po niespełna godzinnej podróży Tima, Fiedot i Borys pożegnali się, wysiadając przy pierwszych domach Hohetor Vorstadt. Obok, po lewej, widniały czarne zgliszcza – pamiątka owego straszego wieczoru, kiedy musiano spalić składy, obory i stajnie. Jednak nie tylko staw, ale i karczma „Zu Drei Schwestern” znajdowały się nadal na swoich miejscach. Dzisiejszą wyprawę do Heilsbergu przyjaciele postanowili rozpocząć od wizyty w tymże szynku. Timofiej pragnął się napić, by zagłuszyć bolesne wspomnienia, Borys i Fiedot liczyli na bliskie spotkanie z kusząco krągłymi cycuszkami i różowymi tyłeczkami fertycznych karczmarek. Chwalił je sobie cały obóz; kto tylko mógł i miał za co, chętnie korzystał z „grzeczności” oferowanych przez trzy nie posiadające mężów ani skrupułów siostrzyczki. Dlatego karczma była zwykle wypełniona od drzwi wejściowych po szynkwias i od piwnic po strych amatorami dobrego jedzenia, napojów wyskokowych i wdzięków niewieścich.

Tym razem uwagę trójki przyjaciół zwrócił dziwny duży namiot postawiony tuż obok drewnianej karczmy. Obok niego sklecono długą wiatę, pod którą stały uwiązane konie, częściowo pociągowe, częściowo wierzchowce. Przez na wpół uchylone wejście do płóciennego namiotu widać było fragment ciemnego drewnianego stołu a za nim duży, wygodny, obity zieloną aksamitną tapicerką fotel. Na zewnątrz namiotu piętrzyło się około dwudziestu solidnych antałek, zapewne z alkoholem. Ku zdumieniu „koporców”, na wszystkich widniał wypalony na powierzchni klepek symbol dwugłowego orła. Antałki były zatem rosyjskie! A jeżeli antałki, to zapewne także namiot i jego wyposażenie.

– *Gospodin unteroficer* – Borys nadal trzymał się regulaminowej formy, mimo wspólnie przeżytych przygód i oficjalnego przyzwolenia Timofieja, by kamraci zwracali się do niego po imieniu, ma się rozumieć poza służbą – Skąd tu się wzięły nasze ruskie antałki? Czyżby car – batuszka przysłał nareszcie swoim dzieciom – żołdatuszkom tak długo wyczekiwane zapasy? Tylko dlaczego tak późno? Prawie połowa naszej roty do tego czasu pomarła albo pochorowała się z nędzy i głodu...

– Trudno powiedzieć, myślę że sprawa zaraz się wyjaśni – wzruszył ramionami Tima, któremu było obojętne, skąd będzie pochodził alkohol, jaki zamierzał tego dnia wypić. – Może rzeczywiście dowieźli nam zapasy, a może przybyli markietanci z kraju. Słyszałem, że zapasy prowiantu i amunicji nasza intendentura gromadzi na Litwie, spławia barkami Niemnem do Memla<sup>118</sup>, potem morzem na Frische Haff i do Königsbergu. Stamtąd w górę Pregel do ujścia Alle i wreszcie w górę Alle aż do Schippenbeil. Dalej Alle jest zbyt wąska, więc towar jedzie wozami do naszych obozów i innych miejsc zakwaterowania...

Fiedot uśmiechnął się kwaśno, wykrzywiając nie golone od dwóch dni policzki i spluwając przez zęby:

– Jedzie? Może i jedzie... Tylko że chyba przez jakieś wielkie mokradła, bo ponad połowa zapasów przepada po drodze bez śladu, jakby utonęła w bagnie. Do naszych obozów docierają jakieś smętne, na pół zepsute resztki!

Tima pokiwał głową w milczeniu. Oczywiście, że intendentura i

kwatermistrzostwo kradły na potęgę, czując się całkowicie bezkarne. Dobrze, że chociaż miskę tej podłej kaszy można było jeszcze prawie codziennie dostać. A za resztki żołdu kupić w karczmie solidną czarkę śmierdzącą drożdżami, marnej okowity.

Stanąwszy u wejścia do karczmy, Tima beznamiętnie spojrzął na wymalowany jarmarcznymi kolorami na drewnianym szyldzie wizerunek trzech dziewczuch z obfitymi, na poły obnażonymi, budzącymi u gości respekt i określone „ciągoty” biustami. Nacisnął wielką żelazną klamkę i pchnął dębowe drzwi, zawieszane na pięknie wykutych zawiasach. Zaskrzypiały przejmująco. Natychmiast uderzył go prosto w twarz pijacki hałaśliwy gwar, który przez drzwi wydawał się cichym szmerem rozmów. Wnętrze było zadymione nie do wyobrażenia – niemal wszyscy palili fajki lub cygaretki, wypuszczając olbrzymie kłęby wonnego lub smrodliwego dymu. Dochodził do tego odór niedomytych ciał, roztaczany przez dobrze już podochoconych gości. Osób w cywilnych strojach było nie więcej niż pięć, resztę stanowili wojskowi rosyjscy i pruscy; Timofiej zauważył też przy jednym ze stołów dwie szkarłatne kurtki. „Pewnie Anglicy” – pomyślał. Prawie wszyscy z obecnych mieli na sobie porozpinane mundury, spod których wystawały przybrudzone koszule lub kamizelki. Na poszarzałych od brudu szyjach luźno zwisały spocone halsztuki. Niejeden z bywalców karczmy zapewne brał czasem kąpiel, ale wojenne warunki i wciąż panujące chłody nie zawsze na to pozwalały – nie każdy mógł dostać się do łaźni, a woda w rzekach i jeziorach była nadal lodowata. Nie przejmowali się jednak własnym smrodem. O wiele bardziej zajmował ich uprawiany przy karczemnych stołach hazard. W karty i w kości grali prawie wszyscy. Emocje przeżywane podczas gry i wypity alkohol sprawiały, że każdy wydierał się jak szalony, potęgując zwykły pijacki rozgwar.

Trzeba było znaleźć miejsce do siedzenia, by zamówić coś do jedzenia i picia. Na razie wszystkie stoły i ławy były pozajmowane. Stali więc oparci o ścianę szynku, czekając aż coś się zwolni. Nikt nie zwracał na nich uwagi, mimo iż większość gości była młodszymi oficerami. Pod dachem „Zu Drei Schwestern” zdawano się zapominać o hierarchii służbowej czy raczej ją ignorować. Liczyła się gra i pieniądze. Naraz Fiedot wyprostował się, spojrzął uważnie na przeciwległy róg izby i wskazał na wstających od stołu trzech kompletnie zalanych rosyjskich podoficerów, z których jeden wyraźnie zamierzał zwymiotować a dwaj pozostali prowadzili go pod ramiona na zewnątrz. Timofiej i jego dwaj towarzysze natychmiast zajęli ich miejsce. Ruch ten dostrzegło wyczulone oko jednej z siostrzyczek, rudej i piegowatej Elsy. Jej twarz była mało urodziwa, oczy wodnistej barwy, o nieruchomym, sennym wejrzeniu; jednak sprawiedliwy Bóg obdarzył brzydulę wspaniałą figurą. Była wciąż młoda, nie ukończyła dwudziestu siedmiu lat. O jej bajecznych cyckach i płomiennej barwy bobrze, ukrytym pod sutą spódnicą, krążyły legendy. Opowiadano, że wyprawiała ze swymi licznymi kochankami takie rzeczy, że – nawet jeśli tylko połowa z nich była prawdą, jak to zazwyczaj bywa – nikt kto o nich usłyszał, nie zasnął odtąd spokojnie, marząc o uściskach namiętnej karczmarki. Fiedot i Borys nie stanowili wyjątków. Borys raz nawet się z nią konkretnie umówił, niestety odmówiono mu wówczas przepustki. Miał nadzieję, że dziś sobie to odbije.

– *Guten Morgen, Jungs!* – Elsa puściła do trójki „koporców” powłóczyście oko,

bezbłędnie rozpoznając swym fachowym spojrzeniem przystojnego młodego żołdaka, z którym miała się spotkać przed tygodniem – *Wollt ihr etwas essen, trinken, schärbeln mit mir oder...*<sup>119</sup> – tu znacząco zawiesiła głos, spoglądając na nich z przymilnym uśmiechem, głęboko pochylona nad stołem. Fiedot a zwłaszcza Borys kompletnie zbaranieli, ujrzawszy jak w jej odważnym dekolcie poruszyły się dwie żywe, dobrze odżywione istoty, omal nie wyskakując na zewnątrz. Oczywiście karczmarka była świadoma wywieranego efektu:

– *Eh, meine schöne Russen, seid ihr vermißquiemt? Oder Wartenburger?*<sup>120</sup> – baba najwyraźniej dobrze się bawiła, kpiąc sobie z ich zbaraniałych spojrzeń. – *Und trotzdem habt ihr Pinunsen?*

– *Ja, natürlich, meine Dame* – wtrącił się Timofiej – *Meine Kameraden haben genug Geld oder „Pinunsen“, um sich mit Ihnen zu vereinbaren und zu Bett gehen*<sup>121</sup>.

Elsa stropiła się nieco, słysząc beznamiętny głos unteroficera, ale zaraz odzyskała rezon, kierując tym razem zalotne spojrzenie na Timofieja:

– *Und Sie, Herr Offizier? Wollen Sie vielleicht mit erfahrenen Frau in Heu ein wenig scherzen?*<sup>122</sup>

Timofiej uśmiechnął się pod nosem; doceniał to, że dziwka próbowała być miła i nazwała go nawet oficerem, jednak nie miał najmniejszej ochoty na tego rodzaju zabawę z kobietą na sprzedaż.

– *Vielleicht ein anderes Mal...* – zakończył wątek, pozostawiając sobie furtkę na przyszłość, bo dziwka była naprawdę apetyczna a on zwykł zachowywać się uprzejmie wobec każdego. No, może poza Griszka Grekowem...

Elsa zaczęła – oczywiście za pośrednictwem Timofieja, bo tylko on mówił po niemiecku – ponownie rozmawiać z Borysem i Fiedotem. Ostatecznie umówili się z nią i jedną z jej sióstr za trzy dni w obozie nad Alle. Karczmarki miały przywieźć coś do jedzenia, alkohol i... siebie. Tymczasem zaś cała trójka zamówiła dużą michę jajecznicy na boczku, kiszone ogórki i po czarce wódki. Niedługo potem nasi „koporcy” pałaszowali z apetytem gorącą, tłustą strawę, mając gorzką świadomość, jak chude robią się od tego ich i tak niezbyt wypchane sakiewki. Trudno, „dzisiaj żyjem, jutro gnijem”. Skończyli, odetchnęli, Fiedotowi odbiło się lekko, poklepał się z zadowoleniem po brzuchu. Obaj z Borysem zwyczajowo spojrzeli na Timofieja, czekając na hasło do wychylenia czarki z wódką. Unteroficer dokładnie oblizał drewnianą łyżkę, otarł usta i sięgnął po napełniony kiepskawym alkoholem pucharek. Tym razem obyło się bez ceremonialnych rosyjskich toastów, których kolejności Tima zwykle pilnował: najpierw pito za zdrowie Monarchy, potem za cel spotkania, potem za piękne dziewczyny, dalej – stosownie do potrzeb uczestników libacji. On sam zawsze wplatał toast „za tych, których nam tutaj brakuje”. Domyślali się, kogo ma na myśli, byli w końcu jego druhami. Wyczuwali głębokie poczucie beznadziejności w głosie przyjaciela, kiedy wypowiadał ten akurat toast. Teraz jednak Timofiej ograniczył się do lakonicznego, bezbarwnego zwrotu:

– *Nu, dawaj wypijom...*<sup>123</sup>.

– *W waszy ruki, Timofiej Nikitycz* – odpowiedział Borys, podczas gdy Fiedot wychylił naczynie w milczeniu. Odstawili opróżnione pucharki i zaczęli w myśli przeliczać monety pozostałe w sakiewkach. Ich smętną zadumę przerwały wrzaski przy

jednym z sąsiednich stołów. Zasiadało przy nim kilku urzędników kwatermistrzostwa w rozchełstanych mundurach, z rozczochranym włosiem i zaczerwienionymi od niewyspania i alkoholu oczami. Ich pucułowate oblicza lśniły od potu. Prawie wszyscy ćmili cygaretki, co chwila otaczając cały stół zasłoną z kłębiącego się dymu. Grających otaczał gęsty wianuszek stojących wokół stołu „arbitrów”, zagrzewających kamratów do ostrzejszego poniterowania<sup>124</sup>; grano bowiem w faraona<sup>125</sup> o duże stawki, emocje rosły z każdym rozdaniem. Oto tłusty i czerwony na gębie, wyraźnie pijany komisarz kwatermistrzostwa, do którego kibicujący mu koledzy zwracali się per „Iwanie Aleksandrowiczu”, postawił na kartę cały stos złotych „czerwońców”. Pragnął w ten sposób zakpić sobie z poniterującego Prusaka, który postawił „zaledwie” kilkanaście srebrnych talarów. Na obu ramionach Iwana Aleksandrowicza, niczym generalskie szlify, pyszniły się rozcapierzone blade palce z krwiście pomalowanymi długimi pazurami, zaś zza jego prawego ucha wystawała pokryta ostrym makijażem twarz młodej brunetki. Senny, obojętny wyraz jej mocno podkreślonych oczu, odęte bordowe wielkie usta, przypominające dwa funty wieprzowej wątróbki i jaskrawa suknia, aż nadto wyraźnie sygnalizowały jej profesję. Komisarz przywiózł tę krasawicę ze sobą z Petersburga i nie rozstawał się z nią ani na chwilę, twierdząc że owa – jak ją nazywał – „Maszeńka” obdarza go szczęściem zarówno w łóżku, jak i w grze. Teraz także wyszeptala mu coś do ucha, po czym pan komisarz hojnie dorzucił na kartę jeszcze garść złotych monet. Kilka minut później „Maszeńka” stwierdziła cicho, acz stanowczo, że „jej Wania” ma już na dzisiaj dość a ona jeszcze nie – i właśnie dlatego powinni oboje natychmiast oddalić się na kwatere, by i ona mogła stwierdzić, że ma dość. Rozanielony Iwan Aleksandrowicz zgarnął ręką pierwszy leżący na brzegu stołu stosik „czerwońców” odpowiadający mniej więcej wartości stu rubli srebrem, z pijacką skrupulatnością zsypał je do niedużego lnianego woreczka, by następnie zdecydowanym ruchem wcisnąć go pomiędzy jak najbardziej duże cycki swojej dziwki. Na jego czerwonej gębie rozlał się szeroki uśmiech:

– *Dierży, dierży, moja ty krasawica! Ty sowsiem dostojna takich i nie tolko takich dienieg! Ty doroże celogo zołota mira*<sup>126</sup>.

– *Spasibo, spasibo, dorogoj Waniuszka...* – wytrawna zdzira świetnie udawała czułość, roniąc sceniczną łezkę i ocierając ją haftowaną batystową chusteczką. – *A tiepier pojdiom domoj, tam niemnożko pogulijajem, czto by ty potom choroszo wypalsia.*

Pan komisarz kwatermistrzostwa podniósł się z trudem, szarpnął halsztuk uznając, że go w ten sposób poprawił, z pomocą swojej dziwki zapiął mundur myląc się o dwa guziki, ta nasadziła mu krzywo na głowę kapelusz, chwyciła jego sakwę z monetami i asygnatami, po czym oboje wyszli z karczmy. Przy stole pozostało kilku graczy, którym po odejściu odważnego ponitera odechciało się na dziś hazardu, a na blacie i na podłodze ponad setka zniszczonych kart z pozaginanymi wszystkimi rogami. Trójka „koporców” z uwagą obserwowała całą scenę. Fiedot stwierdził:

– No, ciekaw jestem, ilu naszych żołnierzy za przyczyną namiętności pana komisarza nie dostanie dziś strawy? Ilu koniom zabraknie paszy? Ile wozów z amunicją nie dojedzie do miejsca przeznaczenia? Bo on tu z pewnością od paru godzin grał, i to ostro. Oczywiście nie za swoje, o nie!

Nagle odezwała się Elsa, która podeszła do nich przed chwilą niepostrzeżenie i

przyglądała się ostatnim minutom pobytu pana komisarza w „Zu Drei Schwestern”. Nie rozumiała po rosyjsku, ale wyczuła z intonacji, o czym mówi Fiedot. Pokręciła głową z dezaprobatą i rzekła:

– Ten cwaniaczek jest u nas codziennie. Zawsze z tą swoją... Okrada kasę wojskową na grube tysiące, wydaje na faraona, na jedwabne i batystowe koszule, na kosmetyki i suknie tej swojej... Ja oko mam dobre, w ciągu ostatniego tygodnia rozpuścił tu w grze jakieś pięćdziesiąt tysięcy rubli w asygnacie i jakieś dwadzieścia tysięcy srebrem. Ale za jadło i napitki zawsze dobrze nam płaci. My jednak wiemy, ilu ludzi na tym cierpi. Dlatego niejednemu prostemu żołnierzowi dajemy zjeść i wypić za darmo.

– A wy, *Fräulein* Elsa, pewnie żałujecie, że i na wasze wdzięki pan komisarz się nie skusił, za dobre „Pinunsen” naturalnie... – uśmiechnął się Timofiej. Karczmarka tym razem nie odwzajemniła uśmiechu. Przeciwnie – spojrzała na Timę ze smutkiem i cichym, niespodziewanie poważnym głosem odpowiedziała:

– *Herr Offizier*, pan myśli że takie lekkie kobiety jak ja albo moje siostry, to już żadnych uczuć, żadnej wrażliwości nie mają. Nie ukrywam, jestem dziwka, ale tak sobie sama wybrałam, nie nędza mnie do tego zmusiła. Rodzice zostawili nam tę karczmę niemal w ruinie, to ją postawiłyśmy na nogi i zarabiamy. Lubię jak jest wokoło mnie dużo ludzi, wciąż nowych, każdy inny, każdy ciekawy... Lubię gwar, brzęk monet i szelest asygnat. A już szczególnie lubię „te rzeczy”, lubię dużo i często. I umiem to robić doskonale, o czym przekonało się tak wielu. Umiem się też zabezpieczać, więc jakoś dzieciaka mi nikt dotąd nie zmajstrował. Moje obie siostry mają tak samo. I powiem panu, *Herr Offizier*, że tak jest dobrze.

– Wiem, Elso, wiem... – odezwał się pojednawczo Timofiej. – Ja i pani jesteśmy w podobnym wieku, ale dobrze się na ten świat napatrzyliśmy. Tak sobie myślę, że gdyby pani albo któraś z sióstr wyszła za męża, to ta karczma nie byłaby już tak naprawdę waszą własnością, skończyłaby się swoboda, o której pani tak namiętnie rozprawia... A i sama karczma zapewne nie nazywałaby się wtedy „Zu Drei Schwestern”, *nicht wahr?*<sup>127</sup>

– *Herr Offizier*, pan to musi znać życie. Szkoda, że nie chce pan niczego ode mnie; gwarantuję, że czas spędzony w moim towarzystwie wspominałby pan długo i czule... Myślę, że z panem zrobiłabym to nawet bez „Pinunsen” – uśmiechnęła się Elsa – Dla czystej przyjemności. I użyłabym całego mojego kunsztu, całego mojego doświadczenia, żeby pana choć trochę uradować, bo ja naprawdę dobre oko mam i widzę, że pana coś strasznie gryzie. Bo taka prawdziwa dziwka, z wyboru, potrafi zrozumieć więcej niż ktokolwiek, i być jak konfesjonał w kościele. A nawet lepiej, bo w konfesjonale oczyszcza się tylko duszę, a u prawdziwej szczerzej dziwki także i ciało.

– Osobliwa jest ta twoja życiowa mądrość, Elso. Nie zmienia to faktu, że jest jakimś rodzajem mądrości – zgodził się Timofiej. – Pozwolisz jednak, że na razie nie będziemy się razem pocieszać i oczyszczać. Nie czuj się urażona; ja po prostu wciąż noszę w sercu i w duszy pewnego anioła, który nadal żyje i czeka, aż go uratuję. Ta osoba to mój anioł stróż, moja gwiazda przewodnia. Póki żyje, pozostanę jej wierny, mimo pokus i uroków świata. Ale to co powiedziałaś, Elso, było bardzo piękne. Czy uściśniesz podaną przeze mnie dłoń?

Karczmarka, jeszcze przed chwilą tak mocno i prowokująco emanująca seksem,



zapłonila się na twarzy jak dziewicza pensjonarka. Popatrzyła na wyciągniętą rękę Timofieja jak na odkryty na dnie jaskini złoty skarb, bez słowa ujęła ją w obie dłonie, nagle uniosła do ust, pocałowała, po czym przyłożyła ją do swojego policzka, po którym spłynęła łza. Jej pięknym ciałem wstrząsnął krótki szloch. Odwróciła się i szybko wybiegła z sali ogólnej do pomieszczeń na zapleczu. Powróciła dopiero po kilkunastu minutach, ponownie blada i już zupełnie spokojna. Ów spokój nie potrwał jednak długo, bo gwarna karczma „Zu Drei Schwestern” stała się nieoczekiwanie scenerią ponurej awantury, której nikt nie był w stanie przewidzieć.

Timofiej rzucił szybkie spojrzenie na karczmarkę i dla pewności zapytał:

– Elso, czy wszystko w porządku? Możemy w czymś pomóc?

– *Nein, danke, Herr Offizier. Alles in Ordnung*<sup>128</sup> – młoda kobieta uśmiechnęła się z jakimś szczególnym smutkiem – Gorzej było przedwczoraj, kiedy paru ostro poniterujących graczy zdemaskowało szulera. Pobili go do krwi, do nieprzytomności, musiałyśmy wezwać żandarmów. Oszuści bowiem obsiedli te stoły, i goście dysponujących wielką gotówką, niczym muchy kupę łajna; to fachowcy w swoim procederze i trudno ich na pierwszy rzut oka rozpoznać...

– Nawet z tak dobrym okiem jakie ma pani? – zażartował.

– Nawet, żeby pan wiedział, *Herr Offizier* – tym razem uśmiech karczmarki był znacznie weselszy i wyraźnie szczery. Uznała, że i ona powinna odpowiedzieć żartem: – A pan nadal nie chce spojrzeć w te oczy z bliska? Bez żadnych „Pinunsen”. Taka okazja może się nie powtórzyć...

Timofiej zaśmiał się z cicha i spojrzał w oczy Elsy, wsparłszy łokieć na blacie a brodę na dłoni. Zamyślił się. Zamierzał odpowiedzieć zarazem odmownie i żartobliwie, nie chcąc w żadnym razie obrazić tej, mimo wszystko, pełnej ciepła i uroku kobiety. Także ona patrzyła na niego z uwagą, na jej ładnych, bladoróżowych wargach wciąż błąkał się ledwie widoczny cień nieśmiałego uśmiechu. Zanim jednak Tima zdążył cokolwiek powiedzieć, goście okupujący stół pod oknem zaczęli nagle mówić bardzo podniesionymi głosami. Padały głośnie, ostro wypowiedane słowa niemieckie i rosyjskie, pomiędzy którymi rozlegało się czasem jakieś słowo lub zdanie po francusku. Wszyscy siedzący tam ludzie, na oko kilkunastu, byli w mundurach kawaleryjskich, a właściwie bez wyjątku huzarskich; wszyscy też byli mocno pijani. Zwłaszcza dwaj spośród nich ewidentnie toczyli jakiś spór. Ich wrzaskom towarzyszyło huczne walenie kułakami w blat, przy czym rozlegał się stuk glinianych misek i brzęk szklanych lub metalowych pucharów. Obok stołu „koporców”, odwrócenie plecami, stanęli dwaj oficerowie piechoty: rosyjski podporucznik i pruski leutnant. Obserwowali przebieg kłótni, kręcąc z dezaprobatą głowami. Tima uważnie słuchał ich rozmowy, toczonej po niemiecku. Rosjanin stwierdził:

– Posłuchaj pan tylko, Kretschmer, co oni tam pierdola<sup>129</sup>. Tym bufonom z kawalerii zawsze wydaje się, że tylko oni wygrywają bitwy. Reszta to dla nich hołota, „zające”, które można a nawet trzeba gonić i tratować...

– *Ja, ja*, według nich artyleria to zbędny wydatek, a już piechota to zwykłe darmozjady, nadające się tylko do opróżniania misek. No bo od opróżniania pucharów i kielichów to są oczywiście oni – królowie życia, psia ich mać!

Prusak wydobyl cygaretkę z małego, pięknie wykonanego pudełeczka i podsunął Rosjaninowi; ten jednak milcząco pokręcił głową, wznosił otwartą dłoń w odmownym geście, wskazując brodą na coraz bardziej zajadłych awanturników przy stole pod oknem. Teraz już cała izba patrzyła na dwa koguty w huzarskich uniformach, wyrzaskujące wzajemne obelgi. Po bokach ich twarzy sterczały na boki niechlujne, brudne warkoczyki. Pruski huzar krzyczał:

– Mój *Vater* służył w huzarach i ja służę w huzarach! Ani razu nie uciekaliśmy przed wrogiem! Wszystkich pędziliśmy przed sobą jak bydło: i austriackich *kajzerlichów*, i francuskie pieski Soubise'a, i te saskie pierdoły, a i waszych ruskich gamoni nie w ostatku!

– Ejże, ejże, ty pruska *swolocz*! Naszych ruskich gamoni, powiadasz? A niby kto wkraczał dwa razy do waszego Berlina, co? Kto spierdalał przed nami i Austriakami spod Kunnersdorfu? Tak was tam pogналиśmy, kopiąc w zadek, że wasz ukochany Fryc rozplakał się na widok pogromu!

Z gwałtownego dialogu wynikało, że obaj „dżentelmeni” (we własnym pojęciu oczywiście!) w mało oględny sposób spierają się o przewagę pruskiej kawalerii, czy w ogóle armii, nad nie tylko rosyjską, ale i każdą inną. I na odwrót. Zaś rezerwuarem „niezbitych dowodów” i przykładów jest w ich oczach Wojna Siedmioletnia, toczona przed pół wiekiem. Ironię losu stanowił fakt, że ówczesni sojusznicy stali się obecnie wrogami, wrogowie zaś – sojusznikami. O tym obaj „królowie życia” w huzarskich mundurach zdawali się zupełnie zapominać.

Rosyjski huzar, dość młody brunet o lekko śniadej karnacji i twarzy ozdobionej małym czarnym wąsikiem, wstał gwałtownie od stołu i chwycił oburącz oponenta za poły rozpiętego dołmanu:

– Ty szulerze, podmieniłeś karty! Taka jest cała wasza waleczna armia; sami oszuści i wiarołomcy, nawet w kartach szachrują!

Tamten również się poderwał, przewracając przy tym dzban z winem, które szeroką czerwoną falą rozlało się po blacie pokrytym resztkami ogryzionych kości kurczaków, a następnie zaczęło wsiąkać w gęsto rozsypane na podłodze trociny. Wyglądało to tak, jakby kogoś tam przed chwilą zamordowano.

– Ty psie słowiański, ty brudna gnido! Zapłacisz mi za to! – wrzasnął Prusak, rozjuszony do żywego, także chwytając Rosjanina za kołnierz.

Śniady rosyjski oficerek szarpał się przez moment ponad stołem ze swoim pruskim *vis-à-vis*, przewracając lub zrzucając na podłogę kolejne naczynia. Potem nagle oderwał od kurtki przeciwnika prawą dłoń i z rozmachem wymierzył mu siarczysty policzek. Z ust obecnych wydobyło się basowe chóralne: „Uuuuu...”, po czym wszyscy zamarli w bezruchu, w tym obaj pijani awanturnicy. Dwaj obserwujący scenę oficerowie, stojący przy stole „koporców”, wymienili kilka szybkich uwag. Rosjanin powiedział:

– No, jak Bóg na niebie będziemy tu zaraz mieli *duel*...<sup>130</sup>.

– Na pewno. Inaczej być nie może. Tyle, że szybko się rozstrzygnie, bo nasz spoliczkowany huzar to słynny Günter von Stoll zwany „*Falkenauge*”<sup>131</sup>. Mistrz pistoletu i pojedynków... – odrzekł Prusak jakby z lekką satysfakcją.

Usłyszawszy to, Elsa uczyniła ruch, jakby zamierzała wdrzeć się pomiędzy

niedoszłych pojedyńkowiczów. Jednak Timofiej złapał ją za rękę, mimowolnie wyczuwając ciepło i delikatność dłoni karczmarki. Wszeptał cicho, lecz stanowczo:

– Elso, niech się pani do tego nie miesza! Są mocno pijani, zacierzewieni, mogą uczynić pani krzywdę, której nikt i nic nie zrekompensuje.

– *Herr Offizier*, co mam wobec tego zrobić? Przecież nie mogę dopuścić, żeby postrzelali się albo porąbali szablami pod moim dachem albo w obejściu!

– Jeśli sytuacja panią niepokoi, proszę dyskretnie posłać po żandarmów. A potem być cały czas w pobliżu naszego stołu. W razie potrzeby obronimy panią.

Elsa spojrzała na Timofieja z nagłym rozczeniem:

– Ech, *Herr Offizier*, *Herr Offizier*... Pan to naprawdę chce, żebym nie mogła zasnąć przez najbliższą noc, albo i dłużej. Popłaczę się w poduszkę jak zakochana nastolatka albo nawet całkiem zgłupieję i „nawrócę się na dobrą drogę”, jak regularnie choć bezskutecznie namawia mnie mój poczciwy spowiednik! Naprawdę! – dodała, widząc uśmiech Rosjanina. Po chwili wybiegła na zaplecze, by posłać po żandarmów.

Obaj oficerowie kontynuowali wymianę uwag na temat rozgrywających się scen. Rosjanin poinformował pruskiego kolegę:

– Ten czarniawy idiota to Serb służący w naszej armii. Hrabia Podgoričan czy też, jak mówią inni, Podgoričanin... Rębało niezły, ale strzelec kiepski. Ten wasz von Stoll odstrzelił mu łeb.

– Na razie nikt nikogo nie wyzwał – zauważył Kretschmer.

Tymczasem sytuacja przy stole pod oknem zaczęła się wyjaśniać. Pruski huzar głośno wyzwał rosyjskiego na pojedynek, przekonany, że wygra go bezapelacyjnie w przypadku walki na pistolety, a poradzi sobie niegorzej także w przypadku, gdy wybiorą szable. Mimo zamroczenia alkoholowego, wszyscy współbiednicy obu pojedyńkowiczów zaczęli spoglądać na młodego Serba, jakby już leżał w trumnie. Ten zaś potoczył wokoło wzrokiem i nagle wygłosił, bełkotliwie ale zrozumiale, zaskakującą propozycję:

– Przysługuje mi prawo wyboru broni, czyż nie tak? – tu obecni potwierdzili chórem. – Ten bubek jest znanym strzelcem, nawet nie zamierzam z nim w tym konkurować. Zabiłby mnie, to nie byłaby walka godna mężczyzny. Mam inną propozycję, to dopiero będzie prawdziwy hazard, prawdziwa loteria... Zagramy jedno krótkie rozdanie w faraona. Ten, który wygra, będzie miał prawo zastrzelić przegranego. Jak zwierzyne na polowaniu! Ja stawiam w grze własne życie. I co pan na to, *Herr von Stoll*? Tchórz pana obleciał? – zaśmiał się buńczucznie.

W tym momencie do izby powróciła Elsa. Timofiej poinformował ją, co zaszło. Kobieta odetchnęła lekko, uznając, że tak idiotyczna propozycja nie może być poważna, i że w trakcie gry emocje opadną i wszystko rozejdzie się po kościach. Mimo to nie odwołała wezwania żandarmów, na wszelki wypadek. Chłopak stajenny popędził już do ratusza. Zaczęto obserwować rozwój sytuacji. Rolę „bankiera” wylosował von Stoll, poniterował Podgoričan. Postawili po dwie monety. Przez kilka minut w izbie panowało głuche milczenie, słychać było tylko suchy szelest kart. Kiedyś jednak rozgrywka musiała się zakończyć. Ktoś musiał wygrać, a ktoś przegrać. Wszystko stało się jasne – wygrał Serb.

Nagle wszyscy obecni znów zaczęli rozmawiać, odetchnęli z ulgą, nadal wierząc, że forma pojedynku była tylko niemądrym żartem. Nawet von Stoll siedział lekko uśmiechnięty, choć świadomy przegranej. Stojąca obok stołu „koporców” Elsa nerwowo chwyciła dłoń Timofieja i mocno ścisnęła ją w swojej. Tima nie cofnął ręki, przeciwnie – odwzajemnił uścisk. Wszyscy w karczmie jakby oczekiwali, że za chwilę z ust któregoś z pojedynekowiczów padnie hasło „Kolejka dla wszystkich!”, a zaraz potem nastąpi zbiorowe „Kochajmy się!”.

Jednak ponad narastający rozgwar wybił się okrzyk Podgoričana:

– No cóż, *gospoda*<sup>132</sup>, czas dopełnić umowy! Panienko – zwrócił się do Elsy – Czy podasz mi ten myśliwski sztucer, który zdobi ścianę za szynkwasem?

Elsa zrozumiała, że Serb poważnie traktuje warunki pojedynku, i że za wszelką cenę powinna temu zapobiec. Spróbowała przemówić mu do rozsądku:

– *Herr Graf*, to był znakomity żart, naprawdę znakomity. Wszyscyśmy się ubawili jak nigdy. Z pana to naprawdę mistrz dowcipu. To może teraz wszystkim nalejemy po pucharku dobrej wódeczki albo po szklance winka? Na jeszcze lepszy humor i na zgodę, która zawsze buduje...

– Zamknij się, ty głupia zdiro! Jak mówię, żebyś podała mi sztucer, to masz mi podać! Załadowany! Zamierzam ustrzelić tego bałwana jak niedźwiedzia.

Serb sam wlaźł za szynkwasa, zdjął ze ściany sztucer, z zadowoleniem stwierdził, że wprawdzie nie jest załadowany, ale obok wisi sakwa z ładunkami na grubego zwierza. Nabił broń i szerokim gestem wezwał obecnych do wyjścia na zewnątrz:

– Dalejże na majdan! Tam go załatwię! Ruszaj się, *swolocz*, czas na ciebie!

Przerażona Elsa rozejrzała się bezradnie, żandarmów nadal nie było widać. Sama, nawet z pomocą trzech Rosjan i sióstr na zapleczu, nie mogła przeciwstawić się pijanej gromadzie, która najwyraźniej brała wszystko za dalszy ciąg żartu Podgoričana. Otwarto drzwi z rozmachem i cała zgraja wysypała się na błotnisty dziedziniec, miotając na przemian pogroźki, wesołe okrzyki lub nieartykułowane, bełkotliwe wrzaski. Elsa zwróciła się do Timofieja:

– *Herr Offizier*, sam pan widzi, że nic nie poradzę. Mam jeszcze resztki nadziei, że to jednak tylko głupi, okrutny żart. Lepiej, żeby was tu żandarmi nie zastali, bo wszyscy tu obecni będą mieli kłopoty. Wracajcie do obozu albo idźcie do miasta, jak wam wygodniej. Bóg da, spotkamy się za trzy dni u was w obozie. Może nawet przyjedziemy wszystkie trzy. Ale teraz już idźcie, lepiej nie być świadkami takich rzeczy.

Tymczasem na zewnątrz wesoły pijany tłumek prowadził obu równie pijanych pojedynekowiczów na teren spalonych składów, żartując i przekomarzając się po drodze. Wreszcie znaleziono odpowiednie miejsce i Serb kazał Prusakowi stanąć przy osmalonych resztkach stodoły. Günter von Stoll nadal nie wierzył, że to wszystko dzieje się na poważnie. Uśmiechał się niepewnie, starając się trzymać fason wobec kolegów. Podgoričan jeszcze raz sprawdził broń, następnie odmierzył trzydzieści kroków i przyłożył kolbę sztucera do ramienia. Obecni nagle zrozumieli co się dzieje i jakby przytrzeźwieli, jednak żaden nie ruszył się z miejsca. Wstrzymywała ich niczym nie uzasadniona nadzieja, że wszystko „jakoś” samo się rozwiąże, i głupie przekonanie, że „honor ponad wszystko”, wobec czego nawet tak idiotyczne zasady pojedynku trzeba

uszanować. Przez chwilę wydawało się, że problem rzeczywiście sam się rozwiąże, gdyż Serb, i tak słaby strzelec, był tak pijany, że prawdopodobieństwo trafienia było nikłe. Lufa sztucera w drżących rękach pijanego huzara zataczała chaotyczne kręgi. Wreszcie jednak sztucer wypalił. Los, czysty przypadek zrzucił, że kiepsko strzelający i pijany Podgoričan trafił von Stolla w samo serce, zabijając go na miejscu. Chwilę później między obecnych wpadli zdyszani żandarmi, którzy mogli już tylko sporządzić protokół i rozpocząć przesłuchania świadków<sup>133</sup>.

Tima, Fiedot i Borys, uniknąwszy oglądania sceny finałowej osobliwego „pojedyunku” i następujących potem przesłuchań, okazawszy przepustki przekroczyli potężne przedbramie Hohe Tor i ruszyli po moście w stronę właściwej bramy do miasta. Byli porządnie umundurowani i podopinani, na głowach mieli kiwery, których daszki osłaniały oczy. Niczym nie wyróżniali się spośród licznych rosyjskich piechurów, kręcących się po Heilsbergu. Timofiej patrzył pod nogi, stawiając krok za krokiem po dudniących deskach mostu. Naraz usłyszał nowy odgłos – z naprzeciwka, od miasta, nadjeżdżał wyładowany furgon, którym powoził wysoki Żyd. Na koźle obok niego siedziała kobieta, okręcona czarnymi pledami. Jej twarzy nie było widać, gdyż po części zakrywała ją chusta, a ona sama była pochylona i nie rozglądała się na boki. Na pace wozu półleżał kilkunastoletni żydowski chłopak. „Koporcy” obrzucili wóz obojętnym spojrzeniem i podążyli w głąb miasta.

Dwór i majątek w Schwenkitten były pełne pruskich ułanów – Polaków z pułku „Towarzyszy”. Gospodarze, przeczekawszy we względnie bezpiecznej Wormditt okres walk i przemarszów trwający od stycznia do początków marca, powrócili do domu i pilnowali swego, ufni w ochronę własnego wojska. Kilkakrotne „wizyty” żołdaków francuskich i rosyjskich nieco przetrzebiły zasoby żywności, mebli i precjozów, dlatego teraz Saint – Chamans i towarzyszący mu Prusak zastali kobiety z majątku, zarówno szlachcianki jak i służące, przy zmuszonym wypruwaniu cieniuteńkich srebrnych i złotych nitek ze strzępów zetlałych lub porwanych starych sukien, walających się na strychu, po szafach i w kufrach. Owe brokaty i złotogłowie, dziś już niemodne, zawierały całkiem sporo cennego kruszcu, trzeba go było jedynie pracowicie, delikatnie wydłubać. Czynność tę zwano drezlowaniem lub profilarowaniem. Damom i dziewczkom ze Schwenkitten dodawała animuszu opowieść, jaką usłyszały od jednego z polskich „Towarzyszy”. Wspomniał on, że jeszcze za nieboszczki Rzeczypospolitej księżna Jabłonowska, starościna kowelska, z takich wydrezlowanych nitek każdemu z synów srebra stołowe po przetopieniu sprawiła. Drezlowano zatem, aż furczało, zabijając przy okazji czas i zagłuszając lęki związane z trwającą wojną.

W oczekiwaniu na dalsze postępy w sprawie wymiany, obaj oficerowie zasiedli do wspólnego śniadania. Musieli poprzestać na własnych zasobach, bo dwór był z prowiantu ogołocony. Alfred zorientował się, że wyłożone przez niego na stół chleb i *calvados* wywołały u Prusaka wrażenie, że poje sobie tym razem lepiej niż dotąd, sam bowiem dysponował tylko odrobiną czarnego chleba i szynki. Pruski oficer wyszedł na moment z izby, by zawołać jednego ze swoich ułanów. Ten po chwili wkroczył do wnętrza z kawałkiem zamrożonego mięsa. Jego dowódca zapytał o coś żołnierza, a następnie poinformował Alfreda usiłując mówić po francusku:

– *Lui nous assure, que c’était de la vache...*<sup>134</sup>.

Saint – Chamans uśmiechnął się uprzejmie i rzucił okiem na mięso. Nawet pobieżne oględziny pozwoliły mu nabrać przekonania, że druga strona także stara się zaimponować Francuzowi – według niego, była to ewidentnie konina. Pomyślał jednak: „darowanemu – *nomen omen* – koniowi nie zagłada się w zęby”.

– *Il faut griller cette viande*<sup>135</sup> – stwierdził Prusak, co było rzeczą oczywistą. Alfred wyszczerzył zęby po raz kolejny, rewanżując się koledze:

– *Ja, wir müssen braten diese Fleisch*<sup>136</sup>.

Wkrótce mięso, wołowina czy konina, *ganz egal* czy też *tout de même*, skwierczało na ruszcie; także sierżant Gourmand został szczerze ugoszczony. Wytworzyła się znakomita komitywa, której nie zakłócała nawet bariera językowa. Jedzono, popijano, wymieniano łamaną niemieczyzną i francuszczyzną uwagi o pogodzie, zdrowiu, koniach, kobietach... Kiedy jednak minęło kilka godzin, pruski oficer zaniepokoił się brakiem wieści z Wormditt.

– *Vous doit aller avec moi*<sup>137</sup> – mówiąc to, Prusak wyraźnie przekraczał zakres wydanych mu przez dowództwo poleceń. Alfred nie oponował, pamiętając, że do jego zadań należy też możliwie najgłębsza penetracja terenu po drugiej stronie Passarge. „W końcu szpiegostwo to odwieczne zadanie wszelkich parlamentarzysty i dyplomatów. Skoro mogą to robić ambasadorowie, i jakoś ich nikt z tego powodu nie rozstrzeliwuje, to co ma wstrzymywać mnie maluczkiego?” – usprawiedliwiał się na zapas. Na wszelki wypadek jednak postanowił się zabezpieczyć przed wzięciem do niewoli:

– *Herr Offizier, ich habe Angst von den Kosaken, die hier überall sind...*<sup>138</sup>.

– *Monsieur*, daję panu słowo honoru, że będę cały czas przy pańskim boku, toteż niczym pan nie ryzykuje!

Ruszyli zatem w drogę we dwójkę, Gourmand pozostał w majątku. Wszędzie: przy drodze, na polach i w lesie wciąż zalegały połacie mokrego śniegu. O pół lieu od Schwenkitten, we dworze w Dittrichsdorf<sup>139</sup>, napotkali silny oddział kozaków. Prusak przedstawił swoje rozkazy i zapytał, dlaczego do tej pory nie przysłano generała nad Passarge, pod Elditten. Dowódca kozaków, inteligentnie wyglądający i zadbany oficer, odparł po francusku:

– *Le général Victor reste à Wormditt. Mon commandement n’avait pas voulu consentir à l’échange du lui...*<sup>140</sup>.

W dalszej rozmowie ustalono wszakże, iż generał znajduje się pod strażą Prusaków, którzy są jak najbardziej zainteresowani odzyskaniem Blüchera. Pruski oficer zmartwił się i w drodze powrotnej do Schwenkitten zaproponował:

– Proszę spróbować jutro, tylko w innym miejscu. Myślę, że najlepiej to zrobić między Lomitten<sup>141</sup> a Wormditt; tam nasze posterunki są liczniejsze od kozackich, toteż wierzę, że nie będzie żadnych trudności.

– Drogi kolego, jestem panu ogromnie zobowiązany. Chcąc mi ułatwić zadanie, przekroczył pan dobrowolnie zakres pańskich obowiązków. *Merci beaucoup, camarade!*<sup>142</sup>

Rozstali się jak najlepsi przyjaciele; nie zobaczyli się nigdy więcej. Niestety, Saint – Chamans zapomniał zapytać go o nazwisko, czego żałował jeszcze po latach, spisując

wspomnienia. Wierzył jednak, że Prusak również zachował go w życzliwej pamięci.

Nazajutrz wczesnym rankiem Alfred udał się w kierunku nieprzyjacielskich posterunków rozlokowanych naprzeciwko obsadzonych przez żołnierzy IV korpusu Lomitten. Tym razem napotkał oddziały koalicyjne niemal od razu po przekroczeniu linii szaniec francuskich. Ujrzał dużą grupę kawalerii pruskiej, ront kozaków oraz oddział złożony z Baszkirów i Kałmuków – ci ostatni wydali mu się wyjątkowo straszni i niewyobrażalnie brudni. Na szczęście zarówno oni, jak i kozacy, pozostali niemymi i nieruchomymi świadkami rozpoczynających się negocjacji. Do Saint – Chamansa podjechał oficer dowodzący Prusakami. Alfred rozpoznał mundur Czarnych Huzarów, których Francuzi nazywali Huzarami Śmierci z powodu wizerunku trupiej czaszki na czakach. Dosiadał dorodnego konia, sam także był dobrze zbudowanym, wysokim mężczyzną. Szpeciła go jednak okropna blizna: nie miał jednego oka, zapewne sprawił to cios szabli. Zasalutował uprzejmie:

– *Enchanté, monsieur. Je m'appelle von Arnim.*

– *Enchanté. Je suis le capitaine de Saint – Chamans, aide de camp du maréchal Soult*<sup>143</sup>.

– Proszę wybaczyć perturbacje, jakie nastąpiły w związku z planowaną wymianą naszych generałów. Proponuję panu udać się wraz ze mną do Wormditt. Muszę jednak uprzedzić pana, że odbędzie pan tę podróż z zawiązanymi oczami. Nie chodzi o mnie, ja wierzę w pańskie uczciwe zamiary; chodzi o kozaków, którzy nas wciąż obserwują i wszędzie wietrzą podstęp.

– *D'accord!*<sup>144</sup> Jedźmy zatem, bo i tak straciliśmy już cały dzień.

Oczy Alfreda zostały zawiązane bardzo szczelnie, toteż rzeczywiście niczego nie był w stanie zauważyć. Jeden z oficerów trzymał jego konia za uzdę, stykając się z Saint – Chamanssem niemal ramię w ramię. Wierzchowiec Francuza był narowisty, zanim więc przebyto owe dwa lub trzy lieu dzielące Lomitten od Wormditt, kapitan mocno się zmęczył. Wreszcie kopyta zaczęły klaskać po kamiennym bruku ulic miasta i konie zatrzymały się. Z oczu Alfreda zdjęto opaskę. Zeskoczył z siodła dokładnie naprzeciwko wejścia do budynku, w którym przetrzymywano generała Victora. Oficer pruski otworzył drzwi:

– Proszę wejść. Generał oczekuje pana.

Kapitan wszedł do pokoju generała i przedstawił mu dokumenty dotyczące wymiany. Pucułowata, wyglądająca pogodnie i jowialnie nawet bez uśmiechu twarz dostojnego jeńca w pełni uzasadniała jego popularne przezwisko: „*Beau Soleil*” – „Śliczne słońeczko”. Widać było, że nie działa mu się krzywda – był zadbany, w czystym mundurze, dobrze odkarmiony. Victor przez chwilę porozmawiał jeszcze z przebywającymi przy nim generałami pruskimi, po czym zwrócił się do Alfreda:

– Mój drogi panie, z pewnością jest pan głodny. Proponuję panu nieco spóźnione wspólne śniadanie przed wyjazdem.

Saint – Chamans rzeczywiście zdążył zgłodnieć od rana, także z powodu napięcia nerwowego, przyjął więc zaproszenie z ochotą. Po spożyciu posiłku zakropionego winem obaj udali się w drogę do Lomitten. Alfredowi niestety ponownie zawiązano oczy, toteż nie mógł się należycie rozejrzeć. Z kolei generała umieszczono w kolascie z

zablińdowanymi szczelnie oknami. Kapitan znów się zmęczył osobliwym trybem podróży; nigdy nie przypuszczał, że poruszanie się konno z zawiązanymi oczami może być tak denerwujące.

Wreszcie jednak dojechali na przedpole szańców w Lomitten. Saint – Chamans zapukał w ścianę kolasy:

– *Monsieur le général*, proszę o chwilę cierpliwości, ruszę ku naszym pozycjom, żeby uprzedzić o pańskim przybyciu...

Z wnętrza kolasy dał się słyszeć głos Victora:

– Proszę czynić, co do pana należy, *monsieur le capitaine*. Wytrzymałem tyle czasu w niewoli, wytrzymam jeszcze te parę minut.

Alfred zbliżył się do szańców, posterunki rozpoznały go natychmiast i wezwano oficera. Ten posłał meldunek do dowództwa, które zajęło się wyekspediowaniem generała Blüchera. Victor i Saint – Chamans byli po dobrym śniadaniu, czekali więc cierpliwie na wymianę, która przebiegła tym razem bez żadnych komplikacji. Po pruskiej stronie ustawił się dwusereg muszkieterów w granatowych uniformach i czarnych *dreispitzach*, przed który wyszło dwóch oficerów w długich dwurzędowych płaszczach; prowadzili Victora. Od strony Lomitten, niczym lustrzane odbicie, stanęły szeregi francuskich wołyżerów i dwaj oficerowie asystujący staremu generałowi z siwymi wąsami. W pewnym momencie obaj generałowie ruszyli naprzeciw siebie; Victor w płaszczu z futrzaną pelisą, Blücher w szynelu z szerokim sukienym kołnierzem. Panowała głucha cisza; w ponurym, nadal na poły zimowym krajobrazie sterczały w niebo pozbawione listowia drzewa, na których zgromadziły się gawrony. W tej ciszy słyszeć było tylko odgłos deptanego ciężkimi butami rzedniejszego, mokrego śniegu. Kiedy obaj generałowie mijali się bez zatrzymania, wymienili bez słowa suche skinienia głowy, nie salutując sobie nawzajem. Blücher ostentacyjnie trzymał prawą dłoń za połą szynela, rozpiąwszy jeden z guzików. Widząc to, Victor także nie uniośł ręki do kapelusza. Po chwili jeden i drugi znaleźli się wśród swoich; po obu stronach rozległy się głośne wiwaty. Spłoszone gawrony poderwały się z krakaniem a potem odleciały do pobliskiego lasu<sup>145</sup>.

Odetchnąwszy z ulgą po wypełnionej misji, Alfred udał się na nocleg do swojej kwatery w Liebstadt. Podążył tam również generał Victor, oczywiście do apartamentów marszałka Soula. Zadowolony z siebie kapitan nie przypuszczał, że już niedługo czeka go w Liebstadt kolejna wojenna niespodzianka.

Kawaleria prawego skrzydła armii, dowodzona przez generała lejtnanta Dmitrija Władimirowicza Golicyna, kwaterowała i biwakowała we Frauendorfie i okolicach. W jej składzie pozostawał pułk dragonów kurlandzkich, w którego szeregi powrócił szczęśliwie potężny niczym Ilja Muromiec Foma Dragomirow. Cóż jednak z tego, że jego powrót uszczęśliwił ocalałych z zimowych walk kolegów i zwierzchników, skoro sam Fomka czuł się bardzo nieszczęśliwy. Cudowna dziewczyna o długich blond warkoczach, ujrzana owego lutowego dnia na rozstajnych drogach w pobliżu Neuendorfu, śniła mu się po nocach. Tęsknił. Cierpiał. Chodził jak struty, burczał pod nosem i z byle powodu wzniecał bójkę (kończące się bez wyjątku sromotną porażką dla jego adwersarzy i kilkoma karnymi służbami wartowniczymi dla niego samego) albo dla odmiany pogrążał się w nieutulonej, czarnej melancholii, co – według zgodnej opinii kamratów – było jeszcze gorsze. Dobrze



pamiętał, w którą stronę skierowały się sanie z jego Cud – Dziewicą, które potem powracały już bez niej, podążając w stronę Reimerswalde. Wiedział, że tajemnicę jej zniknięcia kryje las workeimski. Wielokrotnie prosił o pozwolenie na odbycie patrolu w tamtym rejonie, jednak bez skutku: dowództwo kierowało wszystkie patrole na południe, do Bogen, Bürgerwalde, Kaschaunen i innych wiosek. Nigdy w stronę Drewenz, Sperwatten czy Workeim. Fomę ogarniała rozpacz i desperacja, bliski był nawet decyzji o dezercji, byle tylko dowiedzieć się, gdzie przebywa i co robi jego wyśniona wybranka, o której tak naprawdę niczego nie wiedział. Poza tym, że drugiej takiej – był o tym absolutnie przekonany – nie ma na całym świecie. I że w lutym sanie odjechały już bez niej przez Reimerswalde do Launau. W tamte okolice jednak również go nie posyłano. Choć weź i w łeb sobie strzel! Na razie od czasu do czasu „strzelał” pięścią w głowę każdego, kto krzywo spojrział albo ośmielił się komentować jego poczynania. Każdy mający odrobinę oleju w głowie skwapliwie schodził mu z drogi. Oficerowie byli wobec niego pobłażliwi, wiedząc jak cenny jest dla pułku taki potężny drągal, umiejący w dodatku świetnie strzelać i fechtować się.

Foma nie zdezerterował – był na to zbyt dobrym i zaprawionym do niewygód żołdatem. W drugiej połowie kwietnia zdezerterował za to młody gówniarz, jeden z niedawno powołanych rekrutów, których przysłano z kraju w ramach uzupełnień, Giena Lebediew. Już po trzech tygodniach nie wytrzymał dyscypliny i surowych warunków życia, oferowanych na zimowych biwakach. Dowódca szwadronu natychmiast zarządził pościg, powierzając komendę nad grupą tropicieli Fomie Dragomirowowi. Pruscy wieśniacy z Frauendorfu zeznali, że dezertier umknął lasem w stronę karczmy położonej przy drodze do Raunau<sup>146</sup>. Taka gratka nieprędko się powtórzy! Foma zacierał swe wielkie dłonie z radości, że nareszcie – pod pretekstem poszukiwania zbiega – spenetruje okolice, gdzie musi ukrywać się jego wybranka. Otrzymałszy rozkaz poprowadzenia pościgu, sam błyskawicznie doprowadził się do stanu gotowości i teraz biegał wzdłuż szeregu osiodłanych dragońskich koni, wydzierając się jak opętany:

– Szybciej, szybciej gamonie! Jeśli się nie pospieszycie, ta *swolocz* ucieknie aż do Königsbergu, a potem szukaj wiatru w polu! Dopinać kaski, mundury, pasy, mantelzaki, sprawdzić broń! Ruszamy za pięć minut!

Dragoni i bez jego pokrzykiwań szybko i sprawnie przygotowywali się do wymarszu. Po pięciu minutach zagrała trąbka i grupa w sile połowy szwadronu ruszyła kłusem w stronę lasu na wschód od wsi. Na czele podążał ogromny niczym żuraw studzienny Dragomirow, pochylony do przodu i czujnie śledzący wzrokiem teren po bokach. Droga była zdeptana i rozjeżdżona, topniejący śnieg nie zdradzał już wyraźnie – jak jeszcze całkiem niedawno – tropów odchodzących od drogi w pole lub w las. Uciekinier nie znał okolicy, nie znał tutejszych ludzi ani ich języka. Musiał zatem instynktownie szukać schronienia w lesie lub oddalonych od wsi budynkach. Las leżący w pobliżu Frauendorfu był za mały, by stać się choćby na krótko bezpieczną kryjówką. Jeden z dragonów zapytał:

– *Gospodin komandir*, można zadać pytanie?

Foma skinął głową. Żołdat kontynuował:

– Zaraz koniec lasu a za nim karczma. Co robimy dalej? Bo w stronę Drewenz,

Sperwatten i Raunau będzie odkryte pole. Tam raczej nie uciekł bez niczyjej pomocy... Trzeba by rozpytać się u miejscowych, czy go nie widzieli.

– Ano trzeba. Najlepiej w karczmie, bo tam mogą być ludzie, co przybyli z różnych stron. Jeśli niczego nie zauważyli, ruszemy na Workeim.

Dragon zapytał:

– Dlaczego akurat na Workeim?

– Ponieważ tam jest kawał większego lasu. No i ja już bywałem zimą w tamtej okolicy. Trochę pamiętam – Foma za nic nie przyznałby się, co ciągnie go w tamtą stronę – I tak na razie niczego nie wiemy, zatem Workeim to taki sam dobry kierunek, jak każdy inny.

Dom wuja Franza w Pudelkeim<sup>147</sup> stał na skraju wioski, pod samym lasem. Mimo to Lieselotte starała się nie wychodzić z chałupy bez istotnej przyczyny – im mniej ludzi wiedziało o jej pobycie u wuja, tym lepiej. Nie trzeba kusić losu. Wychodziła więc tylko za potrzebą, do studni po wodę, do kurnika, obory i chlewa, by zadać karmy zwierzętom. Ubierała się przy tym w stare łachy po zmarłej wujence Annie i starała się ukrywać twarz. Tego przedpołudnia wyszła jednak po prostu zaczerpnąć świeżego powietrza, gdyż na dworze czuć już było wiosnę – inaczej pachniała ziemia, inne wonie przynosił wiatr, coraz bogatszy i weselszy stawał się ptasi chór. Dziewczyna wyszła na środek obejścia, zapatrzyła się w zachmurzone niebo, swobodnie rozciągnęła ramiona, czując jak prężą się jej kształtne piersi. Naraz rozszczękał się Gero – wielki bury pies uwiązany przy budzie opartej o ścianę stodoły. Lieselotte obróciła się w stronę domu, zamierzając zawołać wuja. I wtedy ujrzała patrzące na nią zza rogu stodoły przerażone oczy młodego chłopaka ze zmierzwioną blond czupryną, który położył palec na ustach a następnie wyszedł na podwórze i upadł na oba kolana, składając dłonie jak do modlitwy. Nagle przemówił:

– *Barysznia, pomilujtie! Wo imia Spasa i Swiatoj Bogomatieri! Kogda oni mienia najdut, ubijut kak sobaku... Pomilujtie, skazitie, gdzie ja mogu spriatat'sia*<sup>148</sup>.

Dziewczyna nie rozumiała, co mówi chłopak, jednak czuła, że coś mu grozi i trzeba mu pomóc. Gestem dała mu do zrozumienia, żeby zaczekał i pobiegła po wuja. Franz Gruber od razu rozpoznał rosyjski mundur. Domyślił się, że brudny i rozchełstany młodzieniec jest dezertorem. Trzeba było szybko coś postanowić. Zadysponował więc stanowczo:

– Lieselotte, przygotuj zaraz dla niego bochenek chleba, kawał szpeku i kilka cebul. Zawień w węzełek, daj mu, a potem odprowadzimy go nieco i wyprawimy dalej. U nas zostać nie może. Za duże ryzyko.

Następnie zwrócił się do młodego Rosjanina:

– *Soldat, ty muss dali, dali. Kuschat i dali. Bezopasno*<sup>149</sup>.

Chłopak pokiwał głową, że rozumie. Po chwili dziewczyna wróciła z zawiniątkiem. Gruber wskazał na migi Lieselotte i Rosjanina a potem pobliski las. Tamten, nadal przerażony, ponownie skinął głową. Zaraz potem oboje ruszyli przez pokrytą połaciami topniejącego śniegu łąkę prosto w stronę lasu.

Półszwadron dowodzony przez Dragomirowa po kilkugodzinnym błędzeniu po okolicy ruszył szybko wokół północnej lizjery lasu workeimskiego, okrążając go, a następnie kierując się kiepską drogą gruntową do majaczącej w oddali wioski. Od

chłopów z Workeim dragoni wiedzieli, że to Pudelkeim. Na wieś składała się część centralna skupiona wokół skrzyżowania dróg oraz pojedyncze obejścia, rozproszone po całej rozległej polanie, położonej pomiędzy dwoma lasami. Nawet jadąc drogą w zwartym szyku łatwo można było ogarnąć wzrokiem cały teren. Jednak po chwili Foma nakazał dragonom przeszukiwać kolejne chałupy, sam zaś, ufny w swoją siłę i umiejętność władania bronią, postanowił sprawdzić obejście pod samym lasem. Wpadł kłusem na podwórze, gdzie powitał go mężczyzna w średnim wieku, zapewne gospodarz. Zanim jednak zdążyli zamienić choć słowo, wzrok Fomy ułowił dwie sylwetki niknące w lesie za domem. Nie bacząc na krzyki mężczyzny, puścił konia galopem przez pole i po chwili znalazł się przed ścianą gęsto rosnących drzew i krzewów. Dalsza jazda konno była niemożliwa, toteż Dragomirow zeskoczył z siodła i uwiązał wierzchowca do pnia brzozy. Zanurzył się w las z obnażonym pałaszem w rękę; karabin zarzucił na plecy. Liście jeszcze nie wypączkowały, jednak w lesie rosło wiele iglaków, toteż widoczność była ograniczona. Foma rozsunał pałaszem i lewą ręką mocno splecione ze sobą gałęzie dwóch świerczków i naraz zobaczył jakieś dwadzieścia kroków przed sobą wysoką kobietę w ciemnej odzieży, wchodzącą za kępę jałowców. Krzyknął:

– *Frau, stoj! Nie udiraj! Ja szissen!*<sup>150</sup>

Okrzyknięta kobieta drgnęła i obejrzała się za siebie; przy tym gwałtownym ruchu z jej głowy opadła czarna wełniana chusta. Oczom dragona ukazała się blada owalna twarz młodej dziewczyny o lekko zaróżowionych policzkach, otoczona blond włosami zaplecionymi w pyszne, długie do pasa warkocze. W twarzy widniały wielkie, cudownie błękitne oczy, oprawione nieco ciemniejszymi brwiami i rzęsami. Dziewczyna była wyraźnie wystraszona, w jej rozchylonych w grymasie przerażenia ładnych ustach błysnęły białe, perliste zęby.

Głośny okrzyk za plecami zaskoczył i przestraszył Lieselotte. Zobaczywszy zwalistego rosyjskiego dragona, natychmiast pomyślała z rozpaczą, że oto jej los się dopełnia – zostanie brutalnie zniewolona i pohańbiona, może nawet zamordowana w tym pustym lesie. Nikt nie odnajdzie ani nie rozpozna potem nawet jej szczątków, bo intruzi i wuja z pewnością zabiją, żeby nie zostawiać świadków. Przez jej głowę przemknęła krótka niczym błyskawica myśl o poznanym w zupełnie innym lesie młodym Francuzie. Szeptala rozpaczliwie:

– Raymond! Raymond, gdziekolwiek jesteś, cokolwiek robisz, jeśli tylko żyjesz, uratuj mnie! Uratuj mnie! Ja ginę, ja, twoja Lieselotte!

Zdawała sobie sprawę, że te zaklęcia są bez sensu, ale nic innego nie była w stanie wydusić ze ściśniętej łękami krtani. Nagle ze zdumieniem stwierdziła, że rosyjski żołnierz zatrzymuje się i zaczyna wpatrywać się w nią z otwartymi ustami. Jego oczy rozszerzyły się w zachwycie, a po chwili całą twarz rozjaśnił uśmiech znamionujący uczucie szczęścia. Nawet w tak groźnym momencie dziewczyna zauważyła, że dragon – pomimo dość prostej urody – jest bardzo przystojnym mężczyzną, a jego uśmiech wcale nie napawa strachem – przeciwnie, wydaje się przyjazny i szczery. A jednak był to obcy człowiek, intruz, który gwałtownie wdarł się w jej spokojne życie w wujowym gospodarstwie. Nie wiadomo, czego chce i po co ją ściga.

– *Eto ty! Eto ty, moja krasawica, moja skazoczna! Czudo Diewoczka! Nakaniec ja*

*naszoł tiebia! Ja tiebia tolko raz uwidieł i wlubiłsia w tiebia s pierwego wzgliada! Nie bojsia, ja tiebia nie tronu ni odnim palcom... Pogowori so mnoj, ułybnisia ko mnie, wsio budiet choroszo, prosto nie bojsia*<sup>151</sup> – Rosjanin wypowiadał przekonująco i z zapalem zupełnie niezrozumiałe dla Lieselotte zdania. Jego entuzjazm był dla niej zagadkowy i niepojęty, toteż – wbrew przyjaznemu wyglądowi i zachowaniu dragona – bała się go coraz bardziej. On zaś był tak w nią zapatrzony, że zatracił poczucie tego gdzie jest i co tu robi. Stał się ślepy i głuchy na cały świat, widział tylko swoją wyśnioną Cud – Dziewicę... Wtedy Lieselotte zobaczyła, jak za jego plecami skrada się młody dezertier z grubym polanem w rękach. Stąpał bardzo ostrożnie, starając się nie nadepnąć na gałązkę, by nie wywołać hałasu. Wreszcie zbliżył się na tyle, że był w stanie zamachnąć się i uderzyć. Cios był celny i mocny – Foma Dragomirow zwałił się bez czucia na ziemię, upuszczając pałasz. W tym momencie nadbiegł zdyszany wuj Franz. Obrzucił wzrokiem siostrzenicę, dezertiera i nieprzytomnego dragona, po czym zwrócił się do dziewczyny:

– Lieselotte, dłużej nie możesz tu zostać. Zastanówmy się, tylko szybko, dokąd mogłabyś się schronić? Ja oczywiście cię tam zaprowadzę i to natychmiast, bez zawracania do chałupy...

– Jediną osobą, jaka przychodzi mi na myśl, jest Marianna Benska z Reimerswalde. Razem brałyśmy lekcje u księdza Hossmanna, znamy się od małego. Ona i jej ojciec na pewno mi pomogą. Mam nadzieję, że nadal żyją.

– I tak nie mamy innego wyjścia, musimy próbować u Benskich. A co z tym tu młodzikiem? – wuj przypomniał sobie o dezertierze. On zaś niespodziewanie podszedł do Grubera i wręczył mu węzełek z chlebem, słoniną i cebulami, potem wskazał na siebie i nieprzytomnego dragona mówiąc:

– *Spasibo wam, dobryje ludi. Ja pri niom ostanus'...*<sup>152</sup> – w jego głosie pobrzmiwała rezygnacja. Po chwili Franz Gruber i Lieselotte zniknęli w głębi lasu, niosąc zawiniątko z prowiantem.

Foma ocknął się z zimnym okładem na potylicy. Z tyłu głowy wyczuwał potężnego guza, chociaż pomacawszy ręką nie znalazł tam krwi. Wokół niego stali „kurlandcy” z grupy pościgowej, a pochylał się nad nim troskliwie... młody dezertier Giena Lebediew! Dragomirow zdumiony zażądał wyjaśnień, na co Giena odpowiedział:

– *Gospodin komandir*, napadli pana tutejsi bandyci, rabujący po drogach i lasach w ten wojenny czas. Zobaczyłem, że jeden zaszedł pana od tyłu i uderzył polanem w głowę, kiedy pozostali już się oddalili. Bo pan ich tropił w tym lesie, no przecież pan pamięta? Musi pan to pamiętać! Wtedy podbiegłem i opatrzyłem pana. To oni wczoraj wieczorem zaskoczyli mnie, zakneblowali i związali, zabrali karabin i uprowadzili aż tutaj. Mieli wóz pełen zrabowanych rzeczy. Okradli też gospodarza tej chałupy pod lasem, ale on w nocy wyszedł z ukrycia i porozcinał mi więzy. Obaj uciekliśmy do lasu. Bandyci nas szukali, kiedy pan się pojawił, a potem dostał po głowie. Oni odeszli a gospodarz już przedtem uciekł. Nie wiem, dokąd...

Foma uznał, że opowieść Gieny jest z lekka podejrzana, ale w końcu chłopak go opatrzył i sprowadził resztę dragonów... Nagle coś sobie przypomniał:

– A co z dziewczyną? Nie było tu w lesie takiej młodej dziewczyny, blondynki z warkoczami, najpiękniejszej na świecie?!

– Dziewczyny? – dezenter szczerze udał zdziwienie – Nie, żadnej dziewczyny tu nie było. Tylko ja, ten chłop i banda. Chyba bardzo mocno pana uderzyli, skoro mówi pan o jakiejś dziewczynie... Klnę się na wszystkie świętości, że żadnej nie było!

Foma zasepił się i przez chwilę rozważał, co robić dalej. Wreszcie stwierdził zdecydowanie:

– Tak czy siak, pora wracać do Frauendorfu! Mam nadzieję, że dowództwo uwierzy w twoją opowieść i nie zostaniesz ukarany. Ale gdyby jednak coś ci się przypomniało na temat tej dziewczyny, to...

Giena powoli odzyskiwał dobry humor:

– *Gospodin komandir*, jak mógłbym przypomnieć sobie coś, czego nie było? Ja prosty człowiek, prawie że do trzech nie zliczę, gdzie mnie fantazjować o jakichś pięknych dziewczynach! Co innego w bajkach...

Po chwili półszwadron Dragomirowa gnał już kłusem w stronę kwater i biwaków pod Frauendorfem, tym razem z zaginionym Gieną Lebediewem, który okazał się nie być dezenterem, a przynajmniej tak Foma kazał zeznawać swoim dragonom.

Połowę rynku w Bartenstein<sup>153</sup> wypełniały stojące niemal jeden przy drugim pojazdy najrozmaitszych rodzajów: ciężkie i lekkie furgony taborowe, jaszczke amunicyjne, kolaski notabli i wyższych oficerów, liche furmanki chłopskie, bryczki, dwukółki i wozy należące do kolumn sanitarnych. Drugą połowę, za ratuszem, zajmowały bielejące płótna ustawionych w podkowę namiotów, pomiędzy którymi płonęło kilka niedużych, starannie doglądanych ognisk. Pojazdy i namioty należały do urzędników i wojskowych, którzy towarzyszyli obu monarchom: królowi Prus Fryderykowi Wilhelmowi III i carowi Rosji Aleksandrowi I, przebywającym w mieście od 18 kwietnia. Dwa dni później podpisano w ratuszu, w sali rady, oficjalny traktat prusko – szwedzki precyzujący warunki kooperacji w działaniach na Pomorzu. Lada dzień miano uzupełnić dotychczasowe układy sojusznicze o kolejny traktat między Prusami i Rosją, zawierający szerokie plany ładu, jaki zamierzano zaprowadzić w całej Europie po zwycięskiej, w co nie wątpiono, wojnie z Napoleonem.

Dlatego miasto pełne było wojska w mundurach pruskich, rosyjskich, rzadziej szwedzkich czy brytyjskich. Równie wielu, co Rosjan i Prusaków, było wałęsających się bez jakiegokolwiek dozoru francuskich jeńców. W strefie tak odległej od linii dzielącej obie walczące ze sobą armie nie obawiano się ich ucieczki. Francuzi byli widoczni wszędzie: na przedmieściach, w karczmach, na rynku. Miejscowe dziwki bardzo ich sobie chwaliły, bo byli wobec nich szarmanccy i umieli pięknie choć niezrozumiale mówić o miłości. Bywali też bardzo doświadczeni w sztuce Amora, stąd nieraz wybaczwały im, kiedy nie mieli czym zapłacić, oferując za to „damom” wyrafinowane formy pieszczot. Także i teraz rynek wypełniony był wielojęzycznym tłumem.

U wejścia do ratusza stał toporny posąg kamienny, wyglądający na relikw bardzo dawnych czasów. Wskutek bliżej nieznanego starcia z twardą rzeczywistością, górna część głowy posągu była odłamana, pozostał jedynie tajemniczy uśmiech, wyciosany niewprawnym dłutem prymitywnego, anonimowego twórcy. Mimo iż trudno było stwierdzić, kogo przedstawia statua, czyjaś ręka rozwiąła wątpliwości oglądających, zamieszczając na korpusie podpis. Wryte w kamieniu duże litery głosiły, że jest to

„*Gustebalda filia Weidewuthi*”. Wysoki Żyd, zamierzający wejść do ratusza, zatrzymał się na chwilę przy posągu. Zmrużył oczy, odczytując napis. Naraz z boku usłyszał wypowiedane po niemiecku słowa:

– Podoba się wam nasza Gustebalda? Że nie wygląda na młodą kobietę? Może i nie, ale skoro wyrzeźbiła ją pogańska ręka w czasach bałwochwalstwa, to musi wyglądać prymitywnie. Ludzie byli naówczas na pół dzicy, nieuczeni. Dawny komendant tutejszego garnizonu zachwycił się nią i kazał wyryć podpis. Uznał, że to wizerunek córki króla pogańskich Pruthenów, Wejdewuta... Ale to tylko bajanie. Każdy rozsądny człowiek od razu widzi, że to bałwan, czczony ongiś w tej ziemi. W całych Wschodnich Prusiech takowe znajdują<sup>154</sup>.

Żyd spojrział na rozmówcę, po stroju rozpoznając w nim ewangelickiego pastora. Ukłonił się uprzejmie w milczeniu, po czym podziękował za informacje, dodając na koniec:

– Pan wybaczy, wielebny, ale pilno mi do władz miasta. Muszę podpieczętować zgodę na mój czasowy handel w Bartenstein. Może i wielebnemu czego potrzeba? Przybywam prosto z Litwy, mam rozmaite towary...

– Oj, tu bieda straszna, od kiedy obecna wojna nastąpiła. Na dobrą sprawę brakuje wszystkiego, zwłaszcza żywności i paszy. Wojsko, nieważne: nasze, ruskie czy francuskie, rabuje na potęgę ten biedny kraj. Ludzie mrą z głodu i chorób jak muchy! Żadna władza nie potrafi temu zaradzić, bo w małych miejscowościach na co dzień jej nawet prawie nie widać. A najgorsi kozacy. Ci nagminnie grabią odległe wioski i pozbawione garnizonów miasteczka, a potem przewożą zrabowane rzeczy gdzie indziej, na przykład tu do nas, i sprzedają po niemożliwie wysokich cenach. Kto nie ma pieniędzy, ten musi umierać. I nikogo to już nie porusza, śmierć stała się nieproszonym gościem, codziennie pukającym do wielu drzwi. Z dnia na dzień coraz częściej. To czasy eschatologiczne, istna Apokalipsa! – pastor wznosił ku niebu oczy i rozcapierzone dłonie.

Ajzyk Rudziszker pokiwał smutnie głową, w pełni zgadzając się z rozmówcą. Chcąc się go już pozbyć, bo naprawdę spieszył się do magistratu, poprosił pastora, by albo zaczekał na niego przy posągu, albo udał się do ładownego wozu stojącego nadal za murami, u wejścia do Heilsberger Tor<sup>155</sup>.

– Z zakupem się jednak wstrzymajcie, wielebny. Po pierwsze, dziewczyna pilnująca wozu nie mówi po niemiecku, po drugie nie mam jeszcze formalnego zezwolenia na handel w Bartenstein. Zaczekajcie, aż wrócę – powiedziaławszy to, Ajzyk zniknął za masywnymi drzwiami ratusza.

Pastor po chwili wahania postanowił obejrzeć wóz. Przekroczył Heilsberger Tor, pozdrawiany przez wartowników, którzy znali go doskonale. Tuż za bramą rzeczywiście stał spory wóz, szczelnie okryty nasmołowaną płachtą, zabezpieczającą towary przed wilgocią. Na koźle siedziała kobieta okutana grubymi chustami, co czyniło jej sylwetkę podobną do posągu rzekomej Gustebaldy. Tyle że u „Gustebaldy” widać było jedynie uśmiechnięte usta, zaś nosa, oczu i czoła po prostu nie miała. Natomiast u kobiety z wozu usta i dolna część nosa były szczelnie zasłonięte chustą, podczas gdy w górnej części gładkiej, młodzieńczej twarzy wyraźnie widoczne były wspaniałe, wielkie błękitne oczy, dyskretnie omiatające ulicę. Oczy te przypomniały leciwemu pastrowi zmarłą przed laty

w wieku niespełna dwudziestu lat jedyną córkę, Elmentrudę. Ukochane dziecko, o które modlili się z żoną nieboszczką przez wiele kolejnych lat. Kiedy wreszcie się urodziła, całkowicie ich zawojowała, zwłaszcza ojca. Mała Elma albo Trudi, bo tak na nią – odmiennie – wołali matka i ojciec, była zdrowa, wesola, inteligentna, rosła jak na drożdżach. Kiedy stała się nastolatką, chętnie pomagała ubogim, nosiła dary, opatrywała rany, pielęgnowała chorych. Pewnego dnia, wizytując chore dziecko praczki, zaraziła się zgniłą gorączką. Zmarła cicho po trwającej dwa tygodnie chorobie. Pochowali ją na starym przykościelnym cmentarzu. Rok później podążyła za nią matka, która nigdy nie doszła do siebie po śmierci Elmentrudy. Poczul ukłucie w sercu, w oczach zakręciły się łzy. Te oczy były tak bardzo podobne do oczu jego córki! Nie zdecydował się podejść do wozu i zagaic, wszystko jedno w jakiej mowie. Zatrzymał się o kilka kroków przed pyskami koni. Wtedy napotkał wzrok dziewczyny, lekko przestraszony a zarazem zaciekawiony. Uśmiechnął się do niej, po czym uniósł prawą dłoń i pobłogosławił ją oszczędnym a przy tym wymownym gestem. Odpowiedziała lekkim pochyleniem głowy, opuszczając oczy. Odjęła też lewą rękę od zasłaniającej twarz chusty, mógł zatem ujrzeć jej również uśmiechnięte, bladoróżowe usta. „Jakaż ona piękna! Dużo piękniejsza od naszej świętej pamięci Elmentrudy. Wcale nie wygląda na Żydówkę...”. Jego rozmyślenia przerwał Ajzyk, powracający z ratusza z podpieczętowanym zezwoleniem na handel.

– Wielebny, czy zechcecie nam towarzyszyć i pomóc w znalezieniu kwatery w samym mieście lub tuż za murami? Dokument już mamy, można handlować. Czy sami czegoś potrzebujecie?

Pastor zastanowił się i po chwili stwierdził:

– Zapas sucharów posiadam, trochę suszonej marchewki i pietruszki także... Grzybów ususzonych dwa woreczki, parę butelek wina. Najbardziej przydałoby mi się nieco grochu lub fasoli. No i może suszonego mięsa, wszystko jedno jakiego.

– Mam suszoną wołowinę w niedużych paskach, mam groch, fasolę i bób. W razie potrzeby, to jednak za odpowiednią cenę, sprowadzę żywe kury, kaczki lub gęsi. A za naprawdę słoną cenę mogę załatwić nawet mleczną kozę – Ajzyk przedstawił szeroki wachlarz oferowanych produktów, dorzucając po chwili tajemniczo:

– Natomiast jeśli ktoś zapewniłby nam, to jest mnie i tej kobiecie, dach nad głową na kilka dni, otrzyma ode mnie coś naprawdę wyjątkowego. Gratis! Bo za kwatere oczywiście zapłacimy.

Pastor odpowiedział z zakłopotaniem:

– Niczego specjalnego nie mogę zaoferować, bo mnie samemu pozostawiono tylko samo mieszkanie na plebanii, reszta budynku zajęta jest przez ważnych gości ze świata wielkiej polityki. Jeśli jednak odpowiada wam mieszkanie w niedużej pakamerze, to zapraszam. Usunę trzymane tam narzędzia i naniosę słomy na legowiska... Zapytam tylko: czy ta panienska to wasza córka? W końcu jestem osobą duchowną i pewne rzeczy pod moim dachem...

– Wielebny, bez obaw, proszę na mnie spojrzeć: jestem starym człowiekiem, wdowcem, ojcem dwóch córek. Nie w głowie mi grzeszne figle. Ta dziewczyna to osoba bliska mojemu przyjacielowi – Ajzyk mówiąc to bardzo spoważniał – Opiekuję się nią

tymczasem. Będziemy z konieczności spali w jednej izbie, ale nie ze sobą, zaręczam.

– Wobec tego serdecznie zapraszam do swojego mieszkania. Pusto tam bez żony i córki, które utraciłem przed laty.

Po ulokowaniu się w ciasnej, lecz suchej i ciepłej pakamerze, Ajzyk podszedł do wtoczonego pod dach szopy wozu, sięgnął pod nasmołowaną płachtę, pogrzebał przez chwilę i wydobył dwie duże butelki o dziwnym kształcie. Wyglądały jak walcowate, lekko zwężające się ku górze wazony z grubego szkła, szczelnie zalakowane i wypełnione gęstą, kolorową zawartością. Zaintrygowanemu pastorowi wyjaśnił półgłosem:

– To absolutna nowinka ostatnich lat: słoje Apperta! Zawierają dobrze zakonserwowane produkty, zachowujące świeżość i smak. Sam próbowałem, to rewelacja albo cymes, jak mawiają nasi. Człowiek, który to wymyślił, zasługuje na miano dobroczyńcy ludzkości! Te dwa słoje są dla was, wielebny.

Imperator Aleksander I stał w oknie domu superintendenta, gdzie przydzielono mu kwatery. W małym biednym miasteczku, dodatkowo zubożonym przez wojnę i – nie w ostatku – rabunki czynione przez niektóre oddziały sojusznicze, trudno byłoby zresztą o lepsze *locum*. Sam władca tego kraju gnieździł się na piętrze w domu aptekarza. Ponieważ planowano kilkudniowe negocjacje, a potem podróż inspekcyjną do obozu pod Launau, trzeba było pogodzić się z myślą o niewygodach. Nastrój cara psuło jednak jeszcze coś innego: oto, zakwaterowany tuż przy kościele Świętego Jana Ewangelisty, każdego dnia musiał słuchać regularnego bicia bartensteńskiego „Totenglocke”<sup>156</sup>, a przez okna wychodzące wprost na stary, jeszcze średniowieczny cmentarz oglądać każdego dnia po kilka, a bywało, że i kilkanaście pogrzebów. Kiedy zwierzył się z tego swemu sojusznikowi, Fryderyk Wilhelm rozłożył bezradnie ręce: w Bartenstein nie było lepszej kwatery. Po spotkaniu z carem wezwał jednak członków magistratu i przedstawił im osobliwą propozycję:

– *Meine Herren*, nasz aliant, imperator Wszechrosji Aleksander, jest zniesmaczony koniecznością codziennego oglądania pochówków z okien swej kwatery. Bardzo psuje mu to humor i rodzi defetystyczne nastroje. O zmianie kwatery nie może być mowy – lepszej nie mamy. Pozostaje nam zatem... zmiana lokalizacji cmentarza!

– *Aber, Majestät*<sup>157</sup>, jakże tak z dnia na dzień przenieść cmentarz? Trzeba znaleźć miejsce, uregulować sprawy własnościowe, opłaty... – próbował oponować jeden z urzędników, niski gruby człowieczek z błyszczącą od potu łysiną, którą co chwila dyskretnie ocierał chusteczką.

– *Kein Wort mehr, meine Herren. Das ist ein Befehl!*<sup>158</sup> Zresztą miastu wyjdzie to na dobre. Stary cmentarz jest od dawna przepelniony i dalsze grzebanie tam zmarłych grozi wybuchem epidemii. Do jutra proszę wyznaczyć miejsce na nowy cmentarz, a pojutrze wszystkie pochówki odbywać już tylko tam.

Oznajmiwszy to w sposób bardzo stanowczy, co zdarzało mu się niesłychanie rzadko, król odprawił delegację magistratu i odetchnął z ulgą, bardzo dumny z siebie. „Tak, wbrew temu, co myśli moja droga Luiza i wielu moich poddanych, potrafię tupnąć nogą i postawić na swoim!”. Fryderyk Wilhelm uznał, że powinien w jakiś spektakularny sposób pokazać „miastu i światu” swoje nowe, stanowcze oblicze. Zrobić coś, co będzie symbolizować zerwanie ze starym i nadejście nowych czasów. Zaklaskał w dłonie, w



drzwiach stanął kamerdyner.

– Niech Johann natychmiast wezwie tu do mnie fryzjera! A potem niech cały korpus dyplomatyczny i trochę wojska w szyku stawi się pod ratuszem. Najdalej za pół godziny.

Po trzydziestu minutach wszystko było gotowe według rozkazu. Po obu stronach brukowanego trotuaru wiodącego od drzwi ratusza stał szpaler piechoty pruskiej i rosyjskiej, przy wejściu zgromadzili się posłusznie dyplomaci, urzędnicy, oficerowie i towarzyszące im damy. Chwilę potem uchylily się drzwi i wyszedł z nich król, trzymany przez cara przyjacielskim gestem pod rękę. Ukazanie się obu sprzymierzonych monarchów wywołało huragan wiwatów i oklasków. Fryderyk Wilhelm wystąpił naprzód i krótko przemówił:

– *Meine liebe, treue Untertanen!*<sup>159</sup> Jestem wielce szczęśliwy, mogąc przebywać pośród was, mając za towarzysza naszego wspaniałego, wiernego alianta, imperatora Aleksandra! Wierzę głęboko, że rychło nastąpi korzystny dla nas przełom w toczonej wojnie. Dopiero co zacieśniliśmy sojusz z królem Szwecji, a w najbliższych dniach zawrzemy kolejny układ z Cesarstwem Rosyjskim, przy którego podpisaniu asystować będą przedstawiciele rządu Jego Królewskiej Mości króla Wielkiej Brytanii i Irlandii. Kiedy prawie cała Europa jednoczy się przeciwko wspólnemu wrogowi, nieprzyjacielowi porządku, naszej wiary świętej i odwiecznych praw, oznajmiamy wszem i wobec, że nasze królestwo po wojnie otrzyma nowe, lepsze, zreformowane, ale w duchu poszanowania tradycji, oblicze. Usuniemy „stary kwas”<sup>160</sup>, który spowodował nasze ubiegłoroczne klęski, a zachowamy to, co dobre i święte. Dlatego już dziś, w obecności was tu zgromadzonych, wykonam symboliczny znak zerwania z tym, co się przeżyło. Mistrzu Lorenz, proszę czynić swą powinność, tak jak nakazałem – zwrócił się do fryzjera, dotąd czekającego cierpliwie za jego plecami, z nożycami i białym ręcznikiem w rękach.

Mistrz Lorenz przystąpił do monarchy, który obrócił się bokiem do patrzących, tak by mogli ujrzeć zwisający na plecach harcap<sup>161</sup>. Wszyscy zamarli w bezruchu, czując doniosłość chwili. W ciszy słyhać było, jak szcękają nożyce obcinające królewski warkocz wraz z okrywającym go, czarnym jedwabnym woreczkiem. Fryzjer uroczyście zawinął harcap w ręcznik i podał z ukłonem monarsze. Ten zaś uniósł zawiniątko wysoko ponad głowę. Zgromadzony tłum zaczął ponownie wiwatować. Do świadomości zgromadzonych zaczęło docierać, że są świadkami historycznej sceny. Oto odchodziły do annałów historii stare fryderycjańskie Prusy, które nie wytrzymały konfrontacji z nowymi czasami. Zaczynały rodzić się nowe, zreformowane, mocniejsze i nowocześniejsze. Nie przypuszczano jednak, jak długa i kręta droga jest jeszcze przed nimi...

Ambroise, czy też raczej Ambroży Gontarz, szaser 1. pułku Exelmansa, słyhał z oddali chóralne okrzyki pod ratuszem. Miał to jednak głęboko w nosie. Sprawy nurtujące miejscowych obchodziły go niewiele, chyba że chodziło o przygruchanie którejś z tutejszych kurewek. Zresztą, czy tutejszych, czy przyjezdnych – wszystko jedno. Nazjeżdżało się ich co niemiara do wschodniopruskich miast i miasteczek, tylko przebierać jak w ulęgałkach. Niektóre nawet dość tanie, a przy tym całkiem niczego sobie. Gontarz szukał ich towarzystwa nie tylko ze względów zdrowotnych (jeszcze stara babunia mówiła ongiś, że młody mężczyzna musi regularnie „rzucać z krzyża”, bo inaczej się rozchoruje, a może i umrze). Spotkania z panienkami lekkich obyczajów odrywały go od

przykrych wspomnień sprzed kilku miesięcy. Polak wraz ze swoimi kamratami z pamiętnej wyprawy przez warmińskie lasy, kiedy to osobiście zabił strzegącego mostu kozaka, uczestniczył w krwawej rzezi pod Preussisch Eylau. Brał udział w wielkich szarżach pod komendą marszałka Murata, walczył w osłonie cofającej się piechoty. Na jego oczach zginęli od rosyjskich kul armatnich lub zadźgani na śniegu po upadku z konia: François, Gaston i Pierre. Widział, jak pada trafiony pruską kulą w Kutschitten wierzchowiec podporucznika Ledru. „Ciekawe, czy zdołał przeżyć? Nie wiadomo także, co z Raymondem – tego młodego pięknisia najbardziej byłoby szkoda. Tak gorąco obiecywał tamtej ślicznotce w lesie, że powróci...”. Samego Gontarza wzięli do niewoli rosyjscy kawalerzyści, kiedy padł mu koń a jego własni koledzy musieli odstąpić poza wieś. Od tamtego dnia przeżył niejedno. Jednak przeżył i to było najważniejsze. Dziś, w ten pogodny dzień kończącego się kwietnia, Gontarz poszedł w jedno ze swoich ulubionych miejsc w Bartenstein, gdzie musiał przebywać od kilku tygodni. Było to górujące nad miastem wzgórze, na którym znajdowały się resztki ceglanych murów po dawnym krzyżackim zamku<sup>162</sup>. Kiedy nie było wiatru, stojące już wysoko słońce ogrzewało ruiny i żółkłą, jeszcze jesienną trawę; można było położyć się w nasłonecznionym miejscu i cieszyć świętym spokojem i ciszą. Przymknął powieki i słodko zadrzemał.

Jego sielankę przerwały podniesione głosy, dobiegające tuż zza najbliższego murku, wysokiego na ponad trzy łokcie. Przewrócił się na brzuch a następnie, nadal na czworaka, wsłuchał w toczoną rozmowę. Co ciekawe, spierające się osoby posługiwały się trzema różnymi językami! Jedna z nich, mężczyzna, wydierała się na całe gardło w mowie Dantego i Petrarcki, druga, także mężczyzna, odgryzała się wrogim basem po rosyjsku. Od czasu do czasu dołączał trzeci głos, kobiecy, starając się studzić emocje obu adwersarzy zdaniem wypowiedzianymi w języku niemieckim. Gontarz, zwykle szybko uczący się obcej mowy, rozpoznał miejscowy dialekt natangijski. Po chwili zdołał nawet rozpoznać konkretną osobę: takimi „pieprznymi” wyrażansami mogła posługiwać się tylko *Fräulein* Gabriele, dla przyjaciół Gabi, najlepsza dziwka w całym Bartenstein, zamieszkała przy rynku. Gontarz miał trzykrotnie okazję z nią porozmawiać i nie tylko porozmawiać. Kiedy sprzeczka zdawała się już przybierać niebezpieczny obrót, rozległ się stanowczy głos kobiety i naraz wszystko ucichło. Po chwili zaczęły spoza muru dobiegać charakterystyczne dźwięki, towarzyszące zwykle czynnościom przyjemniejszym, niż kłótnia czy bójka. Gontarz wyjrzał ostrożnie i od razu wszystko stało się jasne: przedsiębiorcza, atrakcyjna Gabi bardzo zdecydowanie umiała spacer do ruin zamku obu kawalerom naraz. Jednym z nich był, również wzięty do niewoli pod Eylau, włoski *sottotenente*<sup>163</sup> Alfieri, drugim – zwalisty doński kozak Kostomarow. Mniejsza o szczegóły „techniczne”, grunt że żaden z panów sobie nie krzywdował. „Prawdziwe pojednanie między narodami” – pomyślał Gontarz, po czym, położywszy się ponownie na plecach, zaczął głośno rechotać, trzymając się za brzuch. Tamtym za murem zdawało się to zupełnie nie przeszkadzać. Cicho brzęczały pierwsze budzące się muchy. Szło ku wiośni<sup>164</sup>.

W rosyjskim obozie pod Launau nie działo się tego dnia nic szczególnego. Odrąbiono i odbarabaniono pobudkę, rozprowadzono warty, wyekspediowano na dalekie

przedpola kolejną zmianę konnych patroli. Wybrane pododdziały odbywały przedpołudniową musztrę i marsze. Reszta żołnierzy i oficerów, ci którzy nie otrzymali przepustek na wizytę w Heilsbergu, zajęła się nadrabianiem braków w dokumentacji i korespondencji, konserwacją lub naprawą broni, podniszczonej odzieży i obuwia, co odbywało się dość sprawnie w ramach arteli<sup>165</sup>, w których skupiali się rzemieślnicy rozmaitych profesji: kowale, rusznikarze, płatnerze, szewcy, krawcy, rymarze, szmuklerze itp. Inni zwyczajnie cieszyli się słoneczną pogodą, wylegając się na trawie przed barakami, ziemiankami, namiotami i szałasami, albo spacerując wzdłuż brzegu Alle aż do mostu, za który nie wolno było wychodzić bez zezwolenia. Sama wieś robiła się coraz bardziej pusta. W miarę rozbudowy obozu rozbierano kolejne budynki, najpierw drewniane szopy, stodoły, obory i stajnie, w których skądinąd prawie nie było już zwierząt. Potem zabrano się za kolejne chałupy, demontując je aż po murowane z polnego kamienia fundamenty. Pozyskiwane belki służyły do konstruowania szkieletów ziemianek i baraków, deski i żerdki do budowy szałasów i pokrycia ich dachów, strzechy – do karmienia koni, które i tak coraz bardziej mizerniały od tej koszarnej strawy. Pozostałe drewno i wyciągane z chałup toporne chłopskie meble spalano w ogniskach płonących szeregami wzdłuż biwaków lub pod kotłami kuchni polowych. Z dużej ongiś miejscowości pozostało tylko dziewięć domów i stodół, w których kwaterowało dowództwo i gdzie ulokowano lazarety, czy raczej wylegarnie chorób i umieralnie. Prawie wszyscy mieszkańcy opuścili wieś, w miarę możliwości z dobytkiem i inwentarzem. Pozostał nieszczęsny sołtys Hoppel i kilku gospodarzy usiłujących pilnować swego mienia, w tym Paul Klinger, do niedawna jeden z najzamożniejszych kolmerów w Launau. Nie było natomiast ani jednej kobiety czy dziewczyny, bowiem zapobiegliwi rodzice, bracia lub mężowie dawno już odesłali je do rodzin lub znajomych, w obawie przed gwałtami. To ostatnie nie poprawiało stosunków między wieśniakami a stacjonującym we wsi wojskiem. Wyżsi stopniem oficerowie radzili sobie, robiąc wypadki do heilsberskich dziwek. Sołdaci i niższa kadra chodzili nabuzowani emocjami i w każdej chwili gotowi wywołać awanturę. Czasem rzeczywiście wybuchały bójki, praktycznie o nic, kończące się na szczęście podbitymi oczami, rozkwaszonymi nosami i wybitymi, byle nie z przodu, zębami – poważniejsze uszkodzenia ciała były bowiem surowo karane. Oprócz spacerów, ulubioną rozrywkę poza służbą stanowiło łowienie ryb na wędkę. Nad Alle każdego dnia zasiadał długi szereg amatorów świeżych płotek, okoni, uklei i krasnopiór; szczęściarzom trafiały się czasem okazałe szczupaki, brzany a nawet sumy. Kiedy brakowało soli, posypywano pieczone ryby odrobiną prochu z ładunków. Owe codzienne połowy były głównym źródłem jakiegokolwiek mięsa w ten biedny czas. Bywały też inne rozrywki.

Z kpinią pomieszaną z podziwem kadra i sołdaci komentowali poczynania dziwaka, zasiadającego w każdej wolnej chwili przy małym stoliku ustawionym przed szałasem, nocami oświetlanym latarnią. Przy blasku słońca lub zatkniętej w latarni świecy, ów osobliwy młodzieniec<sup>166</sup> potrafił całymi godzinami zapisywać kolejne karty papieru. Płotki głosiły, że pisze... wiersze! Tego dnia unteroficer Timofiej Dmitrijew zapytał go:

– *Wasze błagorodje*, proszę wybaczyć pytanie. Powiadają w obozie, że pisze pan wiersze. Czy i ja mógłbym kiedyś któryś z nich przeczytać?

– To wy umiecie czytać? Jak wasze nazwisko? – zdumiał się poeta.

– Dmitrijew, unteroficer Dmitrijew, Timofiej Nikitycz, *wasze błagorodje*. Umiem czytać i pisać, nauczył mnie nasz batuszka Jermołaj z Wozniesienskoje!

– Z któregoż to Wozniesienskoje? Jest ich tyle w naszym imperium...

– Z takiego nikomu nieznanego, w guberni pskowskiej, niedaleko Opoczki, nad rzeką Wieliką... – Timie na wspomnienie domu ścisnęło się gardło.

Młodzieniec klepnął się z zadowoleniem w kolano i zawołał:

– Ależ ja tam byłem! Jesienią zeszłego roku zaprosił do siebie do majątku w Wozniesienskoje, mnie i całą grupę wesołych biboszy ze stolicy, syn waszego dziedzica, Grigorij Wasiljewicz Grekow! Z niego raczej ponury kompan, ale pojechaliśmy na wieś, żeby się rozerwać, bo skończyły się nam pieniądze. Pamiętam, udała mu się jedna dziewczka z wioski, ale nie pozwoliła się dotknąć, a nawet po gębie go wybiła! Co to było śmiechu! On jednak zawziął się, żeby ją zniewolić i sprzedać. Nic z tego nie wyszło: dziewczka zniknęła bez śladu. A nam obrzydło towarzystwo Grekowa, który okazał się mściwy i małostkowy. Wyjechaliśmy i nie mamy zamiaru tam wracać. Ale po co ja ci to wszystko opowiadam, człowieku? – urwał poeta, widząc że Timofiej nagle zbladł a potem poczerwieniał na twarzy – Żle się poczuliście, unteroficerze?

Tima wykrztusił z trudem: – Nie, nie! Wszystko w porządku. Nagle przypomniały mi się pewne dawne sprawy... Ale to nic do rzeczy, naprawdę!

Poeta nagle plasnął się dłonią w czoło: – Miał być wiersz, zapomniałem na śmierć! Napisałem coś przed chwilą, może te kilka linijek da wam wyobrażenie, co mnie porusza.

Ujął kartkę lekko drżącą ręką i stłumionym głosem przeczytał:

*Kakije radosti w czuźbinie?*

*Oni w rodnych krajach;*

*Oni cwieta w mojej pustynie*

*I w diebriach, i w sniegach.*

*Otdajcie mnie moju swobodu!*

*Otdajcie kraj otcow,*

*Otczizny wjugi, niepogodu,*

*Na rodinie moj krow,*

*Pokrytyj w zimu jarkim sniegom!*<sup>167</sup>

Od strony wjazdu do Launau dobiegły nagle głośne, radosne okrzyki. Poeta przerwał czytanie i stwierdził, że na razie musi tyle wystarczyć. Niech Timofiej Dmitrijew przyjdzie za jakiś czas, kiedy cały wiersz będzie gotowy. Tima zapytał na odchodne:

– *Kak was zowut, wasze błagorodje?*<sup>168</sup>

– Konstantin Nikołajewicz Batuszkow, służę w sanktpetersburskim batalionie milicji Werewkina! Pytaj o poetę Batuszkowa!

Timofiej ruszył do wsi, ciekawy co spowodowało taki wybuch entuzjazmu wśród żołdatów. Sprawa wkrótce się wyjaśniła: u wrót obozu pod Launau zatrzymała się długo oczekiwana kolumna lekkich wozów i dwukółek, wypełnionych wszelkiego rodzaju wiktuałami. Na wozach znajdowało się co najmniej trzydzieści wyzywająco poumieranych i umalowanych młodych kobiet, których zawód nie budził żadnych wątpliwości. Wszystkie były z kimś poumawiane czy też raczej, by tak rzec, przez kogoś zakontraktowane. Transakcje były uczciwe: w zamian za brzęczące monety i szeleszczące asygnaty, albo rozmaite precjoza, damy oferowały najwyższej jakości pieśczoć i wesołe towarzystwo. Wiele z nich stało na swoich wozach, rozglądając się z wysokości za ugadanymi chłopakami, a nie widząc ich, głośno nawoływały po imieniu lub nazwisku. Co chwilę jakaś parka odnajdywała się, o czym świadczyły wybuchy śmiechu i soczyste całusy. Zdejmowane z wozów dziewczyny, chwywane w talii i stawiane na ziemi, fikały nogami w powietrzu, udając przerażenie, by za moment obdarzyć swych wybranków pocałunkami i rzucając się im na szyję. Ci zaś niecierpliwie błędzili rękami po ich ciałach, obmacując zachłannie piersi i klepiąc kobiety po apetycznych tyłkach. Uprowadzone o wszystkim dowództwo nie czyniło przeszkód, zresztą kilka dziewczyn przybyło właśnie do oficerów.

Timofiej zobaczył w gromadzie żołdatów Fiedota i Borysa, wypatrujących umówionych przed trzema dniami karczmarek z „Zu Drei Schwestern”. Były! Dwie, tak jak było umówione! Tima pamiętał, że Elsa, najstarsza z sióstr Hasselberg, powiedziała wówczas: „Bóg da, spotkamy się za trzy dni u was w obozie. Może nawet przyjedziemy wszystkie trzy”, co oznaczało, że nawet w składzie dwuosobowym znajdzie się i ona. Tymczasem Borysowi mina się mocno wydłużyła, kiedy zobaczył, że zamiast Elsy przyjechały do niego i Fiedota tylko jej siostry: Berta i Kunegunda. Kunegunda, średnia, była niemal identyczną kopią Elsy, Berta zaś – ledwie dwudziestodwuletnia szatynka, najładniejsza z twarzy – miała nieco ciemniejszą karnację, czarne mocne brwi i rzęsy, co tworzyło piękną oprawę jej dużych, szmaragdowych oczu. Nie miała też piegów.

– Fiedot, wiedz, że ja biorę Kunegundę. Jest taka podobna do Elsy, będę myślał, że to z nią się kocham... – szepnął Borys do ucha kamrata.

– Mnie tam wszystko jedno – odparł ze śmiechem Fiedot – A może i nie, bo Berta ma w sumie ładniejszą mordeczkę. Zaś cycuszki i figura każdej z siostrzyczek są idealne, do niczego nie można się przyczepić, nie sądzisz?

Borys tylko pokiwał głową z roztargnieniem, myśląc już o nadchodzących chwilach, mile spędzonych w Kunegundy, by tak rzec, ramionach. Ruszyli do dwukółki sióstr Hasselberg, by pomóc im wysiąść i nieść przywiezione kosze z prowiantem i nalewkami. Zanim jednak dziewczyny zeszły z wozu, Kunegunda zaczęła się bacznie rozglądać, jakby kogoś wypatrując. Dojrawszy Timofieja, przywołała go gestem dłoni, a kiedy podszedł, wręczyła mu zapieczętowany list:

–*Herr Thymotäus, nicht wahr? Das ist ein Brief von unsere Schwester. Für Sie. Elsa konnte nicht kommen...*<sup>169</sup> – uśmiechnęła się przepraszącą, by w chwilę potem wpaść w ramiona Borysa. Okazało się wkrótce, że dowództwo na czas pobytu wesołych

gości w obozie zezwala na przechodzenie na drugi brzeg Alle, do pobliskiego lasu. Z powodów, których można było się łatwo domyślić.

Tima pomachał ręką obu wiernym kamratom i powolnym krokiem udał się do wspólnie zamieszkiwanego szałas. Tam usiadł wygodnie u wejścia i złamał pieczęć na liście od Elsy. Rozwinął złożony kunsztownie papier i zaczął czytać, poruszając ustami, by – wypowiadając półgłosem odczytywane niemieckie słowa – łatwiej zrozumieć ich treść. Pismo było wyrobione, czytelne. Rudowłosa karczmarka pisała:

*„Lieber Herr Offizier!*

*Z powodów, których nie chciałabym teraz wyjaśniać, nie zdecydowałam się skorzystać z zaproszenia Pańskiego kolegi, prosząc moją siostrę Kunegundę, by mnie w tej sprawie zastąpiła. Zapewniam, że uczyni to godnie i fachowo. Skądinąd jest do mnie bardzo podobna, toteż Pański kolega nie powinien żałować tej zamiany. Podczas ostatniej wizyty Panów w ‘Zu Drei Schwestern’ tylko Pan nie obstał usługi żadnej z nas. Dlatego, mimo zapowiedzi, że być może zjawimy się wszystkie trzy, zdecydowałam się pozostać tego dnia w naszej oberży. Nie wiem, czy to Pana interesuje, ale pragnę Pana poinformować, że dziś jedynie zarządzam interesem, nadzorując pracę naszej służby. Nikogo nie zapraszam na górę, do swojej alkowy. Nie mam bowiem ochoty nikogo widzieć. Nie mam dziś ochoty robić tego, co tak dobrze potrafię i tak bardzo lubię. Sądzę, że nie będę chciała tego robić także jutro, pojutrze i przez następne dni i noce. Na tym chyba skończę ten krótki list, bo jeszcze chwila, jeszcze zdanie, jeszcze choćby jedno słowo – a nie wytrzymam i napiszę za dużo, więcej niżbym chciała, więcej niż powinnam, więcej niż mi wolno. Herr Offizier, jest Pan inteligentnym mężczyzną, toteż pewne sprawy sam Pan zrozumie. Jest jak jest. Zobaczymy, co los przyniesie. Raz jeszcze proszę o wybaczenie, że nie przyjechałam z siostrami.*

*Łączę wyrazy głębokiego szacunku,*

*Elsa Hasselberg”.*

Zaniepokojony dziwnym listem Elsy, Timofiej oficjalnie zgłosił prośbę o pozwolenie odbycia wizyty w Heilsbergu następnego dnia. Ogólna sytuacja na linii Passarge i na zapleczu była stabilna, toteż pozwolenie uzyskał bez problemów. Nazajutrz rano wykapał się w zimnej wodzie Alle, doczyścił mundur i sapogi, po czym ruszył do miasta. Każdego dnia wiele pojazdów jeździło w obie strony; Tima i tym razem bardzo szybko dosiadł się do jednego z wozów. Podróż zajęła niewiele czasu i wkrótce mógł stanąć u wrót zagrody przynależnej do „Zu Drei Schwestern”. Wszedł do środka obejścia i ujrzał parobka Hansa, niosącego koniom obrok. Zagadnął go uprzejmie:

– *Guten Morgen, Hans! Fräulein Elsa w domu?*

– *Ja, Herr Offizier* – parobek wzorem swej pani także tytułował Timofieja „panem oficerem” – Ale nie schodzi na dół, do ogólnej izby. Mówi, że ma silną migrenę. Nie chce nic jeść, tylko pije. I, grzech powiedzieć, bynajmniej nie wodę.

- Jak to „nie wodę”? To co pije? – zaniepokoił się Tima.
- Od dwóch dni każe sobie przynosić tylko piwo, a raz nawet kwaterkę okowity...
- Hans podrapał się po rozczochranej czuprynie barwy zleżalego lnu. – Jak tak dalej będzie, to źle się to skończy. Taka dobra pani, taka gospodarna...

Timofiej postanowił osobiście sprawdzić, co się dzieje. Mimo protestów parobka, który wołał, że pani nikogo nie chce widzieć, wspiął się wyszorowanymi do białości drewnianymi schodami na pięterko karczmy, gdzie znajdowały się izdebki sypialne i mieszkanie sióstr. Wiedział, że Elsa zajmuje izbę na końcu korytarzyka, toteż podszedł i bez wahania, choć niezbyt mocno, zapukał do drzwi. Z wnętrza dobiegł lekko zachrypnięty głos:

– Hans? Przecież mówiłam, że nikogo nie chcę widzieć. Piwo jeszcze mam, jak będzie trzeba, zawołam. Wynoś się do diabła!

Rosjanin nie czekał dłużej, tylko bez zapowiedzi nacisnął klamkę i pchnął drzwi. Nie były zamknięte na zasuwkę, więc natychmiast po wejściu znalazł się niemal na środku niedużej izby, przy samym stole, na którym stał spory dzban piwa i pusta flaszką po wódce. Pokoik wypełniała intensywna woń alkoholu, jednak mimo to wszędzie było czysto i schludnie. Elsa Hasselberg leżała w ubraniu na łóżku pod oknem, zasłaniając oczy obnażonym przedramieniem. Słyszając skrzypnięcie drzwi, obróciła głowę w stronę wchodzącego i natychmiast usiadła na posłaniu. Zamrugła oczami, lekko zamroczonymi od wypitego piwa, dopiero po chwili rozpoznając, kogo ma przed sobą. Natychmiast poprawiła rozpuszczone włosy i wstała. Nie była pijana, jednak wypity alkohol sprawił, że powieki miała zaczerwienione i opuchnięte, twarz obrzękłą i nieprzyjemnie matową. Sukienka była czysta, lecz wymięta, jedno z ramiączek opadło, obnażając krągły, ozdobiony brązowymi piegami bark. Odruchowo wygładziła drżącymi rękami pomiętą odzież. Błądziła oczami po ścianach, unikając starannie wzroku Timofieja. Wreszcie powiedziała, przewyciężając suchość w gardle:

– *Das sind Sie, Herr Offizier?*<sup>170</sup> Czemu zawdzięczam pańską wizytę? Hans nie mówił, że nie chcę nikogo widzieć?

– Naprawdę nikogo, *Fräulein* Elsa? Naprawdę n i k o g o?

Kobieta znów uciekła wzrokiem w bok, a potem nagle spojrzała mu prosto w oczy, ale tak, że aż mu się gorąco zrobiło:

– A więc nie tylko przeczytał pan, ale i zrozumiał mój list... Może tak i lepiej; szybciej się dowiem, co z tego wyniknie. Proszę tylko o jedno. Niech mnie pan teraz zostawi samą... – tu uловиła spojrzenie Timofieja spoczywające na dzbanie z piwem i pustej butelce – Bez obaw, nie będę więcej piła. Zaraz doprowadzę się do ładu i zajmę gospodarstwem.

– Czy mogę w czymś pani pomóc, *Fräulein* Elsa?

– Nie, nie! Niczego mi nie trzeba. To znaczy, w sensie o jaki pan pyta. Wie pan co?

– zmieniła nagle ton – Umówmy się, że przyjadę do pana do Launau za, powiedzmy, tydzień... Wtedy wszystko wyjaśnię. Nasze sprawy...

– Oczywiście. Będę na panią czekał. Przyjedzie pani sama, czy w towarzystwie sióstr?

Elsa Hasselberg uśmiechnęła się:

– Sama, *Herr Offizier*, sama. I tylko do pana. Muszę panu powiedzieć, że wiem znacznie więcej, niż pan sądzi... Ale o tym w swoim czasie, nie dziś, ani nie jutro; może za tydzień, kiedy pana odwiedzę? Proszę niczego nie szykować, to będą bardzo szczególne odwiedziny. Przynajmniej dla mnie.

Opuszczając teren karczmy, Timofiej zauważył, że namiot z rosyjskimi towarami jest szczelnie zasznutowany a beczułki zniknęły. „Najwidoczniej nasi markietanci wyjechali na jakiś czas. Ciekawe, co to za jedni i skąd przybyli?” – pomyślał. Złapał się na tym, że od kilku dni ani razu nie przyśniła mu się Marfa. Ponieważ chwilowo nie był w stanie zająć się jej poszukiwaniem, postanowił skupić się na obowiązkach służbowych i powrócić do obozu.

Antoine’a Ledru i Raymonda Bareza obudziły w samym środku nocy niespotykane na cichej Brauhausstrasse hałasy. Słysząc było tupot wielu nóg, okrzyki, kwik koni, turkot kół wozów po bruku. W oddali zagrały trąbki, do których wkrótce potem dołączył warkot tarabanów. Raymond przetarł zaspane oczy, odrzucił pled i wstał z legowiska. Także pozostali lokatorzy izdebki rzucili się do okienka. Zaledwie je uchylili, zamiast nocnego chłodu, buchnęło z zewnątrz gorące powietrze wymieszane z gęstymi kłębamii burego, podświetlonego czerwonymi refleksami dymu. Uliczką biegli ludzie z wiadrami i bosakami, cywile i żołnierze, wrzeszcząc na przemian po niemiecku i po francusku:

– *Feuer! Feuer! Hilfe! Feu! Feu! Tout le monde pour aider!*<sup>171</sup>

Liebstadt płonął. Pożar musiał wybuchnąć niedawno, bowiem czerwona łuna dopiero zaczynała wznosić się ponad nadal pogrążoną w nocnych ciemnościach Brauhausstrasse. Palilo się gdzieś w centrum, w okolicy ratusza. Ogień jednak stale potężniał i ogarniał całe miasteczko z szybkością błyskawicy. Każdy z kwaterujących w Liebstadt Francuzów pragnął ratować siebie, własny dobytek i... znajdujące się w mieście magazyny prowiantu – w takiej kolejności. Antoine, Raymond i ich współlokatorzy uwinęli się dość szybko, jako że żaden z nich nie posiadał niczego poza paroma osobistymi drobiazgami, które można było zawinąć w mały węzełek i po chwili stać już na bruku wąskiej Brauhausstrasse w pełnej gotowości do ucieczki przed płomieniami. Gorzej było z gospodarzami – *Herr Taube* wraz z obu synami pognali gasić pożar, świadomi, iż mogą utracić cały dorobek życia, jeśli ogień dotrze na ich gęsto zabudowaną uliczkę. Raymond niepewnie obejrzał się na dopiero co opuszczoną kamieniczkę, w której pozostała na straży skromnej chudoby chora *Frau Taube*. Jej suchoty przybrały ostatnio na sile, dni pocziwej kobiety wydawały się policzone. Nawet teraz z głębi domu ponad wciąż odległy trzask płomieni i okrzyki przebiegających uliczką ludzi przebijał się jej niemal nieustający kaszel. Raymond zwrócił się do Antoine’a:

– Pozostawimy *Frau Taube* bez pomocy? Jakże tak, po tylu tygodniach wspólnego życia pod jednym dachem, po tylu dowodach życzliwości? Żyliśmy prawie jak rodzina. A co będzie, kiedy pożar ogarnie Brauhausstrasse?

– Jeżeli ona się uprze, to prędzej zginie w płomieniach, niż porzuci dobytek. Znasz ją. Ale rzeczywiście musimy spróbować coś zrobić. Nawet ci dwaj gamonie, Gotthold i Gottlieb, chociaż szczeniaki, pognali gasić pożar. W sumie niewiele mamy do stracenia – uśmiechnął się smętnie Ledru.

Wraz z pozostałymi ustalili, że dwóch z nich przypilnuje domu Hansa i Ruth Taube,



oni zaś i pozostała szóstka pobiegną gasić ogień. Po chwili ruszyli szybko w stronę, gdzie widać było jasną ścianę płomieni.

Alfred de Saint – Chamans i jego współlokator z kwatery i serdeczny przyjaciel Lameth obudzili się, słysząc przeraźliwy kwik koni i walenie kopyt o drewniane drzwi stajni. „Konie! Moje wspaniałe konie!” – pierwszą myślą Alfreda było biec na ratunek wierzchowcom. Jego konie: rasowe, piękne, zadbane, nawet wtedy, kiedy – jak to bywa na wojnie – ich pan obrastał brudem i głodował, a syte były jedynie wszy we włosach i ubraniu albo pchły w jego barłogu. A teraz, oszalałe z przerażenia, bezskutecznie próbowały wydostać się ze śmiertelnej ogniowej pułapki. Obaj mężczyźni wybiegli na podwórze kamienicy boso i w samych kalesonach, ściskając pod pachą szable i pistolety, wyrzuciwszy przedtem przez okno swoją odzież, buty i nieliczne posiadane drobiazgi. Rzucili broń na kupkę ubrań, obrócili się w stronę pożaru i... nagle stanęli twarzą w twarz ze wznoszącą się na jakieś dwadzieścia łokci ścianą ognia, chciwie i gwałtownie pożerającego stajnie. Buchający żar, brak wody i sprzętu, zasięg pożaru – wszystko to z góry czyniło daremnymi jakiegokolwiek próby ratunku.

Najgorsze, że nie słychać już było kwiku koni ani bicia kopytami. Ta cisza mówiła więcej, niż tysiąc słów. Alfred wyglądał straszliwie a zarazem groteskowo w swoich naddartych kalesonach i z brudnymi bosymi stopami, nie ogolony od trzech dni, z szaleństwem i rozpaczą w oczach. Lamethowi przyszła do głowy idiotyczna w tej sytuacji myśl, że stojący w szerokim rozkroku Saint – Chamans wygląda, jakby się zesrał w te kalesony. Wiedział jednak, czym były te zwierzęta dla Alfreda, zwierzęta które zginęły w tak makabryczny sposób.

– Alfredzie, zostaw, już nic nie można zrobić... Bierzmy rzeczy i zabierajmy się stąd, zanim ogień odetnie nam drogi ucieczki z miasteczka! Musimy odnaleźć marszałka i być przy nim, to nasz obowiązek, nasza służba.

– *Ta gueule! Casse-toi!*<sup>172</sup> – wykrzyknął histerycznie kapitan. Nie zniechęciło to Lametha; spróbował ująć przyjaciela pod ramię i odciągnąć od ognia, ów jednak wyszarpnął rękę:

– *Va te faire foutre!*<sup>173</sup> Moje koniki, moje kochane koniki... – i nagle po jego policzkach popłynęły łzy. Lameth dał mu się przez chwilę wypłakać, potem zaś zdecydowanym ruchem chwycił kapitana za ramię i obrócił do siebie, rzucając mu prosto w twarz brutalne słowa:

– *Tu m'emmerdes!*<sup>174</sup> Nie rób z siebie baby, ogarnij się, durniu. Twoja histeria niczego nie zmieni. Bierz mundur, buty, broń i znikajmy stąd, bo też się usmażymy! Tak jak twoje konie!

Zanim Alfred zdążył cokolwiek odpowiedzieć, z głębi mrocznego zaułka wyłonił się nagle kilkunastoletni stajenny, prowadzący dwa konie, trzymając je przy pyskach za improwizowane wędzidła z grubej linki. Próbowaly wierzgać i rzeć, ale znajdujący się na rzeczy chłopak sprawnie je okiełznał. Kapitan nie wierzył własnym oczom: były to jego najlepsze dwa wierzchowce, klacz Alouette i ogier Rossignol. Teraz w duszy Saint – Chamansa rozśpiewały się radosne chóry<sup>175</sup>.

– *Es war unmöglich, die anderen Pferde und den Rest der Dinge zu retten...*<sup>176</sup> – sumitował się stajenny. Wyjaśniał, że wyprowadził je tylnymi wrotami i powrócił na

uliczkę kawałek dalej, przejściem pomiędzy domami. Kapitan nie zwracał na niego uwagi, podbiegł do koni, objął je za szyje, ucałował pyski i jeszcze głośniej zapłakał – tym razem ze szczęścia. Nagle zreflektował się i obrócił w stronę chłopaka, ściskając mu rękę a potem spontanicznie zamykając w ramionach. Zawołał z zapalem:

– *Comment je peux vous rembourser? Tous partis...*<sup>177</sup>.

Stajenny uśmiechnął się, kiedy Alfred powtórzył pytanie łamaną niemieczyzną. Spojrzał w twarz kapitana i wskazał na jego mundur leżący pod ścianą domu:

– Nie ma o czym mówić. Szkoda mi było pięknych koni. Wystarczy guzik na pamiątkę. Może moje prawniki, patrząc na niego, wspomną pradziadka i tę naszą wojnę. Bo musi pan kapitan wiedzieć, że mnie bardziej żal koni, niż ludzi.

Saint – Chamans pokiwał głową, że rozumie jego punkt widzenia, po czym bez wahania jednym ruchem oderwał błyszczący, półsferyczny huzarski guzik, gładki, połyskujący złotem. Chłopak zamknął go w swej dłoni i oddalił się w ciemność. Tam, gdzie jeszcze nie szalały płomienie. Lameth i Alfred odziali się, założyli buty, przypasali szable, zatknęli pistolety za pas. Ujęli konie za wędzidła ze sznura i ruszyli na poszukiwanie marszałka.

Dwie godziny... Wystarczyły dwie godziny, by z niedużego, ale przyjemnego miasteczka pozostały tylko osmalone zgliszcza i puste połacie obsypanej popiołem i sadzą ziemi i trawy. Z morza ruin sterczał jedynie nadgryziony przez ogień kościół i plebania. Podobno ocalał jeszcze jeden dom – taka przynajmniej wieść krążyła z ust do ust. Tu i tam dogasały ostatnie płomienie, stopniowo zastępowane przez ponuro snujący się dym, który z upływem kolejnych godzin także rzedniał. Tylko charakterystyczny, nieporównywalny z niczym odór spalenizny utrzymywał się i nie tracił na intensywności. Zwłaszcza, że – jak na ironię – po doszczętnym spaleniu miasta ustał też silny wiatr, który nocą tak szybko rozprzestrzeniał pożar.

Ktoś uważnie obserwujący z boku wydarzenia ostatnich godzin w Liebstadt mógłby się utwierdzić w przekonaniu, że czas nie płynie wciąż w tym samym tempie. Nocne zamieszanie, tłumna bieganina, harmider, bezskuteczne próby ratunku, wszechobecne okrzyki rozpacz i wściekłości – to był jeden wymiar czasu. Drugi – to wyłaniające się z mroku w bladym świetle poranka martwe czarne zgliszcza, pomiędzy którymi snuli się, małymi grupkami lub pojedynczo, śmiertelnie zmęczeni, apatyczni ludzie, wszyscy tak brudni i obszarpani, że na pierwszy rzut oka trudno było rozróżnić nawet ich płęć. Prawie wszyscy milczeli, niektórzy szlochali, ale ten szloch był cichy, jakby skierowany do wnętrza duszy. Bo też do kogo niby mieli kierować swój żal i ból ci pozbawieni całego dorobku życia nieszczęśnicy? Było tyle potencjalnych źródeł pożaru, nic dziwnego, że w końcu doszło do zaproszenia ognia. Przy takiej ilości ludzi zgromadzonych w miasteczku, bardzo często nietrzeźwych, musiało się to w końcu wydarzyć... I wydarzyło się.

Ośmiu Francuzów, Hans Taube i jego dwaj synowie Gottlieb i Gotthold, wszyscy obdarci, usmarowani sadzami, z opalonymi tu i ówdzie włosami, powolnym, zmęczonym krokiem wkroczyli na Brauhausstrasse. W jeszcze dwie godziny temu ciasno zabudowanej uliczce zrobiło się jasno i przestrzennie: wszystkie bez wyjątku domy spłonęły i zawaliły się, tylko w niektórych sterczały wypalone fasady, a w głębi – resztki ścian i osmalone belki stropowe lub na pół zwęglone drewniane schody, prowadzące

prosto w odsłonięte wskutek pożaru niebo. Taube spojrzął na zgliszcza domu i nagle zmarł. Pod murem spoczywały na ulicy zwłoki jego żony, jego ukochanej Ruth. Na jej skroni widniała plama zakrzepłej krwi. Browarnik uklęknął przy żonie i otulił jej głowę ramionami. Nie płakał. Jego milczenie było niczym potężny głąz nagrobny. Nie widział ani nie słyszał niczego. W duchu rozmawiał z kobietą swego życia, obiecując rychłe ponowne spotkanie. Synowie stali, czekając jak zawsze na polecenia ojca. Natomiast Ledru ogarnął spojrzeniem spaloną kamieniczkę i zauważył trupa jednego z dwóch pozostawionych na straży domu żołnierzy. „Jak on się nazywał? Zaraz, zaraz, już wiem – Marois, Paul Marois” – przypomniał sobie Antoine i rozejrzał się za drugim, Olivierem Guichetem. Nigdzie nie było go widać, może uciekł, porzucając *Frau* Taube i kolegę, może nawet to on ich zabił? Nagle z wnętrza domu, spod dębowego, nadpalonego stołu, dobiegł cichy jęk. Podporucznik i trzech pozostali Francuzi weszli ostrożnie do środka i wynieśli rannego na ulicę. Był przytomny, miał za to zupełnie zmiażdżone obie nogi. „Nie wylize się” – skonstatował ponuro Ledru. Ranny otworzył oczy i poprosił o wodę. Jeden z Francuzów odnalazł studnię i przyniósł trochę w osmalonym drewnianym wiadrze. Guichet pił łapczywie, długimi łykami, wyraźnie trawiony gorączką. Widząc nieme pytanie w oczach podporucznika, opowiedział co zaszło:

– *Monsieur le sous-lieutenant*, nic nie mogliśmy zrobić. Nic, naprawdę... Pamięta pan tę hołotę z 55. liniowego, co kwaterowała dwa domy dalej? Nie mam nic do samego pułku, to dobra jednostka, ale tamci... To były wyjątkowe kanalie. Dwudziestu bandziorowatych typów, którym źle z oczu patrzyło; codziennie pijani i szukający awantury. Ciągłe były na nich skargi, raz nawet ktoś od nich posiedział na odwachu dzionek czy dwa. Niewiele to pomagało, nadal rabowali i wszczynali burdy... – tu ranny przerwał na chwilę, ciężko dysząc.

– Wiem, wiem – potwierdził Ledru – W zeszłym tygodniu nawet zgwałcili jakąś dziewczkę na sąsiedniej ulicy. Tyle że potem nikt nie chciał poświadczyć i upiekło się im. Pewnie zastraszyli cywilów i samą dziewczynę...

– Tak właśnie było, *mon sous-lieutenant*, tak było. A dziś, jak tylko pan i inni poszliście do pożaru, tamci zaraz tu przyleźli, chcąc skorzystać z zamieszania i okraść dom. U drzwi stał Marois, próbował nie wpuścić, to go pchnęli bagnetem w brzuch i było po nim. *Madame* Ruth zaczęła wołać o pomoc, to i ona dostała po głowie. Po prawdzie to tylko ją dobili, bo jej stan był już agonalny, sam pan pamięta, kaszłała bez przerwy i nie mogła pracować. Powoli konała. Zaprotestowała, więc dobili ją kolbą i porzucili pod murem na ulicy. Zobaczywszy mnie, zaczęli się głośno śmiać i wołali, że podpala budynek i czekają, aż się sam usmażę. Rzucili się do środka domu, obrabowali go ze wszystkiego, co dało się zabrać i podpalili, wrzucając przedtem do sieni przez wybite drzwi trupa Marois. Byli pijani, zaśmiewali się widząc, jak nienaturalnie sterczą mu nogi. Kamienica płonęła a oni czekali aż wyjdę albo się usmażę. Znudziło im się czekanie, a i pożar narastał. Ociągali się, ale odeszli. Myślałem, że zdołam wyjść. Wtedy nagle zawałiła się ściana, przygniatając i miażdżąc mi nogi. Górną część ciała osłonił ten stół. Tylko nie wiem, co mi z tego, skoro moje nogi...

– Guichet, sprowadź chirurga, stracisz nogi, ale będziesz żył! Zaraz ruszymy na poszukiwania. Chłopcy, zajmijcie się tym, tylko szybko!

Ranny pokręcił głową. Spojrzał na własne kończyny i stwierdził z rezygnacją:

– To na nic, *mon sous-lieutenant*. Straciłem mnóstwo krwi, czuję jak robi mi się zimno. Do tego rany są bardzo zabrudzone. Niech chirurdzy zatroszczą się o tych, których mogą ocalić. Mnie pozwólcie umrzeć...

Agonia Guicheta nie trwała długo. Po kwadransie mogli już tylko zamknąć mu powieki i zgłosić zgon. Najbardziej ciążyła im świadomość, że dokonali tego ich towarzysze broni, koledzy, żołnierze Wielkiej Armii.

Z pamiętnika Alfreda de Saint – Chamans: „*Po pożarze Liebstadt, z którego ocalały zaledwie jeden lub dwa domy, marszałek zakwaterował się w Rosenau<sup>178</sup>, niewielkim dworku o ćwierć lieu od tego miasta; ja zostałem ulokowany na kwaterze razem z Lamethem, jednym z moich kompanów i serdecznym przyjacielem, w chałupie naprzeciwko dworu w Rosenau; byłem zmuszony wydzielić jedną z izb mojemu piekarzowi z Liebstadt.*

*Nastala wiosna i nareszcie mogliśmy wypędzić nasze konie na zieloną trawkę; okazało się to dla nich zbawienne. Mieszkańcy tej nieszczęsnej prowincji nie mogli nas wspomóc, bowiem im samym brakowało dosłownie wszystkiego; armia francuska odebrała im całe zapasy żywności, toteż ludzie żyjący we wsiach położonych w rejonie naszych wysuniętych pozycji marli z głodu i nędzy; podczas kilku rekonesansów, jakie odbyłem na czele lekkiej kawalerii, usiłowałem odnaleźć jakichś wieśniaków, by dowiedzieć się od nich czegoś na temat nieprzyjaciela; domy ich jednak były opuszczone, znaleźliśmy w nich zaledwie paru starych ludzi leżących bezwładnie na nędznych barłogach; wciąż walczyli o życie, toteż – nie mając już siły wstać – słabym głosem żebrali o kawałek chleba; widziałem na własne oczy takie straszliwe sceny, konkretnie we wsi Schwenkitten położonej w pobliżu Passarge, vis-à-vis Elditten, ale wywarły one na nas tylko przelotne wrażenie; okropności i straszliwe niedostatki, jakich doświadczyliśmy podczas owej kampanii, uczyniły nasze serca twardymi i niewrażliwymi na cudze nieszczęścia...”.*

W Rosenau wszystkim żyło się bardzo biednie, naturalnie oprócz samego marszałka. Żeby się trochę rozerwać, sztabowcy Soulta spędzali czas niczym żołnierze liniowi. Nie było wieczoru, żeby każdy z nich, zanim ułożył się do snu na wiązce słomy, nie gołnął sobie porządnej dawki okowity i nie pogwarzył o dawnych wojnach. Zapasy wódki szybko się jednak wyczerpywały. I oto pewnego dnia wysłany do składu Lameth przyniósł na ramieniu antałek okowity i, chwiejąc się na nogach, oznajmił:

– *Monsieurs*, pokłońcie się nisko i grzecznie ucałujcie ten antałek. Jest on bowiem, zaprawdę powiadam wam, ostatnią baryłką gorzały z naszych sztabowych zapasów...

Minęła dobra chwila, zanim uwierzyli. Kiedy zaś uwierzyli, a byli już pod dobrą datą, zaczęli scenicznie szlochać i rozpaczać, co było dalszym ciągiem wesoło rozpoczętego biesiadowania. Przywykli do zmiennych kolei losu, toteż kontynuowali zabawę bez alkoholu, zastępując go błazeńskimi gierkami i wygłupami. Zanim to jednak nastąpiło, kapitan Alfred de Saint – Chamans poprosił uroczyście o głos, po czym, wykonawszy ostatnie alkoholowe czknięcia, zaproponował wszystkim biesiadnikom:

– *Mes amis intimes!*<sup>179</sup> Skoro jest to ostatnia, najostatniejsza baryłeczka okowity, a nikt z nas nie wie, kiedy nastąpi epifania<sup>180</sup> kolejnej, powinniśmy ten tu antałek

pozostawić nietknięty i opróżnić go dopiero wówczas, kiedy dowództwo ogłosi wznowienie działań wojennych! Co wy na to, *camarades*?

Zapadła cisza, podbite towarzystwo myślało tak intensywnie, że niemal było słyhać pracę zamroczonych mózgów... Wreszcie porucznik Coulombe doprecyzował pomysł Alfreda, proponując uznać za hasło do wypicia ostatniej baryłki wiadomość o wzięciu twierdzy i portu Danzig<sup>181</sup>. Tłumaczył przy tym:

– Oblężenie ma się ku końcowi, miasto lada dzień padnie. Tych parę dni jakoś wytrzymamy, *est-ce ne pas?*<sup>182</sup>

Można powiedzieć, że Coulombe trafił w dziesiątkę. Każdy z obecnych, ba – każdy żołnierz Grande Armée – od dawna wyobrażał sobie, jak opróżnia wypełnione aż po sklepienie napojami wysokowymi piwnice i składy w Danzig. W miarę, jak przedłużało się oblężenie, twierdza urastała w oczach żołnierzy do rozmiarów niewyczerpanego alkoholowego Eldorado, z którym nawet w czasach obfitości nie mogły się równać zapasy zgromadzone w magazynach IV korpusu.

Antoine Ledru i Raymond Barez wdrapali się na wóz. Poprzedniego dnia z rejonu Allenstein, gdzie kwaterował i biwakował III korpus marszałka Davouta, nadjechała cała kolumna wozów wypełnionych wykurowanymi oficerami i żołnierzami IV korpusu, którzy wskutek zamieszania powstałego po batalii pod Preussisch Eylau znaleźli się na kwaterach i w lazaretach III korpusu. Dziś wozy miały odbyć podróż w odwrotną stronę, transportując rekonwalescentów przynależnych do korpusu Davouta. Antoine i Raymond wracali zatem do własnych jednostek: podporucznik do sztabu korpusu, szaser do 1. pułku Exelmansa. Towarzyszyły im mieszane uczucia. Ledru przyzwyczał się do służby liniowej i towarzystwa Raymonda; Barez niepokoiło, czy aby nie oddała się od Launau, w którego rejonie zapewne przebywa jego Lieselotte. Uspokoił się nieco dopiero wówczas, kiedy zapytany o to Antoine udał się do oficera posiadającego mapę i po powrocie zapewnił Raymonda, że Allenstein leży nawet odrobinę bliżej Launau, niż Liebstadt. Ta wymiana rekonwalescentów świadczyła o jednym: wkrótce skapituluje Danzig i Wielka Armia wznowi działania ofensywne. Czekali na to wszyscy, oczekując po tej nowej kampanii definitywnego rozstrzygnięcia i zakończenia wojny, której miano już serdecznie dosyć.

Był 7 maja 1807 roku. Za kilka dni zamierzano podjąć próbę odblokowania portu i twierdzy Danzig. Oddziały wyznaczone do wykonania desantu, skoncentrowane na północny zachód od Heilsbergu, jeszcze 28 kwietnia (według rosyjskiego kalendarza 16 kwietnia) ruszyły przez Landsberg i Orschen<sup>183</sup> do Zinthen, gdzie popasały do 4 maja, by ponownie podjąć marsz na Königsberg i Fischhausen, gdzie po raz pierwszy ujrzały morze i sojusznicze okręty brytyjskie i szwedzkie. Miejsce zaokrętowania – wojenny port Pillau, osiągnięto 7 maja. O wszystkim informowano na bieżąco kwaterę główną, ulokowaną w Bartenstein, gdzie od pewnego czasu przebywali także obaj sprzymierzeni władcy.

Generał *en chef* Leontij Leontijewicz Bennigsen wciąż wpatrywał się w rozłożoną kartkę eleganckiego, czerpanego papieru, zawierającą pisany po francusku list, opatrzony zamaszystym podpisem monarchy – imperatora Wszechrosji Aleksandra I. W liście car pisał:

„Ekscelencjo,

*My Aleksander I Imperator Wszechrosji etc. oraz nasz wierny Aliant, Jego Królewska Mość król pruski Fryderyk Wilhelm III, pragniemy niniejszym poinformować Waszą Ekscelencję, że w najbliższych dniach zamiarem Naszym jest dokonanie przeglądu Naszych wojsk stacjonujących w rejonie Launau i Heilsbergu. W tym celu wojska owe mają być skoncentrowane i gotowe zarówno do przyjęcia Naszych Osób, jak i natychmiastowego podjęcia operacji ofensywnych, gdyby zaszła taka potrzeba. W tym samym czasie Nasze wojska będą próbowały odblokować Danzig, należy zatem podjąć ataki odciągające uwagę i siły przeciwnika. Oddziały atamana Płatowa, głównie kozacy, wykonają dywersyjny atak na placówki nieprzyjacielskiego korpusu marszałka Davouta pod Allenstein. Wojska nasze, zgromadzone pod Heilsbergiem a zwłaszcza pod Launau, gdzie komenderuje bliskim Naszemu sercu generał ksiązę Bagration, powinny być gotowe do ataku lub co najmniej dokonania zbrojnej demonstracji. Przybycie Nasze do Heilsbergu nastąpi w godzinach rannych 30 kwietnia (12 maja). Sugerujemy zatem, by Wasza Ekscelencja odpowiednio wcześniej ulokował się w Heilsbergu i przygotował wszystko na Naszą wizytę.*

*Aleksander*''<sup>184</sup>

Bennigsen natychmiast zwołał sztab na naradę. Radzić nie bardzo było o czym – oczekiwania monarchy były jasne. Naczelnym wódz zamierzał jedynie wydać stosowne dyspozycje, zanim sam ze sztabem wyruszy do Heilsbergu. Kiedy wokół pokrytego bordowym sukniem stołu zgromadzili się wezwani oficerowie, pośród których chwilowo brakowało tylko lorda Hutchinsona i towarzyszącego mu wesołego brytyjskiego oficera, generał rozłożył mapę i – sukcesywnie wskazując wymieniane miejscowości – przedstawił plan koncentracji i przemieszczania oddziałów:

– *Monsieurs*<sup>185</sup>, wołą Naszego Monarchy jest, byśmy w ciągu kilku najbliższych dni skoncentrowali nasze siły i przygotowali się do ewentualnej ofensywy. Uprzedzając wszelkie wątpliwości i pytania informuję, że wiem o kłopotach aprowizacyjnych naszych wysuniętych oddziałów, jak też o innych problemach. Nie zmienia to naszych dyspozycji, jako że zadaniem naszym jest wykonywać wolę Imperatora zawsze i wszędzie, niezależnie od okoliczności.

Zatem postulowane przez Imperatora przemieszczenia wojsk i ich koncentracja mają nastąpić do 27 kwietnia, to jest 9 maja. Kawaleria prawego skrzydła armii, pod generałem Golicynem, ma być skoncentrowana we Frauendorfie... – generał przerwał, sięgając po szklankę z wodą. Chwilę przerwy wykorzystał generał Dmitrij Siergiejewicz Dochturow, prosząc o pozwolenie na zadanie pytania. Bennigsen skinął aprobująco głową.

– *Mon commandant*, jak mamy reagować, gdyby Francuzi zauważyli ruch naszej kawalerii? W końcu też mają wywiadowców i dokonują rozpoznania za pomocą oddziałów lekkiej jazdy...

– To właśnie pańskie zadanie, generale Dochturow. Musi pan za wszelką cenę zapobiec nazbyt głębokiemu rozpoznaniu z ich strony, a zarazem osłonić całe prawe

skrzydło naszej pozycji. Dlatego powierzam panu siły 7. i 8. dywizji, którymi obsadzi pan pozycje pod Bürgerwalde i Kaschaunen – Bennigsen przeniósł wzrok na kolejnego generała, Aleksandra Iwanowicza Ostermanna–Tołstoja: – Pan natomiast, panie hrabio, stanie ze swoim korpusem na prawym brzegu Alle, w Liewenbergu, osłaniając pozycję heilsberską od strony Guttstadt. Pierwsza, gwardyjska dywizja pozostaje jak zawsze pod rozkazami Jego Cesarzewiczowskiej Mości wielkiego księcia Konstantego Pawłowicza. Tymczasem nie będziemy jej ruszać, z jednym wyjątkiem, o którym za chwilę. Wielki książę stoi kwaterą w Kiwitten, jego piechota w tejże wsi i najbliższej okolicy, kawaleria zaś w rejonie wsi... – głównodowodzący pochylił się nad mapą i przez chwilę błędził po niej palcem, po czym uzupełnił z uśmiechem – We wsi Paris<sup>186</sup>.

Osobliwe połączenie słów „wieś Paris” wzbudziło krótkotrwałą wesołość zgromadzonych oficerów. Bennigsen dokończył:

– W celu osobistego dopilnowania przygotowań do wypełnienia zaleceń Jego Imperatorskiej Mości, również 9 maja przenoszę kwaterę główną z Bartenstein do Heilsbergu. Należy też urządzić tam jakieś wygodne *locum* dla Ich Wysokości... Dzień później, 10 maja, przemaszeruje przez Bartenstein maszerujący prosto z Sankt Petersburga konny pułk Lejbgwardii, szefostwa Jego Cesarzewiczowskiej Mości wielkiego księcia Konstantego. Uprzedzę o tym Monarchę, gdyż może to być dobra okazja do pokazania naszej świetnej kawalerii brytyjskim gościom. A teraz do zadań, *monsieurs*, mamy dwa dni na przygotowania<sup>187</sup>.

Z zapisków podpułkownika Aleksieja Pietrowicza Jermołowa: „*Wkrótce nakazano nam przygotować się na przyjęcie Monarchy i króla pruskiego. Przebudowawszy szalasy na jeden wzór, nadaliśmy im schludny wygląd, wystroiliśmy i uporządkowaliśmy obóz. Wybraliśmy w każdym pułku takich, którzy mieli najmniej zdekompletowane umundurowanie, uzupełniliśmy ich odzież zdzierając z pozostałych brakujące elementy, i ustawiliśmy w szeregach pod bronią. Obdartych natomiast spędziliśmy do lasu, a następnie ulokowaliśmy na odległym wzgórzu, by z daleka udawali wysuniętą placówkę. Tak oto dowiedziałem się, jakimi sposobami należy przygotowywać wojsko do prezentacji, tak by Monarcha uwierzył, że żołnierzom niczego nie brakuje*”.

Trzydziestoletni podpułkownik 19. pułku lekkich dragonów, sir Robert Thomas Wilson, wnuk hurtownika wełny z Leeds, syn malarza portrecisty Benjamina Wilsona, brytyjski oficer towarzyszący sztabowi Bennigsenowi, był człowiekiem tyleż osobiście odważnym i utalentowanym, co wielce rozrywkowym. Zdażył do tej pory powalczyć i zasłużyć się we Flandrii i Egipcie, teraz przebywał w Prusach. Żonaty od około dziesięciu lat, w przerwach pomiędzy kolejnymi kampaniami regularnie zapładniał swoją małżonkę Jemimę, córkę pułkownika Williama Belforda, która w ciągu piętnastu lat od zawarcia małżeństwa powiła mu łącznie trzynaścioro dzieci. W przerwach pomiędzy kolejnymi aktami poczęcia walczył w szeregach własnej armii, walczył w szeregach armii sojuszników, doradzał i szpiegował dla własnego rządu – bez różnicy: wrogów czy sojuszników. Poza tym oczywiście nie omijał niemal żadnej okazji do obłapki, jeśli tylko kobieta była chętna i w jego guście, a on sam właśnie poczuł, że mu „ciężko w krzyżu”. Był dbającym tylko o własne przyjemności hedonistycznym *bon vivantem*, ale nie można się temu dziwić: rodzice odumarli go, kiedy miał zaledwie dwanaście lat, a jego wuj i

prawny opiekun William Bosvill zadbał jedynie o edukację siostrzeńca, nie poświęcając zbyt wiele uwagi rozwojowi emocjonalnemu chłopca.

Podczas wojny w Prusach sir Robert towarzyszył oficjalnemu przedstawicielowi gabinetu brytyjskiego a zarazem wesołemu kompanowi – pochodzącemu z Irlandii prawnikowi, lordowi Christopherowi Hely – Hutchinsonowi, którego przyjaciele nazywali po prostu: Kit. Brytyjczyków zapraszano nieraz do monarszego stołu Fryderyka Wilhelma III. Tak też było 10 maja. W skromnym mieszkaniu aptekarza w Bartenstein zasiedli do obiadu król, car, obaj Brytyjczycy i dwóch pruskich generałów. Kiedy zjedzono zupę, przybył adiutant generała Bennigsen. Po uzyskaniu pozwolenia na zabranie głosu, oznajmił:

– Jego ekscelencja generał głównodowodzący pragnie przekazać Waszej Królewskiej Mości, że za chwilę przejedzie przez miasto konny pułk Lejbgwardii. Jeżeli Wasza Królewska Mość sobie życzy, jednostka uroczyście przedefiluje przed Jego obliczem; będzie to wielki honor dla naszych gwardzistów.

Wilson już podrywał się z krzesła, jednak w ostatnim momencie zreflektował się – jest przecież na obiedzie u cara i króla! Napotkał karcący wzrok lorda Hutchinsona; obaj monarchowie zdawali się nie dostrzegać tego *faux pas*. Przeciwnie: car przerwał posiłek, otarł usta chusteczką i wstał, mówiąc do pozostałych stołowników, którzy również powstali:

– *Votre Majesté, Messieurs*, serdecznie zapraszam na niecodzienne widowisko! Proszę za mną! – po czym ruszył do wyjścia, prowadząc swój mały orszak. Na rynku poprosił, by jego współtowarzysze zajęli dobre miejsca widokowe, sam zaś dosiadł podanego mu konia i oddalił się w kierunku Königsberger Tor<sup>188</sup>. Mijały minuty, goście zaczęli się niecierpliwić, tylko król jak zwykle zachowywał stoicki spokój, który złośliwi brali zawsze za objaw apatii albo dowód na posiadanie nie nazbyt lotnego umysłu. Po upływie pół godziny od strony Königsberger Tor dobiegł dźwięk trąbki kawaleryjskiej, a zaraz potem zlewające się w nieustającą kaskadę metaliczne uderzenia setek podkutych końskich kopyt o kamienny bruk. Nadjeżdżała rosyjska konna Gwardia. Po chwili zza narożnej kamienicy wyłonił się dosiadający białego konia imperator Aleksander, podążający dumnie na czele pułku. Za nim stępa czwórkami posuwały się, jeden za drugim, niezliczone szeregi rosnących żołnierzy na dorodnych wierzchowcach. Żaden nie wysuwał się przed szereg ani o pół głowy. Mundury były porządne i czyste, metalowe elementy wyposażenia i ozdoby lśniły pełnym blaskiem, skórzane mantelzaki były wzorowo umocowane i podopinane, twarze gwardzistów dobrze odżywione i gładko ogolone.

– *Bravo! Bravo!* – zaklaskał w dłonie Fryderyk Wilhelm, dając tym hasło do wyrażania kolejnych zachwytów. Pierwszy odezwał się lord Hutchinson:

– Wspaniałe wojsko! Wspaniałe! Co ty na to, Wilson?

Sir Robert nie miał powodu, by sądzić inaczej. Jego uwagi były jednak bardziej rzeczowe, choć także emocjonalne:

– Zawsze podziwiałem rosyjską kawalerię. Zawsze. Muszę jednak przyznać, że jednostki o tak doskonałej prezencji nie widziałem dotąd w żadnym kraju! Ani tak doskonałych koni! Zwłaszcza, że pułk ma za sobą odbyty dopiero co długi marsz z samego



Sankt Petersburga!

Jaśniejący z dumy Aleksander pomachał łaskawie rękawiczką do swoich współbiesiadników, po czym oficjalnie przekazał pułk dowódcy<sup>189</sup>, dołączając do swego sojusznika i pozostałych gości. Kawaleria przemierzyła rynek, wjechała w Heilsberger Tor i podążyła w dalszą drogę, a rozochoczone spektaklem towarzystwo powróciło do przerwane go obiadu.

W izbie jadalnej zastano siedzącego nad talerzami, z zapalem konsumującego, wielkiego księcia Konstantego. Wszyscy byli lekko zaskoczeni, gdyż poprzedniego dnia car i król, mimo zapowiedzianej wizyty, nie zastali go w jego czasowej kwaterze. Jego Cesarzewiczowskiej Mości nie przeszkodziło to wpaść nazajutrz na obiad, zwłaszcza że i dla niego na wszelki wypadek zamówiono dania. Wszyscy domyślali się, że był u jakiejś miejscowej dziwki, co zresztą czynił co jakiś czas każdy z nich. Wyjątek stanowił król, zawsze wierny swojej pięknej żonie, choć nie zawsze z wzajemnością. Powiadano, że spośród obecnych najwięcej na ten temat wiedział imperator Aleksander. To, czy sam Fryderyk Wilhelm zdawał sobie z tego sprawę, pozostawało – wobec słynnej małomówności króla i admiracji okazywanej potężnemu aliantowi przez parę królewską – kwestią otwartą.

Tego samego popołudnia generał *en chef* Bennigsen opuścił Bartenstein i udał się do nowej kwatery w Heilsbergu, by przygotować oddziały na przyjęcie dostojnych gości. Czuł się nieco zmęczony i wyczerpany psychicznie. Nic dziwnego – przed trzema miesiącami ukończył sześćdziesiąt dwa lata, cierpiał na podagrę i ciężką kamicy nerkową. Czasy, kiedy to – zaledwie przed sześcioma laty – zdrowy i sprawny przewodził grupie zabójców imperatora Pawła I, zyskując wśród spiskowców miano „Kasjusza Longinusa”<sup>190</sup>, bezpowrotnie minęły. Przez parę następnych lat, spędzonych z konieczności w podwileńskim majątku Zakret, nie tylko nasładzał się małżeńskim szczęściem w towarzystwie swej pięknej polskiej żony, Marii Leonardy Andrzejkowiczówny, ale także doświadczał postępów dokuczliwej choroby. Zima spędzona w Prusach Wschodnich bynajmniej nie poprawiła jego kondycji. Poruszał się coraz częściej w powozie, z rzadka dosiadając konia. To zaś wpływało negatywnie na jego dowodzenie armią. Coraz częściej czuł się źle, chwilami nie potrafił skupić się na szczegółach planów kampanii, odczuwając jedynie dojmujący ostry ból w nodze lub nerkach. Jadąc powozem w stronę Heilsbergu, przypomniał sobie z goryczą słowa z czytanej wiele lat temu komedii Molière’a: „*Vous l’avez voulu, Georges Dandin!*”<sup>191</sup>. Prawda, sam tego chciał, starając się – nie zawsze eleganckimi metodami – o stanowisko naczelnego wodza. Ubarwiał a nawet zakłamywał raporty, deprecjonował zasługi konkurentów, w grudniu dzięki intrygom wyeliminował generała Buxhöwdena, który musiał pocieszyć się ochłapem – stanowiskiem... wojskowego gubernatora Rygi! Leontij Leontijewicz, odpowiednio interpretując to, co wydarzyło się podczas koszmarnych bitew pod Pułtuskim i Preusisch Eylau, zyskał nadany przez koalicyjnych propagandzistów szumny, choć niezbyt zasłużony tytuł „*Invicti victor*”<sup>192</sup>; ostatnio jednak ci sami propagandziści wyrządzili mu niedźwiedzią przysługę, wybijając na jego cześć medal z wizerunkiem Fabiusza Kunktatora<sup>193</sup>, tłumacząc jego pasywność w ostatnich miesiącach jakimś rzekomo istniejącym tajnym, acz genialnym planem. Żadnego planu nie było, a

raczej w kwaterze głównej powstawały wciąż nowe, czasem kilka naraz – a żadnego nie realizowano z prozaicznych powodów: braku żywności i furazu, wyczerpania wojska i osobistych obaw wodza naczelnego przed starciem z samym Napoleonem. Jednak „pan każe, sługa musi”, car chce dokonać inspekcji i odnieść jak najlepsze wrażenie – no to trzeba zrobić wszystko, żeby odniósł. Będzie trudno, ale cóż, „*vous l’avez voulu, Georges Dandin*”...

Robert Wilson i „Kit” Hutchinson wyruszyli do Heilsbergu dopiero nazajutrz, po dobrym obiedzie. Trafiła im się na podróż piękna pogoda. Jediną niedogodność stanowiła konieczność omijania lub przedzierania się przez liczne kolumny wojska podążające w różnych kierunkach na nowe pozycje. Przed samym Heilsbergiem minęli cmentarz epidemiczny i zabudowania starego przytułku, objechali dookoła zespół zamkowy i stanęli przed Kirchentor, gdzie warta skrupulatnie sprawdziła dokumenty. Celem Brytyjczyków był ratusz, gdzie spodziewali się spotkać osoby, które wskażą im kwatery i zaprowiantują. Szkarłatne mundury wzbudziły lekką sensację na ulicach, kiedy przejeżdżali przez Hospitalstrasse i Kirchenstrasse na rynek. Już w perspektywie tej ostatniej ulicy ujrzeli starszy, gotycki szczyt ratusza. Po chwili zatrzymali się przy głównym wejściu, ulokowanym między przylegającymi do ścian „*hakenbudami*”.

Nie zdążyli zejść z koni, kiedy na piętrze otworzyło się okno i rozległ się wesoly głos z góry. Rosyjski pułkownik zawołał:

– *Bonjour, camarades!* Nareszcie jesteście! No to teraz dopiero zacznie się prawdziwa zabawa! – po czym, obróciwszy się w głąb izby, krzyknął do niewidocznych kompanów: – *Gospoda, prijechali naszy anglijskije druzja Robert i Kit. Tiepier’ poguliajem!*<sup>194</sup>

Odpowiedziały mu chóralne wiwaty, a po chwili otworzyły się dwa sąsiednie okna i we wszystkich trzech ukazały się liczne głowy oficerów w rosyjskich i pruskich mundurach. Jeden z nich już teraz potrzasał ponad czuprynami kolegów butelką wina. Zaraz potem rozległ się głośny tupot licznych nóg na drewnianych schodach i wesoła czereda wybiegła na ulicę, chwytając obu Brytyjczyków i podrzucając kilkakrotnie do góry z okrzykami „ura!”. Następnie ktoś zajął się końmi i bagażem, pozostali posadzili ich sobie na ramionach i z radosną pijacką pieśnią na ustach ponieśli na piętro, gdzie już od kilku godzin solidnie ucztowano. „Kit” Hutchinson i Robert Wilson nie mieli innego wyjścia, jak tylko dołączyć do kompanii. Bardzo im to zresztą odpowiadało. Z pozostałej części dnia i wieczoru zapamiętali tylko oderwane, pojedyncze fragmenty. Było zatem tak, jak sobie zaplanowali.

Dwa dni wcześniej, 9 maja, z armii rosyjsko – pruskiej zdezerterowało kolejnych dwudziestu Polaków. W tym samym czasie w stacjonującym pod Guttstadt francuskim pułku sformowanym z Piemontczyków, z powodu niedostatku i braku żywności każdego dnia dezzerterowało po dwóch – trzech żołnierzy.

12 maja, około godziny dziewiątej<sup>195</sup>, przybyli z Bartenstein do Heilsbergu obaj sprzymierzeni monarchowie. Zanim udali się pod Launau, zapragnęli dokładnie zapoznać się z umocnieniami polowymi, wzniesionymi przez poprzednie dwa miesiące na prawym brzegu Alle, i zlustrować stacjonujące tam oddziały rosyjskie. Pogoda nadal była doskonała, idealna na przegląd wojsk.

Pod ratuszem powitał siedzące w odkrytym powozie dostojne osoby sam generał *en chef* Leontij Leontijewicz Bennigsen, dosiadający gniadego, pięknie wyczyszczonego konia. Towarzyszył mu Szkot, inżynier Roman Jegorowicz Renny<sup>196</sup>, autor planów i wykonawca systemu fortyfikacji heilsberskiej *position retranchée*<sup>197</sup>. Car Aleksander odpowiedział na powitanie w kilku łaskawych słowach, po czym protekcyjnym tonem zwrócił się do generała:

– *Monsieur le général*, proszę nas oprowadzić po pańskim gospodarstwie.

– *Oui, mon Empereur!* – odparł Bennigsen – Jeśli chodzi o szczegóły dotyczące fortyfikacji, informacjami posłuży Waszym Wysokościom inżynier Renny – tu Szkot stojący obok konia generała pochylił głowę w milczącym ukłonie, trzymając pod pachą plik zwiniętych w rulony map i planów. Car skinął na inżyniera, który szybko zbliżył się do powozu monarchów.

– *Ingénieur, comment évaluez-vous les qualités défensives de cette région? Sommes-nous ici pour se défendre?*<sup>198</sup>

Renny zastanowił się chwilę, po czym zaczął opisywać ogólne założenia planu umocnień, dodając, że o szczegółach opowie przy zwiedzaniu kolejnych szczytów. Jednocześnie zaprezentował szkic całej heilsberskiej pozycji.

– Zakładamy z generałem Bennigsenem, że jedynym dogodnym podejściem do naszej umocnionej linii jest dla Francuzów prawy brzeg i porządna droga z Guttstadt, a po jej bokach kilka mniejszych. Jednak stąd możemy sami wyprowadzić działania ofensywne, możemy się także tu wycofać w razie konieczności i skutecznie bronić, wykrwawiając nieprzyjaciela podejmującego czołowe ataki na szczyty... – Szkot pokazał na planie rozlokowanie umocnień – Na tym brzegu usypaliśmy prawie dziesięć dużych szczytów na szczycie wzgórz dominujących od południa nad miastem. Z nich rozciąga się znakomity widok na przedpole, które łatwo pokryć ogniem artylerii i piechoty.

Siedzący obok cara Fryderyk Wilhelm zapytał o zabezpieczenie tych umocnień przed nagłym natarciem wroga. Renny wyjaśnił:

– *Majesté*, na stokach tych wzgórz kazaliśmy usypać szereg fleszy i redanów<sup>199</sup>. Będą obsadzone piechotą, a na stokach za dużymi redutami uszykuje się kawaleria gotowa do szybkiego kontrnatarcia w razie potrzeby...

– Wobec tego pozostaje nam tylko dokładnie zapoznać się z kolejnymi szczytami, a potem dokonać rewii oddziałów – stwierdził Aleksander. Zanim wyruszyli w teren, ponownie wtrącił się król:

– Inżynierze, czy to pan przed dwunastu laty przeprowadzał delimitację naszych nowo nabytych posiadłości?

– *Oui, Majesté*. To ja także wykonałem pierwsze dokładne mapy tamtych obszarów. Prawdę mówiąc, skorzystałem też z wykonanych niedługo przedtem map polskich. Muszę przyznać, że były całkiem dobre.

Wspomnienie nieboszczki Rzeczypospolitej chyba niezbyt uradowało obu monarchów, toteż dosiedli koni w milczeniu i ruszyli wzdłuż linii szczytów. Za nimi podążał cały orszak generałów i dworzan, w tym obu mocno skacowanych Brytyjczyków. Wilson, jak by nie było syn malarza, choć wcześniej osierocony, był wyczulony na piękno. Odnotował w dzienniku, że odbywająca się tego dnia na prawym brzegu rewia była

malowniczym spektaklem, którego wspaniałe naturalne ramy stanowiły bujne lasy, zielone łąki, wyniosłe wzgórza i płynąca bystrym nurtem rzeka. Car i król wybrali na punkt obserwacyjny wzgórze, na którym wznosił się samotny dom. U wrót obejścia powitali ich gospodarze – *Herr* i *Frau* Skriszinski, oboje protestanci. *Frau* Luise pochodziła z Guttstadt, nosząc rodowe nazwisko Genck. Car i król zaszczylicili ich kilkoma minutami uprzejmej rozmowy. *Frau* Luise oznajmiła, że urodziła się na rok przed nastaniem rządów biskupa Ignatiusa Krasickiego i zapamiętała początki rządów pruskich, choć w 1772 roku miała zaledwie siedem lat<sup>200</sup>.

Zakończywszy rozmowę, monarchowie zajęli stanowisko przy drodze i zaczęli przyglądać się maszerującym z biwaków na pozycje oddziałom. Spoczywał na nich także uważny wzrok brytyjskich gości. Starali się dojrzeć rzeczywisty stan wojska, nie bacząc na radosne enuncjacje głównodowodzącego i jego sztabowców. Takie bowiem zadanie zlecieli im ich zamorscy mocodawcy, zimno kalkulujący, na ile celowe jest posyłanie sojusznikom każdego karabinu i każdego pensa. Mało ich przy tym obchodziło, ile krwi własnych żołnierzy przeleją sojusznicy we wspólnej sprawie, często w obronie głównie brytyjskich interesów.

– Po raz kolejny muszę przyznać, że mam przed sobą piękne wojsko – odezwał się „Kit” Hutchinson, mlasnąwszy wyschniętymi od przepicia ustami.

Wilson uśmiechnął się sceptycznie pod nosem i skomentował:

– Mój drogi, nie ulegajmy pozorom. Nieraz już widziałem, jak armie liczne i wyglądające na dobrze odżywione i wyposażone okazywały się w rzeczywistości kompletnie nieprzygotowane do poważnych działań. Szybko ulegały rozkładowi, pozbawione solidnego zaplecza. Liczy się głowa; jeśli ona jest sprawna, członki nie muszą być urodziwe, żeby zwyciężyć. Buonaparte powiada, że lepsza armia baranów z lwem na czele, niż armia lwów mająca za wodza barana... I, co przyznaję niechętnie, ma absolutną rację!

Tymczasem car opuścił stanowisko i ruszył wzdłuż ustawionych w długie szeregi oddziałów. Zatrzymywał się kolejno przy każdej jednostce, zadając sakramentalne pytanie:

– *Kak pożywajetie, druzja?*<sup>201</sup> – na co oficerowie i żołdaci odpowiadali równie sakramentalnym: – *Oczen' choroszo, Wasze Imperatorskoje Wielichestwo!*

Aleksander promieniał, słał na lewo i prawo swoje słynne uroczyste uśmiechy, którymi zwykle zjednywał sobie wielu naiwnych dyplomatów a zwłaszcza błyskawicznie się w nim zakochujące damy. Po chwili zaczął podjeżdżać do tych, których przedstawiono do odznaczenia niedawno ustanowionym Orderem Świętego Jerzego. Car przypinał orderzy osobiście, z czego żołdaci i oficerowie byli wyraźnie bardzo dumni, ich twarze jaśniały szczęściem.

– Kiedy przypomnę sobie, jak wręcza się odznaczenia w naszej armii, zazdroszczę rosyjskim oficerom a nawet tym prostym rosyjskim chłopom. Czym innym dla żołnierza jest otrzymać order z ręki monarchy, a czym innym z rozdzielnika przez ręce kaprała, który jeszcze wczoraj okładał podwładnego pałką i wyzywał od ostatnich świń... – skonstatował z niesmakiem Wilson.

– Prawda, prawda – zgodził się „Kit” – Dobrze rozumie to ten łajdak Buonaparte,

który także rozdaje orderzy osobiście!

Wilson roześmiał się szyderczo :

– Tyle że za plecami nagradzanych mawia, iż odznaczenia to dziecinne zabawki służące do kupowania dorosłych mężczyzn. Bywa, że na prośbę któregoś braciszka nadaje Legię Honorową sutenerowi, naganiającemu mu co lepsze dziwki<sup>202</sup>. Oczywiście po cichu, bez rozgłosu. Ale zawsze to świństwo...

O godzinie drugiej po południu parada i przegląd umocnień na prawym brzegu Alle dobiegły końca i cały orszak powrócił do miasta na obiad. Po posiłku czekała na władców, ich sztab i gości niespodzianka: kozacy przywieśli z rekonesansu dwudziestu pięciu francuskich jeńców, pochwyconych nad Passarge. Po krótkiej rozmowie z oficerem dowodzącym kozakami jeden z młodych adiutantów cara podszedł do obu monarchów, stuknął obcasami i zameldował:

– Jeńcy mówią ciekawe rzeczy. Kilka dni temu zupełnie spłonęło Liebstadt, w tym ogromne francuskie magazyny żywności i furazu. Sam marszałek Soult bieduje w jakimś zapyziałym dworku w pobliskiej wsi. Francuzom brakuje dosłownie wszystkiego.

„Tak samo jak nam” – pomyślał w duchu generał Bennigsen, na zewnątrz udający, że wszystko jest w najlepszym porządku. Musiał brnąć dalej ścieżką, na którą wkroczył – „*vous l'avez voulu, Georges Dandin...*”. Dla obu Brytyjczyków szykowała się kolejna wesoła nocka w Heilsbergu. Dobrana jak w korcu maku i ponownie skupiona w mieście „kompania braci” miała nadal sporo alkoholu i ochoty do hucznej zabawy.

Następnego dnia o godzinie dziewiątej rano car i król dosiedli koni i udali się na inspekcję dużego obozu dowodzonych przez generała księcia Pietra Iwanowicza Bagrationa oddziałów awangardy pod Launau. Generał Bennigsen podążył za nimi w powozie; innym powozem należącym do generała podróżowali Hutchinson i Wilson, oszczędzając swoje własne konie i nieco poobcierane od konnej jazdy tyłki. Dopiero w Launau dosiedli koni dostarczonych przez księcia Bagrationa. Tym razem miano wizytować jednostki stacjonujące na pierwszej linii, mające naprzeciwko siebie widoczne z daleka placówki nierzyjaciela.

W Launau cała awangarda i inne oddziały zgromadzone z okazji przeglądu znajdowały się już pod bronią, poustawiane w szeregi. W składzie 3. dywizji Fabiana Wilgielmowicza von der Osten – Sacken pozostawał koporski pułk muszkieterski. Stanowisko dowódcy roty Timofieja, Fiedota i Borysa nadal nie było obsadzone – oczekiwano dokładniejszych wiadomości o losie porucznika Żadowskiego, o którym wiadano, że żyje. Zbliżały się jednak kolejne działania, toteż lada dzień spodziewano się przybycia zastępcy. Tymczasowo dwiema rotami komenderował kapitan Kirylenko.

Sygnaly trąbek i bicie tarabanów obwieściły przybycie monarchów z asystą. Od góry do dołu – od księcia Bagrationa, poprzez generałów, pułkowników, niższych oficerów i podoficerów aż po riadowych – niczym elektryczne impulsy przebrzmiały odgłosy ostrych komend. Całe wojsko wyprężyło się w pozycji „smirno”<sup>203</sup>, następnie kilkoma paradnymi obrotami ułożyło karabiny i szpady na ramionach, by zaraz potem – również na kilka temp – ustawić się w pozycji „na karau”. Obroty wykonano sprawnie i równo, słońce odbijające się w bagnetach, lufach i metalowych elementach oporządzenia spotęgowało wspaniały efekt optyczny. Siedząc w siodle, „Kit” Hely – Hutchinson

pochylił się w stronę Roberta Wilsona:

– Co powiesz tym razem, Bob? Podoba ci się ta rewia?

– Nudny jesteś, „Kit”. Podoba, nie podoba... Czy ja jestem dziecko, żeby oceniać rzeczy po tym, jakie robią na mnie pierwsze wrażenie? Oczywiście, że robią to bardzo pięknie, mnie jednak bardziej interesuje, czy mają co jeść i ilu spośród przebywających w obozie choruje. To samo dotyczy koni – wychrypiął naburmuszonym tonem Wilson, którego dzisiejszy poranny kac męczył szczególnie mocno i bezlitośnie. Odwrotnie niż jego współbiedniacy przedkładał bowiem ojczyzną whisky nad miejscowe nalewki, miody i wódkę.

„Kit” cierpiał nieco mniej, lecz rozumiał rozdrażnienie Roberta, pokiwał więc tylko głową i nie nagabywał już towarzysza. Obaj siedzieli dziś w siodłach z gracją dużych parcianych worków wypełnionych kartoflami. Miłe zazwyczaj oblicza przypominały kapelusze starych grzybów, lekko nadgniłe i nadjedzone przez ślimaki i robactwo. Niespodziewanie odezwał się Wilson:

– „Kit”, rzućmy monetą, kto wypełni dziś misję obserwatora i nędznego szpicla, powierzona nam przez Jego Królewską Wysokość księcia regenta, a kto będzie mógł sobie tym razem trochę odpocząć. Nie ma sensu, byśmy teleпали się tam obaj. To jak, zgoda? – spojrzał z nadzieją na Hutchinsona.

Ten zaś najpierw spojrzał na kompana ze zdziwieniem, potem jednak oznajmił, wznosząc kaznodziejskim gestem ku niebu wskazujący palec:

– Zadanie wymaga pewnego minimum odpowiedzialności i kompetencji. Ty zaś, mój drogi Robercie, mimo pozorów jesteś człowiek lekki i oddający się jedynie rozrywkom. Zaprawdę nadajesz się tylko, bez obrazy, do regularnego nadmuchiwanie brzucha twojej nieszczęsnej Jemimy. Dlatego nie będzie żadnego rzucania monetą. Sam, z własnej i nieprzymuszonej woli, pojedę z całym orszakiem na pierwszą linię. Musisz mi tylko powiedzieć, gdzie konkretnie zamierzasz spędzić ten czas, żebym mógł cię odnaleźć w drodze powrotnej.

Wilson pomyślał, że chętnie zamalowałby Hutchinsona w tę opuchniętą od przepicia mordę, przypomniał sobie jednak w porę, że to nie knajpa w londyńskich slumsach a tak w ogóle to „Kit” jest jego starym kumplem. Do tego właśnie zaofiarował się samotnie towarzyszyć monarchom. Robert rozczulił się:

– „Kit”, przyjacielu, co ja bym zrobił bez ciebie? Daj pyska!

– *Oh, i'd better get out of sight, unworthy son of your father!*<sup>204</sup> Prześpij się i wracaj do formy! – Hutchinson kłął, ale uśmiechał się pod nosem, bo naprawdę lubił Wilsona. Ten zaś zaczął się już rozglądać za wygodnym miejscem w celu odbycia pokrępiającej drzemki. Nie musiał szukać daleko – parę kroków od drogi na Zechern i Peterswalde, zaraz po wjeździe do wielkiego lasu, leżał wywrócony przez wichurę stary świerk. Wykrot był niezbyt głęboki, suchy i wyglądał na przytulny. Znajdował się w półcieniu, na piasku igrały światłocieniowe żywe refleksy rzucane przez poruszone miłym wiatrem drobne liście młodej brzoźki.

– Tutaj! – rzucił krótko Wilson, zeskakując z siodła i przywiązując konia do najbliższego drzewa. Wyjął z mantelzaka wełniany pled i rzucił na dno wykrotu. Będzie mu tu ciepło, zacisznie i wygodnie. Byle nie zaczęło nagle padać.

„Kit” Hutchinson pomachał ręką kompanowi i podążył za resztą orszaku. Słyszał wyraźnie, jak generał *en chef* Bennigsen objaśnia po francusku carowi, królowi i pozostałym gościom rozlokowanie oddziałów i ogólną sytuację na wysuniętych placówkach:

– W tym lesie i na awanpostach stoi obecnie około dwudziestu dwóch tysięcy naszego wojska. Obsadza ono zarówno majątek Zechern, jak i wieś Peterswalde. Tę samą, którą odbiliśmy w marcu z rąk nieprzyjaciela...

„I tę samą, w której z powodu pijaństwa i zaniedbania obowiązków dostał się do niewoli pan generał Korf... A zanim odbito dwór i folwark w Zechern, totalnie skompromitowano się w nocnej potyczce” – pomyślał Fryderyk Wilhelm, ale nie wypowiedział tego na głos, na przemian zachowując kamienną twarz albo przywołując na oblicze chłodny, uprzejmy uśmiech. Jak zwykle ukrywał swoje myśli, co złośliwcy brali niesłusznie za brak jakichkolwiek myśli. Król już dawno uznał, że dobrze jest udawać „głupiego Jasia” – wtedy będą go lekceważyć i powiedzą albo pokażą za dużo, więcej niżby chcieli. A „głupi Jaś”, tak jak w starych baśniach, zawsze w końcu wszystkich zaskoczy i zdobędzie upragniony cel: rękę księżniczki, koronę, skarb... „Pożyjemy, zobaczymy”.

Obie miejscowości i wysunięte placówki były obsadzone przez rosyjskie pułki jegierskie, stanowiące trzon piechoty księcia Bagrationa. Resztę stanowiła kawaleria, artyleria konna i piesza oraz pułki piechoty liniowej. Szczególnie dobre wrażenie na wykonujących inspekcję władcach zrobiła wzorowa i zasłużona w dotychczasowych walkach 7. rota artylerii konnej, dowodzona przez niespełna trzydziestoletniego<sup>205</sup> podpułkownika Aleksieja Pietrowicza Jermołowa.

Na wizytowanych tego dnia placówkach gospodarzem był generał książę Bagration. Jego wysoka, szczupła acz muskularna sylwetka była widoczna z daleka. Obecnie, w ciepłej wiosennej porze, jego wygląd bardziej przyciągał uwagę – na wietrze swobodnie powiewały kruczoczarne, bardzo długie z tyłu głowy włosy, zimą ukryte pod osobliwym, nieregulaminowym kapturem z wiewiórczych futer albo pod groteskową futrzaną czapką z monstrualnie długim daszkiem. Czarne niczym węgiel były także oczy, osadzone blisko po obu stronach nosa, w głębokich oczodołach. Drapieżnego wyrazu dodawał jego szczupłej, podługowatej twarzy długi, wąski, orli nos. Książę generał, potomek starej gruzińskiej dynastii Bagratydów, przypominał wielkiego birkuta, czujnie wypatrującego zdobywcy. Był nie tyle wybitnym taktykiem, co raczej człowiekiem umiejącym odnaleźć się w każdej kryzysowej sytuacji, bijącym się zajadle i wzbudzającym respekt przeciwnika.

Hutchinson przypomniał sobie określenie księcia ukute przez propagandystów i podzielił się tym z jadącym obok rosyjskim oficerem:

– *Ils parlent de prince Bagration, que ce „lion de l’armée russe” ...*<sup>206</sup>.

Rosjanin pokiwał głową i dodał:

– *Notre armée est venu avec deux poèmes sur lui...* – i przytoczył jeden w oryginale, a następnie przetłumaczył z grubsza na francuski:

„*O, kak wielik, wielik Na – pole – on,  
On chytr i bystr, i chrabr wo brani,*

*No drognął, jak prostior doń dłani  
S sztykom Bog – rati – on*''<sup>207</sup>.

Hutchinson zaśmiał się uprzejmie, przyznając, że to całkiem zgrabny kalambur, szkoda tylko, że nieprzetłumaczalny, bo można by go wykorzystać propagandowo. Tymczasem orszak dotarł do Peterswalde. Tam obaj monarchowie z Bennigsenem i Bagrationem wspięli się na wieżę kościoła i przez perspektywę obserwowali francuskie posterunki obsadzające duży szaniec usypany na samej lizjerze rosnącego na horyzoncie lasu, który z tej odległości wydawał się prawie czarny. Widziano wyraźnie zmieniające się warty, powiewające na łagodnym wietrze proporczyki i paszcze dział.

– Kto zajmuje te szanice naprzeciwko? – zapytał car Aleksander, na co Bagration natychmiast odpowiedział:

– VI korpus marszałka Ney, *Wasze Wieliczesstwo*. Z tego co mówią jeńcy wynika, że konkretnie 6. pułk lekkiej piechoty de Laplane’a z brygady Maucune’a, dywizji Marchanda... Ale jeszcze parę dni temu pułki zmieniały się na pozycjach.

– Macie tu spokojnie czy też ciągle „mała wojna”? – dociekał car.

– I my, i oni prowadzimy ciągle rozpoznanie, zarówno siłami grup piechoty, jak i lekkiej kawalerii. Nie ma dnia, a zwłaszcza nocy, żeby każda ze stron nie utraciła po kilku ludzi zabitych, rannych albo wziętych do niewoli.

– A jak z dezercjami? – kiedy Aleksander zadał to drażliwe pytanie, Fryderyk Wilhelm wyraźnie nadstawił ucha, choć nadal milczał.

Bagration spojrzał na Bennigsen, ale ten uciekł ze wzrokiem w bok. Wobec tego książę nabrał śmiałości i z pewnym zakłopotaniem odparł:

– Wstyd powiedzieć, ale jednak zdarzają się ucieczki, nie tylko Polaków... Jednak trzeba przyznać, że i z tamtej strony wielu dezerceruje, głównie z głodu. Tyle, że i u nas z tym... – tu urwał gwałtownie, gryząc się w język. Car spojrzał na niego przeciągle i znacząco, po czym, nic nie mówiąc, ponownie przyłożył perspektywę do oka i skierował ją w stronę szanica pod lasem. Nagle ujrzał, że po francuskiej stronie przygląda się przez lunetę wieży kościelnej w Peterswalde jakiś wyższy stopniem oficer w haftowanym złotem mundurze. W pewnym momencie Francuz zdjął kapelusz, by otrzeć czoło z potu. Przez szkło lunety car zobaczył jasne, wyraziste niebieskie oczy i płomiennie rudą czuprynę. Rozpoznał go. „Ney, słynny Ney. ‘Rudy Lew’, jak go nazywają żołnierze...”.

– *Monsieurs*, pora wracać do Heilsbergu, a przed wyjazdem podziękować wojsku i dowódcom za wspaniałą prezencję oddziałów i dobry stan umocnień – stwierdził car, po czym cała czwórka zeszła z wieży. Na dole dosiedli koni i podążyli do Launau. Przed drzwiami plebanii stał odprowadzający ich wzrokiem ksiądz Anton Wagner. Tym razem nie poczęstował przybyszów ponczykiem. Cieszył się, że odjechali. Czekał na tamtych, spod lasu.

Pozostawiony sam sobie Robert Wilson wydobył z sakwy kawał chleba i ser. Spożył ten skromny posiłek ze smakiem, bo świeże powietrze zaostrzało apetyt. Potem ułożył się wygodnie w wykrocie na posłaniu, zamknął oczy i wystawił twarz na lekki wiaterek. Słabo przenikające przez liście promienie słońca pieściły mu czoło i policzki. Nawet nie poczuł, kiedy zasnął. Śniła mu się posępna równina pokryta trupami. Nisko wisały czarne chmury, grożące deszczem. Krakały ścierwojady. Odetchnął z ulgą, kiedy



po dwóch godzinach ciężkiego snu Hutchinson obudził go, potrząsając za ramię. Słońce zachodziło za zielone lasy i wzgórza. Milcząc przejechali przez obóz pod Launau, gdzie książę Bagration poczęstował wszystkich dobrą kawą. Milczeli także później, przez całą drogę do miasta. Tam, jak zwykle w obecności monarchów, zaproszono ich obu na późny obiad, właściwie kolację, w kwaterze cara. Podczas posiłku imperator Aleksander oznajmił, że termin rewii wyznaczono nie tylko w związku z akcją pod Danzig, ale także dla uczczenia dnia 1 maja<sup>208</sup>, kiedy to w Rosji urządza się parady, kawalkady i wesole publiczne festyny.

Rankiem 14 maja monarchowie udali się z powrotem do Bartenstein, a skoncentrowane na czas rewii oddziały powróciły w poprzednie rejony zakwaterowania. Tego samego dnia pod twierdzą Danzig wykrwawiały się pułki korpusu generała Nikołaja Michajłowicza Kamińskiego. Bezskutecznie i nadaremnie – Danzig miał skapitulować za dwa tygodnie.

Timofiej przyjął z ulgą zakończenie inspekcji. Te dwa pełne napięcia, wypełnione próbami ukrycia złego stanu armii dni wyczerpały wszystkich fizycznie i psychicznie. Jedyną dobrą stroną było to, że po wyjeździe monarchów i ich gości dowództwo przestało się aż tak bardzo interesować prywatnymi sprawami podkomendnych. Samo bowiem odetchnęło i cieszyło się, że już po wszystkim. Nieuchronnie nadchodząca kampania zdawała się czymś odległym i nierzeczywistym, zatem nie przejmowano się nią zbyt.

Tima uświadomił sobie, że akurat nazajutrz minie równo tydzień od zapowiedzi wizyty Elsy Hasselberg, „szczególnej wizyty” jak stwierdziła karczmarka podczas ich ostatniej rozmowy. Na szczęście odzież miał w porządku – kolejna dobra strona odbytej rewii. Pozostawało uporządkować szafas, rankiem wykąpać się w rzece i raz jeszcze ogolić. Woda w Alle była co prawda nadal chłodna, ale słoneczne dni sprawiły, że można było bez problemu spędzać nawet całe noce pod gołym niebem. Po służbie, podobnie jak Fiedot i Borys, wcześniej ułożył się do snu, jednak sen długo nie nadchodził. W głowie Timofieja kłębiły się strzępy myśli i wspomnień, powietrze było duszne i nieco wilgotne. Obok pochrapywali obaj kompani, najwyraźniej nie odczuwający żadnych głębszych rozterek i nie trapiący się o przyszłość. Zasnął dopiero nad ranem.

Nazajutrz miał dzień wolny od służby. Wykąpany, ogolony, dopięty i uczesany, od śniadania wyczekiwał przyjazdu Elsy. Ta jednak wciąż się nie pojawiała. Timofiej zaczął odczuwać niepokój. „Może wcale nie przyjedzie? Może ten ‘tydzień’ to tylko taki orientacyjny, luźno rzucony termin? Albo jej coś wypadło...”. Ze zdumieniem stwierdził, że bardzo zależy mu na tych odwiedzinach, że naprawdę chce ponownie ujrzeć tę rudowłosą zgrabną kobietę o cudownych piersiach i z nią porozmawiać. Nagle uświadomił sobie, jak wielką przyjemność sprawiały mu wszystkie ich krótkie rozmowy, pełne nieokreślonych oczekiwań i pragnień, niedopowiedzianych słów, zatrzymanych w połowie gestów... Starał się to w sobie zwalczyć, ale nawet na samo wspomnienie Elsy Hasselberg jego zdrowe, męskie ciało reagowało spontanicznie i gwałtownie. Pragnął jej. Uświadomił sobie, że nie pożąda j a k i e j s kobiety – że pragnie właśnie Elsy. Co dziwne, nie myślał o niej jak o kobiecie, którą można mieć za pieniądze, czego ona sama przecież bynajmniej nie ukrywała. Tym bardziej niepokoiła go jej nieobecność. Tak minęło przedpołudnie, wydano wojsku gorący posiłek, a Elsy nadal nie było. Tima pogodził się

już z tym, że jej dziś nie ujrzy. Położył się w ubraniu przed szafasem i zapatrzył się we wschodzący na wciąż jasnym niebie, blady księżyc. Zapadł w drzemkę.

Obudziło go lekkie dotknięcie ciepłej dłoni. Otworzył oczy. Fiedota i Borysa nie było w szafasie. Słońce już zaszło i robiło się szaro. Od wschodu, spoza lasów rosnących za rzeką, powoli wstawała czarna ściana mroku. Nad Timofiejem pochylała się klęcząca postać kobieca. Miała na głowie niewielki kapelusz podwiązany pod brodą szeroką szarfą, ładną zieloną sukienkę i narzuconą na ramiona aksamitną zieloną pelerynkę. Na jej szyi wisiała nieduża kamea na złotym łańcuszku. Elsa! Jednak przyjechała! Ucieszył się z tego tak bardzo, że aż się przestraszył. Kobieta spojrzała na niego z uśmiechem i powiedziała:

– *Guten Abend, Herr Offizier...*<sup>209</sup> Jestem. Czekałam aż zacznie zapadać zmrok, bo tylko w ciemności zdołam powiedzieć i zrobić to wszystko, co mi leży na sercu i czego z całej duszy pragnę. Powie pan, że taka kobieta jak ja nie ma serca ani duszy, tylko sakiewkę, do której chowa zarobione pieniądze? Nie mam zamiaru temu zaprzeczać ani tego potwierdzać...

– Ależ, *Fräulein* Elsa, ja nigdy niczego podobnego nie powiedziałem – zaprotestował Tima, gwałtownie podnosząc się z ziemi i siadając obok dziewczyny – Przeciwnie, zawsze okazywałem pani szacunek i starałem się być pomocny. Nie może pani zaprzeczyć.

Elsa roześmiała się smutno:

– Wiem, *Herr Offizier*, doskonale pamiętam. Tak tylko mówię, żeby zagadać i ukryć swoje zmieszanie z powodu dzisiejszych odwiedzin u pana. Bo naprawdę się wstydzę, że tu jestem. Zwłaszcza o tej niezwyklej porze. Panienki lekkich obyczajów odwiedzają obóz zazwyczaj za dnia, kiedy warty przepuszczają i dowództwo nie zabrania.

– Właśnie, *Fräulein* Elsa, czy nie będzie pani musiała zaraz opuścić terenu obozu? Na noc wstęp jest zwykle zabroniony...

Karczmarka uspokajającym gestem położyła mu rękę na dłoni, wyjaśniając cichym głosem:

– Proszę się o nic nie martwić, *Herr Offizier*. Wszystko jest ustalone z pańskimi zwierzchnikami. Kapitan Kirylenko był tak uprzejmy, że załatwił stosowne dokumenty za obietnicę darmowego obiadu w „Zu Drei Schwestern”.

Timofiej rozejrzał się zakłopotany:

– Nie mam nawet czym pani poczęstować. Gotówka się skończyła, do wypłaty żołdu daleko a posiłek już wydano...

– Przecież przed tygodniem powiedziałam, żeby się pan o nic nie martwił, bo ja zadbam o wszystko. Toteż mam wszystko, co potrzeba: zimne wędzone mięso, sery, świeże pieczywo, nawet butelkę reńskiego wina i kryształowe pucharki – Elsa nadal się uśmiechała, a Tima musiał przyznać, że był to uśmiech bardzo piękny. Karczmarka jeszcze nigdy tak na niego nie patrzyła.

– Czy tu będziemy to spożywali, czy też mam rozpaść jakieś ognisko kawałek dalej, nad rzeką?

– Ognisko już płonie, *Herr Offizier*. Niedaleko stąd, w pobliżu mostu. Podsyca je mój parobek Hans, zna go pan...

Tima potwierdził. Oboje powstali z ziemi, przy czym Elsa straciła równowagę i nie

chcąc upaść oparła się o ramię Rosjanina. On podtrzymał ją odruchowo i – dziwiąc się samemu sobie – nie wypuścił już jej ramienia. Było zarazem sprężyste i delikatne, a przy tym przyjemnie ciepłe. Ruszyli w stronę mostu. Wokoło robiło się coraz ciemniej. W zapadającym mroku jaśniały odległe ogniska płonące szeregami wzdłuż namiotów i szałasów, przesuwały się powoli w różnych kierunkach światła latarni i pochodni niesionych przez patrole konne i piesze. Wnętrza dużych namiotów kadry oficerskiej były rozjaśnione od wewnątrz blaskiem świec i latarenek. Gwar głośnych rozmów powoli cichł, rozmawiano półgłosem, czasem parsknął lub zarżał jakiś koń, z szuwarów nad Alle dobiegały pojedyncze, coraz rzadsze głosy wodnego ptactwa. Pachniało tatarakiem i mokrą trawą, czasem wpadała w nozdrza słaba nuta igliwia.

Kiedy stanęli przy ognisku, Elsa odesłała Hansa do koni i dwukółki. Zasiedli na przygotowanych pieńkach, wiktuały były już poukładane na rozłożonym na trawie białym obrusie. Elsa odezwała się pierwsza:

– *Herr Offizier*, czy mogę pana prosić o otwarcie i nalanie wina?

– Oczywiście, *Fräulein* Elsa. Już otwieram – sięgnął po leżący na obrusie korkociąg i sprawnie wyciągnął korek. Nalał do obu pucharków; czerwone wino przybrało w blasku ognia ciemnorubinową barwę. I znów ona zaczęła:

– *Herr Offizier*, czy zechce mi pan mówić... po imieniu? Mówić po imieniu do takiej kobiety jak ja to w końcu rzecz zwyczajna, *nicht wahr?*

Timofiej zachnął się lekko, od razu przechodząc na „ty”:

– Elso, proszę tak więcej nie mówić! Nie obchodzi mnie, jaki prowadziłaś i prowadzisz tryb życia, nie mnie o tym sądzić. Za to widzę, jak bardzo jesteś uczciwa, jak dobre i współczujące masz serce, jak solidnie zarządzasz oberżą... Jeśli ja mam mówić ci po imieniu, to ty mnie także. To chyba oczywiste?

Wypili zatem do dna. Dobre wino przyjemnie rozgrzewało ich ciała.

– Dziękuję ci, Thymotäus. Nawet nie wiesz, jakie to dla mnie ważne. Tak wiele się ostatnio zmieniło w mojej duszy. Ale mniejsza o to. Zaklinam cię, powiedz mi, co aż tak bardzo zatruwa twoje serce i twoją duszę? Bo od początku to dostrzegam i – wierz mi – cierpię razem z tobą.

– Droga Elso, parę lat temu zabrano mnie w żołdacy, zmuszając do porzucenia domu rodzinnego, rodziców, młodszej siostry, zupełnie jeszcze dziecka, i... mojej narzeczonej. U nas jest tak, że już do domu, do mojego Wozniesienskoje nie wrócę. Pogodziłem się nawet, a łatwo nie było, z tym, że na zawsze utraciłem Marfę, moją ukochaną, najcudowniejszą Marfę Rodionowną...

Timofiej zawiesił głos, czując jak słowa więzną mu w krtani. Elsa słuchała w milczeniu z pochyloną głową, unikając wzroku mężczyzny. On zaś opanował wzruszenie i po chwili podjął:

– Myślałem, że to już sprawy dawno i bezpowrotnie minione. Kiedy jednak przebywałem w niewoli w Schwollmen, trafił tam także umierający brat mojej Marfy, Igor. Przed śmiercią opowiedział mi, jak Marfa oparła się plugawym zakusom syna dziedzica i musiała uciekać z Wozniesienskoje. Daleko uciekać, aż na Litwę. Tam nasz przyjaciel umieścił ją u pewnego znajomego Żyda. Tam Marfa czeka, aż ją odnajdę i... Prawdę mówiąc, sam nie wiem, co zrobimy dalej, nawet jeśli ją odnajdę. Do domu

powrotu nie ma, w pułku nie utrzymam żony ani dzieci. Toteż naprawdę nie wiem, co będzie potem. Nie myślę o tym, na razie moim celem jest ją odnaleźć.

Elsa uniosła głowę. Jej twarz była smutna i bardzo poważna. Poprosiła o napełnienie pucharków i po chwili przemówiła:

– Thymotäus, czy może lepiej Tim, wiedziałam, że jest w tej historii jakaś wyjątkowa kobieta czy raczej dziewczyna... Taka, dla której nawet silny ciałem i charakterem mężczyzna potrafi stracić głowę, pokochać całym sercem i żadna inna dla niego nie istnieje. Opowiedz, jeśli mogę cię o to prosić, jaka jest ta twoja Marfa Rodionowna?

– Marfa to anioł, który zstąpił na ziemię, by rozsiewać dobro i miłość. Jest dla mnie jak promień słońca, rozjaśniający i rozgrzewający świat; jak łyk wody i powietrza, które pozwalają oddychać i żyć. Jest jak bryłka cudownego miodowo – mlecznego bursztynu, odnaleziona po sztormie w przybrzeżnym piasku. Jak zapach żywicznego lasu w środku upalnego lata... Bez niej się duszę, bez niej więdnę, a jednocześnie mam świadomość, że mogę jej nigdy nie odnaleźć a nawet jeśli odnajdę, nasze wspólne drogi będą wiodły donikąd, prosto w czarną otchłań. Jestem dorosłym mężczyzną, Elso, żołnierzem, podoficerem, walczyłem, zabijałem, odnosiłem rany, bywałem bity i poniżany, cierpiałem w niewoli. Powinienem więc być twardy i zahartowany. Ale tak nie jest. Kiedy pomyślę o niej, staję się bezradny jak dziecko i nie radzę sobie ze światem ani z samym sobą.

Dziewczyna zobaczyła, jak w jego oczach zabłyśły dwie pojedyncze duże łzy, które zaraz potem spłynęły po policzkach. Czuł, że przy Elsie nie musi się ich wstydzić, ta kobieta była mu bliska. Była bratnią duszą. Czuł też jednak, że swymi wyznaniem krzywdzi ją w jakiś nieokreślony sposób.

Przez dłuższy czas milczeli, powoli spożywając z chlebem kawałki wędliny i sera, popijając winem, którego nalewali teraz po pół pucharka, żeby starczyło na dłużej. Bo oboje pragnęli, by to spotkanie trwało jak najdłużej.

– Tim, nie mówmy o tym więcej. Teraz i tak nic nie można z tym zrobić. Nie dziś. Nie tej nocy. Jest taka ciepła i spokojna... Może przespacerujemy się nad rzeką kawałek dalej, o tam, gdzie stoi tych kilka dużych namiotów i świeci latarnia? Bardzo jestem ciekawa, kto tam mieszka i nie kładzie się spać.

– To akurat wiem, Elso. W tamtym oświetlonym namiocie mieszka młody poeta, Konstantin Nikołajewicz Batuszkow. Wieczorami, a bywa że i po nocach, siedzi przy świecy lub latarni i składa wiersze. Piękne wiersze, przynajmniej na mój prosty rozum.

– Tim, twój rozum wcale nie jest prosty ani prymitywny. Masz w sobie naturalną wrażliwość i wycucie tego, co piękne. I jesteś dobrym człowiekiem...

Timofiej ujął ciepłą dłoń Elsy i powoli, z namaszczeniem, ucałował:

– Ciii... dość o tym. Pójdźmy do niego, kiedyś mnie zapraszał. Posłuchajmy, co nowego napisał. Każdy artysta lubi podzielić się z innymi tym, co stworzył, oczekuje pochwały albo krytyki. Może i on właśnie napisał coś, czym chciałby się pochwalić na gorąco, zanim inkaust wyschnie na papierze?

Kiedy podeszli do namiotu poety i stanęli w kręgu światła roztaczanego przez latarnię ustawioną na stoliku, Batuszkow właśnie posypywał miążskim piaskiem świeżo zapisaną kartę. Spozrzegłszy niespodziewanych gości, rozjaśnił twarz uśmiechem i

zawołał po rosyjsku a potem po niemiecku:

– A, *gospodin unteroficer!* Do tego w towarzystwie pięknej damy. Zapraszam w moje skromne progi, zapraszam. Czy napijecie się wina albo chcecie coś przekąsić?

– *Nein, Herr Batyuschkoff, danke* – odparła Elsa i spojrzała z ogromną czułością na towarzyszącego jej mężczyznę – Najchętniej poczęstowalibyśmy się łykiem pańskiej poezji. Thymotäus bardzo ją chwali.

– Doprawdy nie wiem, dlaczego. To takie ot, pisanie na kolanie... – krygował się poeta – Ale skoro piękna dama prosi, nie odmówię. Akurat przelałem na papier pewien koncept, jeszcze nie do końca wygładzony. Słuchajcie zatem, co może zrodzić się w głowie szalonego poety w wojskowym obozie.

Ujął zapisaną kartę i wyrecytował, starając się modulować głos, a zarazem go nie podnosząc:

*„Kak landysz pod sierpom ubijstwiennym znieca*

*Skłoniajjet gołowu i wianiet:*

*Tak ja w bolezni zdał biezwriemienno konca,*

*I dumał: Parki czas nastaniet.*

*Uż oczi pokrywał Ereba mrak gustoj,*

*Uż sierdce miedliennieje biłos’:*

*Ja wianuł, iszczesał, i żyzni mołodoj,*

*Kazałos’, sołnce zakatiłos’.*

*No ty pribliżilas’, o żyzn’ duszy mojej,*

*I ałych ust twoich dychanije,*

*I sliozy płamieniem swierkajuszczych oczej,*

*I pocałujew soczietanije,*

*I wzdochi strastnyje, i siła miłych słow,*

*Mienia iz obłasti pieczali,*

*Ot Orkowych polej, ot Lety bieriegow*

*Dla śladostrastija prizwali.*

*Ty snowa żyzn’ dajosz; ona twój dar błagoj;*

*Toboj dyszat’ do groba stanu.*

*Mnie śladok budiet czas i muki rokowoj;*

*Ja ot lubwi tiepier’ uwianu”<sup>210</sup>*

Tima z pomocą Batuszkowa przetłumaczył treść wiersza na niemiecki. Wysłuchawszy recytacji i tłumaczenia, Elsa cicho podziękowała poecie, a potem natychmiast poprosiła Timofieja, by pożegnał się grzecznie i ruszył z nią nad rzekę, gdyż ona chce jeszcze trochę pospacerować. Skoro noc jest taka ciepła i pogodna...

Timofiej i Elsa ruszyli wzdłuż pogrążonego w ciemnościach brzegu Alle, pozostawiając daleko za sobą namiot poety, układającego piękne strofy przy migotliwym świetle ustawionej na małym stoliku latarni. Odczytany przez niego fragment świeżo napisanego wiersza poruszył czułe struny w ich duszach. W ich wnętrzu zaczęło się powoli rozlewać coś aksamitnego i ciepłego, coś czego od dawna oboje oczekiwali i teraz nagle się spełniło. Ich myśli były porwane, pospieszne, niejasne... Rodziły się nagle i umierały prędko jedna po drugiej, niczym spadające gwiazdy. W ich umysłach nie

powstawały żadne konkretne zamiary, plany, wizje; czuli jedynie, że tej wyjątkowo ciepłej nocy, pierwszej takiej w tym roku, musi wydarzyć się coś szczególnego. Że musi ona czymś obdarzyć ich oboje, zanim nastanie świt, zanim powróci twarda rzeczywistość. Tymczasem po prostu szli wzdłuż cicho szemrzącej rzeki, ostrożnie trzymając się pod rękę, lekko drżąc całym ciałem od poczucia bliskości, ale obawiając się mocniej przytulić czy objąć. Pierwszy nie wytrzymał Tima. Zatrzymał się, delikatnie wysunął swe ramię spod jej łokcia, by równie ostrożnie i powoli ująć jej ciepłą dłoń. Przysunął ją do ust, jednocześnie pochylając się nieco nad niższą od niego kobietą. Chciał coś powiedzieć, wyjaśnić, wytłumaczyć. W końcu wypowiedział tylko jedno ciche słowo:

– Elso...

Kobieta szybkim, lecz delikatnym ruchem położyła mu na ustach wskazujący palec prawej ręki, jednocześnie przywierając do Timofieja całym swoim prężnym i ciepłym ciałem. Spojrzała mu w oczy i wyszeptała:

– Tak, ja też tego chcę. Nawet nie wiesz, jak bardzo...

Tima popatrzył na nią i stwierdził zakłopotany:

– Elso, tak bardzo chciałbym, żebyś była dziś szczęśliwa. Choćby tylko dziś. A ja... ja tylko raz w życiu byłem z kobietą, przez kilka godzin, kiedyś dawno, jeszcze w Koporje. Nie chciałbym, byś czuła się zawiedziona, gdyby coś wyszło nie tak jak pragniesz. Tego przecież także trzeba się nauczyć...

– Wiem o tym najlepiej, znam się na tym jak mało kto, jak zapewne słyszałeś od innych – roześmiała się cicho Elsa – Potrafię wszystko co potrzeba, za nas oboje. Żadne z nas nie będzie zawiedzione, wierz mi.

Po chwili ich usta odnalazły się same, mimo ciemności. Tima był dość niezgrabny, toteż Elsa przejęła inicjatywę. Jej usta pachniały wypitym przed godziną winem, rude włosy – wonnymi ziołami i delikatną perfumą. Przestał myśleć, czuł tylko jak powoli pogrąża się w szaleństwie. Elsa jedną dłonią pieściła jego szyję, drugą głaskała jego tors. Oboje poczuli, jak bardzo krępują ich ubrania. Wiedzieli, co z tym zrobić i zrobili to.

Elsa przewróciła się na prawy bok i oparła na łokciu. Jej długie rozplecione włosy opadały aż na rozpostarty na trawie mundur Timofieja, częściowo zasłaniając cudownie ukształtowane, sprężyste piersi. Tima wciąż leżał na plecach, spocony i zdyszany, z zamkniętymi oczami. Kobieta pochylała się nad nim czule i ucałowała jego powieki. Roześmiała się cichutko:

– Thymotäus, nawet teraz nie chcesz popatrzeć z bliska w moje oczy?

Rosjanin uśmiechnął się, szczęśliwy jak nigdy dotąd. Ujął drugą dłoń Elsy, pocałował i przytulił do swojego policzka. Westchnął głęboko i wyszeptał:

– Elso, nie miałem pojęcia, że to może być aż tak... Aż tak... – nie potrafił znaleźć słowa, które dostatecznie wyraziłoby jego odczucia. Nie znalazł; może takie słowa w ogóle nie istniały, a przeżywane emocje można było oddać wyłącznie muzyką, gestem i... tym, co właśnie między nimi zaszło. Nagle naszała go wątpliwość:

– Elso, czy ty także przeżyłaś to tak mocno, tak wspaniale?

– Tim, mówiłam ci, że potrafię bardzo wiele w tych sprawach, toteż i moi mężczyźni są szczęśliwi, i ja także. Dziś było w tym jeszcze coś więcej, coś co się już nigdy nie powtórzy. Będę to wspominała przez długie lata. I wiesz przecież, Tim, że nie

chodzi tu o twoje takie czy inne umiejętności...

– Czułem jak drży każda cząstka mojego ciała, jak płonę a się wcale nie spalam. Jakbym przekroczył granicę życia i śmierci...

– Bo oboje ją przekroczyliśmy, Tim. Byliśmy przez chwilę w miejscu, które bazarze nazywają „rajem ubogich”. A teraz powróciliśmy na ziemię. Ja także miałam przez chwilę wrażenie, że tak już zawsze powinno być. Jednak potem powróciła trzeźwa myśl. Tim, ty i ja wiemy, że to nie dla nas.

Timofiej, który tej nocy był naprawdę szczęśliwy, teraz czuł wyrzuty, że na kilka godzin zapomniał o swojej Marfie, która przecież gdzieś czeka na niego. Elsa, jakby czytając w jego myślach, powiedziała:

– Tim, *mein lieber Junge*, nasza była tylko ta noc, ta jedna noc w całym życiu. Ja dziś powrócę do swojej karczmy, by ją dalej prowadzić wraz z siostrami. Nie zmienię także trybu życia, bo go lubię i dopóki mężczyźni do mnie wzdychają, będę się tym cieszyła i czerpała z tego rozkosz. I tylko czasem, w ciemną ciepłą noc uronię na poduszkę cichą łzę, wspominając to, co się tu dziś między nami wydarzyło. Bo to była miłość, Tim. Krótka jak życie małej muszki, ale gdzie jest powiedziane, że miłość musi być długa czy wręcz dożywotnia? W długim po horyzont szeregu kochanków pewnego dnia ujrzałam ciebie i odtąd wszystko było inaczej. Wiedziałam jednak, że to musi się skończyć, bo ty tak naprawdę kochasz inną, Tim.

– Dlaczego więc byłaś dziś ze mną i to bez „Pinunsen” – zażartował. Ona jednak pozostała poważna, choć pogodnie pogodzona z losem:

– Widziałam, Tim, jak bardzo cierpi twoja chora dusza, jak krwawi twoje chore serce. Tak mocno pragnęłam zrobić coś dla ciebie. Nie mogłam stać się lekarstwem dla twojej duszy i serca – to potrafi tylko ONA. Życzę ci, byście się odnaleźli i byli szczęśliwi. Mogłam jednak spróbować uleczyć twoje ciało; ciało niby tak krzepkie i zdrowe, a jednak cierpiące wraz z duszą. Któż jak nie ja potrafi uleczyć spragnione miłości ciało mężczyzny? Mężczyzny, który stał się dla mnie... – tu kobieta przerwała, odwróciła twarz, by nie widział, jak po jej policzkach spływają łzy. Timofiej jeszcze raz ucałował jej dłoń, pogładził delikatnie i musnął ustami lewą pierś, przenosząc swą rękę na jej talię i zaglądając w oczy Elsy, która ponownie patrzyła wprost na niego.

– Elso, choćbym bardzo się starał, nie mógłbym ci powiedzieć niczego piękniejszego niż to, co dziś usłyszałem od ciebie. Nawet gdybyśmy się mieli nigdy więcej nie spotkać, ta noc pozostanie w naszych sercach. Droga Elso, zanim wstanie słońce, zróbmy to jeszcze choć jeden raz. Proszę...

Kobieta roześmiała się serdecznie, jakby z ulgą:

– Tim, ty głuptasie! Myślałam, że już nigdy nie poprosisz... Nauczę cię jeszcze kilku rzeczy, które przydadzą ci się, kiedy będziesz już z NIA, z twoją Rodionową. Gwarantuję, że jej się to spodoba!

Nikt nie potrafił wyjaśnić, jak to się stało. Dwa dni po wizycie Elsy, na posterunku u wjazdu do Launau stawił się wielce zafrasowany sołtys Johann Hippel, donosząc o nagłym zgonie zamożnego sąsiada Paula Klingera. Dla ścisłości należałoby dodać: sołtys *de facto* prawie już nie istniejącej – przynajmniej w sensie materialnym – wsi, donosząc o zgonie o n g i s zamożnego sąsiada. Sołtys to jednak osoba urzędowa, toteż należało

spisać protokół zdarzenia i przeprowadzić choćby prowizoryczne śledztwo, zwłaszcza że trupa znaleziono niejako w samym środku terenu zajmowanego przez obóz wojsk awangardy.

W izdebce, gdzie przesłuchiowano sołtysa, zebrali się: audytor<sup>211</sup>, profos, tłumacz i protokolant. Sztabowy skryba, wspierany przez tłumacza, beznamiętnym głosem wypytywał Hippela o dane personalne jego i nieboszczyka:

– Imię... nazwisko... imię ojca... zajęcie... stanowisko... – by następnie przejść do szczegółów związanych z odnalezieniem zwłok. Hippel mówił:

– Nieboszczyk Paul, znaczy Klinger, był jednym z najbogatszych kolmerów w Launau. Duży dom, sporo uprawianego gruntu, inwentarz...

– Czyli mógł zostać zabity z powodów rabunkowych – wpadł mu w słowo stojący za plecami skryby audytor – Wiadomo wam, co zginęło?

Sołtys pokręcił przecząco głową z gorzkim uśmiechem:

– *Nein, Herr Offizier*, Klinger był bogaty, jeszcze pół roku temu był. Jednak tej zimy stracił wszystko. Część mienia zrabowali Francuzi, resztę stopniowo zarekwizowali wasi wojskowi. Nie powiem, wydali kwity rekwizycyjne i obiecali, że je wykupią jak weksle, oczywiście po wojnie.

– Chyba nie wątpicie, sołtysie, że tak właśnie będzie? Nasz Monarcha zagwarantował to waszemu królowi! Tylko trzeba zachować kwity.

Hippel pokiwał głową i wzruszył ramionami:

– Pewnie jest tak, jak *Herr Offizier* mówi... Wojna póki co nie skończona, jeszcze wiele się może wydarzyć. A koni, innych zwierząt, pieniędzy, narzędzi, zapasów żywności, ziarna, siana, słomy, ciepłych pierzyn i kożuchów w domu Klingera, tak jak u innych, od dawna nie ma. Nawet zwykłe korale z jarmarku, co mu po córce zostały, przepadły.

– *Gospodin* Hippel, mówiliście, że znaleźliście sąsiada powieszzonego w stodole. Może sam odebrał sobie życie? W takich złych czasach to się zdarza.

Sołtys żywo i z oburzeniem zaprzeczył, twierdząc z mocą, iż nieboszczyk był człowiekiem statecznym i bardzo pobożnym, który nigdy nie uczyniłby czegoś podobnego.

– No i nieraz mówił, że musi wszystko znieść, przetrwać w rodzinnym domu, żeby to co ocaleje przekazać córce. Żył dla niej. Nie zabił się sam na pewno! Mogę przysiąc! Nie on!

– Właśnie: córka! – audytor poruszył się gwałtownie – Co z nią? Gdzie jest teraz, skoro nie przebywa w Launau?

– Nie wiem, *Herr Offizier*. Jeszcze w lutym wywiózł ją stąd do rodziny, w bezpieczne miejsce, jak mówił. Ale nie wiem, dokąd...

Audytor popatrzył uważnie na nieszczęsnego Niemca, jakby chciał go przewiercić na wskroś i wydobyć w ten sposób jakąś głęboko skrywaną prawdę, może tajemnicę zabójstwa Klingera. Hippel jednak pozostawał spokojny i zrezygnowany; najwyraźniej nie miał nic wspólnego z tą śmiercią.

– No cóż, *gospodin* Hippel, nie będziemy was już dłużej męczyć. Przekażemy protokół wyżej i na tym koniec. Wobec braku dowodów i poszlak ogłaszam umorzenie



śledztwa. Żegnam was, sołtysie. A, prawda, jeszcze tylko podpiszcie protokół zeznania.

– To tyle?! Koniec śledztwa?! *Herr Offizier*, to był dobry, uczciwy i bogobożny człowiek, kochający ojciec; ktoś go zamordował, a pan chce umorzyć śledztwo?! Co ja powiem Lieselotte, kiedy po wojnie wróci do domu?! – sołtys w emocji nie zauważył, jak bardzo podniósł głos, czego nie lubi żadna urzędowa osoba. Tak było i tym razem. Audytor rzucił szybkie spojrzenie na profosa, który wyprężył się, obciążając mundur. Następnie, cedząc słowa jedno po drugim, chłodnym i jadowitym tonem oświadczył:

– *Gospodin Hippel*, proszę nie podnosić głosu na wojskowego urzędnika Jego Imperatorskiej Mości... Jeżeli mówię, że umarzam śledztwo z braku dowodów i poszlak, to znaczy, że nic więcej nie da się zrobić w tej sprawie. Klinger, wasz sąsiad, nie żyje? Cóż, umarł, to podobno zdarza się każdemu... A jeżeli będziecie mi dalej zawracali głowę albo, co nie daj Boże, spróbujecie robić to pod innym adresem za moimi plecami, to jak mi Bóg miły, sprawię, że sami wylądujecie w areszcie, zostaniecie oskarżeni o zabójstwo Klingera a potem skazani i powieszani jak ten nieszczęśnik. Gwarantuję to wam, Hippel. A teraz podpis i won mi stąd! Ale już! – ręka audytora z wysuniętym palcem wskazującym wystrzeliła do przodu, wskazując drzwi. Sołtysowi nie pozostawało nic innego, jak udać się we wskazanym, co prawda niezbyt elegancko, kierunku.

Tego samego wieczoru pod dachem „Zu Drei Schwestern” ponownie pojawił się nie widywany od ponad dwóch tygodni korpulentny, rumiany i już z lekka podchmielony Iwan Aleksandrowicz, komisarz kwatermistrzostwa. Oczywiście z uwieszoną u jego ramienia, także już pijaną, „Maszeńką”, która odziana była jeszcze bardziej wyzywająco i wulgarnie, niż w owym dniu, kiedy doszło do zastrzelenia pruskiego huzara w idiotycznym „pojedyńku”. Iwan Aleksandrowicz nie zasiadał ostatnio nad kartami, bo – co zdarzało mu się nader rzadko – akurat zabrakło mu gotówki. Musiał poczekać na kolejne dostawy dla wojska, by uszczknąć z nich swoją niemałą jak zwykle „dole” w towarach i pieniądzach, a następnie – po spieniężeniu towarów – oddać się ulubionemu hazardowi i znów zacząć obsypywać złotem swoją „Maszeńkę”. Ta bowiem, wyczuwszy wrodzonym suchym węchem chwilowe pustki w *karmanie*<sup>212</sup> „swojego Wani”, zaczęła się na niego dąsać, a nawet uśmiechać i strzelać zabójczo podmalowanymi oczami do równie zabójczo przystojnych, wyglądających na zamożnych, a przy tym znacznie młodszych od Iwana Aleksandrowicza oficerów, w rozmaitych zresztą mundurach. Pan komisarz kwatermistrzostwa musiał zatem zdobyć kolejną partię gotówki, która zawsze stanowiła panaceum na wszelkie dolegliwości jego ulubionej krasawicy. Dostawa nadeszła, Iwan Aleksandrowicz zwyczajowo przejął z niej odpowiednio dużą część, i wszystko byłoby w najlepszym porządku, gdyby podczas dzielenia zdobyczy nie napatoczył się ten głupi Niemiaszek z Launau. Jak mu tam... Klumper? Klinger? Mniejsza o to, pies go jebał! Przez przypadek widział wszystko – od początku do końca. Gdyby przyszło mu do łba komuś donieść... Mimo układów, Iwan Aleksandrowicz nie lubił narażać się bez potrzeby. Tego śmiecia trzeba było usunąć. W pobliżu stali jak zawsze dwaj pomagierzy komisarza: Witalij i Jewgienij, dla przyjaciół po prostu Witia i Żenia, dwaj drągale o ptasich mózdkach i niedźwiedzich łapach. Iwan Aleksandrowicz skinął na nich i bez słowa wskazał stojącego nieopodal Niemca. Do następnego ranka było po wszystkim: Klumper czy też Klinger, pies go jebał, „powiesił się” we własnej stodole.

Dlatego dziś Iwan Aleksandrowicz zasiadł szczęśliwy do gry, mając w sakwie gotówkę w monecie i asygnatach, a na plecach obejmując go mocno – nie wiadomo, czy bardziej z czułości, czy z powodu nadużycia wina – „Maszeńkę”. Stary defraudant nie wiedział jednak, że trochę się spóźnił z pozyskiwaniem środków: poprzedniego dnia obrażona i wyposzczona „Maszeńka” postanowiła go „ukarać”. Zrobiła to tak, jak umiała najlepiej. Zaciągnęła Witę i Żenię do stajni, położyła się na wypełnionym sianem żłobie, wypięła krągły zadek, zadarła suknię i dała się zerznąć jednemu i drugiemu, po kolei. Obaj tępi dragale wykonali polecenie „pani” jak zwykle: natychmiast i bardzo sumiennie. Zasiadając dziś do faraona u boku Iwana Aleksandrowicza, który znów stał się „jej Wanią”, „Maszeńka” zupełnie już zapomniała o wczorajszej przygodzie. Nie miała pojęcia, że w najtajniejszych zakamarkach jej ciała zawiązało się nowe życie. Kiedy dokładnie – nie wiadomo. Czy temu dziecięciu dane będzie ujrzeć ten podły świat, pełen tłumów ludzi nikczemnych, pośród których, niczym w Sodomie, z rzadka trafiają się sprawiedliwi? Jak powita je matka – wesolutka, niemal stale podchmielona „Maszeńka”, uczepiona jak małpa ramienia, łoża i sakiewki Iwana Aleksandrowicza, szanowanego komisarza kwatermistrzostwa? „Masza” czy „mamasza”<sup>213</sup> – brzmi to w końcu prawie tak samo... A ojciec? I kto, u licha, nim naprawdę jest: Witia, Żenia, a może jednak sam Iwan Aleksandrowicz – kto to wie? Dobrze, że „Maszeńka” nie zdążyła zawrzeć bliższej znajomości z żadnym z młodych oficerów, bo wtedy w równaniu pojawiłoby się jeszcze więcej niewiadomych... Owszem, Pan Bóg zna prawdę, a przynajmniej powinien. Ale czy nie zapomni o dziecku, któremu pozwolił się począć? Załóżmy ostrożnie wariant optymistyczny, rodem z góralskiej bajki<sup>214</sup>.

W obozie pod Launau wydano tego dnia zmniejszone racje żywnościowe, tłumacząc to trudną sytuacją ogólną w kwestii aprowizacji. W stodole na klepisku kilku pozostałych jeszcze we wsi sąsiadów zaczęło szykować do pogrzebu zwłoki Paula Klingera, dobrego, uczciwego, bogobojnego człowieka, kochającego ojca... Byli pewni, że ksiądz Hossmann z Reimerswalde pochowa go w poświęconej ziemi, mimo wyraźnie widocznej na szyi zmarłego sieniejskiej bruzdy.

Swoje wymarzone przyszłe spotkanie z Marfą Timofiej zawsze wyobrażał sobie jako coś w rodzaju wielkiego spektaklu, któremu winny towarzyszyć, zarówno przed jak i w trakcie, anielskie chóry, gromkie wiwaty, fanfary, werble, błyskawice i pioruny. Z kolei w snach Marfa wychodziła mu naprzeciw w swym codziennym letnim stroju, krocząc pośród zieleni łąk i brzozowych gajów, albo pośród złocących się łąków zboża. Czasem widział we śnie tylko jej ogromne błękitne oczy, blad różowe usta wymawiające szeptem jego imię lub ostrzegające przed niebezpieczeństwem, długie, jasne włosy rozwiewane przez łagodny wiatr. Albo jej ręce, obnażone przedramiona zakończone delikatnymi dłońmi o długich palcach. Zawsze było w tym dużo magii i nastroju tajemnicy, niedopowiedzenia.

Tymczasem los zetknął ich nagle, banalnie, bez żadnych zapowiedzi i wstępów. Było tak, jakby się nigdy nie rozstawali, ani na moment. Jakby poprzedniego dnia rozeszli się do sąsiadujących ze sobą domów powiedziawszy sobie „dobranoc”, a nazajutrz rano ujrzeli się przez płot i powiedzieli „dzień dobry” albo „niech będzie pochwalony”.

Zaczął się od przybycia nowego dowódcy rotty. Zbliżała się kolejna kampania,

szansa na powrót z niewoli porucznika Żadowskiego była chwilowo równa zeru, toteż w końcu przysłano kogoś w charakterze zastępcy, mającego dowodzić rotą przynajmniej do końca wojny. Dotarł do obozu późnym popołudniem, wygodną czarną karetą zaprzęzoną w cztery dobrze odżywione konie, co było już wtedy rzadkością, z całą stertą osobistych bagaży i dwoma forysiami – fagasami. Kiedy z pomocą fagasa wygramolił się z karocy, ustawieni w dwusereg żołdaci i podoficerowie roty Żadowskiego wydali powitalny okrzyk, na który nowy komendant raczył odpowiedzieć jedynie lekkim, prawie niezauważalnym skinieniem głowy. Był to młody jeszcze człowiek, lecz bardzo otyły, o ogromnym, zaokrąglonym brzuchu i otłuszczonych udach. Jego twarz, okolona ciemnymi bokobrodami, była czerwona i obrzmiała, brązowe oczy zdawały się tonąć w pulchnych policzkach. Mundur leżał na nim fatalnie, porucznik był opięty niczym baleron. Opasujący jego talię (której nowo przybyły oficer po prawdzie wcale nie miał) szeroki „*oficerskij szarf*” czynił go jeszcze grubszym. Kiedy stanął na ziemi i nałożył kapelusz, do złudzenia przypominał dojrzałą purchawkę, która lada chwila pęknie i rozsypie wokół siebie brunatną chmurę zarodników. Wyglądał jak człowiek poważnie chory lub jak sybaryta zgnuśniały z powodu hulaszczego trybu życia. Dzień był bardzo ciepły, toteż porucznik ciężko sapał i pocił się jak szczur.

„Czy on w ogóle był kiedykolwiek na wojnie?” – to pytanie zadawali sobie w myślach wszyscy zgromadzeni, łącznie z pułkownikiem Gnaade, który grzecznościowo zjawiał się, by powitać nowego członka kadry pułku koporskiego. Nikt jednak oczywiście nie zadał go głośno, nauczyły ich tego lata służby; widzieli już niejednego oficera protegowanego przez dobrze ustosunkowanych na dworze przedstawicieli petersburskiej elity. Ten także im na takiego wyglądał.

Tymczasem nowy dowódca roty obojętnym, pozbawionym emocji tonem przedstawił się krótko i wyjaśnił cel przybycia:

– *Zdrawstwujtie, gospodin pułkownik, zdrawstwujtie, gospoda oficery. Zdrawstwujtie, rebiata. My s wami jeszcze nie poznaomilis’.* Lejtienant Nikołaj Antonowicz Otrawin. *Mnie zdies’ prislali dla komandowanija rotoj popawszego w plen lejtienanta Żadowskiego...*<sup>215</sup>.

Pułkownik Gnaade odpowiedział grzecznym ukłonem. Następnie występowali na dwa kroki przed szereg kolejni oficerowie i dowódcy wzwodów, podając stopnie i nazwiska. Jako pierwszy wystąpił podporucznik Korolew, po nim następni. Kiedy przyszła kolej na Timofieja i padło nazwisko Dmitrijew, Otrawin zatrzymał się nagle i uważnie spojrzał w twarz unteroficera. Oczy mu pałały, senny, znudzony wyraz oblicza zniknął bez śladu. Stłumionym głosem zwrócił się bezpośrednio do Timy:

– Unteroficer Timofiej Nikitycz Dmitrijew, powiadacie? A skąd pochodzicie? Czy czasem nie z guberni pskowskiej, hę?

– *Tak toczno, wasze blagorodje!* Z Wozniesienskoje – Timofiej nie miał ani możliwości, ani potrzeby ukrywać miejsca pochodzenia. Miał jednak przecucie, że kryje się za tym coś niedobrego, choć na razie nie wiedział co. Nowy porucznik spojrzał na niego przeciągle z zagadkowym wyrazem twarzy i powoli ruszył dalej wzdłuż dwuszeregu swojej świeżo przejętej roty. Przeszedłszy kilka kroków zatrzymał się nagle, zawrócił i ponownie stanął naprzeciwko Timy:

– Dmitrijew, jeszcze dziś wieczorem, przed capstrzykiem, macie się osobiście stawić w moim namiocie. Sam. Mam z wami do pogadania...

Teraz było już prawie pewne, że Otrawin zamyśla coś złego. Mówiły o tym jego świdrujące, małe oczka i fałszywy uśmiezek błakający się po odętych, lekko zaślinionych wargach. Kropelki śliny zbierające się w kąciku ust porucznika nadawały jego twarzy obleśny wyraz. Kiedy zagarnął je końcem języka, przez moment wyglądał jak gruby jaszczur oblizujący się po zeżarciu ostatniego kęsa upolowanej żaby.

– Dziś wieczorem, przed dziesiątą! – powtórzył, po czym oddalił się, kontynuując prezentację. Kiedy pułkownik Gnaade pożegnał się a Otrawin odjechał z bagażami do wyznaczonego sobie namiotu, podporucznik Korolew rozpuścił rotę. Sołdatów czekała jeszcze tylko skromna wieczerza i objęcie wyznaczonych wart, to ostatnie jednak dotyczyło tylko niektórych.

Timofiejowi chleb i ser rosły w ustach; nie miał apetytu, mimo iż niewielkie racje żywnościowe stale utrzymywały jego organizm na pograniczu niedosytu, a czasem wręcz głodu. Dwa razy zjadł lepiej dzięki Elsie, która przysłała przez Hansa kosze pełne wiktuałów. Kiedy dotykał lnianych serwetek dołączanych do produktów, czuł dyskretny zapach jej perfum, jednak żadnego listu w koszyku nie było. Także Hans niczego nie przekazał w jej imieniu. Tima rozumiał Elbę – młoda kobieta, z którą przeżył cudowną, magiczną noc, kobieta która tak bardzo pragnęła uleczyć jego duszę i ciało, sama teraz cierpiała. Dała ukojenie jego ciału, choroba jego duszy była ponad jej siły. Wycofała się. Zrobiła wszystko, by przeniknąć do jego wnętrza, ujął z pietyzmem w dłonie i ucałować jego bijące serce... Już, już – zda się – sięgała koniuszkami palców tętniącego, purpurowego kształtu, słyszała rytm uderzeń; i nagle musiała się cofnąć, wyczuwając w sercu Timofieja wielką, nieprzewyciężoną moc TAMTEJ. Marfa Rodionowna, chociaż daleka i tymczasem nieosiągalna, panowała tam niepodzielnie. To, co przeżyli ze sobą Elsa i Timofiej, było tylko pięknym, szalonym tańcem młodego myśliwca z wodną nimfą pośród magicznych błędnych ogników na bagnach. Kiedy nimfa, ucałowawszy po raz ostatni usta kochanka pachnącymi winem delikatnymi wargami, odeszła i zniknęła w oparach porannej mgły, myśliwiec obudził się jak z głębokiego snu. Snu przepelnionego narkotycznym urokiem, wspaniałego, ale jednak snu. Wstało słońce, ustała moc gwiazd i księżyca. A w blasku słońca królowa była tylko jedna. Marfa...

Przed godziną dziesiątą, kiedy zrobiło się już całkiem ciemno, Timofiej udał się do namiotu porucznika Otrawina. W środku paliła się świeca, przez płótno widać było cień korpulentnej postaci siedzącej przy stoliku. Otrawin coś pisał, gęsie pióro z przyciętą końcówką biegło po papierze. Przed wejściem do namiotu stał nieruchomy *czasowo*<sup>216</sup>, trzymając u nogi karabin z nasadzonym bagnetem. „Porucznik Żadowski nigdy nie wystawiał wartowników przed swoją kwaterą, kiedy znajdował się pośród własnych żołnierzy” – pomyślał Tima – „Otrawin albo się czegoś obawia, albo podkreśla swoją ważność, albo po prostu brakuje mu jeszcze doświadczenia i dystansu do samego siebie”.

– Dmitrijew? To wy? – odezwał się nagle porucznik, nie wstając od stolika i nie przerywając pisania – Zaczekajcie tam, aż skończę. Za chwilę sobie pogadamy. Jedno wam powiem tymczasem: nie zaprosiłem was na herbatkę ani na szklaneczkę ponczu. Ale... wszystko w swoim czasie.

Tima spojrział na znajomą twarz *czasowego*, który nie uciekł z oczami, pozostał wszakże milczący. Regulamin zabraniał prywatnych rozmów na warcie. Widać było jednak, że riadowy Jabłoczkin nie jest zachwycony wieczorną służbą przy namiocie świeżo upieczonego dowódcy roty. Mijały kolejne minuty, a Otrawin nie wychodził ani nie wzywał Timofieja; wyglądało, jakby chciał go zmiękczyć i upokorzyć. Unteroficer zachowywał kamienny spokój, gdyż takie traktowanie żołdatów a nawet podoficerów przez kadrę oficerską było swoistą normą. Czym jak nie okazywaniem pogardy i lekceważenia łatwiej było okazać swą wyższość, nasycić się władzą? Zawsze to prościej, niż wykazać się kompetencjami dowódczymi na polu walki. Tam bowiem wspólne zagrożenie, dotyczące wszystkich bez wyjątku porażki i uskrzydlające wszystkich sukcesy niejako niwelowały różnice między ludźmi. Jednakowy kolor miała krew lejąca się z ran oficerów i zwykłych żołdatów. Każdy mógł się o tym naocznie przekonać. W obliczu śmierci wszyscy stawali się równi, a w chwilach wspólnie wywalczonych zwycięstw – braćmi, dziećmi jednej Ojczyzny. Potem wracała twarda rzeczywistość. Nie musiało się to od razu przejawiać w karach cielesnych, w chłości... wystarczyło przetrzymać jednego z tych maluczkich u wejścia do namiotu jaśnie pana porucznika, zwykłego nędznego poruczniczyny, który najwyraźniej nawet prochu dotąd nie powąchał. Timofiej jednak nawykł do tego i nic nie było w stanie go zaskoczyć. Tak mu się przynajmniej zdawało.

Tima usłyszał skrzypnięcie zydelka, na którym zasiadał porucznik. Oficer wyszedł przed namiot i zawołał do wartownika:

– *Dwadcat' szagow priamo... marsz!*<sup>217</sup>

Następnie, kiedy *czasowej* oddalił się na żadaną odległość, Otrawin z miejsca obezwładnił Timofieja zupełnie nieoczekiwanym pytaniem:

– Dmitrijew, gadaj mi tu zaraz, gdzie obecnie przebywa niejaka Marfa Rodionowna Daniłowa! Tylko nie łżyj, że takiej nie znasz, i że niczego o niej nie słyszałeś od trzech lat, kiedy to posłano cię w żołdaty do twierdzy koporskiej!

Zaskoczony Tima nie był w stanie wydusić słowa. Jak? Skąd? Co ta menda ma do jego Marfy? Kim naprawdę jest *gospodin lejtenant* Otrawin?

– Oddaliłem *czasowego*, żeby nikt nam nie przeszkadzał w naszej towarzyskiej rozmowie. Może nawet rodzinnej... – tu opasły porucznik uśmiechnął się obleśnie, po czym kontynuował: – Ach, dziwisz się pewnie, dlaczego nazywam to rodzinną rozmową? No to ci powiem. Twój stary dobry przyjaciel Grigorij Wasiljewicz Grekow, syn twojego przyrodzonego pana, dziedzica Wozniesienskoje, to mój kuzyn. Opowiedział mi wszystko o tobie i tej twojej suczce, która śmiała mu się opierać. Czuł się bardzo upokorzony i urażony tą sytuacją. Ciebie posłano w żołdaty, żebyś nędznie szczeł od choroby albo od kuli, a tę małą dziwkę miano sprzedać. Nawet wyszedł anons w pskowskiej gazecie. A wiesz ty, śmieciu, kto miał ją „zakupić”? Twój obecny zwierzchnik, *gospodin lejtenant* Nikołaj Antonowicz Otrawin. Ten sam, który tu stoi przed tobą we własnej osobie. Nie dla siebie, naturalnie! Dla mojego ukochanego kuzyna Griszy, żeby mógł się nią zająć z dala od Wozniesienskoje. Bo to jego własność. Własność, rozumiesz bydlaku?! – nagle podniósł głos, by zaraz potem przejść do szeptu: – Tak się jednak złożyło, że sprytna mała suczka uciekła, zniknęła. Ktoś ją ostrzegł, ktoś pomógł jej w ucieczce. Jeszcze nie wiemy

kto i w jaki sposób. Za to domyślam się, d o k ą d chciała uciekać. Do kogóżby, jak nie do swojego *golubczika*<sup>218</sup>, do swojego Timoczki Dmitrijewa? A gdzie jest Timoczka? Ano na wojence w Prusiech! Jeśli nadal żyje, to może i coś wie o tej pipci! A w jakim pułku służy? W koporskim muszkieterskim. No i spójrz tylko, co za fart: tam właśnie dostałem przydział! Bynajmniej nie przypadkiem!

Otrawin uważnie przypatrywał się Timofiejowi, pragnąc zobaczyć jak ten zareaguje na jego zaskakujące rewelacje. Sycił się swoją przewagą, milcząco drwił z podwładnego. O ile jednak Tima w środku drżał cały z wściekłości i nienawiści, to na zewnątrz starał się tego nie okazywać. „Nie dam satysfakcji tej *swoloczy!* Nie zobaczy na mojej twarzy zmieszania ani lęku!”. Z niewyobrażalnym trudem wytrzymał świdrujący wzrok Otrawina i czekał na konkretne pytanie. Jakoż po chwili porucznik zapytał:

– Czy wiadomo wam, Dmitrijew, gdzie przebywa poddanka Grigorija Wasiljewicza Grekowa, Marfa Rodionowna Daniłowa? Pytam urzędowo, będąc w prawie. Ta kobieta jest jego prawowitą własnością i musi do niego wrócić!

Timofiej odczekał kilkanaście sekund, po czym wciągnął powietrze i siłąc się na spokój odpowiedział:

– *Wasze błagorodje*, oświadczam pod przysięgą, że nie jest mi wiadome obecne miejsce pobytu wymienionej przez pana osoby. Jest tak, jak *wasze błagorodje* przedtem powiedział: nie widziałem jej od trzech lat i nie mam od niej żadnych wieści. Świadomy ograniczeń, jakie niesie długoletnia służba wojskowa, pogodziłem się z myślą, że nasze stosunki zostały zerwane na zawsze. To wszystko, co mam w tej sprawie do powiedzenia. Jestem gotów potwierdzić to na piśmie przed każdym trybunałem!

Otrawin wysłuchał jego oświadczenia, po czym jakby nieco się uspokoił. Uważał chyba, że zaskoczy Timofieja pytaniem o Marfę, a ten zmiesza się, zapłacze i ze strachu wyda miejsce pobytu dziewczyny. Nagły atak nie przyniósł jednak oczekiwanego rezultatu. Wobec tego porucznik postanowił działać mniej otwarcie, udając że przyjmuje do wiadomości oświadczenie Dmitrijewa.

– Cóż, Dmitrijew, niech ci będzie. Może faktycznie nic nie wiesz... Pamiętaj jednak, że ta sprawa nie jest zakończona, i że twój dziedzic i jego syn, moi kuzyni, są nią nadal żywo zainteresowani! A teraz wynoś się do diabła!

Timofiej wyprężył się, stuknął obcasami, wykonał w tył zwrot i oddalił się, opuszczając krąg światła bijącego od namiotu Otrawina. Usłyszał jeszcze, jak oficer ponownie przywołuje *czasowego* Jabłoczka.

„Muszę uważać na tego typu” – pomyślał Tima – „Nie wiadomo, co knuje. Trzeba być gotowym na wszystko”. Postanowił naradzić się z kimś zaufanym i rozsądnym. Jedynymi osobami, jakie przyszły mu do głowy, byli Fiedot, Borys, Elsa i... poeta Batuszkow. Obu kompanom i dziewczynie wierzył bez zastrzeżeń. Poety nie znał wystarczająco dobrze, ale wyczuwał w nim dobrego, życzliwego człowieka. Uznał, że spróbuje się do niego ostrożnie zwrócić przez Elbę, dopiero po dokonaniu wstępnych ustaleń. Pozostawi go niejako w odwodzie.

Po wieczornej rozmowie z Otrawinem Tima nie spodziewał się, że już następnego dnia on, Fiedot i Borys otrzymają bez przeszkód przepustki na odwiedzin w Heilsbergu. O dziwo, otrzymali i już w godzinę później podążali do miasta wozem wiozącym puste

beczki, które w Heilsbergu miały zostać wypełnione jakimś produktem, według *furlejta* przynajmniej część z nich „*sauerkrautem*”<sup>219</sup> miejscowego wyrobu. Do trójki przyjaciół dosiadł się jeden z riadowych, mały i chuderlawy Saszka Zmiejew. Znali go słabo, służył w innym wzwodzie, nigdy jednak nie usłyszeli o nim niczego złego. Dobrego zresztą także nie. Żył swoim życiem, nie garnął się do towarzystwa, lecz koledzy traktowali go jak swego i już na samym początku zdecydowanie ukrócili jakiekolwiek próby uczynienia z niego ofiermy batalionowej, do czego aż paliło się kilku dobrze umięśnionych, ale posiadających niezbyt duże mózgi durniów, dla których jedyną rozrywkę stanowiły alkohol, dziwki i znęcanie się nad słabszymi, młodymi żołdatami. Zmiejew nie miał zatem powodów do niezadowolenia. Mimo to trzymał się z boku. Idealny nikt. Bardzo szybko przestano zwracać na niego uwagę, on sam także starał się nie rzucać w oczy. Był wręcz niewidoczny. Oczywiście poza służbą. Także teraz, jadąc wozem z Timofiejem i jego przyjaciółmi, milczał. Zagadnięty odpowiadał monosylabami i bladym, prawie niewidocznym uśmiechem. Dlatego po paru minutach przestali go nagabywać i toczyli rozmowę tak, jakby go z nimi nie było. On jednak był. Co więcej, pilnie nadstawiał uszu i rozumiał więcej, niż byliby w stanie przypuszczać. Krótko mówiąc, Saszka Zmiejew był szpiclem porucznika, z którym znali się od dobrych kilku lat. Zmiejew pochodził bowiem z wioski będącej *pomiestjem* Otrawina. Uważny Czytelnik już po samym nazwisku Saszki powinien się zorientować, w jaką nową aferę pakuje Go podstępny autor<sup>220</sup>.

Zmiejew pożegnał się u wjazdu do miasta, gdzie wysiadali Tima, Borys i Fiedot; Saszka twierdził, że udaje się do centrum, za Hohe Tor. Zaledwie jednak ruszyli w stronę „Zu Drei Schwestern”, niepozorny riadowy również zeskoczył z wozu i, kryjąc się za opłotkami i drzewami, podążył za nimi. Oni zaś nie oglądali się za siebie, zmierzając prosto do karczmy. Tam było jak zwykle gwarno i wesoło, tyle że – od czasu „pojedyńku” hrabiego Podgoričana z von Stollem – w głównej izbie stałe zasiadało dwóch lub trzech żandarmów. Dla porządku.

Fiedot i Borys usiedli przy jednym ze stołów pod ścianą, blisko szynkwasu, i pomachali do swoich kochanek sprzed kilkunastu dni – Berty i Kunegundy, które odpowiedziały uśmiechami i pokazały na migi, że za chwilę któraś podejdzie do obu żołdatów. Tymczasem Timofiej wszedł po dobrze sobie znanych schodach na górę, chcąc rozmówić się z Elszą. Zapukał do drzwi na końcu korytarzyka i po usłyszeniu „*Kommen Sie, bitte, 'rein!*”<sup>221</sup> wkroczył do izby Elsy. Panna Hasselberg siedziała nad rachunkami, nie podnosząc głowy. Dopiero kiedy Tima chrząknął znacząco, spojrzała na gościa i natychmiast wstała, czerwieniąc się na twarzy. Rosjanin po raz kolejny mógł stwierdzić, jak idealną figurę ma ta dziewczyna. Ona zaś lekko rozchyliła usta, jakby chcąc coś powiedzieć, potem jednak zacisnęła je i czekała, aż przemówi pierwszy.

– Elso, wybacz że cię nachodzę bez uprzedzenia; z pewnością jesteś bardzo zajęta... – wskazał na leżące na stole papiery – ale mam sprawę, z którą nie bardzo wiem, co począć. Pierwszą osobą, która przyszła mi na myśl, byłaś ty. Jednak nie chcę zakłócać ci prowadzenia i tak przecież niełatwych interesów...

Karczmarka podeszła do niego i delikatnie pogłaskała go dłonią po policzku, zachowując wszakże poważny wyraz twarzy:

– Thymotäus, nie mów głupstw. Wiesz dobrze, że dla ciebie zrobię co tylko

zechcesz. Nawet wbrew swoim interesom. Nawet mając świadomość, że nigdy nie będziesz mój. Powiedziałam ci, dlaczego tak jest, wtedy w Launau. Mów zatem, co takiego się stało, a ja zobaczę, czy i jak mogę ci pomóc.

Tima pocałował jej dłoń, zanim zabrała ją z jego policzka, i opowiedział o tym, co zdarzyło się poprzedniego dnia. Dziewczyna zafrasowała się nieco, zmarszczyła czoło i zmrużyła powieki, dotykając prawą dłonią czoła. Po chwili zaczęła mówić powoli i z rozmysłem:

– Tim, od kilku tygodni rozbił swój namiot przy „Zu Drei Schwestern”, oczywiście za opłatą, przybyły z Litwy markietant. Niedawno powrócił z Bartenstein, gdzie handlował podczas pobytu monarchów. Ma dobry towar, toteż część należnej opłaty pobrałyśmy od niego w wódce i innych produktach. Rozlicza się uczciwie i dobrze mu z oczu patrzy. To Żyd, taki wysoki, starszy mężczyzna z długą siwą brodą. Nazywa się Ajzyk, Ajzyk Rudziszker...

W głowie Timofieja ozwał się jakby daleki dzwon, zapaliło się światelko w ciemności – „Ajzyk? Rudziszker? Tak ma na imię Żyd, u którego Wowka ukrył Marfę! Żyd z litewskich Rudziszek a więc... Rudziszker! To nie może być przypadek, to musi być ten sam człowiek!”. Tima, starając się hamować nagle rozbudzone nadzieje, zapytał ze ściśniętym gardłem:

– Gdzie jest teraz ten człowiek? Czy znajdę go na terenie waszej posesji?

– Sądzę, że tak; przed godziną jeszcze tu byli, zadawali obroku koniom a potem ta kobieta zapytała, czy znajdą tu warunki, by ugotować koszerne posiłki. Po prawdzie to na Żydówkę wcale nie wyglądała...

– Kobieta?! – teraz Timofiej wykrzyczał to słowo z całej siły, nie panując już nad sobą i nie zauważając, jakie zdumienie maluje się w oczach zaskoczonej Elsy – Jak ona wygląda?! Gdzie ona jest?!

Elsa zamrugała powiekami i wskazała ręką za okno, na dziedziniec, gdzie właśnie z wnętrza stajni wyszli ludzie, o których przed chwilą mówiła. Tima dopadł okna i przytknął twarz do szyby. W tym samym momencie podmuch wiatru zerwał z głowy stojącej obok wysokiego Żyda kobiety grubą czarną chustę, odsłaniając jasne włosy, zaplecione w warkocz, i wielkie błękitne oczy. Timofiej jęknął głucho i, nie oglądając się za siebie, wypadł z pokoju. Słyszał było, jak gwałtownie zbiega ze schodów. Elsa podeszła bliżej do okna i ujrzała, jak Tima, jej Thymotäus, staje zdyszany naprzeciwko dziewczyny, która w tej samej chwili zamarła w bezruchu. Doświadczonej kobiecie nie trzeba było tłumaczyć, co dzieje się pod jej oknami. Tim odnalazł TĘ, której moc odrzuciła ją, Elsę, od jego mocno bijącego serca, do którego Elsa miała już tak blisko... Marfę Rodionowną.

Kiedy Timofiej wybiegł na dziedziniec, towarzysząca markietantowi dziewczyna powoli obróciła głowę w stronę nagle pojawiającego się mężczyzny. Jej oczy zrobiły się jeszcze większe i jeszcze bardziej niebieskie, na twarzy wykwitł lekki rumieniec, usta rozciągnęły się w uśmiechu. Przyłożyła do warg zaciśniętą w pięść dłoń i bezgłośnie zaszlochała, nie roniąc ani jednej łzy. Opuściła ramiona wzdłuż ciała, jakby wyczerpana długim, trwającym przez kilka wiorst biegiem. Potem lekko uniosła i rozwarła ręce, trzymając łokcie przy bokach. Jej brwi zadrżały, kiedy otworzyła usta i wyszeptwała:



– *Tima. Moj Timoczka... Ja użę nie znaju, umierła–li ja i woszła w Carstwo Niebiesnoje, ili my s tobój nakaniec naszlis’? Skażi mnie eto, Timka, niemiedliennie skażi!*<sup>222</sup>

Timofiej był w stanie odpowiedzieć jedynie:

– *Marf! Marfieńka! My naszlis’, nakaniec naszlis’. I tiepier nikogda nie razdzielimsia, nikogda, ni na odnu minutoczku! Ja klianus’!*<sup>223</sup>

Ajzyk, podobnie jak Elsa, w mgnieniu oka zorientował się, co zaszło i jako człowiek rozsądny delikatnie popchnął oboje nieprzytomnych ze wzruszenia młodych do stajni, każąc im tam zaczekać na jego powrót, a potem zamykając za nimi wierzeje. Jednym szybkim gestem przywołał stojącego u wejścia do namiotu swego piętnastoletniego pomocnika, Dawida Abrahamowicza.

– Pilnuj, żeby ich nikt razem nie zobaczył, dawaj też oko na wszystkich, którzy nazbyt wsadzaliby nos w nie swoje sprawy. Jakby coś, zawiadom mnie natychmiast, będę u gospodyni na górze.

Dawid bez słowa skinął głową i zajął dogodne stanowisko obserwacyjne za wyprężonym ładownym wozem. Stamtąd widział dobrze cały dziedziniec, sam pozostając niewidoczny. Jego czarne jak węgiel, przymrużone oczy bystro omiatały teren, od lewa do prawa. Nic nie mogło się tu wydarzyć bez jego wiedzy.

Znalazłszy się za drzwiami stajni, Tima i Marfa ujęli się za ręce, patrząc sobie głęboko w oczy. W tej chwili istnieli tylko oni, reszta świata była im obojętna. Ajzyk z góry to przewidział i dlatego zapewnił im ochronę w osobie bystrookiego Dawida. Zupełnie oczadziali i pijani szczęściem, z którego wciąż nie do końca zdawali sobie sprawę, Timofiej i Marfa mogliby zostać wybrani z tej stajni przez jakichś wrogów niczym bezbronne pisklęta z nie chronionego gniazda. Dawid jednak czuwał z ukrycia, byli zatem względnie bezpieczni. Marfa podeszła do Timy i przytuliła się do niego, skłaniając głowę na jego piersi. On mocno ją objął i tak trwali. W tej chwili nie potrzebowali niczego więcej. Mieli siebie.

Elsa i Ajzyk byli od lat ludźmi interesu. Żyd początkowo planował w oględny sposób wybadać karczmarkę na okoliczność ewentualnej pomocy w przemyceniu Timofieja i Marfy do któregoś z portów pruskich. Już jednak po krótkiej rozmowie zorientował się, że Elsa Hasselberg wie znacznie więcej o Timofieju i jego sprawach. I że jest Rosjaninowi przyjazna. Na oko Ajzyka nawet znacznie bardziej, niż przyjazna. Dlatego odkrył karty, a ona odpowiedziała tym samym. Teraz pozostawało tylko ustalić szczegóły. Rada w radę postanowili, że Timofiej nie powinien już powracać do obozu, gdzie zresztą nic go nie trzymało poza służbą, która mu nagle obrzydła po przybyciu Otrawina. Ten z pewnością nie da mu już spokoju. Ponadto, skoro odnalazł Marfę a każde z nich ma zamkniętą drogę powrotu, i tak jedynym rozwiązaniem jawi się ucieczka. Muszą spalić mosty łączące ich z krajem i przeszłością. Nie można inaczej. Los nie pozostawił im wyboru. Rudziszker i panna Hasselberg powinni tylko zaoferować od siebie coś konkretnego, by ucieczka się udała.

– *Meine Dame*, Marfa ma własny paszport podróżny na nazwisko Chawy Milch. Timofiejowi dam paszport Dawida, trzeba tylko przerobić wiek z piętnastu na dwadzieścia pięć lat, na szczęście zapisano wiek cyframi, więc to żadne wielkie mecyje.

W razie czego zeznam, że chłopakowi paszport ukradziono. Oficjalnie Chawa Milch i Dawid Abrahamowicz pojedą do Königsbergu albo do Fischhausen po odbiór towaru dla Ajzyka Rudziszker. Nie po odbiór jakiegoś konkretnego towaru, tylko żeby nabyć coś okazji w porcie. Jest wszakże jeden problem: posiadam jedynie ten duży wóz, którym przewożę towary. Nie mogę im go dać...

Elsa głośno uderzyła otwartą dłonią w blat:

– To biorę na siebie. Użyczę im naszego niedużego powozu, a pojedzie z nimi, w majestacie prawa, mój zaufany parobek Hans. On także powróci stamtąd, jeśli trzeba to nawet z jakimś towarem. Gdyby wszystko poszło dobrze, po powrocie Hansa i mojego wozu jedyną osobą zaginioną będzie „Chawa Milch”. której zaginięcie zresztą oficjalnie zgłosicie policji. Paszport Dawida Hans przywiezie z powrotem. Niestety, w porcie Thymotäus i Marfa będą musieli sobie poradzić sami. Tim zna niemiecki wystarczająco dobrze, by się rozmówić.

– Zaiste wielką znalazł w pani przyjaciółkę – zmrużył oczy Ajzyk – Nie każdy ryzykowałby tak wiele dla obcego człowieka, w dodatku cudzoziemca.

– Thymotäus nie jest dla mnie... – Elsa urwała w pół zdania i zaczerwieniła się po czubki włosów. Markietant był nazbyt doświadczonym człowiekiem, żeby nie domyślić się, „*wo liegt ein Hund begraben*”<sup>224</sup>. Uśmiechnął się, pokiwał głową i powiedział:

– Drogie dziecko... Wybacz pani, że się tak do pani zwraca stary człowiek... Miłość to wielka siła, ogromna potęga i moc. I ta szczęśliwa, i ta która rani serce, ale tak słodka to rana, że niejeden tęskni za tym cierpieniem. Wiem, że nie brzmi to „po żydowsku”, wiem że dla całego świata Żyd z dawna od uczuć odsądzony... Ech, gdybyż ci, co tak mówią, widzieli przed laty mnie i moją małżonkę nieboszczkę! Niech się pani nie wstydy uczuć, nie zapiera miłości. Pani go kocha, Elso...

– Kogo niby kocham, *Herr* Rudziszker? Pan chyba nie mówi poważnie – zachnęła się Elsa, zbyt gwałtownie, by uznać tę reakcję za szczerą.

– Oboje wiemy, kogo. Ja zaś pokochałem Marfę. Jak ojciec. Oboje więc pomagamy ludziom, których kochamy. Narazając siebie. Bo tak trzeba. Ale wracając do tego, co najpilniejsze: zaraz zejść na dół i wszystko objaśnię młodemu. Pani zacznie szykować powóz i konia oraz prowiant na drogę. Tak, by najpóźniej jutro rano mogli wyruszyć w podróż.

– Oczywiście, oczywiście... Jeszcze jedna rzecz. Skoro Tima nie wróci dziś na noc do obozu, może być awantura. Co zrobić? Czy mają uciekać już dziś wieczorem, czy jak?  
– zaniepokoiła się Elsa.

– Porozmawiam z Timofiejem Nikityczem, niech sam coś zaproponuje.

Tima był gotów do odjazdu jeszcze przed nocą. Napisał list do Batuszkowa, w kilku słowach wyjaśniający, że musiał w tajemnicy udać się do wsi Benern – miejscowości, przez którą przechodził zimą – żeby spróbować wydobyć ukryte precjoza, zakopane w pobliskim lesie. Za dochowanie sekretu obiecywał poecie część skarbu. Wyprawa ma zająć mu jakieś dwa – trzy dni. List mieli podrzucić, jeszcze tej samej nocy, Fiedot i Borys, po powrocie do obozu pod Launau. Stanowił on dodatkowe zabezpieczenie ucieczki, podając odmienny kierunek, na zachód. Batuszkow albo nieświadomie zmyli tropy pogoni donosząc o ekspedycji Timofieja do Benern, albo

będzie milczał, chroniąc miłego sobie unteroficera. Tak czy tak, przyczyni się do opóźnienia ewentualnego pościgu, a przynajmniej go nie ułatwi.

Teraz czekał Timofieja najtrudniejszy moment: pożegnanie z Elsą. Ajzyk, Marfa, Hans, Dawid, Fiedot i Borys pozostali na zewnątrz, czyniąc ostatnie przygotowania. Tima wspinał się po schodach na piętro bardzo powoli, jakby nogi ważyły po dwa pudy. Szukał odpowiednich słów, ale wszystkie wydawały mu się być jakie, niewiele znaczące. Tak jak niewiele znaczyły słowa podczas tamtej nocy w Launau. Otworzył drzwi bez pukania, konstatując mimochodem, że zawiasy zostały nasmarowane i już nie skrzypią. Elsa stała odwrócona twarzą do okna, za którym powoli zapadał zmrok. Na stole paliła się mała świeca.

– Tim? – zapytała cichutko, nie czekając odpowiedzi, bo wiedziała, że nie mógł to być nikt inny. Bardziej czuła, niż słyszała, jak powoli podchodzi do niej, najwyraźniej nie wiedząc co ma powiedzieć kobiecie, której nigdy już nie zobaczy. Kobiecie, która jeszcze niedawno marzyła o tym, by wejść do jego duszy, ująć w dłonie i ucałować jego serce. Timofiej stanął tuż za nią, otaczając ją ramieniem i delikatnie wtulając pochyloną twarz w jej pachnące rude włosy, spięte na karku w obszerny, luźny węzeł. Nie mogła i nie chciała się poruszyć, jej ramiona i barki znajdowały się w objęciach mężczyzny, on zaś wyczuwał swym przedramieniem piękne, sprężyste piersi, tak dobrze mu znajome. Czuł, jak wolno unoszą się w oddechu, jak bije jej serce. Wiedział, że nie wypowie ani słowa; gdyby to uczynił, przysłaby magia tej chwili. Dlatego po prostu stał za nią, z twarzą w jej włosach i z ręką na jej piersiach. Jego dłoń ich nie dotykała, bo to co się działo nie było wstępem do miłosnych uścisków, tylko czułym pożegnaniem dwóch bliskich sobie ciał i – mimo wszystko – dusz. Elsa uznała, że powinna odpowiedzieć jakimś gestem. Lekko poruszyła głową, wyczuwając tym dotykiem rysy jego twarzy; potem uniosła lewą dłoń, delikatnie dotykając jej miękkim wnętrzem otaczającego jej piersi przedramienia mężczyzny. Poglaskała jego rękę, powoli odsunęła ją od siebie i pocałowała. I powiedziała:

– *Es ist vorbei, Tim. Ich werde nie vergessen...*<sup>225</sup>.

Timofiej nie był w stanie się od niej oderwać. Chwycił ją mocno obu dłońmi za ramiona, drżąc całym ciałem wtulił twarz we włosy za jej uchem. Ona jednak pozostała sztywna i nieruchoma. Wyszeptała:

– *Tim, es tut weh. Lass mich, bitte...*<sup>226</sup>.

Odwrócił się nagle i wybiegł. Wiedział, że nigdy tu nie powróci. Elsa płakała. Jej pięknym ciałem wstrząsał szloch, przechodzący chwilami w głuche, rozpaczliwe wycie. Cierpiała a płacz nie przynosił ukojenia.

Kiedy wszyscy mężczyźni zajęli się przygotowaniem do wyjazdu, Marfa pozostała w stajni sama. Przysiadła na skraju napelnionego sianem żłobu. Wnętrze stajni było mroczne, niewiele widziała, słysząc było tylko potupywanie kilku koni, metaliczny chrzęst łańcuchów w chwilach, kiedy zwierzęta wstrząsały łbami, pojedyncze parsknięcia, odgłosy skubania i przeżuwania ziarna lub siana. Nagle Marfa poczuła, że oprócz niej jest tu jeszcze ktoś. Rozejrzała się, ale nikogo nie dostrzegła. Wtedy usłyszała cichy szept dochodzący z jednej ze stall. Męski, czy raczej prawie chłopięcy, głos brzmiał niczym syk węża:

– Wiem, kim jesteś. Marfa Rodionowna Daniłowa, zbiegła z Wozniesienskoje i ścigana prawem. Znalazłem cię. I twojego narzeczonego, z którym zamierzasz uciec. On dostanie za dezercję tyle kijów, że zdechnie jak *sobaka*, a ciebie i tak oddadzą *gospodinu Grekowu*, twojemu panu. Na uciechę. I z zemsty, żeś go odrzuciła... Widzisz, ile o tobie wiem?

Przerażona Marfa chciała zawołać Timofieja, ale człowiek ukrywający się w stajni musiał to widzieć, bo od razu zareagował:

– Niech ci nawet nie przyjdzie do głowy wołać o pomoc. Po pierwsze, oni są daleko i bardzo zajęci. Po drugie, zawsze zdążę pierwszy wezwać żandarmów siedzących w karczmie. Bądź zatem cicho.

– Czego chcesz ode mnie? – zawołała z rozpaczą, łamiącym się głosem.

Usłyszała stłumiony śmiech, po czym tajemniczy głos mówił dalej:

– Pomyśl. Czegóż to można chcieć od takiej cudownej krasawicy, której jeszcze nikt nie tknął? Domyślasz się już? To dobrze. Bo ja nie muszę wzywać żandarmów, nie muszę też wspominać panu porucznikowi Otrawinowi, kogo to znalazłem w tej karczmie. To krewny twojego dziedzica. Długo cię szukali, a to ja cię odnalazłem. Ale jeśli będziesz dla mnie miła, pozwolę ci odjechać. Może tylko nie będziesz już taka sama, jak przedtem. A może i z moim bękartem pod twoim czułym serduszkiem? – syczący głos znów przeszedł w obleśny śmiech.

– Co ci zrobiłam?! Dlaczego chcesz mnie skrzywdzić?!

– Nie krzycz tak, złotko, nie krzycz, bo zepsujesz zabawę. Teraz rób, co ci każę. Wstań i nie oglądając się za siebie idź ku tylnej ścianie stajni. Tam jest mała furta, wyjdziemy nią i udamy się do innych pomieszczeń, pełnych pachnącego sianka. Tam zrobisz, o co cię poproszę. Potem m o ż e cię puszcze wolno...

Marfa nie wiedziała, co ma robić. Tajemniczy mężczyzna zupełnie ją zaskoczył, a przyjaciele byli daleko. Bała się coraz bardziej. Tamten zaczął tracić cierpliwość; jego głos przybrał już całkiem gadzi ton:

– No na co czekasz, głupia dziewczko? Rób, co każę! Bo zamiast cię wydać, zaraz poderżnę ci gardło! I nikt mnie nie będzie podejrzewał. Mnie? Tego cichutkiego, skromnego, wątłego chłopca, poczciwego Saszkę?

Marfie nic nie mówiło imię wypowiedziane przez ukrytego prześladowcę. Ogarniał ją jednak paniczny strach. Każdy szelest brała teraz za odgłos zbliżania się już nie tylko potencjalnego gwałciciela, ale może nawet mordercy. Wtedy go ujrzała – ciemną, nieco rachityczną sylwetkę, słabo rysującą się na tle niewielkiego okienka stajni. Powoli zbliżał się do niej, a ona bała się poruszyć.

– Rusz się, sssuko! – zasyczał cień i w tej samej chwili za jego plecami pojawiły się dwa inne. Usłyszała odgłosy krótkiej szamotaniny a potem krótkie, głuche stęknienie zakończone bulgotliwym charczeniem. Cień prześladowcy zniknął, pozostały tamte dwa. Widziała, jak się pochylają i znikają, niosąc duży, podłużny kształt. Nawet nie próbowała się domyślać, co to było. Po chwili w drzwiach stajni stanęli Fiedot i Borys, przyjaciele Timofieja. Borys trzymał zapaloną latarnię. Fiedot skinął ręką na dziewczynę:

– Marfo Rodionowna, czas w drogę. Powóz czeka. Tima i Hans także.

– Co z tamtym? Kto to był? – pytała oszołomiona Marfa.

– Lepiej nie pytać i nie wiedzieć. Ale skoro już pytacie, śliczna panienko, to usłyszeliście głos Węża, głos Szatana. Tego samego, który skusił pramatkę Ewę w Raju. Ale wy nie daliście się skusić. Pamiętacie, co powiada Pismo: potomstwo niewiasty zdepcze łeb Węża. I tak właśnie się stało... Nie myślcie więcej o tym, zajmiemy się wszystkim. Żegnajcie, śliczna panienko.

28 maja Francuzi i ich sojusznicy wkroczyli do twierdzy Danzig. Honorowa kapitulacja generała Kalkreutha nie zmieniała faktu, że potężne fortyfikacje i port pozwalający na utrzymywanie łączności ze Szwedami i Brytyjczykami, znalazły się w rękach przeciwnika. Napoleon zamierzał teraz pchnąć uwolnione spod miasta siły na wsparcie planowanej ofensywy. Ofensywy, która miała ostatecznie dobić armie IV koalicji. Generał *en chef* Bennigsen postanowił uderzyć pierwszy, żeby zniszczyć część sił wroga, a potem wycofać się na warowną pozycję pod Heilsbergiem. Co dalej – nie wiedział. Jak zwykle zresztą. Może wreszcie zrobią coś konkretnego Anglicy? Może bardziej zaangażują się Szwedzi? Może w ogóle cała Europa zbuntuje się i stanie u boku wojsk koalicji? Tak daleko nie sięgały plany Bennigsen. Rozumował w perspektywie kilku, najwyżej kilkunastu dni. Pierwsze strzały ze strony Prusaków i Rosjan padły 4 czerwca. 5 czerwca rozpętało się piekło. Nikt nie przypuszczał, że rozstrzygnięcie nastąpi w ciągu dziewięciu dni, a do ostatecznego końca wojny pozostało ich trzydzieści cztery. Burza miała na jakiś czas ucichnąć w niedużym mieście nad Niemnem, którego szare fale, jak od tysięcy lat, podążały ku morzu, nie zwracając uwagi na drobne ludzkie porachunki<sup>227</sup>.

*Lidzbark Warmiński (d. Heilsberg), 3 marca 2017*

**Koniec części drugiej**

## EPILOGI

Plan był dobry, nawet znakomity. Tyle, że na papierze, w zaciszu gabinetu generała Bennigsen. Tam wszystko wyglądało precyzyjnie i układało się w jedną, oplatającą wroga wielką sieć. Pułapkę, z której przeciwnik nie miał prawa się wymknąć. A ci, którzy próbowaliby mu pomóc, mieli boleśnie oberwać po łapach. W sieć miano pochwycić VI korpus marszałka Ney. Po łapach mieli oberwać jego sąsiedzi: I korpus Bernadotte'a, IV korpus Soult'a i III korpus Davout'a. I tak właśnie by się stało, gdyby na wojnie toczony w 1807 roku funkcjonował tak zwany „czas rzeczywisty”, gdyby każdy z rozkazów nie był mocno spóźniony w stosunku do sytuacji, gdyby każdy trybik w maszynie jaką stanowiła armia zadziałał precyzyjnie i bez zarzutu... Jednak armia ta była bardzo skomplikowanym, nie do końca przewidywalnym organizmem, zbiorowiskiem jako tako uporządkowanych ludzi i zwierząt o nader różnej kondycji fizycznej i psychicznej, masą sprzętu złożonego z elementów, które się szybko zużywały lub nieodwołalnie psuły. Operowano w terenie mało przewidywalnym, posługiwano się mapami zawierającymi liczne nieścisłości i błędy, poruszano się drogami, których stan potrafił mocno i nieprzyjemnie zaskoczyć. Aura nie sprzyjała aktywności fizycznej i psychicznej: panowały przytłaczające do ziemi upały, powietrze było duszne, rozleniwiało i powodowało szybkie zmęczenie. Dochodziły do tego osobiste urazy, ambicje, czy zwykła nieudolność generałów, z których niejeden swój stopień i karierę zawdzięczał bynajmniej nie dowódczym talentom i umiejętnościom... Dość powiedzieć, że precyzyjny plan powiódł się tylko w niewielkim stopniu, za to cena była wysoka: straty wcale nie mniejsze od zadanych przeciwnikowi, frustracja spowodowana fiaskiem zaplanowanej z rozmachem ofensywy, konsolidacja sił przeciwnika, na których czele stanął teraz osobiście Napoleon. W dodatku generał *en chef* Bennigsen został postrzelony w rękę, gorączkował; nasiliły się objawy podagry i kamicy.

Pierwszy niewypał miał miejsce już 4 czerwca, kiedy nastąpiła źle skoordynowana akcja prusko – rosyjskiego korpusu Rembowa pod Spanden<sup>228</sup>. Przeprowadzony nazajutrz szturm okazał się niepotrzebny, za to bardzo kosztowny. Tego samego dnia, 5 czerwca, po całodziennych walkach zajęto niewielki francuski przyczółek pod Lomitten, jednak za cenę wysokich strat. Dowodzony przez atamana Płatowa korpus złożony z kozaków i lekkiej kawalerii dokonał udanego rajdu na tyły Ney – tyle, że inni nie dotarli tam na czas i trzeba było się wycofać. Najbardziej nieudolny okazał się generał Osten – Sacken, którego nawet oskarżono o świadomy sabotaż. *Summa summarum*, VI korpus wymknął się z sieci, której nie zdążono dobrze zarzucić i zaciągnąć. Poniósł przy tym względnie nieduże straty, za to – bijąc się dzielnie przez dwa dni – wystrzelał cały zapas amunicji. Rzadko kiedy Neyowi udawało się wykazać nie tylko osobistym męstwem, ale i talentem dowódczym – a taka sytuacja nastąpiła właśnie 5 i 6 czerwca 1807 w rejonie Guttstadt. Historycy będą mu pamiętać albo popełnione błędy, albo bynajmniej nie jednoznaczne akty odwagi (Borodino, Waterloo, odwrót z Rosji...), zapominając o naprawdę chwalebny epizodzie z wiosny 1807 roku. Zanim jednak Ney wymknął się z pułapki, przeciwnik atakował w wielu miejscach i wypierał Francuzów z zajmowanych pozycji...

Wieczorem 5 czerwca, o godzinie dziewiętnastej, oddział rosyjskiej kawalerii wkroczył do opuszczonego francuskiego obozu w pobliżu wsi Petersdorf<sup>229</sup>. Na pierwszy rzut oka żołnierze wyglądali na Polaków. Byli bowiem odziani i uzbrojeni na wzór polski. Nic dziwnego – do obozu wkroczył niedawno utworzony pułk ułanów Jego Cesarzewiczowskiej Mości wielkiego księcia Konstantego Pawłowicza, jeden z czterech istniejących wówczas pułków ułańskich w armii rosyjskiej. Pozostałe trzy: konnopolski, litewski i tatarski, składały się z byłych żołnierzy Rzeczypospolitej, drobnej szlachty utrzymującej się z wojaczki, a skoro ojczyzny zabrakło... Ułani cesarzewicza stanowili pierwszy pułk ułański rekrutowany głównie z Rosjan. Byli jedną z ulubionych jednostek Konstantego. Wśród ułanów znajdował się też człowiek, który w owym czasie wciąż poszukiwał własnej tożsamości, nie mogąc się zdecydować, czy jest Tadeuszem Bułharynem, czy też Faddiejem Wieniediktowiczem Bułgarinem. Przyszedł na świat w patriotycznej polskiej rodzinie szlacheckiej o korzeniach białoruskich, od wieków katolickiej, zaangażowanej w sprawy Insurekcji 1794 roku. Jednak już wtedy los pięcioletniego wówczas Tadeuszka zaczął go popychać w inną stronę. Z konieczności oddany do korpusu kadetów w Sankt Petersburgu, wrastał stopniowo w rosyjskie otoczenie, zwłaszcza że koledzy wciąż wypominali mu i wyszydali jego polskość i katolicyzm (któregoś dnia wytarzali go nago w śniegu, krzyżąc: „*Dawaj pochriestim Kostiuszku w rusksuju wieru!*”<sup>230</sup>). W dodatku Tadeusz, wertując archiwalia, natknął się na dokumenty świadczące o niepolskich korzeniach jego rodu, o tym, że pierwotnie był on prawosławny... Pewnego dnia, już jako pełnoletni młodzieniec, podjął decyzję o konwersji na prawosławie. Jego matka, żarliwa katoliczka i Polka, była załamana. Ojciec już nie żył. Tadeusz, teraz już Faddiej, nie zerwał wprawdzie stosunków z rodziną, jednak więzy te znacznie osłabły. Miał przed sobą jeszcze kilka życiowych „zakrętów”, ale akurat wiosną 1807 pod Petersdorfem był młodym rosyjskim ułanem służącym w pułku cesarzewicza Konstantego. Kiedy po wielu latach spisywał swe wspomnienia, przytoczył opis tego, co ujrzał pamiętnego dnia 5 czerwca czyli 24 maja.

– *Wasze blagorodje*, obóz jest opuszczony, można tu bezpiecznie spędzić noc – zameldował dowódcy pułku kapitan Sieriebriakow, dowodzący plutonem zwiadu. Generał major Jegor Iwanowicz Meller – Zakomielski skinął głową i potoczył wzrokiem po porzuconym przez Francuzów obozowisku. Były to dwa długie, równoległe szeregi jasnych domków wybudowanych z desek i pokrytych porządnym gontem. Każdy z nich posiadał drzwi z klamką, oszklone okienka a nawet kominy z metalowych rur. Wszystko dla wygody zamieszkujących je przez wiele zimowych tygodni żołnierzy francuskich. Nie wszyscy bowiem mogli być ulokowani na kwaterach w miastach, zaś z nastaniem wiosny większość i tak wyprowadzono w pole, na biwaki lub do takich jak ten obozów.

– Bułgarin, jak ci się podobają te domki, he? Lepsze od naszych szałasów, ziemianek i klitek pod Paris... – zaśmiał się ułan Miasnikow, kolega Faddieja.

Bułgarin również się roześmiał i dorzucił:

– Powiem więcej: wyglądają znacznie lepiej, niż większość domostw w guberni estlandzkiej i w guberniach litewskich. Tamte przypominają pomieszczenia dla zwierząt, po tych od razu widać, że to ludzkie sadyby.

– A tam z tyłu, pod lasem, są eleganckie latryny. Smród tu nie dochodzi, jest na

czym usiąść, mają tam takie gładko wyheblowane graniaste belki...

Trąbki zagrały zsiadanego, ułanów zaczęto rozsyłać do poszczególnych baraków, konie odprowadzano w wyznaczone miejsca, kucharze przystępowali do rozpalania ognisk. Przy generale Mellerze – Zakomielskim pozostali tylko sztabowcy, doktor Malinowski i stary, sześćdziesięcioletni konował a zarazem *kostopraw*<sup>231</sup> Torthus, Szwed w służbie rosyjskiej. Znał się na swojej robocie i lubił konie, zresztą bardziej niż ludzi. Gburowaty i wiecznie pod gazem, samotnik bez rodziny, był osobliwie przywiązany tylko do jednej osoby – samego szefa pułku, wielkiego księcia Konstantego. Z wzajemnością. Fachowe umiejętności i świadomość, że Torthus jest ulubieńcem cesarzewicza, zmuszały oficerów do przymykania oczu na jego grubiaństwo i alkoholowe wybryki. Dla cesarzewicza Konstantego stary Szwed stanowił kogoś w rodzaju nadwornego błazna; mający skłonności despotyczne Konstanty, jak każdy samowładca, potrzebował krzywego zwierciadła, żeby zachować resztki dystansu do samego siebie. Dlatego nie obruszył się, kiedy Torthus zapytany jak mu się żyje wśród ułanów, odparł obcesowo: „*W twoim pułku niet tołku!*”<sup>232</sup>. Był zapewne niedopity. A zdarzało się to często. Kiedyś wielki książę pochwalił go za przeprowadzenie wspaniałej operacji konia. W odpowiedzi Torthus beknął i, wyraźnie cierpiąc od napływającej do ust żółci, wybelkotał: „*Pomiensze chwali, a poluczsze karmi*”<sup>233</sup>. W rezultacie Konstanty zaprosił go do swojego stołu, gdzie Szwed został tak „nakarmiony”, że zasnął na ziemi pod stołem. A sam cesarzewicz przy stole. Torthus był przy tym fachowcem. Leczył konie skutecznie, ludzi także, choć nieco „końskimi” metodami. Mimo sentymentu do koni, nie podejmował się leczenia kontuzji, ran i chorób, które uznał za nieuleczalne. Swoje prawdziwe uczucia ukrywał wówczas za grubiańskimi odzywkami w stylu: „To już mięso dla psów!”. Ale w sercu żałował zwierząt, które tak kochał.

Nagle na końcu szeregu domków rozległy się okrzyki przerażenia. Ułani zbili się tam w dużą grupę, otaczającą coś, czego nadbiegający oficerowie nie byli w stanie zobaczyć, gdyż ciżba zasłaniała widok. Generał podjechał konno i wrzasnął: „Rozejść się!”, po czym tłum natychmiast się rozstał. Meller – Zakomielski lewą ręką zdjął kapelusz, prawą wydobyl batystową chusteczkę i nerwowo przetarł oblane zimnym potem czoło. Za jego plecami jeden z oficerów głośno wciągnął powietrze i wycharczał przez ściśnięte gardło:

– Zgroza! Zgroza!

Przed dowódcę wysunął się, nie pytając o pozwolenie, doktor Malinowski. To co ujrzeni ułani, teoretycznie było zadaniem dla pułkowego lekarza. Teoretycznie. Oto bowiem z ostatniego domku wyszedł naprzeciw „gościom” jeden z dotychczasowych „gospodarzy” obozu. Albo raczej wypętl. Na czworaka. Usłyszawszy ludzkie głosy, młody francuski żołnierz ruszył na poszukiwanie pomocy. Macał przed sobą grunt drżącymi palcami. Nie mogło być inaczej – był ranny, nie miał oczu. Oczu? Żeby tylko! Jego twarz wyglądała jak piętrowy dom, którego połowa zawałiła się po uderzeniu wielkiej armatniej kuli. Kartacz lub duży odłamek granatu oderwał temu człowiekowi całą twarz: oba policzki, nos, obie szczęki i podbródek, wyrwał język i oczy. Na dnie potwornej krwawej jamy widać było tylko jęczyczek pokryty zapiekłymi skrzepami krwi. Rosyjscy ułani nie wierzyli własnym oczom – tak straszliwie okaleczony człowiek po



prostu nie miał prawa żyć! Jednak żył i szukał pomocy u bliźnich. Nawet jeśli tymi bliźnimi byli wrogowie. Szedł, czy raczej pełzł, do l u d z i. Jego czoło było czerwone jak ugotowany rak, tak samo dłonie. Zorientowawszy się, że otaczają go inni ludzie, podniósł się i stanął na klęczkach.

– Cisza! On coś chce powiedzieć – krzyknął doktor Malinowski i natychmiast się zreflektował: – To znaczy, pokazać...

Wszyscy w skupieniu wpatrywali się w okaleczonego Francuza. Ten zaś gestami zaczął pokazywać, że trawi go silna gorączka. Generał Meller – Zakomielski skinął na jednego z ułanów, niosącego w wiadrze wodę dla konia. Doktor wyjął kawałek lnianego płótna, zmoczył w wodzie i bardzo ostrożnie przyłożył go do zachowanej części głowy rannego. On zaś wypuścił ze świstem powietrze, domyślili się, że na znak ulgi. Nie był w stanie ani niczego powiedzieć, wydać odgłosu bólu, ani zapłakać. Ponownie zatem pokazał, żeby polano mu wodą całe ciało. Uczyniono to tak delikatnie, jak tylko można. Młody Francuz ułożył się na plecach i wskazywał na ziejące otworem własne gardło. Domyślili się, że prosi o nalanie tam wody. Doktor Malinowski ujął go lewą ręką pod głowę, a drugą ostrożnie, cienkim strumieniem, wlał całą szklanę prosto w otwarty przełyk. Ranny poczuł wyraźną ulgę. Doktor wstał.

– Doktorze, co można z nim zrobić? – zapytał generał. Po twarzach obecnych widać było, że każdy z nich chciałby zadać to samo pytanie. Malinowski wskazał w milczeniu na rannego, po czym bezradnie rozłożył ręce.

– Mówią, że jestem dobrym lekarzem, i zapewne tak jest... – stwierdził – Ale opatrywania t a k i c h ran nie uczą w żadnej akademii. To już sprawa między nim a Bogiem. Można mu tylko skrócić cierpienia.

– Pozostaje więc jedynie *coup de grace*?<sup>234</sup> – skonstatował smutnie generał.

Francuz uniósł się na łokciach, usłyszawszy zrozumiałe dla siebie słowa. Energicznie pokiwał głową, dając znać, że pojmuje i że się zgadza. Wiedział, że nic innego zrobić nie można. Generał popatrzył po otaczającym go tłumie:

– Kto to robi? Kto ulży cierpieniom tego młodego człowieka?

Doktor zareagował pierwszy:

– Przykro mi, ale moja rola jest diametralnie odmienna. Ja staram się ratować życie albo przynosić ulgę w bólu... żywym ludziom.

Każdy z obecnych uciekał ze wzrokiem, nikt nie chciał podjąć się tego niewdzięcznego zadania. Tylko stary Torthus stał nieruchomo, z zamkniętymi oczami przykrytymi czerwonymi od przepicia powiekami. Po chwili rozległ się jego chrapliwy głos, przypominający charkot buldoga:

– Skoro nikt z was nie chce tego uczynić, a ktoś jednak musi, zrobię to ja.

Wszyscy odetchnęli z ulgą, że to nie im przypadło to wstrętne zadanie. Jednak Torthus dorzucił:

– Nie myślcie sobie czasem, że stary Torthus to bydlę, które zrobi wszystko, bo zamiast serca ma flaszkę z gorzałą... Owszem, będę potrzebował gorzały, ale po to, żeby zagłuszyć głos sumienia i zrobić to za was. Dawać mi tu zaraz szklanę wódki! No już, co się tak gapiecie?!

Generał skinął na swojego ordynansa, który natychmiast nalał Torthusowi całą

szklankę i podał do ręki. Konował wychylił ją dwoma haustami. Następnie podszedł do Francuza, który tymczasem usiadł na trawie z rękami oplecionymi wokół kolan. Z drugiej strony rannego stanął doktor Malinowski.

– *Viens, camarade...*<sup>235</sup> – wychrypiał Torthus po francusku. Ranny wstał z pomocą konowała i doktora. Pokiwał głową i pokazał, że da radę iść. Torthus gestem odprawił doktora, ujął Francuza pod ramię, poprosił jednego z oficerów o nabity pistolet, po czym ruszył z rannym ku odległej o pół wiorsty kępie zarośli. Wszyscy odprowadzali ich wzrokiem, oni zaś szli jakby w zwolnionym tempie. Wreszcie zniknęli w krzakach. Rozległ się pojedynczy wystrzał. Po kilku minutach powrócił Torthus. Sam. Poprosił o drugą szklankę wódki i powiedział:

– Niech go ktoś pochowa. Ja jestem tylko starym, zmęczonym człowiekiem. Nie dla mnie taka robota...

Stało się inaczej, niż przewidywali generał *en chef* Leontij Leontijewicz Bennigsen i inżynier Roman Jegorowicz Renny. Wprawdzie armia rosyjska wycofała się 9 czerwca spod Guttstadt prawym brzegiem Alle, prosto na główną linię heilsberskich fortyfikacji, jednak Napoleon rankiem 10 czerwca ruszył przeciwko Sprzymierzonym lewym brzegiem, przez Peterswalde, Zechern i Launau. Tam zaś znajdowały się w gotowości tylko stosunkowo niewielkie siły rosyjskie. W dodatku prawie cały korpus pruski generała L'Estocq'a został odseparowany od Rosjan i cofał się na Königsberg; jedynie dwadzieścia siedem szwadronów pruskiej kawalerii i nieco artylerii – oddziały wchodzące w skład odrzuconego pod Wolfsdorfem korpusu rosyjskiego generała Kamińskiego, wraz z całym korpusem podążały forsownym, okrężnym marszem przez Crossen<sup>236</sup> pod Heilsberg. Dotarły tam około godziny jedenastej, kiedy od dwóch godzin w najlepsze trwała wielka batalia. Kamiński miał dużo szczęścia, ponieważ spod Reichenbergu zdołano na czas ściągnąć oddziały Bagrationa, które – zasiliwszy forpocztę Uwarowa i Lwowa – stawiły skuteczny opór pod Bewernick<sup>237</sup>, Langwiese i Lawden. Dzięki temu Kamiński mógł spokojnie ustawić swe oddziały na prawym skrzydle pozycji. Jeszcze więcej szczęścia miał Bennigsen, ponieważ rozmach zaskakującego francuskiego natarcia został wyhamowany przez wąską drogę, jaka prowadziła do Heilsbergu lewym brzegiem. Jej „odkorkowanie” miało potrwać długie godziny i przynieść obu stronom poważne straty. Jednak poświęcenie oddziałów Bagrationa pozwoliło Bennigsenowi przerzucić prawie wszystkie siły na lewy brzeg. Zyskał tam znaczną przewagę liczebną i ogniową, co po części zniwelowało względną słabość fortyfikacji lewobrzeżnych. Co do obecności samego Napoleona, informacje były sprzeczne: jedni twierdzili, że – skoro wyruszył z Guttstadt około szóstej rano, pod Heilsberg dotarł najpóźniej około dziesiątej; inni upierali się, że go nadal nie ma, bo ataki Francuzów wyglądały na przypadkowe i chaotyczne, były za to bardzo kosztowne. Prawda zaś była taka, że dowódcy dwóch czołowych korpusów: dowodzący Kawalerią Rezerwową Murat i komendant IV korpusu Soult zapomnieli o dyrektywach cesarza, nakazujących im wyjście z *defilé* pod Launau i związanie sił przeciwnika, by nie zdołał umknąć przed przybyciem Napoleona. Nie mieli się wdawać w generalną bitwę. Oni jednak zaatakowali wroga czołowo, po kilku godzinach odrzucili na główną pozycję i poszli za ciosem, szturmując nasycone artylerią i piechotą szańce ubezpieczone przez liczną kawalerię Sprzymierzonych. Widząc pierwsze sukcesy,

Napoleon dał się ponieść fali triumfalizmu i milcząco zaaprobował ten krok. W ten sposób niemal do północy bezsensownie przelewano krew tysięcy ludzi.

Tymczasem do ataku na szańce było jeszcze daleko. Minęła dopiero godzina piętnasta. Francuzom udało się wreszcie przebić przez rubież potoku w Bewernick, płynącego głęboką doliną, i odrzucić piechotę Bagrationa w stronę Langwiese i kolejnej rzeczki, Spuy – Bach<sup>238</sup>. Jednocześnie na prawym skrzydle wojsk Bagrationa cały czas toczono ze zmiennym szczęściem walki kawaleryjskie. Widziano, jak podpułkownik Jermołow, zmuszony przez nagły atak Francuzów do porzucenia dwóch dział na wzgórzu zwanym Ziegen – Berg<sup>239</sup>, cwałuje na swoim bystronogim koniu, uchodząc przed pościgiem kilku francuskich kirasjerów. Chwilę potem oni uciekali przed kontratakami grupy rosyjskich huzarów. Jednak cała linia rosyjska powoli, lecz stale musiała się wycofywać. Schodziła na niżej położony teren, pokrywany krzyżowym ogniem francuskich dział wielkiej baterii generała Dulauloy, ustawionej na Gräber – Bergu<sup>240</sup>, i armat polowych. Za Rosjanami w równych szeregach schodziła powoli w dół triumfująca piechota francuskiej dywizji Saint – Hilaire’a. Ponad niemal nieustanny huk dział i karabinów przebijało się rytmicznie wykrzykiwane, zgrane z przyspieszonym krokiem żołnierzy, zawołanie: „*Vive l’empereur! Vive l’empereur! Vive l’empereur!*”<sup>241</sup>. Kule armatnie przelatywały ponad głowami francuskich piechurów i ryły krwawe bruzdy w szeregach Rosjan. Bennigsen posłał w sukurs ustępującej piechocie kolejne pułki kawalerii. Jednym z nich był elitarny pułk kirasjerów Jego Imperatorskiej Mości, wchodzący w skład brygady dowodzonej przez bohatera spod Pułtuska – generała majora Siergieja Aleksiejewicza Kozina. Odziani w białe mundury kirasjerzy uderzyli na wroga z determinacją, hamując na krótko impet francuskiego natarcia.

Siostrzeniec generała Kozina, Siergiej Grigorjewicz Wołkoński, podążył konno na lewe skrzydło wojsk rosyjskich bijących się pod Langwiese i Lawden. Posłał go z rozkazami sam głównodowodzący. Wołkoński wiedział, że walczy tam słynny wuj generał, był więc ciekaw, jak sobie poczyna. Nagle z gęstej chmury prochowego dymu wyłonił się jadący drogą wzwód kirasjerów. Na jego czele podążył adiutant Kozina, Pietrulin. Przesiadł się na własnego luzaka, ponieważ jego bojowy wierzchowiec wiozł osobliwy ładunek. Ludzkie zwłoki.

– *Gospodin kapitan*, czyje ciało wieziecie? – zapytał Wołkoński.

– To nasz ukochany generał, Siergiej Aleksiejewicz – cicho odpowiedział Pietrulin.

Na jego pokrytej czarnym osadem prochu twarzy widoczne były jasne ślady łez. Wołkoński spytał, jak zginął generał.

– Jak bohater, w walce. Idąc na czele kontrataku. Dostał kulę w pierś i zginął na miejscu. Nasi tam ustępują na całej linii, a nam generał Uwarow zezwolił odwieźć zwłoki na tyły...

– Czy zawieziecie je tam, gdzie pragnął? – Wołkoński wiedział, że generał chciał być pochowany w Heiligelinde<sup>242</sup>, pięknym barokowym sanktuarium w pobliżu Rössel i Rastenburga<sup>243</sup>. Ujrzał je w drodze na leczenie do Königsbergu, gdzie leczył się także Wołkoński po odniesieniu rany pod Preussisch Eylau.

– Drogi chłopcze – powiedział mu wtedy generał – Jadąc tutaj, miałem cudowny kościół i klasztor w Heiligelinde. Gdyby przyszło mi zginąć na obczyźnie, tam właśnie

mnie pochowajcie.

Pietrulin potwierdził. Tak, dowództwo od dawna wie o prośbie generała, toteż od razu z pola bitwy posyła wzwód kirasjerów jako eskortę zwłok, mającą dopilnować pochówku. Po latach Wołkoński zapisze w swych notatkach: *„Jeszcze teraz śni mi się po nocach ciało bliskiego mi człowieka, przerzucone bez ducha przez koński grzbiet, toteż na tych kartach z całego serca wspominam na wieczną rzeczy pamiątkę bohatera, który poległ wypełniając swój żołnierski obowiązek. Ciało jego oddano ziemi – zgodnie z wyrażoną przezeń za życia wolą – w cudownym klasztorze Heiligelinde. Zatem ciało rosyjskiego bohatera złożono w obcej ziemi, ale pamięć o jego wojennych zasługach pozostanie wiecznie żywa w ojczyźnie”*<sup>244</sup>.

Pierwszy, najważniejszy dzień bitwy pod Heilsbergiem dobiegł końca. Zapadły ciemności, rozświetlane jedynie blaskiem księżyca i dalekich ognisk biwakowych. Rosjanie i Prusacy rozpalili je na przedpolu szańców, obronionych w twardej, krwawej walce. Francuzi za Spuy – Bachem; Napoleon kazał bowiem wycofać wszystkie oddziały za potok, na jego lewym brzegu zatrzymując tylko obsadzony piechotą Lawder – Wäldchen<sup>245</sup>. Rozciągające się pomiędzy wrogimi armiami pole, całe pokryte trupami ludzi i koni oraz porzuconym lub rozbitym sprzętem, nie było bynajmniej martwe ani opuszczone. Poruszały się po nim skrzypiące osiami francuskie i koalicyjne wozy zbierające rannych. Obok nich szli żołnierze z obu armii, niosąc zapalone latarnie; jeśli zdarzyło się przypadkowe spotkanie, udawali, że się nie widzą. Natomiast inne postacie unikały światła – przemylkali po poboju obdzieracze zwłok, niejednokrotnie koledzy poległych, bezwzględnie pozbawiający zmarłych resztek dobytku. Nie mieli żadnych hamulców. Trupy wczorajszych towarzyszy broni były dla nich tylko źródłem pozyskiwania drobnych precjozów, pieniędzy, butów, mundurów, elementów oporządzenia. Wszystko to można było korzystnie sprzedać albo samemu używać. Do rana większość zwłok będzie zupełnie naga. Za kilkanaście lub kilkadziesiąt godzin zajmą się nimi zdziczałe psy i ptaki ścierwojady. Chyba, że armia znajdzie czas na urządzenie masowych pochówków.

Za Spuy – Bachem, na polach między wsiami Bewernick i Langwiese, stanęli na nocleg pod gołym niebem sascy żołnierze – francuscy sojusznicy z korpusu von Polenza. Byli wyczerpani forsownymi marszami i walkami, toteż bez większych emocji pokładli się wprost na ziemi między trupami, czasem nawet używając zwłok jako podpórek pod głowę. Wojna znieczula i pozbawia skrupułów. Na razie było bardzo ciepło, nie wiedziano, że około trzeciej nad ranem rozewrą się wrota niebios, zagrzmia pioruny i lunie straszliwa ulewa, po której temperatura znacznie się obniży i wielu śpiących na ziemi żołnierzy zachoruje.

Po polu błakał się też z latarnią w ręku młody człowiek, odczuwający niedosyt bohaterskich przygód. Kolejny krwawy dzień nie pozwolił mu zdobyć nieśmiertelnej chwały z tej prozaicznej przyczyny, że Jacques de Norvins był... jednym z oficerów ordonansowych cesarza. Ich zadaniem było szybkie dostarczanie meldunków, nie mieli okazji pomachać szabelką ani sobie postrzelać. W takich okolicznościach trudno było o awans, o Legię Honorową i wspomnianą wyżej nieśmiertelną chwałę. Oto minął kolejny dzień wielkiej wojny, dzień wielkiej batalii, a de Norvins nie zdobył ani sławy, ani łupów,

ani jeńców. Łaził zatem niepokieszony po zawalonym trupami polu i notował w pamięci romantyczne refleksje wywołane blaskiem księżyca i ognisk, widokiem przesuwających się latarni zbieraczy rannych. Jego wrażliwą duszę inspirował także widok odległego namiotu cesarza, w którym nadal paliło się światło. Był głodny, ale miał przy sobie tylko pół dużego suchara. Czuł jego kształt, wypychający mu kieszeń. Zostawiał go na później, kiedy naprawdę zgłodnieje.

Uwagę Francuza przykuł dziwny dźwięk, coś jakby ciche skomlenie... Uniósł wyżej latarnię i zobaczył psa. Nie jakiegoś tam psa, tylko dorodnego, pięknego rosyjskiego charta! Pies czuwał przy ludzkich zwłokach. Podszedłszy bliżej, de Norvins stwierdził, że poległy to rosyjski oficer w stopniu majora. Kiedy Francuz pochylił się nad ciałem, pies nie zawarczał, a nawet usunął się nieco i ponownie zaskomlał. Jego pan był martwy, nic nie można było już dla niego zrobić. Co zatem z psem? Zostawić go tutaj, przy zwłokach zabitego pana? Czy też spróbować zaprzyjaźnić się z nim, obłaskawić i zabrać ze sobą? Tylko czy pies uzna w nim nowego pana i przyjaciela – oto jest pytanie!

Jacques uznał, że warto spróbować. Jedyłą rzeczą, jaką mógł psu zaoferować, było owo żałosne pół suchara... Wyciągnął je z kieszeni i cicho zawołał:

– *Viens, mon petit. Aide-toi et viens avec moi. Nous sommes amis*<sup>246</sup>.

Piękny chart zaskomlał i nagle głośno zaszczekał. Obejrzał się na swego martwego pana, po czym powoli zbliżył się do Jacquesa, zamachał ogonem i wziął z ręki Francuza kawałek pokruszonego suchara. Kiedy de Norvins ruszył w stronę biwaków, pies podążył za nim. Jacquesa rozpiekało poczucie szczęścia. Nieoczekiwanie zyskał nowego przyjaciela, którego do końca życia będzie nazywał „swoim rosyjskim jeńcem spod Heilsbergu”.

Doktor Heinrich Sparchmann podniósł zmęczony wzrok na stojącego w drzwiach gościa. Był nim wysoki mężczyzna około pięćdziesiątki, odziany w granatowy mundur francuskiego lekarza wojskowego; złote szamerunki wskazywały, że przybyły jest kimś ważnym. Francuz uklonił się lekko i oznajmił:

– *Bonjour, monsieur! Je suis Pierre – François Percy, chirurgien en chef de la Grande Armée...*<sup>247</sup>

Sparchmann wstał zza stolika, także się uklonił i przedstawił, dodając:

– *Je l'ai entendu parler de vous beaucoup de bien, docteur.*<sup>248</sup>

Uścisnęli sobie dłonie. Wymieniwszy uprzejmości, obaj lekarze spojrzeli sobie w oczy, czekając aż jeden lub drugi podejmie przerwana rozmowę. Sparchmann był ciekaw, co sprowadza słynnego doktora Percy'ego do skromnego heilsberskiego szpitala. Po chwili sprawa się wyjaśniła. Chirurg *en chef* zapytał lekarza, czy mógłby przysłać na pewien czas do francuskiego lazaretu polowego pod Bewernick kilka osób personelu pomocniczego, to jest pielęgniarzy lub pielęgniarek.

– Przebywa tam ponad dwa tysiące rannych i chorych, zresztą z obu walczących armii, a nawet trzech jeśli liczyć osobno Prusaków. Nasi chirurdzy nie nadążają z operacjami i amputacjami, nie ma kto przemywać ran i zmieniać opatrunków. No właśnie, opatrunków... Gdyby pan posiadał jakieś nadwyżki bandaży lub szarpi, czy jakichkolwiek medykamentów, byłibyśmy wdzięczni. Po każdej wielkiej bitwie materiały opatrunkowe kończą się bardzo szybko, a jeszcze szybciej laudanum. Potem trzeba

operować bez znieczulenia.

Sparchmann pokręcił głową, mocno zafrasowany. Trochę bandaży jeszcze posiada, część w takiej sytuacji odstąpi, ale to mało, mało...

– Co do środków znieczulających i odkażających, mogę panu udostępnić preparaty mojego wyrobu, sporządzone z tutejszych ziół i innych substancji roślinnego pochodzenia. To stare receptury, często zaskakująco skuteczne.

– Wiem, wiem, doktorze. Podążając za armią podczas przedwczorajszej nocnej burzy zabłądziliśmy w ciemnościach i zniosło nas na zupełne manowce. Nie ma jednak tego złego... Dość powiedzieć, że o świcie, przemoczeni do suchej nitki, znaleźliśmy się wśród bujnych krzewów *brimbelles* i *grattecul*<sup>249</sup>, z których okoliczni mieszkańcy robią konfitury i nalewki. Przekazali mojemu kucharzowi kilka słoików.

– Jeśli chodzi o środki odkażające, polecałbym wywar z kwiatów lub owoców głogu... Głóg zawiera taninę, a rośnie u nas właściwie wszędzie. Pomaga też w schorzeniach serca. Ale tego przecież nie muszę panu tłumaczyć – uśmiechnął się Sparchmann.

– Oczywiście, oczywiście... Przyjmiemy wszystko, cokolwiek zechce pan podarować. Pytanie, w jaki sposób moglibyśmy się zrewanżować?

Heilsberski lekarz odpowiedział spokojnym, cichym głosem:

– Tak się składa, że może pan przynajmniej spróbować. Leży tu u nas od kilku miesięcy francuski oficer, ciężko ranny pod Eylau. Podobno pułkownik. Dostarczono go tu wprost z pobojowiska, wydobyto ze sterty zwłok, mało brakowało, a zostałby pogrzebany żywcem. Możliwe, że w waszych spisach figuruje jako poległy, a jednak przeżył. Gdyby zechciał pan rzucić okiem...

Percy był bardzo poruszony. Zapominając o celu swej wizyty zawołał, by go natychmiast zaprowadzono do rannego. Tak wielu spośród jego znajomych oficerów poległo w tamtej koszarnej bitwie... Sparchmann poprosił:

– *Monsieur le docteur*, tylko delikatnie. On ma bardziej chorą duszę, niż ciało. Niewiele pamięta, popada w stany lękowe. Na ciele jest właściwie zdrow.

Przeszli kawałek korytarzem, mijając następnie w drzwiach młodziutką siostrę Ancillę – Alicję, która wynosiła właśnie miskę z wodą po umyciu pacjenta.

– *Gelobt sei Jesus Christ* – powitała Francuza zwyczajową formułą. Ten, mimo iż od lat, wciąż gnany po polach bitew całej Europy, nie zaglądał do kościoła, zrozumiał słowa katarzynki i odruchowo odpowiedział:

– *Toujours et à jamais...*<sup>250</sup>.

Sparchmann pochylił dyskretnie głowę, ukrywając uśmiech. Wskazał Percy'emu łóżko, na którym spoczywał z przymkniętymi oczami wysoki, atletycznej budowy mężczyzna. Był umyty i świeżo ogolony. Tylko włosy zdążyły mu urosnąć niemal do ramion. Lekarz wydobył z kieszeni fartucha oczyszczony epolet chorego, lecz Percy nawet na niego nie spojrział, od razu rzucając się w stronę posłania:

– *Chabert! Ami, si tu me connais? Il est moi, Percy!*<sup>251</sup>

Pacjent otworzył oczy, spojrział z wysiłkiem na wołającego, po czym obojętnie odwrócił twarz do okna i tak pozostał, ze wzrokiem utkwionym w ceglane mury heilsberskiej fary Świętych Apostołów Piotra i Pawła. Percy chciał wstrząsnąć leżącym,

jednak Sparchmann powstrzymał go łagodnie:

– Doktorze, tak nie wolno. Nawet jeśli to rzeczywiście pułkownik Chabert, w tej chwili nie zdaje sobie z tego sprawy. Prosiłbym jedynie, by złożył pan na piśmie stosowne oświadczenie, potwierdzające tożsamość chorego. Przecież w tym stanie nie mógłby go pan zabrać do obozu. On nie nadaje się do wojska i dużo czasu upłynie, zanim to nastąpi. Niewykluczone, że nigdy nie odzyska świadomości tego, kim jest. Będziemy się nim nadal opiekować, a pan niech czasem przyśle list z zapytaniem o jego zdrowie. Gdyby stan pacjenta uległ poprawie, sporządzimy historię choroby i rekonwalescencji, co w połączeniu z pańskim oświadczeniem ułatwi mu powrót do normalnego życia. Jeżeli to w ogóle możliwe...

Percy musiał przyznać rację Sparchmannowi. Potem podziękował za opiekę nad osiemdziesięcioma dwoma francuskimi rannymi jeńcami, przebywającymi w Heilsbergu od kilku dni. Zapytał także o obiecaną pomoc fachową dla lazaretu pod Bewernick. Sparchmann przywołał siostrę Ancillę i poprosił, by odnalazła na parterze i przysłała do jego gabinetu dwie cywilne pielęgniarki, pracujące w szpitalu od prawie dwóch miesięcy.

Kilka minut później na progu stanęły dwie młode dziewczyny. W pewien sposób były do siebie podobne – obie wysokie blondynki z niebieskimi oczami, o zgrabnych figurach, których nie mogły całkiem ukryć luźne ubiory szpitalne. Obie z parą warkoczy długich aż po biodra. Obie o ładnie wykrojonych, bladoróżowych ustach. Różniły się jednak: twarz jednej była bardziej owalna i pełna, oczy nieco większe i bardziej błękitne, o kształcie migdałów. Druga miała oczy jakby lekko skośne, choć także ładne, i nieco węższy nos. Mimo różnic, obie były urodziwe, przykuwały uwagę bystrością spojrzenia i wdziękiem poruszeń.

– *Monsieur le docteur, ces sont nos belles volontaires, Lieselotte Klinger et Marianne Benska. Ils sont généreux et ils savent nourrir les blessés et les malades*<sup>252</sup>.

Percy był nieodrodnym synem Francji, toteż patrzył z zachwytem na dziewczęta, które Sparchmann oddawał mu pod opiekę. Pół godziny później spakowane wolontariuszki zeszły na ulicę, by ulokować się w wozie doktora Percy'ego. Wóz zaprzężony w parę koni stał już gotowy do drogi, woźnica poprawiał lejce i sprawdzał bat. Eskortę stanowiło czterech szaserów w zielonych mundurach. Byli odwrócenii plecami do wychodzących. Percy zawołał:

– Barez, wszystko przygotowane?

Jeden z szaserów, najwyraźniej dowódca eskorty, obrócił się wraz z koniem ku wołającemu i dziewczętom. Jedna z nich otworzyła szeroko oczy:

– *Raymond! Raymond! Gott sei Dank, du bist am Leben!*<sup>253</sup>

– *Lieselotte, mon cher Lieselotte! Je suis si heureux! Mon coeur, mon soleil, vous ma reine...*<sup>254</sup>.

Raymond zeskoczył z konia i zamknął Lieselotte w ramionach. Był szczęśliwy nie do opisania. Obiecał, że wróci i wrócił. Obiecał, że przeżyje i przeżył. Dla niej. Dla Lieselotte. Jego Lieselotte<sup>255</sup>.

Praca w lazarecie nie była lekka ani łatwa. Setki jęczących z bólu rannych, wszechobecny odór zepsutego ludzkiego mięsa i środków dezynfekujących, krew, krew, hektolitry krwi wyciekającej z ran, rozlewającej się w kałuże na ziemi i trawie, zlizywanej

przez wciąż odpędzane i wciąż powracające zdziczałe psy. Całe piramidy amputowanych nóg i rąk, szybko rozkładających się w dusznym, upalnym powietrzu, we wszystkich odcieniach czerni, siności i czerwieni, obsiadane przez miriady brzęczących, wstrętnych, grubych jak mały palec much trupnic o niebieskich odwłokach. Zakopywano je, ale wciąż przybywało nowych albo psy wygrzebywały te już zakopane. Coraz to nowi ranni wnoszeni na improwizowane stoły operacyjne. Ich spieczone od gorączki i bólu usta, zaciskane na drewnianych kołkach lub ołowianych kulach, zabezpieczających przed odgryzieniem języka w trakcie amputacji. Chrzęst łamanych i piłowanych kości. Pośród tego dantejskiego piekła uwijały się padające z wyczerpania anioły. Miłosierne, choć często z konieczności zadające ból, by ratować rzecz najcenniejszą: życie, choćby nawet kalekie, ułomne... Opatrywano i operowano wszystkich, oczywiście w miarę możliwości. „Po bitwie nie ma wrogów, są tylko ranni” – zwykł mawiać Napoleon. Chirurdzy i felczerzy zawsze mieli to na uwadze. W innych miejscach to samo czynili lekarze rosyjscy i pruscy. Tamta dawna wojna miewała jednak ludzką twarz. Porachunki władców to za mało, by przestać dostrzegać bliźniego w drugim człowieku, nawet jeśli mówi niezrozumiałym językiem. Zdarzały się też inne postawy, nawet dość często, ale nad nimi niechaj zapadnie kurtyna milczenia. Niegodne są, by o nich pamiętać.

Na stercie zleżalej słomy spoczywał rosyjski wielkolud, Foma Dragomirow. Ilja Muromiec, siłacz nad siłacze. Dwa dni temu podczas batalii utracił obie ręce, ucięte w nadgarstkach ciężkim pałaszem francuskiego kirasjera, w chwili kiedy – wsadziwszy z powrotem do pochwy własny pałasz – sięgał oburącz po drzewce wrogiego pułkowego orła. Był pewien sukcesu: francuski chorąży był młodzieńcem, który nie mógł się równać z Fomą w starciu wręcz. Dragomirow uderzył go pięścią w nos, chrupnęła chrząstka, Francuz zalał się krwią. Foma chwycił obu rękami za klonowe, okute ćwiekami drzewce... Nagle coś jakby błyskawica śmignęło mu przed oczami, poczuł straszliwy ból w obu rękach i stwierdził, że nie może poruszyć palcami, bo... nie ma już ani palców, ani obu dłoni! Ogarnął go mrok, mimo iż był środek słonecznego dnia. Nie wykrwawił się tylko dlatego, że jeden z towarzyszy od razu podwiązał mu nadgarstki rzemieniami. Obaj popadli w niewolę, a wówczas ten zdrowy poprosił francuskich pielęgniarzy, by zanieśli Fomę do punktu opatrunkowego. Foma ocknął się na stole operacyjnym w trakcie przyżegania żył ogniem. Ponownie omdlał z bólu. Rany zaszyto, zabandażowano... Minęły dwa dni. Foma gorączkował, majaczył. W malignie ujrzał cudowne dziewczę napotkane na drodze koło Neuendorfu. To samo, które później – tak mu się przynajmniej wydawało – widział w tej małej wiosce, jak ona się nazywała? Pudelkeim! Tak, Pudelkeim... Dezerter Giena wmawiał mu, że to było przywidzenie. Foma sam nie był pewien. Dziś od rana czuł w obu okaleczonych kończynach potworne rwanie. Do bólu dołączył trupi odór. Dragomirow wiedział, co to oznacza. Wdała się gangrena. Nadchodzi śmierć. To kwestia raczej godzin, niż dni. Zalała go fala potwornego gorąca. Spierzchniętymi, popękkanymi wargami zawołał ze wszystkich sił, jakie mu jeszcze pozostały:

– Wody! Pić!

Dyszał w męce, zamknawszy oczy. Naraz wyczuł, że ktoś się nad nim pochyla. Uniósł powieki. Świat wokół niego nabrał dziwnej, jaskraworóżowej barwy. Na tle tej



poświaty rysowała się sylwetka młodej kobiety z długimi warkoczami, wypływającymi spod zawiązanej na głowie chustki. Zamrugał oczami. I wtedy wyraźnie zobaczył jej twarz. To była ona, jego Cud Dziewica z bajki! Ta sama! Miała smutną, poważną twarz i bardzo zmęczone oczy. Podała mu wodę, mówiąc coś cicho w obcym języku. Potem zrobiła kompres, namoczyła w zimnej wodzie i położyła na jego czole. Przyjrzała mu się bliżej i rozpoznała w nim tego, który ścigał ją w lesie w Pudelkeim, ale nie zaatakował, nie uderzył, tylko patrzył z zachwytem i mówił dziwne słowa... Teraz nie mówił nic. Tylko patrzył z takim samym zachwytem, jak wówczas. Jego spojrzenie było jasne i szczęśliwe. Nie trwało to długo. Po kilku minutach Lieselotte Klinger zamknęła mu oczy. Ona nigdy nie poznała jego imienia, on nigdy nie dowiedział się, kim była Cud Dziewica z babcinej bajki, napotkana na wschodniopruskich drogach.

Mały chłopiec z Jegothen, bosy, odziany w brudne, oberwane portki i lnianą koszulinę, pasł na łące nad Elm chudą kozę – jedyną żywicielkę pozbawioną całego dobytku rodziny. Kilka kroków obok biegła gruntowa droga do Schwollmen i dalej na Preussisch Eylau. Zimą mocno się tu bili. Ruscy z Francuzami. A potem zmarłych ruskich jeńców pochowano w tej długiej mogile na skarpie. Teraz zdążyła już porosnąć trawą, chabrami i rumiankiem. Na wzgórzu, tuż przy drodze, rósł wielki krzew bzu. Nie tego czarnego, z którego wyrabiano nalewki i napary, tylko takiego mocno pachnącego, kwitnącego w maju i czerwcu<sup>256</sup>. Nagle chłopiec ujrzał, jak drogą zbliża się nieduży wóz zaprzężony w parę koni. Siedziało na nim dwóch młodych mężczyzn i kobieta. Zatrzymali się przy krzaku bzu, po czym jeden z mężczyzn ułamał z niego dwie bujne kiście białych kwiatów. Ruszyli dalej, zatrzymując się ponownie w połowie skarpy, tuż przy ruskiej mogile. Mężczyzna i kobieta wysiedli z wozu, ten drugi pozostał na koźle. Pastuszek rozdziawił usta ze zdziwienia, widząc jak oboje całują zerwane gałązki bzu i płaczą. Położyli bez na mogile. Potem wykonali jakiś taki dziwny znak krzyża i modlili się przez chwilę. Wsiedli na wóz i ruszyli dalej, za Elm. „Musiał co na Eylau” – pomyślał chłopiec i pobiegł do ogołoczonej ze sprzętów chaty, by opowiedzieć rodzicom o tym niecodziennym wydarzeniu.

Korzystając z wieczornej bryzy wiejącej od lądu, niewielki kuter przemytniczy odbił od kamiennego nabrzeża portu Fischhausen<sup>257</sup> i powoli ruszył w stronę Pillau, leżącej u wyjścia z Frische Haff, pozostawiając za sobą szeroki kilwater. Na tylnej linii rejowej jedyne masztu furkotała szwedzka bandera, bowiem portem macierzystym statku był Trelleborg położony w pobliżu Sundu, w południowo – zachodniej Szwecji. Na pokładzie przebywała załoga, złożona z szypra i dwudziestu marynarzy, pełniących wachty na dwie zmiany. Szyper, starszy mężczyzna o długich siwych włosach, miał czerwoną twarz przypominającą buldoga, jednak to pierwsze odpychające wrażenie zniknęło przy bliższym poznaniu. Mówił niewiele, ale zawsze konkretnie. Miał przy tym miły głos. Potrafił dobrze rozmówić się po niemiecku, angielsku i rosyjsku. Tima na wszelki wypadek porozumiewał się z nim po niemiecku, a Marfie kazał zachowywać milczenie. Trzy dni temu, kiedy dotarli do Fischhausen, omijając szerokim łukiem Königsberg, w którym kręciło się zbyt wielu wojskowych i żandarmów, Hans ulokował ich na dwie noce u swoich dalekich krewniaków. Wydobył wówczas z bagaży okazały skórzany worek pełen monet:

– To dla państwa, od *Herr Ajzyka* i *Fräulein Elsy*... Na opłacenie przewoźnika i na dobry początek w Szwecji. Moi kuzyni jutro spróbują państwu ugadać jakiegoś „szweda”<sup>258</sup>, który na dniach powraca do siebie. Pani Elsa prosiła przekazać, byście nie szastali złotem na oczach postronnych ludzi, ale je zostawili na później. W mieszkaniu jest sporo miedziaków i drobnych monet srebrnych. Plus garść pruskich asygnat. Teraz nie ruszajcie się stąd państwo aż do mojego powrotu.

Nazajutrz wszystko było ułożone: szwedzki szyper Arne Björnson, właściciel niewielkiego kutra, oficjalnie kupiec, nieoficjalnie kontrabandzista, zgodził się zabrać do Trelleborga parę nieznanym za dziesięć friedrichsdorów<sup>259</sup>. Tym razem wiozł zupełnie legalny ładunek chmielu, bez problemu zatem przyjął ofertę dodatkowego zarobku, nie obawiając się szwedzkich celników. Timofiej i Marfa, starannie ukrywszy pieniądze, zebrali skromną chudobę w jedną dużą sakwę. Pożegnali się z Hansem, oddając mu paszport Dawida Abrahamowicza i raz jeszcze prosząc o przekazanie podziękowań Ajzykowi Rudziszkerowi i Elsie. Mówiąc o Elsie, Tima poczuł w sercu przykre ukłucie, zaraz jednak zagłuszone wspomnieniem wspólnie spędzonych pięknych chwil.

Wieczorem 14 czerwca weszli na pokład „Ulfa”, bo taką nazwą ochrzczono kuter Björnsona. Dziewczyna nadal ukrywała włosy i twarz pod osłoną obszernej czarnej chusty, nie chcąc prowokować losu. Oboje zajęli wygodne miejsce przy burcie, na pokładzie, starając się nie przeszkadzać załodze ani zbytnio nie rzucać w oczy. Kiedy niebo zaczęło szarzeć, Tima objął Marfę ramieniem i tak trwali, zapatrzeni w coraz bardziej ciemniejącą dal. Wierzyli jednak, że ich przyszłość nie będzie mroczna. Byli razem, na dobre i na złe. Płynęli na zachód, tam gdzie przed chwilą skryło się słońce...<sup>260</sup>

Ciemność powoli ustępowała, wstawał świt. Gęsta, mlecznobiała mgła, otulająca dotąd świecąca zimnym szarym blaskiem tafłę jeziora i otaczające je szuwary, zaczęła ostatecznie opadać, odsłaniając dalekie wzgórza na przeciwległym brzegu, zza których lada chwila miało ukazać się słońce. Jeszcze w blednących ciemnościach poprzedziło jego wschód ukazanie się *Wenus – Gwiazdy Zarannej*, o której, tak jak o jej „bliźniacze” – *Gwieździe Wieczornej*, lud opowiadał baśnie. W *Wozniesienskoje* kilka „gramotnych” osób wiedziało, że obie te „gwiazdy” są tą samą planetą, ale prości ludzie i tak woleli swoje bajania, gdyż umilały im one trudny, na poły bydlęcy, nędzny żywot wypełniony ciężką pracą, okraszona jedynie nielicznymi, przaśnymi uciechami: od czasu do czasu odrobiną lepszego pożywienia i okowity, cerkiewnymi prazdnikami, wiejskimi tańcami, sobotnią banią, krótkimi chwilami uniesień i zapomnienia się na sianie czy pod domową pierzyną... Resztę żywota wypełniała potworna harówka sprawiająca, że żyli krótko i umierali stosunkowo młodo. Harówka, której nikt tak naprawdę nie cenił i nie chwalił. A przecież nie żądali wiele od życia – może tylko tyle, by zawsze było co jeść i pić, by jeszcze trochę, jeszcze odrobinę potrwało to szczególne poczucie istnienia, te wpadające w oko widoki, te wpadające w ucho dźwięki natury lub prostej muzyki, te mimowolnie łowione nozdrzami i tak rozmaite zapachy. Te chwile, kiedy tuliły się do siebie dwa ciała – w tym momencie istniejące tylko dla siebie nawzajem i najpiękniejsze na świecie, ten „raj ubogich”, z którego tak szybko ich wypędzano. Snuli więc wizje światów niebytych, całą pozostałą im jeszcze twórczą siłą kreując bajeczne przygody bohaterów i zwykłych wiejskich ludzi, opowieści o skarbach i strzegących je potworach, o nieskończonej sile

prawdziwej, szczerzej miłości, o triumfującej sprawiedliwości, z jaką traktowali bohaterów baśni dobrzy władcy lub dobre wróżki...

Słońce wzeszło, wciąż jeszcze czerwone. Do trwających od świtu cichych, pojedynczych popiskiwań drobnego ptactwa w głębi lasu, dołączyły nagle liczne odgłosy kwakania i skrzeczenia ptaków gniazdujących nad wodą. Zerwał się lekki chłodny wiatr, poruszając z charakterystycznym chrzęstem falujące trzciny, rozwiewając i wpędzając resztki mgły pomiędzy jadowicie zielone bagienne trawy, porastające brzegi jeziora krzaki i wysokie olchy. Jaskrawe i już ciepłe promienie padły na twarz młodego człowieka, który od kilku godzin drzemał oparty plecami o szorstki pień. Odziany był w strój myśliwski: sięgającą do pól uda kurtę, zielone opięte spodnie wpuszczone w wysokie buty i modną angielską czapkę z opuszczanymi nausznikami. U pasa zwisał mu solidny kordelas, u prawego boku skórzana torba z ładunkami. Na kolanach mężczyzna piastował francuską dubeltówkę systemu Bouteta<sup>261</sup>. Miejsce było idealne do polowania na kaczki i inne ptactwo wodne, którego nad tym jeziorem nie brakowało. Jednak oczekujący świtu myśliwy nie miał przy sobie psa do wyławiania zdobyczy z wody, nie miał w torbie śrutowych ładunków, dubeltówka także załadowana była jak na grubego zwierza. Ale bo też i polowanie, jakie zamierzał tu odbyć, było niezwykajne. Zasadził się bowiem na... człowieka. Wyczekiwana ofiara przychodziła w to miejsce bardzo często, niemal codziennie. Nie po to, by się kąpać – tu brzeg był bagnisty, na dobrych kilkanaście kroków od twardego gruntu ciągnęło się szarozielone trzęsawisko, wydzielające intensywny smród zgnilizny. Zachowując milczenie i nieruchomiejąc na dłuższą chwilę, można było doznać wrażenia, że bagno jest żywą istotą: złowroga, gęsta maź tu i tam wybrzuszała się z wolna, by następnie wydać cichy syk, zabulgotać i ponownie opaść z mlaśnięciem. Co chwila wlatywały nad udającą stały grunt powierzchnię chmary jętek jednodniówek<sup>262</sup>, których martwe delikatne ciała, po spełnieniu misji rozrodu, każdego wieczora zalegały tysiącami na bagnie, zbyt lekkie, by w nim zatonać. I tak jednak powoli stawały się bagnem. Pomiędzy zdradliwymi kępkami wełnianki<sup>263</sup> brzęczały muchy, ścigane przez wielkie kolorowe ważki. Z rzadka jedynie zalatywały tu pojedyncze, beztroskie motyle, lecz zaraz uciekały, jakby wyczuwając woń śmierci. Dlaczego zatem człowiek, na którego zasadził się młodzieniec w myśliwskim stroju, tak często przychodził w to miejsce? Sprytnie wypytawszy jedną i drugą mało rozzębioną dziewczuchę czy też pastuszków wyganiających bydło na paszę, czatownik ustalił, że interesująca go osoba chodziła tu ongiś na spacer z kimś, na czyje wspomnienie myśliwy zaciskał szczęki i pięści, a oczy jego miotają pioruny. Także i teraz na myśl o tamtych trojgu: dwóch chłopakach i dziewczynie, twarz mu poczerwieniała a starannie przystrzyżone czarne wąsiki zadrżały z gniewu. „Przekłęta mała dziwka! Taka zwykła wsiowa suczka, co to do trzech zliczyć nie potrafi, śmiała opierać się jego awansom! I z jakiegoż to powodu – takiego samego jak ona wsiowego kundla, którego już dawno zabrano w żołdacy na zatracenie!”. Już przed kilku laty Griszka Grekow nie musiał zbyt długo namawiać Wasilija Iwanowicza, swego ojca, dziedzica Wozniesienskoje, by wyznaczył do poboru właśnie tego parszywca Timkę Dmitrijewa, w którego ta suczka wpatrzona była jak w słońce. I kiedy wydawało się, że Marfa Rodionowna Daniłowa stanie się łatwą zdobyczą panicza ze dworu, narobiła mu wstydu policzkując go przed cerkwią, by potem zniknąć bez śladu. Griszka Wasiljewicz

pozornie przeżył upokorzenie, jednak dyskretnie obserwował wieś, słuchał co mówią w karczmie i sam rozpytywał podpitych wieśniaków, stawiając im kolejkę. I w końcu wywęszył trop, na razie słaby, ulotny. Okazało się, że w ostatnich miesiącach jedynym człowiekiem, który na dłużej opuścił wieś, i to w czasie kiedy zniknęła ta suczka, był... Wowka popowicz! Niby to pojechał z dewocjonaliami, szerzyć prawdziwą wiarę, ale kiedy Griszka przypomniał sobie zachowanie tego przeklętego popa Jermołaja podczas incydentu pod cerkwią, wszystko wydało mu się jasne: Wowka wywiózł i ukrył Marfę! Ba, tylko gdzie? Wśród łacinników czyli gdzieś w guberniach zachodnich. To jednak olbrzymie obszary, szukać po omacku to jak igły w stogu siana. Trzeba by dobrać się do jego paszportów podróżnych, a to wymaga i czasu, i kosztów, bo *czynownikom*<sup>264</sup> w takich sprawach trzeba dobrze posmarować. Otwarte dobranie się do Wowki, syna popa, bez konkretnego powodu mogło spowodować awanturę, zwłaszcza gdyby okazał się niewinny... Griszka postanowił więc dopaść popowicza gdzieś na uboczu, lufę do czoła albo nóż do gardła przystawić i wydusić z niego, gdzie ukrył tę jasnowłosą suczkę! Uspokoił się na zewnątrz, przyjaźnie uśmiechał się do wszystkich tych parszywych chamów i głupawych dziewczek, byle tylko dowiedzieć się, gdzie chadza samotnie Wowka. Wreszcie jedna z tych, które uprzejmy i miły panicz raczył zbałamucić i na sianku w stodole wychędożyć, zachwycona delikatnymi, bardziej wyrafinowanymi niż przy zalotach wiejskich chłopaków pieszczotami pachnącego perfumami młodego dziedzica, poruszona okazanym jej zaufaniem, zdradziła mu, że Wowka od lat kochał się w Marfie. Że, mimo iż ona wybrała Timę Dmitrijewa, pozostali trójką przyjaciół i nadal razem chadzali na spacer po lesie, po polach i nad jezioro. Kiedy Timofieja zabrali w sołdaty, Wowka z czystej przyjaźni pocieszał dziewczynę a ona pozwalała mu czasem potowarzyszyć sobie w niedzielnych przechadzkach po nabożeństwie. A ponieważ popowicz podobał się niejednej dziewczce we wsi, zazdrosne oczy uważnie śledziły parę przyjaciół i w końcu zauważono, że najczęściej chadzali na bagnisty brzeg jeziora, gdzie nikt się nie kąpał ani ryb nie łowił. Tam mogli swobodnie porozmawiać. Wprawdzie ani Wowka, ani Marfa nie dawali powodów do plotek, zachowywali się przyzwoicie, to jednak było to miejsce, którego szukał Griszka Grekow i dlatego właśnie TAM po zniknięciu Marfy i powrocie Wowki zaczął się zasadzać. Musiał przy tym uważać, by i jego tam nie spostrzeżono. Raz, kiedy był już bliski celu, popsuka mu czaty trójka pastuchów poszukujących zagubionej krowy; Griszka musiał jak niepyszny schować się w zaroślach i przeczekać, ale potem odszedł także Wowka, zamyślony i jakby nie widzący niczego wokoło. Taka okazja! Taka okazja przeszła koło nosa! Jeszcze teraz na myśl o nieudanej zasadzce Griszka miotał w duchu najgorsze przekleństwa. Przychodził jednak w to miejsce regularnie i dyskretnie obserwował, wierząc że któregoś dnia mu się powiedzie. Nastraszyć tego szaraka bronią, wydusić z niego, gdzie przebywa ta mała dziwka, potem pogonić go do wszystkich diabłów, częstując na odchodne kopniakiem w zadek, a samemu, z pomocą papy – dziedzica, odszukać suczkę, przywieźć do ich drugiego *pomiestja* w Bieriezowce i tam nauczyć rozumu. Chciał zobaczyć łyzy upokorzenia w jej błękitnych oczach, zobaczyć jej nieskazitelnie białą, wyszywaną koszulę poplamioną dziewczęcą krwią, którą on, Griszka Grekow, a nie ten kundel Tima, jako pierwszy rozleje. Potem niech ją bierze kto chce, choćby i Timofiej, Wowka czy

ostatni z brudnych pastuchów – on, Griszka, będzie syt zemsty za upokorzenie pod cerkwią! Tylko to się liczyło. Tylko to...

Rozkoszując się złymi myślami o zemście, Griszka prawie przegapił dobiegający coraz wyraźniej od strony lasu trzask deptanych gałązek i cichy szelest trawy. Niemal w ostatniej chwili młody dziedzic zdołał ukryć się za starą olchą. Ktoś nadchodził, stawiając powolne choć równe kroki – najwyraźniej nie spodziewając się zastać tu człowieka ani zwierzęcia; ścieżki do wodopoju biegły bowiem nieco dalej. Tu było tylko trzęsawisko. Jakoż po chwili pomiędzy zarośli wyłonił się Wowka popowicz, odziany w lnianą wyszywaną koszulę, ciemny sukienny serdak i czarne szerokie spodnie, wpuszczone w długie brązowe buty. Nie miał przy sobie żadnej broni, noża ani nawet kija. W ręku trzymał za to mały bukiecik polnych kwiatów, zebranych po drodze, na łąkach. „To ci dopiero wioskowy poeta, sentymentalny bard obór, stajen i chlewów, wieszcz kupy gnoju!” – pomyślał złośliwie Griszka. Tymczasem postanowił poobserwować Wowkę. Popowicz nucił pod nosem jakąś smętną melodię, potem zaś zaczął cicho mówić do siebie:

– Marf, moja jedyna, moja ukochana... Wszędzie cię tu pełno, wszędzie twoje ślady, po wodzie i między drzewami w borze niesie się twój śpiew, w uszach słyszę wciąż twój głos... Tylko tu jestem szczęśliwy, tu – gdzie tak często bywaliśmy razem, rozmawialiśmy, śmialiśmy się; i Timka był z nami... Jego wybrałaś, trudno, on mi druh, ja jego nienawidzić nie umiem a ciebie zawsze będę kochał, póki życia a i potem, jeśli jest jakieś potem... – Wowka przyklęknął na prawe kolano i delikatnie ułożył bukiecik na trawie, w miejscu gdzie widoczne były na pół zarośnięte pędami zielska stare ślady palonego ogniska. Nagle za jego plecami głośno zatrzeszczały krzaki, dźwięk ten spłoszył stado dzikich kaczek, które z chóralnym kwakaniem wzbily się ponad jezioro i podążyły z trzepotem skrzydeł ku przeciwnemu brzegowi. Zaraz potem rozległ się nieprzyjemny, szyderczy rechot Griszki Grekowa:

– A to dobre! *Posmotritie tolko, gospoda*<sup>265</sup>: synalek pobożnego batiuszki Jermołaja śmie wątpić w żywot pozagrobowy! To się staruszek ucieszy, jak usłyszy! No co tak gały wytrzeszczasz, gamoniu? Dopadłem cię nareszcie sam na sam. Myśleliście, żeście mnie przechytrzyli – mnie, Grigorija Wasiljewicza Grekowa, waszego przyrodzonego pana, pana waszych parszywych dusz i waszych nędznych ciał! Śmieliście odebrać mi to, co mi się z prawa należy: słodki różowiutki pierożek rozkosznej, jasnowłosej i błękitnookiej Marfieńki Rodionowny! Suczki, która wkrótce będzie moją czarą rozkoszy, chociaż tylko przez kilka dni, potem oddam ją ludzkim wieprzom. Wywiozłeś ją i ukryłeś, kundlu, ale nie ze mną takie sztuczki!

Griszka uniósł lufę dubeltówki na wysokość piersi Wowki. Ten wciąż milczał, podczas gdy młody dziedzic nadal przemawiał, upajając się swymi słowami i wpadając w coraz większy szal:

– Wy szaraki, *mierzawcy*<sup>266</sup>, wy ludzkie śmiecie, myśleliście, że wam się uda, że Griszka to głupiec, którego można wodzić za nos?! Otóż nie – to ja z was zrobię głupców, ty staniesz się wioskowym pośmiewiskiem, ten pies Tima zgnije w jakichś zatęchłych koszarach, zdechnie od chorób lub w marszu albo dostanie wrogą kulę w pusty bandycki łeb! A wasza ukochana będzie moją szmatą do podłogi, kiedy już ją dostatecznie zbrukam

jako mój materac! No to gadaj, ścierwo, dokąd żeś ją wywiózł? Żywo, bo nie mam czasu na pogwarki z hołotą!

– Niczego się ode mnie nie dowiesz, choćbyś kazał mnie ogniem palić – Wowka wypowiedział te słowa z całkowitym spokojem, gotowy na śmierć – Możesz mnie zabić, tu czy gdzie indziej, nie dbam o to... Tylko ja wiem, gdzie jest Marfa, a ja ci tego nie powiem. Po prostu. Choćbyś czarta samego wezwał na pomoc. Umrę, a nie powiem. Nie takim czortowym kamratom jak ty przeznaczono anioły! Bo Marfa to anioł, który zstąpił na ziemię, by czynić dobro. Nie po to, by o nią wycierali sobie swoje brudne gęby, nogi i plugawe członki tacy jak ty.

Griszka aż zatrząsł się z wściekłości:

– Ty psie, ty kundlu, ty wieprzu, filozofie od gnoju i wideł! Nie ty mnie będziesz pouczał, co mi wolno a czego nie wolno! Gadaj mi zaraz, gdzie jest ta dziwka, albo strzełę ci w oba kolana i tu zostawię! – młody Grekow stracił na moment czujność, co natychmiast wykorzystał Wowka, dopadając go jednym skokiem, podbijając do góry lufę dubeltówki i chwytając ją oburącz. Zaczęli się przepychać, usiłując wyrwać sobie nawzajem broń. Wowka okazał się silniejszy: wykręcił dubeltówkę, wydarł ją Griszce, zamachnął się szeroko i odrzucił daleko za bagno, w toń jeziora. Plusnęło. Wowka nie zauważył jednak, że tymczasem Grekow wyszarpnął kordelas i w chwili kiedy popowicz odwracał się od jeziora, wbił mu nóż w żołądek. Wowka zacharczał, ustami rzuciła się krew, cofnął się dwa kroki i upadł na plecy, prosto w bagno, które natychmiast zaczęło go wsysać. Znieruchomiał, oczy miał zamknięte. Ciężko dyszący Griszka zreflektował się nieco i pomyślał, że jednak tak całkiem na sucho mu to nie ujdzie – w końcu zabił bez istotnej przyczyny człowieka osobiście wolnego, syna popa. Musi się pozbyć zwłok, musi też wyrwać z ciała cenny kordelas... Chwiejnym krokiem podszedł do skraju bagna i pochylił się nad ciałem Wowki, by wyjąć nóż i wepchnąć trupa głębiej. Wtedy nagle popowicz otworzył oczy i w przedśmiertnym skurczu chwycił Griszkę za gruby skórzany pas od torby z ładunkami. Twarz młodego Grekova nieubłaganie przybliżała się do powierzchni bagna, które wciągało Wowkę. Szarpnął się rozpaczliwie, ale umierający Wowka trzymał go mocno, coraz mocniej. Griszka zaczął rozpaczliwie wrzeszczeć, ale w tym odludnym miejscu o tej porze trudno było się kogokolwiek spodziewać. Ostatni krzyk młodego dziedzica przeszedł w bulgot, kiedy twarz zetknęła się z błotnistą mazią. Jeszcze tylko kilka spazmatycznych ruchów rękami, ostatnie wierzgnięcie butem po śliskiej kępie wełnianki, i po chwili obaj na zawsze zniknęli w smrodliwej brei. Bagno mlasnęło, zbulgotało, po czym jego powierzchnia znów się wyrównała, jakby nic się nie wydarzyło. Obaj młodzi ludzie, i ten zły, i ten dobry, dubeltówka, kordelas, modny angielski strój myśliwski i uroczyste wiejskie odzienie zakładane do cerkwi – wszystko zniknęło na zawsze. Na resztkach starego ogniska pozostał tylko bukiecik polnych kwiatów. Wkrótce zwiędną a potem zgniją jak każde życie: rośliny – zarówno leczniczej i trującej, zwierzęcia – łagodnego i drapieżnego, człowieka – dobrego i złego...

Ani stary Grekow, ani batiuszka Jermołaj, ani Timofiej, ani Marfa, ani nikt w Wozniesienskoje i na całym świecie nie dowiedział się nigdy, jak i gdzie zniknęli bez śladu dwaj młodzi ludzie: popowicz Wowka Jermołajewicz Kreczetnikow i młody dziedzic Griszka Wasiljewicz Grekow. Ale oplakiwano i dobrze wspomiano tylko

Wowkę. Stary Wasilj Iwanowicz zdziwaczał, zamknął się w swoim dworze i nie przyjmował żadnych wizyt, nawet dalszej rodziny i lekarzy. Griszka był jego jedynakiem, a pamięć zmarłej przed laty ukochanej żony Sofii, której śmierć uczyniła Wasilija Iwanowicza człowiekiem zgorzkniałym i niewrażliwym na ludzkie cierpienie, odstręczała go od myśli o kolejnym ożenku. Wiosną Roku Pańskiego 1807 Wasilij Iwanowicz Grekow stał się żywym trupem.

Kilku Czytelników, śledzących fragmenty tekstu zanim jeszcze ukazała się książka, poczuło się zawiedzionych tak tragicznym, według nich przedwczesnym, końcem Wowki popowicza... Oczekiwali rozwoju tego wątku, krótko mówiąc, tak zwanego „dalszego ciągu”. A tak w ogóle to z ich wypowiedzi przebijała – nie zawsze wyrażana *expressis verbis*<sup>267</sup> – myśl: „ale to przecież niesprawiedliwe – szlachetny, zakochany w Marfie Wowka, co prawda zawsze twierdzący, iż gotów jest życie za nią oddać, w końcu rzeczywiście je oddaje i ginie utopiony w bagnie zupełnie tak samo, jak biegunowo odmienna postać: nikczemny, budzący naszą odrazę Griszka Grekow!”. Cóż, życie wcale nie jest sprawiedliwe i „zdecydowanie leczy akupunkturą”, tyle że przy pomocy rzeźnickiego noża! Nie oczekujmy od życia sprawiedliwości! Czy jednak rzeczywiście nic nie możemy uczynić dla Wowki popowicza? Czy wszystko nie mogło rozegrać się w inny sposób? Przypuśćmy więc, że... mogło. Tylko co zrobić, kiedy nasz biedny, dzielny Wowka, tak oszalały od szczęśliwej (bo dającej mu nieskończenie wiele pozytywnych emocji) a zarazem beznadziejnej (bo jego jedyna, wyśniona, ukochana „druga połówka” od lat kocha innego, i to jego najlepszego przyjaciela!) miłości do Marfy Rodionowny, zdążył już – dzierżąc w dłoni romantyczny bukiet polnego kwiecia – dotrzeć nad jezioro, na skraj trzęsawiska, gdzie czeka na niego uzbrojony w dubeltówkę systemu Bouteta *mierzawiec* Griszka? W dodatku sam Wowka, na pół przytomny od targających nim wspomnień, jest zupełnie nie uzbrojony... Czy może znaleźć się tam ktoś, kto mu pomoże, kto ponownie napełni jego zboląłą duszę i serce ciepłą, aksamitną treścią; treścią, która może nie będzie w nim eksplodowała niczym huczne fajerwerki, będzie za to balsamem ukojenia, łagodnie i powoli działającym lekiem na krwawiące rany? Ależ może! Rozejrzyjmy się dobrze, my: autor i Czytelnicy, skoro sam Wowka tak oślepl, że niczego i nikogo wokół siebie nie widzi... Kogóż zatem dostrzeżemy? Któż to jak niewielki skromny cień towarzyszy popowiczowi od lat, nie rzucając się w oczy, choć własnymi oczami za Wowką (czy raczej, jak zwykła mówić z powagą i szacunkiem: Władimirem) wodzi nieustannie? Timofiej odchodząc na zawsze z Wozniesienskoje do wojska pozostawił w domu nie tylko przedwcześnie postarzałych od ciężkiej pracy rodziców: Nikitę Grigorjewicza i Afrosinię Pawłowną, ale i młodszą siostrę. Daria Nikitjewna, mała Daszka, młodszą o osiem lat, towarzyszyła bratu i jego przyjaciołom we wszystkich zabawach, przechadzkach, wyprawach na ryby, jagody i grzyby, niewinnych psotach płatanych sąsiadom. Przyzwyczajali się zarówno do jej stałej obecności, jak i do niezauważania tej jej obecności – była jak mały piesek, płaczący się koło nogi, ani specjalnie pomocny, ani nazbyt dokuczliwy. Dlatego nikt nie widział, z jakim zachwytem mała Daszka wpatrywała się swymi brązowymi, oprawionymi w ciemne brwi i rzęsy – zupełnie jak u starszego brata – pięknymi oczami w wysokiego, przystojnego i też ciemnookiego Władimira Kreczetnikowa. Nikt nie zwrócił uwagi, że mały chudy kurczak

o mysich włoskach zamienia się w śliczną dziewczynę, szatynkę o jasnej cerze, regularnych rysach i szlachetnym prostym nosku. Nie, nie była aż tak zjawiskowo piękna jak Marfa, lecz kiedy się uśmiechała lub poruszała, nie sposób było się nie zachwycić. Jednak Marfa i obaj chłopcy wciąż z przyzwyczajenia widzieli w niej dziecko, na innych zaś sama Daria nie zwracała uwagi. Daria kochała Wowkę, najpierw z dziecinnym zachwytem, jak starszego, silniejszego i sprawniejszego towarzysza zabaw; potem jak mądrego, wykształconego, przystojnego i urodziwego młodego mężczyznę. Trochę bolało ją, że – mimo upływu lat i zmian zachodzących w samej Daszy – Władimir nie widział w niej dojrzewającej dziewczyny, młodej kobiety, kogoś z kim można poważnie porozmawiać, kim można się zachwycić, kogoś w kim można się zakochać. Tymczasem Dasza oddała Wowce całe swoje złote, szlachetne serce. Widziała, jak wodzą za nim maślanymi oczami okoliczne krasawice, których on, zapatrzonej w Marfę, nie dostrzegają. Zauważyła też jednak, że śledzi go ktoś jeszcze: młody panicz Griszka Grekow, którego sama się bała i schodziła z drogi, kiedy przechodził lub przejeżdżał w pobliżu. Czuli, że syn pomieszczyka ma złe zamiary, postanowiła więc strzec ukochanego we dnie i w nocy. Było to tym łatwiejsze, że dom Dmitrijewych i plebania, gdzie mieszkała rodzina Kreczetnikowych, sąsiadowały ze sobą. Zupełnie jak w latach dziecinnych, Daria niczym cień podążała z daleka za Wowką, bacząc czy aby nie spotka go co złego. Tak było również owego dnia późną wiosną 1807 roku, kiedy zaczajony w zasadzce Griszka rozpoczął rozmowę z Wowką słowami: „A to dobre! *Posmotritie tolko, gospoda...*”.

Powróćmy zatem do tamtej chwili, skoro ma być inaczej, niż w smutnej scenie opisaną powyżej. Do momentu, kiedy Wowka wrzuca dubeltówkę w toń jeziora i stoi odwrócony plecami do Griszki, ów zaś dobywa kordelasa z zamiarem ugodzenia nim nienawidzonego popowicza. Widzimy jak Wowka powoli obraca się z powrotem w jego kierunku, a młody Grekow z nienawiścią malującą się na obliczu wykonuje zamach kordelasem... W tej samej chwili obaj otwierają usta – pierwszy zaraz wyda okrzyk bólu, drugi ryk wściekłości i triumfu. Tak się jednak nie stało. Nóż wymierzony w żołądek Wowki nie osiąga celu. Zza krzewu leszczyny wypadła bowiem zwinna kobieca postać z rozwianymi włosami i z całych sił uderzyła trzymanym w ręku grubym polanem w dłoń Griszki, dzierżącą kordelas. „Daria! Ale jak, skąd?!” – skonstatował zaskoczony Wowka. Nóż upadł na trawę a obaj mężczyźni zwarli się i ponownie zaczęli siłować. Popowicz silnie odepchnął młodego dziedzica, który upadł na plecy i macał ręką w trawie, szukając kordelasa, który wszakże Dasza zdążyła już pochwycić i kurczowo trzymała w spoczonej piątce. Kiedy Wowka usiadł okrakiem na Griszce, ten złapał odrzucone przez dziewczynę polano i z rozmachem uderzył przeciwnika w skroń. Wowka, ogłuszony, zwałił się bez czucia na prawy bok. Panicz wydobył się na wierzch i uniósł polano, by dokończyć dzieła. Daria, nie myśląc o tym co czyni, skoczyła mu na plecy i wbiła kordelas w kark. Kierowane słabą dłonią ostrze ześlizgnęło się z kręgosłupa i przecięło tętnicę, z której fontanną trysnęła krew. Griszka prawie nie zauważył co się z nim stało – niewidzące oczy wpatrywały się w niebo, drżące dłonie bezskutecznie usiłowały zatamować chlustający obficie jasnoczerwony strumień. Wykrwawił się niemal natychmiast i znieruchomiał. Dopiero teraz dotarło do Darii, co zrobiła. Niczym w amoku, wyężdżając wszystkie siły, chwyciła Grekova za nogi i – ciężko dysząc – zawlokła na skraj



trzęsawiska a potem wepchnęła w błoto, dociskając znalezionym w pobliżu kijem. Bagno zabulgotało i na zawsze skryło zwłoki Griszki. Daria nie wiedziała, jak długo stała na brzegu moczaru, milcząca, z opuszczonymi ramionami. Sama się potem dziwiła, że nawet nie pomyślała o nieprzytomnym Wowce. Dopiero kiedy ten ocknął się i wydał głośny jęk, podbiegła do niego i zmoczonym w błotnistej wodzie rąbkiem zapaski schłodziła mu czoło. Rozejrzał się i zobaczył leżący w trawie zakrwawiony kordelas dziedzica. Nieco dalej – wielką plamę rozlanej krwi. Griszki ani śladu. Zapytał cicho:

– Daszka, co tu zaszło? Gdzie jest ten *mierzawiec*? No i... skąd się tu wzięłaś? Czy ty... Dasza, czy ty...?

Daszka, nie – Daria Nikitjewna Dmitrijewa, tak nagle dorosła – bez słowa wstała z kolan, powoli pochyliła się ujmując nóż Grekowa i podeszła na skraj bagna. Zamachnęła się i wyrzuciła kordelas do jeziora. Rozległ się krótki plusk. Daria zebrała duże naręcze gałęzi, narwała trawy, zakryła nimi plamę krwi, po czym niespiesznie powróciła do Wowki i, spojrzawszy mu głęboko w brązowe oczy, powiedziała głosem tak zmęczonym, jakby przez cały dzień dźwigała ciężary lub harowała w polu:

– Tego *mierzawca* już nie ma i nigdy nie będzie. Może nawet nigdy go tutaj nie było. Timofiej odszedł w szeroki świat. Marfa też tu nigdy nie powróci. Ale ja tu jestem, Wołodia. I zawsze będę. Zawsze tam, gdzie ty. Nawet gdybyś mnie odpędzał jak psa!

Władimir Kreczetnikow spojrzał na nią tak, jakby zobaczył ją po raz pierwszy w życiu. Takiej Darii nie znał. Jednak gdyby go ktoś w tym momencie zapytał, odpowiedziałby, że przy boku takiej dziewczyny, takiej k o b i e t y, mógłby znaleźć swoje miejsce, poczuć się dobrze. I bezpiecznie, mimo iż dopiero co ukończyła siedemnaście lat...

Wyszłoby więc na to, że w Wozniesienskoje nie opłakiwano ani Wowki popowicza, bo przecież nadal żył i – jak się zdaje – los i do niego zaczął się uśmiechać, ani Griszki Grekowa, bo jego zniknięcia nikt nie żałował. Może poza zgorzkniałym ojcem. Zatem, mimo przyjęcia przez nas innej wersji wydarzeń, tylko u Wasilija Iwanowicza Grekowa nic się nie zmieniło: stał się trupem za życia i do końca nim pozostał.

Nikt już nigdy nie dojdzie, co faktycznie zaszło wtedy nad jeziorem. Rewolucja 1917 roku i rosyjska wojna domowa starły z powierzchni ziemi wieś Wozniesienskoje. Zniknęły, jakby nigdy nie istniały, jej skomplikowane dzieje, jej chaty, dwór pomieszczyka Grekowa, cerkiew świętego Mikołaja i dom batiuszki Jermołaja Kreczetnikowa. I cmentarz, na którym niezliczone pokolenia kładły się na wieczny spoczynek; na którym – być może – spoczęły też złożone obok siebie doczesne szczątki pary, która tak długo szukała się nawzajem, wcale o tym nie wiedząc: Wowki popowicza i Darii Nikitjewny. Ci nieliczni, którzy ocaleli z tragicznej, bratobójczej bitwy, jaka zmiotła Wozniesienskoje, śpiewali potem, że było to „*wśród martwych, spopielałych zbóż, pod wsią, co nazwy już nie miała, na bezimiennych stokach wzgórz...*”.

*Lidzbark Warmiński (d. Heilsberg), 7 marca 2017*

**KONIEC**



<sup>1</sup> Ziemia nieznaną – łac.

<sup>2</sup> Był to stosunkowo świeży (1803 r.) wynalazek Nicolasa Apperta: rodzaj weków, umożliwiających konserwowanie żywności przez długie podgrzewanie w specjalnie ukształtowanych butelkach. Pierwszymi oficjalnie przetestowanymi daniami były: zupa, wołowina w sosie, groszek i marchewka, podane marynarzom po trzymiesięcznym leżakowaniu. Test wypadł rewelacyjnie. Tę metodę (tzw. appertyzację) stosowano potem szeroko, lecz sam wynalazca zmarł po latach w biedzie i zapomnieniu, pochowany w masowym grobie biedoty. Vide: [https://pl.wikipedia.org/wiki/Nicolas\\_Appert](https://pl.wikipedia.org/wiki/Nicolas_Appert). Pierwsze polskie wydanie jego poradnika konserwowania żywności ukazało się w 1820 r. Autor niniejszej powieści jest szczęśliwym posiadaczem jego kopii, dzięki uprzejmości olsztyńskiego archeologa Jarosława Sobieraja.

<sup>3</sup> „Dobrze, chcesz wody do mycia?” – franc.

<sup>4</sup> „Do mycia” – niem.

<sup>5</sup> *Saponaria officinalis* L.

<sup>6</sup> „Dwaj faceci, to samo imię!” – franc. Fonetycznie brzmi do rymu („dö omm, mem nom”).

<sup>7</sup> Dosł. „zupa” – franc., jednak w ten sposób określano też ciepły posiłek gotowany na trasie przemarszu.

<sup>8</sup> „Kto to jest Marfa, Marfieńka?” – franc.

<sup>9</sup> „Panie unteroficerze, pan nas nie poznał? To my, Fiedot i Borys” – ros.

<sup>10</sup> Ilja Muromiec, legendarny bohater licznych staroruskich bylin, vide: [https://pl.wikipedia.org/wiki/Ilja\\_Muromiec\\_\(postać\)](https://pl.wikipedia.org/wiki/Ilja_Muromiec_(postać)).

<sup>11</sup> Ob. Tbilisi, stolica Gruzji.

<sup>12</sup> „Dekabryści” od „diekabr” – ros. grudzień: uczestnicy spisku i buntu grupy oficerów, żołnierzy i inteligentów przeciwko Mikołajowi I w grudniu 1825 r., dążący do modernizacji ustroju Rosji.

<sup>13</sup> Fragment „Zapisków A.P. Jermołowa 1798–1826”, wyd. Moskwa 1991, w moim przekładzie.

<sup>14</sup> Artel – podstawowa jednostka swobodnego „samorządu” żołnierskiego, zajmująca się głównie sprawami zaprowiantowania i bieżących napraw.

<sup>15</sup> Z dniem 28 marca 1827 r. A.P. Jermołow, podejrzewany o związki z „dekabrystami”, został pozbawiony dowództwa korpusu, a 25 listopada przeniesiony w stan spoczynku „z przyczyn osobistych”, z pełnym uposażeniem. Przywrócony do służby 25 października 1831 r.; pełnił ją do maja 1855 r. Zm. w Orle 11 kwietnia 1861 r. Losy jego grobu i pomnika stanowią odzwierciedlenie licznych „zakrętów” historii Rosji po 1917 r.

<sup>16</sup> „Majątek szlachecki” – ros.

<sup>17</sup> „Jak gęś z prosięciem” – ros.

<sup>18</sup> Zniekształcony, fonetyczny zapis nazwy 21. Füsilier–Bataillon von Stutterheim, jednostki stacjonującej do wojny 1806–1807 w Heilsbergu.

<sup>19</sup> „Timothée, tam są nasi zmarli towarzysze” – franc.; łamany fonetyczny zapis.

<sup>20</sup> „Dowódca decyduje. Powiem mu”; „Możecie pogrzebać zmarłych. Tyle, że po zupie” – franc.

<sup>21</sup> „Znaczy, uciekamy, panie unteroficerze? Kiedy?” – ros.

<sup>22</sup> Ros. miary długości: łokieć (łokot’) = 45 cm, sążen (sazen’) = 213,36 cm.

<sup>23</sup> „Alarm! Kozacy! Ratujcie magazyn amunicji!” – franc.

<sup>24</sup> „Dziękuję” – franc.

<sup>25</sup> Na mocy Statutu Żydowskiego Aleksandra I z 1804 r. Żydzi musieli przybrać nazwiska. Prawa nadane w Statucie (dopuszczenie do obywatelstwa miejskiego wraz z nadaniem czynnego i biernego prawa wyborczego do władz municypalnych, otwarcie rynku dla żydowskiego handlu i rzemiosła) zostały de facto znacznie ograniczone natychmiast po ogłoszeniu.

<sup>26</sup> „Interesu” – jidysz (z niem.).

<sup>27</sup> Kahał – gmina żydowska. Na pocz. XIX w. w Rosji kahały zostały zreorganizowane przez władze.

<sup>28</sup> „Strefa osiedlenia” – w Rosji przełomu XVIII i XIX w. obszar obejmujący dawne tereny Rzeczypospolitej, Krym i tzw. Nową Rosję nad Morzem Czarnym, na którym wolno było zamieszkiwać Żydom.

<sup>29</sup> Wg kalendarza gregoriańskiego: 17 października 1806 r.

<sup>30</sup> Ob. Semeliškės. Najbliższe od Rudziszek gminy żydowskie i synagogi znajdowały się w Sumiliszkach i Olkienikach.

<sup>31</sup> „Ech, braciszkowie, zostawcie tego Żyda! On głupi, nie zna się na dobrej gorzałce. Żal takiemu dawać, wypije ją jakby wodę pił i nawet smaku nie poczuje. Dobra gorzałka nie dla Żydów! My bracia chrześcijanie, ja z wami z ochotą wypiję!” – zniekształcony, stylizowany żargon ros.–białorus.

<sup>32</sup> „Nic, nic, Marfo! Jestem żywy, zdrowy... i kiedy ciebie widzę, niczego mi więcej nie trzeba” – ros. Rosjanie często używają wobec osób, z którymi pozostają w zażyłości, skróconych form imion, np. Marf, Sasz, Grisz itp.

<sup>33</sup> Jednym z najprostszych sposobów czasowego przyciemnienia cery jest jej równomierne przemywanie wodą po gotowanych przez kilkanaście minut w dużej ilości suchych łupinach cebuli.

<sup>34</sup> Lawendę uprawiano w ogrodach. Vide np. Józef Jundziłł, „*Opisanie roślin w Litwie, Na Wołyniu, Podolu i Ukrainie dziko rosnących iako i oswoionych*”, Wilno 1830: „LAWENDA, *lavandula*. Lawenda pospolita, L Spica: *foliis linearibus, subtus revolutis; verticillis spicatis, inferne remotiusculis; bracteis ovatis, acutis, scariosis*. Łodygi złokciowe; liście równowązkie, po brzegach odgięte; okółki kłosa składają: dolne oddalone; kwiaty modre; przysadki iaiowate, ostre, suche. Roślina z południowey Europy, w ogrodach pospolicie utrzymywana”.

<sup>35</sup> Anteros – wg niektórych mitografów brat bliźniak Erosa, patron niespełnionej miłości, nakłaniający swoich „podopiecznych” do szukania ukojenia w altruizmie i działaniach charytatywnych.

<sup>36</sup> „Nie! Brać go żywcem!” – ros.

<sup>37</sup> „Gównno!” – franc.

<sup>38</sup> „Gównno? Tak, dosłownie ‘gównno’! To na szczęście” – franc.

<sup>39</sup> „Panie unteroficerze, ja go znam. To ten Prusak, z którym zaznajomiliśmy się w Schönwiese” – ros.

<sup>40</sup> „Panie podoficerze! Gregor Edmer, żołnierz 21. Batalionu Fizylierów von Stutterheima. Uciekłem z francuskiej niewoli” – niem.

<sup>41</sup> „My także!” – niem.

<sup>42</sup> Ob. Znamienskoje RF.

<sup>43</sup> Ob. Miłakowo.

<sup>44</sup> Pasłęka.

<sup>45</sup> Ob. Babiak.

<sup>46</sup> „Co to za wioska? Czy to Launau?” – franc.

<sup>47</sup> Miejska Wola, Kaszuny, Lubomino, Ełdyty Wielkie.

<sup>48</sup> „Gdzie Francuzi cię pojмали?”, „Pod Wackern; to mały majątek szlachecki w pobliżu Preussisch Eylau. Nasza kompania ubezpieczała marsz korpusu L’Estocqa... i została wybita prawie do ostatniego człowieka” – niem.

<sup>49</sup> Jańsbork/Pisz.

<sup>50</sup> Działdowo.

<sup>51</sup> Sępólno i Sątoczno. Zarys losów batalionu Stutterheima przytaczam za własną pracą „Guttstadt i Heilsberg. Działania wojenne w rejonie Dobrego Miasta i Lidzbarka Warmińskiego 4–12 czerwca 1807 roku” i książką J.R. Arnolda i R.R. Reinertsena „Kryzys w śniegu. Kampania zimowa 1806–1807 roku”.

<sup>52</sup> Ney, ze względu na kolor włosów, nazywany był w armii „Rudzikiem” lub „Rudym lwem”; po kampanii rosyjskiej i bitwie pod Borodino zyskał przydomek „Najdzielniejszy z dzielnych” („Brave des braves”).

<sup>53</sup> Ob. Czapajewo RF; Wackern ob. nie istnieje, po 1945 r. nosiło nazwę Jelanowka RF.

<sup>54</sup> Wilhelm von Krauseneck, przyszły feldmarszałek i szef sztabu armii pruskiej.

<sup>55</sup> „Jakże sławny jest Pan nasz na Syjonie”, hymn Rosji skomponowany w czasach cara Pawła I. Vide: <https://www.youtube.com/watch?v=E7g0a08r02U> ; „Dlaczego mnie tam nie było?!”.

<sup>56</sup> „Kto?”, „Kto to jest Ilja Muromiec?”; „Szczególnie silny bohater ze starych rosyjskich legend” – niem.

<sup>57</sup> „Tak, rozumiem...” – niem.

<sup>58</sup> „Jak się nazywa to miasteczko?” – franc.

<sup>59</sup> Prywatna firma świadcząca usługi transportowe Wielkiej Armii w 1807 r. (vide: G. Lechartier, Służby tyłowe Wielkiej Armii w kampanii 1806–1807 roku, Oświęcim 2013).

<sup>60</sup> W rzeczywistości dawna niemiecka nazwa rzeki i w konsekwencji miasteczka jest przypadkową brzmieniową adaptacją staropruskiego określenia podmokłego, bagnistego terenu. Wg innej wersji, od nazwiska wystawcy aktu lokacyjnego: Konrada von Liebenzelle.

<sup>61</sup> Dociekliwych miłośników dosłowności odsyłamy do książki Jana Parandowskiego „Eros na Olimpie”.

<sup>62</sup> Morąg.

<sup>63</sup> W oryginalnej wersji francuskiej występowałaby tu gra słów: po francusku zarówno piwo, jak i trumnę określa się tym samym słowem – „la bière”.

<sup>64</sup> Hugenoci – francuscy wyznawcy kalwinizmu.

<sup>65</sup> Rycina obrazuje aroganckie zachowanie Francuzów.

<sup>66</sup> „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!”; „Na wieki wieków!” – niem.

<sup>67</sup> Wstawkę „tym za Landsbergiem” wrzuciłem dla zaznaczenia, iż chodzi o Preussisch Eylau (Bagrationsk RF) a nie Eylau (vel Deutsch Eylau) czyli ob. Iławę. Trudno bowiem przypuszczać, żeby mieszkańcy Launau używali w rozmowie pełnej, oficjalnej nazwy miasteczka: Preussisch Eylau.

<sup>68</sup> „Te przekłete żabojady [dosł. Celtowie, Galowie]” – niem.

<sup>69</sup> Tu autor zapożyczył się nieco u Honoré Balzaca, wplatając wątek z „Pułkownika Chaberta”.

<sup>70</sup> „Wszystko jedno” – niem.

<sup>71</sup> Bartoszyce.

<sup>72</sup> „Ani słowa więcej!” – niem.

<sup>73</sup> Pudlikajmy, Ignalin, Widryki, Nowa Wieś Wielka.

<sup>74</sup> „Pizdostradatiel” – ros. wulgarnie i skrajnie lekceważące określenie mężczyzny, który cierpi z powodu nieszczęśliwej miłości (dosł. „z powodu p...y”).

<sup>75</sup> „Zgniła gorączka” (*febra putrida*) – jedno z dawnych określeń tyfusu.

<sup>76</sup> „Pogrzebacz” – ros.

<sup>77</sup> James (w Rosji Jakow Wasiljewicz) Wylie, pisany fonetycznie jako: Uejli, Wejli, Wilje – ur. w Szkocji wg różnych danych w 1765, 1766 lub 1768 r., zm. w Petersburgu w 1854 r.

<sup>78</sup> „Co się dzieje, Michaelu?”; „Nic. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Możemy jechać dalej, panienko Lieselotte” – niem.

<sup>79</sup> „Panie, zmiłuj się nade mną grzesznym, alem jeszcze takiej piękności nie widział!” – ros.

<sup>80</sup> „Czy pamięta pan cokolwiek?” – franc.

<sup>81</sup> „Śmierć jest czerwona. Potem jest niebieska. A potem jest zimno... Przede wszystkim zaś zapada cisza...! Cisza... Z początku słyszysz jakby szmer strumienia... ostatnie westchnienia towarzyszy, jęki, jakby czyjś płacz, tak, tak. Chrząst kości, zgrzytanie zębów... Panie!” – franc. Cytat z filmu „Pułkownik Chabert”.

<sup>82</sup> Zgromadzenie sióstr Św. Katarzyny Aleksandryjskiej powołała do życia w XVI w. pochodząca z Braniewa (Braunsbergu) błogosławiona Regina Protmann; konwent lidzbarski (heilsberski) powstał w 1587 r. i dotąd funkcjonuje. Wprawdzie obsługa szpitali nie należała do bezpośrednich zadań zgromadzenia, jednak *de facto* siostry często pomagały w ich prowadzeniu jako jedyny wówczas zakon żeński w Heilsbergu.

<sup>83</sup> W epoce napoleońskiej: sztywny epolet ozdobiony haftem, z okrągłym lub owalnym zakończeniem ozdobionym pękiem prostych frędzli lub bardziej skomplikowanych, grubo plecionych tzw. „bulionów”; wsuwano go pod poprzecznie naszytą na mundurze, u nasady rękawa, szlufę i zapinano na metalowy guzik umieszczony przy kołnierzu. Wszywane najczęściej złotymi i srebrnymi nićmi szlify same w sobie stanowiły cenne wyroby sztuki szmuklerskiej.

<sup>84</sup> „Panie unteroficerze, już jasno, pora wstawać” – ros.

<sup>85</sup> Niemiecki przesąd związany z przełomem roku, wywodzący się jeszcze z

czasów pogańskich.

<sup>86</sup> „Wasze zdrowie, gospodarzu! Niech żyje Francja!”; „Niech żyje Francja! Niech żyje pokój!” – franc.

<sup>87</sup> Mili pruskiej równiej 7420,44 m

<sup>88</sup> W tym miejscu przeniosłem do roku 1807 historię opowiadaną obecnie w Ignalinie/Reimerswalde.

<sup>89</sup> „My wszyscy uciekliśmy z niewoli. To moi żołnierze [...], kurlandzki dragon [...] i pruski fizylier [...]” – ros.

<sup>90</sup> Tu kilka koniecznych informacji chronologicznych. Armia francuska zaczęła się wycofywać spod Preussisch Eylau ok. 16 lutego, w pierwszej kolejności ewakuując rannych. 17 lutego skupiła się pod Landsbergiem/Górowem Iławeckim. 18 lutego dowódca IV korpusu marszałek Soult przebywał we Frauendorfie/Babiaku, a nazajutrz przeniósł kwaterę do Liebstadt/Miłakowa. Oznacza to, że nasi bohaterowie: zarówno Lieselotte, jak i zbiegowie ze Schwollmen, poruszali się po terenie penetrowanym przez lotne oddziały obu stron, które na szczęście nie wszędzie docierały. Panujące zamieszanie umożliwiło bohaterom opowieści bezpieczne dotarcie do celu. Bezpośrednie okolice Heilsbergu/Lidzbarka Warmińskiego pozostawały w rękach Francuzów do 22 lutego 1807 r. Można zatem zaryzykować stwierdzenie, że w dniach 16 – 22 lutego na opisywanym terenie mogło się wydarzyć niemal wszystko.

<sup>91</sup> Finckenstein – ob. Kamieniec Suski; Napoleon kwaterował tam od 1 kwietnia do początków czerwca 1807 r.

<sup>92</sup> A.A.R. de Saint–Chamans, „Mémoires du...”, Paris 1896, s. 62; tłum. – S.S.

<sup>93</sup> Wbrew nazwie (dosł. „szef szwadronu”) *chef d’escadron* dowodził dwoma szwadronami, sytuując się pomiędzy kapitanem a podpułkownikiem czyli wówczas *chef de bataillon*.

<sup>94</sup> A.A.R. de Saint–Chamans doczekał się upragnionego awansu dopiero 11 lipca 1807 r.

<sup>95</sup> „Na modłę niemiecką” – franc.

<sup>96</sup> Elbląg.

<sup>97</sup> Pociągi (*train* – franc.), kolumny transportowe.

<sup>98</sup> Żuławy w delcie Wisły.

<sup>99</sup> „Mój drogi Alfredzie” – franc.

<sup>100</sup> Rosenberg – Susz.

<sup>101</sup> Gourmand – franc. „smakosz”.

<sup>102</sup> Mocna, wonna normandzka wódka pędzona z jabłek.

<sup>103</sup> Blumen – ob. Pityny, Pittehen – ob. Kasztanowo, Elditten – ob. Ełdyty Wielkie, Schwenkitten lub Schwendt – ob. Świątkity.

<sup>104</sup> „Powodzenia” – franc.

<sup>105</sup> Święty Marcin był rzymskim oficerem służącym na terenie Galii czyli ob. Francji.

<sup>106</sup> Wideta vel wedeta – posterunek obserwacyjny.

<sup>107</sup> Podczas wojny kozacy bardzo często beztróska wbijali swe piki grotami wprost w ziemię, narażając je na szybkie stępienie i korozję.

<sup>108</sup> „No, panie szanowny, wyciągaj pan szablę i bij się!” – ros.

<sup>109</sup> „Czy mówi pan po niemiecku?”; „Tylko odrobinę, nie za dobrze...” – niem.

<sup>110</sup> „A pan, czy mówi pan po francusku?”; „Ja także tylko trochę” – franc.

<sup>111</sup> „Generał Victor oczekuje w Wormditt; to niedaleko” – franc.

<sup>112</sup> *Szachris* (tak u Żydów aszkenazyjskich, hebr. *szacharit*) – codzienne, najdłuższe modły poranne odmawiane na czczo, odpowiadające w diasporze dawnym ofiarom w Świątyni, wg tradycji ustanowione przez Abrahama; składają się na nie błogosławieństwa, psalmy, Szma (potwierdzenie monoteizmu i wezwanie do ukochania Boga całą mocą serca i duszy) i hymny (m.in. Amida, której nie wolno przerywać nawet w skrajnych okolicznościach). *Tefilin* – skórzane czarne pudełeczka zawierające cztery ustępy biblijne; mocowano je podczas odmawiania *szachris* na czole i lewym przedramieniu. *Tales* (hebr. *talit*) – czworokątny szal modlitewny ozdobiony czarnymi lub czerwonymi pasami, z przyczepionymi *cycles* (hebr. *cicit*) symbolizującymi nakaz pamięci o przykazaniach; zakładany podczas odmawiania *szachris*.

<sup>113</sup> Tu: tytuł grzecznościowy stosowany wobec szanowanej osoby, Ajzyk nie był rabinem. Wśród chasydów używano w tej sytuacji formy „*reb*”.

<sup>114</sup> Liwerant – zakontraktowany dostawca produktów dla wojska.

<sup>115</sup> Chodzi o tzw. Zarząd Polowej Kancelarii Wojskowej Jego Imperatorskiej Mości (*Uprawlenije Wojenno – Poliewoj Kancelarii Gosudaria Imperatora*).

<sup>116</sup> *Puryc* – w jidysz: pan, panicz, wielmożna osoba.

<sup>117</sup> O ile Joel Meyerowicz został wkrótce uniewinniony, zwolniony i przywrócony na stanowisko, to Stiepanow wylądował na Syberii jako katorżnik; zwolniono go dopiero na osobisty rozkaz Aleksandra I w 1814 roku, po zajęciu Paryża i pierwszej abdykacji Napoleona.

<sup>118</sup> Memel – Kłajpeda na Litwie; Frische Haff – Zalew Wiślany; Pregel – Pregoła.

<sup>119</sup> „Dzień dobry, chłopaki! Chcecie coś jeść, pić, zakręcić się ze mną [breslajisch: *schärbeln* – potaćcować] czy też...” – niem.

<sup>120</sup> „Ej, moi śliczni Rosjanie, jesteście cofnięci w rozwoju? Albo powolni [w myśleniu]?”; „A tak w ogóle to macie pieniądze?” – niem. z elementami breslajisch. „Pinunsen” lub „Penunsen” to wpływ polszczyzny.

<sup>121</sup> „Tak, oczywiście, moja damo. Moi towarzysze mają wystarczająco dużo pieniędzy czy też „Pinunsen”, żeby się z panią ustawić i pójść do łóżka” – niem.

<sup>122</sup> „A pan, panie oficerze? Może chce pan trochę pofiglować na sianie z doświadczoną kobietą?”; „Może następnym razem...” – niem.

<sup>123</sup> „No to wypijmy!”; „W wasze ręce, Timofiejku Nikityczu” – ros.

<sup>124</sup> Poniterować – stawiać na kartę w grze.

<sup>125</sup> W grze może brać udział dowolna ilość osób. Prowadzi ją jeden z uczestników gry, zwany „bankierem”, jest on przeciwnikiem reszty graczy zwanych „poniterami”. Każdy z poniterów dobywa jedną, bądź kilka kart z przyniesionej przez siebie talii i kładzie ją przed sobą zakrytą. Na tej zaś karcie ustaloną przez siebie stawkę, o którą chce grać. Bankier tasuje swoje karty i daje je do przełożenia. Poniterzy odsłaniają zakryte dotąd karty „poniterki” i zaczynają „ciągnąć bank”. Bankier odkrywa po kolei wszystkie swoje karty, kładąc pierwszą po prawej ręce a drugą po lewej, trzecia znów po prawej,



czwarta po lewej i tak dalej... aż do wyczerpania talii. Karty, które znalazły się po prawej stronie były wygraną banku, karty które upadły po lewej wygraną poniterów. Jeśli ktoś położył przed sobą na przykład 4 pik, a na niej dukata, zaś z talii bankiera 4 pik upadła na prawo, tracił swojego dukata, jeśli upadła na lewo, bankier dukata mu wypłacał. Od zasady tej istniały dwa odstępstwa. – Ostatnia karta chociaż kładziona po lewej wygrywała dla bankiera. – Drugim wyjątkiem był przypadek określany nazwą „plija” kiedy po obu stronach padały z talii bankiera karty tej samej wartości, lecz oczywiście innej maści. W takim wypadku poniter tracił na rzecz banku połowę swej stawki. Tak kończyła się pierwsza runda rozgrywki. Następnie zaczynało się drugie ciągnięcie banku, we wszystkim identyczne z pierwszym. Poniterzy, którzy w pierwszym ciągnięciu wygrali, mogli teraz dalszej gry poniechać, mogli grać od nowa na inną kartę, bądź z największą dla siebie korzyścią – „parolować”. Jeśli w pierwszej rundzie rozgrywki obstawił ktoś swą poniterkę dukatem i wygrał, leżały na karcie dwa dukaty (bankier zawsze dublował postawioną kwotę). Gracz grając dalej „na parol” załamywał jeden róg karty. Jeśli teraz przegrał, tracił tylko jednego dukata, jeśli wygrał, miał dukatów cztery. Gdy dopisało mu szczęście, w ciągnięciu następnym grał „sept et le va” łamiąc drugi róg karty obstawionej owymi czterema dukatami i znowu ryzykował przegranie tylko jednego. Jeśli zaś wygrał, suma leżąca na karcie podwajała się. Przy losach podobnie fortunnych, zaginał następny róg karty na znak że gra „quinze et la va”. Gdy wygrał, miał już szesnaście dukatów. Tak niebываłe szczęście można było wykorzystać jeszcze tylko raz, łamiąc w następnej rundzie ostatni czwarty róg karty. Ostatnie zagięcie karty nazywało się „trente et le va” a wynik gry niósł za sobą takie same następstwa jak w ciągnięciu poprzednich, czyli utratę tylko początkowej stawki lub podwojenie dotychczasowej wygranej. Zasadą łagodzącą czasami skutki gry w faraona była możliwość odstąpienia od gry po każdym ciągnięciu banku, co tyczyło zarówno poniterów jak i bankiera. Stawka mogła być dowolna: i jeden dukat na start, i 10 000. Reasumując, była to bardziej gra losowa przypominająca obstawianie ruletki niż pełnoprawna gra karciana, w której decydują umiejętności gracza, choć zapewne umiejętności bankiera w kwestiach związanych z tasowaniem i manipulowaniem talią miały dosyć „istotne” znaczenie. Wadą tej gry było to, że karty były jednorazowe, i po odłamaniu rogu raczej trudno było je wykorzystać do innych gier czy ponownych zakładów. Opis za: <http://www.oldartillery.pl/strona/en/xix-wiek/24-ogolna/29-faraon-epokowa-gra-karciana.html>

<sup>126</sup> „Trzymaj, trzymaj, moje ty śliczności! Absolutnie zasługujesz na takie i nie tylko takie pieniądze! Jesteś droższa, niż całe złoto świata”; „Dziękuję, dziękuję, mój drogi Waniuszka... A teraz pójdziemy do domu, tam trochę się zabawimy, żebyś się potem dobrze wyspał” – ros.

<sup>127</sup> „Nieprawdaż?” – niem.

<sup>128</sup> „Nie, dziękuję, panie oficerze. Wszystko w porządku” – niem.

<sup>129</sup> Wrażliwszych Czytelników informuję, że słowo „pierdolić” oznaczało pierwotnie tyle, co „wygadywać głupoty” („mowa bez sensu, przypominająca... pierdzenie”). W jęz. niemieckim czasownik „pierdolić” w sensie seksualnym brzmi „ficken” lub wulg. „reiten”; natomiast „pierdolić głupoty” to np. „Dummheit reden”. W

jęz. rosyjskim czasownik odpowiadający słowu „pierzelić” brzmi „pizdit” (źródłosłów jest oczywisty!), zarówno w znaczeniu seksualnym, jak i „wygadywania głupot”; w polskim jest podobnie.

<sup>130</sup> „Pojedynek” – franc., także zaadaptowane w ros. jako „duel”.

<sup>131</sup> „Sokole oko” – niem.; w niem. używa się też określenia „Adlerauge”, tj. „orle oko”.

<sup>132</sup> „Panowie” – ros.; „Panie hrabio” – niem.

<sup>133</sup> Epizod uchodzi za autentyczny (w źródłach jest określany jako „jedna z anegdotycznych relacji” dotyczących okresu stacjonowania wojsk koalicyjnych w Heilsbergu wiosną 1807 r.), rozegrał się w jednej z heilsberskich karczem; ja umieściłem go w „Zu Drei Schwestern”, co także było możliwe.

<sup>134</sup> „Zapewnia nas, że to wołowina” – franc.

<sup>135</sup> „Trzeba upiec to mięso” – franc.

<sup>136</sup> „Tak, musimy upiec to mięso” – niem.

<sup>137</sup> „Powinien pan pojechać ze mną” – kiepski franc.

<sup>138</sup> „Panie oficerze, obawiam się kozaków, którzy są tu wszędzie” – niem.

<sup>139</sup> Biała Wola.

<sup>140</sup> „Generał Victor pozostaje w Wormditt. Moje dowództwo nie wyraziło zgody na jego wymianę” – franc.

<sup>141</sup> Limity vel Lemity, ob. nie istnieją.

<sup>142</sup> „Wielkie dzięki, kolego” – franc.

<sup>143</sup> „Bardzo mi miło, mój panie. Moje nazwisko von Arnim”; „Bardzo mi miło. Jestem kapitan Alfred de Saint – Chamans, adiutant marszałka Soulta” – franc.

<sup>144</sup> „Zgoda!” – franc.

<sup>145</sup> Opis sytuacji oparłem na rycinie Carla Röchlinga i wspomnieniach Saint – Chamansa, który asystował przy wymianie. Nie upieram się przy piechocie obecnej podczas wymiany (może być i kawaleria, tak jak w części źródeł), jednak dyskusja zamieszczona w tym miejscu: <http://w.napoleon.org.pl/forum/viewtopic.php?t=77&p=1087> (dostęp 20 lutego 2017) wydaje się nie uwzględniać relacji adiutanta Soulta, który osobiście pilotował całą sprawę od początku do końca.

<sup>146</sup> Wymienione wyżej miejscowości to: Frauendorf – Babiak, Neuendorf – Nowa Wieś Wielka, Reimerswalde – Ignalin, Bogen – Bugi, Bürgerwalde – Mejska Wola, Kaschaunen – Kaszuny, Drewenz – Drwęca, Sperwatten – Zaręby, Workeim – Workiejmy, Launau – Łaniewo, Raunau – Runowo.

<sup>147</sup> Pudlikajmy.

<sup>148</sup> „Pani, zlitujcie się! W imię Zbawiciela i Przenajświętszej Matki Bożej! Jeśli oni mnie znajdą, zabiją jak psa... Zlitujcie się, pokażcie gdzie mogę się ukryć” – ros.

<sup>149</sup> „Żołnierzu, musisz dalej, dalej. Jeść i dalej. Niebezpiecznie” – łamany ros.

<sup>150</sup> „Kobietko, stój! Nie uciekaj! Ja strzelać!” – niem./ros. (fonetycznie).

<sup>151</sup> „To ty! To ty, moja śliczna, moja Cud Dziewica z bajki! Nareszcie cię odnalazłem! Zobaczyłem cię tylko raz i zakochałem się od pierwszego wejrzenia! Nie bój się, nie dotknę cię nawet jednym palcem... Porozmawiaj ze mną, uśmiechnij się do mnie,

wszystko będzie dobrze, tylko się nie bój” – ros.

<sup>152</sup> „Dziękuję wam, dobrzy ludzie. Zostanę przy nim...” – ros.

<sup>153</sup> Bartoszyce.

<sup>154</sup> Wej dewut – legendarny rzekomy „król” wszystkich Bałtów, ojciec wielu synów, od których imion pochodzić miały nazwy różnych plemion i ludów; o tych tzw. „babach pruskich” można znaleźć liczne informacje w internecie i literaturze historycznej. Posąg „Gustebaldy” stał pod bartoszyckim ratuszem w latach 1769 – 1819, do czasu rozbiórki budynku. Potem dwukrotnie zmieniał miejsce; istnieje do dziś.

<sup>155</sup> Gotycka Brama Lidzbarska; nadal istnieje i stanowi najbardziej znany symbol Bartoszyce.

<sup>156</sup> „Dzwon umarłych”, w który uderzano podczas pogrzebów.

<sup>157</sup> „Ależ, Wasza Królewska Mość” – niem.

<sup>158</sup> „Ani słowa więcej, panowie. To jest rozkaz!” – niem.

<sup>159</sup> „Moi ukochani, wierni poddani!” – niem.

<sup>160</sup> Określenie zaczerpnięte z „Kalendarza Królewsko – Pruskiego ewangelickiego” Marcina Gerssa.

<sup>161</sup> Modny XVIII-wieczny warkocz męski, obowiązujący w armii pruskiej przed 1806 rokiem.

<sup>162</sup> Zamek w Bartoszycach zburzyli podczas Wojny Trzynastoletniej zbuntowani mieszkańcy, sympatyzujący ze Związkiem Pruskim i Polską.

<sup>163</sup> Podporucznik – wł.

<sup>164</sup> Scena oparta na wspomnieniach pruskiego generała von Boyena, który taką właśnie sytuację ujrzał podczas spaceru do ruin zamku; tu autor zamiast niego umieścił Gontarza jako przypadkowego obserwatora.

<sup>165</sup> Artele – rodzaj żołnierskich spółdzielni samopomocowych; udział w nich był obowiązkowy.

<sup>166</sup> W 1807 roku Konstantin Batuszkow liczył sobie dwadzieścia lat.

<sup>167</sup> „Jakież radości mogą nas spotkać na obczyźnie? Doznajemy ich tylko w ojczystych krajach; rozkwitają w mojej głuszy w każdym chaszczu i w śniegach. Oddajcie mi moją wolność! Oddajcie ojców kraj, ojczyście zamiecie, niepogodę, azyl mój w ojczyźnie, pokryty zimą jaśniejącym śniegiem” – ros.; fragment wiersza „Plennyj” – „Jeniec”.

<sup>168</sup> „Jak się pan nazywa, ekscelencjo?” – ros.

<sup>169</sup> „Pan Thymotäus, nieprawdaż? To list od naszej siostry. Dla pana. Elsa nie mogła przyjechać...” – niem.

<sup>170</sup> „Czy to pan, panie oficerze?” – niem.

<sup>171</sup> „Pali się! Pali się! Pomocy!” – niem.; „Pali się! Pali się! Wszyscy na pomoc!” – franc.

<sup>172</sup> „Morda [w kubel!]! Odwal się!” – franc.

<sup>173</sup> „Idź się pieprzyć!” – franc.

<sup>174</sup> „Wkurwiasz mnie!” – franc.

<sup>175</sup> Mała aluzja: franc. „Alouette” i „Rossignol” to po polsku „Skowronek” i „Słowik”.

- <sup>176</sup> „Nie dało się uratować pozostałych koni ani reszty rzeczy” – niem.
- <sup>177</sup> „Jak zdołam ci się odwdzięczyć? Wszystko przepadło...” – franc.
- <sup>178</sup> Różnowo. „Od tego miasta” – chodzi o Liebstadt/Miłakowo.
- <sup>179</sup> „Moi serdeczni przyjaciele!” – franc.
- <sup>180</sup> Objawienie.
- <sup>181</sup> Gdańsk.
- <sup>182</sup> „Czyż nieprawda?” – franc.
- <sup>183</sup> Orschen – Orsy; Zinthen – Cynty, ob. Korniewo RF; Fischhausen – Rybaki, ob. Primorsk RF; Pillau – Piława, ob. Bałtijsk RF.
- <sup>184</sup> Tekst listu jest stylizowany, lecz zgodny z treścią pisma otrzymanego przez Bennigsen.
- <sup>185</sup> Bennigsen rozmawiał ze sztabowcami, podobnie jak cała rosyjska arystokracja, po francusku.
- <sup>186</sup> Kiwitten – Kiwity; Paris – Parys k/Korsz, kawaleria Gwardii została ulokowana tak daleko zapewne w celu pozyskania zapasów furazu.
- <sup>187</sup> W źródłach mamy pewną niezgodność. Bennigsen twierdzi, że zarówno termin koncentracji jak i termin jego przybycia do Heilsbergu ze sztabem wypadł 9 maja; tymczasem Robert Wilson podaje jako czas wyjazdu Bennigsen do Heilsbergu popołudnie 10 maja. Należałoby przyjąć wersję Wilsona, gdyż prowadził on dziennik, podczas gdy Bennigsen zestawiał swe zapiski dopiero jakiś czas po wydarzeniach.
- <sup>188</sup> Brama Królewiecka, ob. nie istnieje.
- <sup>189</sup> W 1807 r. dowódcą pułku był gen.–mjr Iwan Fiodorowicz Jankowicz.
- <sup>190</sup> Gajusz Kasjusz Longinus – jeden z głównych spiskowców i zabójców Juliusza Cezara.
- <sup>191</sup> „Sam tego chciałeś, Jerzy Dandin” – franc. (w przekładzie Boya: „Grzegorz Dyndało”). Cytat ze sztuki „Grzegorz Dyndała albo mąż zmieszany” („Georges Dandin ou le Mari confondu”).
- <sup>192</sup> „Ten, który zwyciężył niezwyciężonego” – łac.
- <sup>193</sup> Kwintus Fabiusz Maksimus, zwany Kunktator („zwlekający”) – dwukrotny rzymski dyktator, zasłynął zwłaszcza podczas drugiej dyktatury w 217 r. p.n.e., podczas wojny z Hannibalem. W rzeczywistości medal wybito dla Napoleona, Bennigsen tylko porównywano z Fabiuszem.
- <sup>194</sup> „Panowie, przyjechali nasi angielscy przyjaciele Robert i Kit. Teraz zaszalejemy!” – ros.
- <sup>195</sup> Tak u Bennigsen; Wilson podaje godzinę siódmą, ale zapewne chodzi o różnicę stref czasu.
- <sup>196</sup> Właśc. Robert Renny, szkocki imigrant, naturalizowany w Rosji.
- <sup>197</sup> „Oszańcowanej pozycji” – franc.
- <sup>198</sup> „Inżynierze, jak pan ocenia walory obronne tego terenu? Czy możemy się tu skutecznie bronić?” – franc.
- <sup>199</sup> Różne typy umocnień polowych.
- <sup>200</sup> W pobliżu dawnego domu znajduje się zachowany do dziś grób Luise Skriszinski w formie żeliwnego krzyża.

<sup>201</sup> „Jak się macie, przyjaciele?”; „Bardzo dobrze, Wasza Imperatorska Mość!” – ros.

<sup>202</sup> Tu mowa o tego typu przypadku w związku z prośbą Hieronima Bonaparte, co w rzeczywistości miało miejsce nieco później.

<sup>203</sup> „Bacność”; „Prezentuj broń” – ros.

<sup>204</sup> „Och, zejdź mi lepiej z oczu, niegodny synu twego ojca!” – ang.

<sup>205</sup> Również trzydziści lat miał ukończyć za jedenaście dni, 24 maja 1807 r.

<sup>206</sup> „Mówią o księciu Bagrationie, że to ‘lew armii rosyjskiej’”; „Nasze wojsko wymyśliło dwa wierszyki o nim” – franc.

<sup>207</sup> W wolnym przekładzie: „O, jakże wielki wydaje się Napoleon na polu [Na – pole – on], jest przewrotny, szybki i odważny w rzucaniu obelg; a jednak zadrżał, kiedy w jego stronę wyciągnął dłoń zbrojną bagnietem Bagration [gra słów: Bog – rati – on, tzn. „bóg wojska” rosyjskiego] – ros.

<sup>208</sup> Wg kalendarza gregoriańskiego, 1 maja starego stylu wypadł w XIX w. właśnie 13 maja.

<sup>209</sup> „Dobry wieczór, panie oficerze...” – niem.

<sup>210</sup> W wolnym przekładzie: „Jak konwalia kłoni głowę i więdnie pod zabójczym sierpem żniwiarza, tak ja w chorobie, zawieszony w czasie, wyglądałem końca myśląc, że oto nadchodzi godzina, kiedy Parka przetnie nić mego życia. Oczy moje okrywać zaczynał gęsty mrok Erebu, już serce biło coraz wolniej, więdłem, marniałem i wydawało mi się, że zaszło słońce mego młodego żywota. Ale wtedy pojawiłaś się ty, coś ożywiła moją duszę, i oddech twych karminowych ust, łzy płynące z twych rozplómiennionych blaskiem oczu, kaskady pocałunków, namiętne westchnienia, mnóstwo miłych słów – wszystko to wydobyło mnie z otchłani nieszczęścia, z pól Hadesu, znad brzegów Lete [rzeka zapomnienia] i rzuciły na fale słodkiej rozkoszy. Ty zwracasz mi życie, jest ono dla mnie darem twego serca; będę odtąd oddychać tobą aż po grób. Słodko mi będzie nawet poddać się śmierci: teraz bowiem uwiędnę z miłości”. Wiersz zwykle datowany na rok 1807, kolejny po „Polach heilsberskich”, będących pokłosiem bitwy 10 czerwca 1807, rany, rekonwalescencji w Rydze i przeżytej tam miłości. Niektórzy datują jednak wiersz znacznie później.

<sup>211</sup> Audytor – sędzia wojskowy; profos – podoficer zarządzający aresztem.

<sup>212</sup> „Kieszonka” – ros.

<sup>213</sup> „Mama” – ros.

<sup>214</sup> Chodzi o „Sabałową bajkę” Henryka Sienkiewicza. Jezus posłał śmierć po wdowę z gromadą dzieci. Wdowa uprosiła śmierć, by nie odbierała dzieciom matki, jedynej żywicielki. Zapłakana śmierć powróciła z niczym. „A pon Jezus prask śmierć w pysk!”. Kazał jej zanurkować na dno morza, wydobyć mały kamień, zgryźć go przy nim zębami. W środku był mały „chrobocek”. Pan Jezus powiada: skoro ja o tym „chrobocku” pamiętam, to czy mógłbym zapomnieć o sierotach? „Chybaj po matkę!”.

<sup>215</sup> „Witam, panie pułkowniku, witam panów oficerów. Witajcie, chłopcy. Nie znamy się jeszcze. Jestem porucznik Nikołaj Antonowicz Otrawin. Przysłano mnie tu, bym objął dowodzenie rotą pozostającego w niewoli porucznika Żadowskiego...” – ros. Otrawin to nazwisko mówiące (ros. „otrawit” – „otruć”).

- 216 Wartownik – ros.
- 217 „Dwadzieścia kroków naprzód marsz!” – ros.
- 218 „Gołabczka” – ros.
- 219 Kiszona kapusta – niem.
- 220 Zmiejew – nazwisko mówiące; po ros. „zmieja” to „zmija” a „zmiej” – „smok” lub „wąż”.
- 221 „Proszę wejść!” (mniej elegancka wersja to „Herein!”, równoznaczna polskiemu „Wlazł!”).
- 222 „Tima. Mój Timoczka... Nie wiem już sama, czy umarłam i weszłam do Królestwa Niebieskiego, czy też może wreszcie się odnaleźliśmy? Powiedz mi to, Timka, powiedz mi to natchmiast!” – ros.
- 223 „Marf! Marfieńko! Odnaleźliśmy się, nareszcie się odnaleźliśmy. I teraz nigdy się nie rozstaniemy, nigdy, nawet na jedną chwilę! Przysięgam!” – ros. Jeśli któremuś z Czytelników opisana scena wyda się banalna i nazbyt ckliwa, to Jego problem. Autor z całego serca przyznaje swoim bohaterom prawo do takiego właśnie, może banalnego i nieco ckliwego, za to szczerego przeżywania spotkania po kilku latach rozłąki. Ich tęsknota była wielka, ich radość ze spotkania – nieopisana. Życzę im szczęścia.
- 224 „Gdzie leży pies pogrzebany” – niem.
- 225 „To koniec, Tim. Nigdy nie zapomnę...” – niem.
- 226 „Tim, to boli. Zostaw mnie, proszę...” – niem.
- 227 Cytowana metafora pochodzi z autobiografii słynnego wodza Apaczów „Geronima żywot własny”; po raz pierwszy zetknąłem się z nią na kartach jednej z książek Waldemara Łysiaka („Cesarski poker”).
- 228 Spędy w pobliżu Ornety/Wormditt, nad Pasłąką/Passarge.
- 229 Piotrowo.
- 230 „Przechrzcijmy tego ‘Kościuszkę’ na rosyjską wiarę!” – ros.
- 231 Konował – felczer weterynarii, kostopraw – felczer umiejący opatrywać drobne rany i nastawiać zwichnięte lub złamane kości.
- 232 „W twoim [!] pułku jest bajzel!” – ros.
- 233 „Zamiast chwalić, lepiej nakarm” – ros.
- 234 „Cios łaski” czyli dobicie – franc.
- 235 „Chodź, kolego...” – franc.
- 236 Krosno koło Ornety/Wormditt.
- 237 Bobrownik, Długołęka, Lauda.
- 238 Spauga.
- 239 Kozia Górka koło Długołęki/Langwiese.
- 240 Jedno ze wzgórz w pobliżu Laudy/Lawden.
- 241 „Niech żyje cesarz!” – franc.
- 242 Święta Lipka.
- 243 Reszel, Kętrzyn.
- 244 W Świętej Lipce nie zachował się nawet najmniejszy ślad (ani w terenie, ani w dokumentach) pochówku generała Kozina.
- 245 Lasek Laudański, ob. nie istnieje, jego śladem jest niewielka kępa drzew na

wschód od Laudy/Lawden. Naprzeciwko Lasku usypany był szaniec nr 2, koło którego poległ 10 czerwca 1807 roku generał Warneck. Przechucie Borysa z 6 lutego ziściło się.

<sup>246</sup> „Chodź, mój mały. Poczęstuj się i chodź ze mną. Będziemy przyjaciółmi” – franc.

<sup>247</sup> „Dzień dobry panu! Jestem Pierre–François Percy, naczelny chirurg Wielkiej Armii...” – franc.

<sup>248</sup> „Słyszałem o panu wiele dobrego, doktorze” – franc.

<sup>249</sup> Brimbelles – slangowe określenie jednego z gatunków dzikiej śliwy; grattecul (dosł. „drapacz dupy”) – dzika róża.

<sup>250</sup> „Teraz i zawsze” lub „Na wieki wieków” – franc.

<sup>251</sup> „Chabert! Przyjacielu, czy mnie poznajesz? To ja, Percy!” – franc.

<sup>252</sup> „Panie doktorze, to są nasze piękne wolontariuszki, Lieselotte Klinger i Marianne Benska. Są ofiarne i znajdują się na pielęgnowaniu rannych i chorych” – franc.

<sup>253</sup> „Raymond! Raymond! Dzięki Bogu, ty żyjesz!” – niem.

<sup>254</sup> „Lieselotte, moja kochana Lieselotte! Tak się cieszę! Serce moje, słońce moje, królowo ty moja...” – franc.

<sup>255</sup> Młodemu Francuzowi i Niemce z Launau sprzyjało szczęście: III korpus Davouta ruszył spod Heilsbergu prosto na Königsberg i zajął ten wielki port bez większego trudu i strat 16 czerwca 1807 roku. Po wojnie osierocona i pozbawiona majątku Lieselotte wyjechała z nim do Francji, gdzie się pobrali. Oboje dożyli szczęśliwie czasów II Cesarstwa (1852–1870) dochowując się trojga dzieci i gromadki wnucząt. Natomiast dalsze koleje losu Marianny Benskiej pozostawiamy wyobraźni Czytelników.

<sup>256</sup> Chodzi oczywiście o lilak, zwany potocznie bzem.

<sup>257</sup> Rybaki, ob. Primorsk RF; Pillau – Piława, ob. Bałtijsk RF; Frische Haff – Zalew Wiślany.

<sup>258</sup> Tu w znaczeniu: statek szwedzkiego armatora.

<sup>259</sup> Złota moneta pruska równa wartością 5 srebrnym talarom.

<sup>260</sup> Timofiej i Marfa Rodionowna nie pozostali długo w Szwecji. Zaledwie wzięli ślub, wyjechali do Anglii. Podczas wojny brytyjsko – amerykańskiej 1812–1815 Timofiej zaciągnął się do armii brytyjskiej i oboje małżonkowie popłynęli do Kanady, gdzie po zakończeniu wojny osiedli na stałe w prowincji Ontario.

<sup>261</sup> Tu: modna francuska broń myśliwska z przełomu XVIII i XIX w. produkowana w paryskiej manufakturze nadwornego rusznikarza Nicolasa Noëla Bouteta; jej charakterystyczną cechą stanowiło uformowane w kształt głowy zwierzęcej gardło szyjki, umożliwiające wygodniejszy uchwyt kolby; zastąpiło ono wcześniej rozpowszechniony, specyficznym kształtem wąs kabłąka osłony spustu.

<sup>262</sup> O jętkach: <https://pl.wikipedia.org/wiki/Jętka>

<sup>263</sup> Wełnianka: [https://pl.wikipedia.org/wiki/Wełnianka\\_wąskolistna](https://pl.wikipedia.org/wiki/Wełnianka_wąskolistna)

<sup>264</sup> „Urzędnikom, biurokratom” – ros.

<sup>265</sup> „Popatrzcie no, państwo” – ros.

<sup>266</sup> „Łajdaki” – ros.

<sup>267</sup> „Wyrażnie, dosłownie, dobitnie” – łac.

## DRAMATIS PERSONAE

(rok 1807); (f.) – postacie fikcyjne

**Aaronson Szmul** – sąsiad Ajzyka Rudziszкера (f.)

**Abrahamowicz Dawid** – Żyd, sierota, pomocnik Ajzyka Rudziszкера (f.)

**Alfieri** – włoski ppor. (sottotenente) Wielkiej Armii, jeńiec w Bartenstein (f.)

**Ancilla (naprawdę Alix/Alicja)** – siostra „katarzynka”, pielęgniarka z Heilsbergu

(f.)

**Angrigk Martin** – sołtys wsi Reimerswalde (nazw. aut. XVIII w.)

**Araignée Simon** – sierżant wołtyżerów 17. pułku liniowego, Heilsberg 6 II (f.)

**Argamakow Matwiej Wasiljewicz** – płk d-ca pdrag kurlandzkich

**Arnim von** – oficer prus., odprowadzał Saint-Chamansa do Wormditt

**Asman Casper** – karczmarz ze wsi Reimerswalde (nazw. aut. XVIII w.)

**Baggowut, Jurkowski i Markow** – generałowie rosyjscy dowodzący ariergardą II

1807

**Bagration Piotr Iwanowicz** – książę gruziński, gen., d-ca wojsk rosyjskiej awangardy

**Baille Louis Paul** – płk d-ca 51. pp, Heilsberg 6 II

**Bałutko Piotr** – kowal z Sumiliszek; syn Antuk, czeladnik Zenuk, dwoje młodszych dzieci, żona Anna (Anciutka) i matka (f.)

**Barcz Martin** – sołtys Reichenbergu (nazw. aut. W XVIII w.)

**Barez Raymond** – szaser 1. p, ukochany Lieselotte (f.)

**Batuszkow Konstantin Nikolajewicz** – poeta, służył w sanktpetersburskim batalionie milicji, walczył pod Heilsbergiem

**Bennigsen Leontij Leontijewicz** – ros. generał *en chef* Armii Zagranicznej w 1807

**Bernadotte Jean** – marszałek, d-ca I korpusu; w VI 1807 zastąpił go gen. Victor

**Benska Marianna** – córka Jakuba, przyjaciółka Lieselotte (f.)

**Benski Jakub** – Polak, chłop z Reimerswalde (nazw. aut. XVIII w.)

**Bielagin Anton Fiodorowicz** – mjr w sztabie grupy Warnecka; ur. 1767 (f.)

**Biennourri** – szaser 1. p, Heilsberg 6 II (f.)

**Björnson Arne** – szwedzki szyper, wywiózł Timę i Marfę do Trelleborga (f.)

**Blücher Gebhard Leberecht von** – gen. prus. wymieniony na Victora w Lomitten

**Bonnevie Pierre** – Francuz, emigrant, opiekun Beneficjum Św. Jerzego w Heilsbergu

**Braun Josephus** – proboszcz z Reichenbergu

**Bułgarin Faddiej Wieniediktowicz (Tadeusz Bułharzyn)** – ułan ros., polski renegat

**Cardelle Henri** – brigadier (kapral) 1. pułku szaserów, 6 II (f.)

**Cassagne Louis** – pułkownik, d-ca 25. pp

**Chabert** – płk. kirasjerów, ranny pod Pr. Eylau, leczony w Heilsbergu, postać z powieści Balzaca „Pułkownik Chabert”, tu rozwinięto wątek heilsberski (f.)



- Charitonow Anton Antonowicz** – huzar z phuz. pawłogradzkich, Heilsberg 6 II (f.)
- Clément Pierre** – szef batalionu w 17. pułku liniowym, Heilsberg 6 II (f.)
- Colin Pierre** – szaser 1. p, uczestnik misji Ledru 6 II (f.)
- Compans** – generał, szef sztabu IV korpusu
- Condet Louis** – saper 51. pułku liniowego, Heilsberg 6 II (f.)
- Coulombe** – por. ze sztabu IV korpusu, kolega Saint-Chamansa (f.)
- Courtenay Maurice de** – porucznik, adiutant ze sztabu IV korpusu (f.)
- Crossard** – pułkownik austriacki, obserwator przy armii rosyjskiej
- Czubatyj Ilja** – kozak z sotni Mołokowa, Heilsberg 6 II (f.)
- Czychowski (Cichowski) Jan Nepomucen** – proboszcz w Heilsbergu
- Daniłow Igor Rodionowicz** – brat Marfy, żołnierz pułku huzarów pawłogradzkich; ur. 1786 w Wozniesienskoje, gub. pskowska, zm. w Schwollmen (f.)
- Daniłowa Marfa Rodionowna** – dawna narzeczoną Timofieja Dmitrijewa, ur. 1788 w Wozniesienskoje, gub. pskowska; córka chłopca Rodiona Polikarpowicza Daniłowa i Kseni Jewgienijewny z d. Fomin; brat Igor ur. 1786 (f.)
- D'Aultanne, Joseph Augustin Fournier de Loysonville dit Joseph Daultanne**, marquis **d'Aultane** – gen. szef szt. III korpusu
- Davout Nicolas Louis** – marszałek, d-ca III k.
- Derdak Martin** – muzykant miejski z Heilsbergu (f.)
- Derdak Gretel** – jego żona (f.)
- Derdak Agathe i Inga** – ich córki, odp. ok. 20 i ok. 12 lat (f.)
- Devin Paul** – podporucznik w 12. pułku szaserów, Jegothen 6 II (f.)
- Diaczenko Fiodor Kuźmicz** – unteroficer dragońskiego pułku kurlandzkiego, poległ na Hohetor Vorstadt (f.)
- Dietrich, Peter, Helga** – służba ze Sperwatten
- Dmitrijew Timofiej Nikitycz** – unteroficer koporskiego pułku muszkieterskiego („koporców”), d-ca wzwodu (plutonu) w rocie (kompanii) por. Żadowskiego; ur. 1782 i zamieszkały we wsi Wozniesienskoje, gub. pskowska; powołany w 1804, służył w twierdzy Koporje a potem w kampanii 1806-1807; syn chłopca Nikity Grigorijewicza D. i Afrosinii Pawłowny z d. Jemielianow; siostra Daria Nikitjewna, ur. 1790 (f.)
- Dochturow Dmitrij Siergiejewicz** – gen. mjr, d-ca 7. dywizji
- Dornet Régis** – kpr. saper 51. pp, zabity w Heilsbergu (f.)
- Dragomirow Foma Łukicz** – dragon pułku kurlandzkiego, wielki siłacz (f.)
- Duchamp Henri** – szeregowy 1. kompanii 51. pułku liniowego (f.)
- Dulauloy Charles** – gen., d-ca artylerii IV korpusu pod Heilsbergiem
- Dupré François** – szaser 1. p, uczestnik misji Ledru 6 II (f.)
- Edmer Gregor** – żołnierz prus. 21. batalionu fizylierów von Stutterheima (f.)
- Exelmans Joseph** – pułkownik, d-ca 1. pułku szaserów
- Feider Bernhard** – chłop/kolmer z Reichenbergu (nazw. aut. W XVIII w.)
- Ferron** – szaser 1. p (f.)
- Foulard Jean** – szaser 1. p. poległy w lesie wichrowskim (f.)
- Frère Pierre** – żołnierz 17. pp, Heilsberg 6 II (f.)

**Friant Louis** – generał, dywizjoner w III korpusie  
**Gabriele (Gabi)** – dziwka z Bartenstein (f.)  
**Gerszon Jakub** – Żyd, liwerant z Wilna (f.)  
**Gnaade Karł Jurjewicz** – płk, d-ca koporskiego pułku muszkieterskiego  
**Goldau Gregor** – chłop z Reichenbergu (nazw. aut. W XVIII w.)  
**Golicyn Dmitrij Władimirowicz** – generał lejtnant, d-ca kawalerii prawego skrzydła  
**Gontarz Ambroży** – szaser 1. pułku, uczestnik misji Ledru 6 II (f.)  
**Gourmand Georges** – sierż., trębacz Saint-Chamansa (f.)  
**Gralke Hagen** – chłop z Pomehren (nazw. aut. W XVIII w.)  
**Gravet Paul, Trencavel Jacques, Valéry Justin, Driault Hubert, Philippe Charles** – żołnierze 51. pp walczący pod Kirchentor (f.)  
**Grekow Grigorij Wasiljewicz** – syn dziedzica Wozniesienskoje, Wasilija Iwanowicza Grekowa, wdowca – żona Sofia; prześladowca Marfy, Timofieja i Wowki popowicza (f.)  
**Gruber Franz** – wuj Lieselotte; chłop z Pudelkeim; wdowiec – ż. Anna (f.)  
**Grunert Kurt** – leśniczy z Tiergarten (f.)  
**Grunert Gerda** – jego żona (f.)  
**Gudin Charles** – generał, dywizjoner w III korpusie  
**Guichet Olivier** – żołnierz IV korpusu, zginął podczas pożaru w Liebstadt (f.)  
**Guyardet Pierre** – płk d-ca 13. plp  
**Guyon Claude Raymond** – pułkownik, d-ca 12. pułku szaserów  
**Hanique Antoine Alexandre** – gen. d-ca art. III k.  
**Hans** – parobek sióstr Hasselberg, pracownik karczmy „Zu Drei Schwestern” (f.)  
**Hasselberg Elsa** – karczmarka z Heilsbergu; siostry Berta i Kunegunda (f.)  
**Hippel Johann** – sołtys Launau; szwagier Ernst z Heilsbergu (nazw. aut. W XVIII w.)  
**Holtz Étienne** – kapitan w 12. pułku szaserów, Jegothen 6 II (autent. nazwisko)  
**Horneffer Georg** – mistrz ciesielski z Heilsbergu, konserwator mostu wodociągowego.  
**Hossmann Josephus Andreas** – proboszcz w Reimerswalde  
**Hutchinson Christopher (Kit) Hely** – lord, dyplomata bryt., obserwator przy ros. Armii Zagranicznej  
**Isajew Afanasij Gieorgijewicz** – sotnik kozacki w grupie Warnecka; ur. 1772 (f.)  
**Iwan Aleksandrowicz [X.]** – komisarz kwatermistrzostwa, defraudant (f.)  
**Iwanow Anton, Glebow Paszka, Siergiej, Artiom, Sasza** – jeźrzy 21. pjeg, 6 II (f.)  
**Jabłoczkin** – riadowy, pełnił wartę przed namiotem Otrawina (f.)  
**Jambet Honoré** – por. d-ca grupy saperów 51. pp, Heilsberg 6 II (f.)  
**Jefimow Fiedot Pawłowicz** – riadowy koporskiego pułku muszkieterskiego, żołnierz wzvodu (plutonu) Timofieja Dmitrijewa (autentyczne imię i nazwisko)  
**Jermołow Aleksiej Pietrowicz** – ppłk, d-ca 7. roty art. konnej w awangardzie Bagrationa

**Jewdokimow** – starszyna w pułku koporskim; Jegothen 6 II (f.)  
**Jewsiejew Ipatij Pawłowicz** – starszyna 21. pje, ranny pod Amt Heilsberg (f.)  
**Johann** – kamerdyner króla Fryderyka Wilhelma III (f.)  
**Kalkreuth** – prus. generał, obrońca twierdzy Danzig  
**Kamienski Michaił Fiedotowicz** – feldm., pierwszy d-ca ros. Armii Zagranicznej  
**Kamienski Nikołaj Michajłowicz** – ros. gen. lejtn., d-ca 14. dywizji, dowodził też korpusem próbującym odblokować Danzig  
**Karl** – pracownik folwarku Sperwatten (f.)  
**Kirylenko** – kpt., chwilowo zastępował por. Żadowskiego, przebywającego w niewoli (f.)  
**Klinger Lieselotte** – córka chłopca z Launau, ukochana Raymonda Bareza (f.)  
**Klinger Paul** – ojciec Lieselotte, chłop z Launau; wdowiec – ż. Käthe (nazw. i imię aut.)  
**Konowałow Anatolij Wasiljewicz** – mjr dowodził 21. pje pod Amt Heilsberg (f.)  
**Konstanty Pawłowicz** – wielki ks., brat cara, d-ca dywizji Gwardii  
**Korolew** – ppor. w rocie Żadowskiego (f.)  
**Korolew Agafon Matwiejewicz** – kapitan w pułku koporskim; przedbramie 6 II (f.)  
**Korowin Denis Władimirowicz** – sotnik kozacki, niekompetentny hulaka, zwierzchnik Krepkiego, 6 II (f.)  
**Kostin Jermołaj Pietrowicz** – riadowy pułku koporskiego, zabity w Heilsbergu (f.)  
**Kostomarow** – doński kozak przebywający w Bartenstein (f.)  
**Kozin Siergiej Aleksandrowicz** – gen. mjr., d-ca brygady kawalerii Gwardii ros.  
**Krauseneck Wilhelm von** – kpt. 2. FB von Stutterheima  
**Kreczetnikow Wowka** – przyjaciel Timofieja i Marfy, syn popa Jermołaja (f.)  
**Krepkij Omeljan Iwanycz** – kozak, zabity w lesie pod Launau (f.)  
**Kretow Nikołaj Wasiljewicz** – generał rosyjski  
**Kretow (II)** – riadowy ze wzvodu Pankratowa, Heilsberg 6 II (f.)  
**Kretschmer** – prus. ppor., oficer z karczmy (f.)  
**Kulikowski Josif Andriejewicz** – płk, d-ca 21. pułku jegierskiego  
**Lacoste Gaston** – szaser 1. p. (f.)  
**Lameth** – oficer franc., współlokator Saint-Chamansa w Liebstadt i Rosenau  
**Lanusse Pierre** – pułkownik, d-ca 17. pp  
**Laplane Jean** – płk, d-ca 6. plp  
**Lebiediew Giena** – rekrut z p. dragonów kurlandzkich, dezter (f.)  
**Leboeuf Timothée** – grenadier franc., nadzorca jeńców w Schwollmen (f.)  
**Ledru Antoine** – ppor. w sztabie III korpusu, odesłany w lutym 1807 do dyspozycji gen. Marulaza; w wojsku od 1803; ur. 1783 w Auxerre w Burgundii; syn adwokata Pierre’a L. i Jeanne z d. Pellerin; bracia: Louis ur. 1789 i Charles ur. 1790 zm. 1797, siostra Cécile ur. 1798 (f.)  
**Lefort** – szaser 1. p, Heilsberg 6 II (f.)  
**Leschern Karł Karłowicz** – gen. mjr szef pdrag kurlandzkich

**L'Estocq Wilhelm Anton von** – gen. pruski

**Lichtenhagen von Otto i Gertruda (Trudi) von** – dziedzice Sperwatten po 1785

(f.)

**Lorenz** – fryzjer króla Fryderyka Wilhelma III (f.)

**Maksimow Borys Iwanowicz** – radowy koporskiego pułku muszkieterskiego, żołnierz wzwodu Timofieja Dmitrjewa; ur. 1787 we wsi Bieriezowka, gub. pskowska (jw.)

**Maksym i Gawriił** – kozacy, podpalacze i gwałciciele spod Reimerswalde (f.)

**Malinowski** – lekarz w pułku ułanów w. ks. Konstantego

**Małachow i Sysojew** – d–cy pułków kozackich

**Marchand Jean** – gen., dywizjoner w VI korpusie

**Marois Paul** – żołnierz IV korpusu, zamordowany podczas pożaru w Liebstadt (f.)

**Martel Louis** – sierżant w 1. kompanii 51. pułku liniowego, zabity w Heilsbergu

(f.)

**Marulaz Jacob** – generał, d-ca brygady lekkiej kawalerii w III korpusie

„**Maszeńka**” – metresa Iwana Aleksandrowicza, komisarza kwatermistrzostwa (f.)

**Maucune Antoine** – gen., brygadier w dywizji Marchanda w VI korpusie

**Meller–Zakomielski Jegor Iwanowicz** – gen. mjr., d-ca pułku ułanów w. ks.

Konstantego

**Merle** – żołnierz 17. pp, Heilsberg 6 II (f.)

**Meyerowicz Joel** – Żyd, główny liwerant ros. Armii Zagranicznej

**Miasnikow** – ułan z pułku w. ks. Konstantego (f.)

**Mołokow Ilja Osipowicz** – sotnik kozacki w grupie Warnecka; ur. 1770 (f.)

**Monsard René** – szeregowy 2. kompanii 51. pułku liniowego, Heilsberg 6 II (f.)

**Morand Charles** – generał, dywizjoner w III korpusie

**Mounier** – sierż. 51. pp, Heilsberg 6 II (f.)

**Möller von** – ppor. Polizeibürgermeister Heilsbergu

**Murat Joaquin** – marszałek, d-ca Kawalerii Rezerwowej, szwagier Napoleona

**Ney Michel** – marsz. franc., d-ca VI korpusu

**Nikiforow Polikarp Ignatjewicz** – kpt. d-ca szw. w phuz pawłogradzkich, 6 II 1807 był ze swym szw. w Heilsbergu na Hohetor Vorstadt (f.)

**Norvins Jacques de** – oficer ordonansowy Napoleona, Heilsberg VI 1807

**Noué Robert** – kapral 51. pułku liniowego, ranny w Heilsbergu (f.)

**Oleg i Siergiej** – koledzy Timofieja Dmitrjewa z garnizonu w Koporje (f.)

**Ostermann–Tolstoj Aleksandr Iwanowicz** – gen. lejtn., d-ca 2. dywizji

**Osten–Sacken Fabian Wilgielmowicz von der** – ros. gen. lejtn., d-ca 3. dywizji

**Otrawin Nikołaj Antonowicz** – por., nowy d-ca roty Żadowskiego, wróg Timofieja (f.)

**Otroszczenko Jakow Osipowicz** – por. w 7. pułku jegierskim, d-ca 7. rot; ur. 1779

**Pankratow Grigorij Jefimowicz** – unteroficer koporców (f.)

**Pastor [X]** – duchowny ewang. z Bartenstein, wdowiec, ojciec zm. Elmentrudy (f.)

**Pawłow Grigorij Dmitrijewicz** – dragon pułku kurlandzkiego, Jegothen 6 II (f.)

**Pélet Ambroise** – kapitan, d-ca 2. kompanii 51. pułku liniowego, Heilsberg 6 II (f.)  
**Percy Pierre-François** – chirurg *en chef* Wielkiej Armii  
**Peter i Michael** – parobcy Paula Klingera z Launau (f.)  
**Pietrow** – porucznik pułku koporskiego, d-ca roty (f.)  
**Pietrulin** – adiutant gen. Kozina  
**Pignatel Georges** – woltyżer 13. pp, Heilsberg 6 II (f.)  
**Pimienow Ilja Fiodorowicz** – dragon pułku kurlandzkiego, ranny na Hohetor Vorstadt (f.)  
**Pirvauchin Remi** – sierżant 13. pp, Heilsberg 6 II (f.)  
**Płatow Matwiej Iwanowicz** – ataman dońskich wojsk kozackich  
**Podgoričan vel Podgoričanin** – Serb w służbie ros., hrabia, zabójca prus. huzara  
**Pogorielski Dmitrij Fomicz** – sotnik kozacki, poległ w styczniu 1807 r. (f.)  
**Poltz Heinrich** – listonosz miejski z Heilsbergu, zginął 6 II 1807 (imię aut.)  
**Ponomarienko Grigorij** – kozak z sotni Mołokowa, Heilsberg 6 II (f.)  
**Popihn Franz** – karczmarz ze wsi Neuendorf (nazw. aut. XVIII w.)  
**Pouchelon Étienne François Raymond** – płk, d-ca 33. pułku liniowego, 6 II  
**Prasque Robert** – porucznik, d-ca plutonu w 33. pp, Jegothen 6 II (f.)  
**Prittwitz Moritz** – gen. pruski  
**Rembow** – prus. gen., d-ca mieszanego korpusu prus.–ros. pod Spanden  
**Renny Robert (Roman Jegorowicz)** – Szkot, inżynier wojskowy i kartograf  
**Ricard Étienne** – generał, brygadier w dywizji Moranda  
**Rosen Aleksandr Władimirowicz** – ppłk dowodził dwoma szw. pułku huzarów pawłogradzkich w Heilsbergu 6 II 1807  
**Royeux Philippe** – rudy fizylier 17. pułku liniowego (f.)  
**Rudziszker Ajzyk** – żydowski karczmarz z Rudziszek, liwerant; córki Fajga i Chana; wdowiec – ż. Rachela (f.)  
**Saint-Chamans Alfred Armand Robert de** – kpt., adiutant marsz. Soulta, nadzorował wymianę Blüchera na Victora  
**Saint-Hilaire** – gen., dywizjoner w IV korpusie  
**Schlägell Jost** – młynarz spod Pomehren (f., nazw. aut.)  
**Sieriebriakow** – kpt. w pułku ułanów w. ks. Konstantego (f.)  
**Skriszinski Luise (z d. Genck)** – właścicielka domu stojącego na prawobrzeżnych pozycjach ros. pod Heilsbergiem  
**Szczerbaczew** – kapitan w kurlandzkim pułku dragonów; Jegothen 6 II (f.)  
**Souffret René** – d-ca kompanii artylerii konnej w 12. pułku szaserów, Jegothen 6 II (f.)  
**Soult Nicolas** – marszałek, d-ca IV korpusu  
**Sparchmann Heinrich** – lekarz z Heilsbergu, uwieczniony przez Balzaca (f.)  
**Sperling Kondratij Karłowicz** – sekund – rotmistrz w pułku huzarów pawłogradzkich, Heilsberg i Jegothen 6 II (f.)  
**Stiepanow, P. i gen. Ł.** – pracownicy Polowej Kancelarii Wojskowej cara  
**Stoll Günter von** – prus. huzar, zastrzelony w karczmie (nazw. f.)  
**Stroebel Joseph** – żołnierz 17. pp, Alzatczyk, Heilsberg 6 II (f.)

**Taube Hans** – browarnik z Liebstadt; żona Ruth, synowie Gottlieb i Gotthold (f.)

**Teschner Franz** – chłop z Pomehren (f., nazw. aut.)

**Teschner Adele**, „suka z Pomehren” – córka T. zgwałcona przez kozaków (f.)

**Thouard Sébastien** – kapral 17. pułku liniowego, Heilsberg 6 II (f.)

**Thiebault Marcel** – kapitan, d-ca 3. kompanii 17. pułku liniowego, Heilsberg 6 II

(f.)

**Torthus** – Szwed, felczer weterynarii i kostopraw w pułku ułanów w. ks.

Konstantego

**Troche Henri** – saper 51. pp, ranny w Heilsbergu pod Kirchentor (f.)

**Tolbuchin Paweł Pietrowicz** – płk, d-ca 7. pułku jegierskiego

**Tousard** – płk, dca oddz. inż. III k.

**Trudeau** – szaser 1. p, Heilsberg 6 II (f.)

**Uwarow Fiodor Pietrowicz** – gen. ljtń., wielokrotny d-ca zgrupowań kawalerii

**Vautreille Pierre** – kpt. 51. pp, Heilsberg 6 II (f.)

**Verdois André** – wołytyżer 17. pułku liniowego, zabity w Heilsbergu 6 II 1807 (f.)

**Victor (właśc. Perin) Claude** – marszałek, od VI 1807 d-ca I korpusu

**Villevieux Grégoire** – saper 51. pp walczący pod Kirchentor (f.)

**Wagner Anton** – wikary w Peterswalde, frankofil

**Wałujew** – adiutant feldm. Kamińskiego

**Warneck Ławrentij Ławrentijewicz** – gen. mjr, d-ca pod Heilsbergiem i Jegothen

6 II.

**Wasiljew Aleksiej Pietrowicz** – podporucznik, adiutant gen. Warnecka, 6 II (f.)

**Weber Klaus** – strażnik leśny/waldwart z Amt Heilsberg (f., nazw. aut.)

**Wilson Robert Thomas** – ppłk bryt., obserwator przy ros. Armii Zagranicznej

**Winkler Fritz** – smolarz majątku Sperwatten, ż. Gretel, c. Liese, Uschi, Marianne

(f.)

**Witia i Żenia (Witalij i Jewgienij)** – dwaj pomocnicy i „goryle” Iwana Aleksandrowicza, komisarza kwatermistrzostwa (f.)

**Woelky Georg** – czeladnik krawiecki z Heilsbergu, przewodnik koporców (f.)

**Wojejkow Siemion Ignatjewicz** – kapitan, d-ca jednego ze szwadronów w pułku huzarów pawłogradzkich, 6 II 1807 pod Amt Heilsberg (f.)

**Wołkoński Siergiej Grigorjewicz** – adiutant Bennigseny, kuzyn gen. Kozina

**Worobiej** – kapral w pułku dragonów kurlandzkich, Jegothen 6 II (f.)

**Woron Ignatij** – kozak z sotni Mołokowa, Heilsberg 6 II (f.)

**Wylie James (Jakow Wasiljewicz)** – lekarz przyboczny cara Aleksandra I

**Zadera i Żarzyński** – kapitanowie w sztabie III k.

**Zmiejew Saszka (Aleksandr)** – szer. pułku koporskiego, szpicel Otrawina (f.)

**Żadowski Piotr Borysowicz** – por. d-ca rotty koporców

## SPIS NAZW MIEJSCOWYCH

### występujących w powieści

Alle – rz. Łyna  
Allenstein – Olsztyn  
Alt Wartenburg – Barczewko  
Altkirch – Prasłity  
Amt Guttstadt – folwark w Smolajnach  
Amt Heilsberg vel Neuhof – Pilnik  
Arendsdorf – Lubomino  
Bartenstein – Bartoszyce  
Benern – Bieniewo  
Bergfried – Barkweda  
Bewernick – Bobrownik  
Blumen – Pityny  
Bogen – Bugi  
Braunsberg – Braniewo  
Bürgerwalde – Miejska Wola  
Crossen – Krosno k/Wormditt  
Danzig – Gdańsk  
Dittrichsdorf – Biała Wola  
Drewenz – Drwęca (wieś i rz.)  
Elbing – Elbląg  
Elditten (Gross i Klein) – Ełdyty Wielkie i Małe  
Elm – Elma (rz.)  
Elmswalde – Elmina, ob. nie istnieje  
Finckenstein – Kamieniec Suski  
Fischhausen – Rybaki, ob. Primorsk RF  
Frauendorf – Babiak  
Freimarkt – Wolnica  
Frische Haff – Zalew Wiślany  
Gross Maraunen – Maruny  
Grossendorf – Wielochowo  
Grossendorfer See – jezioro Wielochowskie  
Grünwalde – Zielenica  
Gunten – Guntkajmy, ob. nie istnieją  
Guttstadt – Dobrze Miasto  
Hanshagen – Janikowo  
Heiligelinde – Święta Lipka  
Heilsberg – Lidzbark Warmiński  
Hoff – Dwórzno

Insterburg – Wystruć/Czerniachowsk RF  
Jegothen – Jagoty  
Johannisburg – Pisz  
Jonkendorf – Jonkowo  
Kaschaunen – Kaszuny  
Kiwitten – Kiwity  
Konnegen – Koniewo  
Königsberg – Królewiec/Kaliningrad RF  
Kossen – Kosyń  
Kreuzberg – Krzyżowa Góra (wzgórze)  
Kutschitten – ob. Znamienskoje RF  
Landsberg – Górowo Iławeckie  
Langwiese – Długoleka  
Launau – Łaniewo  
Lauterwalde – Samborek  
Lawden – Lauda  
Leunenburg – Sątoczno  
Liebstadt – Miłakowo  
Liewenberg/Liebenberg – Miłogórze  
Lomitten vel Lemitten – Limity, ob. nie istnieją  
Mawern – Mawry  
Mehlsack – Pieniężno  
Memel – Kłajpeda litew.  
Mohrungen – Morąg  
Nerfken – Nerwiki  
Neuendorf – Nowa Wieś Wielka  
Neuhof – patrz: Amt Heilsberg  
Nickolaiken – Mikołajki  
Open – Opin  
Orschen – Orsy  
Paris – Parys  
Passarge – Pasłęka (rz.)  
Petersdorf – Piotrowo  
Petershagen – Pieszkowo  
Peterswalde – Piotraszewo  
Pillau – Pilawa, ob. Bałtyjsk RF  
Pitتهnen – Kasztanowo  
Pomehren – Pomorowo  
Pregel – Pregoła (rz.)  
Preussisch Eylau – Pruska Iława/Bagrationowsk RF  
Rastenburg – Kętrzyn  
Raunau – Runowo  
Reichenberg – Kraszewo



Reimerswalde – Ignalin  
Retsch – Redy  
Rosenau – Różnowo  
Rosenberg – Susz  
Rosengarth – Różynka  
Rössel – Reszel  
Schippenbeil – Sępopol  
Schlautienen – ob. Czapajewo RF  
Schmolainen – Smolajny  
Schönwiese – Żuława, ob. nie istnieje  
Schweden–Graben – potok w lesie k/Łaniewa  
Schwenkitten i Klein Schwenkitten (także Schwendt) – Świątkity, wieś i folwark  
Schwollmen – Swalmy, ob. nie istnieją  
Sensburg – Mrągowo  
Sieslack – Piaseczno  
Soldau – Działdowo  
Sommerfeld – Zagony  
Spanden – Spędy  
Spiegelberg – Spręcowo  
Sperwatten – Zaręby  
Spuy–Bach – Spauga (potok)  
Stolzhagen – Kochanówka  
Süssenberg – Jarandowo  
Tiergarten – leśnictwo Zwierzyniec  
Wackern – Jelanowka RF, ob. nie istnieje  
Wald Hundegeheck – Las Psie Staje k/Pilnika  
Waltersmühl – Konradowo  
Warlack – Worławki  
Wartenburg – Barczewo  
Wernegitten – Kłębowo  
Widdrichs – Widryki  
Wolfsdorf – Wilczkowo  
Workeim – Workiejmy  
Wormditt – Orneta  
Wosseden – Nowosady  
Zechern – Urbanowo  
Zinthen – Cynty, ob. Korniewo RF